

ALEKSANDRA JANUSZ



KRONIKI  
ROZDARTEGO ŚWIATA

UTRACONA BRE TANIA

NASZA KSIĘGARNIA

ALEKSANDRA JANUSZ

*K*RONIKI  
ROZDARTEGO ŚWIATA

---

UTRACONA BRE TANIA



NASZA KSIĘGARNIA



# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Zajrzyj na strony:

W serii

Amandine, Kathryn i Lily

6 Mai 753 AG

Margueritte i Belinde Raport terenowy

\*\*\*

18 Mai 753 AG

Vincent Thorpe

Kilka tygodni wcześniej

18 Mai 753 AG

Kilka tygodni później

Dwa tygodnie wcześniej

Wcześniej

Utracona Bretania, 12 Julliet 753 AG

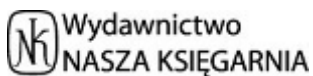
I tom CYKLU

O AUTORCE

Strona redakcyjna

Zajrzyj na strony:

[www.nk.com.pl](http://www.nk.com.pl)



Znajdź nas na Facebooku

[www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegaria](https://www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegaria)



Poznaj naszą ofertę - FANTASTYKA I HORROR

[www.nk.com.pl/fantastyka-i-horror/3/kategoria.html](http://www.nk.com.pl/fantastyka-i-horror/3/kategoria.html)

W serii:

Asystent czarodziejki

Utracona Bretania

W przygotowaniu kolejny tom

Amandine, Kathryn i Lily

Utracona Bretania, 6 Mai 753 AG

W powietrzu unosił się kurz. Bryka podskakiwała na wybojach, a przy każdym wstrząsie konopny powróż, przywiązany do filarów płóciennej budy, ranił otarte do krwi ręce Amandine.

Ołowiane, okute cyną bransoletki, które zatrzaśnięto jej na nadgarstkach, w porównaniu z więzami prawie nie zawadzały. Przesuwała je wzdłuż ramion na postojach, zmieniając obciążenie. Ciężki metal odciskał się na bladej, poznaczonej złotawymi piegami skórze.

Droga wydawała się trochę równiejsza niż do tej pory, więc Amandine skorzystała z okazji, zapałała się stopą o brzeg bryki i przeniosła ciężar ciała na prawą stronę. Lewą nogę od czubków palców aż do pośladka miała już zupełnie zdrętwiałą. Związano im ręce z przodu – nie żeby jakoś szczególnie dbano o ich komfort, po prostu było to dogodniejsze dla oprawców. Bali się ich dotykać, co zapewne uchroniło dziewczyny przed znacznie gorszym losem.

Nie miała siły się zastanawiać, skąd ci ludzie wiedzieli o potrzebie kwarantanny. Na dobrą sprawę nie była nawet przekonana co do ich człowieczeństwa. Nie знаła też celu podróży. Wyglądało na to, że utknęły we trójkę w obcym świecie, uwięzione przez oddział dowodzony przez potwora, skażone nieznaną dawką energii Pustki i całkowicie bezradne. Nie miała pojęcia, co się z nimi stanie. Nie żeby przypisywała temu jakiegokolwiek znaczenie. Vincent prawdopodobnie i tak już nie żył. Czy tego właśnie chciała Trzecia Wyrocznia, szalony konstrukt sprzed tysięcy lat? Dlaczego Weyland nie przewidział, że magiczne dzieła, które miały zapewnić wyprawie bezpieczeństwo, popsują się wskutek podróży? Powinien wiedzieć, od tego przecież był Arcymagiem.

Kathryn i Liliana leżały bezładnie na podłodze bryczki, podobnie jak ona przywiązane do budy. Nie wiedziała, czy spały, czy straciły przytomność. Ołowiane bransoletki, które jej przeszkadzały tylko ze względu na ciężar,

sprawiwały czarodziejkom fizyczny ból. Próbowwała sobie przypomnieć, co Vincent mówił o wygłuszaczach. Nie tłumią Źródła, twierdził, ale utrzymują całą moc w jego rdzeniu. W normalnych warunkach ciało czarodzieja zużywa kwanty energii magicznej nawet bez rzucania zaklęć. Odnowia ona i wzmacnia tkanki albo po prostu wydziela się przez skórę. To niewielki ubytek, niezauważalny, bo Źródło uzupełnia go na bieżąco, bez potrzeby snu. Zablokowanie tego procesu jest bardzo bolesne.

Jak szybko po śmierci Vincenta czarodziejki utraciłyby moc? Może jednak przeżył. Może...

Zacisnęła powieki. Niemal go usłyszała. Prawie zmaterializował jej się przed oczami. Optymistyczny, zawsze ciekawski, pełen chłopięcego uroku. Z sercem, które ogrzewało jak kafłowy piec. Z tym szerokim uśmiechem i ofermowatym spojrzeniem, kiedy się zamyślał. Miał mocne, duże dłonie, zniszczone przez lata pracy z odczynnikami i ziołami. Nigdy puste. Jeśli nie czytał ani nie szkicował w notatniku, to zapewne wyklejał zielnik, majsterkował albo po prostu gotował i sprzątał. Nie potrafił siedzieć beczynnie, ale nie dostrzegało się nerwowości w jego krzątaniu. Porządkował świat, dłubał i tworzył, bo to lubił. Pod tym względem mieli ze sobą dużo wspólnego.

„Mogłeś chociaż raz w życiu nie być taki obowiązkowy” – pomyślała gorzko, a spod jej powiek popłynęły łzy. Czy Gildia nie miała innego personelu do ratowania świata przed Rozdarciem? Nie mogli wyłożyć na taki ważny cel więcej automagii? Albo wprowadzić powszechnego obowiązku testowania nastolatków, żeby znaleźć Maga Pustki już całe lata temu? Czy Weyland musiał przeprowadzić całą akcję pod stołem?

I dlaczego Vince, ten cholerny pracoholik, nie chodził do lekarza i nie uzupełniał uroków ochronnych? Margueritte w pełni zasługiwała na karę, najlepiej dożywotni zakaz brania uczniów i asystentów...

Nieważne.

Za każdym razem, kiedy jej myśli zaczynały biec utartym torem, Amandine przypominała sobie, że świat się rozpadł. I że Margueritte też utknęła gdzieś w Bretanii i może walczyła o przetrwanie w tym obcym, przeklętym miejscu. „To wszystko wina Czarnej Meg – pomyślała – zasłużyła na wszystkie nieszczęścia,



jakie Utracona Bretania ma do zaoferowania. Czarodzieje. Zbyt wielcy, aby myśleć o takich detalach jak na przykład ludzkie życie”.

Bryka nieco się zachwiała i jakby zwolniła. Chociaż trzęsło znacznie mocniej niż w dylizansie, Amandine wyczuła, że skręcają gdzieś na postój. Rzeczywiście, kiedy uniosła głowę i wyjrzała z tyłu budy, zobaczyła, że niebo z wolna przybiera intensywny brzoskwiinowy odcień. Całe spektrum barw, włącznie z zachodami słońca, było w tym obcym świecie lekko przesunięte w stronę żółci. Mimo dramatycznej sytuacji instynkt artystki działał niezawodnie; półświadomie zastanawiała się, jak mieszałyby farby, aby odzwierciedlić ten krajobraz. Miała ręce otarte do krwi, prawdopodobnie połamane żebra, sińce na całym ciele, jej żołądek zaciskał się z głodu i z całą pewnością cuchnęła, a i tak myślała o sztalugach.

A przecież mogła zostać w Arborii i malować. Czekać z zapasem medykamentów i domową atmosferą jak narzeczona żołnierza albo marynarza. Tymczasem nalegała na uczestniczenie w misji z pełną świadomością, że będzie bardziej ryzykowna niż wszystko to, w czym jej narzeczony do tej pory brał udział. Chciała mu towarzyszyć. Jeśli trzeba, zginąć razem. Jeśli można, ochronić go.

Przejechali jeszcze krótki dystans; tym razem trzęsło inaczej, podobnie jak na bruku. Wreszcie pojazd zatrzymał się ze skrzypieniem. Sznur, którym przytroczono ręce Amandine do budy, zwiotczał – znów odwiązywano jeńców. Wreszcie do bryki zajrzał żołnierz, jedyny, który miał bezpośrednio do czynienia z więźniarkami. Amandine szybko się zorientowała, że znajdował się najniżej w hierarchii; pewnie dlatego, że nie było po nim widać żadnych deformacji. Bezustannie starał się przekazać mową ciała, słowem i czynem, że nie obawia się niczego ani nikogo, a zwłaszcza zarazy, którą mógł złapać od czarodziejek. Twarz miał nijaką, usta wąskie, spod rozłożystego hełmu z piórem spoglądały tępe oczy bandyty. Jak wszyscy prócz dowódcy był spowity w pelerynę barwy zaschniętej krwi.

Chętnie by na niego napluła, ale jej żebra już znajdowały się w kiepskim stanie i nie chciała go prowokować.

– Wychodzić! – Żołdak skierował w stronę jeńców ostrze piki. – Już!

Amandine zerknęła z niepokojem na Kathryn i Lily, ale jak się okazało, obydwie zaczynały się podnosić. Kat miała podkrążone oczy; na tle ziemistej cery bardzo wyraźnie odznaczały się czerwone, zaognione pryszczki. Poruszała się mechanicznie, z widocznym przymusem. Lily zdawała się bardziej przytomna, a nawet czujna. W jej spojrzeniu czały się strach, cierpienie, ale i ślady agresji. Robiła wrażenie schwytanego dzikiego zwierzątka. Amandine przypomniawszy sobie, jak wyglądała, kiedy po raz pierwszy spotkały się w kuchni składanego domu, i ogarnął ją lęk, że szok odebrał małej, wrażliwej dziewczynce rozum.

Wygramoliły się z wozu przy akompaniamencie krzyków i przekleństw. Inni żołdacy trzymali się na dystans, równocześnie zachowując czujność na wypadek oporu. Ten z wężowym okiem i łuską po prawej stronie twarzy ostentacyjnie bawił się nożem. Pozostałych trzech, dzierżąc piki, nonszalancko opierało się o murek.

Znajdowały się w ruinach zajazdu.

Rozpoznała charakterystyczny kształt budynku, podobny do otwartego prostokąta. Ceglane ściany jeszcze stały, pokryte smolistą czernią. Nadwęglone drewniane filary w dwóch czy trzech miejscach wspierały połowę ocalałego dachu. Ze stajni zostało tylko solidne dębowe rusztowanie; takie drewno słabo się paliło. Czego nie strawił pożar, zniszczyły mrozy i ulewne deszcze; tłusty popiół wżarł się w łączenia między kamieniami bruku.

Pośrodku dziedzińca stała szubienica, a na niej wisiały trzy wyschnięte, poczerniałe trupy. Każdemu brakowało prawej dłoni. Amandine przelotnie zastanowiła się nad makabryczną zagadką – czy ucięto je przed egzekucją, czy potem. Bretańscy mogli hołdować przesądom związanym z częściami ciała wisielców.

Dowódca przez dłuższą chwilę stał w miejscu, jakby pogrążony w transie. Ani razu, odkąd czarnoksiężnik doścignął je, pokonał i pojmał przy gospodarstwie zielarki, Amandine nie udało się dostrzec jego twarzy. Starannie otulony brunatnym płaszczem, przygarbiony, kulejący, poruszał się jak człowiek dotknięty ciężką chorobą. Ale w jego gestach i mowie ciała dało się dostrzec coś nieludzkiego – stawy wyginały się trochę za daleko, głowa obracała swobodniej, niż powinna. Kiedy się skupiał, tężał bez ruchu. Potrafił w takim stanie trwać godzinami.

Człowiek czy potwór, bardzo sprawnie rzucał zaklęcia.

Kathryn twierdziła, że to nie magia, tylko dziwnie ukształtowana, nieprzetworzona moc Pustki. I że gdyby chciał je zabić, mógłby tego dokonać, wystawiając je na śmiertelną dawkę skażenia. Amandine nie dbała o takie szczegóły. Najbardziej interesowała ją automagiczna laska, którą przywłaszczył sobie czarownik: długi kij z czarnego, lekkiego tworzywa, pokryty ledwo widocznymi symbolami. Wojskowy prototyp, jedno z najnowocześniejszych arboriańskich dzieł magicznych. Nie potrafił jej używać, ale to mu nie przeszkadzało się z nią obnosić.

– Nikogo – warknął wreszcie czarnoksiężnik, z czegoś niezadowolony. – Baby do środka, wy dwaj na straży. Rozpalić ogień.

Chwilę później siedziały na osmalonych, wilgotnych deskach w niewielkim pomieszczeniu, które kiedyś mogło być kuchennym składzikiem. Jeden ze strażników otworzył drzwiczki w podłodze i zszedł do piwnicy. Po dłuższym czasie wyniósł stamtąd dwa krzywe zydle i zardzewiały rondel, który po krótkiej dyskusji z towarzyszem odrzucił na bok. Po jego kwaśnej minie dało się wywnioskować, że liczył na lepszy szaber.

Zjedli suchy prowiant, więźniarkom dali tylko wody ze śmierdzącego skórzanego bukłaka. Wyprowadzili pod broń jedną po drugiej na zewnątrz, żeby ulżyły pęcherzowi. Usadzili się wreszcie na zydelkach, popijając z manierek płyn o intensywnym ziołowym zapachu. Rozmawiali krótkimi, urwanymi zdaniami. Nie wymieniali anegdot, nie żartowali. Po żołnierzach albo i zwykłych bandytach Amandine spodziewałyby się odrobiny koszarowych dowcipów. Ci ludzie zachowywali się tak, jakby chirurgicznie wycięto im poczucie humoru.

Amandine skuliła się na deskach. Obolała, głodna, bezradna. Z podsłuchanych rozmów wywnioskowała, że zostaną w gospodzie do piątej klepsydry po świcie. O ile się orientowała – długo jak na popas. Postanowiła jak najlepiej wykorzystać ten czas, żeby trochę dojść do siebie. Przynajmniej nie musiała się martwić wygłuszaczami Źródła.

\* \* \*

Kilka dni wcześniej

Ściółka szeleściła pod stopami. Słońce nierówno przeświecało przez korony drzew, wskazując wąską ścieżkę między spróchniałymi pniakami i gęstym leśnym poszyciem. Amandine nie odróżniłaby duktów wydeptanych przez dzikie zwierzęta od tych, których używali ludzie, ale Vincent – zanim jeszcze zachorował – zapewniał, że zbliżają się do wsi.

Nie chcieli roznosić zarazy. Amandine planowała poruszać się po obrzeżach gospodarstw, kradnąc żywność, odzież i inne drobiazgi konieczne do przetrwania. Na razie szli powoli, noga za nogą. Kathryn niosła chorego na plecach, regularnie rzucając na siebie zaklęcia wzmacniające, nieprzeznaczone do używania przez cały dzień na okrągło. Co jakiś czas korzystała też z prostego czaru transmutacyjnego do obniżania gorączki. W zamyśle miał służyć do chłodzenia lub podgrzewania posiłków i na pewno nie wolno go było stosować na ludziach, musiała więc zmodyfikować wzór. Wszystko to pochłaniało sporo mocy, ale Kat zapewniała, że jej Źródło wystarczy do wieczora. Gdyby zabrakło kilku jednostek, zawsze mogła uzyskać je od Liliany.

Do Amandine nie docierało, że Vincentowi grozi śmierć. Przyglądała mu się niemal bez ustanku i powtarzała sobie, że gorączkuje, ale przecież Kat zbija gorączkę. Widziała, że Vince ma przekrwione oczy i dziąsła, że każdy mocniejszy chwyt zostawia sińce na jego skórze, ale przecież nadal od czasu do czasu odzywał się przytomnie. Był młody, w dobrej formie fizycznej, w dodatku niedawno przeszedł transformację. Wszyscy wiedzieli, że czarodzieje chorują rzadziej i lżej.

Wyszli wreszcie na porębę. Pniaki wyglądały na ledwo kilkuletnie, a młode drzewka rosły w niskich, wiotkich kępach. Całą polanę porastał dywan borówkowych krzewinek. „Na porębach można znaleźć żmije” – przypomniawszy sobie Amandine i przygotowała magiczną laskę. Mama kiedyś ją uczyła, że w celu odstraszenia żmij trzeba iść przed siebie, tupiąc i zamiatając roślinnością kijem.

– Ktoś tutaj ciężko pracował – sapnęła Kathryn, poprawiając Vincenta na plecach. – Może nie wszystkie ludzkie osady wyglądają jak po apokalipsie. Wyjmij mi z kieszeni licznik skażenia, co?

Amandine spełniła prośbę i wyłuskała znajome pudełeczko o miedzianym połysku, ze wskazówką za kwarcową szybką. Przekręciła okrągły przełącznik, podobny do tego w zegarku naręcznym. Wskazówka drgnęła, wskoczyła ledwo powyżej zera i już tak została. Skala nie sprawiała trudności w odczytaniu, zwłaszcza jeśli ktoś wcześniej obserwował innych użytkowników. Licznik cykał leniwie.

– Siedem mikromerlinów – powiedziała wreszcie. – Czyli normalnie.

– Tam ktoś jest – szepnęła Liliana. – Słyszę kogoś. Tam, za krzakiem.

Za kępą leszczyny poruszyła się wysoka postać w brązowym płaszczu. Amandine poczuła, że coś w niej pęka. Nachyliła magiczną laskę, odbezpieczyła odpowiednią kombinację symboli i posłała cienki lodowy sopel w ziemię tuż obok nieznanego.

– Wychodzić! – zawołała. – Jeśli uciekniesz, strzelę w plecy!

Liliana wydała z siebie zduszony pisk i w Amandine wezbrało poczucie winy, jakby kopnęła kocię. Ryzyko, że przypadkowo napotkana osoba będzie jednym z mnichów, dryfowało przecież w okolicach zera, zwłaszcza biorąc pod uwagę lokalny poziom skażenia.

Tymczasem postać w płaszczu wyłoniła się zza leszczyny z rękami uniesionymi w geście poddania się. Słońce oświetliło pooraną zmarszczkami twarz starszej kobiety, włosy okryte spłóviałą chustą, wiklinowy kosz na plecach. Z drugiej chusty, przewiązanej na ramieniu, wystawały ukwiecone gałązki borówek. Staruszka wydawała się bardziej zmęczona niż przerażona i Amandine znów poczuła się winna. Uznała jednak, że trzeba postępować konsekwentnie.

– Jak widzisz, jestem czarodziejką – zaczęła. Mówiła powoli, niepewna, czy jej starobretoński da się zrozumieć. – Dowiem się natychmiast, jeśli spróbujesz mnie oszukać albo pobiec po pomoc. Potrzebujemy noclegu, pożywienia, lekarstw. Zbierasz zioła. Potrafisz warzyć leki?

– Tak – odparła starsza kobieta. Głos miała niski i ciepły, włosy siwe, twarz koloru kawy z mlekiem. Tak jak w Arborii, w Bretanii też trafiali się ludzie o różnym kolorze skóry. – Warzę leki. Nie odtrącam chorych i podróżnych w potrzebie. I pamiętam dawną magię, pani. Nie brukaj jej krwią maluczkich.

Amandine aż się zdziwiła, że tak dobrze ją rozumie. Obejrzała się na Kathryn. Młoda czarodziejka skinęła głową – tak, przed chwilą dyskretnie rzuciła zaklęcie tłumaczące.

Vincent poruszył się na plecach Kat, próbując podnieść rękę, i wymamrotał coś nagłym tonem. „Czyli cały czas zachowuje świadomość – pomyślała Amandine. – Wszystko wie, wszystko słyszy”. Ścisnęło jej się serce.

– Kat, proszę cię, rzuć na niego Złotą Rybkę. Może też chciałby się czegoś dowiedzieć.

Starowinka obserwowała, jak Kat wypowiada słowa zaklęcia, i powoli opuściła rękę. Westchnęła.

– Pani, ja swoje lata już mam. Śmierci się nie boję. Nie musicie mi grozić. Tak czy siak, ja nie zachorzeję, dzieckiem zmoęła mnie wiosenna choroba i krwawicy nie dostanę. Szczęście macie, żeście mnie znaleźli. Ludziska nie wiedzą o tym i zabiliby go, a was spalili na dokładkę. Co by była szkoda. Bo jemu wiele nie pomoże. Ja to widziałam, nie raz i nie dwa. Wiem, który chory wydobrzeje, a który wybiera się na drugą stronę. On zemrze przed świtem.

Do tej pory Amandine nie odczuwała zmęczenia, ale po tych słowach zachwiała się i musiała się wesprzeć na lasce, żeby nie upaść.

– Ale zna się pani na ziołach... – zaczęła rozpaczliwie.

– Jaka ja pani... Prosta ze mnie kobieta, a nie czarodziej uczony. Żeby było na świecie ziele, co krwawicę leczy, jeszcze bym w litościwość Wędrowca uwierzyła. Ale jak stara wiara każe, kto wędruje, tego w dom przyjmuję. Podścielę mu słomy w stodole. Inne ziele mogę dać, coby długo nie cierpiał.

Niewiele brakowało, żeby Amandine wystrzeliła kolejny pocisk. Ale zacisnęła tylko do białości dłoń na lasce, a potem zabezpieczyła runy. Starowinka pokręciła głową, po czym dała znać, żeby szły za nią. Nie spieszyła się, spoglądała, czy nadążają.

\* \* \*

Wdowa Solange gospodarzyła na niewielkim splechietku ziemi na skraju lasu, z czego większość uprawy zajmował ogródek warzywny, reszta zaś, gęsto obsiana lucerną i owsem, dostarczała paszy dla dwóch łaciatych kóz

o patykowatych nogach i rozdętych ciężą brzuchach. To, co Amandine wiedziała o życiu na wsi, pochodziło od Vincenta, ale pamiętała, że koza wyżywi się wszystkim, a zatem poletko przygotowano dla bardziej wymagającego zwierzęcia. Nie dostrzegła jednak w okolicy ani krowy, ani konia.

Przed schludnie pobieloną chatą leżał sędziwy pies o sierści tak skudłonej, jak obecnie włosy Amandine, a między grządkami przechadzało się kilka niedużych pstrokatych kur, wodzących stadko ledwo wypierzonych kurczaków. Obok stodoły, która miała oddzielne wejście do części przeznaczanej na obórkę, leżały przykryta sparciałym płótnem brona i stos drewna na opał.

Wnętrze stodoły pachniało nieco kozami, bo obórkę oddzielono tylko przepierzeniem, a nie pełną ścianą. Pod stropem wisiały dawno nieużywane uprząż i chomąto. Słomiany kurz wirował w powietrzu i lśnił w rozproszonym świetle padającym od drzwi jak rozpyłone złoto; od strony obórki, zadzierając ogon, wyszedł im na spotkanie bury kocur, jednouchy weteran z lwią kryzą na szyi. Gdzieś pod ścianą leżały smętne resztki siana. Amandine nie mogła zrozumieć, dlaczego w środku jest tak pusto, ale potem sobie przypomniała, że dopiero niedawno skończył się przednówek.

Wdowa wzięła grabki i zaczęła zagarniać słomę na jeden stos.

– Siadźcie tutaj – zakomenderowała. – Zaraz wszystko przyniosę. Musicie się obmyć. Wszystkie suknie, któreście splamiły jego krwią, trza spalić. Ja mam jedną, co mogę dać młodej panie czarodziejce. Ale pani – zwróciła się do Amandine – nie przypasuje mój przyodziewek. Zostały mi tylko spodnie i koszula po mężu. Dziewczynko, jak się nazywasz?

– Liliana – powiedziała cicho Lily.

– Bardzo ładnie. – Solange na chwilę porzuciła pracę, przyjrzała się małej, wreszcie dotknęła ręką jej czoła. – Masz trochę gorączki, prawda?

– Na pewno nie zachoruję na to, co Vince – odparła Lily, zaciskając pięści. Chyba powstrzymywała się od płaczu. – Wszystkie trzy jesteśmy odporne. Trochę się przeziębiam i tyle.

Wdowa uniosła brwi.

– Ach. Rozumiem, że ciebie też uczą na pannę czarodziejkę. Chodź ze mną, pomożesz mi.

– Ale wróćę? – upewniła się Lily.

– Wolalabym, żebyś spała u mnie na izbie – odparła szczerze Solange. – Szanowna pani...

– Amandine.

– Szanowna pani Amandine, pani uczennica – widzę, że nie córka, z przeproszeniem pani, wcale niepodobna – musi odpocząć w łóżku. To wątłe dziecko, z przeproszeniem pani, a wędrownka dała się jej we znaki.

– Oczywiście. – Amandine sztywno skinęła głową. Wiedziała, że istnieje jeszcze jeden powód: wdowa nie chciała, żeby dziewczynka oglądała agonię Vincenta. Obejrzała się na Kathryn, która właśnie położyła czarodzieja na stosie siana, podścieliwszy własną pelerynę. Odetchnął głęboko i bolesnym tonem wymamrotał kilka niezrozumiałych słów.

– Mogę odjąć ból – zaproponowała znowu wdowa. Napięte linie wokół ust zdradzały, że sytuacja nie była dla niej tak obojętna, jak się zdawało.

– Też jest czarodziejem – szepnęła Amandine błagalnie. – Czarodzieje potrafią dużo wytrzymać. Może jeszcze wyzdrowieje.

Wdowa milczała przez chwilę.

– Magia powraca – rzekła wreszcie. – Kto wie, może zdarzy się inny cud.

\* \* \*

Godzinę później Amandine siedziała przy sienniku chorego, co pewien czas zmieniając mu kompres na czole. Znalazła w bagażach relatywnie czystą suknię; ciężko westchnęła, orientując się, że w plecaku Vince'a pozostało jeszcze kilka książek i skrzętnie upchnięty na samo dno nikomu niepotrzebny balast, czyli składany dom Lucjusza Szalonego. Pomyśleć tylko, że Vince nawet w gorączce upierał się, aby go nieść.

Gospodyni i Liliana przyniosły stos wełnianych koców, miednicę z gorącą wodą, a także pół bochna chleba, gomólkę sera, miskę jajecznicy i ziołową herbatę w ceramicznym dzbanku. Kathryn trzymała kubek w dłoniach i wdychała napar, urwanymi zdaniem odpowiadając na liczne pytania wdowy. Zatem magowie wrócili – nie w tryumfie, jako władcy i zdobywcy, ale jako zdrożeni, schorowani i ubodzy podróżni. „W dzisiejszych czasach – stwierdziła ponuro



Solange – nikt nie może być pewnym jutra”. Zwłaszcza Kathryn powinna uważać ze względu na niezwykle podobieństwo do potomków królewskiego rodu. Prawdziwa czy nie, królowa byłaby łakomym kąskiem dla ludzi Arcydiakona czy też rebeliantów. (Solange nie wiedziała kogo w szczególności. Rebelie wybuchwały w Bretanii i ulegały stłumieniu z pewną regularnością po zasiewach i przed żniwami, co kilka lat).

Amandine nie miała serca jej wyjaśniać, że według Weylanda tylko dzięki Vincentowi Kathryn i Liliana miały w Bretanii dostęp do Źródeł. Gdyby umarł – a zamierzała do tego nie dopuścić – sztuka magiczna ponownie zaginie. Może pominąwszy laskę, z której pomocą Amandine mogła jeszcze przez jakiś czas udawać czarodziejkę. Bretańczycy prawie na pewno nie znali technologii pozwalającej tworzyć tak potężne automagiczne przedmioty, możliwe do użycia przez nieutalentowanych. Kłopot w tym, że laska nie dysponowała własnym Źródłem; ktoś musiał ją ładować.

Ponownie zmieniała kompres, wrzucając poprzedni, przesiąknięty zabarwionym na różowo potem, do miednicy ze stygnącą już wodą. Vince nawet nie reagował. Jego oczy drgały pod powiekami, widocznie śnił lub majaczył w malignie. Kilka dni wysokiej gorączki zmieniło go w cień człowieka – serce jej pękało, gdy patrzyła na jego zapadnięte policzki, szare, spękane usta i ślady zaschniętej krwi w nozdrzach. Miała niejasną świadomość, że jej towarzyszki znajdują się niedaleko, że Kathryn spokojnym, poważnym tonem rozmawia z wdową, a Lily siedzi gdzieś obok, ale w tej chwili równie dobrze mogłyby być manekinami do nauki rysunku.

Poczuła dotknięcie dłoni na ramieniu.

– Amandine...

– Nie teraz, Lily.

– Amandine. – Głos małej brzmiał nagłaco. – Chyba mamy kłopoty. Ktoś tutaj jedzie.

Odwróciła się. Jej towarzyszki popatrzyły po sobie. Kathryn rozłożyła ręce i pokręciła głową.

– Słyszę ich – wyjaśniła dziewczynka. – Sześciu... siedmiu ludzi. Konie... wóz...

Na podwórzu rozszczękał się pies, rozgdakały kury, tłumiąc wszystkie inne dźwięki, jakie mogły dobiegać z podwórza. Może zbliżał się jakiś powóz, ale zza ścian stodoły nijak się nie dało usłyszeć jeźdźców, a co dopiero ich policzyć. Amandine zmarszczyła brwi.

– Jak ty to robisz?

– Robi, jak robi, ma nadludzki słuch, nieważne. – Kat złapała magiczną laskę i wcisnęła ją Amandine do ręki. – Trzymaj. Poza Lodową Strzałą, której omal nie wpakowałeś we wdowę, nadal jest w pełni naładowana.

Artystka przez chwilę bezmyślnie wpatrywała się w przedmiot, po czym świat ją dogonił i z hukiem zderzył się z jej świadomością.

– Kathryn, ile ci zostało jednostek?

– Niecałe czternaście razem z tymi, które dostałam od Lily – odparła czarodziejka. – Jak się bardzo sprężę, mogę w tym zmieścić zaklęć bojowych na dwadzieścia. Więc wal precyzyjnie, bo jeśli nie damy rady, trzeba się będzie znowu ewakuować, a wtedy nie zabierzemy Vincenta. – Spojrzała jej prosto w oczy. – Amandine, miesiącami uczyłam się teorii zaklęć uzdrawiających. On ma szansę z tego wyjść. Jest poza punktem powrotu dla zwykłego człowieka, ale nie dla czarodzieja, ręce i stopy są ciepłe, serce działa prawidłowo...

– Zamknij się – syknęła Amandine.

– Zostańcie tutaj. – Solange podniosła się z klepiska. – Ja z nimi pogadam.

Amandine odetchnęła kilka razy, żeby się uspokoić.

– Ścigali nas mnisi posługujący się Pustką – powiedziała wreszcie. – Omal nie zabili. Może poszli naszym tropem. Mieli ze sobą potwora...

– Usłyszałabym tamtego potwora – wyszeptała Lily. – Właściwie nie tylko ja bym usłyszała. Ziemia by się trzęsła.

Wdowa uniosła dłoń.

– Kogo zbyt długo ścigają, ten wszędzie widzi pogoń – rzekła. – Królewskie patrole czasem przyjeżdżają do naszego sioła. – Splunęła. – Konia już mi ukradli. Może, łachudrom, spyży braknie i wrócili się po kozy. Niech ich Pustka weźmie.

Wyszła.

– Ja... przepraszam – szepnęła Kathryn. – Przepraszam, nie mam wycucia. Wiem, że nie mam. Naprawdę uważam, że...

– Kat, błagam cię, kiedy indziej. – Amandine nerwowo regulowała laskę, symbole rozświetlały się jeden po drugim. – Lily, czy możesz nam powiedzieć, o czym rozmawiają?

Liliana ściągnęła usta.

– Spróbuję. – Podeszła do ściany i przytknęła do niej ucho. – Chyba o nas. Tak. Wypytują o grupę wyglądającą tak jak my. Że jesteśmy ścigani z królewskiego nakazu. Mówią, że niszczymy własność i zamordowaliśmy magicznego wierzchowca. Czyli smoczyca dała sobie radę z ksenowurmem, to dlatego tak długo nie mogli nas dogonić. Teraz grożą wdowie...

– No, pora zakasać rękawy – mruknęła Kathryn.

– Poczekajcie. – Liliana zamachała rękami. – Prawie ich przekonała. Przy odrobinie szczęścia...

Nagle Amandine usłyszała, jak Vince gwałtownie wciąga powietrze w płuca, i natychmiast się odwróciła. Jej narzeczony patrzył przed siebie niewidzącymi, podbiegłymi krwią oczami; kręcił głową na boki, jakby się rozglądał. Rozpostarł dłonie na sienniku i przez chwilę usiłował się na nich wesprzeć, może podnieść. Po chwili znów ciężko opadł na posłanie. Otworzył usta, zacisnął je w wąską linię; sprawiał wrażenie, że się koncentruje.

– Skażenie – wychrypiał. – Uważajcie.

I niemal równocześnie z podwórza dobiegł donośny głos, lekko nienaturalny, jakby wzmocniony megafonem:

– Czarodziejki! Widzę was! Wiem, że ukrywacie się w środku jak szczury! Wychodźcie i zabierzcie swoich uczniów, a może nie stanie im się krzywda!

– On myśli, że Vincent jest naszym uczniem. – Kathryn złapała Amandine za rękaw. – Na podstawie obserwacji kul ognia, które puściliśmy w ksenowurma, rozumiesz? Masz pojęcie, co to znaczy? W niczym się nie orientuje. Brakuje mu zmysłu magii.

Amandine zerwała się z miejsca. Gonitwa myśli prawie rozsadzała jej czaszkę. Przeciwnik posługuje się nieprzetworzoną Pustką i brakuje mu zmysłu magii. Jak wykorzystać taką przewagę? Nauczyła się, do czego służą zaklęcia Weylanda, nie

znała jednak wzorów, szczegółów ich konstrukcji. Umykały jej subtelne różnice między czarami bojowymi. Mogła tłuc nimi jak cepem, ale nie potrafiła używać magii twórczo. Zacisnęła ręce na magicznej lasce. Obrona, atak, obrona. Sprawdzało się to w szermierce rekreacyjnej, którą trenowała kiedyś na uczelni, może się sprawdzić i tutaj.

– Oślaniaj mnie, Kat.

Światło raziło ją w oczy. Przyzwyczaiała się do nikłego oświetlenia w stodole, chyba lampki albo kaganka, który przyniosła wdowa. Na podwórzu stał mały oddział zbrojnych. Mieli ciemne, brunatnoczerwone peleryny, rozłożyste, przypominające kapelusze hełmy i miedziane symbole przedstawiające drapieżnego ptaka na ryngrafach. Ich dowódca, okutany od stóp do głów w brunatny płaszcz, owinał twarz chustą, zostawiając tylko wąską szparę na oczy. Coś było z nimi nie tak i Amandine zajęło dłuższą chwilę, zanim zaczęła dostrzegać deformacje. Przynajmniej część żołnierzy nosiła ślady Piętna. I to tej przewlekłej formy, wynikłej z długiego przebywania w słabo skażonej strefie. Chroniczne Piętno powodowało objawy chorobowe, nieraz drastyczne, ale w dużej mierze naturalne.

Wyższe stężenie energii Pustki w pełni ujawniało jej moc wywoływania zmian. Na ciele chorych pojawiały się narośla dziwnej barwy, zielonkawe, atramentowoczarne, opalizujące jak tęcza; przypominały wypustki, czułki lub miniaturowe dodatkowe kończyny. Skóra mogła pokryć się łuską lub sierścią. Niektórym wyrastały rogi, wilcze kły albo w najrozmaitszych miejscach dodatkowe oczy. To właśnie podostre Piętno, jak je fachowo nazywano, budziło taki zabobonny lęk i trafiało na karty opowieści. Chorym zostawało kilka miesięcy, najwyżej lat życia w bólu, i to pod warunkiem ciągłego zaleczania objawów.

Dlaczego ktoś zrobił z nich oddział? Może to był szwadron samobójców. Jeśli posługiwali się nieprzetworzoną mocą Pustki, a nie dysponowali wrodzoną odpornością...

Wdowa Solange stała bez ruchu, pobladła i przerażona. Bardziej, niż by się można spodziewać po tym, jak lżyła królewskie patrole.

– Kochane, uciekajcie – powiedziała, kiedy jej wzrok padł na Amandine i towarzyszącą jej Kathryn. – To są Jastrzębie.

„No dobrze – pomyślała artystka – fajnie się nazywają, i co z tego. Jak niby mamy uciekać, skoro Kat prawie skończyły się jednostki, a mój repertuar ogranicza się do szeroko pojętej obrony własnej?“. Wycelowała laskę magiczną w przywódcę. Trudno. Jak już ktoś posiada karabin, prędzej czy później go używa.

Dowódca uklonił się, składając prześmiewczy, karykaturalny hołd.

– Zdumiewające. Oto baśnie i legendy wracają do życia – odezwał się chrapliwie. – Warto było poświęcić jednego łuskogrzebieta, żeby obejrzeć wasze buzie. Samozwańca królowna d’Argent, jak mniemam? Białe włoski, parę kul ognia, wystarczy, aby podburzyć cały kraj. Z tobą, ruda, mam poważniejszą sprawę do obgadania. Jesteś jej Wielkim Magiem, prawda? Czy zmieniłaś jej wygląd tak, żeby pasowało?

– Nazywam się Amandine Cerise – wycedziła.

– De Branche d’Aure, ma się rozumieć. Córka? Prawniczka? – dociekał przywódca Jastrzębi. – Cóż, Wielkiemu Lucjuszowi nie dorównujesz na pewno, tegom się już dowiedział. To żalosne, że dwójka magów tak się urządziła, ale widocznie baby to baby, dać im kulę magiczną, a zepsują albo zgubią. Mój pan bardzo chętnie z wami porozmawia, jeśli bez dalszych kłopotów udacie się z nami. Weźcie smarkulę. I tego waszego sługę, ucznia czy też kochanka.

– Dziękujemy za propozycję, ale wolimy pójść w swoją stronę – odparła Amandine. – W wybranym przez nas towarzystwie.

Jastrząb nie spuszczał z nich wzroku. Cały czas trzymała automagiczną broń w gotowości; symbole jarzyły się delikatnie. Kątem oka dostrzegła, jak Kathryn przypatruje się całej scenie, stojąc pozornie na luzie, ze swobodnie opuszczonymi dłońmi. Nie potrafiła tego wyczuć, ale wyobraziła sobie, że w powietrzu trzaskają iskierki mocy, gotowej do uwolnienia w każdej chwili.

Obrona, atak, obrona. Amandine nie zamierzała czekać, aż ich prześladowca zacznie strzelać. Szybkim gestem postawiła Dużą Bańkę Kinetyczną, obejmując siebie, Kathryn i wdowę Solange. Ostatnio zadziałało.

Niemal równocześnie renegat uniósł rękę. W stronę Amandine rzygnęła fala zagęszczonej, opalizującej, czarnej magmy. Widziała już to zakłęcie, poprzednim razem spłynęło po osłonach, ale mimo to przygniotło ich do dna bańki. W ostatniej chwili wzmocniła barierę dodatkowym symbolem i psychicznie przygotowała się na ból.

Czas zwolnił. Między dwoma uderzeniami serca Kathryn postawiła drugą osłonę. Skazona magia wirowała w powietrzu jak tornado, a cienkie strużki mocy, do złudzenia przypominające zgnieciony i rozsypany węgiel drzewny, odpływały od rdzenia czarnej we wszystkie strony.

„Dziwne – zdążyła pomyśleć Amandine – im bliżej nas, tym słabsze się wydaje”.

Wreszcie zakłęcie dotarło do osłon w postaci rozproszonej chmury. Objęło bańkę, nie przeniknęło do środka i w przeciwieństwie do poprzedniego razu żadne niematerialne dłonie, główki ani inne kształty prosto z kosmaru nie otarły się o barierę. Nie zabolalo. Osłony zadziały w stu procentach.

Przez kilka oddechów stali naprzeciw siebie. Amandine miała pustkę w głowie. Niezupełnie rozumiała, jakim cudem tak łatwo się obroniła – ale w końcu Kathryn jej pomagała. Teraz zastanawiała się, jak rzucić Kulę Ognia; zapomniała, który to symbol.

– Oczywiście. Dziecinny błąd – zaśmiał się przeciwnik. – Spróbujemy inaczej.

Wzniósł ręce w dramatycznym geście. Ziemia zadrżała i zaczęła pękać. Ze szczelin, nad którymi unosił się pochłaniający światło dym, wyłaniały się obsydianowoczarne ważki o tęczowych skrzydłach, każda wielkości sporego kota. Amandine nagle sobie przypomniała, jak się rzuca ogniste kule. Kathryn, w lekkim rozkroku, wyprostowana i skupiona, ciskała nieduże kulki skwierczącej energii w kolorze lila róż. Metodycznie strącała pociskami tylko te ważki, które już dotarły do osłon i zaczęły się przez nie przegryzać. Dowódca Jastrzębi, który nie wiedział, że Kat dawkuje energię z precyzją właściwą tylko wyszkolonym czarodziejom, skupił całą uwagę na Amandine. Zmaterializował w powietrzu pięć nieforemnych kształtów z zielonkawej, szlamowatej substancji i kolejno posłał je na spotkanie artystki. W locie przybierały formę otwartych uzębionych paszczy,

które połykały kule ognia, a następnie eksplodowały mieszanką iskier i zielonego błota.

Powietrze zgęstniało od magii. Spontaniczne wyładowania trzaskały w ziemię, a między dłońmi renegata tworzyły się elektryczne łuki. Lodowe Strzały, przed którymi się obronił, formowały zmrożone kręgi na ścianach budynków i klombach kwiatów. Dym wydobywał się z pęknięć w klepisku i zasnuwał okolicę gęstym ciemnym całunem. Całkowicie skupiona na lasce magicznej Amandine odliczała kolejne gasnące runy. Nie wiedziała, jak długo przeciwnik może odpierać jej ataki. Nie miała pojęcia, co robi Kathryn, chyba nadal rzucała różowymi kulkami w nowo powstałe ważki.

– Dobra – sapnęła Kat gdzieś za jej plecami. – Gotowe.

Wokół dowódcy Jastrzębi błyskawicznie zmaterializowało się półprzezroczyste błękitne pole siłowe. Ważki rozpadły się w powietrzu na tysiące obsydianowoczarnych płatków. Kolejny zielonkawy kształt, który właśnie frunął w stronę czarodziejek, rozbił się jak o ścianę i z plaśnięciem upadł na ziemię. Renegat znieruchomiał zaskoczony.

– Odwrócona wersja Ochrony Astralnej – poinformowała go spokojnie Kathryn. – Pewnie nic ci to nie powie, więc nadmienię, że jest całkowicie nieprzenikalna dla uformowanych zaklęć, niezależnie od tego, z jakiej energii je zrobiono. Ma także funkcję automagiczną i będzie za tobą chodzić, aż się rozproszy, a przez ten czas wystrzelamy twoich żołnierzy i zetniemy ci głowę kosą. Rzucałam to przez ostatnie pięć minut, bo każdy czarodziej wart tego miana, w przeciwieństwie do takich podróbek jak ty, potrafi wepchnąć moc w więcej niż jeden wzór naraz. No więc idź już sobie w cholerę, bo trzymam kosę.

Rzeczywiście trzymała.

Ich prześladowca założył ramię na ramię i rozejrzał się wokół, studiując barierę. Twarz miał zasłoniętą, więc trudno było ocenić jego reakcję. Po chwili jakby się rozluźnił.

– Sprytna sztuczka, księżniczko – powiedział wreszcie. – Nigdy zresztą nie podważałem umiejętności magów z Arborii. Ale nie wzięłaś pod uwagę jednego drobiazgu. Otóż nie przyszedłem tutaj sam.

W pewnej odległości od reszty grupy zza składziku z narzędziami wyłonił się jeden z żołnierzy. Jeszcze przed sekundą go tam nie było, a przynajmniej tak się wydawało. Teraz z Jastrzębia spływały maskujące barwy. Twarz z drewnianej ponownie stawała się cielistą, rozłożysty hełm odzyskał metaliczny połysk, peleryna przybrała kolor brunatnoczerwony.

Okazało się także, że żołnierz trzyma jeńca. Liliana nie wyrywała się, zamarała w bezruchu z szeroko otwartymi oczami. Z wyczerpanym Źródłem – całą moc oddała przecież Kathryn – i tak nie mogłaby się obronić. Do jej gardła przytknięto sztylet; na skórze dziewczynki rysowała się cienka czerwona kreska.

Amandine zastanawiała się, czy dysponuje jakimś zaklęciem, które dałoby się dostatecznie szybko uruchomić. Sądząc po wyrazie twarzy Kat, młoda czarodziejka nie miała niczego odpowiedniego na podorędziu. Bardzo możliwe, że Ochrona Astralna pochłonęła resztkę jej energii. Z tego, co wiedziała, tego typu osłony wymagały regularnego zasilania.

– Zanim zdążycie cokolwiek rzucić, mała straci życie – odezwał się dowódca Jastrzębi. – Nie potrzebujemy jej do niczego. Pierre, gdzie ten drugi uczeń?

– Leży na sianie, chyba chory – odpowiedział tamten. – Nigdzie nie ucieknie.

– Umiera na bagienną gorączkę – syknęła Amandine. – A my wszystkie możemy już być zarazone. Życzę miłej plagi, może zabije was szybciej niż Piętno.

Kilku żołnierzy odruchowo położyło otwartą dłoń w okolicach serca. Amandine zacisnęła usta. Jak to jest, że takie kanalie, dręczyciele dzieci, wyobrażają sobie, że mogą liczyć na pomoc Wędrowca?

– Łatwowiec debile – zawarczał renegat. – Kto was uczył takiej naiwności? Michel, idź to sprawdzić, tylko niczego nie dotykaj. François, przygotuj kajdany. Wystawcie rączki, a ja sobie tymczasem popodziwiam twoje dzieło, królewno. Rzeczywiście bardzo staromagiczne. – Przesunął palcem po błękitnej barierze, a wokół jego stóp pojawił się krąg czarnego płynu i wznosił na kilkanaście centymetrów na podobieństwo ścianki wody w miejskiej fontannie. – Widzicie, same tego nie wiecie, a jesteście przeżytkiem. Na co długotrwała nauka, kiedy ktoś taki jak ja może przy odrobinie pomysłu skopiować zaklęcie? Po co komu kosztowne praktyki, księgi, szkoły? Moja magia jest tak samo skuteczna,



a że brzydka i niezdrowa – trudno. Za to tania i dostępna dla każdego, kto złoży śluby. I żaden władca, co ma choćby kapkę rozumu, nie zechce wrócić do podlizywania się szlachcom czarodziejom, którzy pragną sami wszystkim rządzić. Tak więc, pani Amandine Cerise de Branche d’Aure, nikt tutaj nie chce Wielkiego Maga ani jego eleganckiej arboriańskiej sztuki. Prowadzi nas łaska Cierpliwego Wędrowca i nie potrzeba nam żadnych zakurzonych ksiąg.

6 Mai 753 AG

O budziła się po godzinie albo dwóch i nie potrafiła już zasnąć. Od zimnej podłogi ciągnęło, nie umiała wygodnie ułożyć się na twardym, bolały ją kości. Znów odtwarzała w pamięci wydarzenia sprzed kilku dni, zastanawiając się, czy mogły postąpić inaczej, spróbować jeszcze jakiegoś podstępu. Nic nie przychodziło jej do głowy. Wbrew temu, co myślał człowiek, który ich pokonał, nie miała przecież żadnych talentów magicznych, nie udawały jej się nawet proste uroki, takie, które zna co druga zielarka na rogu i dzieciaki ze szkoły powszechnej.

Słabe światło kaganka, które pomagało strażnikom nie zapaść w sen, wydobywało z mroku rozbitą beczkę i puste, ponadrywane półki po zapasach. Mrużąc oczy, Amandine dokładnie oglądała pomieszczenie. Może coś się zawieruszyło w kącie; może przeoczono płócienny worek albo zwierzęcą skórę.

Tuż obok niej poruszyła się Liliana. Dziewczynka miała twarz ściągniętą z bólu, ale po raz pierwszy od dłuższego czasu spoglądała na nią przytomnym, skupionym wzrokiem.

– Hej – szepnęła. – Patrz, co znalazłam.

Podniosła rękę, odsłaniając schowaną w podołku kamionkową butelkę. Amandine popatrzyła na nią z niezrozumieniem.

– Jak...?

– Nie potrafią mnie porządnie związać – odszepnęła mała. Rozmawiały we współczesnym arboriańskim bretońskim, więc nie obawiała się, że strażnicy zrozumieją, co mówi. – Sznur jest za gruby. Wygłuszaczy też nikt nie zrobił na mój rozmiar. Kombinowali, żeby je przywiązać, ale i tak się rozluźniło w drodze. Teraz mam je na sobie, ale mogę zdjąć we właściwym momencie.

– Och, kochanie. – Amandine poczuła, że pod powiekami zbierają jej się łzy. – Myślałam, że nie masz już siły się odezwać.

– Zaziębiłam się. Chyba dostałam gorączki, na szczęście trochę mi przeszło. Te wygłuszacze bołą, ale przecież potrafię wytrzymać. No i mam nieduże Źródło, przed transformacją. Więc nie jest tak źle.

Widząc niedowierzanie malujące się w oczach Amandine, dodała:

– To zupełnie co innego znosić różne rzeczy, jeśli ci na kimś zależy. U hrabiny d’Opal nie miałam nikogo. Tutaj mam was.

Artystka zagryzła usta, żeby się nie rozplakać. Dzieci powinny spać w swoich łóżeczkach, przykryte kołderką w misie, a nie tłumaczyć jak stare malutkie, że mogą wytrzymać tortury, że to nic takiego, bywało gorzej.

– A w ogóle – zniżyła jeszcze bardziej głos – Vincent żyje.

– Miło, że dajesz mi nadzieję, ale nie wiadomo, jak szybko gasną Źródła po... – zaczęła Amandine mechanicznym, płaskim tonem.

– Jestem całkiem pewna, bo przetwarzał magię Pustki, kiedy walczyłyście. Nie wchłonęłyśmy nawet mikromerlina – tłumaczyła Lily cichym, napiętym głosem. – Mówiłam, że wiem, kiedy to robi. I gdzieś się ta energia musiała podziać, więc chyba ją zużył na siebie. Skażony czarodziej myślał, że to ty mu zżerasz zaklęcia.

– Warto wiedzieć – rozległ się obolały głos Kat. – To znaczy, że normalnie skurczybyk zjadłby nas na drugie śniadanie. Nawet gdybym go zaatakowała z pełnym Źródłem. – Skuliła się w pozycji embrionalnej. – Au! Po co się odzywałam...

– Lily. – Amandine zmarszczyła brwi. – Znasz jakieś zaklęcie, które pomoże zdjąć wygłuszacze Kat?

– Jakbym знаła, tobym zdjęła – odszepnęła pochmurnie dziewczynka. – Ale mogę was rozwiązać. No i mamy broń. Przy okazji, Jastrzębie są kompletnie naćpani. Uśmierzają ból Piętna. Wiem, co piją, moja „babunia” zażywa tego lekarstwa na migrenę.

– Nadal mamy do czynienia z grupą uzbrojonych mężczyzn o nieznanymi zdolnościami magicznymi – mruknęła Amandine. – Nie wspominając o ich dowódcy.

Liliana uśmiechnęła się krzywo.

– Czy powiedzieć ci, za co naprawdę po raz pierwszy założono mi wygłuszacze? Nie za zionięcie ogniem. Za jedyne zaklęcie, które mi wychodzi. Bo bardzo mi zależało, żeby się go nauczyć.

Pięć minut później Amandine z otwartymi ustami usiłowała przetrwać fakt, że drobna, jedenastoletnia dziewczynka ma za sobą próbę zamordowania własnej opiekunki poprzez Pomniejszą Transmutację – tymczasowe podwyższenie dawki składnika aktywnego w miksturze na ból głowy hrabiny d’Opal. Łatwo wykryć taką manipulację, kiedy jest się magiem, ale bez pomocy szóstego zmysłu...

– A czy mogłabyś ich tylko uśpić? – szepnęła bez tchu.

– Przecież chyba ich nie żałujesz...

– Jesteś stanowczo za młoda na zabijanie ludzi z zimną krwią – oznajmiła Amandine autorytatywnie. – Dojrzejesz, wyrosnie ci empatia i będziesz miała wyrzuty sumienia do końca życia.

Kaganek za progiem zamigotał. Jeden ze strażników poruszył się na swoim zydelku.

– Cicho tam, baby – rzucił. – Nie gdakać po nocy, bo kopniaka sprzedam.

– Jesteś całkowicie pewna, że chcesz ich tylko uśpić? – zapytała niemal bezgłośnie Liliana.

Amandine ściągnęła usta i ruchem głowy wskazała ku górze. Czarodziejki popatrzyły za nią. Pod strychem widać było małe okno, pierwotnie zasłonięte błoną z wyprawionego zwierzęcego pęcherza, obecnie zerwaną. Gdyby pozbyć się strażników, można by zyskać trochę czasu na ucieczkę z pominięciem obecnych lokatorów zajazdu.

Odczekały trochę, aby strażnicy się uspokoili, następnie Liliana ukradkiem wysliznęła się z więzów. Ze spokojem i uwagą stuliła dłonie i wysunęła je z ołowianych bransoletek. Wymagało to od niej pewnej cierpliwości, zdarła sobie skórę na kciuku, ale zignorowała skaleczenie i zaczęła dłubać przy ciasno splecionych sznurach, które krępowały Amandine. Tutaj szło już trudniej. Drobne palce dziewczynki nie wystarczyły, żeby rozsypać solidnie zaciśnięty powróż. Pomogła sobie wreszcie drzazgą z rozbitej beczki i po długiej, ostrożnej i powolnej pracy, aby nie zaalarmować straży, więzy się poddały.

Teraz Amandine mogła już pomóc Kat, a Liliana zamarła w skupieniu, medytując nad zaklęciem.

– Zagłusz mnie – poprosiła wreszcie. – Muszę jakoś je rzucić, i to możliwie blisko wejścia.

Kathryn zaczęła kaszleć i pojękiwać na przemian. Ból w jej głosie wcale nie był udawany, co niewątpliwie poprawiało efekt. Strażnicy starali się ją ignorować, wreszcie jeden nie wytrzymał.

– Nie wiercić się, bo zaraz będzie powód do jęczenia!

– Ciebie, Pierre, nawet pies nie posłucha – warknął drugi. – Czekaj, to je załatwię.

Zaświecił kagankiem w głąb składziku. Amandine pòlsiedziała w zbołej pozie, maskując brak więzów i osłaniając Lily.

– A jeśli one tam właśnie dostają zarazy?

– TobY rzygały, poczułybyś. – Strażnik wzruszył ramionami, ale z powrotem zajął zydel i przestał się tak spieszyć do uciszania więźniarek. – Przyjdzie zmiana, niech się reszta martwi.

– Ja tam nie zamierzam ich dotykać. Przeżyją, to dostaniemy lepszą zapłatę. Świniaka może kupię... Nie przeżyją, to trudno.

– Zważ, bracie, że służymy chwale Cierpliwego Wędrowca. Porzuciliśmy dobra doczesne dla dotyku Zaświatów, aby zbliżyć się do aniołów i świętych. Bacz, aby nie posądzono cię o herezję.

– Ku chwale, ku chwale. – Ton strażnika wyraźnie sugerował, że nie obraziłby się za odrobinę doczesnych dóbr.

Mężczyźni zamilkli. Liliana rzuciła Amandine radosne spojrzenie. Zaklęcie się udało; teraz należało tylko czekać, aż napój zacznie działać. Nie minęło wiele czasu, a żołnierze osunęli się nieco na stołkach i oparli się o ściany, zapadli w narkotykową drzemkę.

– Ładnie – szepnęła Amandine, kończąc rozwiązywać Kathryn. – Zupełnie dobrze je kontrolujesz.

– Właściwie to prawie urok – wyjaśniła Lily. – Bardzo prosty wzór i tylko jedna różniczka do przesunięcia właściwości.

– Skoro tak mówisz... Kathryn?

Czarodziejka powoli rozcierała ręce.

– Ledwo się ruszam – jęknęła. – Nie przeleżę przez to okno. Uciekajcie beze mnie, będę was tylko spowalniać.

– Nie gadaj głupot – ofuknęła ją Amandine. – Podsadź lepiej Lily, potem ty przejdiesz, a ja ostatnia, bo jeszcze jakoś się trzymam.

– Masz metr sześćdziesiąt w kapeluszu. Nie podsadzisz mnie, choćbyś skisła.

– Metr sześćdziesiąt pięć bez kapelusza. I ważę pewnie tyle co ty. Oprzemy się na tych półteczkach.

Liliana przyłożyła palec do ust.

– Sza...

Zamilkły. Dziewczynka zastrzygła uszami. Amandine pomyślała, że należało się tego spodziewać. Od dłuższego czasu zachowywały się zbyt głośno i ktoś pewnie chce już sprawdzić, co się dzieje z więźniami. Lily wciąż trzymała uniesioną dłoń, nasłuchując uważnie.

– Wychodzą na zewnątrz, na podwórze – powiedziała wreszcie. – Coś się stało.

– Brzydal cały czas za kimś się rozglądał – zauważyła Kathryn. – Może nasz pościg też złapał ogon. Powiedz mi, Lily, co tam widać.

Po chwili dziewczynka siedziała na ramionach Kat, wyglądając przez okno. Młoda czarodziejka zagryzała usta z bólu, pod jej oczami wyraźnie malowały się sińce, ale grała niewzruszoną.

– Toczy się walka – przekazała Liliana. – Dziesięciu... może więcej napastników, biją się na dziedzińcu. Hmm... ciekawe, dlaczego naczelny Jastrząb nie używa mocy...

– Pewnie ją oszczędza. – Amandine wzruszyła ramionami.

Ku jej zdumieniu z gardła Kathryn wydobył się wysoki chichot. Roześmiała się cicho i lekko upiornie, następnie jęknęła, otarła łzy i znowu zachichotała.

– Och, jasne – wykrztusiła wreszcie. – Au, moja głowa. Oczywiście masz rację. Słuchajcie, w przyrodzie nie istnieje żadne Źródło generujące energię Pustki. Pamiętajcie, że renegaci przyjeżdżali nad rzekę po zapas mocy? Otóż on

tego nie potrafi odespać. Wszystko na nas zużył i nie ma gdzie pobrać. Musiałyby znaleźć rozpadlinę albo drugie takie miejsce, jak to z wodnym smokiem.

– A wtedy, kiedy sprawiał, że ziemia pękała i wyfruwały z niej ważki – zapytała niepewnie Amandine – nie stworzył przypadkiem miniaturowych rozpadlin?

– Nie, to tylko efekt specjalny. Ważki też nie były prawdziwymi pustkostworami. Przecież znikły, kiedy tylko rzuciłam Ochronę Astralną. – Kathryn ze świstem wciągnęła powietrze, pomasaowała skronie. – Ale nie warto ryzykować, może coś sobie zachował na zapas. Nie czekajmy, kto wygra, lepiej wiać. W tych okolicznościach nie musimy już oknem. Spróbowałabym ukraść konia... Na Pustkę, chcę tej morfinki...

– Ani mi się waż. Może być skażona.

– Oddziel ból od siebie – zaproponowała Liliana. – Skup się na oddechu i na tym, co trzeba teraz zrobić. Przyjmij do wiadomości, że boli, nie walcz z tym, ale odłóż do osobnej szuflady.

– Dziecko nie powinno wiedzieć takich rzeczy – westchnęła Kat. – Dobrze. Ratujmy życie, na umieranie z bólu przyjdzie czas później.

Zatrzymały się przy strażnikach. Jeden z nich zsunął się ze stołka i teraz leżał na wznak pod ścianą; z jego ust wydobywał się bąbel śliny. Drugi chyba ostatkiem przytomności ułożył się przy zydelku w kłębek, podkładając pod głowę własny zwinięty płaszcz. Z bliska wyraźnie było widać twarz pokrytą zielonkawymi, kolczastymi naroślami, przypominającymi trochę łupiny kasztanów. Nie ryzykowały wyciągnięcia spod niego krótkiego miecza, jego kolega spał w pozycji znacznie łatwiejszej do obrabowania.

Amandine przywłaszczyła sobie jego pas razem z mieczem. Kathryn wybrała jedną pikę, natomiast Liliana wzięła długi, zakrzywiony nóż. Trochę miały stracha przed ograbianiem ich z reszty ekwipunku; kto wie, czy wszystko nie było skażone. Wzięły także kaganek, chociaż Amandine poleciła zgasić płomień.

– W najgorszym wypadku Lily go zapali – zakomenderowała. – Przyda się na przyszłość.

Minęły główną salę, gdzie w na wpół zburzonym kominku żarzył się jeszcze ogień. Zachowała się tylko część dachu i nad głowami podróżniczek widniało

jasne rozgwieżdżone niebo z wielkim księżycem, jak to w Bretanii bardziej beżowe niż niebieskie, w kolorze kawy z mlekiem. Wokół leżały rozbebeszone wełniane śpiwory, w niezłym gatunku, chociaż długo używane i cuchnące niemymi ludźmi. Obok nich porzucono manierki, jedną butelkę, otwartą sakwę – w sumie bałaganu niewiele, jak przystało na zdyscyplinowanych żołnierzy. Amandine rozejrzała się za magiczną laską, ale najwyraźniej przywódca nie chciał się z nią rozstawać. Tylko to zabrali z gospodarstwa Solange, obawiając się zarazy. W przypadku laski chciwość zwyciężyła strach przed śmiercią.

Amandine uniosła dłoń, prosząc towarzyszek o uwagę. Nie musiały uciekać przez okno, ale opuszczenie zajazdu głównym wyjściem nie należało do najmądrzejszych pomysłów. Wskazała drzwi do skrzydła sypialnego, obecnie wyważone i spalone prawie do cna. Tak się składało, że sąsiadowały z wyjściem na tyły gospody, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdowała się latryna.

Nie natknąwszy się na dalsze przeszkody, wszystkie trzy wymknęły się z karczmy i skierowały w stronę lasu. Minęły wygodkę i sparciałą górkę śmiecia, która kiedyś służyła za kompost. Gdy zbliżały się do niedużej, ocalałej z pożaru szopy, w cieniu poruszyła się wysoka sylwetka.

- Stać – odezwał się przyciszony męski głos. – Co wy za jedne?
- Spokojnie. – Amandine uniosła ręce. – Też jesteśmy wrogami Jastrzębi.
- Chyba brankami – wtrącił kpiąco drugi głos.

Wyłonili się zza ściany, obydwaj rośli, w skórzanych przesywanicach i wełnianych płaszczach, z dobytymi mieczami i łukami przytroczonymi na plecach. Ten, który zaczepił je pierwszy, odznaczał się gęstą czarną brodą, garbatym nosem i brwiami jak szczoteczki do zębów. Głowę chronił kolczą misiurką. Drugi mężczyzna miał kapelusz z piórkiem i barwne spodnie, chyba ciemnoniebieskie w żółte wzory, trudno było rozróżnić w półmroku. Nie nosili żadnego umundurowania.

– Wrogami – powtórzyła twardo Lily i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, plunęła pod ich nogi kulką rozżarzonej magmy. Odruchowo odskoczyli i stężeli w pozycjach obronnych, w każdej chwili gotowi uderzyć. Amandine wysunęła się naprzód, zasłaniając dziewczynkę.



– Spokój, mówię – syknęła. – Panowie, nie chcemy zwady. Udamy się spokojnie w swoją stronę, walczcie z Jastrzębiami na zdrowie, tylko przykłaśniemy. Dziękujemy serdecznie.

– Czym... czym jest ta dziewczynka? – zająknął się brodac. – Nie wydaje się dotknięta mocą Zaświatów, chyba że...

– Swoją drogą, zabawnie mówicie – zawtórował ten w kapeluszu z piórkiem. – Nigdy nie słyszałem takiego akcentu. Ledwo idzie zrozumieć.

– Mnie się zdaje, że to właśnie ich kapitan poszukuje.

– Przecież to wszystko baby...

– Kiedy prawdziwa magia istniała, u czarodziejów zdarzały się i baby. Powiedzcie mi, czy przybyłyście razem ze spadającą gwiazdą? – Brodac machnął ręką. – Zresztą nieważne, później się tym zajmiemy. Został tam kto w gospodzie?

– Śpią jak zabici – odparła Amandine.

Brodacz uniósł brwi i skinął głową.

– W takim razie nic tu po nas. Co szlachetne panie potrafią jeszcze wyczarować?

– Niewiele, dopóki mamy kajdany. – Amandine uniosła nadgarstki. Rzykowała, okazując słabość, ale w głosie brodatego pobrzmiwał cień tego samego szacunku, który okazywali im ludzie w wiosce dotkniętej Piętnem. – Gdybym odebrała przywódcy moją łaskę magiczną, osłabiłabym ich działanie. Ale jakby co – dodała szybko – dziewczynka zionie ogniem.

– Zionie ogniem. No dobra. – Mężczyzna podrapał się po zaroście. – Może się przydać.

\* \* \*

Na dziedzińcu pod szubienicą nadal toczyła się bitwa. Jeden z wisielców kołysał się gwałtownie, uderzony przypadkowym ciosem. Tu i ówdzie płonęły strzały owinięte w szmaty nasączone olejem, wbite w belki dawno spalonej gospody. Metal zgrzytał o metal, różnobarwne tuniki mieniły się przed oczami. Dwóch obalonych napastników leżało już przy studni; krew nie chciała wsiąkać w uklepaną ziemię. Jastrzębie, sześcioro żołnierzy włącznie z dowódcą, nadal

skutecznie stawiali opór znacznie liczniejszemu oddziałowi. Porzucili piki; walka szła na miecze. Wydawało się, że każdy bez trudu daje sobie radę z dwoma lub trzema wyszkolonymi napastnikami naraz; poruszali się z morderczą zwinnością, a ich sylwetki, okryte kamuflażem, zamazywały się w cieniach. Dowódca, który zwykle sprawiał wrażenie kalekiego, był najszybszy ze wszystkich. Amandine kilka razy wyłowiła go z tłumu walczących. Wspomagał się narkotykami lub Pustką; innego powodu nie widziała. Laskę magiczną miał przypiętą na plecach.

Schowali się za rogiem zajazdu, świadomi, że kryjówka jest wyjątkowo marna. Lada chwila ktoś mógł spojrzeć w ich stronę. Należało działać, i to już.

Dwóch nowo poznanych żołnierzy popatrzyło po sobie.

– Szlag! – syknął ten w kapeluszu z piórkim. – Kapitan nie powiedział, że mają Inkwizytora. Cud, że jeszcze nie usmażył naszych przekleństwem Zaświatów!

– Żaden cud – wtrąciła Kathryn. – Zużył większość mocy na nas. Nawet nie wiecie, jakie macie szczęście.

– Ktoś nas musi lubić tam na górze – mruknął brodac. – Nie traćmy czasu. Skup się, mała. Jak daleko potrafisz zionąć ogniem?

– Chcecie, żeby go spaliła żywcem – wzburzyła się Amandine.

– No tak, właśnie taki mamy plan.

– Przecież Lily jest małą dziewczynką – zaprotestowała, wiedząc, że jej sprzeciw i tak nie odniesie skutku. – Małe dziewczynki nie powinny palić ludzi żywcem.

– Ja na przykład pierwszego trupa położyłem w wieku dziesięciu lat – wtrącił ten z wąsikami.

– Nie wiedziałem, Gunther, że poczuwasz się do bycia małą dziewczynką.

– No, trochę przeszkadzały mi falbanki.

Obydwaj zarechotali. Amandine potarła brwi, przytłoczona lotnością ich dowcipu.

– Mnie dużo nie zaszkodzi, ja już i tak mam traumę – wtrąciła Liliana. – Muszę znaleźć się w zasięgu mniej więcej dziesięciu metrów... kroków... jakkolwiek to liczycie. Nie wiem, czy umiem dalej. No i muszę mieć otwartą

przestrzeń, inaczej podpalę wszystkich po drodze. Zresztą pewnie go nie załatwię z tak daleka.

– Mnie naprawdę wystarczy, że mu zrobisz krzywdę – odparł brodac. – Z resztą sami sobie poradzimy. Przy okazji, nazywam się Eugène.

– Miło pana poznać – odparła odruchowo Amandine.

– Wskakuj na plecy i trzymaj się mocno – zwrócił się Eugène do Liliany. – Na trzy biegniemy w stronę walczących. Gunther, na dwa zaczynasz szarżować. Możesz opętańczo wrzeszczeć, to zawsze pomaga. Panno czarodziejko, zanim zioniesz, krzyknij: „Ognia!”; staraj się nie osmalić mi głowy. Gunther, uskakujesz wtedy w prawo, jakby sama matka Aimée goniła cię z różgami.

Wpatrzni w walczącą grupkę wyczekiwali odpowiedniego momentu. Mimo pozornej nonszalancji znać było po nich napięcie i dobrze ukrywany lęk. Mieli też w oczach pewną szczególną twardość, którą Amandine nazywała na własny użytek cieniem śmierci. Zastanowiła się, ile trzeba, żeby taki cień zagnieździł się również w spojrzeniu Arboriańczyków.

A potem się zaczęło.

Na dwa Gunther pomknął w stronę dowódcy, który właśnie odpierał atak dwóch żołnierzy przy studni. Jego wrzask, dobyty z głębi przepony, przebił się przez brzęk metalu. Jastrzębie od razu zwrócili na niego uwagę, ale to nie zakłóciło ich koncentracji; wciąż lawirowali między przeciwnikami, odpierając po dwa ciosy naraz. Jednak mimo półmroku Amandine zauważyła coś jeszcze – biegnąc, Gunther machnął parę razy ręką i teraz atakujący wycofywali się, jedni do lewej, inni do prawej strony, napierając na Jastrzębi lub wabiąc ich za sobą i bez żadnej wątpliwości otwierając drogę nowo przybyłemu.

Inkwizytor skupił na nim pełną uwagę. Zastawił się tarczą, oczekując szarży i przygotowując się do pojedynku ze straceńcem. Zanim jednak doszło do kontaktu, w jego stronę wielkimi susami sadził już Eugène z Lilianą na plecach.

– Ognia!

Gunther sprawnie jak tancerz obrócił się na pięcie i odskoczył w bok. Amandine zamknęła oczy w chwili, gdy oślepiająca wiązka żywego płomienia buchnęła w Inkwizytora. Pod powiekami mignął jej jasnoczerwony błysk.

Zapadła cisza. Nawet pojedynki zamarły jak zamrożone w czasie. Do Amandine dotarł podmuch ciepłego powietrza. Ostrożnie uniosła powieki.

Dowódca Jastrzębi stał pod studnią, wznosząc dłoń; w ślad za nią ciągnęła się lśniąca bariera mroku. „Obronił się – pomyślała – ma jeszcze coś w zanadrzu, jesteśmy zgubieni”.

Ale Inkwizytor nie kontratakował. Z daleka nie widziała jego twarzy, ale postawa znamionowała czyste, nieulegające żadnym wątpliwościom przerażenie. Nie okazywał strachu wcześniej, nawet w obecności Amandine, którą uważał za Maga Pustki. Czy to dlatego, że wyczerpał już siły?

Zanim zdążyła się nad tym zastanowić, dowódca Jastrzębi powoli opuścił rękę. I stało się coś najzupełniej nieprzewidzianego i niesłychanie dziwnego: zaczął się kurczyć i zapadać w sobie. Trwało to sekundę, może dwie, aż wreszcie na ziemię osunęły się jego płaszcz, zbroja, broń i wszystkie spowijające go od stóp do głów szmaty.

Żołnierze w czerwonych płaszczach rzucili się do panicznej ucieczki, jeszcze się broniąc. Jeden padł, dźgnięty prosto w szyję; pozostali zniknęli w ciemności, jakby nigdy ich tu nie było.

Kathryn wydała z siebie cichy, przeciągły gwizd.

– Nie wierzę – szepnęła.

– Co... co się z nim stało?

– Albo nic już nie rozumiem, albo on się teleportował – powiedziała drżącym głosem. – W taki czy inny sposób.

– Myślałam, że ludzi i zwierząt się nie da...

– Bo się nie da. To by wiele wyjaśniało... ale jeśli mógł tak cały czas, to dlaczego... A może zamienił się w mysz? Ale prawo zachowania masy... Nieważne.

– Chodźmy im pomóc – zdecydowała Amandine.

\* \* \*

Zwycięski oddział krzątał się wokół rannych. Rozmawiali przyciszonymi głosami, może z troski o towarzyszy, a może nie chcąc zwabić złego w noc pełni księżyca, w cieniu spalonego zajazdu i rusztowania, gdzie na trzech stryczkach

dyndały trzy zasuszone trupy. Spłoszone walką nietoperze krążyły jeszcze nad placem, w powietrze unosiły się leniwie smugi dymu z dogasających strzał. W oddali rozległo się pohukiwanie lelka.

Żołnierzy, którzy nie mogli lub nie powinni się ruszać, umieszczono na zaimprovizowanych noszach z płaszczy. Kolejny poszkodowany przysiadł oparty o cembrowinę, drżąc i pojękując, podczas gdy drugi żołnierz wiązał mu nogę w łupki.

Amandine pospieszyła w ich stronę, rozglądając się za Lily. Wokół zalatywało dymem, krwią i czymś więcej; artystka obeszła z bezpiecznej odległości leżącego na wznak Jastrzębia, z którego wylewały się na bruk rozprute jelita. Eugène i Gunther mówili z niewysokim, czarnowłosym mężczyzną, ubranym najmniej krzykliwie z całej drużyny – jego strój był w ciemnych, wtapiających się w tło barwach, nie nosił też żadnych widocznych z daleka symboli. Z mowy ciała i tonu głosu dało się jednak wywnioskować, że to właśnie jest kapitan, o którym wspomniano wcześniej. Dziewczynka stała obok, z powagą trzymając magiczną laskę – obydwoma dłońmi i blisko siebie, jakby się bała, że zostanie jej odebrana. Bardzo możliwe, że istniało takie ryzyko.

Na widok Amandine podbiegła, potykając się na kamieniach, natychmiast wcisnęła jej magiczną broń, a potem wczepiła się palcami w jej spódnice. Rozkasłała się płacząco, dygocąc na całym ciele. Teraz mogła.

– Już, już. – Amandine mimo woli gładziła ją po głowie. Kapitan przypatrywał im się ze zmarszczonymi brwiami. – Wszystko dobrze.

Podeszła Kathryn i ciężko usiadła obok nich. Do Amandine dotarła woń wymiotów i mimo świadomości, że Kat nabyła odporności na bagienną gorączkę, coś podskoczyło jej w sercu. Dotknęła jej czoła, zajrzała w oczy.

– Nic mi nie jest – burknęła czarodziejka, skrzywiła się boleśnie i zaczęła rozcierać skronie. – Mam dosyć – dodała ledwo zrozumiale, a potem oparła się o jej nogi, zasłaniając oczy dłonią. – Przepraszam, że jestem taka nieprzydatna. Zupełnie do bani.

– Nie zasypiaj. – Amandine rozejrzała się wkoło. Znów otaczali ją obcy mężczyźni, wszyscy uzbrojeni, wszyscy potencjalnie groźni. To prawda, że polowali na oddział Jastrzębi, a dwóch z nich okazało przyjaciółkom mniej lub

bardziej udawany szacunek, cały czas jednak miała się na bacności. – Zmobilizuj się jeszcze na chwilę. Krótką chwilę, proszę.

– Są chore? – Dowódca odwrócił się w jej stronę.

– Liliana przeziębila się parę dni temu – odparła Amandine. – A Kathryn dojdzie do siebie, jeśli tylko zdejmiecie jej te bransolety. Cyna i ołów, powinny być wystarczająco miękkie, żeby to zrobić dowolnym żelaznym narzędziem.

– Zobaczysz się – rzekł enigmatycznie kapitan. – Może iść?

– Mogę – jęknęła Kat. – Jak muszę, to mogę.

– Dokąd iść? – spytała ostro Amandine.

– Mamy niedaleko obóz – odparł tamten. – Do niczego szlachetnej pani nie zmuszam, ale tamci przyślą posiłki. Zajmie im to wiele godzin, sądzę jednak, że ochrona się przyda. Poza tym myślę, że musimy co nieco obgadać. Jestem kapitan Artois, a to moja kompania, znana też jako Popielnicy. Służymy pod sztandarami hrabiego maga Renarda d’Amethyste. – Słowo „maga” wypowiedział z wyraźnym przekąsem. – Na Szarego Wędrowca... Nie wierzyłem, że ten stary szaleniec naprawdę wysłał nas po czarodziejów z Arborii.

\* \* \*

Zanim ruszyli się z miejsca, kompania Popielników skrupulatnie przeszukała gospodę. Żadnych łupów nie wynieśli, co kazało Amandine się domyślić, że chodziło raczej o pozbycie się dwóch śpiących Jastrzębi, o których wspomniała wcześniej najemnikom. Jastrzębi Cierpliwego Wędrowca, bo tak podobno brzmiała pełna nazwa oddziału skażonych Pustką nieszczęśników. Przez ten czas ranni zostali opatrzeni; pięciu ludzi leżało na noszach i trudno było się domyślić bez szczegółowych oględzin, kogo zabierano do leczenia, a kogo czekał już tylko pospieszny pogrzeb w lesie.

Artystka dokonała przeglądu symboli na magicznej lasce, odblokowując je i ponownie zablokowując. Ornamenty lśniły złotą poświatą i gasły na przemian. Gdyby coś się stało, zostały jeszcze trzy zaklęcia bojowe, w tym jeden Miniaturowy Huragan, którego bała się używać po tym, jak dzięki Kathryn zobaczyła go w działaniu.

Emocje opadły i Amandine znów była doskonale świadoma każdego siniaka na swoim ciele, otartych nadgarstków i stłuczonych żeber. Właściwie chciałyby się zwinąć w kłębek, położyć na bruku i zasnąć, ale wiedziała, że przynajmniej ona musi zachowywać się przytomnie w towarzystwie najemników. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby znowu zaczęto traktować je jak bagaż – albo gorzej. Wystarała się u Gunthera o kilka sucharów i bukłak lurowatego piwa; obiecano im więcej prowiantu po dotarciu do obozu. Poczęstowała Lilianę i pokrzepiła się sama, a następnie przez dobry kwadrans wmuszała płyn w protestującą Kathryn. Wiedziała, jak sama reaguje na migreny, które dręczyły ją upalnym latem – odwodnienie znacznie pogarszało sytuację. Eugène próbował przeciąć bransolety nożem, ale okazały się twardsze, niż na to wyglądały – może wzmocniono je magią, a może wykonano z wytrzymalszego stopu. Najemnik zapewnił, że kowal da sobie z nimi radę, co jednak nie bardzo pocieszyło Kat.

Zebrali się wreszcie do wymarszu. Wiele dni później Amandine nie potrafiła sobie przypomnieć ani drogi, ani tego, że w ogóle szła przez las. We wspomnieniach pojawiały się niejasne wrażenia – dotyk odgarnianych liści, trzaskające pod stopami gałązki. Zasnęła w marszu, odpłynęła, w każdym razie jej umysł wziął sobie wolne. Nikt tego nie dostrzegł, więc gdy dotarli na miejsce, została jej chwila na powrót do rzeczywistości i zorientowanie się w sytuacji. Stała nieruchomo, dzierżąc magiczną laskę z nadzieją, że wygląda jak poważna, tajemnicza magini, ktoś pełen autorytetu – a nie jak śmiertelnie wyczerpana arboriańska mieszcza.

Na szczęście kompania Popielników miała ważniejsze sprawy na głowie. Znaleźli się na polanie, przed dawno opuszczoną chatą smolarzy. Tam właśnie, starannie maskując ślady swojego pobytu, najemnicy zorganizowali poprzednio obóz. Teraz odgarniali przysypane ziemią i ściółką palenisko, wynosili z chaty zrolowane koce i prowiant. Amandine omal nie rzuciła się do pomocy, ale przypomniała sobie, że odgrywa czarodziejkę z niebywale wysokiego rodu i jej nie wypada. Tak długo kierowała w stronę żołnierzy wyniosłe, pełne wyczekiwania spojrzenia, aż Eugène przyniósł koce z grubej, gryzącej wełny. Rozsiadły się na posłaniach, które w obecnej sytuacji jawiły się równie luksusowymi jak łoże z baldachimem. Liliana zasnęła prawie natychmiast. Kathryn ułożyła się na boku, oburącz trzymając się za głowę. O ile Amandine

znała się na bólach głowy, czarodziejka znów osunęła się w stan półprzytomności bliskiej snu, z którego mogło ją wyrwać tylko bezpośrednie zagrożenie życia. Jeszcze raz sprawdziła jej temperaturę. Śmiertelnie się obawiała, że mimo uroków ochronnych któraś z dziewcząt zaraziła się od Vincenta. Zamknęła oczy; znów niemal go zobaczyła – wręczającego jej bukiet polnych kwiatów, pochylonego nad żyłkami w górskim strumieniu, ćwiczącego Drogę Czapli na podwórzu. Lily twierdziła, że przeżył.

Nie chciała jeszcze zasypiać. Nie czuła się bezpieczna. Kto zagwarantuje, że nie wpadły z deszczu pod rynnę? Najemnicy wydawali się nie pilnować ich szczególnie – właśnie rozpalano nieduże, bezdymne ognisko – ale przecież wiedzieli, że nigdzie nie uciekną. Wyglądali na typów spod ciemnej gwiazdy, bez dwóch zdań. Bandyckie gęby, blizny, połamane nosy i zęby, tuniki kolorowe, ale postrzępione i śmierdzące. Zanurzyła palce w skłębionych włosach. Sama musiała robić wrażenie żebraczki.

Zobaczyła wreszcie, że kapitan idzie w jej stronę. Skinęła mu głową; odwzajemnił gest.

– Jeden z moich ludzi podkuwa nam konie, został parę kilometrów stąd – odezwał się bez zbędnego wstępu. – Jutro do niego dotrzemy i pozbędą się panie kajdanów.

Amandine była zmęczona i chociaż interpretacja miejscowego dialektu szła jej coraz lepiej, w pierwszej chwili ledwo go zrozumiała. Wpatrywała się w niego tępo; zinterpretował to widocznie inaczej, ponieważ zamasyście się uklonił. Dopiero wtedy dotarła do niej treść wypowiedzi. Biedna Kat, musi wytrzymać jeszcze cały dzień.

– Będziemy bardzo wdzięczne.

– Można? – Kapitan przykucnął obok jej koca.

Amandine gestem pozwoliła mu usiąść. I tak by to pewnie zrobił. Przyglądała się uważnie, czy w jego oczach nie czai się pożądanie albo inne groźne emocje, ale nie, myślami wydawał się dryfować daleko stąd.

– Pani ma to samo na rękach, ale nie czuje się pani tak źle – powiedział.

Wzruszyła ramionami.

– Jesteś, pani, Wielkim Magiem?



Nie zaprzeczyła.

– Jej włosy... – Wskazał na Kathryn.

– O tym chyba wolę porozmawiać z hrabią – odparła Amandine.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Miałyście szczęście, że zdecydowaliśmy się zaatakować – zauważył. – Gdybym wiedział o Inkwizytorze, nie podjąłbym takiej decyzji. Upłynie wiele czasu, zanim znów się pojawi, ale zawsze w okolicy może się kręcić drugi.

– Kim oni są? – spytała. – W wiosce, na którą się natknęliśmy, mówiono o kapłanach w brunatnych szatach. Sugerowano, że dysponują potęgą, która nie jest prawdziwą magią, lecz czerpaną z mocy Zaświatów. W Arborii nie ma takich czarnoksiężników.

– Czyli Arboria nie zaginęła w Zaświatach? – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Zawsze sądziłem, że przydomek Lucjusza d'Aure, Geniusz z Arborii, został zmyślony, żeby dodać mu chwały.

– Obydwa kontynenty istnieją. Zostały tylko rozdarte.

– A legendarna stolica, kolebka ludzi, Alterra? – Oczy zaświeciły mu się jak małemu chłopcu.

– Sądziłem, że przepadła po waszej stronie.

Czyli istniało więcej fragmentów Rozdartego Świata. Amandine żałowała, że naprawdę nie jest czarodziejką. Vincent albo Kathryn, a zwłaszcza Meg, na pewno wyciągnęliby z tego jakieś pożyteczne wnioski.

– Wróćmy do tematu. Albo zaczekaj, zacznijmy od tego, skąd hrabia d'Amethyste wiedział, gdzie i kiedy nas szukać.

– Cóż, jak wspomniałem, początkowo myślałem, że stary oszalał do reszty. – Kapitan rozłożył ręce. – Dobrze go znam. Służymy u niego tak długo, że czasem zapominam, że nie jesteśmy jego rycerzami. Uczony, może i geniusz. Siedzi nad ojcowskimi księgami, poznaje tajniki magii, która zgasła przed półwieczem. Co wieczór czyta z gwiazd. Ale o tym, że coś się dzieje, dowiedział się nie z gwiazdozbiorów, tylko od gołębi...

Amandine zamrugęła.

– Rozmawia z ptakami?

Kapitan Artois roześmiał się szczekliwie.

– No, nie tak, jak pani myśli! Zbiera wieści spoza hrabstwa, bo to ważne, zwłaszcza teraz, kiedy pod granicę idzie armia Płomienia. Tak ze dwa tygodnie temu wzywa mnie przed swe uduchowione oblicze i powiada: „Żabo – bo tak mnie kiedyś nazwał – listy przysły i mówią, że zaroilo nam się od kapłanów na południu, kręcą się z przeproszeniem jak smród po gaciach, i to tam, gdzie nie ma wojska. Podejrzewam mroczne sprawy Zaświatów. Jedziesz to sprawdzić”. Zebrałem więc kompanię i pojechalśmy; za to nam przecież płacą.

Zadekowaliśmy się w jednej gospodzie, potem drugiej. Przez Bretanię chodzą takie bandy jak my i szukają łożdu, albo czegoś zamiast łożdu, więc dopóki trzymaliśmy się z dala od królewskich patroli, z zasięganiem języka szło nie najgorzej. Aż tu pewnego wieczoru chłopaki wyciągają mnie przed karczmę i pokazują spadającą gwiazdę, wielka łuna, chyba parę dni drogi stamtąd. No, myślę sobie, mogę się założyć, że hrabia już sobie o tym wyrobił zdanie. Zbieram więc chłopaków i jedziemy w tamtym kierunku, do jednego z naszych kontaktów, bo tak czuję, że niedługo zdarzą się odwiedziny w gołębniku. Dwa dni później...

– Słup światła? – przerwała mu Amandine.

– A potem trzęsienie ziemi i tornado, jakiego najstarsi mieszkańcy nie pamiętają. Hen, daleko, ale wypatrywaczy mam dobrych. Oczywiście to były zaklęcia szlachejnych pań.

Potaknęła, nie chcąc znów wchodzić mu w słowo.

– Następnego dnia gołąb, tak jak się spodziewałem. Hrabia w liście nakazuje mi poszukiwać czarodziejów z Arborii, którzy wedle wszelkich jego przypuszczeń właśnie znaleźli się w kraju. Mam ich odnaleźć, zanim zrobią to kapłani. Ugościć, otoczyć opieką i tak dalej. Resztę znacie. Szliśmy śladem Jastrzębi, wiedząc, że kogoś pojмали, w dodatku zobaczyliśmy kolejną nienaturalną burzę – westchnął. – Przez cały czas nie chciałem wierzyć hrabiemu i mam za swoje. Ale chłopaki nie lepsze, jak zobaczyli trzy dziewczyny, myśleli, że to branki ze wsi. Z całego serca szlachejną panią za to przepaszam.

W opowieści kapitana tkwił pewien szczegół, którego Amandine nie wychwyciła od razu. Coś ją jednak tknęło, nie zgadzały się daty. Podjęła więc

wysiłek skupienia uwagi i jeszcze raz przeanalizowała rozmowę. Gdy wreszcie dostrzegła, co to takiego, zrobiło jej się zimno.

– Kapłani wiedzieli z wyprzedzeniem o naszym przybyciu. Jakim cudem?

– Ano pewnie takim, że zapytali Nieśmiertelnej Wyroczni – odparł kapitan. – Służy naszym królom od niepamiętnych czasów. Zna całą przyszłość świata, ale ma kapryśny charakter i sama decyduje, czym się podzielić z monarchą. Niektórzy ją czczą i utrzymują, że wypełnia prawdziwą wolę Wędrowca.

Amandine potarła skronie. Z wyliczeń wynikało, że Trzecia Wyrocznia poinformowała kapłanów niedługo po rozmowie z Vincentem i Kat, osiem dni przed podróżą do Utraconej Bretanii. Dlaczego?

– Jastrzębie... to kapłani, prawda? A Inkwizytorzy... to tacy potężniejsi kapłani?

– Nie, nie. – Machnął ręką. – Na Pustkę, byśmy byli ugotowani. Nie, kapłani to kapłani. Mnisi w brunatnych habitach. Większość tylko się modli. Niektórzy znają dziwaczne rytuały, kontrolują istoty Zaświatów, używają pomniejszych sztuk; wystarczy, żeby zdać się bardzo potężnymi. Oczywiście twierdzą, że na chwałę Wędrowca, i powiadam, po pół wieku ludzie w to wierzą. Nie. Jastrzębie objawili się przed paru laty; oni ich stworzyli, dali im moce, dzięki którym są tak groźni w boju. Nie ma ich wielu, samych zaś Inkwizytorów, wedle mojej wiedzy, dotąd tylko pięciu, ale trudno ich odróżnić, bo Jastrzębie bywają bardzo pokrzywieni. Gdy się pojawili, wielu uważało, że magia wraca.

Amandine pomyślała o Vincencie. O tym, że przeżył – na pewno przeżył – i gdzieś w chatce na skraju lasu z wolna dochodzi do siebie. O ludziach, którzy mieli schwytać Maga Pustki, ale wskutek pomyłki wykluczyli go z równania i teraz mobilizowali siły, żeby ścigać ich trójkę. Trzeba pójść po Vince'a – tyle że z pełnymi Źródłami, naładowaną magiczną laską, solidnym oddziałem wojska i wszystkim, co można wytargować od ekscentrycznego hrabiego d'Amethyste. I jeśli wtedy spotkają po drodze kolejnych Jastrzębi, a może nawet Inkwizytora, to nie one będą miały problem.

– Teraz wraca – oświadczyła twardo. – I nie jest zadowolona.

Margueritte i Belinde

Utracona Bretania, 7 Mai 753 AG

Raport terenowy

Praca nad machiną bojową o kryptonimie „Pryzmat” wchodzi w fazę finalną. Miniatury przetestowane. Rada wojskowa olśniona. Szlifujemy soczewkę.

(Tutaj załączone szkice).

Armia Theresy von Feuerstein jeszcze się nie rozproszyła. Prowadzą wojnę podjazdową na granicy. Podbili jakieś forty.

Do zdobycia (w wolnym czasie):

- nazwy tych fortów,
- informacje o liczbie kapłanów oraz istot z Zaświatów (!),
- prognoza pogody,
- lista imion, nazwisk i tytułów członków sztabu,
- nowy kościany grzebień, para butów i kostka mydła, o ile coś takiego istnieje w Bretanii, jasny gwint,
- odpowiedź na pytanie, dlaczego pustkostwory nie opuszczają przełęczy. Hipoteza wstępna: ograniczone zapasy mocy.

(Tutaj pojawiają się dodatkowe szkice „Pryzmatu”; odrzucone projekty wstępne, lista zmodyfikowanych uroków szlifierskich i substancji opracowanych przez alchemików).

W ciesielskim namiocie wrzała praca. Stosy drewna w różnych stadiach obróbki leżały oparte o skrzynie, pod stopami chrzęściły wióry. Starszy czeladnik przy tokarce miarowo cisnął pedał, obrabiając drewniany walec o bliżej nieznanym przeznaczeniu. Przy warsztatach kręciło się ze dwudziestu chłopów, zewsząd dobiegały odgłosy piłowania i ścierania drewna, w powietrzu unosił się pył. Margueritte nie mogła się powstrzymać od kichania. Opierała dłonie o prowizoryczny stół, sklecony ze skrzyń i wyrównany według poziomicy.

Od strony wejścia rozległy się pokrzykiwania. Dwóch pachółków ostrożnie dźwigało pakunek owinięty w parciane płótno, szeroki i płaski jak blat, ale – jak widać – znacznie cięższy.

– Hej tam, ostrożnie! – zahuczał majster. – Tu ją dawać! Powoli!

Margueritte cofnęła się o krok, to samo zrobili Belinde i Arthur. Czeladnicy ostrożnie przemieścili pakunek na skrzynie, a potem rozwinęli płótno. Obydwaj wstrzymali oddech. Meg ponieważś zorientowała się, że w namiocie nagle zrobiło się cicho. Tylko tokarka, pozbawiona hamulca, wykonała jeszcze kilka świszcząco-stukających obrotów.

Szklana płyta była dokładnie tej wielkości, co trzeba. Gruba, gładka, lekko matowa. Margueritte zaczęła przesuwać palcami po ciepłej powierzchni, a przed jej oczami rozwijały się wzory, nad którymi trójka czarodziejów spędziła wcześniej całe noce. Krzywizny szlifu, delikatne kręgi pierścieni. Umykała jej część szczegółów, ale czuła się pewnie, wiedząc, że to Belinde zawiaduje praktyczną stroną projektu.

Zacisnęła dłoń. Z dużym wysiłkiem, jakby gnioła ciasto zrobione z gumy, ukształtowała jednostkę mocy w Kulę Światła. Magiczna energia wymykała się z palców, opierała się obróbce. Meg czuła pulsujący ucisk za oczami, stabilizujący kształt jedyne zaklęcia, na jakie potrafiła się teraz zdobyć. Przypomniała sobie,

że kiedyś kazała Vincentowi rzucać je codziennie, i prawie wywołało to w niej współczucie.

Jak coś trzeba zrobić, to ma być zrobione.

Nad taflą zawisła biała kula, trochę przypominająca lampę gazową. Dookoła rozległy się okrzyki pełne zachwytu i zazdrosne westchnienia. Meg nie zwracała na nie uwagi. Światło dryfowało nad szkłem, ukazując wszystkie jego zalety. Od środka tafla przeświecała jak wysokiej klasy bursztyn – żadnego bąbla, żadnej skazy. Rzemieślnik z Uzerche rzeczywiście okazał się mistrzem. A przecież mieli do czynienia tylko z półproduktem.

Pierwotnie zaplanowano, że soczewka powstanie w mieście, ale takie rozwiązanie okazało się niemożliwe ze względów logistycznych. Trudno było przełożyć schematy i plany czarodziejek na znaki tutejszych gildii rzemieślniczych, a szklarz uniósł się zawodową dumą i oprotestował pracę w pośpiechu. Na szczęście mieli ze sobą Belinde Chamomille. I chociaż Belle rzadko używała czegokolwiek lżejszego niż potężne zaklęcia transmutacyjne, pamiętała kilka starych uroków i odkurzyła jeden z nich.

Jego podstawy opracowano kiedyś z myślą o zmianie struktury krystalicznej grafitu w diament. Gdyby projekt wypalił, uzyskiwanie sztucznych diamentów stałoby się prostsze niż uprawa jabłek. Okazało się jednak, że formuła udźwignęła tylko poprawianie skaz w szkle jubilerskim i przemianę szkła w piasek. Od tego do zastosowań szlifierskich było już niedaleko, a przy umiejętnościach Belinde dało się precyzyjnie rzeźbić kształty.

A przynajmniej testy na małych próbnych taflach wypadły pozytywnie.

Wszystko wskazywało na to, że udział Margueritte i Arthura przy produkcji soczewki ograniczy się do przekazywania mocy. Meg nie miała wprawnej ręki maga Creo, natomiast Arthur co prawda entuzjastycznie nauczył się nowego uroku, ale zbyt słabo znał matematykę, żeby go dobrze kontrolować.

Prawdę mówiąc, i tak uczył się szybciej, niż sądziła. Jak na siedemdziesięciolatka z Utraconej Bretanii dobrze się trzymał, zarówno pod względem umysłowym, jak i fizycznym. Śladowa aktywność Źródła? A może faktycznie pochodził z długowiecznej rodziny.

Belinde poganiała już czeladników i dyskutowała z majstrem, jej suknia co rusz furkotała w energicznych obrotach. Wcześniej zmontowali gigantyczny drewniany „konik” do przytrzymania tafli w pozycji ukośnej, z możliwością podniesienia jej do pionu. Pod warsztatem leżał gruby siennik, na wypadek gdyby jednak szkło się omsknęło. Przyglądając się konstrukcji, Margueritte podejrzewała, że cieśla czerpał z doświadczenia w tworzeniu narzędzi tortur.

– Meg, dawaj no plany!

W rękach Belle znalazły się zeszyty i zwinięte rulony z projektami; Arthur przyniósł jej kopiowe ołówki, kałamarz z tuszem i kosz pełen narzędzi, wśród których był nożyk z kryształem górskim do rysowania znaków na szkłe. Pod kierunkiem Belinde Chamomille cała trójka zaczęła oznaczać na tafli szkła, jak na materiale do wykroju, punkty i linie, gdzie przebiegały granice zastosowania szlifierskiego uroku. Mistrz ciesielski nie próbował nawet zaganiać uczniów i pomagierów z powrotem do pracy, czekał, aż widok czarodziejów rysujących po szkłe trochę im spowszednieje i przestaną oczekiwać na kolejną Kulę Świata. Dopiero po kwadransie znów ruszyła tokarka, rozległo się stukanie młotków i zgrzytliwy dźwięk piłowanego drewna.

W miarę jak pracowali, podchodził jeden czy drugi uczeń i zadawał pytania. Oczy błyszczały im z ciekawości. To, co robiła Belinde, nie przypominało sztuki czarodziejskiej dawno temu praktykowanej przez szlachtę, a przynajmniej nie tej znanej z opowieści dziadków. Nie wyglądało też jak praca bretańskiej wiedźmy. Zamiast mistycznych zaśpiewów, ziół zbieranych o północy i łajna nietoperza – starannie przeprowadzane obliczenia, linie kreślone według pomiarów, symbole matematyczne. Ten czy ów liźnął tabliczki mnożenia i odrobiny geometrii, a starsi uczniowie potrafili się posługiwać suwmiarkami, szczelinomierzami i poziomiami. W ich przekonaniu działało się tutaj coś nowego – rzemieślniczy rodzaj magii. W głowie niejednego pomagiera pojawił się pomysł, aby spróbować się załapać do terminu. Ile należy zapłacić cechowi Belinde, żeby zgodziła się wziąć czeladnika?

Przed wieczorem przyszła pora na fajrant. Czarodzieje rozsiedli się na skrzyniach, Arthur posłał pachółka po wałówkę. Meg ze zmarszczonymi brwiami otrzepywała fryzurę z pyłu i wiórów. Jej chude, blade ręce były poplamione tuszem i poczerwione kopiowym ołówkiem.

– No, to jutro będziemy ciąć – westchnęła. – Może lepiej ich uprzedźmy, żeby nie wpadli w panikę, gdy zaczną sypać się piasek.

– O wszystko zadbałem – odezwał się dumnie Arthur. – Nawet najlichszy pachołek już wie, że czynimy magię.

Meg uniosła brwi.

– Nigdy bym nie pomyślał – kontynuował eksczarodziej, bardzo z siebie zadowolony – że zwykły wiedźmi urok może mieć taką moc.

– Wszystko zależy od umiejętnego wykorzystania kwantów – wtrąciła spokojnie Belinde. – Im lepsze wzory, tym doskonalszy urok. Oczywiście pewnych granic i tak nie da się przeskoczyć przy tak ograniczonej możliwości manipulowania energią. Uroki magii prostej naginają tylko przepływ naturalnej mocy. Im więcej mamy wiedzy przyrodniczej, tym łatwiej odnieść się do znanych praw...

– Czyli magia prosta wcale nie jest taka znowu prosta – zastanowił się Arthur. – Stanowi sztukę sama w sobie. Niebawale...

Pachołek wrócił, niosąc trzy kopiaste miski kaszy ze skwarkami. Margueritte wciągnęła w nozdrza zapach okrasy i ochoczo zabrała się do jedzenia. Belinde sceptycznie dźgnęła swoją porcję łyżką, po czym poszła w jej ślady. Przez kilkanaście minut panowało zgodne milczenie. Kiedy Meg wydłubywała już pojedyncze ziarenka i zastanawiała się, czy ryzykować przeżucie pałętającej się po dnie miski chrząstki, zorientowała się, że ktoś rzuca na nią cień. Uniosła wzrok.

– Ależ proszę sobie nie przeszkadzać.

Drugi intendent Pierre Blanchet stał w uprzejmej pozie w pewnej odległości od czarodziejek. Jak zwykle był upudrowany i nienagannie ubrany, tym razem w strój barwy jasnej zieleni. Nie zgadzał się tylko jeden szczegół – Blanchet nie zabrał peruki i teraz prezentował światu własne przetłuszczone czarne kosmyki spięte w cherlawy kucyk. Meg ściągnęła usta. Musiało się wydarzyć coś niezwykle doniosłego; takie niedopatrzenie u intendenta było odpowiednikiem przybiegnięcia na ostatnim oddechu i w rozchełstanej koszuli.

Tymczasem Belinde Chamomille odłożyła łyżkę z elegancją, na jaką tylko mogła sobie pozwolić w zaistniałych okolicznościach, lekko jak baletnica uniosła



się ze skrzyni i podała dłoń do ucałowania, Pierre zaś ją przyjął, kłaniając się szarmancko. Meg westchnęła z irytacją. Jeszcze trochę, a zaczną konwersować w tańcu.

– Zdaje się, że to coś pilnego – wtrąciła. – No więc?

Blanchet spoważniał, skinął głową.

– Potrzebujemy konsultacji szlacheckich pań – powiedział. – Wrócił jeden z naszych posłańców i przywiózł wieści. – Zawahał się, jakby chciał powiedzieć coś więcej, i zerknął na Arthura. – Wiem, że pracujecie nad cudowną bronią...

– Zostały nam tylko drobne poprawki przed jutrzejszym szlifem – odezwała się Belinde, wymieniając spojrzenia z intendentem. – Dam sobie radę sama, z Arthurem do pomocy. Meg?

– Jasne, dlaczego nie? – Margueritte odłożyła miskę, wstała i starannie otrzepała suknię z pyłu. Starła się nie zauważać, że Arthur jedynym okiem, zaopatrzonym w monokl, gapi się na jej tyłek. „Nie dość, że dzikus prosto z lasu – pomyślała z irytacją – to jeszcze pozbawiony gustu”. Wybrać jej tyłek do gapienia się, kiedy pracuje z Belinde Chamomille... – Przyda się chwila odpoczynku.

\* \* \*

Szli szybko przez obóz; Blanchet nadawał tempo. Margueritte zauważyła, że porzucił wszelkie pozory dworskiego zachowania, kiedy tylko wyszli z namiotu. Maszerował z pochylonymi ramionami i w ciszy, którą łatwo było zinterpretować jako urazę. Na jego twarzy malował się jednak wyraz skupienia. Spod maski fircyka, jaką intendent na co dzień przybierał, znów wyglądał ktoś znacznie mniej jowialny, poważniejszy, zapewne groźny.

Dotarli wreszcie przed namiot w obrębie obozowiska jednej z kompanii najemniczych, z pozorów niczym się nieróżniący od pozostałych. Żołnierz, który go pilnował, na widok nowo przybyłych poderwał się do pionu i zaszalutował; odpowiedzią było zmarszczenie brwi i stanowczy gest dłonią.

– Spocznij – mruknął Blanchet. – Żadnych cyrków, pamiętaj.

Meg uniosła brwi. Czyżby pan intendent pracował u generała von Feuerstein jeszcze na drugim etacie?

– Za mną, pani czarodziejko.

Wewnątrz namiot urządzono tak jak dla każdego najemnika: posłanie, kilka skrzyń, grube płótno wyściełające klepisko; walały się po nim odzież i inne drobiazgi. Na skrzyni siedział lekkozbrojny mężczyzna, którego Margueritte nigdy wcześniej nie widziała. Oczy miał podkrążone, pobladłą ze zmęczenia twarz i smukłą budowę kogoś, kto strawił życie w roli posłańca. Legowisko zajmował chudy, kilkunastoletni obdartus. Zwinął się w kłębek na kocu i udawał, że śpi; obok leżała pusta drewniana miska z resztkami owsianki.

Zbrojny wstał i powitał Blancheta oraz Meg skinieniem głowy, po czym spojrzał pytająco na intendenta.

– Polecono, aby pani de Breville uzyskała pełen ogląd sytuacji – poinformował Blanchet. – Jej wiedza może okazać się kluczowa.

Tamten potaknął i zerknął na Margueritte, upewniając się, że ma mówić.

– Pani, wróciłem z krótkiej wycieczki do Bretanii – zaczął – gdzie natknąłem się na zjawisko, którego nie da się opisać inaczej niż działanie starej magii.

– Pozwól pani de Breville samej wyrobić sobie zdanie.

– Proszę o wybaczenie. W ciągu ostatnich lat wielokrotnie sprawdzaliśmy takie pogłoski, zawsze jednak po dokładnym zbadaniu okazywało się, że winowajcami byli kapłani posługujący się magicznymi dziełami, nieliczne pustkostwory albo rytuały, które można wyjaśnić wiedźmią sztuką. Istnieją też samobójcze oddziały Napiętnowanych, którzy w boju są niesłychanie skuteczni, chociaż można sobie z nimi poradzić dzięki przewadze liczebnej. – Zerknął na Margueritte, jakby szukając potwierdzenia w jej oczach.

Czarodziejka ściągnęła usta. Wyglądało na to, że zanim Theresa wybrała się na wojenną wyprawę, rozbudowała w Bretanii całkiem niezłe prosperującą siatkę agentów. Pozycja intendenta była tylko przykrywką na użytek kampanii wojennej. W gruncie rzeczy Pierre Blanchet pełnił rolę mistrza szpiegów.

– Trudno zdobyć u miejscowych obiektywny opis wydarzeń – zaznaczył posłańiec. – Zwykle plotka bierze górę. Jednak ten chłopiec – wskazał na obdartusa, który niechętnie usiadł na kocu – był świadkiem zjawiska, o jakim mowa.

Chłopak skierował wzrok w ziemię. Meg przypatrywała mu się w milczeniu, co – jak doskonale wiedziała – zawsze zbijało ludzi z tropu. Prawdopodobnie powtórzył już swoją historię kilka razy, szlifując ją, odrzucając wątki, na które nikt nie zwrócił uwagi, i podkreślając te, które wydały się ważne. Nie opisywał już tego, co widział, tylko odtwarzał opowieść jak nagrany w kuli magicznej. Trzeba go wytrącić z kolein; zadając pytanie, tylko jakie? Pochodzi ze wsi, to więcej niż pewne; wygląda na chorowitego, ma krzywicę, może anemię...

I nagle Meg wstrzymała oddech. Rozdarty rękaw koszuli odsłonił prawie zagojoną ranę na ramieniu chłopaka. Ranę, która została fachowo zaszyta cienką jedwabną nicią, jakiej czarodziejka nigdy nie widziała w służbie bretańskiej medycyny.

– Zraniłeś się w ramię – zauważyła. – Kto ci to zaszył?

W pierwszej chwili nie zrozumiał. Musiała powtórzyć pytanie powoli i wyraźnie, naśladowując tutejszy dialekt najlepiej, jak umiała.

– Ano bo wyrośl tutaj miałem – burknął ze wstydem. – Medyk mi wyciął. Prawdziwy uczony medyk, cudotwórca, sługa królowy.

Blanchet i zbrojny popatrzyli po sobie. Któraś z tych informacji była nowa.

– Już wszystko mówiłem. Jednego razu spadła gwiazda za miedzą, co zawsze zwiastuje cuda lub wielkie nieszczęścia. Nam się zdarzyło i jedno, i drugie. Najpierw przyszła do wsi królowa, jej Wielka Magini i orszak. – Zastanowił się. – Uczony medyk i dziewczka do pomocy. Poszli rozprawić się ze smokiem nad rzeką, a wtedy przyleciał Inkwizytor na drugim czarnym smoku, ich zabił i srodze nas pokarał... Słupy ogniste w niebo strzelały, ziemia się trzęsła, a na koniec wielka trąba powietrzna pofrunęła hen, hen... daleko!

– Zaraz, chwilę, po kolei. – Meg uniosła dłoń. – Rozumiem, że pan Blanchet ze szczegółami wypytał cię o strzelanie słupów ognistych. Brzmiało wiarygodnie? – Spojrzała w stronę intendenta.

– Opisał, o ile rozumiem, wiązkę światła skierowaną ku niebu, pojawiającą się i znikającą w regularnych odstępach czasu – powiedział Pierre. – Słup ognia to całkiem nowy pomysł. Pierwszej wersji by nie wymyślił. Natomiast dużo mówił o tornadzie nad rzeką; zapewne rzeczywiście było coś takiego. Martwi mnie Inkwizytor, któremu przypisuje moce magiczne i zdolność do ujeżdżania

stwora... Pani nazywa je ksenowurmami. Wcześniej już pojawiały się podobne doniesienia i tym razem są zgodne.

– Tornado... Istnieje takie zakłęcie – mruknęła Margueritte. – Jak się nazywała królowna?

– Królowna de Branche d’Argent – odparł wieśniak, nieco oburzony takim banalnym pytaniem.

– A jak wyglądała? Nie, czekaj, to bez sensu. Miała siwe włosy. Skąd wiedzieliście, że towarzyszy jej Wielka Magini? Nie, to też oczywiste, jak królowna, to jest z nią Królewski Mag... Jak poznaliście, że to Wielka Magini?

– Oj, bardzo łatwo – westchnął chłopiec. – Była piękna. Miała prawdziwą laskę czarodziejską, włosy jak pożar lasu i rozkazywała wszystkim dookoła.

Margueritte podrapała się w czoło. Wolała nie robić sobie zbędnej nadziei. We wstrząsanej niepokojami wewnętrznymi Bretanii od czasu do czasu musieli się pojawiać fałszywi pretendenci do tronu razem z równie nieprawdziwymi czarodziejami. Ale medyk...

– Opisz może, jak wyglądali jej słudzy. Ten uczony?

– A tak, ten, co wszystkich leczył. Jasne włosy... no, nie bardzo jasne, jak to u Bretańczyka. Jasna skóra. Ani gruby, ani chudy...

Meg westchnęła ze zniecierpliwieniem. Zdawała sobie sprawę z tego, że Vincent wcale się nie wyróżnia na tle rodowitych mieszkańców. Bretańczycy występowali we wszystkich odmianach kolorystycznych – najczęściej pośrednich, ale ciemnoblond włosy i jasna karnacja nie należały do rzadkości.

– Miał miłą twarz – dodał szybko dzieciak. – Jakbym mu podebrał jajka z kurnika, toby mnie nie sprął.

– Czy używał jakiejś magii? Jakiegokolwiek? Uroki, eliksiry...

– Pewnie, oni wszyscy byli czarodziejami – odparł chłopak. – Dawał eliksiry. Rzucił zakłęcia, żeby krew nie leciała. Tylko bluźnił okrutnie. Ciągle, z przeproszeniem szlachetnej pani, wzywał Pu... Zaświaty.

Zamknęła oczy. Pustkę, oczywiście.

– Powiedz, jak mówili. Tak jak pan Blanchet? Albo szlachetni państwo? Czy może bardziej tak jak ja?

– O, zupełnie tak jak pani! – zawołał ze szczerym przekonaniem. Margueritte wydawało się, że na sekundę stanęło jej serce. Blanchet potarł policzek. – Zupełnie jak pani – powtórzył obdartus. – Że ledwo idzie zrozumieć.

\* \* \*

Godzinę później Margueritte, ocierając pot z czoła, wykuwała fakty słowo po słowie. Pomimo wstępnej pracy Blancheta oddzielanie konfabulacji od prawdy i wyłuskiwanie detali, które chłopak uznał za niegodne uwagi, wymagało wysiłku porównywalnego z całodziennym przesiewaniem złotonośnego piasku.

Meg cieszyła się, że współpracuje z fachowcami. Sama, chociaż pełniła funkcję agentki Cienia Gildii, zwykle nie musiała zdobywać informacji w ten sposób. Wiedza, której poszukiwała Elysia – a później Weyland – tkwiła w artefaktach i starych dokumentach, i tylko bardzo rzadko w ludzkiej pamięci.

Po pierwsze, Vincent i Kathryn dotarli do Utraconej Bretanii. Margueritte nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego Weyland wysłał ekipę w takim dziwnym składzie, ale może miał swoje powody. Na pewno nie wybrali się na drugą stronę świata bez wiedzy i zgody Arcymaga, o czymś świadczyła laska czarodziejska, w którą wyposażono narzeczoną Vince’a. Meg dobrze знаła ten projekt – dzieło magiczne, które mogło zrewolucjonizować arboriańską armię, ale od trzech dekad blokowała je Rada Gildii, i lepiej nie myśleć, co powiedziałyby o nim Parlament. Nie miała za to pojęcia, skąd wzięli czwartą uczestniczkę wyprawy. Chłopak upierał się, że „dziewka do pomocy” jest małą dziewczynką, i Margueritte zastanawiała się, czy Weyland wciągnął do sprawy Cienia Gildii baronównę de Branche de Malachite, która ze względu na wrodzony defekt była wzrostu i budowy dziecka. Inna alternatywa trochę ją przerażała. Według danych, jakie zebrała, podopieczna lady d’Opal powinna najbliższy rok odpoczywać na wsi, zanim w ogóle podejmie dalszą pracę z magią.

Trzeba spróbować nawiązać kontakt. Kathryn na pewno wzięła ze sobą kulę magiczną. Nie wiedziała, czy połączenie zadziała w Bretanii, nie mogło się przecież odbić od Źródła geograficznego, bo ich tutaj nie było. Ale i bez tego kule miały spory zasięg. Co prawda wieśniak twierdził, że przybysze zginęli w pojedynku, jednak Meg szybko się zorientowała, że ta część relacji nie trzyma się kupy.

– Lady de Breville. – Mistrz szpiegów wyrwał ją z zamyślenia. – Jak pani sądzi, czy możemy natknąć się na Inkwizytorów na polu bitwy?

Zastanowiła się.

– Brałabym pod uwagę taką możliwość, kiedy już znajdziemy się w Bretanii – powiedziała wreszcie. – Nasz przeciwnik ma problemy z logistyką. Moc kapłanów, a także – jak sądzę – Inkwizytorów – nie odnawia się sama i muszą ją cały czas uzupełniać. Nawet umarłaków używają oszczędnie, a skażony czarnoksiężnik zasysałby energię jak gąbka. Muszę przyznać, że jestem pełna podziwu dla ich pomysłowości. Ta wioska... Czyli tak sobie poradzili. Na pewno istnieje więcej podobnych lokacji. Otwieranie rozpadlin to kłopotliwa sprawa nawet dla nich, trudna w kontroli, pewnie nie wiedzą, jak je zamykać.

– Co tam się stało?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nieistotne. Może za czasów Lucjusza wydobywano tam *trivium* albo założono hodowlę magicznie zmienionych małży, „perły”, o których mówi chłopak, mogą być wszystkim. Wiele podobnych miejsc wymaga regularnej konserwacji, inaczej magia wyradza się w energię Pustki. O, przepraszam.

– Nie szkodzi. Prawie się przyzwyczaiłem. Jeśli spotkamy jednego z nich, jak trzeba postąpić?

– Strzelać – odparła Meg. – Wszystkim, czym się da. Na pewno nie mają sobie równych w starciu z pojedynczym przeciwnikiem albo nawet małą drużyną, ale weźmy pół setki łuczników, a szybko im się skończy energia.

– To samo dotyczy was, prawda?

– Prawda. Nawet szybciej, bo używamy tylko naszych starych różdżek... – Zaplotła ręce. – Proszę wybaczyć, ale muszę natychmiast wrócić do namiotu i coś sprawdzić. Może uda się skontaktować z moim uczniem. Proszę na razie nie informować Płomienia. Nie wiem, czy to zadziała.

– Mam jeszcze ludzi w Bretanii – odparł Blanchet. – Gdyby pani sposoby zawiodły, mogliby spróbować ich wytropić. Trudno przeoczyć taką oryginalną drużynę.

– Tak. – Meg z powagą skinęła głową. – I tego się właśnie obawiam.

– Spróbuj później – zasugerowała Belinde. Chociaż wydawała się spokojna, ręce trzęsły jej się do tego stopnia, że miała trudności z zasznurowaniem troczków u koszuli nocnej. – Najlepiej rano. Co to właściwie jest?

– Obstawiam, że damska skarpetka – warknęła Margueritte, w przypiływie frustracji potrząsając kryształową kulą.

– Przynajmniej wiemy, że Kat zabrała swoją kulę. Mówię, spróbuj rano.

– Może zauważą, że im plecak świeci od środka.

– Czy Vince ma lekki sen?

– Potrafi spać w dylizansie i na okręcie, kiedyś zasnął podczas sztormu na pełnym morzu – odparła Margueritte.

– No widzisz. – Belinde rozłożyła ręce. – Kathryn czasem śpi konno.

– Natomiast Amandine nie dotknie kuli nawet końcem bardzo długiego kija – dopowiedziała Meg. – Unika kontaktu z magią, chyba że to kwestia życia i śmierci. Albo dotyczy malarstwa. Ciekawe, jak Weyland namówił ją do przyjęcia laski.

– Oj tam. – Czarodziejka machnęła ręką. – Robi się bardziej wyluzowana, kiedy tylko znikniesz z horyzontu. Chyba cię nie lubi.

– Nie musi. – Margueritte skrzyżowała ramiona.

Kłębiło się w niej tyle emocji, że miała trudności z rozłożeniem ich na czynniki pierwsze. Jej hipoteza okazała się prawdziwa! Vincent Thorpe był Magiem Pustki, a to zmieniało dosłownie wszystko, co wiedziano o aktywacji Źródeł. Dokonał Przejścia na drugą stronę świata – jako pierwszy agent Gildii od ponad dwustu lat (nie licząc jej samej, ale trzeba uczciwie przyznać, że trafiła tu przypadkiem). Sama jego obecność w Bretanii mogła mieć daleko idące konsekwencje. Poza tym niewątpliwie groziło mu niebezpieczeństwo. Jemu, Kathryn i tej aroganckiej artystce Amandine Cerise, z którą chciał założyć rodzinę. Czy armia Płomienia zdąży przejść przez góry, żeby ich uratować?

– Meg... – Poczula na ramieniu dotyk dłoni Belinde i aż podskoczyła. Miała wrażenie, że cała się składa z materiałów wybuchowych. Przyjaciółka wcale się tym nie przejęła, przeciwnie, wyściskała ją aż do utraty tchu.

– Puszczaj... – kaszlnęła czarodziejka. – Udusisz mnie.

Poczuła jednak, że jej mięśnie rozluźniają się lekko, a emocjonalny tumult nieco przygasa.

– Nie uduszę – odparła wesoło Belinde – bo jutro musisz być na chodzie, żeby oszlifować soczewkę. Nie wierzę, że Kathryn i Vincentowi udało się przejść. Co wy, szpiedzy, mówicie w takich okolicznościach? Ku chwale Arborii? Wiwat królowa?

Margueritte z wyraźną satysfakcją użyła dosadnego czasownika.

– Arthur mógłby być zainteresowany – rzuciła lekko przyjaciółka, narażając się na ciskające gromy spojrzenie. – Sama twierdzisz, że jak na staruszka jest całkiem żwawy.

– Idź spać, zła kobieto! – fuknęła Meg, żałując, że nie ma poduszki, żeby móc nią rzucić. – Złożyłam śluby czystości. Oni się tutaj nie myją.



18 Mai 753 AG

**P**rognozy pogody były znakomite.

Margueritte i Belinde rzuciły uroki całą noc. Zwolnione wreszcie z obowiązku szlifowania soczewek, mogły poświęcić całą dostępną energię na przewidywanie kierunku wiatru i ruchu chmur. W tym czasie obóz pospiesznie się związał. Błyskawicznie zlikwidowano warsztaty i kwatery, zapakowano dobytek na wozy, dopięto zbroje. Świt zastał na rozległych pastwiskach jedynie śmieci, zasypane latryny, rozdeptaną ziemię i okazjonalnych maruderów z taboru.

Czarodziejki podczas pracy niewiele interesowały się taktyką, a informacje o ruchach wojsk przyjmowały jako zwykłe ciekawostki. Miały jedynie ogólne pojęcie o zabiegach Theresy, żeby wywołać wrażenie poszukiwania słabiej bronionego przejścia przez góry. Przeciwnik z pewnością rozumiał, że nawet Płomień nie wygra z geografią i nie przeczuci przez wąskie gardła całej armii, ale nie mógł sobie też pozwolić na to, by oddziały wroga jak gdyby nigdy nic przeszły przez granicę, więc zabawa w chowanego trwała w najlepszej formie. Wzdłuż pasma górskiego Les Chandeliers kłusował w tej chwili pułk lekkiej konnicy z Saint-Jean d'Azure, a kilka niedużych, ale zajadłych kompanii najemniczych siało ferment, napadając na strażnice. W ciągu ostatnich dni wiele takich wypraw wróciło do rdzenia armii – nie wszystkie naraz, żeby nie wywołać przedwcześnie wrażenia mobilizacji. Mieli co robić, ponieważ armia Królestwa Bretanii obsadziła kilka fortów i splądrowała parę wiosek po drugiej stronie granicy (jeden z powodów, dla których książę de Tourmaline tak chętnie przyłączył się do sprawy). Jak wcześniej podejrzewała Margueritte, poza trzonem armii wroga nie znaleziono żadnych wskrzeszeńców.

Kiedy po dwóch dniach marszu czarodziejki znalazły się z powrotem w Dolinie Montségur, zmiana szyku wojsk okazała się szokująca. Dla Meg i Belinde najważniejszą część składu stanowiła nowo uformowana brygada

alchemiczna, ale zupełną innowacją było to, że piechotę wysunięto na front. Konnej szarzy w ogóle miało nie być. Oddziały mieczników i toporników, wspomagane kompaniami kuszników, stanowiły forpocztę. Płomień wiedziała, że chodzące trupy, które nie zwracają uwagi na rany odniesione w bitwie, są niezwykle trudne do unieszkodliwienia, ale zawsze można je unieruchomić, siekając ostrym metalem na kawałki. Dopiero za piechurami umieszczono kilka setek konnych łuczników. Generał wzięła sobie do serca radę, aby strzelać w pustkostwory, czym się tylko da. Najsprawniejsi z łuczników mieli celować w ksenowurmy. Chociaż strzały ześlizgiwały się po chitynie, można było zranić potwory w oko lub w delikatny otwór gębowy, a ich okazałe rozmiary ułatwiały to zadanie. Kilkoro strzelców to żadne wyzwanie dla dorosłego wurma, ale kilkuset zupełnie zmienia postać rzeczy.

Brygada alchemiczna jechała oflankowana konnymi łucznikami, chroniona przynajmniej przed pierwszym atakiem wroga. W jej skład wchodziły trzy maszyny bojowe oparte na soczewkach pierścieniowych razem z obsługą (czyli Meg, Belinde oraz Arthurem), a także trebusze wyposażone w dobrze chronione zapasy zapalających ładunków, butli oleju skalnego i zwyczajnych, aczkolwiek okazałych kamiennych kul. Zasięg tych wszystkich urządzeń pozwalał na bezpośrednie rażenie oddziałów przeciwnika. Dodatkowo na obrzeżach oddziału ustawiono dwudziestu ludzi wyposażonych w obiecane wcześniej Theresie von Feuerstein nowo odlane rusznice. Belinde podejrzewała, że połowa z nich eksploduje podczas pierwszej bitwy – mianowani na rusznikarzy miejscy kowale byli świetnymi rzemieślnikami, ale pośpiech poważnie obniżał jakość ich pracy. Tak czy owak, broń palna stanowiła ostatnią linię obrony przed pustkostworami. Jeśli wierzyć Meg, rusznice lepiej niż strzały dawały sobie radę z pancerzem ksenowurmów i mogły odegrać decydującą rolę w bezpośrednim starciu.

Zanosilo się na bitwę mrówczą, powolną i jako żywo przypominającą oblężenie twierdzy.

Margueritte przez cały ten czas była rozedrgana, co skutecznie uniemożliwiało jej koncentrację. Zdążyła już sprawdzić kulę magiczną kilkadziesiąt razy i niezmiennie witał ją widok zmiętej odzieży, ze skarpetką w kwiatki na pierwszym planie. Czy rzeczywiście zginęli? Czy wieśniak miał rację? A może po prostu uciekając w pośpiechu, zgubili bagaż? Albo zostali obrabowani,

uwięzieni przez zakonników, poddani torturom... Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak silnie przejmowała się losem jakichkolwiek ludzi. Ale przecież Vince – i Kathryn też – nie byli pierwszymi lepszymi ludźmi.

Na szczęście tym razem Belinde Chamomille rzuciła się w wir gorączkowej pracy i przejęła dowodzenie. Odziana w pełen żołnierski rynsztunek – kolczugę i skórzane spodnie, z przypasanym mieczem, krążyła pomiędzy machinami obłąnycznymi, udzielając ostatnich instrukcji. Nie robiła wrażenia przebranej. Gdzieś w długim życiorysie lady de Branche d’Emeraude tkwiły lata służby w wojsku. Albo gry w teatrze. Jedno i drugie wydawało się całkiem prawdopodobne.

Ciężkie koła rozjeżdżały tłustą, miękką ziemię, wszędzie dało się słyszeć nawoływania, skrzywienie osi, końskie parsknięcia. Margueritte stała na zabłoconym podeście, trzymając się drewnianych uchwytów, a nad nią wznosiła się zakryta płótnem zamocowana w ramie soczewka, jeden z trzech cudów techniki stworzonych połączonym wysiłkiem wiedźm Arborii i Bretanii. Dzięki wyrytym w szkle koncentrycznym pierścieniom była prawie płaska i znacznie lżejsza niż tradycyjna soczewka, zdatna do umieszczenia na wysokim stelażu i transportowania jej konno, nie wspominając już nawet o sporo lepszej sile skupienia światła, poprawionej jeszcze urokiem podwyższającym przejrzystość materiału (niestety, działał jedynie tymczasowo).

Słońce ogrzało plecy Margueritte i jej umysł machinalnie wskoczył na właściwe tory. Oceniała kąt padania i natężenie późnowiosennego światła, a wzory rozwijały się przed nią na podobieństwo serpentyny. Była zdrowa, wypoczęta i trzeźwa jak kryształ lodu. Obliczenia zmieniały się w odruchy, prostsze przekształcenia dokonywały się gdzieś w tle. Wrodzone predyspozycje i dwieście lat doświadczenia sprawiały, że liczyła instynktownie, podobnie jak wyszkolony pianista nie musi myśleć o kolejnych akordach. Krzyknęła na pomocników i umówionymi gestami zaczęła przekazywać informacje konieczne do ustawienia maszyny, gdy tylko dotrą do właściwego punktu na wzgórzu. Obsługa pozostałych machin bojowych, trebuszy i armat przypatrywała się jej z podziwem; może uważali, że rzuca zaklęcia.

Zewsząd otaczali ją ludzie i konie. W powietrzu unosił się zapach potu. Dobosze i trębacze nadawali kierunek przetaczającej się armii. Na ułamek

sekundy Meg straciła koncentrację, uświadamiając sobie, że znalazła się w samym środku tłumu, ustawionej w szyk ludzkiej masy, poruszającej się jak jeden gigantyczny wielokomórkowy organizm. Zrobiło jej się duszno, poczuła, jak wpada w panikę. Opanowała się dopiero po chwili.

Szli cały czas pod górę, a Meg na bieżąco przeliczała koordynaty. Gdzieś daleko przed nią rozległy się krzyki i z hukiem wypaliła armata przeciwnika, potem druga. Heroldowie dali znak i brygada alchemiczna stanęła. Z przodu toczyła się już walka, ale Margueritte niczego jeszcze nie widziała. Coś tam się zakłębiło na wzgórzu i chyba oddział kuszników odjechał na lewą flankę, później odłączyła się część konnicy. Wróg ufortyfikował się pod ich nieobecność. Może tym razem zrezygnowali z umarłaków?

Szybko porzuciła tę nadzieję, gdy oprócz woni potu, krwi, rozgrzanej skóry i metalu wyczuła lekki, ale wyraźny odór padliny i chemikaliów. Wrzask i tumult nieco się zbliżyły. Stanęła na palcach na swoim podeście, ale nic nie zobaczyła; zerknęła w stronę Belinde, która ze swoją machiną znajdowała się na samym szczycie wzniesienia i miała nieco lepsze pole obserwacji. Lady Chamomille trzymała w ręku lunetę i skupiona spoglądała przed siebie. Margueritte pomyślała, że to dobry moment na włączenie osłony przed skażeniem, i przekreśliła gałkę na bransoletce; jej sylwetkę otoczył metaliczny blask.

Wreszcie herold zatrąbił dwa razy, dobośz zabębnił w werble i wśród pokrzykiwań żołnierze załadowali trebusze. Powtarzane przez całą armię sygnały opisywały malejący dystans do kolumny wroga. Tyle wystarczyło dobrze wyszkolonej obsłudze, żeby wiedzieć, kiedy zacząć strzelać, tak aby nie trafić we własne oddziały. W powietrze pofrunęły butle oleju skalnego, roztrzaskując się gdzieś w tłumie chodzących trupów.

Następnie dano sygnał dla soczewek.

Pociągnięciem sznurka Margueritte zrzuciła ochronny materiał. Dwie dźwignie obróciły szkło na wysokim stelażu, kilka metrów nad jej głową. Dystans, kąt padania światła, ogniskowa. Oślepiająco jasna wiązka promieni słonecznych skupiła się daleko za linią frontu. W oddali buchnął ogień i dym. Gdzieś z przodu miecznicy rąbali umarłaków na kawałki, a strzelcy szpikowali kapłanów jak poduszeczki na igły. Spocona, skoncentrowana Margueritte

obserwowała niebo, w każdej chwili gotowa do zmiany kąta nachylenia soczewki.

Zatrzęsła się ziemia.

Werble zagrały jeszcze raz.

Po zboczach sunęły dwa obłe, pękate kształty pokryte czarnym, lśniącym chitynowym pancerzem. Miały kilka dobrych metrów długości i mimo ogromnych rozmiarów poruszały się z prędkością galopującego wierzchowca. W dłoniach Margueritte niemal z własnej woli zawirowały różdżki i dwa elektryzujące czarne pociski uderzyły w ksenowurma. Równocześnie poszybowało w powietrze kilkaset strzał. Huknęły karabiny. Margueritte usłyszała za sobą grzmot, jakby upadło coś bardzo ciężkiego, i kwik śmiertelnie rannych koni. Jeden ksenowurm padł, ale w jej stronę zmierzał kolejny. W jednym z dwunastu paciorkowatych oczu tkwiła strzała, chitynowy pancerz w kilku miejscach uszkodziły kule. Jednak nadal żył. Wpadł w tłum łuczników, torując sobie drogę potężnymi splotami i zieloną, żrącą substancją, którą strzykał z pyska. Cuchnęło kwasem solnym.

Meg nie czekała. Wpakowała w bestię kolejne ładunki, celując w uszkodzony pancerz. Odrzuciła jedną z różdżek, już zużytą, i mimowolnie dobiła kolejnej.

W ogniu bitwy czas płynął inaczej. Sekunda wydawała jej się całą wiecznością. Wurm upadał, dookoła wycofywali się konni łucznicy.

„Czy kapłani mają więcej ksenowurmów, czy może teraz poślą trolle?” – myślała gorączkowo i liczyła ładunki.

Tymczasem ziemia trzęsła się coraz silniej. Cokolwiek to było, zbliżało się. Niebo pociemniało. Soczewka przestała skupiać światło słońca. Margueritte zagryzła usta i wzięła trzecią różdżkę między palce. Miała bardzo nieprzyjemne podejrzenia. Kątem oka zerknęła na Belinde, która właśnie odrzuciła na podest dwie zużyte różdżki.

Nadeszło.

Żadne podręczniki, monografie, raporty ani legendy nie opisywały czegoś tak wielkiego. Atlasy mówiły o ksenowurmach osiągających długość sześciu, siedmiu metrów, ale ten miał ze dwadzieścia i teraz wznosił się nad polem bitwy jak kobra. Jego chitynowy pancerz opalizował, jakby zrobiony z żużlu.

W okolicach Iba, tuż za pyskiem, założono mu uprzęż i siodło, na którym nieruchomo siedziała drobna, ciemna sylwetka.

Belinde coś krzyczała, Meg nie rozumiała co. Obydwie wypaliły z różdżek. Powietrze wypełniło się oślepiającą mieszaniną zaklęć. Zgodną salwą huknęły rusznice. Dookoła żołnierze opuszczali trebusze i dawali nogę, konie płoszyły się, uniemożliwiając łucznikom oddanie strzału. Monumentalny wurm zanurkował prosto na soczewki, w pierwszej kolejności celując w maszynę bojową Arthura. Kilka uszkodzonych, luźno wiszących płatów chityny upadło na ziemię.

Stary czarodziej od dawna leżał na podeście, osłaniając głowę rękami. Belinde odpaliła lodową różdżkę, wznosząc krystaliczną ścianę między Arthurem a wurmem; z drugiej strzelała rozgrzaną do białości plazmą. Margueritte nie wiedziała, kiedy nogi same sprowadziły ją z maszyny na błotnistą ziemię. Biegła w stronę Arthura, posyłając zaklęcia prosto w oczy pustkostwora. „Może i jest duży – myślała gorączkowo – ale to znaczy, że łatwiej trafić w jego słabe punkty”. Suknia kleiła jej się do kostek, płuca wypełniały się odorem kwasu solnego.

Nagle wykrywacz skażenia uruchomił się i zawył ostrzegawczo, a następnie zaczął cykać z zawrotną częstotliwością. Natężenie mocy Pustki gwałtownie przekroczyło normę. Od strony jeźdźca bluznęła fala ciemnej materii, przypominającej roztopioną smołę. Przebiła lodową ścianę i uderzyła w Arthura. Wrzeszczał przeraźliwie, podczas gdy jego ciało wysychało i starzało się w zawrotnym tempie; skóra opinała się na kościach jak na mumii. Po uderzeniu detektor przycichł na chwilę, a potem znów rozdzwonił się alarmująco. Padł drugi strzał.

Margueritte nie myślała wiele; kierował nią instynkt. Widząc Arthura dokonującego żywota w męczarniach, wyszarpnęła z włosów grzebień Dwudziestej Cesarzowej Triumwiratu – starożytne dzieło magiczne, to samo, które ochroniło czarodziejki podczas przejścia na drugą stronę świata. Uniosła go wysoko nad głowę i wybiła w górę lodową strzałą. Rubiny zaśniły w słońcu.

W założeniu grzebień wytwarzał barierę chroniącą przed najwyższymi stężeniami mocy Pustki. Nie zaprojektowano go z myślą o zastosowaniu bojowym. W normalnych warunkach ochrona dotyczyła właściciela przedmiotu

oraz ludzi w bezpośredniej bliskości. Nie powinien się uruchamiać bez kontaktu z posiadaczem.

Jednak, jak większość artefaktów z okresu starożytności, grzebień był przeznaczony wyłącznie dla użytkowników magii i namierzał ich, wykrywając ludzką energię magiczną. Bezpośredni kontakt z zaklęciem bojowym oszukał jego system detekcji, wskutek czego kilka metrów nad ziemią, w zetknięciu z gwałtownym wzrostem energii Pustki, starożytna osłona eksplodowała. A ponieważ ksenowurm właśnie się pochylał, aby dać jeźdźcowi możliwość ataku, rozszerzająca się ochronna sfera trafiła prosto w siodło, neutralizując skażoną moc. Uderzenie zerwało uprząż. Jeździec, chwilowo pozbawiony energii Pustki, nie mógł zahamować upadku – odbił się od podestu Arthura i pisał o ziemię. Belinde nie czekała, natychmiast przypuściła zmasowany atak z ostatnich różdżek.

Pozbawiony pana ksenowurm wahał się przez chwilę. Był już ranny, stracił połowę z dwunastu oczu, chitynowy pancerz tu i ówdzie zwieszał się z niego smętnie. Zakreślił się w miejscu, usiłując unikać pocisków, które Meg z zaciśniętymi zębami słała w niego. Kiedy dołączyła się do niej kolejna salwa rusznic, podjął decyzję i równie błyskawicznie, jak się pojawił, zrejterował z pola bitwy, zostawiając za sobą ślady ciemnej mazi, cichnące trzęsienie ziemi, chaos i destrukcję.

Meg oparła dłonie na kolanach. Ktoś wznosił okrzyki tryumfu. Gdzieś daleko herold nawoływał do przegrupowania. Atak był skoncentrowany na soczewkach, dlatego większość trebuszy ocalała. Bitwa toczyła się dalej. Stracili chyba połowę łuczników, większą część machin bojowych oraz jedną soczewkę...

Zamknęła oczy. Arthur wiedział, w co się pakuje, kiedy chciał iść na front. Mogli przeskoczyć kogoś innego. Niejeden rzemieślnik, niejeden żołnierz chętnie by go zastąpił. Westchnęła i spojrzała na lodową różdżkę, którą nadal dzierżyła w dłoni. Przedostatnia... Poszukała wzrokiem grzebienia Cesarzowej. Leżał w ziemi, pęknięty równo na pół.

Bransoleta osłaniająca ją przed skażeniem zmatowiała, znikło połyskujące miedzią pole ochronne. Znalazła się za blisko zaklęcia, które zabiło Arthura, i stężenie mocy Pustki okazało się zbyt wysokie. W dodatku detektor nadal cykał. W stopniu, który budził jej obawy. Swędziała ją ręka.

Na prawym nadgarstku widniało oparzenie.

Mała wypalona plamka, nie większa niż główka szpilki.

\* \* \*

Czternastego maja 753 roku po Wojnie Rozdarcia armia Pochodni Wyzwolenia, prowadzona przez Theresę von Feuerstein, odniosła druzgocące zwycięstwo nad zebranych przy południowej granicy wojskami Królestwa Bretanii. Przez cały dzień Przełęcz Gwiazdzistych Szafirów tonęła w ogniu, a w powietrzu unosił się duszący, chemiczny smród wskrzeszeńców. Ciało, nasycone odczynnikami, zapalały się jak gałazki. Utrwalacze parowały w wysokiej temperaturze, a razem z nimi wyczerpywała się ożywiająca trupy skażona moc.

Wiosenny górski krajobraz uległ całkowitej dewastacji. Kosodrzewina i krzewinki porastające przełęcz spłonęły na węgiel, o ile wcześniej ich nie zdeptano. Białe jak kość wapienne skały, które tu i ówdzie wychylały się spod ziemi, poczerniały, wchłaniając prócz dymu resztki skażenia i toksycznych chemikaliów. Pożar nie rozprzestrzenił się niżej, w zalesionej dolinie, tylko dzięki naturalnym barierom. Gdzie okiem sięgnąć, widać było wypaloną ziemię zasłaną trupami wroga, żołnierzy Pochodni i koni, a także groźnymi jeszcze po śmierci szczątkami pustkostworów.

Piechota nieubłaganie postępowała naprzód. Miecznicy i topornicy żmudnie wyrąbывali sobie drogę przez ożywionych zmarłych. Wiele zniszczenia siały trolle. Zwolnione z obowiązku ustawiania nieumarłych w szyk urządziły piechocie krwawą łaźnię. Czarodziejki zużyły na nie resztki różdżek, przydało się także dwanaście ocalałych rusznic (pięć z nich wybuchło podczas walki z wurmem). Nagie pnie drzew i kikuty drewnianych fortyfikacji tliły się jeszcze tu i ówdzie, gdy wojska Theresy von Feuerstein przetoczyły się przez przełęcz. Wreszcie i ciężka jazda rozwinęła się do szarzy na obóz wroga, a za nią kilka tysięcy pikinierów, którzy jeszcze nie brali udziału w walce. Tym razem poszło szybko i dowódcy królewskich wojsk zarządzili odwrót.

Dziwna to była bitwa, a jeszcze dziwniejsza noc, która po niej nastąpiła. W zwykłych okolicznościach w Utraconej Bretanii toczono wojny zarówno dla celów strategicznych, jak i sutych łupów. W bezpośrednim zwarciu każdy



dobierał sobie jak najmożniejszego przeciwnika; dotyczyło to zwłaszcza rycerzy, którzy chętnie przywłaszczali sobie wierzchowce, bogato zdobione końskie rzędy i co lepsze odzienie. Tym razem strach przed skażeniem sprawił, że nie splądrowano nawet obozu. Armia Płomienia nie rozłożyła się na wieczór w tym samym miejscu, co poprzednio bretańskie wojska. Poszli dalej na północ; po drodze ogołocili jedną wieś ze wszystkiego, co jadalne. Maszerowali nocą, w blasku wyjątkowo jasnego księżyca. Dopiero gdy niebo zaczęło przybierać barwę morskiej konchy, Płomień zarządziła postój w Dolinie Fleur d'Obsidienne, na obrzeżach hrabstwa de Torquis. Ludzie i wierzchowce odetchnęli z ulgą. Zaczęto kopać latryny. Tabor powoli, wóz po wozie, dołączał do trzonu armii. Tego dnia żołnierze spali długo, ciężko i – miejmy nadzieję – bez snów.

O świcie Margueritte siedziała przed namiotem na zydelku, wpatrzona niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Zmęczonymi stopami, obutymi w rozpadające się trzewiki, machinalnie rozgarniała wygniecioną trawę. Prędzej czy później jak zwykle po zielonej łące zostaną tylko żałosne, wytarte kępki i dużo błota. Masakra w Loranne czy podbój Królestwa Bretanii, wojna słuszna czy niesłuszna – wszystkie były do siebie podobne.

Gdyby Arthur przeżył, gdyby udało mu się spotkać Vincenta albo wręcz przenieść się do Arborii, odzyskałby magię, dostał drugą życiową szansę, rozwinął potencjał. Ciekawe, czy zdołałby odrobić zaległości; czy ciekawość świata zwyciężyłaby rutynę i dumę. Starsi ludzie – zwłaszcza tacy, co dosłużyli się już pewnej pozycji – niechętnie wchodzili w rolę uczniów, tymczasem Arthur rozpracowywał nowe uroki z pasją nastolatka, odkurzał zapomniane umiejętności matematyczne, przyswajał zupełnie obce koncepcje inżynierskie. Przez bardzo krótki czas żył marzeniem, które kilkadziesiąt lat temu spisał na straty.

Machinalnie podrapała bandaż. Czuła, jak z wolna rozszerza się pod nim opuchlizna. Jeszcze nie bolało, ale to było nieuniknione. Nawet nie próbowała zażywać eliksiru wiążącego skażenie, chociaż została jej ostatnia porcja. Przy takiej dawce reakcja organizmu zabiłaby ją szybciej niż Piętno.

Będzie musiała podjąć decyzję. Wiedziała, że nie zniweczy skutków skażenia. Toksyczna moc krążyła w jej żyłach już od chwili, gdy dotknął ją odprysk tamtego zaklęcia. Ale jeśli ręka okaże się nie do uratowania, trzeba zapobiec gangrenie. Zamknęła oczy. Od wielu lat igrała z ogniem, zajmując się historią

Wojny Rozdarcia, usiłując odtworzyć tajemnice magii Cesarstwa Triumwiratu. Wielokrotnie zażywała eliksir wiążący skażenie, a kiedyś dwa lata spędziła na przymusowym urlopie ze względu na wchłoniętą dawkę energii Pustki. W końcu ryzyko się urzeczywistniło. Coś w tym było, że aktywni zawodowo czarodzieje często nie dożywali starości.

Na skraju pola widzenia poruszył się rąbek błękitnej sukni. Uniosła głowę. Belinde stała nad nią z założonymi ramionami. Nie przypominała zwykłej, olśniewającej siebie. W kącikach jej ust odznaczały się bruzdy, włosy miała pociemniałe od tłuszczu, zbite w strąki i związane w gruby kucyk. Pod oczami malowały się sińce.

– Przemyślałam to. Mogę wyciąć samą tkankę i ominąć ścięgna – powiedziała.  
– Zregenerują ci w Avalonie.

– Wiem, jak mocno oberwałam – mruknęła Margueritte. – Daruj sobie. Jeśli nie zmutuje, to zgnije.

– Zaczekaj. Znajdziemy Vincenta i... – zająknęła się Belinde.

– Może. – Meg spojrzała w niebo. – Powinien wiedzieć, gdzie jesteśmy, prawda? Chyba że sam wpadł w większe kłopoty. Nie są przeszkoleni, Belle. Nie mam pojęcia, czy jego trening na sucho dał jakiegokolwiek efekty. Staralam się, żeby jak najszybciej po aktywacji Źródła mógł już coś z nim zrobić, ale to eksperymentalna metodyka. Dwadzieścia cztery lata. Czy wiesz, że kiedyś właśnie tyle trwał okres terminowania? – westchnęła. – No tak, ale wtedy jeśli uczeń chciał zdobyć jakąkolwiek poważną wiedzę, musiał ją mistrzowi wykraść. A teraz pierwsze roczniki wkuwają podstawy na kursach.

– Jest z nimi Kat – odparła uspokajającym tonem Belle. – A ona całkiem nieźle daje sobie radę w terenie. Jedyne, czego jej brak, to wiara w siebie, którą zdobywa się całkiem szybko, gdy tylko człowiek zaczyna działać samodzielnie.

– Masz rację. Może to najwyższa pora, żeby stali się samodzielni – mruknęła Meg pod nosem.

– Meg. Kochana, jeszcze nie umierasz.

– Ależ wręcz przeciwnie. – Zacisnęła dłonie na kolanach. – I dobrze o tym wiemy. Sęk w tym, że powoli i boleśnie, więc żywimy nadzieję, że coś się da w tym czasie zrobić.

– Margueritte. – Belle zagryzła usta, a potem opanowała głos. – No dobrze. Jaki masz plan?

– Plan? To znaczy?

– Zawsze masz jakiś plan awaryjny. To do ciebie niepodobne, żeby usiąść i czekać, co przyniesie los. Vince mógłby pomóc. Nawet jeśli nie potrafi jeszcze uzdatniać mocy Pustki, wystarczyłoby go poinstruować, akurat w przetwarzaniu energii ma dużą praktykę. Będziesz na chodzie jeszcze co najmniej przez kilka tygodni. Jeśli ludzie Blancheta wpadną na jego trop...

Na moment zapadła cisza.

– Spróbuj zdobyć jakieś żarcie – powiedziała wreszcie Meg. – Lepiej się najęść, dopóki mogę utrzymać coś w żołądku. Czy wiesz, czego potrzebuje Płomień do skutecznych podbojów?

– Spluw – odparła Belle bez wahania. – Mnóstwa spluw.

– Informacji. – Margueritte pokiwała palcem w powietrzu. – A my potrafimy je zinterpretować. W taki sposób najlepiej jej się przydamy – teraz, kiedy wyprztykałyśmy wszystko, co magiczne. Dobrze byłoby zinfiltrować obóz wroga i dowiedzieć się wszystkiego, czego potrzebujemy, włącznie z prawdopodobnym miejscem pobytu mojego ucznia. Mogę się tym zająć osobiście. Ja już nie muszę się bać skażenia...

– Mam wrażenie, że mylisz Piętno z chorobą dziecięcą – przerwała jej ostro Belinde. – Każda dodatkowa dawka szybko pogorszy twój stan.

– Przekonam mnichów, że teraz jestem po ich stronie. Oni na pewno znają jakieś sposoby na przedłużenie sobie życia. Zdobędę informacje, zdobędę czas.

– Jak cholera – warknęła Belle. – Nikt cię nie będzie sprowadzał na ziemię i korygował twoich entuzjastycznych pomysłów. Beze mnie, bez Vincenta zginiesz w ciągu pięciu minut. Albo zostaniesz przekabacona za pomocą hipnozy, kontroli umysłu, nieważne. Oni posługują się mocą, my nie. Rzeczywiście, niezły plan.

– Tak uważasz? – Głos Margueritte stał się nieprzyjemnie skrzekliwy i wysoki.

– Tak, stanowczo tak uważam.

Meg nabzdyczyła się nieco.

– Chciałam cię poprosić o postrzyżyny, zanim włosy zaczną mi wypadać – odezwała się urażonym tonem – ale sądzę, że mogę je tak zostawić. Idę spać.

– A idź sobie. Byle z dala ode mnie, żeby mnie przypadkiem nie napromieniować – prychnęła czarodziejka. – Porozmawiamy o tym rano.

– Już jest rano – burknęła Meg.

Wsparła dłonie o kolana i ciężko dźwignęła się ze stołka. Czy już poczuła ukłucie Piętna, czy to tylko nerwoból? Czy skóra pod bandażem wciąż czerwienieje i puchnie, czy tylko jej się tak zdaje? Czy rosnące zmęczenie bierze się wyłącznie z niewyspania?

Podniosła z ziemi oliwną lampkę i zgasiła jej płomień energicznym dmuchnięciem. Słońce wspinało się coraz wyżej nad horyzont i jego ostry poranny blask raził w oczy. Z ulgą dotarła do osobnego namiotu, o który poprosiła wcześniej, żeby nikogo nie narażać na skażenie. Odchyliła gęsto tkane, nawoskowane płótno i opadła na drewnianą skrzynkę, służącą jej za stołek i szafkę równocześnie. Na widok posłania, miski owsianki na mleku i zupełnie nowego wełnianego koca, dostarczonego pomimo długiego marszu po bitwie, łzy nieproszone napłynęły jej do oczu. Ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby znaleźć dla niej siennik pachnący jeszcze świeżą słomą. Pewnie Belinde. A może to wykonany z opóźnieniem rozkaz Arthura?

Machinalnie wymiotła owsiankę, zmieniła suknię na długą koszulę, po czym owinęła się kocem i niemal od razu zapadła w sen.

Spała źle.

Budziła się co chwilę, rozgrzana, z wyschniętym gardłem. Półprzytomna i pogrążona w sennym paraliżu, próbowała sobie przypomnieć coś, czego powinna była dopilnować, ale umknęło jej za dnia. Pomarańczowo zabarwione światło przenikało przez grube płótno i zamknięte powieki, w powietrze wzbijał się pachnący słomą kurz.

Dopiero wieczorem, gdy świat pociemniał i zrobiło się chłodniej, udało jej się pogrążyć w głębszym, nieprzerwanym śnie. Ocknęła się kilka godzin później – gwałtownie, jakby wynurzyła się z lodowatej wody. Leżała skulona pod kocem, zlana potem, serce tłukło się jak po długim forsownym biegu. Miała wrażenie, że z letargu wyrwał ją nieznamy głos, ale w namiocie nie było nikogo. Resztki

sennych majaków? Płótno częściowo odgradzało ją od światła, ale nie od dźwięków, mogła przecież usłyszeć rozmowę prowadzoną na zewnątrz. Odetchnęła głęboko i usiadła owinięta kocem, nie chcąc od razu wystawić ciała w przepoconej koszuli na chłód. Pilnie potrzebowała na stronę; jej ręka pulsowała tępym bólem. Nie potrafiła się pozbyć wrażenia, że coś lub ktoś ją obserwuje. Potrząsnęła głową, żeby się otrzeźwić, i zarzuciła na ramiona płaszcz.

Po powrocie z latryny usiadła przy stoliku, wpatrując się w zawiniętą w bandażę prawą rękę. Nie chciała tego oglądać. Ale trzeba ocenić – zgnije czy zmutuje.

Coś wciąż szeptało z tyłu jej głowy, śledziło każdy jej gest. A może to tylko krew szumiała w uszach.

Powoli odwinęła bandaż. Stopniowo jej oczom ukazały się grube ciemne pręgi, podobne do nabrzmiąłych żył, ciągnące się od nadgarstka aż po łokieć i w drugą stronę, rozpostarte na dłoni jak szkielet liścia. Zgiełk w głowie przybrał na sile. Nie miała już wątpliwości, że ktoś do niej mówi, że przekrzykuje się wiele głosów. Kropla zimnego potu spłynęła jej wzdłuż mostka.

„Szalona Meg...” – wybił się z chóru pojedynczy głos.

„Tak się nazywasz. Tak o sobie myślisz, prawda? Szalona Meg”.

„Spadaj – pomyślała Margueritte. – Spadajcie wszyscy. Won z mojej głowy, pasożyty!”.

„Och, jaka silna – mruzczały głosy. – Jak się opiera. Jakież umysł, ile woli walki. Znakomity nabytek”.

Myśli Margueritte wezbrały zimnym gniewem i tym samym uporem, z jakim podejmowała się rzeczy niemożliwych. Głosy wycofały się ze skomleniem i ucichły.

Wróć, oczywiście, że wróć.

Potarła skroń lewą dłonią, po czym skrupulatnie zawinęła prawą rękę w bandaż. Ostrożnie, bo drżały jej kolana, podniosła się ze skrzyni i nie zatrzymując się ani na chwilę, pomaszerowała do namiotu Belinde. Strażnik zrobił gest, jakby próbował ją zatrzymać, ale gdy tylko ich spojrzenia się zetknęły, cofnął się o dwa kroki i wyprostował na baczność. Margueritte gwałtownie poderwała materiał zasłaniający wejście. Jej przyjaciółka spała,

obejmując koc, zwinięta w kłębek, z niedbale rozrzuconymi włosami. Pochrapywała leciutko.

– Belinde! – zawołała nagle. – Belinde, Belinde!

Przyjaciółka skuliła się na sienniku, mrużąc oczy.

– Mmm. Łeee? – wybełkotała. – Meg? Co się dzieje?

– Tniemy – powiedziała Margueritte de Breville, zwana także Szaloną Meg. – Powyżej łokcia. I to już.

Vincent Thorpe

Utracona Bretania, 1 Juin 753 AG

Z początku pojawiają się przebłyski.

Podparty laską spaceruję noga za nogą po jaskrawozielonej, sprężystej trawie; nade mną słychać świergot ptaków. Ogrzewa mnie południowe słońce.

Siedzę na chłodnych kamieniach, w garści trzymam kilka polnych kwiatów. Naprzeciwko mnie przycupnął wielki bury kot i wpatruje się we mnie, a ja w niego.

Leżę na twardym posłaniu przykrytym świeżo krochmalonym płótnem i płaczę. Nie wiem dlaczego, ale nie potrafię przestać.

Czuję chropowatość zaciskanego w dłoni polnego kamyka.

Słodki, tłusty smak koziego mleka.

Cichy ból zagnieżdżony w mięśniach. Niezdarne próby wejścia po schodach na ganek.

Dopiero pewnego dnia budzę się z łyżką w dłoni, nad miską pachnącej owsianki z kozią śmietanką, poziomkami i jajkiem. Tym razem nie odpływam w nieświadomość. Powoli wraca do mnie poczucie czasu. Unoszę głowę i rozglądam się uważnie. Naprzeciwko mnie nad swoją owsianką siedzi stara kobieta o jasnych szarych oczach, skórze barwy kawy z mlekiem i twarzy pomarszczonej jak suszona morela. Nad nami opiekuńcze konary rozpościera wiekowa, sękata jabłoń. Wszędzie wkoło czuć zapach kwitnących dzikich róż.

Odetchnąłem głęboko i przyjrzałem się własnej dłoni trzymającej łyżkę, jakbym widział ją pierwszy raz w życiu. Gdybym nie wiedział, że jest moja, nie uwierzyłbym. Chuda, koścista jak u starego człowieka, z paznokciami podbiegłymi czarną obwódką. I dlaczego właściwie jem owsiankę lewą ręką? Przecież nie jestem mańkutem.

Z namysłem przełożyłem łyżkę do drugiej ręki i usłyszałem, jak starsza pani gwałtownie wciąga powietrze w płuca. Jak ona ma na imię? Nie pamiętałem. Może nigdy go nie poznałem? Chciałem ją jakoś uspokoić, więc otworzyłem usta i... i tyle. Z bliżej nieznanego powodu słowa nie mogły się uformować. Chociaż wiedziałem, co chcę powiedzieć, znikwały w chwili, gdy już zamierzałem je wymówić, rozplywały się w masę nieskoordynowanych sylab. Kilka z nich wydostało się na zewnątrz. Poczułem się bardzo zażenowany.

Staruszka o coś mnie zapytała i w pierwszej chwili nie zrozumiałem. Nie mówiła po arboriańsku. Pytanie brzmiało jak zadane w bardzo dziwnym starobretonskim, ale kto używa tego martwego języka oprócz czarodziejów i uczonych? Stopniowo, odkurzając dawno zapomniany nawyk, przetłumaczyłem je sobie. Nagle wszystko wskoczyło na właściwe miejsce. Wiedziałem już, co to za dialekt i gdzie się znajduje.

– Czy mnie rozumiesz, chłopcze? Jak się czujesz?

Otworzyłem usta, ale słowa nadal nie chciały mnie słuchać. Im bardziej się koncentrowałem, tym pręcej rozpierzchały się na języku. Nieco sfrustrowany, zrezygnowałem z prób wysłowienia się i skinąłem głową.

– Nie możesz mówić?

Znów przytaknąłem. Niepewny, jak dalej prowadzić tę konwersację, wskazałem na miskę z owsianką i uśmiechnąłem się z aprobatą. Pochwała dla gospodyni to zawsze dobry pomysł.

Trochę się wystraszyłem, kiedy moja rozmówczyni pociągnęła nosem i zaczęła płakać. Ostrożnie podniosłem się ze stołka i opierając się o jasny sosnowy stół, przemieściłem się w jej stronę. Czułem, że nie powinienem się forsować – moje kolana drżały, z jakiegoś powodu szczególne trudności sprawiała prawa strona ciała. Położyłem dłoń na jej ramieniu w geście otuchy. Chlipnęła jeszcze kilka razy i złapała mnie za rękę.

– Mojemu mężowi nigdy się nie poprawiło – szepnęła. – Przeżył chorobę, tak jak ty, ale był jak dziecko. Jeszcze przez wiele miesięcy, aż zmarł.

Wiele miesięcy? Ile czasu minęło, odkąd zachorowałem? Rozejrzałem się z lekkim niepokojem. Wśród gałęzi jabłoni kryły się małe zielone owoce, powoli przekwitały dzikie róże. Po trawie biegały podrośnięte już, w pełni samodzielne



kurczęta. Jak wiele czasu spędziłem w stanie półsnu w obcym kraju, zaniedbując misję, od wyniku której zależał stan świata i życie mojej mentorki? Gdzie pozostali? Zatrzęsło mną. Gdzie Amandine?

Zacząłem wyrzucać z siebie niezrozumiałe, gwałtowne sylaby. Starsza pani uspokajająco poklepała mnie po ramieniu.

– Och, chłopcze. Nigdzie nie idziesz. Nie możesz. Ledwo chodzisz, prawą rękę do dziś miałeś bezwładną. Zjedz spokojnie, odpocznij w ogrodzie, a nuż coś jeszcze do ciebie wróci. Mówili mi, że jesteś czarodziejem.

Jestem?

Nerwowo sprawdziłem obecność Źródła. Tkwiło tam gdzie zawsze, w samym środku mojej sieci energetycznej, buzująca kula światła, jasna, ciepła i swojska. Wskutek długiej nieobecności duchem mój własny umysł wyciął mi numer i teraz już nie postrzegałem niedawno nabytej mocy jako obcej, przytłaczającej czy też budzącej onieśmienie. Źródło było częścią mnie, jak ręka albo noga. Odkąd zaglądałem do niego ostatnio, urosło jeszcze o kilka jednostek i teraz dochodziło do stu piętnastu. Czy to dlatego, że intensywnie pracowało przez cały czas, usiłując przywrócić mnie do życia? Niewykluczone.

Ale czy potrafiłem z niego jeszcze korzystać? Niewątpliwie coś złego stało się z moim mózgiem. Nie mogłem mówić. Czy wciąż umiałem liczyć?

Spróbowałem kilku prostych przekształceń. Powoli zacząłem całkować w myślach. Nadal rozumiałem zasadę, ale szło jak po grudzie. Przeraziłem się, że straciłem znajomość matematyki. Pociemniało mi przed oczami, musiałem oprzeć się o stół. Staruszka poprowadziła mnie delikatnie, żebym usiadł. Odetchnąłem głęboko, wlepiłem spojrzenie w owsiankę. Nagle dotarło do mnie, że jestem bardzo głodny.

Krótki okres aktywności okazał się niezwykle wyczerpujący. Większość dnia spędziłem na wiklinowym krześle w ogrodzie, obserwując krzątanicę Solange – tak właśnie miała na imię wdowa, a nie pamiętałem go dlatego, że nigdy wcześniej go świadomie nie usłyszałem. Ciągle morzył mnie sen, ale starałem się mu opierać. Głupio mi było, że tak siedzę i nic nie robię, podczas gdy wdowa pracuje. Ale przede wszystkim chciałem jak najszybciej przejść do działania. Sądząc po zmianie pór roku, mój letarg trwał co najmniej kilka tygodni (miałem

nadzieję, że nie upłynęły lata!). Nie miałem pojęcia, co się stało z pozostałymi, a przede wszystkim z moją narzeczoną. Czy zostawili mnie tutaj dla rekonwalescencji i bezpieczeństwa? Czy może... Jak przez mgłę przypominałem sobie burzę, dygocące ściany, trzaskające zakłęcia, odór skażonej magii. Kathryn by się obroniła. Ale Amandine? Jak wypytać wdowę, skoro wciąż nie mogłem mówić?

Rozwieszając pranie na sznurze między dwiema jabłoniąmi, Solange opowiadała o przeszłości.

– Nie wiem, ile rozumiesz – zaczęła – ale po twoich oczach widzę, że więcej, niżby się zdawało. Wierzę, żeście czarodzieje. Służyłam we dworze za młodu, zbierałam zioła dla pani de Spinel. Rozpoznam zakłęcie, gdy je zobaczę. Zrzędzeniem Wędrowca pierwsi magowie w Bretanii po latach zjawili się w moim obejściu, zdrożeni i chorzy. Dziwnie się czasem w życiu składa.

Zamilkła.

„Kontynuuj – pomyślałem. – Wiesz przecież, że umieram z niepokojem”.

– Już nie przenosisz zarazy – dodała. – Ja bym zresztą i tak jej nie złapała. Kto tutaj zamieszkał, na bagnach, dawno zachorzał na wiosenną chorobę albo wyzionął ducha na krwawą śmierć. Gdym cię zobaczyła, myślałam, żeś już trup. Oddychający, ale trup. Lada chwila odejdiesz do lepszego świata. Tylko że wcale nie chciałeś. Gorączka spadła, dałam ci wody z butli, jak czasem karmię koźlęta. Wszystko wypijeś. Później dawałam mleka. Jadłeś. Myślałam, że nic z ciebie nie będzie. Roślina, pusta skorupa. Podam napar z lulka, zaśniesz sobie w spokoju. Wahałam się, a ty usiadłeś, chciałeś jeść. Nie umiałam pozwolić ci odejść. Mówiłam sobie: „Czarodziej, kto wie, jakie cuda jeszcze się zdarzą. Tak samo uważała ta młodziotka królowna”.

Oparłem dłonie o poręcz krzesła, jęknąłem pytająco. Milczała, patrząc na mnie ze smutkiem. Zginęli? Muszę wiedzieć.

– Będziesz chciał za nimi iść – powiedziała wreszcie – a nie możesz. Jastrzębie zabrali królownę, dziewczynkę i twoją panią, Wielką Maginię. Chcesz wiedzieć, czy wszystkie trzy są całe i zdrowe. Tego ci nie potrafię obiecać. Ale pojмали je żywcem, zatem były im potrzebne. Nie szukaj ich. Nawet gdybyś zupełnie odzyskał władzę w ciele i moc czarodziejską, a powiem, że zaczynam

już wierzyć w takie cuda, jak jeden uczeń czarodzieja da radę potworom, które zmożły je obie? Kto podaruje ci armię? Zostań tu do zimy. Odpocznij. Wyzdrowiej.

Z powagą pokręciłem głową i położyłem dłoń na sercu. Solange zacisnęła usta i przenikliwie wpatrywała mi się w oczy.

– Rozumiem. Amandine de Branche d’Aure wcale nie jest twoją panią, tylko panią twojego serca, prawda?

Odniosłem wrażenie, że zaszło jakieś nieporozumienie dotyczące tożsamości mojej narzeczonej, ale to było nieistotne. Przytaknąłem.

– Źle pokochać jednego z Wielkich – powiedziała. – Są stworzeni do wyższych celów, kapryśni jak pogoda, niszczycielscy jak dzieci. Moc zatruwa im krew. O nic nie dbają, tylko o siebie.

Podrapałem się w głowę z zakłopotaniem. Może w czarnej legendzie o Magach Pustki tkwi odrobina prawdy. Może powinienem to sobie zanotować w pamięci i pilnować się w razie potrzeby. Ale z drugiej strony tutaj przez dłuższy czas znano tylko Lucjusza. Zapewne istniały przyczyny, dla których nazywano go Szalonym. Bretańczycy mogli mieć równie dokładne informacje jak my.

Bądź co bądź moja szefowa dosłużyła się identycznego przydomku...

Nieważne.

Kim są Jastrzębie? Dokąd zabrali moją narzeczoną? I – no właśnie, dobry pomysł – jak w tym świecie zorganizować sobie armię? To znaczy jakich wrogów mają moi wrogowie? Otworzyłem usta i znowu je zamknąłem. Program minimum, Vince. Skoncentrowałem się. Sylaba po sylabie. Czy pamiętam chociaż, jak się formułuje sylaby?

– A... man... dine... – wychrypiałem nieswoim głosem.

– Chłopcze. – Wdowa Solange rzuciła prześcieradło na balię, podbiegła i objęła mnie ramionami. – Proszę. Nigdzie nie uciekasz. Nie możesz. Nie w tym stanie.

Uspokajająco zacisnąłem dłoń na jej ręce. Miała rację. Nie przeszedłbym bez odpoczynku stąd do ganku, a co dopiero marzyć o wyruszeniu w podróż. I co sobie jeszcze wyobrażałem – że zacznę rzucać zaklęcia bez słów jak czarodziej

z wieloletnią praktyką, chociaż dopiero niedawno przeszedłem aktywację Źródła? Musiałem najpierw odzyskać zdrowie.

Zamknąłem oczy. W mojej wyobraźni zmaterializowała się Amandine, jej włosy jak burza ognia, drobny piegowaty nosek i sylwetka leśnej boginki. Moja driada, gotowa walczyć z całym światem, jeśli ktoś wszedł jej w szkodę. Podała się za Maga Pustki. Trafiła do niewoli, żeby mnie chronić. Pomyśleć tylko, że jeszcze nie tak dawno nie chciała mieć nic wspólnego z czarodziejami. Nie zasługiwałem na nią. W ogóle nie powinna trafić do Utraconej Bretanii, niezależnie od tego, jakimi magicznymi przedmiotami obsypał ją Weyland. Gdyby nie weszła w krąg, Wyrocznia nie zabrałaby jej przecież w podróż. Powinienem zachować się bardziej stanowczo i jakoś wyperswadować jej uczestnictwo w wyprawie. Rzeczywiście, nie dbałem o nic, tylko o siebie.

Teraz rzeczywiście musiałem się skupić na sobie, jeśli chciałem w ogóle ją odnaleźć w tym cholernym kraju. Mięśnie, które tak pracowicie utrzymywałem w formie ze względu na specyfikę pracy z czarodziejami, zanikły. W dodatku po prawej stronie ciała nadal miałem niedowład – pięść nie zaciskała się do końca, powłóczyłem nogą. Nikt by we mnie nie rozpoznał zawodnika, który zdobył kiedyś piąte miejsce w amatorskim okręgowym turnieju Drogi Czapli.

„A poza tym – pomyślałem sobie – jakoś trzeba się odwdzińczyć starszej pani za długotrwałą opiekę nad kaleką. Szybciej zacznę się nadawać do roboty w obejściu niż do rzucania czarów. Do pracy, Vince. Ruszaj się, i to już”.

Podjąwszy wreszcie należytą decyzję, zasnąłem w wiklinowym fotelu jak dziecko, po czym przedrzemałem cały dzień aż do późnego wieczora.

\* \* \*

Następnego ranka obudził mnie chłód. Nie wiem, jaką bitwę toczyłem we śnie, ale prześcieradła były rozkopane, a koc leżał zrzucony na klepisko. Ledwo pamiętałem, że wieczorem dotarłem o własnych siłach do łóżka, czułem się jednak trochę lepiej.

Ostrożnie usiadłem na łóżku – prawdziwym łóżku, a nie zwykłym sienniku, z sosnową ramą wyrzeźbioną w łagodne fale. Dzieło zmarłego męża Solange. I nie było to łóżko małżeńskie, a zatem musiało kiedyś służyć ich dorastającemu

dziecku. Poskrobałem się w głowę. Wieś, do której trafiliśmy za pierwszym razem, wyglądała bardzo prymitywnie. Nie spodziewałbym się, że w Bretanii – w kraju, który cofnął się cywilizacyjnie do Ciemnych Wieków – chciało się komuś rzeźbić meble dla dzieci. W dodatku były tu dwie izby sypialne. Domek wydawał się spory jak na wiejskie standardy, a mąż Solange pewnie wybudował go sam.

Zacisnąłem prawą pięść. Nadal się nie domykała, ale dziś czułem już wszystkie mięśnie. Podejrzywałem, że bez pomocy ubiorę się i dotrę do wychodka, chociaż może to zająć trochę czasu. Proces zdrowienia, który wczoraj skumulował się w odzyskaniu świadomości, nadal trwał. Spróbowałem sformułować jakąś wypowiedź, jednak z moich ust znowu wydobył się tylko bełkot. Brzmiało fatalnie, jakbym nie tylko stracił mowę, lecz także zdrowy rozum. Może na razie lepiej nie próbować się odzywać.

Przywołałem za to w myślach kilka układów Drogi Czapli. Każdy składał się z serii ćwiczeń dla zapamiętania form i nabrania wprawy w ich stosowaniu. Znałem układy uczące postaw obronnych i te bardziej agresywne, z bronią i bez, ale istniało parę takich, które służyły wyłącznie do nawiązania kontaktu z własnym ciałem. Formy były proste, a od jednej do drugiej przechodziło się powoli, harmonizując oddech. Każdy mógł je wykonywać, nawet kaleka.

Jakiś czas później wdowa Solange zagapiła się na mnie i upuściła skopek z mlekiem, na szczęście z niezbyt dużej wysokości. Stałem pod jabłonią w Postawie Trzech Bitew – czy raczej takiej, która ją z grubsza przypominała – kończąc jeden z układów ćwiczeń oddechowych. Chciałbym powiedzieć, że wyglądałem jak wracający do zdrowia wojownik, ale pewnie robiłem wrażenie szurającego nogami anemika. Dłuższą chwilę musiałem uspokajać Sol, na migi zapewniając ją, że nie oszalałem.

Po śniadaniu, za pomocą gestykulacji i upokarzająco namolnych pojękiwań, udało mi się przekazać, że chciałem zobaczyć, czy coś zostało z naszych bagaży. Już mnie morzyła senność, ale bardzo się starałem ogarnąć, ile tylko dawałem radę. Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że czas mi ucieka.

– Jeśli zemdlejesz nad swoimi książkami, nie będę cię znowu zaciągać na płótnie do domu – sarknęła wdowa. – Ostatnim razem pomagał mi Niedźwiedź.

Uniosłem brew. Za moimi plecami coś zaszczekało entuzjastycznie i w zasięgu mojego wzroku pojawił się kudłaty wilkopodobny pies. Sędziwy, ale najwidoczniej całkiem żwawy. Poklepałem się w udo. Niedźwiedź postanowił wylewnie się przywitać, obśliniając mi twarz. Jego oddech niemal ściał mnie z nóg. Jak przez mgłę przypominałem sobie cierpliwą psią obecność, kiedy zasypiałem w ogrodzie albo godzinami tkwiłem na ganku.

– Czarodziejki zostawiły wszystkie tobołki w stodole – dodała Solange. – Przeniosłam do domu, żeby myszy nie pogryzły. Wielka Magini czegoś w jednym szukała, sukni albo lekarstw; był otwarty, stąd wiem, że nosiliście ze sobą cenne księgi.

Poczułem, jak czerwienieją mi policzki. O ile pamiętałem, zostały tam jeszcze dwa zielniki i podręcznik botaniczny. Nie potrafiłem podjąć decyzji i wreszcie ich wyrzucić. Ciekawe, czy składany dom Lucjusza ostatecznie wylądował w bagnie, Amandine cały czas się odgrażała, że pozbędzie się balastu.

Nie upłynęło wiele czasu, a siedząc na łóżku – na wypadek gdybym rzeczywiście zemdlął nad książkami – przeglądałem, co właściwie zostawiliśmy w charakterze niezbędników podczas podróży przez las.

Po tym, jak nasze automagiczne sakwy rozpruły się lub trwale zamknęły podczas podróży na drugą stronę świata, przepakowaliśmy się jak leciało, a stopniowa i nieraz losowa redukcja bagaży tylko pogorszyła sytuację. W plecakach tkwiły wymieszane rzeczy moje, Kathryn i Amandine. Oddzielałem brudną odzież od narzędzi, które jeszcze się mogły przydać. Znalazłem szczyryk o siedmiu ostrzach – z korkociągiem, bo właściwie dlaczego nie, zwój cienkiej, ale mocnej linki, zapasowy działający kompas – Amandine na pewno zabrała ten, który dostaliśmy od Weylanda, nie wyobrażałem sobie jej idącej przed siebie bez żadnych wskazówek – prawdziwe zapalki, ale niestety zupełnie przemoczone. Kiedy zacząłem przeglądać apteczkę i zielniki, oczy Solange zaślniły. Wręczyłem jej jeden z moich starych zbiorów. Odwracała strona po stronie, wymawiając z aprobatą nazwy ziół. Niektóre brzmiały identycznie jak te, które znałem.

Podczas choroby musiałem chyba wychłać wszystkie eliksiry przeciwbólowe i przeciwgorączkowe, chociaż w ogóle tego nie pamiętałem. Pewnie i tak większość z nich wyrzygałem zaraz po wypiciu. Ale zostały środki odkażające, igły, nici chirurgiczne. Spakowałem je skrupulatnie. Nawet jeśli pobrudziłem

plecaki z wierzchu – krwią lub czymś innym – po tylu dniach zarazki były nieaktywne. Tym bardziej nikomu nie zagrażały czyste przedmioty, które schowano w środku.

– Jesteś medykiem? – spytała wreszcie wdowa.

Pokręciłem głową i rozłożyłem ręce.

– Zatem zielarzem, podobnie jak ja?

Przytaknąłem. Nie warto wchodzić w arboriańskie niuansy dzielące pomocnika czarodziejki od medyka.

– Pechowo, że akurat ty zachorowałeś, prawda?

„Chyba nie tak pechowo – pomyślałem sobie – skoro jednak udało mi się przeżyć”. Zastanowiło mnie to na chwilę. Jakim cudem? Jasne, statystycznie miałem kilkuprocentową szansę, ale mniej więcej pamiętałem, że dopadła mnie najostrejsza postać choroby. Solange sama twierdziła, że wyglądałem już jak trup. Z takiego stanu nie wraca się do zdrowia, zbyt wiele narządów zmienia się w krwawą pulpę. Płuca, nerki, wątroba, wszystko wysiada. A ja się czułem tak, jakbym wstał po trochę gorszej grypie (nie licząc, rzecz jasna, objawów neurologicznych). Czy to normalne u czarodziejów? Nikt nie robił badań na Magach Pustki...

Dalej przeglądałem bagaże. Odnalazłem automagiczną sakwę, która zawierała między innymi przenośną kulę Kathryn (tak długo narzekała na jej utratę, aż wreszcie zapamiętałem). Spróbowałem ją otworzyć – nic z tego. Wydobyłem z plecaka Kathryn ciężką srebrną księgę – podarowany nam przez Weylanda Podniebny Rydwan, składany latający pojazd, który kiedyś należał do rodu d'Argent. Na dnie mojego bagażu znalazłem obydwie składane domy – elegancką teczkę należącą do Margueritte i ciężki grzmot Lucjusza Szalonego. Żaden z naszych magicznych przedmiotów nie działał, a do domu Lucjusza nie znałem hasła. Czy powinienem pójść śladem mojego szacownego kuzyna i wszystko zostawić? Dom Solange to znacznie lepsze miejsce niż dziura w ziemi tam, gdzie zawierają gawrony.

„Sakwa prawie nic nie waży – postanowiłem wreszcie – a kiedy się wreszcie otworzy, będę mógł skontaktować się z Margueritte. Biorę też obydwie domy, przecież w gabinecie Meg znajdują się informacje konieczne do uratowania

świata od zagłady. A ten drugi... Znam się na dziełach Arte Benare jak mało kto, może go rozszyfruję. Czy zabrać Rydwan? Nie działa, ale gdyby jednak...”.

Solange przypatrywała się tym wszystkim niezwykłościom z dziwnym wyrazem twarzy, jakby coś jej się przypomniało. Podobno kiedyś asystowała czarodziejce, tak jak ja. Wskazała wreszcie na Rydwan.

– Królewski herb de Branche d’Argent – powiedziała z szacunkiem. – Księga królów. Czyli ta dziewczyna rzeczywiście jest spadkobierczynią tronu.

Spróbowałem przekazać na migi, do czego służy Rydwan.

– Nie mam pojęcia, co chcesz mi powiedzieć – westchnęła. – Najdziwniejsza historia w całym moim życiu, a ja nie mogę jej poznać. Chciałabym, abyś odzyskał mowę.

Bezradnie wzruszyłem ramionami. Też bym chciał.

\* \* \*

Kilka dni później stałem przy pniaku i stercie drewna, rozglądając się dookoła jak dzieciak, który właśnie zamierza coś zbroić. W pniak wbito siekierę. Tkwiła tak już pewien czas i chyba zardzewiała. Nadal nie domykała mi się prawa pięść, ale przecież i tak użyję obydwu rąk. Najwyższa pora zacząć pomagać w gospodarstwie.

Złapałem siekierę i ją poluzowałem. „Liczy się technika, nie siła” – powiedziałem sobie, dźwignąłem ją z ciężkim stęknieniem i odłożyłem na bok. Ułożyłem na pieńku starannie wybrany kawałek drewna – nieco szerszy i niższy od pozostałych. Zacisnąłem dłonie na rękojeści siekiery. No to siup.

Nagle rozległo się gwałtowne ujadanie Niedźwiedzia.

Straciłem koncentrację, gdy siekiera była już w locie, i krzywo uderzyłem. Drewno się przechyliło, a ostrze ześliznęło bokiem. Odskokczyłem w porę, siekiera wbiła się w ziemię. Usłyszałem podniesiony głos Solange, więc spontanicznie postanowiłem dać nogę, ale potknąłem się o własną prawą stopę i z impetem przewróciłem na trawę. Solange krzyczała, pies szczekał, a od podwórza dało się słyszeć hurgot toczącego się wozu.

Mocno zakłopotany podniosłem się do pozycji siedzącej. Poplamiałem spodnie trawą, a od machania siekierą chyba naderwałem sobie mięśnie obydwu rąk. Co



ja sobie właściwie wyobrażałem? Że będę taki męski? Mogłem zrobić pranie albo wydoić kozę. „Chociaż nie – poprawiłem się trzeźwo – co najwyżej wyśkać psa z kleszczy. Albo wodzić kurczęta, jeśli nie będą za szybko uciekać”.

Od strony wozu dobiegł mnie głośny, zaraźliwy rechot. Najwyraźniej Bretańczyków nikt nie uczył, że nie należy naśmiewać się z kalectwa.

– I czego on znowu próbuje, co? – W moją stronę zmierzał barczysty, brodaty mężczyzna. – Cześć, Milczku. Widzę, że czujesz się już lepiej. Kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem, usiłowałeś rozmawiać z drzewkiem orzechowym. Nie mam pojęcia, po jakimu to było, ale kozy ci wtórowały.

Z wolna dźwigając się na nogi, rzuciłem mu mordercze spojrzenie.

– O, słyszysz mnie – zdziwił się.

– Nie kpj z niego, Audry. – Solange skrzyżowała ramiona. – Każdego może dotknąć choroba i słabość.

– Oczywiście. Dlatego należy się z nich śmiać.

– Co innego śmiać się ze swojej niemocy, co innego z cudzej.

Uniosłem dłoń, prosząc o uwagę. Audry przyglądał mi się z iskierkami ciekawości w oczach. Pokiwałem palcem, jakbym obiecywał mu jakąś magiczną sztuczkę. Patrzył więc na moją lewą rękę i nabrał się na najstarszy numer świata, kiedy błotna buła ugnieciona w prawej dłoni wylądowała mu na koszuli.

Strzepnął błoto i wlepił we mnie wzrok, jakby chciał mi przyłożyć. „Świetnie – pomyślałem sobie – dlaczego nie. W razie czego wykonam kontrolowany upadek, już i tak jestem cały w błocie”. Przyjąłem postawę obronną.

Audry znów wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Dobra, stary – powiedział. – Chyba cię rozumiem. Też by mnie szlag trafiął na twoim miejscu. Ale wiesz, zabierasz mi robotę. Ja tu między innymi po to przyszedłem.

Kurtuazyjnie wskazałem siekiere.

Parę godzin później wiedziałem już, że mój nowy znajomy zjawiał się u Solange jako stały pomocnik i dostawca dóbr wszelakich. Tym razem przywiózł dwa worki rozmaitych korzeni, które należały się jej od dawna jako zapłata. W normalnych okolicznościach wdowa świadczyła usługi medyczne dla całej wsi

(i zapewne kilku okolicznych, które nie miały zielarza). Kiedy chorowałem, zarządziła kwarantannę. Nie rozgłaszała szczegółów, ale ludzie jej ufali, więc nie wypytywali o zbyt wiele. Na szczęście nic szczególnego nie wydarzyło się w tym czasie, wiosna przerodziła się w lato, okres najcięższych chorób już minął i dopiero się zbierało na pierwszą falę narodzin.

– Wziąłem też cztery garnce wina i paczkę dobrego zieleń od Gillesa – opowiadał Audry – to będzie czym opłacić królewskich żołdaków. Szykują się do objazdu.

– Tak prędko? – zdumiała się Solange. – Dopiero, sucze syny, opróżnili mi spizarkę. A jeszcze Jastrzębie...

– Byłbym przywiózł wina wcześniej, może nie zagroziliby twojemu obejściu – mruknął z poczuciem winy. – Teraz ludzie są przelęknięci. Nie chcą wołać po ciebie, babciu Sol. Boją się Piętna.

– Nie ma żadnego Piętna, a i wszystkie szkody naprawione – zachnęła się wdowa. – Postraszyli mnie tylko, żeby znaleźć to, czego szukali. Huczało, buczało, ale poszli sobie. Wiesz przecież.

– A ten twój Milczek to kto, babciu Sol? Siedzi tutaj, patrzy, coś tam po swojemu kombinuje, chociaż znać, że ma rozum dziecka...

– I o to się już pytałeś. Zwykły podróżny. Trafił na bagna, nawdychał się złego powietrza. Jastrzębie go zostawili, bo niewiele był dla nich wart. Niedawno mgła zesłała mu z oczu, stąd cię słyszy i rozumie więcej, niż przypuszczasz. Chociaż – rzuciła mi ostre spojrzenie – nie zawsze słucha poleceń.

Kiedy Audry poszedł rozładować wóz, znikając na chwilę z pola widzenia, Solange ściągnęła usta i popatrzyła na mnie uważnie.

– Lepiej nie wiedzieć zbyt wiele o takich rzeczach jak porwane królowny i Wielcy Magowie – mruknęła. – Lepiej, żeby ktoś nie wiedział, że się wie. Ludzie zawsze chcą się zdać więksi, niż są. Lepiej wydawać się mniejszym.

„Tak jak ty, Solange?” – chciałem zapytać. Zastanawiałem się, jak długo zajmowała się zbieraniem ziół dla pani de Spinel. Z doświadczenia wiedziałem, że trudno się przy tym nie nauczyć czegoś więcej. Jeśli cokolwiek zdołałem pojąć o tym świecie, panował tutaj feudalizm i lepiej było się nie przyznawać do znajomości magii bez szlacheckiego pochodzenia i talentu dziedziczonego od

trzech pokoleń wstecz. A przynajmniej tak wyglądały te sprawy w Arborii, zanim przerobiliśmy uwłaszczenie chłopstwa, dwie rewolucje i wojnę kontynentalną. Teraz mieliśmy królów elekcyjnych, Arcymaga z gminu i wolne niedziele.

Co się robiło z porwanymi królewnami w Ciemnych Wiekach? Trzymało w lochu albo w wieży? Wydawało za swoich sojuszników? I czy coś groziło Lily? Jeśli ludzie króla zachowali odrobinę ludzkich uczuć, potraktują dziecko łagodniej. A co z wrogimi czarodziejami? Przeszedł mnie dreszcz, kiedy uświadomiłem sobie, że znajdujemy się w świecie, gdzie narzędzia tortur wciąż funkcjonują jako część aparatu śledczego. W dodatku jeśli ludzie króla zorientowali się, że Amandine nie ma własnej magicznej mocy, że nie jest tym, kogo szukali...

Wyobraźnia mnie zawiodła i chyba znów straciłem świadomość, bo w następnej chwili zorientowałem się, że siedzę na wiklinowym krześle, płacząc w zwinięty koc. Audry obserwował mnie z mieszaniną współczucia i niesmaku.

– Za dużo naraz. – Solange pokręciła głową. – Przepraszam, to moja wina. Idź się położyć, chłopcze.

\* \* \*

I tak mniej więcej upłynęły dwa tygodnie. Codziennie przed śniadaniem i o zachodzie słońca powtarzałem układy Drogi Czapli. Harmonizowałem oddech. Uwalniałem jasne smugi mocy ze Źródła, pozwalając jej wypełniać moją sieć energetyczną i przepływać przez ciało w rytmie zmieniających się postaw. Ćwiczenia uspokajały mnie, umacniały w poczuciu celu i rozjaśniały umysł. Przywróciłem prawej dłoni niemal pełną sprawność. Różnicę byłoby widać tylko wtedy, gdybym grał na instrumencie muzycznym albo przepisowo gestykułował podczas rzucania zaklęć. Nadal powłóczyłem nogą, jeśli ktoś się dobrze przyjrzał. Nauczyłem się od nowa mówić „tak”, „nie” i parę innych pojedynczych sylab.

Wkrótce do codziennego reżimu ćwiczeń dołączyłem przeliczanie wzorów. Wprawdzie dopiero od niedawna dysponowałem Źródłem, które pozwalało kształtować magię, ale przez dwadzieścia cztery lata trenowałem z Meg. Przetworzyłem z nią więcej różnorodnych zaklęć, niż niektórzy czarodzieje mają w repertuarze przez całe życie. Towarzyszyłem jej, kiedy wizualizowała obliczenia, i nauczyłem się dotrzymywać jej kroku. I teraz, trenując ze Źródłem,

dołączałem kolejne formuły. Przypomniałem sobie, że każdy wzór ma odzwierciedlenie w geometrii, i przed moimi oczami defilowały zmieniające się w trzech i czterech wymiarach kształty.

Nie jestem pewien, kiedy zrozumiałem coś, co powinno być dla mnie od samego początku oczywiste.

Margueritte nie tylko zapomniała o nauce gestykulacji. Zawsze, kiedy pod pretekstem wspólnego przetwarzania uczyłem się nowego materiału, skupiałem się na kalkulacjach i przepływie mocy. Rzucaliśmy zaklęcia razem, ale ja ich prawie nigdy nie wymawiałem. Meg się tym zajmowała – jeśli chciała, bo większość tych prostszych stosowała bez słów. Twierdziła, że ją spowalniają.

Nie wiedziałem, czy szefowa specjalnie podniosła mi poprzeczkę, czy po prostu nie dbała o tę nieistotną obudowę procesu czynienia magii, ale fakt pozostawał faktem. Istniało kilka zaklęć, które mogłem rzucać bez punktowania słowami kolejnych etapów obliczeń. Prawdę mówiąc, gdybym wcześniej zdawał sobie z tego sprawę, może dostałbym lepszą ocenę na egzaminie. Bo część werbalna tylko odciągała moją uwagę od wzorów.

Codziennie przymierzałem się do rzucania zaklęć, ale rozpraszały się, zanim udało mi się ukształtować moc. Jednak w miarę jak przybywało mi sił, coraz dłużej utrzymywałem koncentrację i szybciej przekształcałem wzory.

Oprócz tego pomagałem w gospodarstwie, przynajmniej w takich pracach, które mogłem wykonywać. Doiłem kozy – kopały i gryzły, jeśli niewłaściwie zabrałem się do rzeczy, więc należało uważać – robiłem pranie, skrobałem warzywa i zamiatałem. Oczywiście nie wszystko naraz, nadal łatwo się męczyłem. Rekonwalescencja i tak postępowała szybko. Po raz pierwszy, odkąd moje Źródło uległo aktywacji, naprawdę czułem, że czerpię korzyści z bycia czarodziejem.

Wieczorami długo leżałem na wykrochmalonym prześcieradle, starając się zasnąć. Ostatnie godziny przed północą tonęły w czerni i na próżno starałem się odnaleźć nadzieję, która popychała mnie do działania o świcie. Wspominałem Amandine. Czasem płakałem.

Śniły mi się kamienne wieże i labirynty lochów, zstępujące głęboko w trzewia kontynentu.

Pewnego dnia wstałem jak zwykle wczesnym rankiem i podjąłem ćwiczenia w ogrodzie. Dziś moją gospodynię miał znowu odwiedzić Audry; wiedziałem, że to moja jedyna szansa na transport w ciągu najbliższych tygodni. Układ Drogi Czapli, jaki wybrałem, był bardziej dynamiczny. Składał się z sekwencji postaw obronnych, pchnięć i niskich kopnięć; uznałem, że jeśli wykonam go płynnie, dam radę wyruszyć w samodzielną podróż.

Skończyłem, oparłem dłonie o kolana i oddychałem. Usłyszałem, jak wdowa Solange bije mi brawo, więc ukloniłem się z galanterią. Roześmiała się jak dziewczyna. Pomyślałem, że chyba nikt wcześniej nie składał jej ukłonów. Czy chciałyby zobaczyć zakłęcie? Czy się uda?

Złożyłem dłonie w geście nabierania wody i zamknąłem oczy. To był najprostszy pod słońcem wzór, tak łatwy, że można go było ukształtować z nieaktywnym Źródłem. Kula Światła. Przeliczyłem, uformowałem kształt, nasyciłem go mocą. W moich dłoniach rozjarzył się delikatny blask. Udało się. I nawet nie kosztowało mnie to wiele wysiłku. A może...?

Zanim zdołałem sobie to wyperswadować, już przeliczałem zakłęcie lokalizacyjne, ulepszoną wersję mojej szefowej. Nie potrzebowałem żadnych rekwizytów, żeby wprowadzić parametry Amandine. Znałem ją od siedmiu lat, całowałem wszystkie piegi na jej ciele, wyrwany ze snu w środku nocy rozpoznabym zapach jej perfum. Funkcje i różniczki przekształcały się niemal mimo woli. Pracowicie uformowałem należący do magii Pustki element Sevri. Moc przelała się ze mnie we wzór. Złota nić, cienka jak włos, wystrzeliła w niebo i pomknęła daleko na północny zachód. Rozkwitła we mnie nadzieja.

Solange stała obok kępy dzikich róż z prześcieradłami zwiniętymi w rulon. Jej wcześniejsza radość wyparowała. Wdowa spoglądała śladem zakłęcia, marszcząc brwi i powtarzając coś bezgłośnie, wreszcie odwróciła się w moją stronę.

– Amandine Cerise nie jest Wielką Maginią, prawda? – zapytała smutno. – Zajęła twoje miejsce. Skłamała Jastrzębiom, żeby cię zostawili.

Powoli skinąłem głową.

– Źle kochać Wielkich. – Jej głos zadrżał. – Idź, milczący chłopcze. Idź ją znaleźć. Nie będę cię zatrzymywać.

Wóz drabiniasty, wyładowany płóciennymi workami i pękatymi baryłkami, podskakiwał w koleinach. Jak się okazało, wizyta Audry'ego u Solange była tym razem tylko pierwszym przystankiem w drodze do miasta. Bardzo mi to pasowało. Siedziałem z przodu, tuż za nim, i podziwiałem krajobrazy. Jechaliśmy przez rzadki sosnowy las, a później wzdłuż wsi ciągnących się jedna za drugą, lepiej utrzymanych niż tamta pierwsza, skażona wioska. Chaty budowano parterowe, na planie prostokąta i kryto je strzechą. Przeważnie były drewniane, chociaż zauważyłem dwa budynki z czerwonej cegły. Na łąkach pasły się naraz po dwie, trzy krowy, czasem jakaś koza. To, co rzucało się w oczy, to kiepskie zdrowie bydła i niedostatek koni; jeśli już jakiegось zauważyłem, wyglądał leciwie albo tak cherlawo, że ledwo się trzymał na nogach. Po niektórych obejściach znać było zaniedbanie, minęliśmy też dwa opuszczone gospodarstwa – jedno z nich spłonęło jakiś czas temu.

Na horyzoncie zbierały się ciężkie czarne chmury; miałem nadzieję, że dotrzemy na miejsce, zanim lunie. Poznawałem też uroki bycia niemową; Audry najpierw głośno śpiewał, później długo opowiadał mi o swojej żonie i dorastających dzieciach. Od czasu do czasu pomrukiwałem zachęcająco, z nadzieją, że dowiem się czegoś o Bretanii. Trochę narzekał na żołnierzy, którzy, zdaje się, konfiskowali wszystko co jadalne na potrzeby armii, zaraz po tym, jak Zakon Cierpliwego Wędrowca ściągnął podatki. Nie wspominał nic o czarnoksiężnikach, Jastrzębiach ani gigantycznych ksenowurmach. Nic nie wiedział o skażonych wsiach, a może po prostu nie chciał o nich mówić. Życie w Bretanii najwidoczniej toczyło się znacznie spokojniej i banalniej, niż się nam zdawało na pierwszy rzut oka. Ale nie dało się ukryć, że bieda aż piszcziała, a ludzi wyżymano jak bieliznę po praniu.

– A ty co, za pracą? – zapytał się wreszcie Audry, gdy w oddali ukazały się miejskie mury i wysokie zamkowe wieże. – Solange gada, żeś zielarz.

– Tak.

– A pamiętasz coś jeszcze z tego? Rozumu ci nie odebrało? Tylko mowę?

– Tak, nie, tak.

– Aha. Czyli nie jesteś taki całkiem głupi.

– Nie.

– Tylko trochę.

– E... nie.

– Ja bym na twoim miejscu został. Widziałeś chociaż swoje odbicie? Próbowaleś się ogolić? Myślałby kto, że wczoraj wstałeś z grobu. Jak ty się w ogóle ruszasz na tych patykach? I jeszcze żółte sińce pod oczami i te paznokcie; kto się zna, będzie wiedział, że to po Krwawicy. Gdzie pracę dostaniesz? Zlinczują cię.

– Tak... nie... nie... iść.

– Cholera, bardzo gadatliwy z ciebie niemowa. Ale posłuchaj, nie przyznawaj się przed strażnikami, że mówisz cokolwiek. Pomyśl, że z nich kpisz albo coś knujesz – westchnął. – Na świętą Aimée spoza Świata, i tak pomyśl, że knujesz. Masz.

Wręczył mi ciężki bukłak.

– Wino. Daj im, ale nienachalnie. Jak będziesz miał widoczną kontrabandę, nie ogołocą cię z niewidocznej. Rozumiesz?

– Tak, tak.

Zbliżyliśmy się do miejskich murów. Przyglądałem się wysokiej ścianie z bloków szarego granitu oraz rozmieszczonym co kilkadziesiąt metrów wieżyczkom strażniczym i nie mogłem się pozbyć wrażenia, że nawet Ombre było większe. Oczywiście przyzwyczailem się do warunków arboriańskich, gdzie miasta i wsie rozpełzały się na sporej powierzchni, a zabytkowe fortyfikacje obronne – jeśli ocalały – pełniły funkcję atrakcji turystycznej i oddziaływały starówkę od nowszych dzielnic.

Nad murami górował zamek, elegancki i szary; sądząc po wysmukłych łukach i niemożliwie strzelistych wieżach, zbudowany z pomocą magii. „Kathryn spędziłaby cały dzień, badając tutejszą architekturę” – pomyślałem smutno i nasunąłem kaptur na głowę. Ciemnowieczne miasteczko jakoś straciło dla mnie swój urok.

Przed bramą zatrzymało się jeszcze kilkanaście wozów drabiniastych, takich jak nasz, i pokaźna grupka pieszych podróżnych. Konie parskwały (w większości równie stare i cherlawe jak te, które widziałem na pastwiskach), ludzie gawędzili między sobą, ktoś fałszywie przygrywał sobie na lutni, ktoś spierał się

z kompanem. Grupka znudzonych strażników, uzbrojonych we włócznie i odzianych w skórzane zbroje, którym przydałoby się gruntowne czyszczenie, pełniła wartę przy bramie. Każdego przepytowano przed wpuszczeniem go do środka. Przyglądając się uważnie, dostrzegłem, że od czasu do czasu rozmaite przedmioty – butelki wina, krążki sera, raz nawet cała wędzona szynka – zmieniały właścicieli. Kto się opłacił strażnikom, wjeżdżał szybciej. Kto zaniedbał daniny, musiał się liczyć z gruntownym przetrzepaniem bagażu. Nawet nie ukrywano się szczególnie z tym procederem, chociaż właściwe myto stanowił jeden miedziany pieniążek (o czym dowiedziałem się wcześniej od Audry’ego).

– Zdzierają, psiajuchy – burknął mój towarzysz. – A ja ledwo wychodzę na swoje. Widziałeś tego świniaka?

Miał na myśli szynkę, a nie strażnika, który z facjaty istotnie przypominał prosię.

Usiadłem z tyłu wozu z nadzieją, że przedostaniemy się razem i uniknę kontroli. Kiedy nikt się nie przyglądał, wcisnąłem między worki i beczki mój stary płócienny plecak z Arborii, któremu odprułem naszywkę z głową orła i boczne kieszenie, a także zamieniłem sprzączki na sznurek. Z daleka wtapiał się w tło, ale bliższej inspekcji mógł nie wytrzymać, a przecież w środku przechowywałem obydwie składane domy i Rydwan.

– No dobrze, Audry – powiedział wreszcie żołnierz ze świńską gębą – pokaż, kogoś tutaj znowu przywiózł. – Wskazał palcem na mnie. – Twoje miano, zawód, jakie masz sprawy w Motreuil.

– Wygląda na żebraka – wtrącił drugi. – Żebraków nam tu nie trzeba.

Pokręciłem głową i wskazałem na chlebak, w którym trzymałem komplet ziół, w przeważającej części podarowanych przez Solange, żeby lepiej odgrywać swoją rolę.

– Słyszał?! – wydarł się pierwszy żołnierz. – Miano, zawód...

– To niemowa – wtrącił Audry. – Nazywamy go Milczek.

– Milczeć to ty możesz – warknął strażnik. – Ej tam, jesteś niemową?

Przytaknąłem.

– Kaleka, na żebry idzie?



Zaprzeczyłem. Poklepałem chlebak i chwyciłem bukłak z winem, który podarował mi mój nowy znajomy. Strażnik się zachnął.

– To nie twoje, dostałeś od Audry’ego – powiedział, ale bukłak wziął. – Pokaż no, co tam trzymasz w tej sakwie.

Najpierw wyjąłem rolkę płótna, którą skrupulatnie rozwinąłem na koźle, następnie zacząłem wykładać na nią pęczki suszonych ziół. Na migi pokazywałem, do czego służą; wskazałem na gardło, pomasażowałem się po brzuchu. Strażnicy obserwowali mnie z rosnącym zainteresowaniem. Przyciszonym głosem wymienili między sobą parę uwag.

– Jesteś wiedźmą, Milczek? – spytał sardonycznym tonem świński ryj.

Zaprzeczyłem. Już mi wytłumaczono, że granica między zielarzem a wiedźmą przebiega wedle uznania pytającego, i że wolę być tym pierwszym, a nie drugim, zwłaszcza jeśli pytanie zostało zadane przez przedstawiciela władzy. Lepiej otrzymać zapłatę w wiktuałach i miedzi, niż skończyć na stosie.

– A co z tego jest na podagrę?

Oho, doszliśmy do konkretów. Wskazałem kilka ziół o działaniu moczopędnym, jedno, z którego robiono kojące okłady, i po krótkim wahaniu wyjąłem buteleczkę nalewki z zimowitu. Solange była hojna. Nie chciała, żeby oskarżono mnie o szarlatanerię, więc obdarowała mnie lekami na najczęściej występujące dolegliwości. Znalazła w moim zielniku zimowit, więc doszła do wniosku, że mogę go przepisywać. Dokładnie określiła dawkę, ale i tak się bałem. To silnie toksyczne cholerstwo miało mnóstwo przeciwwskazań, a ja byłem teoretykiem.

– Idziesz z nami – zdecydował strażnik. – Zobaczymy, co z ciebie za wiedźma.

Czyli dopóki lekarstwa nie okażą się skuteczne, obowiązywał wariant drugi. Kiepska perspektywa, zważywszy, że jedynym ziołem w asortymencie, które działało prawie natychmiast, był właśnie zimowit.

Wymieniłem spojrzenia z Audrym. Bez wahania wręczył mi plecak i mój podróżny kij. Słowa okazały się zbędne, przesłanie wybrzmiało całkiem jasno: „Podwoziłem cię, człowieku, ale nie wezmę na siebie wszystkich twoich problemów”. Poklepał mnie po ramieniu.

– Jak cię puszczą, przyjdź do Srebrnego Dzbana – dodał na pocieszenie. – Mam zniżkę na piwo.

\* \* \*

Poprowadzono mnie pod wysokim łukiem bramy i wzdłuż muru. Jeden strażnik szedł przede mną, drugi za mną. Jeden miał nogi prostowane na beczce i zdecydowany nadmiar brzucha, drugi – potężnego zęza, w dodatku wyraźnie mrużył oczy, gdy tylko szliśmy pod słońce, i ze dwa razy napomknął, że potrzebuje się napić. Dzierżyli włócznie, ale nie mogłem się pozbyć wrażenia, że nawet w moim obecnym stanie poradziłbym sobie z obydwoima, i to bez pomocy magii, samym kosturkiem. Ciekawe, czy ktoś im w ogóle pokazał, jak używać broni, czy po prostu wciśnięto im drzewce do rąk i przemuszowano, żeby umieli chodzić w szyku.

Doszliśmy wreszcie do długiego rzędu niskich drewnianych budynków, placu ogrodzonego palikami i wysokiego murowanego domu na kamiennych fundamentach. Strażnicy wymienili pozdrowienia z dwójką innych, którzy właśnie strzegli wejścia, i wprowadzili mnie do środka.

W pierwszej chwili poczułem się zaskoczony. Wydawało mi się oczywiste, że budynek straży miejskiej powinien mieścić więzienie, a przynajmniej areszt. Ale, rzecz jasna, przetrzymywanie podejrzanych na posterunku to arboriański standard, tutaj pewnie po prostu wtrącano delikwenta do zamkowego lochu i jeśli miał szczęście, mógł doczekać procesu. W budynku znajdowały się wyłącznie kwatery, co mi trochę poprawiło humor, bo im dalej od więzienia i potencjalnego stosu, tym lepiej.

Po korytarzach krążyła służba i nieliczni na wpeł uzbrowieni strażnicy, najwidoczniej przed lub po swojej zmianie. Mnie zaprowadzono kuchennymi schodami do pomieszczenia, które chyba służyło za składzik. Usiadłem na skrzyni, między belami płótna i zapieczętowanymi beczkami, zastanawiając się, czy to dobra, czy zła wróżba. Interesantów zapewne przyjmowano gdzie indziej. A ponieważ jeszcze nie rozstrzygnięto, czy jestem interesantem, czy aresztantem, trafiłem do kategorii nieprzydzielonych zasobów.

Czekałem jakiś kwadrans, przysypiając na jednej z beli płótna. Wreszcie świński ryj zaprowadził mnie na pierwsze piętro, gdzie znajdował się pokój do

pracy kapitana straży miejskiej.

Wielokrotnie wspominałem, że Bretania zatrzymała się w rozwoju technologicznym i społecznym w Ciemnych Wiekach, ale to niezupełnie prawda, co wywnioskowaliśmy już wcześniej na przykładzie smoka rzecznego. Nie odbywałem podróży w czasie. Przeniosłem się do świata, który funkcjonował na własnych zasadach i zmieniał się niezależnie od Arborii. A teraz miałem dowód na to, że dziedzictwo Triumwiratu znakomicie przetrwało w niektórych niszach, ponieważ na półkach, które pięły się od podłogi aż po sufit, spoczywały nie teczki, nie księgi – tylko zwoje. Bretańczycy znali karty papieru – Solange świetnie wiedziała, jak wygląda księga – ale urzędowe pisma sporządzano w tradycyjnej, imperialnej formie.

Przy biurku siedział barczysty, surowy facet z siwą czupryną, orlim nosem i starą blizną w poprzek szyi. Obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem, skrzywił się nieprzyjemnie.

– Dobrze – powiedział – czyli jest ten zielarz.

– Tak jest, kapitanie!

– Niemowa.

– Tak jest!

– Pokaż mi, co tam masz. – Pochylił się, jakby chciał wstać, zrezygnował jednak i zaprosił mnie do biurka. Dobrze maskował ból, ale dostrzegłem, że właśnie w tej chwili ukąsiło go tak, że świeceki stanęły mu w oczach. – Tylko uważaj, poznam się na szalbierstwie.

Powtórzyłem tę samą pantomimę, którą zaprezentowałem strażnikom. Kapitan kiwał głową.

– Znam. To też znam. O, zimowit. Znakomicie. Ostatni zielarz tego nie miał. Dureń, potrafił podawać tylko herbatkę z dziurawca. – Kapitan poszperał w szufladach biurka i z jednej z nich wyciągnął metalowy kubek. – Odmierzaj.

Poczułem, że zaczynam się pocić. A co, jeśli nalewka Solange wyszła silniejsza niż zwykle? A co, jeśli pacjent zacznie nalegać na przyjęcie większej dawki? A jeśli jest nadwrażliwy albo wypił w ostatnich dniach zioła, które wchodzi w interakcje z zimowitem? Nawet nie pamiętałem które to. I trochę rozumiałem ostatniego zielarza.

W sakwie trzymałem pozostałe przyrządy zielarskie – nożyk, moździerz, metalowe szpatułki i łyżeczki miarowe z Arborii, które w polowych warunkach zastępowały także precyzyjną wagę. Miałem jeszcze cylinder, ale ten wyglądał już tak obco w bretańskich warunkach, że wolałem go nie pokazywać, zwłaszcza w obecności władz. Zresztą nalewkę i tak trzeba było odmierzyć najmniejszą łyżeczką. Wskazałem palcem na kubek i na migi zasugerowałem, żeby go najpierw czymś napełnić.

– Rozcieńczasz ją w winie?

Pokręciłem głową.

– W przegotowanej wodzie?

Przytaknąłem. Uniósł brwi z aprobatą i posłał jednego ze strażników do kuchni po wodę. W tym czasie sam pochylił się nad moimi narzędziami i zaczął je dokładnie oglądać.

– Aptekarskie przyrządy – mruknął wreszcie. – Czyli żaden z ciebie wioskowy zielarz od herbatek przywracających miesiączkę. Na pierwszy rzut oka nie wyglądasz, ale jesteś rzemieślnikiem. Już mnie kiedyś leczono na podagrę i potrafię rozpoznać fachowca. Dam ci glejt. Jeśli któryś z kapłanów będzie cię oskarżał o czary, pokażesz mu pismo. Niedoczekanie, żeby stracili mi trzeciego zielarza. I tak już w tym mieście pozamykali apteki.

Aha. Pięknie. Dlaczego nie postanowiłem na przykład uchodzić za drwala? Nigdy nie słyszałem, żeby drwali oskarżano o czary i wykonywano na nich egzekucje ze względów religijnych. Może dlatego, że mają siekiery i potrafią się nimi posługiwać.

Odmierzyłem wreszcie lekarstwo, rozcieńczając je w kubku pełnym ciepłej wody. Kapitan dopytywał się o drugą dawkę, ale na to się już nie zgodziłem, nie wiedziałem, jak zareaguje na lek. Wyjąłem za to bloczki suszonej żurawiny i opisałem gestami dawkowanie. Jeśli nawet odczytał mnie błędnie, nic się jeszcze nikomu nie stało od nadmiaru żurawiny. Kapitan kiwał głową ze zrozumieniem. Na koniec wypisał mi glejt, sypanął kilka monet i puścił wolno. Gorzej, że był bardzo zainteresowany, gdzie zamierzam nocować. Wymieniał po kolei nazwy wszystkich gospód w mieście, żebym nie mógł wykręcić się swoją

ułamnością. A ja wołałem nie narażać się kapitanowi straży miejskiej, zeznając nieprawdę.

\* \* \*

Podpierając się podróżnym kijem, przemierzałem wijące się jak serpentyny uliczki Montreuil. Znałem podobne krajobrazy z miejscowości turystycznych, ale tamte miasteczka wydawały mi się teraz sztuczne i kiczowate, podobne do landszafcików namalowanych przez ulicznego artystę. Tutaj rynsztoki były pełne i wydzielały gęsty odór, który zagnieżdżał się w nozdrzach. Nikt nie sprzątał odchodów – zwierzęcych, ludzkich, pełna gama i gramatura – ani nie wpadł na zastosowanie specjalnych worków lokowanych pod końskim zadkiem. Kilkupiętrowe kamienice, ściśnięte na podobieństwo harmonijki, malowano we wszystkie, nieraz gryzące się kolory, nie zasięgając opinii urzędników do spraw turystyki. Ludzie prowadzili życie hałaśliwie i bez zwracania sobie głowy takimi drobiazgami jak dobre maniery. Przystrojeni zgodnie z modą we wszelkie barwy tęczy, z hojnym dodatkiem brudu, garbaci i ospowaci, grubi i chudzi, żebracy bez nóg czy innych kończyn, cycate dziewoje, tłuste matrony i bose dzieciaki, handlarze i szulerzy, dziwki i praczki, mieszczenie po prostu. Krzyczano do siebie nawzajem z okien (nocników nie wylewano – później się dowiedziałem, że służyły do tego określone godziny o świcie i wieczorem), delektowano się piwem na ganku i noszono balie z bielizną z jednej kamienicy do drugiej.

Jedno mnie tylko raziło w tym całym obrazku: stanowczo zbyt liczne patrole straży miejskiej, a także grupki żołnierzy, z którymi spacerował zawsze kapłan w brunatnej szacie. W drodze do Srebrnego Dzbana spotkałem łącznie pięć takich kompanii. Zaczynałem podejrzewać, dlaczego strażnicy, którzy zaprowadzili mnie do kapitana, wyglądali tak niefachowo – kto musi szybko zwiększyć kadre, bierze byle kogo. Kiedy przechodzili ulicą, ludzie milkli, a uliczne życie chwilowo zamierało.

Gdy zacząłem przyglądać się uważniej, tu i ówdzie dostrzegałem zabity deskami warsztat albo opustoszały dom. Takie rzeczy się zdarzały w każdym mieście, ale tutaj chyba zbyt często.

Przespacerowałem się przez pół miasta, zanim trafiłem do poleconej gospody. Czulem zmęczenie w kościach i ssanie w żołądku. Pchnąłem drzwi do

zadymionego pomieszczenia, gdzie woń buzującej na ogniu zupy i pieczonego mięsa mieszała się z odorem ludzkiego potu, przesyconego strawionym piwem. Opuściły mnie siły, dawno nie przemierzyłem tak dużego dystansu jednego dnia. Miałem ochotę zasiąść na ławie i zasnąć, najlepiej nad wielką górą kaszy ze skwarkami. Nie spodziewałem się niczego więcej.

Tym bardziej mną wstrząsnęło, kiedy po przekroczeniu progu karczmy ktoś mnie opluł. Odruchowo otarłem twarz i ze zdumieniem uniosłem wzrok.

– Wypad stąd! – krzyknął do mnie łysiejący blondyn, który siedział na ławie nad kuflem piwa. – To ten donosiciel – zwrócił się do swoich towarzyszy. – Wielbiciele brunatnych. Widziałem, jak wychodził z budynku straży. No już, nie chcemy tutaj takich!

Rozejrzałem się wkoło w poszukiwaniu Audry'ego. Stał przy ladzie, pochłonięty rozmową z karczmarzem. Krzyknąłem do niego, niestety bez słów.

– Do ciebie mówię! – Blondyn zerwał się z ławy, zacisnął pięści. Zacząłem się wycofywać, dość powoli, bo zderzałem się z ludźmi wchodzącymi do środka. Istnieją w mieście inne gospody. Dam znać kapitanowi, że zmieniłem zdanie, jeśli chodzi o nocleg.

– Spytaj się lepiej, co im powiedział – rzucił drugi.

– Słyszałeś kolegę. Coś im nagadał? – Wyciągnął rękę, żeby złapać mnie za koszulę, ale zszedłem mu z drogi.

– Nie – powiedziałem i wskazałem na usta.

– Co ty sobie w kulki lecisz? – Znowu do mnie sięgnął, a ja znowu zrobiłem unik. – Stój spokojnie, gównozjadzie!

Machnął pięścią w moją stronę. Było to bardzo niefachowe, powolne, pijackie pchnięcie. Ponownie usunąłem się na bok i cios trafił w powietrze. Jeden z kompanów blondyna roześmiał się złośliwie, co sprowokowało mojego przeciwnika do kolejnego nieudanego uderzenia. Proszę uprzejmie, ja tak jeszcze długo mogę.

– Nie – powtórzyłem, z namaszczeniem zakrywając i odkrywając dłonią usta.

– Nie, nie.

Wątpiłem, czy to poskutkuje, bo blondyn już się rozkręcił. Podstawiłem mu więc kosturek pod kolano i wtedy przewrócił się prosto na nowo wchodzącego

gościa. Tamten pchnął go z impetem. Blondyn pofrunął do tyłu, potknął się o ławę i upadł plecami na stół, przewracając przy okazji parę kufli piwa i zrzucając miskę z kaszą. Teraz zbierało się już na solidną awanturę, bo mój oponent całkowicie zapomniał o mnie i ze wściekłym spojrzeniem zbierał się do ataku na przybyłego.

Pomyślałem, że nigdy jeszcze nie widziałem prawdziwej bójki w karczmie. Poczulem się rozczarowany, gdy w ciżbę wpadło dwóch barczystych osiłków – jeden przytrzymał zabijakę, drugi położył dłoń na ramieniu nowego gościa.

– On zaczął! – wydarł się blondyn w moim kierunku.

– Frank, on jest niemową – powiedział Audry, zmierzając w naszą stronę. – Zna tylko cztery bardzo krótkie słowa: „tak”, „nie”, „iść”, a czwartego nie wymówię w dobrym towarzystwie. Najpierw sobie wyobraziłeś, że doniósł strażnikom, potem że chce się bić, i z tego wszystkiego udało ci się pobić samego siebie. Nie pij już więcej.

Zanim skończył, kompani Franka już pluli piwem ze śmiechu.

– No to po co tam w ogóle szedł? – Mężczyzna poczerwieniał.

Uniosłem dłoń i Audry wydał z siebie stłumione kwiknięcie. Westchnąłem. Nie, tym razem nie miałem w drugiej garści błotnej buły. Wygrzebałem z sakwy gałązkę rozmarynu. Teraz wszyscy zwracali już na mnie uwagę. Powoli podniosłem gałązkę do pionu, a następnie zamarkowałem jej oklapnięcie, gwałtownie wypuszczając powietrze z ust. Rozłożyłem dłonie. Siedzący przy stole przypatrywali mi się ze skupieniem. Audry roześmiał się hałaśliwie.

– Rozumiecie, chłopaki, on jest zielarzem. Sprzedaje... różne... zioła.

Puenta zaskoczyła. Przy stole nastąpiła grupowa eksplozja dobrego humoru. Chwilę później stawiano mi już piwo. Tak jak się spodziewałem, nisko latające złośliwości na temat straży miejskiej przypadły towarzystwu do gustu.

Posprzątano przewrócone kufle i doniesiono nowe. Postawiono przede mną kopiastrą miskę kaszy z okrasą i podsmażaną cebulką, wszystko hojnie posypane rozmarynem, cząbrem i majerankiem. Przekrzykiwano się między sobą, narzekano na rosnące ceny piwa i żywności, dyskusja zmierzała w stronę polityki. O ile na wsi nigdy się nią nie interesowano, miasta były rozpolitykowane od zawsze. Dowiedziałem się wreszcie, dlaczego ulice są pełne straży i wojska.

Otóż kilka dni temu aresztowano samego księcia de Montreuil.

Sprawa przedstawiała się następująco. Dwie prowincje stąd zbuntowało się hrabstwo niejakiemu Renarda de Branche d'Amethyste. Wyrzucono lub powieszono wszystkich przedstawicieli Zakonu Cierpliwego Wędrowca. Ponieważ Zakon stanowił główną siłę wspierającą tron, słusznie zrozumiano to jako akt rebelii. Spacyfikowanie hrabstwa okazało się niezwykle trudnym zadaniem, bo wszystkie główne ośrodki miejskie, z twierdzą hrabiego włącznie, znajdowały się wysoko w górach. Ludzie hrabiego d'Amethyste bawili się w kotka i myszkę z oddziałami, które usiłowały tamtędy przejść.

– No i wiesz, Milczku, nie mogąc dostać Renarda d'Amethyste, wrzucili do lochu Bernarda – wyjaśniał Audry. – Nic, że są tylko kuzynami w odstępnie czterech pokoleń, bo stary Bernie pamięta jeszcze czasy czarodziejów. Nawet się za bardzo nie lubią, bo to Bernard jako książę krwi powinien rządzić na zamku i jeszcze w paru miejscach. Przypomnieli sobie, że stary ma prawo do tronu, chociaż pisane palcem na wodzie, poza tym go nie lubią, bo z niego złośliwy lis. Posadzili młodego Henry'ego, co się kłania Zakonowi w pas, a stary siedzi w kazamatach. Ludzie burzą się na ulicach. Henry to żółtodziób i dureń, za Bernardem poszliby w ogień. Nie dawał z nas zdzierać. Kapłanów ciągle wyprowadzał w pole. Gdyby nie on, wyglądalibyśmy jak księstwo de Spinel.

– Audry jest ze wsi – zachnął się bełkotliwie Frank. – Mało wie i nic nie rozumie. Nie zamknęli Berniego za nazwisko rodowe. On formował wojsko. Ja ci mówię, pieniądze miał, bo się nie dał obdzierać kapłanom, poszły listy werbunkowe, już prowadził zaciąg do kompanii. Prywatnych, nie królewskich. Do własnego rebelianckiego wojska, bo jak kuzyn sięga po tron, a Pochodnia Wyzwolenia przekracza góry, to się królewscy przecież nie rozdwoją. Ja ci to mówię, Audry. Żeby wyrzucić tych pokręconych skurczybyków z Bretanii i przerobić ich potwory na siekane kotlety, trzeba mieć porządną armię.

Zawisłem w pół drogi z łyżką nad kaszą. W moich uszach wybrzmiewało echo słów Solange. Jak jeden uczeń czarodzieja ma sobie poradzić z potworami, które zmogły wyszkoloną maginię Creo? Kto podaruje mi armię?

W mojej głowie z wolna zaczynał się kształtować plan. Otóż jeśli potrzebujesz armii i wiesz, że nikt ci jej nie podaruje, musisz sam ją sobie wziąć. Jestem



czarodziejem, czyż nie? Najwyższa pora, żebym wreszcie skorzystał ze swoich umiejętności, zamiast dać się nieść mniej lub bardziej przyjaznym wiatrom.

Kiedy po wieczery udałem się do swojego pokoju, poszukałem glejtu, który dostałem od kapitana.

„Niniejszym potwierdza się, iż Milczek, będący w posiadaniu Dokumentu, ma prawo do praktyki Zielarskiej y Aptekarskiej uznane przez Niżej Podpisanego Kapitana Straży Montreuil, Charlesa Pavot. Obywatel, Niemową będąc, złych Uroków czynić nie może, a jeno wolę Cierpliwego Wędrowca spełniać. Zobowiązuje się Obywatela do odprowadzania Podatku do Kasy miejskiej w wysokości dziesiątej części zarobków, raz do roku, i rekomenduje Gildii Medyków.

Podpisano, Kapitan Straży Montreuil, Charles Pavot”.

Nie zamierzałem sprawdzać, ile dla Gildii Medyków jest warta rekomendacja kapitana straży miejskiej. Będę się martwić, jeśli zaczną się czepiać. Nie chciałem zresztą, rzecz jasna, zostawać w Montreuil zbyt długo. Aby zrealizować mój zamiar, powinienem się dostać na zamek, a w tym celu musiałem przełamać barierę komunikacyjną. Istniały iluzyjne zakłęcia dźwiękowe i nawet znałem jedno z nich... ale jedynie w teorii. Nie należało do ulubionych w repertuarze Meg. Nie przećwiczyłem go do egzaminu i zajęłoby mi ze dwa tygodnie, zanim bym je odkurzył, zwłaszcza teraz, bez słów.

Na szczęście kapitan straży sklasyfikował mnie jako rzemieślnika, co oznaczało, że mogę się przyznać do znajomości pisma. Najpierw jednak należało sprawdzić, jak wygląda pismo w Bretanii i czy faktycznie je znam. Na pewno różniło się pisownią i stylem, pytanie – jak bardzo. Mogę strzelać byki, ale moje litery nie powinny wyglądać obco.

I jak na zawołanie miałem próbkę, wystarczająco długą, żeby ją zanalizować. Przede wszystkim Bretańczycy stosowali znaki interpunkcyjne i duże litery. Być może skrybowie i mnisi dbali o kaligrafię, ale kapitan pisał, jak umiał, starannie, lecz niezbyt wprawnie, stawiając duże, okrągłe znaki. Zapewne do układania listów zatrudniał sekretarza. Ortografia wyglądała dość oryginalnie – bardziej, niż zacytowałem, bo zapis sporządzono w lokalnym dialekcie. Mogłem się jednak

założyć o Rydwan i obydwie składane domy, że nikt się tutaj nie przejmował kodyfikacją pisowni.

Pomyślałem sobie, że ten pomysł musiał mi chyba podszeptać złośliwy geniusz Czarnej Meg. Był jednym z tych, które tylko z pozoru wydają się nieprawdopodobne, ale gdy im się dokładnie przyjrzeć, okazują się najprostszą drogą do celu.

Tak się składa, że książęta mają zwykle pieniądze. Dużo pieniędzy. W dodatku byłem pewien, że w Bretanii funkcję konta w banku pełnił skarbiec pełen lśniącej, brzęczącej gotówki. Gdybym pracował jako zielarz jeszcze przez dwa lata, nie zarobiłbym nawet tyle, żeby kupić sobie porządnego konia, zwłaszcza że większość z nich zarekwirowano na potrzeby wojska. Ale gdybym dobrał się do książęcego skarbcza, mógłbym zaciągnąć własną kompanię. I to niejedną.

Lepiej jeszcze.

Bernard de Branche d'Amethyste pamiętał czasy czarodziejów i zważywszy, co Audry mówił o odstępach czterech pokoleń między nim a Renardem, sam był kiedyś czarodziejem. Na pewno zachował się po nim warsztat.

Ile starożytnych lub nawet nie tak bardzo starych magicznych dzieł zalega w rodowej siedzibie Montreuil, nieużywanych i niedocenionych, bo nikt nie dysponował aktywnym Źródłem, żeby je uruchomić i naładować? Jaką broń przeciwko czarnym magom mogę tam znaleźć?

Logika podpowiadała, że najprostszą drogą do mojego celu jest ogołocenie rodu de Montreuil de Branche d'Amethyste ze wszystkich kosztowności i magicznych przedmiotów, jakie tylko potrafię wynieść z zamku.

\* \* \*

„Połowa tego, co wczoraj – naskrobałem rysikiem na woskowanej tabliczce. – Ani kropli więcej, nawet jeśli ulga nie będzie zupełna”.

– Rozumiem – powiedział kapitan straży. – Na razie jest dużo lepiej, ale poprzedni zielarz, który miał zimowit, podał mi większą porcję.

„Rzykował – napisałem. – Poza tym nalewki bywają różne. Żurawina. Brusznica. Sok z kwaśnych wiśni, kiedy ich sezon. Podagrę trzeba wypłukać”.

– Ha! – roześmiał się kapitan Pavot. – To akurat wiem, jak się robi.

„Nie. Żadnych trunków, bo ból wróci. Tylko czysty sok z wodą, mięta, napar z róży. Nie wolno piwa. Mięso najwyżej w święto, i to niedużo. Warzywa i kasze, bez omasty. Może być chleb”. – Nie wspominałem o ziemniakach, bo nie wiedziałem ich do tej pory w Bretanii. Wątpiłem, żeby ich nie znali, pewnie wycięła je zaraza ziemniaczana.

– Poprzedni zielarze nic mi o tym nie mówili. – Mężczyzna zmarszczył brwi. – Dieta jak dla mnicha albo jakiego bydłątka.

Poprzedni zielarze nie chodzili do szkoły powszechnej ani nie zaczytywali się w książkach przyrodniczych i broszurach popularnomagicznych – pomyślałem. Każdy dzieciak w Arborii wiedział, że podagra to w gruncie rzeczy choroba nerek, a nie stawów. No dobrze, każdy młody kujon w Arborii. Ale i tak była to wiedza łatwo dostępna.

„Pana wybór, kapitanie”.

– Powiedz, Milczku... czy jak się tam nazywałeś, jak to się stało, że taki uczony mąż znalazł się na gościńcu? Przecież musiałeś mieć warsztat.

„Takie czasy”.

– No tak, no tak – mruknął. – Więcej mi nie powiesz. Spokojna głowa, nie doniosę brunatnym szatom. To sucze syny, z roku na rok wtrącają się coraz bardziej do mojej roboty, a jestem za sterem już trzydzieści lat. Dałem ci glejt, ale staraj się ich unikać. Główny zakapturzony cierpi czasem na straszne bóle głowy i wtedy wieszka każdego, kto na niego krzywo spojrzy. Zwłaszcza zielarzy, bo mu pomóc nie potrafią.

Tym razem nie zamierzałem się wtrącać. Nie ma lekarstwa na migrenę. Można się otumanic opium albo używać eliksirów, ale to szybko przestaje być skuteczne. Amandine prowadziła latem staranny dzienniczek dietetyczny i twierdziła, że dzięki temu migrena łapie ją raz na miesiąc zamiast raz w tygodniu. Próba leczenia kapłana to proszenie się o stryzyk. Wątpiłem, żeby zadowolili się czymkolwiek poza stuprocentowym efektem.

„Dobrze byłoby pracować na zamku – podsunąłem mu tabliczkę – pod ochroną możnych”.

– A... – Kapitan spojrział na mnie uważnie. – O to chodzi. Kto tam wie, czy książę pan udzieli ci protekcji, czy odda kapłanom. W mieście zarobisz gorzej,

ale byt pewniejszy.

Zrobiłem bardzo sceptyczną minę.

„Już raz miałem warsztat w mieście”.

– No tak. Każdy orze, jak może. – Kapitan uśmiechnął się krzywo. – Dobrze. Wspomnę o tobie na zamku.

Zrobiło mi się go żal. Kompetentny, porządny człowiek, który usiłuje dawać sobie radę w trudnych czasach. Zaufał mi i będzie go to kosztowało karierę, pewnie także głowę. Niestety, przypadła mu rola jajka, które musiałem rozbić, żeby zrobić omlet. Czy jakoś tak.

\* \* \*

Minęło kilka dni. Audry dostarczył wino, sery i warzywa okolicznym gospodarom, kupił to, po co przyjechał do miasta, i wrócił do siebie. Ja tymczasem dotrzymywałem kompanii jego hałaśliwym towarzyszom, ucząc się kultury Bretanii. Dowcip z gałązką rozmarynu miał nieoczekiwane skutki uboczne: otóż zaczęto mnie wypytywać, oczywiście bardzo ostrożnie i naokoło, czy rzeczywiście sprzedaję środki na potencję. W historii medycyny takiej reputacji dorobiły się prawie wszystkie ostre przyprawy, słodyczne, różne rodzaje mięs, przepiórcze jajka, ostrygi, rybia ikra i oczywiście kilkadziesiąt różnych ziół – wszystko, co kaloryczne, intensywnie pachnące, pobudzające albo związane z płodnością na podstawie takich czy innych skojarzeń. Większość tych środków działała jako placebo, niektóre były niebezpieczne. Żeby podać naprawdę skuteczny lek, musiałbym zaproponować eliksir wspomagany urokiem. Oczywiście umiałem go zrobić. Nauczyłem się jako czternastolatek. Naturalnie w tym wieku nikt nie potrzebuje wspomagania, ale jeśli coś ma związek z seksem, nieuchronnie budzi zainteresowanie.

Tego jednak właśnie chciałem uniknąć, żeby przypadkiem nie wylądować na stosie, więc wymyśliłem mieszankę bardzo podobną do przyprawy piernikowej i kazałem ją dodawać do małych porcji grzanego wina w takim stężeniu, że stawało się prawie niepijalne. Pomyślałem, że nawet jeśli nie zadziała, nikt nie zgłosi reklamacji, bo wstydy.

Nie spodziewałem się, że to bezapelacyjne placebo zdobędzie sławę, dzięki której po tygodniu będą się o nie dopytywali ludzie niewidywani wcześniej w gospodzie, a kompani zamiast Milczkiem zaczną mnie nazywać Milczącym Zielarzem. Zauważyłem też, że inaczej się do mnie odnosili. Nie sądziłem, żeby to była tylko sprawka skuteczności piernikowej mieszanki. Myślałem, że może z czymś się zdradziłem – zauważono, jak odmierzam składniki aptekarską łyżeczką albo zbyt precyzyjnie rysuję na woskowanej tabliczce, objaśniając dawkowanie. Sprawdziłem, czy nie zaglądano do moich bagaży, ale nikt ich na szczęście nie ruszał.

Pewnego dnia wracam ze spaceru po mieście na obiad, a tam sala puściutka, ludzi jakby wywiało. W kącie siedzi sobie chudy facet w brunatnym habicie i gapi się nieprzyjaźnie. Na mój widok wstał i zmierza w moją stronę. O cholera.

Szybko wyciągnąłem glejt od kapitana straży. Zawsze nosiłem go w sakwie. Rozwinąłem go przed sobą, jakbym zasłaniał się tarczą. Kapłan skrzyżował ręce, wsadził dłonie w rękawy i popatrzył mi w oczy z udawaną dobrocią.

– O tak, mowa częstokroć jest źródłem nieprawości – odezwał się głębokim, śpiewnym głosem. – Ale zło można szerzyć czynem, nie tylko słowem. Ciebie zwą Milczącym Zielarzem.

Skinąłem głową. A jeśli zapyta mnie o piernikową mieszankę? Kompletny absurd. Czy tutejsi kapłani w ogóle praktykowali celibat? Niby wszystko na to wskazywało, ale kto tam ich wie...

– Powiadają, że uwolniłeś od bólu kapitana Pavota.

Rozłożyłem ręce. Nic nie wiem, nic nie widziałem, zarobiony jestem.

– Nie zaprzeczaj. Ostatnimi czasy nie ruszał się z domu straży, a teraz przechadza się po murach i ulicach. Widziano cię, jak go odwiedzałeś. Opowiadają o tobie zamkowi strażnicy, próbowali też innego twojego lekarstwa. Wiadomo, jakim zawodem się parasz – czy kapłana zabłyśły – a przynajmniej do jakiego pretendujesz. Odjąć ból, co z cielesnych grzechów przychodzi, albo skłonić leniwe męskie siły do działania, oto są metody ziemskie. – Prawie mlasnęła, mówiąc o męskich siłach. – Magija naturalna, zwana także niższą Sztuką.

Uniosłem dłoń.

– Nie – powiedziałem stanowczo.

– Siadaj, panie zielarzu, siadaj. – Wskazał mi stołek. – Wyjaśnijmy sobie pewne sprawy. Wiadomo, że niektórzy rzemiosła mają łaskę Wędrowca, inne zaś nie. Zielarz, obdarzony uzdrowicielską ręką, uzyskał przyzwolenie naszego Cierpliwego Pana, aby mdłe humory wzbudzać, nazbyt pobudzone uspokajać, zarówno ziemskie, jak i niebiańskie choroby precz wypędzać.

Do czego on zmierza?

– Ale ten, kto sięgnął po Sztukę bez łaski, jaka idzie ze stanu duchownego bądź szlacheckiej krwi, wznosi się ponad swój stan i przychylności Wędrowca traci. Odtąd wytwarza silne dekokty, zamawia uroki i znajduje wielką sławę w leczeniu chorób ziemskich. Ale chorób niebiańskich jego ręka zwalczyć nie może.

Na Pustkę. Wiedziałem, o co chodzi. Powtarzała się historia z kapitanem strazy. „Jesteś wiedźmą czy zielarzem?”. Tylko że na migrenę naprawdę nie istnieje żadne skuteczne lekarstwo. A przynajmniej nie ziołowe. Znałem eliksiry, które nieco łagodziły objawy, szprycowałem się nimi po przygodzie ze smokiem. Mógłbym nawet jakiś wyprodukować, gdybym miał pod ręką porządne laboratorium i aparaturę destylacyjną. Oraz oficjalne zezwolenie na uprawianie magii.

Po co ja się w ogóle reklamowałem? Cały czas czekałem, aż książę pan wezwie mnie na zamek, żebym... nie wiem, leczył go ze sraczki, bo chyba najłatwiej w tym świecie o zatrucia pokarmowe. Tymczasem nic takiego się nie stało, za to przychodzili do mnie strażnicy zamkowi po mieszkankę na potencję. Teraz się wyjaśniło, dlaczego zaczęto mnie darzyć taką estymą. I od razu przyleciał jak na skrzydłach naczelný książęcy kapłan.

Co robić? Odmówię, będzie stos. Zgodzę się, prędzej czy później też zostanie skazany. Najlepiej wyrazić zgodę i przy najbliższej okazji dać nogę z miasta.

Kapłan uśmiechnął się krzywo.

– Nie musisz się spieszyć, panie zielarzu. Wiem, jak tobie podobni uwielbiają stan duchowny. Mogę poczekać, aż podejmiesz decyzję. Powiadają, że bardzo pomagają, gdy ktoś skruszeje w zamkowym lochu.

Zamkowy loch?

Ależ to nawet odpowiadało moim zamiarom. Wszedłbym na zamek. Oczywiście w niesprzyjających okolicznościach, ale takie zaklęcia, jak Kamuflaż Moro i Minimalnie Precyzyjna Telekineza, które pozwolą mi otworzyć celę i wtopić się w otoczenie, miałem w małym paluszku. Mogłem je nawet rzucać bez słów, a przynajmniej w więzieniu znajdę czas, żeby poćwiczyć. A już się zastanawiałem, jak się wkraść na teren zamku. Z moim chorowitym wyglądem nie przyjęliby mnie do służby. Odpadały wszystkie rozwiązania, które wymagały sprawności fizycznej, a oczywiście podmiana za strażnika wchodziła w grę tylko w arboriańskich książkach przygodowych, bo było ich łącznie ze czterdziestu i wszyscy się dobrze znali.

– Nie – odezwałem się twardo jak prawdziwy rebeliant.

Aresztowano mnie pięć minut później.

\* \* \*

Szybko zacząłem żałować pochopnej decyzji. Żołnierze nie patyczkowali się z kaleką. Chwycili mnie pod ramiona i profilaktycznie wymierzili kilka kopniaków w brzuch, aż powstrzymał ich kapłan, któremu zależało, żebym uchwycił się w miarę w jednym kawałku. Między kolejnymi błyskami bólu zauważyłem jeszcze, że karczmarz obserwuje całą scenę z pobladłą twarzą. Odwrócił wzrok, kiedy zatrzęsnięto mi na rękach kajdany i wywleczono na ulicę. Stała tam większa grupka żołdaków w tunikach zielonej barwy, z emblematem głowy drapieżnego ptaka. Czy to właśnie osławieni Jastrzębie? Jeśli tak, bez względu na znajomość magii miałem przerąbane.

Eskortowano mnie aż do podzamcza. Grupki gapiów przystawały na ulicach, przyglądając się kolejnemu nieszczęśnikowi, który naraził się kapłanom Cierpliwego Wędrowca. W pewnym momencie minęliśmy się z patrolem strażników miejskich. Nie miałem dobrego pola obserwacji – zasłaniaли je żołnierze, a kiedy zanadto się rozglądałem, jeden czy drugi przyciskał mi głowę, nakazując, abym patrzył w ziemię – ale chyba mignęła mi w tłumie sylwetka kapitana.

Tak więc szedłem z opuszczonym wzrokiem i obserwowałem miejskie kocie łby, a później gładką granitową posadzkę zamkowego dziedzińca, ciemnoczerwoną jak krew. Przemknęło mi przez myśl, że właśnie widzę kolejny

dowód na to, że zamek w Montreuil ma długą historię, sięgającą może czasów Cesarstwa. Nie mogłem jednak się nad tym zastanawiać, bo znówdzielono mnie w żołądek i zawleczono do bocznych krużganków, przy radosnym pokrzykiwaniu tłumu. Wreszcie, po przejściu niekończącego się labiryntu korytarzy ze ścianami z szarego kamienia (wydawał mi się dziwnie znajomy, chociaż nie potrafiłem sobie przypomnieć, gdzie go widziałem) i kręconych schodów, dwóch strażników podźwignęło mnie do pionu.

Przede mną, za krzywymi drzwiczkami ze stali, otwierała się czarna czeluść.

Czekali chwilę w milczeniu.

– Przypatrz się dobrze – odezwał się jeden – żebyś sobie karku nie złamał.

– Tak na moje – mruknął drugi – jak medyk czego nie chce zrobić, to mu więcej płacisz, a nie wrzucasz do ciemnicy.

– Opanuj się – warknął tamten. – Żałujesz psiego syna? Przecież to wiedźma, praktykuje niską Sztukę, gwałci prawa przyrody i tajemnicę Stworzenia. Istnieją sekrety, których nie przeznaczono człowiekowi, bo tylko Wędrowiec w swojej nieskończonej cierpliwości pojąć je może.

– Daruj sobie kazanie – zachnął się strażnik. – Słowo daję, wolałem już, jak się zapijałeś u Wesołej Bałki.

– A juści. Naiwny jesteś i ślepy, skoro tego nie widzisz. Wiesz, co słyszałem? Że to wskrzeszenie. Zmarł na krwawicę, z grobu wylazł, a w nim zamiast ludzkiej duszy demon Zaświatów. Udaje zielarza i kusi ludzi obietnicami ziemskich przyjemności. Patrz, jakie ma oczy zapadnięte i jak mu z nich patrzy. Żywy trup. Gnaty bym mu połamał, ale ojciec Germaine chce z nim jeszcze rozmawiać i wrócić na boską drogę, bo dla niego każdego robaczka można zbawić.

– Ty tam, Milczący. – Poczułem szturchnięcie w bok. – Widzisz co?

Moje oczy powoli przyzwyczajały się do mroku. W głąb czeluści prowadziły wąskie kamienne schody o nierównych stopniach, tu i ówdzie lekko obtłuczone. Rzeczywiście łatwo sobie na nich zrobić krzywdę.

– Tak – powiedziałem chrapliwie. Czułem w ustach smak krwi. Złamane żebra? Nie, chyba tylko rozbita warga.

– No to leć – powiedział strażnik i pchnął mnie do przodu.



Ześlizgnąłem się po wilgotnych stopniach, bezskutecznie hamując dłońmi. Kajdany brzęczały na kamieniach. Zatrzymałem się w połowie drogi, i to tylko dlatego, że trafiłem na zakręt. Dlaczego wyobrażałem sobie, że zamkną mnie w eleganckiej celi z kłódką, posłaniem i nocnikiem?

– Heej! – rozległo się z góry. – Żyjesz tam, suczy synu?

– Nie! – krzyknąłem wściekle i dodałem czwarte jednosylabowe słowo, które umiałem wymówić.

– Dobrze jest, idziemy!

– A jak połamał co sobie?

– Gdyby złamał coś ważnego, głośniej by wrzeszczał. Ja nie jestem taki dobrotliwy, uważam, że ojczulek i tak się z nim za bardzo cacka.

Żelazne drzwi zatrzasnęły się z hukiem i zniknął ostatni promień światła.

Ciemnica, rzeczywiście. Co ja sobie myślałem? Chociaż sądząc z rozmowy strażników, prędzej czy później i tak miałbym kłopoty. Jeśli już takie pogłoski rozniosły się po zamku...

Westchnąłem, uświadamiając sobie jeszcze jedną rzecz. Mój plecak, razem z Rydwanem i składanymi domami, został u karczmarza.

\* \* \*

Pod dłońmi czułem wilgotny kamień. Opierałem się plecami o ścianę, po której ściekała chyba strużka wody – a może to ze mnie lał się pot. Nic nie widziałem. Spodziewałem się pochodni, zakratowanych okienek w murze, czegokolwiek, ale najwidoczniej deprywacja wzrokowa wliczała się do repertuaru bretańskich tortur.

Nie wiem, jak długo odpoczywałem. Przekonałem się, że chociaż byłem już dostatecznie zdrowy, żeby nie spać w ciągu dnia i pozwalać sobie na długie spacerki, wciąż łatwo opuszczały mnie siły. Zbyt dużą ufność pokładałem w wytrzymałości ciała po transformacji. Choroba pożarła większość moich mięśni, a te, które zostały, pracowały na granicy swoich możliwości. Gdybym był zwykłym człowiekiem, pewnie nadal spędzałbym trzy czwarte doby w łóżku.

Kiedy ból stłuczonych żeber trochę zelżał, a krew zaschła na ustach, zapadłem w krótki, gorączkowy sen. Majaczyłem o komnacie zbudowanej z gładkiego

szarego kamienia, na którym ledwo dostrzegało się łączenia. Pośrodku stał jakiś obiekt – posąg albo fontanna, obraz zamazywał się w moich rojeniach. Wiedziałem tylko, że pochodzi sprzed początku czasu.

Poczułem, jak coś ciepłego i miękkiego dotyka mojej dłoni. Wzdrygnąłem się i od razu wybudziłem ze snu. Zwierzątko – szczur albo mysz – pierzchnęło w ciemność. Dźwignąłem nadgarstki zakute w kajdany. Zastanawiałem się, w jaki sposób mają niby ograniczać moją zdolność ruchu, aż zorientowałem się, że zwisające z nich łańcuchy są zakończone żelaznymi kulami. Strażnicy musieli je nieść, zanim zrzucili mnie ze schodów. Jeszcze parę miesięcy temu sam mógłbym je dźwignąć, teraz skutecznie przygniatały mnie do podłogi.

W całkowitych ciemnościach, przycupnięty na zimnym kamieniu, nasłuchiwałem. W oddali kapąła woda. Słyszałem pisk gryzoni i echo pobrzękiwania własnych kajdan. I coś jeszcze. Ledwo słyszalny dźwięk. Jakby ludzki kaszel.

Miałem współwzięnia.

Powoli zacząłem zsuwać się po schodach w dół. Może znajdę wygodniejsze miejsce do odpoczynku niż na stopniach. Może rozprostuję nogi i ręce i pomyślę nad zakłęciami, które mogą mnie stąd wydostać. Kajdany zrobiono ze zwykłego żelaza, a nie z ołowiu i cyny; zdaje się, że w Bretanii już dawno zapomniano o takich środkach ostrożności. Moje Źródło działało bez zarzutu, a po odpowiedniej liczbie prób dam radę z prostszym zakłęciem telekinetycznym nawet bez prawidłowych gestów czy też form Drogi Czaplí, którymi je częściowo zastępowałem. Chyba. Może. Taką miałem nadzieję.

Kaszel umilkł. Teraz słyszałem ciężki oddech człowieka, który chciałby zachować ciszę, ale płuca mu na to nie pozwalają.

– Czy to jeszcze jedna złuda? – odezwał się ochryply, starczy głos. – Widziałem Wyrocznię i głębię Zaświatów. Widziałem już węże i smoki oraz wieże zaginionej Altery. Słyszałem, jak wrzucają mi towarzysza niedoli. Co jest prawdą, a co iluzją? Czy jesteś prawdziwy?

„Oszalał od ciemności – pomyślałem najpierw, a potem dodałem: – Nie, oszalały tylko jego zmysły”. Czytałem kiedyś o czymś takim. Przy deprywacji sensorycznej wyobraźnia zaczyna uzupełniać braki wizjami i wspomnieniami,

jakie uzna za stosowne. Jak długo siedzi tutaj w mroku, z krótkimi chwilkami światła, gdy przynoszą stawę? Od jak dawna słucha tylko pisku szczurów?

– Tak. – Mój głos zabrzmiał słabo i niepewnie. Zniekształciło go echo.

– Czy jesteś wiedźmą? Demonem w ludzkiej skórze, jak mówili tamci, czy nieszczęsną ofiarą tego węża Germaine’a?

– Tak, nie, tak. – Kaszlnąłem. Wilgoć i mnie zaczynała się dawać we znaki.

– Na Pustkę! – W okrzyku mojego współwięźnia było tyle nienawiści, że ciarki przeszły mi po grzbiecie. – Powiedzieli, że ojczulek Germaine chce z tobą mówić, zatem będziesz mu donosił, choćbyś nie chciał. Mają swoje sposoby.

– Nie – odezwałem się łagodnym, uspokajającym tonem. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby staruszek uduślił mnie łańcuchem, zanim cokolwiek dam radę zrobić.

– Kpisz ze mnie? Nie umiesz mówić?

– Nie...

Zapadła chwila ciszy. Następnie usłyszałem szuranie przeciąganej po ziemi kuli.

– Debila mi wrzucili, niemotę – zawarczał. – Kpiny. Może chociaż jesteś tłusty, chłopcze, i się nadasz na dobry posiłek, bo dość już mam szczurów.

Cofnąłem się, szurając kulami. Będziemy się tak gonić po komnacie, aż jeden z nas zginie? Jasne, chciałem obrabować zamkowy skarbiec, ale naprawdę wolałem nie zaczynać swojej kariery kryminalisty od morderstwa.

– Nie iść – poprosiłem, usiłując załagodzić sytuację. – Nie.

Opadł na ziemię z brzękiem kajdan i rozszlochał się jak dziecko.

Przykucnąłem, żeby odciążyć ręce od przykrótkich łańcuchów, i złożyłem dłonie jak do czerpania wody. Wzory, które zdawały się banalnie proste, kiedy wypoczęty i po rozgrzewce popisywałem się przed Solange, teraz nie chciały się układać. Przeszkadzały mi kajdany, bolały żebra i na domiar złego zaczynała mnie cisnąć w pęcherzu.

„Daj spokój, Vince – powiedziałem sobie. – Rzuciłeś Kulę Światła z nieaktywnym Źródłem, kiedy magia kształtowała się z takim trudem, jakby przymocowano ci do nadgarstków nie dwa, ale cztery żeliwne ciężary. Robiłeś to

na kacu, z zapaleniem oskrzeli, po całonocnym maratonie alchemicznym, kilkadziesiąt razy z rzędu, korzystając z pożyczonej mocy Meg. Praktykujesz magię od dwudziestu czterech lat. Przystań udawać sam przed sobą, że jesteś żółtodziobem”.

W moich dłoniach powoli zaczęła rosnąć świetlista bańka. Starannie regulowałem jasność, żeby nie osłepić siebie ani mojego współtowarzysza niedoli. Kiedy moje oczy dostosowały się do bladego, delikatnego blasku, delikatnie wypchnąłem ją w powietrze. Zawisła nad naszymi głowami, ukazując ożebrowania ścian, nierówną granitową posadzkę i starego człowieka.

Kiedy tylko go ujrzałem, zrozumiałem, że mimo pogroźek nie mam się czego obawiać. Nigdy wcześniej w całej Bretanii nie widziałem nikogo tak sędziwego. Wdowa Solange, a nawet wójt skażonej wioski, wyglądali przy nim na młodzież. Jasne, nie służył mu pobyt w lochu, ale jego wiek dało się rozpoznać po subtelniejszych oznakach: cienkiej, delikatnej skórze podobnej do pergaminu, dużych i wiotkich małżowinach usznych, charakterystycznie rozrośniętym nosie i niewielkiej ilości zmarszczek, jakby ulepiono go z plasteliny, bo nawet zmarszczki zaczynają znikać po przekroczeniu pewnego wieku. Tak wyglądała moja cioteczna prababka, która dożyła stu pięciu lat bez pomocy magii.

Nie ulegało wątpliwości, że stoi przede mną niedawno zdetronizowany ksiączę Bernard de Montreuil de Branche d'Amethyste.

– Jednak mam zwidy – szepnęła ksiączę, a po policzku spłynęła mu wielka łza. – Kula Światła. Ach, ale każdy może rzucić Kulę Światła, nieprawdaż? Źródła wygasły. Nie ma już Magów Pustki.

Po raz pierwszy, odkąd znalazłem się w Bretanii, usłyszałem tę nazwę: Magowie Pustki. Nie przeklinał. Nawet nie zaakcentował słowa „Pustka”.

– Pokażesz coś jeszcze? Jeśli możesz. Proszę.

– Tak – powiedziałem cicho.

Skupiałem się prawie dziesięć minut, ale ksiączę Bernard czekał cierpliwie. Minimalnie Precyzyjna Telekineza zaliczała się w poczet prostszych zadań egzaminacyjnych. Trzeba było jednak nanieść odpowiednie parametry, zwłaszcza uwzględnić wagę, nacisk i kąt wszystkich zapadek w mechanizmie, którym chciałem manipulować. Wreszcie rozległ się cichy szcęk. Otworzyłem swoje

kajdany, z ulgą rozmasowałem dłonie. Książę d'Amethyste nadstawił swoje nadgarstki. Tym razem poszło mi nieco szybciej, nie byłem już obciążony żelastwem i mogłem użyć gestów – nieco pretekstowych, jak zwykle w moim przypadku.

– Niech Szary Wędrowiec, Szary, a nie Cierpliwy i Pustka, i wszelkie moce mają cię w opiece. Kto cię przysłał? – Książę złapał mnie za rękę. – Spadkobierca Lucjusza? Coś ty za jeden? Na cycki świętej Aimée, utwórz więź! Będziemy mogli rozmawiać. Ale... ale nie jesteś czasem głupi? Słyszałem o sawantach, co potrafili liczyć i nic więcej.

– Nie – westchnąłem z irytacją. Zmysłem magicznym poszukałem jego kanałów energetycznych. Były szerokie, spracowane, wskazywały na spory potencjał i jeszcze większe doświadczenie. Gdzieś głęboko, jak niedogaszone ognisko, ledwo żarzyło się Źródło. Nie próbowałem się do niego dostać, bo przeczyło to wszystkim zasadom prywatności, jakie praktykowali czarodzieje, ale czułem jego promieniowane. Ustabilizowałem połączenie. W bezpośrednim towarzystwie mojej świadomości zaistniał drugi umysł. Odruchowo postawiłem mentalne osłony.

„Teraz rozumiem – usłyszałem Bernarda. W moich myślach miał dużo młodszy głos. – To ty jesteś Magiem Pustki, a niech mnie. Oczywiście z Arborii, jeśli mnie instynkt nie myli. Nigdy bym nie uwierzył”.

„Sam czasem nie wierzę” – odparłem. Jakie to odświeżające móc się wreszcie porozumieć bez zabawy w dwadzieścia pytań, i to w czasie rzeczywistym.

„Śnię. Zaraz się obudzę. Mag Pustki pojawił się, żeby uwolnić mnie z lochu. Nikomu nie przytrafia się takie szczęście”.

„No cóż, życie jest chaotyczne, przypadkowe i wszystko się może zdarzyć...”.

„Chwileczkę. Wcale nie przybyłeś mnie ratować, mam rację?”.

Wykrył moje poczucie winy, skubaniec.

„Dobrze – westchnąłem. – Bądźmy szczerzy, bo inaczej nigdzie nie dojdziemy. Nie sądzę, żebym umiał kłamać telepatycznie. Nie znam pana dość dobrze, żeby specjalnie dla pana ładować się do ciemnicy. Prawdę mówiąc, chciałem ten zamek okraść”.

„Co?!”.

„Proszę mnie posłuchać. Miałem całkiem dobre powody. Ratuję moją narzeczoną. Jestem w tym świecie obcy, nie mam ani magicznych dzieł, ani pieniędzy. Poza tym, technicznie rzecz ujmując, okradłbym pańskiego kuzyna Henry’ego. Minie jeszcze trochę czasu, zanim odzyska pan władzę. Bo skoro już się tu znalazłem, ma się rozumieć, zabieram pana ze sobą”.

„Dureń, palant, idiota. Mag Pustki z Arborii przybywa do Bretanii i bawi się we włamywacza, zamiast sięgnąć po prawdziwą potęgę. Czy ty sobie, młody, w ogóle zdajesz sprawę z tego, do czego jesteś zdolny? Wiesz może? Przekaż mi trochę mocy. No!”.

Przełałem mu pięć jednostek. Bernard wessał je błyskawicznie, rozproszając po kanałach energetycznych i wreszcie przemieścił prosto do Źródła. Westchnął. Zamknął oczy. Przez nasze połączenie poczułem, jak promieniowanie stopniowo wzrasta.

„I już. – Jego myśli były przepelnione radosną, dziecięcą ekscytacją. – Teraz jest nas dwóch. Czarodziejów, ma się rozumieć. Znów mam aktywne Źródło. Na Pustkę! Na razie dziesięć jednostek, ale trzeba mi tylko czasu”.

„No to wiejemy?”.

„W podskokach. Jak się nazywasz, młody?”.

„Vincent Thorpe”.

„De Branche d’Aure? D’Obsidienne?”.

„Po prostu Vincent Thorpe. Nie jestem szlachcicem. Wiem, że może to pana szokować, ale proszę mi wierzyć, arboriańskie obyczaje różnią się od tutejszych”.

„O, zdecydowanie. – Bernard prychnął. – Mag Pustki bez szlachectwa! Mag, który nie zna swojego dziedzictwa, nic nie wie o swojej potędze! Nie, być nie może. Trzeba to będzie zmienić”.

„Pozwolę sobie wyrazić sprzeciw. Mam poglądy demokratyczne, głosuję na Federalistów. Moi rodzice są porządnymi obywatelami Avalonu i jestem dumny ze swojego pochodzenia. Nie powinienem dopisywać sobie do nazwiska de Branche d’Aure albo d’Obsidienne, jakbym się go wstydził”.

„Bzdury i banialuki!”.

„Porozmawiamy o tym później. Teraz w nogi”.

Łatwo powiedzieć, trudno zrobić. Liczyłem na to, że skoro mamy już połączenie, ksiązę telepatycznie przekaże mi mapę zamku albo przynajmniej pobieżny szkic okolicy. Szybko się jednak okazało, że chociaż przekazujemy sobie zwerbalizowane myśli, dużo gorzej jest z wizualizacją.

„Nie rozumiem, dlaczego tak cię to dziwi, Vincencie – przekazał Bernard wyniośle. – Doskonała synchronizacja, jakiej wymagasz, to niesłychanie rzadkie zjawisko. Oczywiście, ze względu na własny talent możesz nie zdawać sobie z tego sprawy”.

„Wizualizacje to jedna z pierwszych rzeczy, jakich uczą się dzieci terminujące u mistrza” – odparłem z lekką irytacją.

„Arboriańskie więzi między mistrzem a uczniem nie są zatem zdrowe – odparł ksiązę z niesmakiem. – Pokładałem takie zaufanie jedynie w dwóch osobach w życiu i żadna z nich nie była obdarzona mocą”.

„A zatem przyjmij do wiadomości, że w niektórych aspektach nasze metody lepiej się sprawdzają. Na przykład utrzymujemy bardziej przyjazne relacje”.

„Przyjaźń między czarodziejami? Kto ci nakładł do głowy takich bzdur? Przyjaźnie są kapryśne i nietrwałe. Wymiana zasług, sojusze przeciwko wspólnym wrogom – oto konkrety, na których można się oprzeć. Przekonasz się kiedyś, Vincencie. Twoja naiwność pryśnie z wiekiem”.

Westchnąłem.

„Wiesz co? Odłóżmy tę dyskusję na lepszą okazję. Na razie musimy się stąd wydostać, a żeby tego dokonać, należy sobie chociaż w minimalnym stopniu zaufać. Zacznijmy od podstaw. Jak się czujesz?”.

„Znakomicie, dziękuję”.

Wstałem, opierając dłonie na kolanach. Nad nami, jak mała gazowa lampka, dryfowała kula. Nie rozjaśniałem jej zanadto; po kilku czy też kilkunastu dniach pobytu w ciemnościach Bernard jeszcze przez dłuższy czas mógł mieć nadwrażliwe oczy. Rzucaliśmy długie, upiorne cienie, tańczące na kamiennych ścianach pod dyktando światła. Posadzka była wilgotna i śliska, porośnięta ciemną warstwą bliżej mi nieznanego grzyba. Cuchnęło ludzkim moczem i odchodami. Siennik, całkiem świeży, kiedy przygotowano go dla księcia (nawet

w więzieniu arystokraci cieszą się zwykle pewnymi względami), zaczął już czernieć od wilgoci. Może aktywne, ale przygaszone Źródło też pomaga zachować zdrowie, a może Bernard był długowieczny z natury, nieważne. Żaden stuletni staruszek nie wytrzyma dłużej w takim miejscu, bez względu na dobrą formę fizyczną i siłę charakteru. Chociaż mi groził, puszył się jak paw i krytykował arboriańskie obyczaje, zdradziła go nieufność.

„Pewnie zauważyłeś, że nie mogę mówić – zaznaczyłem. – Oczywiście utrudnia mi to dostęp do bardziej skomplikowanych zakłęb. Jak słusznie nadmieniles, w porównaniu z tobą jestem młody i brak mi doświadczenia... Otóż mój godny pożałowania stan to skutek tego, że mniej więcej miesiąc temu zapadłem na bagienną gorączkę krwotoczną i ledwo przeżyłem”.

„Oburzające. Mag Pustki...”.

„Nie rozmawiamy teraz o tym, co powinien, a czego nie powinien Mag Pustki. Chodzi mi o to, że mam ograniczoną sprawność fizyczną. Nie będę cię nieść. Nie biegam. Nie pofrunę. Pozostaje nam skradanie się pod osłoną zakłęb kamuflujących, ale nie możesz w stu procentach polegać na mnie. Zatem ponawiam pytanie: Jak się czujesz? Czy dasz radę iść?”.

„A jeśli nie?”.

„Zostawili mi sakwę zielarską. Może przeoczyli. Albo uznali, że w lochu na nic mi się nie przyda, a po ciemku i tak nie znajdę specyfików, którymi da się otumanić. Są w niej stymulanty, alkohol, a nawet suszone owoce – surowiec leczniczy, ale jak najzupełniej jadalny”.

„Dawaj!”.

Bernard usiadł na sienniku i zaczął łapczywie się pokrzepiać wszystkim, co mu podawałem. Wysączył alkohol oraz eliksir stymulujący, przegryzł garścią suszonych jabłek i jagód. Gdzieś na dnie sakwy znalazłem jeszcze parę kromek chleba – odkąd wyzdrowiałem, cały czas nosiłem przy sobie coś do jedzenia. Rzucił się na nie z taką energią, że musiałem go pohamowywać. I to tyle, jeśli chodzi o brak zaufania.

„Masz może suszone mięso?”.

„Niestety nie”.

„Wielka szkoda”.



„W tym stanie i tak zaszkodziłoby ci na żołądek”.

„Baniałuki! Odkąd w ogóle Mag Pustki zajmuje się ziołolecznictwem? To robota dla pacholków i bab”.

„Tak? W takim razie oddaj mi, proszę, malinową nalewkę”.

„W drodze wyjątku przyznam, że według starych legend wielcy wojownicy umieli także uzdrawiać” – dodał książę, zazdrośnie przyciskając butelkę do piersi.

„Odpocznij sobie. Podejrzewam, że siedzę tutaj mniej więcej od dwóch godzin; wystarczy, żeby tłum się rozproszył, a ojciec Germaine – tak mu było? – jeszcze nie chciał do nas zaglądać. Planowałem najszybszą ucieczkę świata, ale w tych okolicznościach lepiej poczekać do zmroku. Znam urok, który określa datę i godzinę...”.

„A to ciekawe”. – Znow wyczułem w jego głosie dezaprobatę. Czy to dlatego, że mówiłem o magii prostej, zapewne niegodnej mnie albo coś w tym guście? A, oczywiście. Uświadomiłem sobie, że potrzeba dokładnego mierzenia czasu zaistniała w Arborii dopiero z pojawieniem się pierwszych manufaktur. Urok służący do podawania godziny brzmiał jak coś bardzo niepotrzebnego i wymyślonego przez idiotę, który traci energię na błahostki.

„Jak widzisz, w ciemnicy przydaje się świetnie”.

Zostawiłem księcia rozkoszom malinowej nalewki i znalazłem dobre miejsce na przeciwieństwo oddechowego układu Drogi Czapli. Zapaliłem sobie drugą Kulę Światła. Loch był przestronny, nie musiałem nawet szczególnie skracać kroków. Do skutecznej ucieczki potrzebowałem zakłęć kamuflujących i otwierających zamki, także przynajmniej jednego bojowego i jednego ochronnego, w razie gdyby coś poszło nie tak. Chciałem potrenować na sucho, żeby w sytuacji podbramkowej nie stracić wątku. Bernard przypatrywał mi się z zainteresowaniem, ale nie komentował. „Stary pierdziel – pomyślałem – gdybyśmy mieli lepszą synchronizację, moglibyśmy wspólnie spróbować z potężniejszymi zaklęciami”. Z setką jednostek da się zrobić prawie wszystko, oczywiście nie naraz, ale przecież nie planowałem frontalnego ataku na zamek.

Zawsze mogłem mu oddać energię, zamiast liczyć na współprzetwarzanie. Łatwo zrzucić robotę na potężniejszego maga...

Albo i nie. Od jak dawna Bernard nie używał zaklęć? Mniej więcej od sześćdziesięciu lat? Niepraktykowana sztuka rdzewieje, wzory ulegają zapomnieniu, traci się wycucie własnego Źródła. Umysł stulotka nie liczy tak prędko jak trzydziestoparolatka. Książę nie przyzna się do słabości, będzie odwracał uwagę sarkazmem. Dziwnie się poczułem, kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że na razie z nas dwóch to ja w większym stopniu jestem czarodziejem.

„Dobrze, Bernie”. Nieświadomie użyłem przydomka, jakim obdarzali go ludzie w mieście. Zachnął się, ale nie zaprotestował, widocznie go znał i akceptował taką impertynencję Maga Pustki (którego gminne pochodzenie ignorował jako niemieszczące się w światopoglądzie). „Czy masz na zamku dzieła magiczne, które chciałbyś odzyskać?”

Bernard zaszepił się nieco.

„Antycypowałem podobny rozwój wydarzeń – rzekł wreszcie. – Im bardziej się starzejesz, tym częściej czujesz nad karkiem cuchnący oddech hien. Wielu kuzynów poszło pod topór kata za spiskowanie. I to Henry, krew z mojej krwi, kość z mojej kości, jeden z piętnastu moich własnych prawnuków, który sam mógł zostać dziedzicem, gdyż rozważałem go jako jednego z trzech kandydatów, okazał się zdrajcą. Ech! Parę lat temu przekazałem owe dzieła pod dobrą opiekę i tam zamierzam się udać w pierwszej kolejności. A z zamku przydałoby się wynieść moją pieczęć rodową. W skrytce w sypialni trzymam też szkatułkę pełną przednich klejnotów, sądzę, że ich nie odkrył. Mitrę zapewne nosi na własnej łysej głowie, wyrodny bachor”.

„Czyli trzeba się przedostać do komnat książęcych. Hm, to może być trudniejsze niż włamanie do skarbcza...”.

„Oczywiście, że nie! Znam sekretne przejścia”.

„Ach, jasne. Naturalnie. W takim razie prowadź”.

\* \* \*

Jakiś czas później ciężka żeliwna kłódka, która zabezpieczała od zewnątrz drzwi do lochu, szcęknięła głośno i otworzyła się samoistnie. Usłyszałem zdumione głosy strażników i dźwięk dobywanych mieczy. Starłem się nie zwracać na nich uwagi, żeby nie stracić wycucia kształtu żelaznej sztaby.

Zaklęcia telekinetyczne budziły we mnie uczucie dyskomfortu; dawały wrażenie, że wyrosła mi dodatkowa para niematerialnych rąk.

Sztaba spadła z hukiem. Pchnąłem drzwi, wyrzuciłem przed siebie ręce i błyskawicznie przeliczyłem wzór Słodkich Objęć Morfeusza. Niemal równocześnie dodałem Wytlumienie Echa. Obydwa wyrwały się ze mnie w odstępie ułamka sekundy; moc wybrzmiała w czystych akordach, a strażnicy bezgłośnie osunęli się na ziemię. Dwa naraz! Bez słów! Ogarnęła mnie euforia.

„Ogranicz straty – skrytykował mnie książę – bo zaraz będziesz świecił”.

Skinąłem dłonią, żeby został za mną. Znajdowaliśmy się na parterze wieży, w przestronnej komnacie wyposażonej w stojaki na broń, solidny dębowy stół i szeroką ławę. Na stole rozstawiono świeczniki i drewniane miski; najwidoczniej przeszkodziliśmy strażnikom w kolacji. Zauważyłem, że ściany zbudowano z takiego samego gładkiego szarego kamienia, jaki już widziałem w drodze do lochu. I znowu coś mi przypominał, ale nie pamiętałem, gdzie zobaczyłem go wcześniej.

„Znajdujemy się w warowni – wtrącił Bernard zza moich pleców. – Starsza część zamku zgodnie z tradycją służy do przetrzymywania więźniów utalentowanych magicznie – wyjaśnił. – Chyba jako jedyny pamiętam jeszcze dlaczego. Zbudowano go z księżycowej skały, odpornej na działanie zaklęć. Ścianki działowe w ciemnicy są nowsze, więc mogłeś nie zauważyć”.

„Tak sobie właśnie myślę, że nieduże te lochy”.

„Moi przodkowie nie potrzebowali niczego więcej – odparł Bernard. – Trzeba oświeconego władcy, aby zrozumiał, że nie wszystkich łotrów i wrogów powinno się wieszać albo ścinać. Zbudowałem spore więzienie na podzamczu. Z tortur zrezygnowałem na bardzo wczesnym etapie mojego panowania. Po kilkudziesięciu latach człowiek się przekonuje, że istnieją skuteczniejsze metody na uzyskanie zeznań”.

„To bardzo... nowoczesne”. Nie wierzyłem, że książę pan wymyślił zbliżone do arboriańskich sposoby przesłuchań. Podejrzywałem, że wszystko zależy od bretańskiej definicji tortur, ale wolałem nie wiedzieć więcej.

„Dziękuję. W dziedzinie zarządzania włościami zawsze byłem w ścisłej awangardzie”.

„Gdzie teraz? I czego możemy się spodziewać po drodze?”.

„Przydałaby się jakaś niewidzialność; zejdźmy prosto na dziedziniec – zakomenderował ksiązę. – Kuchennymi drzwiami do Głównego Zamku, a stamtąd już prościutko klatką schodową wpuszczoną za fałszywą ścianę”.

„A co z kapłanami posługującymi się skażoną mocą?”.

„Oho, spotkałeś już takich? Jest ich niewiele i zwykle trzymają się z dala od Montreuil. Granica daleko, stolica również. Odwołują ich do ważniejszych zadań. W Bretanii zapomniano już o magicznych zabezpieczeniach, to będzie proste jak przechadzka po parku. Łap”.

Rzucił mi włócznię.

„Widzę, jak się starasz nie gestykulować przy rzucaniu zaklęć. Pochwalam. To bardzo pożyteczne, uwalnia ręce”.

Sam chwycił drzewce, z namaszczeniem przełożył z jednej ręki do drugiej, sprawdził wyważenie broni. Obserwowałem go uważnie.

„Zostaw. Ledwo ją dźwigasz”.

„Bzdury. Radzę sobie doskonale”.

„No dobrze, jak chcesz”.

\* \* \*

O zmierzchu mieszkańcy zamku przygotowywali się do wieczerzy. Po dziedzińcu przechadzali się tylko strażnicy; minęło nas dwóch służących niosących ciężką beczkę. Chłopak prowadził do stajni jabłkowitego rumaka przystrojonego w szmaragdowozielony, złoto lamowany rząd. Właśnie takich zimnokrwistych koni dosiadano tutaj najczęściej: masywnych, o szerokich zadach i kosmatych nogach, zdolnych przeżyć na samej trawie, biegać po śniegu przy minus trzydziestu stopniach i nosić na grzbiecie w pełni opancerzonego, dobrze odżywionego rycerza.

Omijano nas wzrokiem. Nie opanowałem Prawdziwej Iluzyjnej Niewidzialności, którą Kathryn rzucała z zamkniętymi oczami, wyrwana ze snu w środku nocy. Kamuflaż Moro nieźle się sprawdzał przy wieczornym świetle, ale ten umiałbym zastosować tylko na sobie. Wybrałem więc Mysią Dyskrecję, co brzmi bardzo zabawnie, a w gruncie rzeczy jest zaklęciem wpływającym na

umysł. Dopóki nie zwracaliśmy na siebie uwagi, nikomu nie przychodziło do głowy, żeby nas zaczepić. Mój wybór wywołał jednak litanię narzekań Bernarda.

„Nawet małe dziecko wykorzystałoby potężniejsze zaklęcie”.

„Przypominam, że oszczędzamy jednostki”.

„Ci durnie nie zwracają na nas uwagi!”.

„Taki właśnie miałem plan”.

„Nie rozumiesz! Setki razy uczulałem ich na podobne podstępny. Każdy strażnik zamkowy, którego przyjmujemy na służbę, zostaje przeszkolony na okoliczność zaklęć odwracających uwagę, wprawnych włamywaczy oraz istot, które chowają się pod ogonem demona, jak to się mówi. Każde niewłaściwe drgnięcie światła powinno budzić ich podejrzliwość. Dają się nabrać na tak prosty czar!”.

„W tym kraju magia nie istniała ponad pięćdziesiąt lat. Czują się bezpieczni, są w domu. Dlaczego mieliby szukać intruzów?”.

„Strażnicy winni zawsze zachowywać czujność na posterunku – upierał się Bernard. – Gdy odzyskam książęcą koronę, zrobię z tym porządek”.

„Ciszej na chwilę, bo jeszcze się rozproszę. Muszę podtrzymywać czar. Gdzie kuchnie?”.

„W tamtą stronę”.

Człapaliśmy w stronę bocznego wejścia dla służby. Bernard niewątpliwie wyobrażał sobie, że się skradamy niczym wprawni włamywacze, o których wspomniał, ale rzeczywistość wyglądała nieco inaczej. Mnie po przeżyciach dzisiejszego dnia bolały żebra i właśnie zaczynała dokuczać prawa noga, a książę mimo najlepszych chęci (oraz sporej dawki ziółek i malinowej nalewki) nie mógł przewyciężyć ograniczeń wynikających z wieku. W tłumie służących, którzy wynosili balie z odpadkami, wnosili do środka beczułki i różne inne dobra oraz kręcili się przed wejściem w tylko sobie znanych sprawach, trudno było nas ominąć. Raz po raz przełamywano moje zaklęcie, prawie natychmiast zapominając o naszej obecności. Potężna kobieta w czerwonym fartuchu szturchnęła mnie łokciem, a następnie zamiast przeprosić, zrugowała gromko za to, że stanąłem na jej drodze. Potem facet przy wózku z kapustą poinformował nas

głośno, że resztki będą wydawać po wieczerzy, mamy się nie plątać pod nogami i nie zawadzać.

„Biorą nas za pątników z kaplicy! – oburzył się Bernard. – Żebraków!”.

„No cóż, trzeba przyznać, że przydałaby nam się kąpiel. Patrz, posługaczki idą z kapustą. Wejdzimy razem z nimi. Zostaw tę włócznię”.

„Jeszcze czego” – odparł chmurnie książę.

Ukradkiem zostawiłem swoją; jakoś udało nam się wślizgnąć z trzema nastoletnimi dziewczkami kuchennymi. Jedna z nich zaczęła narzekać, że coś okropnie cuchnie, ale najważniejsze, że znaleźliśmy się w środku.

Od razu zaciągnąłem Bernarda pod ścianę, żebyśmy nie przeszkadzali w codziennej krzątaniu. W przedsiönku bez przerwy mijali się ludzie. Pod ścianą stały otwarte beczułki z cebulą, marchwią i innymi korzeniowymi warzywami. Po raz pierwszy w Bretanii zauważyłem kosz ziemniaków. Z kuchni uderzał niemożliwy wprost upał; właśnie wyjmowano z pieca chlebowego świeże okrągłe bochenki. Osobne stoły służyły do oprawiania i przygotowywania mięs. Tutaj zakończono już pracę, kucharz wbił tasak w drewno i tubalnym głosem podawał instrukcje trzem wystraszonym kuchcikom. Pod stołem pięć kotów mlaskało przy misce z resztkami, a z pieca dochodził zapach pieczystego. Nad paleniskiem bulgotały garnki z zupami czy też leguminami.

„Będzie baranina z ziołami i truskawkami – poinformował Bernard, wężąc zapamiętane. – Quiche z karczochów, pieczony bażant w marynacie z cydru. Na Pustkę! Tartaletki z cielęcym szpikiem, faszerowane winniczki i węgorz zasmażany w purée z grochu. Moje ulubione przystawki, zaraz je podadzą”.

Ostrożnie przysunął się do stołu, gdzie na wielkiej tacy rozstawiono przysmaki. Wpakował do ust kawałek węgorza i dwie tartaletki, parę ślimaków w skorupkach zgarnął do rękawa. Sięgnął do kosza z przestygłym już chlebem i wetknął pod pachę mały okrągły bochenek, pęknięty na środku i z ciemną, chrupiącą skórką. Sam chętnie uczestniczyłbym w rabunku, ale rozglądałem się niepewny, jak długo moje zakłęcie wytrzyma tak oczywisty akt złodziejstwa. Ciekawe, co książę powiedziałyby na kulinarne gusta mojej szefowej. Może pasowałaby mu jej ulubiona pasta z drożdży piwnych.

„Kucharz już trzy razy zerknął w naszą stronę – napomknąłem wreszcie. – W końcu cię zauważy”.

Książę skinął głową i usunął się z drogi służącym, którzy zabierali tace do wielkiej sali.

„Wejście jest w piwnicach” – poinformował. Opierając się o włócznię, ruszył przed siebie. Dopiero teraz zrozumiałem, że pożyczając od strażników broń, Bernard w rzeczywistości wystarał się o łaskę. Pod pozorem wojowniczych zapędów ukrywał problemy z poruszaniem się.

„Mnie też by się przydała jakaś podpora” – pomyślałem z niepokojem, kiedy po raz kolejny szurnałem stopą o posadzkę. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień. W dodatku ominąłem posiłek i mięśnie zaczynały mi słabnąć.

Bernard na pewno wyczuł przez więź, że jestem głodny, ale nadal ukradkiem wydłubywał ślimaki ze skorupki i zakąszał chlebem. Równie dobrze mógłbym liczyć na to, że Meg pożyczyci mi książkę, którą właśnie czyta.

Do lodowni schodziło się przez piwnice. Prowadziły do nich szerokie kamienne schody z podręcznej spiżarni sąsiadującej z kuchnią. Drzwi były otwarte na oścież; tęga kobieta w fartuchu właśnie wyносиła na górę kamionkowy gąsior pełen wina.

„Znam tę pieczęć. To wino rozlewano dwadzieścia lat temu, na srebrne gody mojego najmłodszego wnuka. Widzę, że młokos swobodnie sobie poczyna z moimi zapasami – burknął książę. – Urządza uczyty, żeby zjednać zwolenników”.

„Dzięki temu mamy wstęp do piwnic”.

„I tak ukryłem zapasowy klucz w podłodze”.

Zerknąłem na posadzkę.

„Nie będzie nam potrzebny” – dodał książę.

„Bernie... zostawiamy ślady z mąki”.

„O, na Pustkę”.

Po krótkim postoju na otrzepanie butów zeszliśmy w głąb piwnic. Albo znajdowaliśmy się w nowszej części zamku, albo ród d’Amethyste wolał trzymać w lochach wino niż więźniów, bo komnaty ciągnące się jedna za drugą były

zastawione beczkami i sięgającymi aż po sufit półkami pełnymi rozmaitych trunków. Kuśtykałem za Bernardem tak prędko, jak tylko dawałem radę. Stymulanty chyba działały, gdyż staruszek znacznie zwiększył tempo. Po kilku zakrętach, kiedy zgubiłem się już dokumentnie, książę zatrzymał się przy gigantycznej omszałej beczce z kurkiem, która miała chyba z milion lat. Coś przy niej podłubał, coś poskrobał i otworzył w beczce drzwi wysokości dorosłego mężczyzny.

Naszym oczom ukazały się strome kręcone schody. Jęknąłem.

„Jak wysoko znajdują się książęce komnaty?”

„Będziemy odpoczywać po drodze – odparł Bernard po krótkim, acz znamiennym milczeniu. – Gdzie jak gdzie, ale tutaj raczej nikt nas nie zacznie szukać”.

„Czy mogę, o książę, skorzystać najpierw z twojej piwniczki?”

„Znakomity pomysł. Weź ten gąsiorek po lewej – doskonały rocznik”.

Schowaliśmy się na klatce schodowej z gąsiorkiem pełnym wina. Resztki światła, padające od strony bardziej uczęszczanych piwnicznych komnat, przeświecały przez szpary w deskach. Wyciągnąłem skórzany kubek z sakwy, połałem i przez chwilę w milczeniu dzieliliśmy się napojem. Spodziewałem się nie lada rarytasu, ale trunk nie dorównywał dobrym winom stołowym z Avalonu. Z drugiej strony kilkanaście lat temu pijałem takie rzeczy, że dotąd mi wstyd, a w tej chwili pasowałby mi nawet ocet.

Pomogło. W moim żołądku zagnieździło się przyjemne ciepło, a prawa stopa zaczęła się nieco bardziej słuchać. Przelotnie zastanowiłem się, ile alkoholu naraz Bernard może wypić – przecież wcześniej częstował się już moją nalewką – ale doszedłem do wniosku, że stuletni Bretańczyk ma pewnie mocniejszą głowę niż przeciętny arboriański staruszek. Zaczęliśmy się z wolna pięć ku górze. Gdy światło dobiegające z piwnic zniknęło za zakrętem, oświetliłem drogę zakłębieniem.

Jak się okazało, tajemne przejście prowadziło nie tylko do książęcych komnat. Na półpiętrze z klatki schodowej wiodły w dwie strony wąskie korytarze.

„Będziemy uciekać tym na prawo” – wskazał książę. – Dotrzemy na podzamcze. Tam weźmiemy konia i w drogę”.



„Komu w drogę, temu czas. Ja muszę jeszcze wrócić do gospody. Zostawiłem tam kilka ważnych magicznych przedmiotów”.

„Na pewno już je rozkradli”.

„O, nie – odpowiedziałem, myśląc o srebrnej księdze, czyli składanym Rydwanie, całym wygrawerowanym w symbole de Branche d’Argent. – Karczmarz prędzej się zśiska ze strachu, niż przyzna komukolwiek, co nosiłem w plecaku. Jeśli to u niego znajdują, zabiją go. Jeśli sam doniesie, podejrzewam, że tak czy inaczej zamkną mu usta. Pewnie schował plecak w najgłębszym miejscu w piwnicy i czeka na okazję, żeby wyrzucić go do rzeki”.

„Teraz mnie zaciekawiłeś, młody. Może jako mag nie jesteś taki całkiem niewydarzony. No dobrze. Drogą, którą wskazałem, można dojść poza mury zamku. Przewidziano ją właśnie na taką okoliczność i zbudowano, zanim miasto się rozrosło”.

Ruszyliśmy dalej. Książęce komnaty znajdowały się na wysokości naszego trzeciego piętra, zapewne tuż nad wielką salą. Widziałem w życiu kilka ciemnowiecznych zamków – jako turysta, gość, podczas wypraw z Margueritte. Miałem pewne pojęcie o tym, jak wyglądają w postaci odrestaurowanej zgodnie z prawdą historyczną, rozbudowanej albo zniszczonej. Z pewną rezygnacją przyjmowałem konieczność długiego marszu pod górę i starałem się odpowiednio rozkładać siły, tak aby wystarczyło ich na ucieczkę.

Znów stanęliśmy na rozdrożach. Schody prowadziły jeszcze wyżej, ale Bernard oznajmił, że znaleźliśmy się u celu. Podreptaliśmy korytarzem. Od czasu do czasu książę opierał się o ścianę; po chwili dostrzegłem, że zagląda do komnat przez ledwo widoczne pionowe otwory. Pomyślałem sobie, że system tajnych korytarzy musi być ważną częścią społecznego życia zamku i że w takim razie nie tylko Bernard o nich wie.

„Tutaj – usłyszałem myślach, a potem: – O, zdrajca przebrzydły!”.

I zanim zdążyłem go powstrzymać, chwycić za rękę, zrobić cokolwiek, książę pchnął drzwi i wystrzelił jak kula armatnia, dzierżąc pochyloną włócznię. Z jego szaty wypadły na podłogę dwa faszzerowane winniczki.

„Zaczekaj!” – Pokuśtykałem za nim. Rozległ się stłumiony krzyk i bolesne rzężenie.

Bernard stał w rozkroku nad pękatym mężczyzną. Na jasnioletowej szacie, wokół drzewca włóczni, która utkwiała w brzuchu delikwenta, rozkwitała plama świeżej krwi. Długa, jasnowłosa, trefiona peruka zsunęła się rannemu z głowy, odsłaniając łysiejącą czaszkę. Miał zamknięte oczy. Na gęstym dywanie, kunsztownie tkanym w sceny łowów, leżała rozbita butelka po malinowej nalewce.

„Oszalałeś?! Przyszliśmy tutaj kraść czy mordować?! Zostaw go!”.

– Weź te łapy – zawarczał książę na głos. – Taka okazja, żeby się zemścić i odzyskać władzę, a ty mi będziesz przeszkadzał? Niedoczekanie.

„Bernard. Opanuj się i pomyśl chwilę. Co zrobią ludzie, którzy wsadzili go na tron, kiedy zobaczą cię nad ciałem? Zaczną wiwatować? Oddadzą ci Montreuil? Oprzytomnij, człowieku!”.

– Należy mu się. Sam Wędrowiec zesłał na niego sprawiedliwą zemstę. Wrzucił mnie do lochu! Chcesz darować mu życie? Jesteś czarodziejem czy babą?!

„Arboriańczykiem – pomyślałem – i nie nauczę rozsądku bretańskiego tyrana, dla którego zabić człowieka to tyle, co rozgnieść pchłę”.

„A co się stanie, jeśli Henry umrze? Posadzą na jego miejscu kolejnego. Podpowiem – nie ciebie. Zastanów się, czy wszyscy inni kandydaci są od niego mniej kompetentni. Kogo wolisz później oblegać z armią?”.

To mu dało do myślenia. Odetchnął nieco głębiej. Opadły mu ramiona.

– Prawdę mówiąc, wolę Henry’ego – przyznał niechętnie. – Najmniej zniszczeń. Niedobrze oblegać własne miasto.

Zerknąłem na ofiarę. Henry mrużył oczy i starał się nie oddychać. Zapewne słyszał całą rozmowę, a przynajmniej tę jej część wypowiedaną głośno, i tylko czekał, aż minie bezpośrednie zagrożenie, aby wezwać pomoc. Bez zastanowienia rzuciłem Objęcia Morfeusza.

„Skoro tak, pozwól, że zatamuję krwawienie”.

Zdecydowanym ruchem rozdarłem jedwabie i obejrzałem ranę. Tylko z pozoru wyglądała groźnie. Stary książę użył ciężaru własnego ciała, żeby dodać sobie impetu, ale nie trafił w cel. Ostrze włóczni ześlizgnęło się po wydatnym brzuchu, przeorało kawał skóry i utkwilo w starannie wyhodowanym boczku księcia

Henry'ego de Branche d'Amethyste. Zastosowałem Powstrzymanie Krwotoku i Aseptyczną Ulgę, tak na wszelki wypadek. „Właściwie – pomyślałem – dlaczego mi zależy? Mordowanie się nawzajem wygląda na tutejszy sport narodowy, zwłaszcza wśród szlachty. Po co wymuszać na nich moje standardy, nie lepiej ich tak zostawić, żeby załatwiali między sobą spory zgodnie z własną naturą?”. A potem do mnie dotarło – książe Henry wrzucił pradziadka do ciemnicy, chociaż mógł go oddać katu. Z okrucieństwa? Nie byłem tego taki pewien. Karmił go nawet, chociaż niezbyt obficie.

„Kiedy zaczną się niepokoić?”

„Jeśli nie zejdzie na danie główne. Czyli za jakieś półtorej godziny”.

Bernard przystąpił do przeszukania komnaty. Ja oglądałem naścienne gobeliny, dzieła sztuki utkane ręcznie przez rzemieślników, jakich już nie było w Arborii. Każdy najdrobniejszy ścieg coś oznaczał, budował szczegóły opowieści. Gesty przedstawionych postaci, spojrzenia i półuśmiechy, owoce, kwiaty, uchwycone w ruchu psy i wierzchowce. Widziałem tam polowanie na jelenia, sielankę z damami dworu w negliżu, scenę koronacji. Oraz smoka. Zajmował prawie całą gobelin, dumnie rozkładając krwistoczerwone skrzydła i zionąc językami ognia, które trochę przypominały kształtem liście.

„Co, podoba ci się? – Bernard wychylił się spod łóżka, ściskając w dłoniach drewnianą szkatułkę. – Jeden z najlepszych portretów Królewskiego Smoka, jaki znam”.

„W Arborii nie ma już smoków – wyjaśniłem. – Tylko duszospoki. A przynajmniej jeden był. Do niedawna”.

„To nie to samo. – Książe pokręcił głową. – Zaledwie cienie, strzępy świadomości. Nasz Królewski Smok wycofał się w góry przed wielu laty. Przestał akceptować Jego Królewską Wysokość. Pierwszy znak, że z Philippe'em stało się coś nieodwracalnie złego. Chociaż jeśli się zastanowić, już wcześniej się domyślaliśmy. Smok był cierpliwy”.

„Chętnie usłyszę tę historię. – Podniosłem z dywanu cienką złotą koronę wysadzaną ametystami. – To chyba twoje”.

Schował koronę do sakwy z miękkiej gronostajowej skórki, którą znalazł gdzieś w komnacie. Sam zacząłem się rozglądać za czymś przydatnym.

Spodziewałem się, że w książęcej sypialni znajdę broń, ale się rozczarowałem. Henry nosił przy sobie miecz, który chętnie przywłaszczył sobie Bernard. Co ja bym zresztą zrobił z mieczem?

„Czy znajdę tutaj kostur? Albo laskę?”

„Nie potrzebuję czegoś takiego” – prychnął książę.

„No wiesz, rekwizyt czarodzieja...”

„Czarodziejem też już od dawna nie byłem. Aż do teraz. Dzięki tobie”.

Przypomniałem sobie przysłowia mówiące o wdzięczności książąt i w milczeniu wróciłem do przeszukiwania nocnej szafki. Wyciągnąłem stamtąd na w pół opróżnioną porcelanową miskę z ciasteczkami, które potraktowałem tak, jak wcześniej Bernard tacę ze ślimakami. Z ustami napchаныmi makaronikami z kremem zabrałem się do oglądania drugiej, większej szkatułki. Moim oczom ukazała się biżuteria. Na Pustkę, książę Henry, a może i Bernard, miał więcej biżuterii niż Amandine. Medaliki i kamee, złote pierścienie, naszyjniki z brylantów przetykanych doskonałymi kryształami ametystu. Skoro stary książę nie zainteresował się tym bogactwem, to co trzymał w szkatułce? Zgarnąłem wszystko do sakwy.

Kolejnym znaleziskiem okazało się lustro ze szklaną taflą.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w obcą, wychudzoną i brodatą gębę, która spoglądała na mnie ze zwierciadła. To ja? Naprawdę tak źle wyglądam? Ze zgrozą przyjrzałem się pozółkłym sińcom pod oczami, pergaminowo bladej skórze, zapadniętym policzkom. Rzeczywiście, żywy trup.

„Mam wszystko, czego szukałem – odezwał się Bernard zza moich pleców. Przebrał się, kiedy nie patrzyłem, i teraz miał na sobie ciemnofioletowe bryczesy, koszulę w odcieniu, który Amandine chyba nazwałaby *écru*, czarną pelerynę z wysokim kołnierzem oraz całkiem sporo pobrękującej złotej biżuterii we wszystkich nadających się do tego miejscach. – Nie wiem, co on sobie myślał – że schudnie do moich ubrań?”

„Jeszcze jeden dowód, że Henry nie chciał, żeby szacowny przodek zgnił w lochu – pomyślałem sobie. – Ale teraz, kiedy śpi, nie dowiemy się, co próbował uknuć”.

Tej nocy w Montreuil jasno płonęły pochodnie. Oświetlały ulice, z wielokrotnością się w wodach rzeki i świątynnych witrażach. Pod osłoną iluzyjnego kamuflażu, który wreszcie udało mi się rozciągnąć na dwie osoby, przeszliśmy niemal ramię w ramię obok patroli straży miejskiej, oddziałów królewskich wojsk i kapłanów Cierpliwego Wędrowca. Miasto nie spało. Ludzie w szlafmycach wyglądali z okien i nawoływali sąsiadów. Minęliśmy grupkę mieszczan z latarniami, którzy rozsiedli się na rynku, w oczywistym zamiarze wymiany informacji i domowych nalewek. Nasłuchiwałem przez chwilę. Tajemniczy zamachowcy zaatakowali księcia Henry'ego; z więzienia uciekł stary książę Bernard, niewątpliwie oswobodzony przez wiernych mu spiskowców. Podobno byli zbuntowanymi królewskimi Jastrzębiami; wszyscy wiedzą, że czarodziejów nie ma, a Jastrzębie potrafią się stać niewidzialni.

Nawet biorąc pod uwagę ślimacze tempo ucieczki podziemnym przejściem, nie rozumiałem, jakim cudem plotki rozniosły się aż tak szybko. Postawiliśmy na głowie miejski cykl dnia i nocy.

Przemknęliśmy najkrótszą drogą w stronę Srebrnego Dzbana. Spodziewałem się, że karczmarz zamknie dziś przybytek, tymczasem wręcz przeciwnie, gospoda pękała w szwach. Weszliśmy od strony wychodka przez drzwi kuchenne.

Tam trochę skłęśłem i postanowiłem, że usiądę w składziku z winem. Książę mnie poparł, nieco zbyt entuzjastycznie jak na mój gust – w końcu tym razem to nie było jego wino. Kilkanaście minut czekałem, aż karczmarz obróci do składziku. Kiedy wreszcie jego zażywna postać ukazała się w drzwiach, musiał się zmierzyć z niezłym zaskoczeniem.

„Nie krzycz – mówił napis na woskowanej tabliczce. – Kasza z okrasą, kiełbaski i piwo dla dwóch osób. Oraz mój bagaż”.

– Święta Aimée spoza Świata... – Karczmarz oparł się plecami o ścianę. – Milczący Zielarz. Przecież widziałem, jak... Ale uciekłeś... Ten drugi człowiek...

– Na kolana, chamie, przed wyższymi stanem! – Książę Bernard spokojnie odłożył na bok odszpuntowaną butelkę i błysnął pierścieniem rodowym. – Mojego towarzysza możesz zwać Milczącym Czarodziejem, a nie Zielarzem, o ile się jeszcze nie domyśliłeś. Jak napisał – kasza z okrasą, kiełbaski i piwo.

Naszykuj najlepszego wierzchowca, jakiego masz. I przynieś bagaże. Nikomu ani słowa! Od swojego księcia pana krzywdy nie zaznasz, ale w najczarniejszych koszmarach sobie nie wyobrażasz, co on ci może zrobić. Żywo! Już!

„Bernie, chyba żartujesz”.

„Z chamstwem trzeba stanowczo. – Policzki miał czerwone od wina. – Jesteś najgorszym czarodziejem, jakiego widziałem w życiu. Ale, na Pustkę! Nauka cię nie ominie”.

Kilka tygodni wcześniej

Amandine, Kathryn i Lily

Utracona Bretania, 12 Mai 753 AG

Wierzchowce szły stępa. Starożytna droga z czasów Cesarstwa Triumwiratu, gładka jak granitowa posadzka, prowadziła cały czas pod górę, wzdłuż stromych zboczy. W dolinie widać było domy jak zabawki z klocków, ceglasczerwone dachy i świątynne wieże. Nad głowami podróżnych lśniła niezdojta forteca Narbonne, stolica hrabstwa rodu Trevancel de Branche d'Amethyste. Wzniesiony na skale białej jak kość, obrośnięty strzelistymi wieżami i kamiennymi domostwami, zamek równocześnie sam w sobie stanowił miasto i dzielił nazwę z miejscowością na dole; razem tworzyły jedną aglomerację. Miejscowi wyróżniali znajdujące się na szczycie Tours de Narbonne oraz Cite de Narbonne, rozlewające się na całą dolinę.

Amandine pociągnęła z manierki łyk ziołowej herbaty. Podróżowali od świtu i chociaż zwolnili tempo po dotarciu do granic hrabstwa, dręczyły ją pragnienie i senność. Pozostałe uczestniczki wyprawy również wyglądały na zmęczone. Siedząca przed nią na siodle Lily pokasływała, chociaż nie miała już gorączki i całkiem przytomnie obserwowała drogę. Gorzej z Kathryn. Wygluszące ją wycieńczyły. Chociaż zdjęto je trzy dni temu, czarodziejka pozostała markotna. Przysypiała podczas konnej jazdy, na pytania odpowiadała ni w pięć, ni w dziewięć. Amandine odczuwała ulgę na myśl o tym, że zbliżają się do celu.

Za kolejnym zakrętem ukazały się zamkowe bramy. Na ostatnim odcinku konie zwolniły, droga stała się znacznie bardziej stroma. Po obu jej stronach, na skrawkach łąk między skałami, pasły się owce o gęstej sierści koloru kawy z mlekiem. Krajobraz wyglądał tak sielankowo, że niemal nierealnie. Amandine popatrzyła w górę, na bramę. Twierdzą od więzienia różni tylko osoba władcy. Jakim człowiekiem jest Renard de Trevancel de Branche d'Amethyste? Żeby stąd uciec, trzeba umieć latać.

Zerknęła na przygarbioną sylwetkę Kathryn. Cóż, niektórzy potrafią.

– Szlachetne panie, po przekroczeniu bram radzę zasłonić włosy kapturem. – Kapitan Artois, dowódca kompanii Popielników, dokłusował do wierzchowca Amandine. – W mieście przebywają zakonnicy Cierpliwego Wędrowca. Większości nie należy się obawiać; to zwykli mnisi, dawni kapłani Szarego i chociaż poddali się presji, są niegroźni. Ale nigdy nie wiadomo, kiedy się trafi fanatyk lub zwykła sprzedajna kanalia. Zbyt łatwo panie rozpoznać.

Przed nimi bramą przejechał wóz wyładowany towarem. Strażnicy nikogo nie zatrzymywali, przypatrywali się tylko znudzonym wzrokiem podróźnym. Ruch między Tours de Narbonne a Cite de Narbonne trwał bez ustanku, a posłańcy i niektórzy handlarze obracali tego samego dnia w górę i w dół. „Wprowadzenie myta utrudniałoby ruch” – tłumaczył Artois.

Amandine spodziewała się, że trzydziestoosobowa kompania uzbrojonych po zęby najemników zostanie potraktowana inaczej, ale straż najwidoczniej dobrze znała kapitana. Skinęli mu głową, przepuścili bez słowa. Popielnicy minęli granice Tours. Artystka nerwowo sprawdziła umocowaną przy jukach łaskę magiczną i naciągnęła kaptur aż na brwi.

Już wcześniej, obserwując mijane wsie, pojęła, że pierwsze wrażenie dotyczące Utraconej Bretanii było błędne. Niektóre obejścia wyglądały biednie, ale nigdzie nie dostrzegła aż takiej nędzy i degrengolady jak we wsi ze smokiem. Skażona wieś, przekłeta wieś. Czy takich miejsc jest więcej? Będzie musiała o to zapytać.

Miasto wydawało się wykute z kamienia. Każdy budynek wykonano z takiego samego materiału, gładkiej szarej skały, która dla Amandine wyglądała dziwnie znajomo. Dręczyło ją bliżej nieokreślone uczucie, że ten szczegół może okazać się ważny. Przewertowała w myślach zapamiętane stronicę podręcznika historii sztuki, przywołała znane zabytki z czasów Cesarstwa. Westchnęła. Pewnie przypomni sobie, kiedy się wyśpi.

Twierdzą rozbudowywano koncentrycznie, dodając kolejne dzielnice i nowe mury. Najnowszy, zewnętrzny pierścień opierał się na stromych klifach. Na czym to się trzyma? Przecież nie na taśmie klejącej. Jak oni to zrobili? Amandine ukradkiem zerknęła na Kathryn. Młoda czarodziejka miała obsesję na punkcie budownictwa, na pewno zaraz zacznie rzucać jakieś uwagi.



Kat nie odezwała się jednak ani słowem. Nie zaczęła monologu o tutejszych rozwiązaniach architektonicznych. Amandine zmarszczyła brwi. Czy wygłuszacze trwale uszkodziły jej Źródło? Jest chora? Czy należy się niepokoić?

– Kat – odezwała się konspiracyjnym tonem Lily. – Mają tutaj kanalizację.

– No – odparła czarodziejka.

– Czym się wierci takie wielkie dziury w skale? Chyba tylko magią? Czy są do tego specjalne automagiczne skałogryzarki?

– Nikt niczego nie wiercił. – Kathryn jakby się odganiała od natrętej muchy.

– Zbudowali zamknięte rynsztoki. Nawet jeśli mają gdzieś tutaj prawdziwe kanały, nie wykuwano ich przecież w litej skale. Zresztą to by nie przeszło, wszystko stoi na wapieniu, rozpuściłoby się i tąpnęło. Ja się zastanawiam, jak zrobili zewnętrzne mury. I pewnie mogę się tak dalej zastanawiać, bo najnowszy dom w mieście liczy sobie ze trzysta lat i nie spotkam żadnego z inżynierów, którzy nad nimi pracowali. Wiesz, że ten kamień ma echo magiczne? Z czegoś bardzo podobnego zrobiono komnatę Wyroczni, od razu zwróciłam na to uwagę.

Teraz Amandine wyraźnie przypominała sobie komnatę z szarego kamienia, gładkościenną i beczasową. Miejsce, w którym stał posąg Trzeciej Wyroczni, wyrzeźbiony, zanim zaczęła się pisemna historia Avalonu. I w którym tkwił starannie zabezpieczony portal prowadzący bezpośrednio w Pustkę. Wzdrygnęła się.

– Kat, czy to znaczy, że całe miasto jest magiczne? – spytała Lily. – Zaklęta twierdza?

– No, jeśli tak mówimy, to przecież Avalon też jest magicznym miastem. – Kathryn jakby nieco się odprężyła. – Pozabezpieczonym przed zaklęciami, gdzie się da, zwłaszcza w centrum. Nawet szyny tramwajowe mają runy; założę się, że o tym nie wiedziałaś. Tylu czarodziejów w jednym miejscu, mimo regulacji prawnych zawsze może dojść do wypadku. – Nagle skrzywiła się i znów przygarbiła, jakby o czymś sobie przypominała.

– Czyli jak, nie działają tutaj zaklęcia? – spytała Amandine, ale rozmowa wyraźnie skłęsała.

Kathryn machnęła tylko ręką i głębiej nasunęła kaptur. A, niech się boczy, skoro chce. Chyba nic poważnego się z nią nie dzieje – wyśpi się, zje i jej

przejdzie.

Kompania Popielników przyciągała spojrzenia, ale nie budziła sensacji. Jechali głównym traktem, w luźnym szyku, niespiesznie. Za końmi biegły dzieci, pokrzykując radośnie. Jakiś żebrak obrzucił ich obelgami, ale jakby mimochodem i bez większego przekonania. Mieszczanie wylegali na ganki, wyglądali z okien. Handlarki przy straganach zamierały, czujnie śledząc wzrokiem najemników. Niektóre zakrywały płótnem towar – głównie owoce oraz uliczne jedzenie. Amandine zauważyła rogale z kminkiem, owalne pieczone serki, długie warkocze obwarzanków. Widząc jej spojrzenie, kapitan Artois rzucił jednej z handlerek monetę i wyłowił gorący serek na patyku. Amandine powąchała go ostrożnie, nadgryzła. Był świeży, słony, pachniał owczym mlekiem i dymem. Lily patrzyła na nią zazdrośnie.

– A jeśli się rozchorujesz? – zawahała się Amandine.

– Myślisz, że może być skażony? – zapytała dziewczynka złośliwym tonem – albo zrobiony z ołowiu i cyny?

Żachnęła się i podała jej serek.

– Tylko nie narzekaj, jeśli dostaniesz biegunki.

– Też chcę taki serek – mruknęła Kathryn spod kaptura.

Głos miała zmieniony. Płakała?

– Wszystko, co najlepsze dla Waszej Wysokości – powiedział cicho Artois, wręczając jej przysmak. – Proszę się nie obawiać zatrucia; aby handlować na głównym trakcie, trzeba dostać pozwolenie Gildii Kupców. I nikt jeszcze nie wie, kim jesteście, pani.

Kathryn jedną ręką naciągała kaptur aż po czubek nosa, drugą wsuwała serek do ust. Wyglądała na nieszczęśliwą, zawstydzoną i głodną. Lejce zwisały luźno, koń szedł, jak chciał.

Wjechali wreszcie przez piątą bramę do Wysokiego Zamku.

\* \* \*

Kathryn Verd de Branche d'Argent spędziła wieczór swoich dwunastych urodzin zamknięta na klucz w szkolnej toalecie. Zapłakaną i usmarkaną

dziewczynkę rodzice uwolnili wreszcie około ósmej wieczorem – zaniepokojeni, że córka nie wróciła do domu, rozpoczęli szeroko zakrojone poszukiwania.

Między kolejnymi napadami łkania wydusiła z siebie, czego potrzebuje do szczęścia: chce zmienić szkołę, nazwisko i miejsce zamieszkania i zacząć farbować włosy, bo pani od historii powiedziała, że już z daleka widać.

Rodzice wpadli w słuszny gniew i zrobili to, co się zwykle robi w takiej sytuacji, czyli przeszli do frontalnego ataku na dyrekcję szkoły, oskarżając nauczycielkę historii, że szczuje dzieci na ich córkę.

Belferka odparła zarzuty. Nie można przecież pominąć tak znaczącego wydarzenia w arboriańskiej historii, jak upadek dynastii de Branche d'Argent i powstanie Republiki. Dzieci muszą poznać biografię ostatniego króla, Ludwika Okrutnego, oraz zapamiętać, dlaczego d'Argent jako jedyny ze szlacheckich rodów, włącznie ze spokrewnionymi, które wykazują charakterystyczną skazę talentu magicznego – czyli połączoną z darem siwiznę – nie otrzymał biernego prawa wyborczego podczas królewskiej elekcji. A w ogóle gdyby ich córka mniej zadzierała nosa i nabyła trochę umiejętności społecznych, sprawy zapewne by nie było. Jasne, że jest zdolna, ale nikt nie lubi przemądrzałych dzieci. Krótko mówiąc, ona je prowokuje.

Nikomu nie przyszło do głowy, że mała Kathryn na podstawie urywków wypowiedzi rodziców i napomknięć nauczycielki może później poskładać tę rozmowę do kupy i zacząć żywić przekonanie, że to wszystko jej wina. A że całkiem dobrze ukrywała poczucie winy, nikt jej go nie wyperswadował.

Po długiej nocnej dyskusji rodzice Kat zdecydowali się przenieść ją na ostatni rok do prywatnej szkoły dla małych szlachcianek, na którą ledwo ich było stać. Decyzja okazała się najwłaściwsza z możliwych, ale chociaż dziewczynki w nowym miejscu nie prześladowano, nie stała się także częścią grupy – nieco snobistycznej i zintegrowanej ze sobą od sześciu lat. Nie pomagało, że – ze względu na siwiznę – jako jedyna wiedziała przed aktywacją Źródła, że jest obdarzona talentem i że całkiem dobrze opanowała już matematyczną podstawę magii. Miała wreszcie spokój; do czasu aktywacji i rozpoczęcia zajęć na uczelni czuła się jednak izolowana, i to uczucie osadziło się w niej na długie lata.

Kathryn żuła owczy serek, zastanawiając się, jak bardzo żałośnie wygląda w tej chwili. Już od dawna nie stosowała eliksiru na pryszczę, a trądzik, jak na złość, nie chciał wyleczyć się sam, chociaż wszyscy przyjaciele z uniwerku już z niego wyrosli.

Oczywiście tutaj nikt jej nie zwróci uwagi tylko dlatego, że jest cholerną królowną, ma te durne siwe włosy i paskudny wielki nos jak połowa jej przodków. To mógłby być ktokolwiek inny z przypadkowo podobną facjatą.

Nie żeby to cokolwiek teraz zmieniało.

Znowu czegoś od niej będą oczekiwać, a ona jak zwykle zawiedzie ich nadzieje. Wybitnie utalentowana magini Creo – i co z tego, skoro dysentropiczka, której udało się wywołać skażenie próbą uformowania prostego wzoru. Zawaliła egzamin tak spektakularnie, że być może zaszkoziła własnej mistrzyni w karierze politycznej. Ale nie to było najgorsze. Przecież gdyby umiała rzucić chociaż jedno zaklęcie przeciwwirusowe albo przeciwgorączkowe, gdyby lepiej oszczędzała jednostki albo dała radę otworzyć składany dom Lucjusza lub chociaż domyśliła się, że bretańskie komary przenoszą krwotoczną gorączkę i przypomniała sobie, że istnieją proste uroki przeciwko owadom, wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej. Gdyby tylko się zorientowała, jakie kłopoty może sprawiać jej wygląd, i ogoliła głowę, udając rekonwalescentkę po tyfusie... Przecież rozmawiali o tym z Vincentem jeszcze przy śniadaniu w wiosce!

Niby taka inteligentna, a jednak taka głupia. „Co ci się jeszcze uda spartolić, panno Kat, nadziejo rodziny, pierwsza czarodziejko w rodzie od czterech pokoleń? Najpotężniejsza magini w grupie, akurat. Miałam ich chronić, a jestem zwykłym balastem. A tutaj, w Bretanii, każdy mój błąd może kosztować czyjeś życie”.

Znajdowali się już za wewnętrznym murem, na dziedzińcu Wysokiego Zamku, więc Kathryn odważyła się unieść wzrok spod kaptura. Przełknęła ostatni kawałek serka, żeby przypadkiem się nie zakrztusić. Rozpoznawała układ budynków typowy dla architektury środkowych Ciemnych Wieków. Po dłuższej obserwacji okazywało się jednak, że gdyby wyciąć z krajobrazu mniej więcej dwie trzecie budynków, z wewnętrznego Tours de Narbonne zostawała prosta,

zaprojektowana na podstawowych geometrycznych kształtach cesarska strażnica sprzed co najmniej tysiąca lat. Ciekawe, czy Amandine też to widzi.

W zamyśleniu oblizała palce. Jechali najwidoczniej w stronę koszar, mijając długie, niskie domy. Trudno było rozpoznać, które należały do rzemieślników i obsługi, a które do szlachty. Wszystkie wyglądały podobnie – szare, eleganckie, okolone wypielęgowanymi ogrodami. „Ciemnowieczne, wzorowane na cesarskich – oceniła czarodziejka. – Bardzo luksusowe; jeśli ktoś tu mieszka, to znaczy, że dorobił się stanowiska”. W wewnętrznym mieście nie było dzielnic biedoty, służba pomieszkiwała przy państwu. A rycerze pewnie i tak rezydowali na zamku.

„Czyli – zastanowiła się Kat – Narbonne nigdy nie zostało zdobyte ani zburzone. Czarodzieje na pewno daliby radę, ale widocznie nie mieli po co atakować miasta, które niczego nie broniło, stało sobie tylko pośrodku łańcucha górskiego. Nie utrzymywano tutaj kopalni. Mieszkańcy musieli wwozić całą żywność pod górę. Po co zbudowano Narbonne?”.

W północno-wschodniej części zamku wznosiła się charakterystyczna konstrukcja, którą Kathryn rozpoznała na pierwszy rzut oka, mimo starannego obudowania jej nowszymi elementami. Wysoka, kilkunastopiętrowa wieża na planie kwadratu nie zwężała się ku górze mimo znacznej wysokości i ażurowej budowy. Jej podstawa była dokładnie tak samo szeroka jak ostatnie piętro. Kat nigdy się nie spodziewała, że zobaczy budowlę z okresu wczesnego Cesarstwa w tak dobrym stanie. Tours de Narbonne – a przynajmniej jego centralna część – musiało być prawie równie stare jak zaginiona Alterra.

– Czy to ma funkcjonalne runy Pustki? – usłyszała własne pytanie. – To znaczy ta wieża?

Kapitan Artois zrobił bolesną minę.

– Wasza Wysokość – powiedział. – Jeśli wolno mi zwrócić uwagę, na przyszłość proszę nie używać takich wyrazów przy szlachetnie urodzonych. Lepiej ich nie zrazić na wstępie. Mnie wszystko jedno, nie takie rzeczy codziennie słyszę, ale...

Kathryn zamrugwała.

– Jakich wyrazów? W sensie, że nie wolno przy nich rozmawiać o architekturze?

– Że nie można mówić „Pustka” – podrzuciła Liliana. – Pustkę nazywają Zaświatami. Sama słyszałam. A Magów Pustki nazywają Wielkimi Magami, ale to już wiesz. Nie mam pojęcia, jak to jest z runami Pustki.

Zakończywszy tyradę, zrobiła złośliwą, zadowoloną z siebie minę, która skojarzyła się Kathryn z Margueritte de Breville. Najemnicy dookoła zaczęli rechotać. Kapitan Artois spojrział w niebo, ledwo powstrzymując śmiech.

– Nie mogę się doczekać, aż się spotkacie z dworzanami.

\* \* \*

– Jeszcze raz przepraszam za to przemykanie się ukradkiem – mruknął kapitan Artois. Po złożeniu bagaży w koszarach, gdzie rozgościła się kompania Popielników, cała czwórka – trzy Arborianki i kapitan – szybkim krokiem przemierzała korytarze dla służby. Kobiety nie zdjęły płaszczy z kapturem. Podobno tak było bezpieczniej.

– Idziemy w stronę tej wielkiej wieży? – sapnęła Kat.

– Obserwatorium, Wasza Wysokość. Właśnie na samym szczycie znajdziemy hrabiego. Jeśli jeszcze nie ma go w pracowni, niedługo tam dotrze. Przesiaduje w niej całymi wieczorami, szczególnie ostatnio.

– Możesz mówić do mnie po prostu Kathryn? Albo chociaż lady Kathryn? Poważnie, przecież nie zostałam koronowana. Nawet u siebie w Arborii. Zresztą chyba macie króla.

– Jeśli Wasza Wysokość nosi nazwisko de Branche d’Argent, ma srebrne włosy i dysponuje talentem, no to jest spadkobierczynią tronu, proste jak drut – odparł kapitan. – Philippe nie zostawił utalentowanych synów ani córek. Właściwie nie zostawił nawet nieutalentowanych. Zawsze uważałem, że wyrzucanie własnego potomstwa nie należy do właściwych długoterminowych strategii.

– Na pewno macie kandydatów, nie musicie ich sprowadzać z zagranicy – zauważyła Kat. – Przecież chyba d’Argent nie żenią się między sobą.

– No tak – przyznał Artois – ale tak na mój rozum tylko czysta krew może odtworzyć Triumwirat Królestwa Bretanii. Czyli czarodziej o srebrnych włosach, który nosi nazwisko rodu d’Argent. Tak przynajmniej stoi w legendach, a legendy wpływają na to, co ludzie myślą. Wasza Wysokość z racji krwi ma większe prawo do tronu niż pozostali spadkobiercy. Chociaż proszę pamiętać, że jestem tylko zwykłym kapitanem najemników i moje zdanie ostatecznie się nie liczy.

– Bardzo mnie ciekawi opinia pozostałych spadkobierców – mruknęła Amandine. – Zwłaszcza że pozostaje jeszcze całkiem żywy i zdrowy król, znany z tendencji do wyrzynania swoich potomków. Mam wrażenie, że może mieć coś przeciwko temu. Kat, tylko nie daj się wkręcić w tę całą królewską awanturę. Nasze priorytety to powrót po Vincenta, znalezienie Meg i dotarcie do Wyroczni.

Kathryn skinęła głową. Spiski i intrygi, jakie knuła Belinde, mimo ośmiu lat nauki przekraczały jej pojmowanie. Ogarniało ją przerażenie na myśl, że mogłaby się znaleźć w samym środku podobnego kotła.

– Czy on taki zdrowy, to sprawa dyskusyjna. – Artois się skrzywił. – Ale jeżeli szlachetne panie pragną dotrzeć do Wyroczni, hrabia na pewno może w tym pomóc. Chociaż obawiam się, że w takim wypadku królewska awantura okaże się nieunikniona.

\* \* \*

Parter podzielono na kilka apartamentów, do których wchodziło się z korytarza osobnymi drzwiami. Gdyby Kathryn nie wiedziała, gdzie się znajdują, nie odróżniłaby wieży od wnętrza zamku. Błękitnozielona mozaika w fantazyjne roślinne i zwierzęce motywy przypominała jej dekoracje w starej części biblioteki Uniwersytetu Avalońskiego. Tylko surowe, pozbawione łuków i ozdobników kształty pomieszczeń sugerowały, że budynek powstał w odległej epoce.

„Struktura oparta na ramie z cesarskiej stali” – pomyślała i przeszedł ją dreszcz ekscytacji. Komnaty umiejscowiono jedne na drugich, kondygnacja nad kondygnacją, a elementem nośnym konstrukcji były potężne metalowe kolumny i belki ukryte w ścianach. Pominąwszy ilustracje, do tej pory widziała taką wieżę tylko raz, w dodatku zachowały się z niej jedynie fundamenty. W Avalonie od lat planowano zbudowanie drapacza chmur w oparciu o cesarską technologię, jednak urzędnicy blokowali rozpoczęcie prac, argumentując, że nie należy

eksperymentować w środku gęsto zaludnionego miasta. Zwłaszcza nie należy zapominać o ryzyku wypadków spowodowanych użyciem magii, szczególnie groźnych w przypadku tak wysokiego budynku. Kathryn rozumiała ich zastrzeżenia, ale mimo to...

– Amandine... – Pociągnęła ją za rękaw. – Wiesz, dlaczego pytałam o runy?

– Hm? Nie, nie mam pojęcia. Myślałam, że mi wyjaśnisz.

– A jak sądzisz, w jaki sposób pompowali wodę na kilkanaście pięter w górę?

– spytała. – Poza tym mogę się założyć, że gdzieś tam znajduje się szyb windy.

W oczach Amandine błysnęło przerażenie.

– Jak to windy? – spytała słabo. – Uważasz, że będą nas wciągać na samą górę?

– Jeśli wszystko działa – odparła Kat. – A raczej tak, bo wątpię, żeby hrabia Trevancel dyrdał na własnych nogach na piętnaste piętro.

– Masz na myśli automagiczną windę? – Twarz Amandine przybrała niezdrowy odcień.

– No, to znacznie bezpieczniejsze niż bloczki i sznury.

– Jesteśmy w cesarskiej wieży, prawda? – spytała nerwowo artystka. – Jednej z tych, które zamieszkiwały dziesiątki rodzin, jak pszczoły w ulu? Czy ludzie nadal tutaj żyją?

– Aha, czyli też robiłaś kurs historii budownictwa.

– Historii architektury. – Amandine zadrżała. – Czuję lęk wysokości i klaustrofobię równocześnie na samą myśl o mieszkaniu w takim miejscu.

– W Avalonie ludzie też żyją w wysokim zagęszczeniu. Jak pszczoły w ulu. – Kathryn próbowała mówić uspokajającym tonem.

– Ale nie pionowo!

– Szlachetne panie – wtrącił cicho kapitan Artois – nikt nie mieszka na stałe w obserwatorium. Jest zimne i ciemne, w żadnej z komnat nie ma miejsca na palenisko. Nawet najwięksi czarodzieje nie umieli zgadnąć, jak przed tysiącem lat ogrzewano wieżę. Może rzeczywiście kiedyś pompowano wodę na sam szczyt, ale teraz trzeba ją dostarczać windą. Pracownię hrabiego obsługuje zaufany



służący, jednak służba nie wystarczy, aby inni wprowadzili się do apartamentów. Traktujemy je jako składy i spiżarnie. Niektóre wciąż stoją puste. Proszę za mną.

Przeszli korytarzem do wnęki, w której tkwiły dwie pary drzwi z nieznanego metalu o bladozielonym odcieniu. Na ścianie, otoczone mozaiką, widniały długie prostokątne tabliczki, na których wygrawerowano szereg symboli. Amandine zmrużyła oczy, wpatrując się w znaki. Przez jej twarz przemknął wyraz zdumienia, a później zrozumienia.

Kapitan Popielników jakby dopiero teraz przypomniał sobie, z kim ma do czynienia; cofnął się kilka kroków i czujnie wpatrywał w rzekomą Wielką Maginię.

– Mylisz się, Kathryn. To jest wcześniejsze niż Cesarstwo – powiedziała krótko.

– Dlaczego tak uważasz?

– Później. – Wskazała ruchem głowy na kapitana Artois, który właśnie przycisnął małą tabliczkę umieszczoną na filarze między drzwiami. Zalśniła jasnym blaskiem. Niedługo potem metalowe odrzwia rozsunęły się na boki, znikając w ścianie.

– Proszę się nie obawiać – powiedział kapitan. – Wszystko to służyło bezpiecznie kolejnym hrabiom de Narbonne. W środku są przyciski, na nich zaznaczono numery pięter. Ojciec hrabiego wymienił kilka zużytych na nowe, zrobione ze złota i macycy perłowej. Ale sama winda działa nieprzerwanie i bez napraw od niepamiętnych czasów.

\* \* \*

Amandine opierała się o magiczną laskę, maskując lęk. Drżały jej kolana. Krótka jazda windą zdawała się trwać całe wieki i nie pomagało nawet wpatrywanie się w szklane zwierciadła, które umieszczono w mozaice na tylnej ścianie. Oczywiście dekoracje powstały znacznie później niż sama strażnica. I chyba tylko ona się domyślała, o ile później.

Jako absolwentka historii sztuki znała symbole, jakie pojawiały się na płaskorzeźbach z okresu Cesarstwa Triumwiratu. Jeden z nich, element Sevri, okazał się częścią wzoru zaklęcia oraz hasłem do kryształowej kuli Margueritte.

Od tamtej pory zastanawiała się, ile płaskorzeźb, które oglądała w muzeach i na ilustracjach, powstało nie tylko w celach ozdobnych. Nie potrafiła jednak czytać zaklęć, zwłaszcza z okresu Triumwiratu. Podejrzewała, że nawet Meg tego nie umie.

Tabliczki, które przytwierdzono na ścianach, zawierały znajome symbole, chociaż niektóre z nich odrobinę różniły się kształtem. Wyszkolone spojrzenie Amandine odróżniało powtarzające się znaki, słowa i akapity. Chociaż nie znała języka ani nie potrafiła odcyfrować zgłosek, była pewna, że widzi pismo. Czyli do tego właśnie musiały pierwotnie służyć, zanim stały się elementami wzorów matematycznych, a później ornamentem.

Winda drgnęła. Drzwi się rozsunęły.

Nad głowami podróżnych rozpościerało się wieczorne niebo.

Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, Amandine zrozumiała, że stoją pod wielką szklaną kopułą wspartą na metalowych ożebrowaniach. Może po to, aby zapobiec lękowi przestrzeni i wysokości u odwiedzających, pomieszczenie obfitowało w schodki i półpiętra. Podzielono je na mniejsze segmenty za pomocą niskich ścianek pokrytych ciemnozieloną ceramiką.

Cała komnata stanowiła jedną wielką pracownię czarodziejską, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Amandine natychmiast pomyślała ze współczuciem o służących, którzy muszą przynosić tutaj wodę i pozbywać się odpadów. Pod ściankami ustawiono pulpity; panował na nich wielki bałagan. „Niemał tak starożytny jak sama wieża” – pomyślała artystka z przekąsem. Były tu jeszcze mniej lub bardziej kompletna aparatura, szafki na odczytniki, spiętrzone księgi, zwoje i mapy wystające z koszy. Kilka stołów wyglądało tak, jakby ktoś całkiem niedawno przy nich pracował, a kiedy minęli kolejny zakręt i dotarli do brzegu kopuły, ich oczom ukazały się teleskopy i inne przyrządy, których funkcji Amandine mogła się tylko domyślać. Na stołku, pochylony nad teleskopem, siedział starszy mężczyzna – mniej więcej w wieku rodziców Amandine – odziany w bogato haftowany, ale mocno wyświechtany jedwabny kaftan i wygniecione na kolanach bryczesy. Na jego ramionach, na teleskopie i stole obok siedziało kilka łaciatych gołębi.

– Szlachetny hrabio Trevancel de Branche d’Amethyste. – Kapitan Artois zgiął się w pas. – Jak zapowiadałem, przyprowadziłem ze sobą gości.

– Witaj, Żabo. – Hrabia Renard odwrócił się i wstał. Dwa gołębie na jego ramionach przestąpiły z nogi na nogę. – Wasza Wysokość, Wielka Magini i ty, młoda, zionąca ogniem damo – uśmiechnął się do Lily – jestem zaszczycony spotkaniem. Zawsze wierzyłem, że za mojego życia magia znów pojawi się w Narbonne. Ale zapewne czujecie ogromne zmęczenie, nieprawdaż? – Zaklaskał i podniósł głos: – Jacques, odszpuntuj wino! Wreszcie przybyli nasi goście.

Za którąś ze ścianek dało się słyszeć krzątanię. Hrabia zapraszająco skinął dłonią.

– Czy chcesz, panie, abym wrócił do koszar? – spytał usłużnie kapitan Artois

– Zostań, Żabo. – Hrabia Trevancel machnął ręką. – Jeszcze nie usłyszałem całej opowieści. Szlachetne panie, jeżeli was to nie urazi, niech kapitan usiądzie z nami. Zdaję sobie sprawę, jak karygodnie łamię etykietę, ale w zaciszu własnej pracowni pozwalam sobie na swobodne obyczaje.

Amandine wyczuła twardą nutę w jego głosie i zrozumiała, że właśnie są poddawane pierwszemu testowi. Prawdopodobnie według reguł bretańskiego świata hrabia zaproponował coś niesłychanie obraźliwego, zwłaszcza wobec następczyni tronu. Czy zgadzacie się grać w rytm mojej muzyki? Czy jesteście ludźmi, których zaakceptuję, czy będę tylko robił z wami interesy? A Artois, sądząc po jego reakcji na propozycję, raczej był w tym domu traktowany jako ważny zausznik niż zwykły kapitan najemników.

Kathryn oczywiście nie zauważyła żadnego z tych niuansów. Po długiej podróży zaproponowano jej wino i jedzenie, więc nieco się rozchmurzyła.

– A, jasne – powiedziała, wciąż zerkając na aparaturę wokół. – Myślę, że etykietę możemy sobie darować. Zgadzam się z panem, że jej przestrzeganie musi czasem człowiekowi ciążyć. I skoro tak, kapitanie Artois, czy wolno nazywać pana Żabą?

– Kat... – jęknęła Amandine. – Nieważne.

– Rozumiem, Żabo, że nie zgłaszasz sprzeciwu? Wasza Wysokość – hrabia uśmiechnął się lisio – jest niezwykle interesującą osobą.

Kilka godzin później Amandine, zaróżowiona od wina i rozgrzana ciepłym posiłkiem – potrawką jagnięcą ze świeżym chlebem – oglądała gwiazdy przez teleskop. Kathryn siedziała obok na miękkim, skórzanym fotelu, nieco nadgryzionym przez czas i gołębie guano (służący sprząтали je regularnie, ale i tak miało żrące działanie). Przysypiała, pogrążona w niezobowiązującej lekturze jakiejś książki. Liliana spała na równie wytartej sofie.

– Tutaj od zawsze znajdowało się obserwatorium – powiedział hrabia Renard.  
– Myślę, że zbudowano je po to, aby mieć oko na Czeluść. Musiała fascynować, nawet kiedy nie mieszkał w niej jeszcze żaden smok.

– Czym jest ta Czeluść?

– Przybyłyście do Bretanii, nic nie wiedząc, czyż nie? – Hrabia pokręcił głową. – Powiedziałaś, że chcecie dotrzeć do Wyroczni. Wielka Magini i księżniczka, która nader niechętnie myśli o zajęciu tronu. Dlaczego?

– Ratujemy Bretanię przed e... Zaświatami.

– Tak, o tym już wspominałaś. Mam tylko wrażenie, że nie wiecie jak i dlaczego. Zdajesz sobie, pani, sprawę z tego, że Trzecia Wyrocznia znajduje się w Nouveaux Dijon i żeby nawiązać z nią kontakt, najlepiej zdobyć miasto i obalić króla. Na pewno nie uda się do niej przemknąć po cichu, chyba że chce pani samotrzeć, z królową i waszą uczennicą, pokonać Arcydiakona i jego popieczników. Skąd wiesz, pani, że Bretania potrzebuje waszej pomocy?

Amandine postarała się skoncentrować. Po długiej podróży wino szybko poszło jej do głowy, poza tym rozluźniła się wreszcie i zaczęła wychodzić z roli. Ile pamiętała z tego wszystkiego, co Vince jej opowiadał?

– Arcymag naszej Gildii dokonał obserwacji gwiazd – powiedziała – tym samym potwierdzając słowa Trzeciej Wyroczni. Skontaktowała się z moim... ze mną za pośrednictwem snu, twierdząc, że światu grozi drugie Rozdarcie. O tym już mówiłam. Spodziewaliśmy się, że znajdziemy w Utraconej Bretanii świat zniszczony przez... znaczy przez skażenie. Nawet pierwsza wieś, w której się znaleźliśmy, tak właśnie wyglądała.

– Istnieją takie miejsca. – Renard skinął głową. – I niestety, jest ich coraz więcej, zwłaszcza wokół Nouveaux Dijon. Odkąd Philippe odsunął od dworu pozbawione magii szlacheckie rody, a na ich miejsce wprowadził Zakon

Cierpliwego Wędrowca, źle się dzieje w stolicy. To na pewno czarna magia Arcydiakona sprawia, że światy tracą ze sobą kontakt. Na mój rozum im więcej mocy Zaświatów, tym bardziej oddalają się od siebie.

– Wszystkie zapiski, na podstawie których mieliśmy zatrzymać ten proces, zostały przy moim uczniu. Musimy po niego wrócić.

– Porwano panią w księstwie Montreuil. Władą nim mój kuzyn Bernard.

– To dobrze czy źle? – Amandine zmarszczyła nos. – Mógłby pan poprosić, żeby nam pomógł?

– Wątpię. Bernard to stary, wypalony czarodziej, dbający głównie o własną skórę. Oraz, trzeba przyznać, interesy swojego księstwa, które traktuje jak przedłużenie własnej tożsamości. Jesteśmy wszyscy poddani króla i musimy przez to znosić kaprysy Zakonu, aby nie uznano nas za buntowników. Otóż Bernard całkiem nieźle lawiruje między ich nienasyconym apetytem a własnymi potrzebami, opóźniając płatności danin, przekazując towary najgorszego sortu oraz korzystając ze wszelkich wymówek, żeby im zrobić na złość. Balansuje na granicy wytrzymałości Zakonu, więc bardzo się stara, aby jej nie przekroczyć. Na pewno nie pomoże nam otwarcie. Nie jestem pewien, czy ma ludzi, którzy mogliby się tym zająć po cichu, tak jak mój Żaba. Starzał się już, kiedy pogasły Źródła, więc teraz, kiedy jest już zupełnie sędziwy, niektóre detale mu umykają.

– Czyli musimy tam pójść z odpowiednio silnym oddziałem.

– Ot, i w tym właśnie tkwi problem – westchnął hrabia. – Ci... Jastrzębie mają sposoby na bardzo szybkie przekazywanie sobie wieści. Na pewno was śledzili i znowu namierzą. Jeśli wyślę odpowiednio silny oddział, który ochroni Waszą Wysokość i panią, mój kuzyn odbierze to jako zajazd na Montreuil. Albo będzie udawał, że tak uważa, żeby nie narazić się Zakonowi.

– Zawsze może pan naprawdę najechać Montreuil – zauważyła Kathryn znad książki. – Skoro już i tak zadzieramy z Zakonem, należy uformować armię.

– Bardzo słuszna uwaga, Wasza Wysokość. – Hrabia Trevancel posłał jej lisi uśmiech. – Zwłaszcza że z dwiema czarodziejkami do pomocy dysponuję zupełnie niespodziewaną siłą ognia. A jeśli dodam do tego słowo legendy, wielu pójdzie za mną...

– Chwilę, chwilę – wtrąciła Amandine. – Kat, nie daj się tak podpuszczać. Zdajesz sobie sprawę, do czego zmierza pan hrabia? Chce mi wcisnąć cały ten królewski kram. Możemy to załatwić bez wywoływania zbędnych duchów? Znajdziemy Vincenta. On z kolei znajdzie nasze nauczycielki. Wszyscy razem podbijemy stolicę, dogadamy się z Wyrocznią, dokończymy projekt i w poczuciu dobrze wykonanego obowiązku udamy się do domu.

– Właśnie – powiedziała Kathryn. – A wy już sobie ustalicie między sobą, kto zajmie tron. Mam wrażenie, że nie wszyscy dobrze zniosą konkurencję w postaci mojej skromnej osoby.

– Wasza Wysokość, skąd taka rezerwa? Każdy pragnie tronu.

– Ja po prostu wiem, że to się może źle skończyć. Proszę mi wierzyć, byłaby ze mnie bardzo słaba królowa.

– Monarcha w Bretanii nie włada sam. A przynajmniej nie powinien. Za czasów Philippe’a upadł naturalny porządek. Najpierw bezpotomnie zmarł Lucjusz de Branche d’Aure, nadworny Wielki Mag, trzecia część Triumwiratu. Wkrótce potem król stracił moc i zaczął się zachowywać coraz dziwniej. Zaprosił na dwór kapłanów Cierpliwego Wędrowca. Wtedy myślano jeszcze, że ucieka w pobożność. Dopiero wiele lat później się okazało, że poszukiwał innej magii w miejsce tej straconej. Kiedyś to był tylko mały zakon, o którym nikt nie słyszał, nikt nie wiedział, czym się po cichu zajmują. Mój ojciec modlił się do aspektu Szarego Wędrowca. – Renard westchnął. – W każdym razie w kilka lat po przybyciu kapłanów smok odrzucił króla. Pewnego dnia wrócił w góry, jakby Philippe dla niego zmarł, tam gdzie zwykle Królewski Smok oczekuje przybycia następcy. Czyli do Czeluści. Triumwirat ostatecznie się rozpadł.

– Czy pan też był magiem? – spytała Amandine.

– Chciałbym. – Renard w zamyśleniu pogładził okładkę jednej z ksiąg. – Byłem jeszcze dzieckiem w powijakach. Znam całą sztukę mojego ojca, ale nigdy nie mogłem jej wesprzeć mocą. Ale teraz magia wróciła, więc wszystko stało się możliwe. Gdyby tylko smok wyszedł z Czeluści. Bo to on przecież budzi Żródła.

– Czyli żeby na stałe zwrócić magię Bretanii... – zająknęła się Kat.

– Musisz sięgnąć po koronę i pójść po Królewskiego Smoka. Tak.

Amandine zerwała się na równe nogi. Odczuwała pewną miękkość w kolanach, co zapewne zepsuło efekt. Trudno.

– Sprzeciwiam się. Czy nie można wziąć do tej roli kogoś innego niż czarodzieja d'Argent? Na pewno macie wśród szlachty ludzi spokrewnionych z rodem królewskim.

– Można by spróbować – zgodził się hrabia – ale skąd wiadomo, czy pokrewieństwo jest wystarczające? Jeśli smok nie uzna króla, to go zeżre.

– Oj tam, o ile znam szlacheckie rody, ustawią się w kolejce do paszczy – odparła nastroszona Amandine. – Znajdzie pan kandydatów choćby we własnej twierdzy. Założę się, że będzie ich co najmniej pięciu i któryś się w końcu nada.

– Doskonały pomysł! – ucieszył się hrabia Renard. – Brzmi jak legendarny turniej o Złotą Strzałę albo jedna z przygód bohaterskiego księcia Mordreda. Ten, kogo Królewski Smok nie pożre, zostanie następnym królem Bretanii. Będą śpiewać o tym pieśni, już ja zadbam o właściwą oprawę legendy.

– Ale... – zająknęła się Amandine. Właśnie skazała ludzi na śmierć, bo ten miły, życzliwy człowiek, hrabia Trevancel, uznał to za pomysł na świetną zabawę. – Ale chociaż żeby był warunek pokrewieństwa... jakaś szansa na sukces...

Hrabia radośnie odsłonił zęby.

– Mój ród jest spokrewniony z rodem d'Argent – oznajmił. – I tak się składa, że mam paru niezwykle irytujących kuzynów.

18 Mai 753 AG

Wygląda panienka zachwycająco – powiedziała garderobiana.

Kathryn śmiała wątpić. Czula się niezręcznie w sukni z bufkami na całej długości rękawów, fiszbinami usztywniającymi górę sukni i drucianą siatką służącą do rozkloszowania spódnicy. Na dokładkę do tego całego rusztowania mistrz krawiecki dodał ulepszenia maskujące mankamenty figury. To znaczy zarówno w dekolcie, jak i na biodrach znajdowały się poduszcзки, które miały dodawać jej kształtów. Poza tym w Avalonie nikt nie obwieszał się taką ilością biżuterii. Perełki, hafty, naszywki i naszyjniki, spinki i pierścionie – bez kilograma złota i klejnotów najwidoczniej nie mogło się obyć.

Strój uszyto w barwach d’Amethyste, czyli w różnych odcieniach fioleto – od lila do śliwki – skomponowanych w taki sposób, aby współgrały z jej bladą karnacją. Problem z trądzikiem załatwiono grubą warstwą pudru. Ale najgorsza była blond peruka. Kathryn z trudem się powstrzymywała, żeby się pod nią nie drapać.

– Proszę panienkę jeszcze o chwilkę spokoju. – Dziewczyna włożyła w usta spinki i zaczęła poprawiać stroik na peruce, oczywiście inkrustowany drobnymi ametystami i perłami. Jak większość Bretańczyków była niewysoka, niższa jeszcze od Amandine; aby zamontować na głowie Kathryn tę kunsztowną instalację, musiała użyć stołka. Czarodziejka, która przewyższała ją o jakieś dwadzieścia centymetrów, czuła się przy niej jak gigant.

– Już! Obróci się panienka do zwierciadła.

To nawet nie było polecenie, a stwierdzenie faktu. Kathryn zastanowiła się, czy tutejsza szlachta ma świadomość, do jakiego stopnia służba ją kontroluje. Czy człowiek, który nie ubiera się sam, może przy zdrowych zmysłach uważać, że to on tutaj rządzi? Garderobiana doskonale wiedziała, jaki kolor włosów Kat skrywa



pod peruką. Czy służący będą plotkować? Trzeba to przyjąć za pewnik. Jaka historię z tego wysnują? Trudno stwierdzić.

W owalnym lustrze okolonym – a jakże inaczej – złożoną ramą inkrustowaną ametystami – Kat zobaczyła siebie, tylko że po gruntownym retuszu. Chuda, bladą, z wielkim nosem i twarzą sztywną od pudru, ale... hm... zdecydowanie bardziej arystokratyczną. „Pewnie przez tę całą biżuterię” – pomyślała. Nikt nie uwierzy, że dekolt wypychają jej własne atrybuty. Ogarnął ją trudny do przezwyciężenia odruch poskrobania się w nos. Przynajmniej konstrukcja nazywana dla niepoznaki sukienką była całkiem ładna.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Lady Verd – odezwał się stłumiony głos kapitana Artois – czy można?

– Ależ proszę.

Do komnaty wszedł niewysoki mężczyzna o czarnych włosach i ogorzalej karnacji. Kat na pierwszy rzut oka nie poznała człowieka, który przywiózł je do Narbonne. Zresztą wcale jej to nie zaskoczyło, bo pamięć do twarzy miała wyjątkowo słabą. Jeżeli przez cały czas widywała kogoś w ciemnobrązowym ubraniu podróżnym, a teraz ten ktoś nagle włożył na siebie odświętną tunikę w barwach domu i kapelusz z piórem, a co gorsza, ogolił zarost, czuła się zbita z tropu. Przez dłuższą chwilę odnotowywała kształt szczęki, rozstaw oczu kapitana i dokładny odcień skóry, i obracała w myślach jego twarz pod różnymi kątami.

Artois, zwany także Żabą, na sekundę zatrzymał się w drzwiach i wlepił w Kathryn zdumione spojrzenie.

– No, ta peruka i puder mogą trochę przeszkadzać – powiedziała z pełnym zrozumieniem. – Nie mówiąc już o sukience, bo kompletnie zmienia sylwetkę. No wiesz, wypychacze. Warto patrzeć na mój nos. Jest dość charakterystyczny.

Kapitan wbił wzrok w ziemię z ogromnym zakłopotaniem. „Chyba nie powinienam wspominać o wypychaczach – zreflektowała się Kat. – I mówić do niego przy ludziach na »ty«. Czy garderobiana liczy się w Bretanii jako człowiek?”.

– Chciałabym cię odprawić – zwróciła się do dziewczyny. – Bardzo dziękuję za pomoc. Chyba się jeszcze zobaczymy.

Garderobiana oddryfowała za drzwi. Kapitan popatrzył za nią ze zboląłą miną.

– Coś zrobiłam nie tak – domyśliła się Kathryn.

– Flirtowała pani, lady Verd – wyjaśnił Żaba łagodnym tonem. – A później została pani ze mną w komnacie sam na sam.

– Przecież chyba nie możemy rozmawiać w jej obecności. – Kat uniosła brwi.

– I tak będzie podsłuchiwać za drzwiami, tym bardziej że dała jej pani od myślenia. Przy służbie, jak doskonale pani wie – podkreślił kapitan zniżonym głosem – należy zachowywać się w pewien szczególny sposób. I, na Wędrowca, proszę nie wspominać o żadnych... khem... częściach ciała. Z nosem włącznie. A, i na przyszłość, pokojówkom się nie dziękuje.

– Co w takim razie powinnam powiedzieć?

– Odprawić machnięciem ręką. – Artois zademonstrował odpowiedni gest. – Dla jasności można dodać: „Już cię nie potrzebuję”. Do licha, lady Verd, chyba ma pani w domu służbę?

Kathryn przypomniała sobie nianię, która opiekowała się nią podczas pracy rodziców – technika fabrycznego i dentystki – przed osiągnięciem wieku szkolnego. Kiedy zaczęło im się wieść lepiej, zatrudnili dochodzącą panią od sprzątanania, która wiecznie narzekała na politykę i trudnego w obyciu męża. Ale oczywiście to było bez znaczenia. Belinde miała wielu służących. Ze wszystkimi rozmawiała tak, jak życzliwa i dobrotliwa szefowa mówi do podwładnych. Gdyby na nich klasnąć albo zamachać ręką, wręczyliby wymówienie tego samego dnia.

– Panują u nas nieco inne obyczaje – przyznała. – W... khem... udzielnym księstwie de Tourmaline.

– Dobrze. – Artois skinął głową. – Proszę wymienić rodziny przy stole, ich herby i barwy.

Kathryn wyrecytowała wszystko bezbłędnie.

– Będą mi się mylić – dodała. – W tym sensie, że na pewno nie zapamiętam twarzy.

– Jeśli pamięta pani herby, równie dobrze mogliby nosić nazwiska wywieszane nad głową.

– No dobrze, podczas uczt, owszem, ale czy zawsze noszą herbowe barwy? Jeżeli zdejmą odświętne stroje...

Artois popatrzył na nią ze współczuciem.

– Stary hrabia cierpiał na podobną dolegliwość – powiedział. – Istnieje pewna sztuczka. Należy zachowywać się uprzejmie, prowadzić rozmowę o pogodzie i czekać, aż rozmówca zdradzi się jakimś charakterystycznym zachowaniem. Mało mówić, dużo słuchać. Przy okazji sporo się pani dowie, lady Verd. Przestrzegam też przed nadmiarem... swobody w rozmowie. Nie chce pani już po pierwszej uczcie mieć zalotników na sumieniu.

– Że co?!

– Młoda, szlachetna dama. – Artois odgiął palec. – Niezameżna, smukła, biała jak śnieg i wiotka jak wierzbowa gałązka, słowem piękna...

Kat popatrzyła na niego sceptycznie.

– Nowa na zamku i niewykłana w żaden poważny romans – dodał kapitan. – Będą się o panią pojedynkować już teraz, a co dopiero później, kiedy w grę wejdzie żądza władzy. Są młodzi, znudzeni i bezużyteczni, a w okolicy brakuje niezaręczonych szlachcianek.

– A, skoro tak. – Skinęła głową, bardziej skłonna uwierzyć takim argumentom.

– Proszę pamiętać. Żadnej rozmowy o częściach ciała. Żadnego sam na sam, z kimkolwiek, nawet hrabią we własnej osobie. Najlepiej się trzymać towarzyszek. Ostrożnie z przyjmowaniem prezentów i poczęstunków. Na litość, pewnie o tym też muszę powiedzieć... Gdyby ktoś dopraszał się pod jakimkolwiek pozorem o chusteczkę, stanowczo odmówić. Zachowywać się zgodnie z etykietą, oszczędnie posyłać uśmiechy, są tacy, których i to może sprowokować. Gdyby ktokolwiek nastawał na pani cześć, wołać mnie.

– Nastawał... co?!

– Po pijaku niektórzy zachowują się gorzej niż moi ludzie.

– Mam uczestniczyć w balu z pełną świadomością obecności agresorów napastujących dziewczyny? I to ja powinnam na nich uważać? A co na to straż?

– Będę w pobliżu.

– Nie jestem omdlewającą dziewczyną, Żabo. – Kathryn skrzyżowała ramiona. – Jeśli ktoś spróbuje mnie macać, przywita dzwony we własnej głowie.

– Wierzę – westchnął Artois.

\* \* \*

– Muzyka! – Hrabia Trevancel władczo zaklaskał.

Trubadurzy zadęli we flety, uderzyli w bębny i struny cytry. Wniesiono przystawki. Kathryn rozpoznała faszerowane jaja w skorupkach. Poza tym na tacach zalegały spiętrzone paszteciki, tartalетки oraz kawałki mięsa na zimno, smażonego lub wędzonego, mniej lub bardziej podejrzanego pochodzenia, coś, co chyba było wędzorem w sosie, przypuszczalnie wołowe ozorki, jakieś ptaszęta – stanowczo za małe na gołębie. Na stołach ustawiono kosze pełne świeżo upieczonych, chrupiących bułeczek. Służący krążyli wokół, nalewając do złożonych kielichów jasno zabarwione lekkie wino.

Jeszcze niedawno Kat rzuciłaby się na to wszystko, napychając żołądek do granic możliwości, ale kilka dni pobytu u hrabiego pozwoliło jej nasycić głód. Oszczędnie kosztowała przystawki – nic straconego, uczta to uczta, nawet skubiąc po trochu, naje się w końcu do nieprzytomności – zdając sobie sprawę z tego, że połowa biesiadników w wielkiej sali wpatruje się w ich trójkę, a druga połowa tylko od czasu do czasu zerka ukradkiem.

Nic dziwnego. Amandine wyglądała olśniewająco. Jako jedna z nielicznych nie założyła peruki i jej długie rude loki, luźno osłonięte siateczką wysadzaną perłami, z daleka przyciągały wzrok. W przeciwieństwie do Kathryn nie nosiła barw rodu d'Amethyste. Mistrz krawiecki uszył jej suknię w czerni, zieleni i złocie, nieco skromniejszą pod względem kroju i mniej ozdobioną biżuterią, aby nie przytłumić jej niewysokiej sylwetki i kobiecej figury. Kathryn przez chwilę patrzyła na nią z zazdrością, po czym jej wzrok padł na opartą o krzesło łaskę magiczną, schowaną w futerale ze złoto-zielonego aksamitu. Goście zapewne przypuszczali, że to instrument muzyczny.

Poczuła kopnięcie w kostkę. Po jej lewej stronie, między nią i Amandine, posadzono Lilianę. Jako jedyna była ubrana w barwy swojego prawdziwego rodu, czyli Branche d'Opal – błękit i biel. Uszyto jej miniaturową wersję dorosłej

sukni, tyle że bez poduszeczek w strategicznych miejscach, ze znacznie mniejszą ilością biżuterii, bufek i tym podobnych elementów. W rezultacie strój okazał się wygodniejszy niż to, w co prababka ubierała ją na odświętne okazje. Siedziała na podwyższonym stołku, całkiem zadowolona ze swojego przejściowego statusu – jeszcze nie damy, już nie dziecka. Usypała na talerzu okazałą górkę przysmaków i teraz częstowała się nimi bez skrępowania. Zamiast wina miała w kubku słaby cydr.

– Hej, Kat – szepnęła Lily. – Ja wiem, o czym oni wszyscy mówią.

– Wszyscy? Jak to wszyscy?

– Na przykład ci dwaj kawalerowie, którzy chcieliby zagadać, ale czekają, aż przedstawi was hrabia. Zastanawiają się nad barwami rodu Amandine.

– Aha.

– Ale ty im się chyba bardziej podobasz, bo uważają, że Amandine jest pigowata jak indyjskie jajo. Myślałam, że w ogóle tego nie widać pod pudrem.

Kathryn uniosła brwi. Chciało jej się śmiać.

– Czyli podsłuchujesz gości?

– Nikogo nie podsłuchuję. – Lily posłała jej psotny uśmiech. – To oni za głośno gadają. Mogę dla nas szpiegować, nikt na mnie nie zwraca uwagi. Chcesz?

– Co jeszcze mówią? Coś ważnego?

– Chcesz wiedzieć?

Pokiwała głową.

– Tamta pani twierdzi, że jesteś chuda, blada, nic nie jesz i na pewno masz suchoty.

– Ta, która pożera marynowane ozorki? A co to za pieczone ptaszki?

– Podobno skowronki. Nadziewane słoniną.

– Ojej – zasmuciła się Kat. – A ja jednego zjadłam.

– Mam nadzieję, że chociaż smakował. Wiesz, że hrabina nie siedzi obok hrabiego? Są skłóceni. Do tej starszej damy u szczytu stołu zwraca się „długoletnia przyjaciółko”. – Liliana konspiracyjnie zniżyła głos. – Myślę, że ona jest jego kochanką.

Kathryn zamrugnęła, lekko przerażona.

– Jeśli kiedykolwiek spotkamy Belinde, nie przyznawaj się, co potrafisz. Będzie nalegała, żeby cię wziąć na uczennicę. Nie chciałabyś wiedzieć, o jakich rzeczach opowiadają sobie ludzie na bankietach, to, co ja słyszę, w zupełności mi wystarczy.

Tymczasem hrabia Renard Trevancel wstał, unosząc złożony kielich. Muzycy przerwali grę. W sali zapadła pełna oczekiwania cisza.

– Drodzy goście! – zawołał hrabia. – Zgromadziliście się tutaj tak licznie i chętnie, zawsze skłonni do tolerowania moich niewielkich dziwactw w imię przyjaźni i pielęgnowania więzów rodzinnych. W zeszłym miesiącu świętowaliśmy udany eksperyment na żabiej nodze. Dwa tygodnie temu demonstrowałem nową mapę gwiazd. Ale dzisiejszą ucztę wydaję wyłącznie na waszą cześć, ku chwale Narbonne i całej Bretanii, oby nic nie skaziło jej piękna.

Skłonił głowę, pauzując znacząco. Rozległy się gorące oklaski. Nawet bez pomocy Liliany Kathryn dała radę usłyszeć kilka westchnień ulgi. Biedni ludzie, nie wiedzą, że hrabia szykuje im jeszcze większą niespodziankę.

– W szczególności chciałbym, abyście wychylili kielichy za moją kuzynkę, lady Kathryn Verd z dalekiego księstwa Tourmaline, oraz damę stojącą zawsze u jej boku, Amandine Cerise, która na razie pragnie nazwę swego rodu utrzymać w sekrecie.

Wokół rozległy się szepty. Obecność szlachcianki incognito wzbudziła wielkie zainteresowanie. Hrabia niewątpliwie knuł nową intrygę i umierali z ciekawości, co to takiego będzie.

– Nie mogę również zapomnieć – Renard skłonił się lekko – o młodej Lilianie de Diego Otero de Branche d’Opal, która również pozostaje pod opieką lady Cerise i pobiera u niej nauki we wszystkich sztukach, które winna znać młoda szlachcianka.

„Zupełnie jak na bankietach z Belinde – pomyślała Kathryn. – Nic wprost, wszystko aluzjami. Po latach bywania na salonach potrafię je nawet rozszyfrować”.

– Zatem weselmy się! Jedzmy i pijmy. Zaraz podadzą polewkę, a po lekkim posiłku zapraszam wszystkich na tańce. Nie musicie dziś uczestniczyć w żadnym

pokazie – jedynie droga Amandine zgodziła się zademonstrować swoje niezwykle talenta.

Wychylił toast. Pozostali do niego dołączyli. Kątem oka Kathryn dostrzegła, że Liliana znowu strzyże uszami.

– Coś ciekawego? – spytała. – Tak na mój rozum wydają się zadowoleni, że hrabia chociaż raz wydał normalne przyjęcie. To znaczy, jeszcze nie mają pojęcia...

– Czy wiesz, że chyba wszyscy Popielnicy chowają się za kotarami? – zapytała cicho Lily.

– Co? Skąd wiesz, że to oni?

– Straż zamkowa chodzi w butach z podkutymi obcasami. A oni są cisi. Kapitan Artois stoi prawie za twoimi plecami.

– Czego spodziewa się hrabia?

Amandine odwróciła się w stronę dziewcząt, uśmiechając się szeroko i wznosząc kielich.

– Przy stole siedzi diakon Narbonne – wtrąciła niezobowiązującym tonem, jakim zwykle rozmawia się o sprawach błahych. – Oraz co najmniej trzech osobistych kapłanów, doradców tutejszej szlachty. Ciekawe, jak zareagują, kiedy zaczną demonstrować swoje niezwykle talenta.

– Ojej – powiedziała cicho Lily.

– Wpadłyśmy jak kula ognista w szambo – mruknęła Kathryn. – Nie podoba mi się, że odgrywamy tylko role w jego przedstawieniu. Brak mi wprawy w intrygowaniu.

– Powiedziałabym: „Nie martw się, mnie też”. – Amandine uśmiechnęła się krzywo. – Ale mam wrażenie, że właśnie jest się o co martwić. Spokojnie. Uważam, że można dziś tę sprawę zostawić i zrezygnować z prezentacji. Tajemnicza szlachcianka tak czy owak będzie rozpalać wyobraźnię, więc hrabia może się wycofać z honorem i odsłonić karty metodą stopniowania plotek. Zaraz zaczną się tańce; już widzę, że zamierza mnie poprosić. Porozmawiam z nim. Um...

– Tak?

– Jak sobie radzisz na parkiecie, Kat? Tutejsze tańce pewnie się trochę różnią od naszych...

– Znakomicie. Umiem tańczyć, grać na pianinie i w krykieta – wymieniła Kathryn. – Chodziłam do prywatnej szkoły dla młodych dam. No, nie rób takiej miny. Naprawdę. Szybko złapię nowe kroki. Chociaż może powinnam towarzyszyć Lily, bo kapitan mnie ostrzegął, że pełno tutaj nieciekawych typów...

– Wiem, gdzie stoi kapitan – powiedziała cichutko Liliana. – Usiądę sobie spokojnie na krzeselku, posłucham plotek i zjem wszystkie skowronki. Gdyby działo się coś niebezpiecznego, po prostu zionę ogniem.

– Skowronki – jęknęła Amandine. – Dobrze. Postaram się o tym nie myśleć.

\* \* \*

Wbrew obawom kapitana Artois Kathryn nie popełniała znowu tak wielu gaf, dopóki pamiętała, żeby nie odzywać się zbyt często. Osiem lat terminowania u Belinde Chamomille nie poszło na marne, chociaż w Bretanii obowiązywały inne zasady gry, których od nowa musiała nauczyć się na pamięć, nie wspominając nawet o pięćdziesięciu nowych twarzach, podczas gdy repertuar gości swojej mistrzyni zapamiętała już całkiem dobrze.

Nie miała zielonego pojęcia, jak stopniować uśmiechy, żeby przypadkiem nie powiedzieć czegoś za dużo. Zaloty wydawały się tutaj wysoce skodyfikowane, a jednocześnie – przynajmniej według słów kapitana – przypominały taniec nad przepaścią, wokół której krążą pijane drapieżniki. Kat postawiła więc na starą, dobrą arystokratyczną wyniosłość, chociaż coś jej wciąż podszeptywało, że ludzie nie lubią, jak się zadziera nosa. Wszystkie jej starania i wątpliwości odniosły na razie jeden wyraźny skutek: była na parkiecie partnerką równie wdzięczną co kawałek drewna.

Jako pierwszy poprosił ją do tańca baronet de Lazurite, podtusiały, łysiejący mężczyzna z cienkim blond wąsikiem. Taniec okazał się odmianą chodzonego, co miało swoją dobrą stronę (był dość prosty) i złą, a mianowicie Kathryn musiała wysłuchiwać farmazonów, przeważnie nudnych, czasami banalnie obraźliwych, o dokonaniach baroneta, istocie rycerskości, zmiennej naturze kobiet i tym



podobnych. Ledwo się hamowała, żeby nie wyjść z roli i powiedzieć, żeby spadał. Wybrała opcję dyplomatycznego milczenia, od czasu do czasu przytakując. Baronet był wniebowzięty. Uważał, że wprawił ją w podziw.

Następnie odbił ją starszy pan, kuzyn hrabiego, kawaler d'Amethyste. Kathryn zdążyła już zaobserwować, że w obecnej fazie balu starsi uczestnicy prosili do tańca młodsze damy i odwrotnie. Nikt jeszcze się nie upił (oprócz nielicznych, którzy przyszli już na ucztę zawiani), tańce były na razie poważne i grzeczne. Kawaler d'Amethyste odtańczył swoje spokojnie i dokładnie jak automat. Od czasu do czasu wypytywał Kathryn o rodzinne księstwo. Udzielała wymijających odpowiedzi.

Na razie szło dobrze. Nikogo nie obraziła, w nikim nie wzbudziła podejrzeń i mniej więcej zorientowała się w obyczajach oraz zestawie gości. Mimo to z ulgą przyjęła taniec z hrabią Trevancelem.

– Jak się pani bawi, lady Verd? Widzę, że ma pani wprawę w tańcu.

– Nauczyciel był surowy i zwracał uwagę na każdy błąd. – Kathryn pomyślała, że dworska mowa się udziela. Niechcący wypowiedziała zdanie o podwójnym znaczeniu. Belinde byłaby dumna.

– Istotnie. Mogę panią zapewnić, że ja nie popełnię żadnego.

– Czy Amandine rozmawiała już z panem?

– Wszystko jej wyjaśniłem – odparł hrabia. – Diakon nie ma wyjścia, musi ją zaakceptować albo opuścić zamek. Ciebie zgodnie z planem ujawnimy później – na razie niech plotkują. Podjąłem dodatkowe środki ostrożności, ale nie spodziewam się problemów. Z zaufanych źródeł wiem, że żaden z kapłanów nie przypomina tych, którzy sprawili wam takie kłopoty.

– Zaufane źródła to ludzie kapitana Artois, ewentualnie inni szpiedzy.

– Istotnie.

– Mogłeś powiedzieć, przyniosłybyśmy detektor skażenia.

Hrabia uniósł brwi.

– Powinnyście mnie powiadomić, że takim dysponujecie.

„Nie ufamy ci w stu procentach – pomyślała Kathryn. – Nie wykładamy wszystkich kart na stół”.

– Nie lepiej wrzucić ich do lochu, zamiast puszczać wolno? – spytała zamiast tego.

– Wolę uniknąć tworzenia męczenników – powiedział hrabia. – Nam sprawa wydaje się oczywista, ale są ludzie, którzy ich słuchają. Trzeba zawsze rozpatrywać decyzje pod każdym kątem.

Po trzecim tańcu udało jej się wymknąć. Podryfowała do stołu, żeby czegoś się napić. Kolejny kłopot. Na bankietach w Avalonie bez trudu dało się poprosić o drink bezalkoholowy, tutaj podawano wyłącznie trunki. Skinęła na służbę, aby przyniósł cydr. O ile umiała uniknąć choroby z przeżarcia, podjadając po trochu przez cały wieczór, nie miała wycucia, jeśli chodzi o picie, tak aby jak najdłużej zachować niezakłócone funkcje umysłowe. Na studenckich imprezach nikomu na tym nie zależało.

Kiedy Kat się odwróciła, na krześle obok siedziała hrabina Trevancel z kielichem w dłoni, wpatrując się w nią nieprzyjaznym wzrokiem.

– Tak sobie myślałam, że cię tutaj znajdę, młoda damo – zagadnęła sucho.

– Bardzo mi miło panią poznać, lady Trevancel de Branche d’Amethyste.

– Oszczędź sobie. – Machnęła wachlarzem. – Dobrze wiem, co się tutaj święci. Przyjęcie na cześć gości, już ja go znam. Uczestniczycie w jednym z tych szalonych eksperymentów mojego męża. Co wam obiecał? Pieniądze? Alchemię? Złudną namiastkę magii? Bądź pewna, że zapomni o was do przyszłego tygodnia. Wciąż rozprawia o potędze dawnych lat, ale niczego nie umie przeprowadzić do końca. Interesuje go tylko robienie z siebie błazna. Im więcej uwagi, tym lepiej. Pewnie wierzycie, że przeczytał od deski do deski ojcowskie księgi? Że wielki z niego geniusz?

Kathryn cofnęła się o krok. Nikt jej nie uprzedzał, że Bretańczycy potrafią się zdobyć na taką bezpośredniość.

– Ależ zapewniam panią, że...

Hrabina stanowczym gestem postawiła kielich na stole.

– Moja droga... lady Verd? Panienką będąc, odwiedzałam kuzynów w księstwie Tourmaline. Potrafię rozpoznać ten dialekt, twój akcent zaś nie przypomina niczego, co znam. I nie pamiętam żadnej lady Verd, a pamięć mam doskonałą. Hrabia z całą pewnością wie o tym i jak zwykle ze mnie drwi. Skąd

was wziął? – Jej oczy błysnęły gniewnie. – Och, oczywiście, sądząc po rozmiarze twoich stóp i piegach... damy do towarzystwa, wszystko jest możliwe.

Kathryn straciła wątek. „O co tej hrabinie chodzi? Jak w ogóle wybrnąć z tak zadanego pytania? Pomyślmy. Lady Trevancel mówi o częściach ciała, co należy do tematów tabu i w rozmowach damsko-męskich może zostać zinterpretowane jako flirt. Niewątpliwie baronowa nie flirtuje. Czyli z rozmysłem porusza niestosowne tematy. Czyli obraża. I to dość jawnie” – zrozumiała. Niczego więcej nie potrzebowała w tej chwili wiedzieć – analizą obraźliwego podtekstu zajmie się później. Teraz należy zareagować odpowiednio do okoliczności.

Czarodziejka wyprostowała się jak struna i strzeliła najbardziej arystokratycznego focha, jakiego potrafiła sobie wyobrazić, skopiowanego od swojej dawnej nauczycielki gry na pianinie. Następnie odwróciła się tyłem i zadowolona z przerwania niewygodnej rozmowy, rozejrzała się za Amandine.

Z daleka dostrzegła rude włosy i lamowaną złotem suknię. Fałszywa czarodziejka właśnie szła w jej stronę.

– Złe wieści – zaczęła bez ogródek. – Nie zgodził się. Uważa, że nie ma zagrożenia.

– Wiem. Twierdzi, że wszystko zbadał. Może niepotrzebnie podnosimy alarm...

– Lepszy nadmiar ostrożności niż gustowna trumna. A co ty o tym myślisz, Kat?

Czarodziejka zmarszczyła nos. Nie była pewna.

– Hrabina de Trevancel uważa, że hrabia jest mniej kompetentny, niż na to wygląda...

– Nie on jeden w tym gronie. – Amandine poprawiła siateczkę na włosach. – Ale ja, prawdę mówiąc, sądzę, że udaje człowieka mniej kompetentnego, niż się wydaje.

– Trochę mnie skołowałeś...

– W polityce jest niezły. W magii nieco gorszy. – Ściągnęła usta. – Nie znam się na twojej sztuce, ale mam dobry wykrywacz szarlatanów. Jestem artystką, pamiętasz? Jednak poszłabym po detektor. Może nie przewidział wszystkiego.

– Zaczekaj chwilę, mam pewien pomysł.

Kathryn obejrzała się na Lilianę i poszukała szóstym zmysłem jej kanałów energetycznych. Już raz utworzyły połączenie, powinno się udać. Uprzejmie zasygnalizowała swoją obecność.

„Już – odpowiedziała Lily. – Zastanawiałam się, kiedy na to wpadniesz”.

„Chcemy pójść po wykrywacz skażenia. Czy dowiedziałas się czegoś jeszcze? To znaczy oprócz dworskich plotek?”

„Tak. Na sali jest człowiek, który trochę mnie niepokoi. Widzisz go? Ten utykający, z dziwnym wyrazem twarzy, jakby zjadł coś kwaśnego”.

„Ubrany w barwy de Malachite. Tak, widzę. Co takiego ci w nim nie pasuje? Oprócz tego, że ma zakazaną gębę?”

„Nie wiem – odparła niepewnie Liliana – ale cały czas popatruje w waszą stronę. Tak ukradkiem, żebyście się nie zorientowały”.

„Może to jeden z ludzi hrabiego”.

„Może”.

„Utrzymujmy połączenie. Wychodzę na stronę. A tak naprawdę idę do naszych komnat po kilka drobiazgów. Trzymaj się blisko Amandine, będę się z tobą kontaktować”.

\* \* \*

Kathryn szybkim krokiem maszerowała pustym korytarzem. Po kilku dniach pobytu na zamku doskonale wiedziała, gdzie znajduje się zarówno wieża toaletowa, jak i komnaty gości. Może i nie radziła sobie zbyt dobrze w towarzystwie, ale orientację przestrzenną miała nienaganną.

Z wysokiej sali biesiadnej stromymi schodami wychodziło się na piętro; pochylając się nad balustradą, nadal można było obserwować ucztę. Właśnie przynoszono nowe dania. Trudno, zje kiedy indziej. Hrabia na pewno niczego nie ogłosi przed deserem, więc ma czas.

– Jakież to zbieg okoliczności, że się spotykamy, lady Verd – odezwał się za jej plecami męski głos. Odwróciła się gwałtownie. W jej stronę, opierając się o balustradę, zmierzał mężczyzna, którego nie rozpoznawała. Barwy d’Amethyste. Brunet, w średnim wieku, bez wąsika. Czyli rzeczywiście jeszcze się jej nie przedstawił. Człowiek hrabiego? Szpieg kapłanów?

– Pani uroda przyćmiewa gwiazdy. Odkąd panią zobaczyłem, nie mogę przestać o pani myśleć – powiedział mężczyzna, a wraz ze słowami z daleka dotarł do Kathryn przesycony alkoholem oddech. – Umrę, jeśli nie usłyszę od pani kilku życzliwych słów. Kiedy przybyła pani do Narbonne? Czy jakiś kawaler zaprzęta już pani młode serduszko?

– Nie, dziękuję, do widzenia – odpowiedziała Kat i cofnęła się o krok. Po co on się tutaj przyplątał? Tylko komplikuje sprawę.

– Mogę pani pomóc dokonać wyboru – kontynuował mężczyzna. – Nasze pokrewieństwo jest dość dalekie, aby zacząć myśleć o konkretach. Mój ojciec, hrabia Trevancel, nie bez powodu sprowadził panią na dwór.

„Pięknego synka wychował sobie hrabia” – pomyślała Kathryn ponuro.

– Przepraszam, ale naprawdę nie mam w tej chwili czasu na rozmowy. Spieszę się.

– Mogę panią odprowadzić – zaproponował wicehrabia. – Z pewnością przyda się pani męskie towarzystwo.

– Nie, nie przyda się.

– Och, ależ proszę się nie krygo... – I ze zdumieniem w oczach osunął się na posadzkę, kiedy Kathryn bez dalszych ceregieli rzuciła na niego Objęcia Morfeusza.

– No i po co ci to było? – Pokręciła głową, spoglądając na chrapiącego arystokratę. Każdy uzna, że syn hrabiego po prostu zalał się w pestkę. – Śpij sobie słodko, panie Trevancel.

Za jedną z kotar coś się poruszyło.

– Lady Verd! – dotarł do niej nagłący szept.

– Co znowu, czy ciebie też uspić? Ach, kapitan Artois. Miałeś mnie ratować.

– Proszę o wybaczenie – powiedział najemnik, odchylając inkrustowany srebrną nicią żakard. – Bardzo mnie ciekawiło, jakim zakłębem oberwie wicehrabia. To pijak i zabijaka, już parę razy zalał mi za skórę. W razie czego miecz miałem w gotowości.

Kathryn zastanowiła się, czy kapitan sobie zdaje sprawę z brzmienia ostatniego zdania. Spoglądał na nią całkiem niewinnie i bardzo profesjonalnie.

Postanowiła, że nie będzie go uświadamiać. Sama nieraz strzelała gafy i wiedziała, jak to jest.

– Proszę się nie obawiać, nie zabiłbym samego syna hrabiego – zaznaczył tymczasem Artois, zupełnie inaczej odczytując jej zawahanie. – Wystarczyłoby go trochę ośmieszyć, wyzwąć na pojedynek i wypłazować. Nie po raz pierwszy i nie ostatni.

– Może tutaj tak leżeć?

– Służba go znajdzie i zawlecze do łóża. – Kapitan wzruszył ramionami. – Moim zdaniem powinni mu pozwolić budzić się tam, gdzie zaśnie. Gdyby poczuł, do czego prowadzi jego pijaństwo, wreszcie coś by do niego dotarło.

Kathryn nagle przyszło coś do głowy.

– Hrabia nie ma innych synów, prawda?

– W pewnym sensie – odparł kapitan Artois. – Żadnych legalnych.

– I nikt mu się nie nadał na spadkobiercę? Gardzi całą swoją rodziną. Chciałby zostać magiem przede wszystkim po to, żeby sobie jeszcze pożyć?

– Elikسير nieśmiertelności to jego obsesja. – Kapitan wyraźnie się skrzywił. – Ale proszę nie odczytać tego niewłaściwie. Hrabia Trevancel ma więcej niż jeden motyw i niektóre są bardzo idealistyczne. A prowincją zarządza znakomicie. Nie wraca pani jeszcze na salę?

– Muszę po coś pójść – przyznała się Kathryn. – Magiczny drobiazg. Zaniepokoił nas rozwój wypadków. Hm. Wiesz co? Nie zamierzam potykać się po drodze o wszystkich alkoholików Tours de Narbonne. Uwaga, teraz naprawdę będziesz niewidzialny.

– Co?

– Teraz ja... a teraz rzucę Wygłuszenie Kroków. – Z jej palców spływały zaklęcia. Jak to dobrze mieć swobodny dostęp do Źródła i pretekst, żeby z niego skorzystać.

– Lady Verd... – Głos kapitana zadrżał.

– Jeśli się boisz...

– Nie. Nie, nie boję się. No dobrze – westchnął. – Boję się jak Zaświatów. Magii nie można wypłazować mieczem. Ale to... fantastyczne...

– Chodźmy.

Przemknęli się korytarzem. Zapadł zmrok i służba zaciągnęła już na wysokich zamkowych oknach kotary w kolorze kwiatu naparstnicy. Na ścianach płonęły oliwne lampy, a ich drżące światło dawało złudzenie poruszających się cieni. Gdyby ktoś przyjrzał się uważniej, dostrzegłby w korytarzu fatamorgane, jaka powstaje nad rozgrzaną blaszaną powierzchnią, nic więcej. Gdy znajdowali się już niedaleko komnat gościnnych, Artois syknął: „Stój”. Zatrzymali się. Kathryn nasłuchiwała.

Ktoś się tutaj kręcił. Nie służba. Artois rozpoznawał odgłosy zamku i umiał dostrzec różnicę. Poza tym raczej się nie zdarza, aby służba zabierała do komnat powarkujące psy. Obydwoje wychylili się zza rogu.

– Pokój Amandine – szepnęła Kat. – Chyba ktoś w nim szpera.

– Proszę się schować za mną... Co ja mówię. Lady Verd, jakie zaklęcia pani proponuje?

– Żadnych Kul Ognistych – mruknęła. – Zrobimy tak...

Chwilę później drzwi komnaty otworzyły się bezgłośnie. A raczej, jakby się mogło wydawać przygodnemu obserwatorowi, drzwi zduplikowały się; wychyliły się na korytarz, a ich kopia – iluzja – została w miejscu. Ktokolwiek znajdował się wewnątrz komnaty, z pewnością nie zauważył zmiany. Dwie niewidzialne postacie zajrzały do środka.

Przy łożu Amandine stał zakapturzony mężczyzna w długim płaszczu i starannie przetrząsał szafkę nocną. Obok niego przycupnął... prawie pies. Autentyczny ogar piekieł wielkości cielaka, dwugłowy, smoliście czarny i hojnie obdarzony przez Pustkę spiczastymi wyrostkami wzdłuż kręgosłupa. Kiedy drzwi się otworzyły, najpierw zawarczał ostrzegawczo, a potem podniósł się powoli, wlepiając wściekłe spojrzenie w kapitana i Kathryn. Oczywiście czuł ich zapach.

Kilka rzeczy wydarzyło się prawie równocześnie. Niewidzialność, którą czarodziejka przestała właśnie podtrzymywać, prysła. Kat postawiła podwójną Tarczę Kinetyczną i rzuciła Szybkość Pумы na kapitana Artois. Niepies skoczył naprzód ze wściekłym ujadaniem, po czym z impetem zderzył się z tarczą. Intruz odwrócił się, dobywając miecza.

Ciarki przebiegły Kat po grzbiecie. Nie spodziewała się, że na widok człowieka, który tak bardzo przywodził jej na myśl Jastrzębi, ogarnie ją paraliżujący, przenikający na wskroś lęk. „Nie wolno przebywać w towarzystwie tych istot dłużej, niż to konieczne – powiedziała sobie. – Zmobilizuj się. Tutaj i teraz, Kathryn Verd”.

Tymczasem kapitan, pod wpływem zaklęcia szybki jak błysk, wszedł w zwarcie z człowiekiem w płaszczu. Dźwięcznie zabrzęczała stal. Kathryn ledwo odnotowała ten pojedynek. Zaprzętał ją bardziej palący problem.

„Objęć Morfeusza rzucać nie warto – pomyślała. – Pustkostwory są odporne na usypianie, podobnie ludzie zaangażowani w walkę. Żadnej magii żywiołów, żadnych pocisków, bo pójdzie rykoszetem w ciasnym, zamkniętym pomieszczeniu”.

Odwróciła znak w równaniu Nieznaczonej Antygravitacji i punktowo skierowała na cerbera. Pot skropił się na jej czole, kiedy na bieżący modyfikowała zaklęcie; kilka jednostek poszło w straty, moc umknęła ze Źródła w niedoskonałym, ale z grubsza prawidłowym kształcie. Pies, który nagle zaczął ważyć czterokrotnie więcej, przywarł do podłogi. Kathryn sprawnym ruchem obróciła nadgarstek, wtłoczyła magię we wzór Potężniejszej Nieprecyzyjnej Telekinezy i z morderczym rozmachem cisnęła pustkostworem w okno. Trzasnęły drogocenne szyby. Owinięty w żakardową kotarę niepies wyfrunął na dziedziniec niczym kula armatnia. Kat doskoczyła do parapetu i dopiero teraz miotnęła w cerbera błyskawicą. Ku przerażeniu okolicznych chłopaków stojących na dziedzińcu zaległ na wpół zwęglony zwierzęcy korpus.

Tymczasem człowiek w kapturze, przeszyty mieczem kapitana, osunął się na łoże. Artois odruchowo wyciągnął szmatkę, aby wytrzeć krew.

– Czekaaj, nie! – powstrzymała go Kat. – Na pewno jest skażona. Wytrzymaj to przez coś, nie wiem, weź rękawiczki. Szmatkę od razu trzeba spalić. Wrzucić może do nocnika i powiemy służbie.

– Czyste szaleństwo. – Kapitan z trudem opanował głos. – Czy zaklęcie, które na mnie rzuciłaś... pani rzuciła, nadal działa?

– Pustkostwory cię nie wzruszają, a moja magia tak? Boisz się mnie? – Głęboko w podświadomości Kathryn odezwał się stary niepokój. Nie chciała,



żeby zaczęto się od niej dystansować. – Zgodziłeś się.

– Lady Verd, ja... – Kapitan Artois westchnął. – Sprzedałbym własną babkę za takie możliwości dla mnie i Popielników, zwłaszcza tych, którzy mogli dzięki nim uniknąć śmierci. Nie po raz pierwszy stykam się ze stworami Zaświatów. Nie boję się. Ale być pod wpływem zaklęcia... to bardzo... dziwne uczucie.

„Kathryn!”.

Czarodziejka się wzdrygnęła. Zupełnie zapomniała, że wciąż podtrzymuje połączenie z Lilianą. A raczej pozwalała Lily je podtrzymywać.

„Jestem tutaj. Natknęliśmy się na nieprzewidziane problemy, ale sprawa już załatwiona”. – Kathryn zastanowiła się, jak opowiedzieć Lilianie o intruzie, żeby nie wywołać paniki.

„W takim razie chodź szybko! Ten nieprzyjemnie wyglądający facet, pamiętasz, mówiłam ci o nim...”.

„Tak?”.

„Właśnie zapisał kwiatkiem”.

„Co zrobił?!”.

„Ma taki sztuczny kwiatek przy kaftanie. Nacisnął go, a kwiatek wydał bardzo wysoki dźwięk. Chyba tylko ja go usłyszałam”.

Ciarki przebiegły Kat po grzbiecie.

„Lily, zostań przy Amandine i poleć jej przygotować laskę magiczną. Niech trzyma palce na Bańce Kinetycznej. Właśnie załatwiliśmy pustkostwora i jego pana, mogę się założyć, że facet wzywa posiłki”.

– Kapitanie, właśnie przekazano mi wiadomość – oznajmiła na głos. – Wracamy na salę biesiadną, i to jak najszybciej. Podejrzewam, że zaraz pojawi się więcej podobnych piesków.

\* \* \*

Kilka minut wcześniej Amandine dłubała złożonym widelcem w udku pieczonej czapli i uważnie przyglądała się gościom, którzy opieszale wracali z parkietu. Jej artystyczny umysł mimo woli rejestrował nowe twarze, kroje sukni, kompozycje kolorów. Obserwowała salę, usiłując wyłowić jakiegokolwiek

prawidłowości lub odchylenia od normy. Z kim najchętniej rozmawiał diakon? Czy na przyjęciu były podejrzane osoby, takie jak niepokojący Lilianę mężczyzna w barwach de Malachite? „Może hrabia ma rację – myślała. – Może nic nam nie grozi i to tylko nerwy, zwłaszcza że moja mistyfikacja wkrótce zostanie ogłoszona wszystkim zebrany jako prawda objawiona. Na co ja się w ogóle porwałam? Pierwszy lepszy szlachcic, który pamięta epokę prawdziwej magii, potrafi mnie zdemaskować. Nie znam nawet najmniejszego uroku magii prostej”.

Ale wiedziała, że musi zaryzykować. Gdyby przyznała się hrabiemu, kto rzeczywiście jest Magiem Pustki, straciłaby autorytet i status ważnego sojusznika. Trevancel z łatwością mógłby ją zmarginalizować i rozmawiać tylko z Kathryn, tymczasem młoda czarodziejka wykazywała się większą naiwnością w relacjach międzyludzkich niż jedenastoletnia Lily. Czy hrabia pogalopowałby jak na skrzydłach, żeby odnaleźć Wielkiego Maga? Wręcz przeciwnie, tym bardziej odwlekałby akcję ratunkową. Nie chciałby utracić wpływu na królową, zanim zdobędzie jej zaufanie i ukształtuje opinie o świecie.

W całej historii istniał bowiem pewien czynnik, z którego Kat zapewne nie zdawała sobie sprawy. Amandine doskonale rozumiała, że Kathryn to przede wszystkim bardzo dobra partia dla hrabiego. Oczywiście miał żonę, ale cóż to za problem dla feudalnego władcy. Nie musiał jej nawet truć ani zamykać w więzy, wystarczyło odesłać panią Trevancel do klasztoru.

I każdy by przyklasnął takiemu rozwiązaniu. Królową trzeba dobrze wydać za mąż – nawet gdyby pojawił się Vincent, bo według starożytnego prawa Nadworni Magowie nie mogli wchodzić w związki małżeńskie z królami i królowymi z rodu d'Argent. Utrzymywano ścisły podział dziedziczenia i obszarów władzy.

Ciekawe, ile hrabina wiedziała. Może nie bez powodu zaatakowała Kathryn z pretensjami. Z pewnością miała swoich szpiegów – pokojówki, garderobiane. Amandine westchnęła. Intrygi w intrygach, plotki o plotkach. Prawie jak na wernisażach.

Liliana rozglądała się czujnie, spięta jak leśne zwierzątko.

– Wszystko w porządku? – szepnęła Amandine.

– Nie bardzo – odparła mała. – Nie jestem pewna, ale... chyba wyczuwam skażenie.

Amandine zmarszczyła brwi.

– Na pewno? Nie mówiłaś wcześniej, że potrafisz. Wiesz, kiedy Vince przetwarza, ale...

– Nie, raczej niczego nie zmyślam – szepnęła Lily. – Dziwne. Wygląda jak... naniesione na mapę z tyłu mojej głowy, w zasięgu wzroku. Tło jest wyraźnie podwyższone.

Amandine żałowała, że nie dysponuje wiedzą Margueritte i nie umie stwierdzić, co właściwie dzieje się z dziewczynką. Teraz jednak, jak i w poprzednich tego typu sytuacjach, nie miała nawet czasu się zastanawiać.

– Skup się. Skąd to dochodzi? Od pana de Malachite?

– Nie wiem... – Lily zmarszczyła nosek. – Może... Nie potrafię dokładnie określić, musiałabym dłużej poćwiczyć.

– Skontaktuj się z Kathryn. Bez paniki – ponagliła ją cicho Amandine. – Idę ostrzec hrabiego.

Nagle Liliiana znieruchomiała. Poruszyła bezgłośnie ustami. Następnie jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– Przygotuj laskę magiczną – wyszeptała nagłym tonem. – Zakłęcie ochronne. Nieważne, że patrzą. Teraz, natychmiast, już!

Amandine, która właśnie wstawała ze stołka, aby przejść się do hrabiego, omal nie potknęła się o starszą współbiedniczkę po prawej. Słowa Liliany ją zmroziły. Jak we śnie sięgnęła po futerał i wydobyła z niego laskę magiczną. Jej palce śmigały po runach, wystukując szyfr i odblokowując magię przedmiotu. Znaki kolejno zapalały się i gasły.

Wokół niej zrobiło się nagle bardzo, ale to bardzo cicho. Stopniowo krążyli goście, którzy odkładali sztućce, upuszczali kielichy, przecierali monokle, się rozszerzał. Rozmowy zamierały w pół słowa. Na parkiecie kręciło się jeszcze kilkoro nieświadomych niczego tancerzy, ale poza tym wzrok wszystkich skupił się na Amandine.

– Szanowni państwo... – zaczęła i odchrząknęła. – Szanowni państwo! To nie eksperyment hrabiego. Proszę natychmiast ustawić się przy mnie i schować pod strefą ochronną. Proszę się mnie nie obawiać, ze mną jesteście bezpieczni. Natychmiast ustawcie się w zasięgu zaklęcia ochronnego!

Po czym odpaliła największą Bańkę Kinetyczną, jaką dało się ustawić na lasce. Była owalna, a nie okrągła, rozszerzona po obu stronach. W sumie obejmowała kilka metrów stołu.

Pośród wszystkich zaskoczonych, przerażonych i osłupiałych biesiadników, którzy zaczęli się wycofywać z zasięgu bańki, zemdleli albo z wrażenia rozlali na siebie wino, największą przytomnością umysłu wykazali się hrabia i jego żona. Obydwoje bez wahania schronili się za przezroczystą barierą; niektórzy zaraz potem poszli ich śladem.

Przez bardzo krótką chwilę Amandine myślała, że wywołała katastrofę niewczesnym alarmem, ale później pan de Malachite, który jeszcze przed minutą prowadził uprzejmą rozmowę z jedną z dam, zmienił postać.

Spłynęła z niego iluzja. Oczom wszystkich gości ukazała się lekko przygarbiona sylwetka, starannie otulona brunatnym płaszczem. Odwrócił się w stronę biesiadników i zrobił dwa kroki do przodu, lekko utykając. Serce Amandine stanęło na ułamek sekundy. Poznawała tę posturę, ten charakterystyczny sposób poruszania się. Nic dziwnego, że od razu wydał się Lilianie podejrzany.

Czarownik popatrzył w górę i Amandine powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. Nad ich głowami mignęły smukłe cienie. Przez balustradę wskoczyło na parkiet sześć... nie, dziewięć, dziesięć... dwanaście lśniących czarnych, kolczastogrzbitych, dwugłowych psów. Szlachcice, którzy jeszcze nie dotarli do stołu, rozpięchli się w panice na wszystkie strony. Kątem oka Amandine dostrzegła, że kolejna dama osunęła się zemdlna na posadzkę.

Tymczasem zza kotar, nie wiadomo kiedy, wysunęli się Popielnicy. Odziani w odświętne tuniki, ale wyposażeni w jak najzupełniej codzienną broń, zaczęli wyłapywać zbłąkanych gości, kierując ich delikatnie w stronę bańki. Tłum wokół Amandine się zacieśniał. „Znakomicie. – Zadrzała, czując, jak ogarnia ją panika. – Teraz mam wszystkich bronić. Sama się zaoferowałam. A co będzie, jeśli renegat użyje skażonej magii? Brakuje nam Vincenta, żeby ją przetworzył. Może warto zablokować?”.

– Czarowniku! – huknęła. – Nie boję się twoich sztuczek! Pamiętaj, że potrafię przejść na siebie każdą ilość skażonej mocy i zniwelować twoje zaklęcia! Im

więcej będziesz ich rzucał, tym silniejsza się stanę. Tylko sobie nie myśl, że drugi raz powtórzysz ten sam numer. Teraz jestem wyspana, najedzona i mam mnóstwo jednostek do zużycia.

– Ach – odparł dowódca Jastrzębi chrapliwym głosem. – Amandine Cerise de Branche d’Aure, nowy Geniusz z Arborii. Jak miło znowu panią spotkać. A zatem zabrałaś laskę magiczną na salę balową. Trudno odmówić przezorności Waszej Ekscelencji. – Renegat splunął. – Ale nie tak łatwo się mnie pozbyć. Przeszedłem przez Zaświaty. Pożerało mnie światło błękitnych słońc, przyglądałem się lewiatanowi o tysiącu ślepi. I wróciłem. – Rozłożył ręce w parodii powitania. – Zawsze wracam.

– No cóż, najwidoczniej brakuje ci instynktu samozachowawczego. – Kolana Amandine drżały. Laskę magiczną? Poprzednim razem nic nie wiedział o lasce.

– Nie obronisz wszystkich ludzi w tej sali – w głosie Jastrzębia pobrzmiwało szyderstwo. – Nie przed moją mocą. Znam twoje możliwości. Znakomicie je teraz znam, Wielka Magini. Nie obawiam się także młodzietkiej królowny. Z całą pewnością jest bardzo bystra, ale to nie wystarczy. Wiem, kto umarł w tej stodole i ile magii zostało wam bez niego. Moje drogie, nie chcę was skrzywdzić. Jeśli pójdziecie ze mną dobrowolnie, czeka was błyskawiczna kariera w stolicy. Mimo wszystko, „Wielka Magini”.

„To już koniec – przemknęło Amandine przez myśl. – Rozszyfrował mnie. Jesteśmy zgubieni. Jeśli zacznę rzucać zaklęcia, skontruje je swoją magią. Wszyscy znajdujący się na sali wchłoną dawkę skażenia wystarczającą do rozwinięcia Piętna. Może nawet śmiertelną. Co robić? Pięknie zginąć? Przynajmniej myli się w kwestii Vincenta, ale gdzie się podziewa Kathryn?”

– Halo! – dobiegło nagle zza balustrady. – Proszę pana! Jestem tutaj!

Kat jedną bosą nogą stała na barierce, drugą opierała o metalowe ornamenty. Perukę gdzieś zgubiła, suknia jej popękała; czarodziejka pozbyła się też drucianego rusztowania podtrzymującego spódnicę.

– Tak, to ja, wasza jedyna w swoim rodzaju księżniczka! – zawołała Kathryn. – Czy ktoś zamawiał odwróconą Ochronę Astralną? Aha, pewnie tym razem pańskie wsparcie stanowią przepiękne rasowe ogary! Jak ktoś raz stracił oddział, to już mu drugi raz nie dadzą.

Amandine odruchowo rozejrzała się, czy wszyscy biesiadnicy trafili już pod osłonę bańki. Co ona odstawia?

Nikt nie zauważył rozmytej fioletowej smugi, która błyskawicznie przemknęła przez salę. Sekundę później dowódca Jastrzębi, który już się zbierał w sobie do obrony przed zaklęciami Kathryn, leżał na wznak, a na parkiecie rozlewała się plama jasnoczerwonej krwi.

– Nie... – szepnął czarownik, a z jego ust wyciekła krwawa bańka. – Daliście mi szansę... To nie była samowola...

– Zabierzcie wszystkich! – zawołał kapitan Artois, wycierając miecz o szatę renegata. – Służbę też! Przeprowadźcie ich pod osłoną.

– Schowaj się, Artois! – zawołała Kathryn, po czym wybiła się z balustrady i wdzięcznym łukiem skoczyła prosto na żyrandol. „Nic dziwnego – pomyślała Amandine, a jej palce mimo woli przemknęły po znakach. – Gdybym mogła, też bym tak zrobiła”. Znowu uruchomiła runy, rzucając kilka jednoosobowych baniek ochronnych na maruderów i zemdlonych. Ludzie tłoczyli się pod osłoną głównego zaklęcia jak w awalońskim tramwaju.

Chwilę później rozpętało się piekło.

Kathryn przejechała pół sali na żyrandolu, wykrzykując na całe gardło zaklęcia. Jej śladem jak za piłką do aportowania pobiegło dwanaście czarnych psów. Małe, precyzyjnie wymierzone ogniste kule, przypominające dorodne pomarańcze, uderzały raz po raz, zostawiając czarne plamy na podłodze, podpalając kotary i z zabójczym skutkiem trafiając jednego cerbera po drugim. Perełki i ametysty z jej stroju sypały się na posadzkę jak deszcz. Kiedy wreszcie wylądowała, a żyrandol z hukiem trzasnął o marmur, psów było już tylko pięć.

Kat zdecydowanym gestem wyrzuciła prawą rękę do góry, układając lewą dłoń w zawiły znak. Solidne kawałki marmuru oderwały się od posadzki i zawirowały w powietrzu. Kamienne pociski zaczęły bombardować cielska ocalałych pustkostworów; po chwili ani jeden nie mógł ustać na własnych nogach. Czarodziejka wykorzystała okazję, przygważdżając je do podłogi za pomocą lodowych strzał.

Wreszcie wszystko ucichło. Na środku sali balowej leżało dwanaście trucheł pustkostworów i jeden trup czarownika. Stała tam również księżniczka.

W podartej sukni, bosa, osmalona, z trudem łąpała oddech, ale prezentowała się dumnie. Rozejrzała się wkoło i zakreśliła dłońmi łagodny łuk, dogaszając pożary strumieniami zmaterializowanej znikąd wody.

Później zwróciła uwagę na biesiadników. Jej wzrok napotkał oczy Amandine i tryumf w postawie Kathryn jakoś przygasał. „Czy zrobiłam dobrze? – zdawała się pytać. – Nie miałam lepszego wyboru”.

Amandine uśmiechnęła się uspokajająco. „Nic się nie martw. Jakoś to będzie”.

Ale wcale nie była tego taka pewna.

Za jej plecami stał hrabia Renard Trevancel de Branche d'Amethyste i kurczowo ścisnął ją za ramię. Artystka zmarszczyła nos; co najmniej jeden uczestnik biesiady nie wytrzymał napięcia i popuścił. Goście, którzy jeszcze nie wyszli z sali, nie zemdleli ani nie schowali się pod stół, padali przed królową na kolana. Kat obserwowała przerażonym wzrokiem ten spontaniczny wyraz hołdu. Amandine знаła ją dość dobrze, żeby poczuć niepokój. Tuż obok kapitan Artois przykląkł na jedno kolano. Na ten widok czarodziejka jakby zapadła się w sobie. Splotła dłonie na podołku, przestąpiła z nogi na nogę.

– Magia wróciła – powiedziała przygaszonym tonem. – Teraz już wiecie.

\* \* \*

W oddali, za mgłą, malowały się wysokie górskie szczyty. Wąską ścieżką wzdłuż grani przemieszczał się bogaty orszak. U boku hrabiego de Trevancel jechali baronet de Lazurite, Rudiger de Branche de Tourmaline oraz stary baron de Béryl, najznacniejsi lennicy hrabiego. Ceremonialne zbroje inkrustowane herbowymi klejnotami i wyszywane złotem końskie czapraki lśniły w słońcu. Jeszcze więcej warte były same wierzchowce – potężnie zbudowane, muskularne, o nienagannych proporcjach ciała i aksamitnej sierści. Wyróżniały się na tle większości koni rasy nowomarsylijskiej, których dosiadali ich zausznicy, a co dopiero lichszych podjezdaków używanych przez sługi. Jak hrabiemu udało się uniknąć płacenia daniny z własnych stajni, pozostawało jego tajemnicą, chociaż zapewne sporą rolę grało geograficzne położenie hrabstwa oraz łąpówki.

Pośrodku tej kawalkady, otoczona rycerzami i dostojnikami, jechała bardzo nieszczęśliwa Kathryn Verd de Branche d'Argent. Do jej fioletowych sukni

przyszyto pasy srebrnej tkaniny, spruto ametystowe stroiki i z braku brylantów dodano górski kryształ. Całość, chociaż stworzona w pośpiechu, sprawiała iście królewskie wrażenie. Z pewnością wzrost królowny wzmacniał efekt. „Wszystko dobrze wygląda na wysokich dziewczynach” – pomyślała Amandine z podświadomą zazdrością.

Za nimi podążał cały dwór wraz z obsługą – baroneci i kawalerowie, bogaty zestaw krewniaków rodu d’Amethyste. Amandine rozglądała się nerwowo, dzierżąc w garści swoją magiczną laskę; cały czas miała się na baczności. Przed nią siedziała Lily, która o własnych siłach mogła co najwyżej jeździć na kucyku. Gdyby ktoś tutaj, w tej chwili planował zasadzkę, z łatwością mógłby stracić całą elitę Narbonne. Przynajmniej hrabia wziął dla ochrony kapitana Artois z częścią Popielników. Polegał na nich bardziej niż na rycerzach i Amandine rozumiała dlaczego. Część szlachetnie urodzonych już umiała sobie monotonię podróży wyborym winem. Zapewne planowali tryumfalny powrót w nieco bardziej szampańskim nastroju.

Brakowało tylko dworskich kapłanów Cierpliwego Wędrowca, których hrabia pokazowo stracił na rynku miejskim, starając się, aby przekaz był jasny. Żadne brunatne szaty nie będą rozkazywać w imieniu rodu de Branche d’Argent. Renard Trevancel de Branche d’Amethyste jest wiernym sługą króla. Oczywiście dopóki nie dojdzie do koronacji królowej, która nie oddała władzy w brudne ręce Arcydiakona.

Zatem ceremonia Przyjęcia. Po tym, jak Kathryn zdradziła wszystkim swoją tożsamość, nie dało się postąpić inaczej. Żadnych konkursów, dyplomatycznego kluczenia, ukradkowej podróży do Czeluści. Sprawę należało rozstrzygnąć w świetle słońca, raz na zawsze. Królewski Smok zaakceptuje nową monarchinię... albo i nie. Bądź co bądź, dotychczasowy król nadal żył i jedynie powrót smoka do gniazda świadczył o tym, że być może wolałby kogoś nowego w zamian.

Przez całą noc przed wyjazdem przyjaciółki opracowywały taktykę ucieczki, na wypadek gdyby bestia odrzuciła propozycję.

Im dłużej Amandine zastanawiała się nad strojem Bretanii, tym bardziej dochodziła do wniosku, że ani król, ani nawet Nadworny Mag nie odgrywali w tym układzie głównej roli. Zdawało się, że Bretańczycy, przyzwyczajeni do



tradycji, form i norm, tego nie dostrzegają. Łatwo było myśleć o smoku jak o świętej bestii, która legitymizuje prawo króla do tronu, a następnie czuwa u jego boku, chroniąc przed wrogami i mocą Zaświatów. Jeszcze kilka tygodni temu Amandine też by tak sądziła. W Arborii baśnie opisywały smoki jako magicznych towarzyszy, wielkie zwierzęta. Mówiły, ale nie miały osobowości ani wolnej woli, służyły swoim władcom wiernie jak psy.

Ale hrabia opowiadał, że Królewski Smok z własnej inicjatywy wycofał się w góry. Podjął decyzję o opuszczeniu Philippe'a Verlaine'a, gdy przestał tolerować jego zachowanie. Ponadto zjadał kandydatów, którzy mu nie pasowali. Wiele innych drobnych uwag Renarda Trevancela świadczyło o tym, że mimo niewątpliwej wierności rodowi d'Argent smok miał jednak pewną dozę charakteru. I jeszcze jeden drobiazg – żadne nowe Królewskie Smoki nie przychodziły na świat, nikt nawet nie wiedział, czy potrafią się mnożyć jak zwykle zwierzęta. Od kilkuset lat Królewski Triumwirat trwał w Bretanii nieprzerwanie; wymieniali się Nadworni Magowie z de Branche d'Aure i królowie z de Branche d'Argent, lecz smok od zawsze pozostawał ten sam.

Amandine ścisnęła końskie boki i dokłusowała do Kathryn. Gdy tylko przestawała uważać, między nią a Kat wciskali się adoratorzy, dwórki, służący i zwykli pochlebcy. Nie mieli śmiałości zaczepiać Nadwornej Magini, ale królownie brakowało asertywności, aby skutecznie się przed nimi oganiać. Prym wiodła hrabina Trevancel, której nastawienie do nowo przybyłych zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni i zaczęła wkupiać się w łaski przyszłej królowej, tak na wszelki wypadek. Na początku usiłowała ją swatać ze swoim synem, zanim się zorientowała, że już przedstawił się Kat, i to z najgorszej strony. Amandine trochę ją rozumiała. Żona hrabiego walczyła o własną przyszłość, może nawet życie.

– Spróbuj ich rozgonić – zwróciła się półgłosem do Kat.

Czarodziejka, bardzo uprzejmie uśmiechając się przez zaciśnięte zęby, odgrodziła się wachlarzem od tokującej w najlepsze lady d'Amethyste, piątego pociotka z trzeciego rozgałęzienia, usiłującej przedstawić swoje poglądy na stylizowane stroiki do peruk.

– Chciałabym porozmawiać na osobności z Wielką Maginią – odezwała się, może nieco za głośno. Wokół nich zrobiło się kółeczko ciekawskich.

– Lepiej – mruknęła Amandine. – Ale i tak nas podsłuchują.

– Mają tutaj pasztety ze słowicznych języczków i służących usługujących służącym, ale prywatności nie dowieźli – zauważyła Kathryn, przechodząc na arboriański. – Rozmawiamy po naszymu, bo już mnie szlag trafia. Wiesz coś?

– Nikt nie ma najmniejszego pojęcia, jak wygląda Czeluść i co tam należy robić. A ty?

– Myślę, że chodzi o krater wulkaniczny – odparła Kathryn. – Hrabina była bardzo pomocna. Czegoś jednak nie rozumiem. Poczekaj, przetłumaczę słowo w słowo – zaproponowała, nadymając się odpowiednio. – „Chociaż widywałam smoka jedynie na portretach, jestem go niezwykle ciekawa w rzeczywistości, bo powiadają, że konferekty są mocno pochlebione”.

– Portrety? – Amandine uniosła brwi. – On ma chyba paszczę, a nie twarz?

– No właśnie, już sama nie wiem. – Kathryn mocniej ścisnęła lejce. – Może hrabina myli portret z podobizną. Ale chyba znowu przegapiamy coś oczywistego dla każdego Bretańczyka. Za to poinformowała mnie o pięćdziesięciu różnych sposobach składania i odrzucania oświadczeń przez szlachetnie urodzonych.

– Nadal swata syna?

– Zmieniła obiekt na bratanka. Jest podobno nieco bardziej udany. – Kat pokręciła głową. – Gorąco go zachwalała. Pod koniec tej entuzjastycznej reklamy byłam już przekonana, że kawaler na pewno ma kiłę, grzybicę stóp, a w wolnych chwilach dręczy małe zwierzątko. Amandine...

– Tak?

– Czy chodzi jej o hrabiego? To znaczy, ja jestem czasem tępą, ale niezupełnie głupią. Hrabina mogłaby mi jeszcze pomachać przed oczami transparentem, żeby wyrazić się jaśniej. Uważasz, że hrabia chce do mnie smalić cholewki? Otruć żonę albo co?

– Albo co – odparła ponuro artystka.

Lily niespokojnie poruszyła się w siodle.

– Nie zamierzacie tutaj zostać na zawsze? – zapytała z rozpaczą. – Dajemy dyla zaraz po tym, jak się dowiemy wszystkiego o Vincencie, Meg i Rozdarcu świata?

– Słońce... – Amandine pogłaskała ją po głowie. – Skąd ci w ogóle przychodzą do głowy takie pomysły?

– No... kiedy ktoś zostaje królową... – zająknęła się Liliana – ma swojego smoka i w ogóle... to czy wolno mu tak po prostu wrócić do innego świata? Może jeśli smok się zorientuje, to cię pożre?

– Coś w tym jest – zastanowiła się Kat. – Ciekawe, czy wolno abdykować bez ryzyka pożarcia. Mam paru wkurzających kuzynów, podeślę ich tutaj, jeden jako pólaktywny pewnie się nada...

– Teraz brzmisz jak hrabia Trevancel. – Lily zmarszczyła nos z dezaprobatą. – A może chcesz zostać królową Bretanii. Może byś się przystosowała.

– Oj, Lily. – Kathryn pochyliła się w siodle i dość niezgrabnie spróbowała ją uściskać. – Nie porzucę cię. Wiem, jak czasami gadam, ale postaram się ciebie nie zawieść. Obiecuję. Poza tym nie będę żadną pierdzącą w stołek królową, tylko porządną inżynier budownictwa.

– Nie mów do mnie jak do dziecka – fuknęła Lily.

Ale uspokoila się trochę.

\* \* \*

„Spieprzę to” – pomyślała Kathryn, wpatrując się w krater, szeroki jak miasto, od stuleci porośnięty gęstą trawą i krzewami kosodrzewiny. Wcale nie przypominał wygasłego wulkanu. Wyglądał raczej, jakby dawno temu coś uderzyło w ziemię z niewyobrażalną siłą.

Gdzieś na samym dole ledwo majaczyły szare obeliski ustawione w krąg. W zбочu krateru wykuto skalne półki i schody. Miliony schodów. Potencjalny następca tronu zawsze jest czarodziejem, ale nikt nie twierdzi, że od razu na tyle doświadczonym, żeby umieć latać.

„Spieprzę to na pewno”.

Hrabia Trevancel wygłaszał pompacyjny przemówienie. Amandine stała obok z poważną miną, dzierżąc w ręku laskę i włączając się w umówionych momentach. Do Kathryn nie docierało ani jedno słowo. „Smok mnie zje albo będzie trzeba uciekać w popłochu, zawiodę Amandine i Lily, po co tu w ogóle szliśmy, trzeba było okraść hrabiego, wynająć żołnierzy i wiać, gdzie pieprz

rośnie, najlepiej po Vincenta, do Montreuil. Po co mi ten cały królewski, za przeproszeniem, interes. Liliana ma rację. Nie znamy konsekwencji. Nie wiemy, w co się pakujemy. Czy mogę jeszcze zawrócić, odwołać tę niewczesną, podjętą pod presją decyzję?

Jeśli uciekniemy teraz, co nam zostanie? Ile są warte ozdoby na mojej sukni? Czy da się za to opłacić oddział? Damy sobie radę z drugą bandą Jastrzębi...

...ale może nie z ksenowurmem...

Smok jest w tym kraju odpowiedzialny za aktywację Źródeł” – przypomniała sobie. Rozmawiały o tym w nocy z Amandine. To właśnie zanik magii pośrednio doprowadził do obecnej oplakanej sytuacji. Brak czarodziejów sprawił, że Zakon Cierpliwego Wędrowca urósł w siłę. Im więcej skażenia, tym bardziej kontynent traci stabilność. Na dobitkę tylko Królewski Smok daje szansę dotarcia do Wyroczni, bo po drodze trzeba podbić stolicę. Tak czy owak, należy go wyciągnąć z Czeluści. A później na przykład znaleźć innego obdarzonego magią następcę i abdykować na jego rzecz.

Zacisnęła pięści aż do białości. „Byłabym fatalną królową. Rządy d’Argent do tej pory skończyły się katastrofą na obydwu kontynentach, dlatego niby tym razem miałyby się stać inaczej. Ale muszę wreszcie przestać się zachowywać jak balast dla tej wyprawy. Nie wolno mi spuszczać wzroku z jej rzeczywistego celu”.

Wszyscy na nią patrzyli: dostojnicy w aksamitach, damy wystrojone jak na popołudniową wycieczkę, dumnie skrywające zmęczenie podróżą, rycerze, najemnicy oraz wielokrotnie liczniejszy od nich tłum służących na różnych piętrach drabiny zawodowej – pisarze dokumentujący wyprawę, osobiste pokojowe dam, liczni posługacze i tragarze. Nagle dotarło do niej z pełną mocą, że to się dzieje naprawdę, że oni też to rozumieją, że to nie jest kolejna inscenizacja hrabiego ekscentryka. Rzeczywiście mieli nadzieję, że Kathryn Verd zostanie ich królową, chociaż pochodziła z obcego kraju i jeszcze kilka tygodni temu nawet jej nie znali. Jasna sprawa, uważali, że Renard Trevancel jako mąż będzie ją kontrolował. To był jego plan, jego *coup*, marsz po najwyższą władzę w Bretanii.

Nagle zauważyła jakiś ruch; to Artois, nie zważając na trwającą wciąż ceremonię, którą z braku kapłanów celebrowali wyłącznie hrabia i Wielka Magini, przedzierał się przez tłum zgromadzonych. Niewysoki, czarnowłosey. „Żaba”, przemknęło przez myśl Kathryn. Obrzucono go kilkoma nieprzychylnymi spojrzzeniami, ale je zignorował, stanął z przodu, zerkając niecierpliwie na swojego chlebobawcę. Dama, obok której się znalazł, syknęła coś niepoehlebnego.

– Wiadomość od hrabiego – odparł, kłaniając się z galanterią. I nie zwlekając dłużej, zrobił trzy kroki i znalazł się obok Kat. W jego ciemnych oczach skrywał się niepokój.

– Panno Verd, muszę pani coś koniecznie przekazać. – Wyciągnął w jej stronę rękę, ale zaraz ją cofnął. Dziwne, ale poczuła się rozczarowana i nawet odrobinę zła; spodziewała się uścisku dłoni, który dodałby jej pewności. – Nie powiedzieli pani. Renard na pewno tego nie zrobił. Na Wędrowca, wiem, że tak wygląda polityka, ale to się nie godzi robić z pani pionka. Królewski Smok... Proszę pamiętać, że jego ludzka dusza umarła wieki temu. On może jeszcze się łudzić, że ją pamięta. Mówiono, że raz na dekadę, czasem częściej, przywdziewa ludzką postać. Proszę się nie zdziwić, jeśli ją pani zobaczy. Ale niech pani pamięta, zaklinam panią, że on już od dawna nie jest człowiekiem.

Zamilkł. Obydwoje zerknęli na hrabiego. Mówił dalej, ale obrzucił kapitana surowym spojrzeniem. Artois skłonił się uprzejmie. Żadne nie przerwało ceremonii, nie zburzyło błędnego wrażenia, że interwencja była zaplanowana. Kathryn nabrała pewności, że „Żaba” zapłaci za niesubordynację. Może nie głową – hrabia go lubił – ale, tak czy owak, kara będzie dotkliwa.

„Proszę pamiętać, że smok już od dawna nie jest człowiekiem. Jego ludzka dusza umarła wieki temu”. Co to ma w ogóle znaczyć? Że kiedyś nim był? Dlaczego to takie ważne?

Jedna z oczywistości, jasnych dla każdego Bretańczyka.

Powinna czekać na umówiony sygnał, aż hrabia zakończy mowę błogosławieństwem Wędrowca, Amandine zaś przypieczętuje ją widowiskowym zaklęciem świetlnym. Nagle zapanowało jej dech ze wściekłości, że cały czas grają według scenariusza Renarda Trevancela.

Jej umysł wypełnił kojący, znajomy wzór. Wypowiedziała cicho kilka odpowiednich słów po starobretońsku, wykonała dyskretny gest. A potem zrobiła krok do przodu i nie zważając na zbiorowe okrzyki przerażenia, zaczęła spokojnie lewitować na dno krateru. Srebrne falbanki i warstwy spódnic furkotały wokół niej. Roześmiała się, myśląc, że powinni już się zacząć przyzwyczajać do fruwej monarchii.

Postacie dostojników i sług oddalały się, stopniowo przeobrażając się w kolorowe figurki, jak namalowane na akwareli Amandine.

\* \* \*

Powoli opadła na trawę. Z lotu ptaka przyjrzała się już obeliskom z szarego kamienia, ułożonym na planie pięciokąta, jednej z podstawowych figur geometrycznych stosowanych we wzorach. Spodziewała się dużego natężenia magii, ale ze zdumieniem wyczuła tylko ślady. Pośrodku znajdowała się okrągła płyta.

Niezdecydowana pogrzebała w trawie srebrnym pantofelkiem. Parę koników polnych uciekło jej spod stóp. A gdyby tak położyć się tutaj w czerwcowym słońcu, rozebrać do negliżu – tutejsza bielizna była zabudowana od góry do dołu, wielkie gacie i profilowany gorset, gdyby zastąpić go koszulką, wyszedłby idealny strój kąpielowy – i trochę sobie pospać? „Chociaż raz zrobię to, co chcę, a nie to, co nakazuje obowiązek wobec rodziców, rodu, mistrzyni, przyjaciół, może i świata. Mogą mi nafiukać, przecież nie sfruną tutaj za mną”.

Sceptycznie przyjrzała się rękawom sukni. „Dobra, ale czy ja się w to wszystko umiem sama ubrać z powrotem?”. Przypomniała sobie spojrzenie krawca, kiedy wpinał szpilki w falbany przed poprawkami. Stary mistrz pracował nad tymi strojami jak nad dziełami sztuki, a bezmyślni szlachcice niszczyli je podczas jednego balu, robiąc tak nieodpowiedzialne rzeczy jak bujanie się na żyrandolu.

Zaczęła ostrożnie iść w stronę płyty, starając się nie zabrudzić brzegów sukni trawą. Roześmiała się, tym razem przez łzy. „Nie przywołała mnie do porządku myśl o martwiącej się Amandine ani o małej Lily, ani nawet o ciężko chorym Vincencie, żal mi było starego krawca, żeby się znowu na próżno nie napracował. Ciekawe, co by zrobili moi przyjaciele ze studiów, gdyby mnie tutaj zobaczyli.

Ja, królewna, idę obudzić smoka. I płaczę, zamiast się cieszyć. Chyba muszę być nienormalna. Zaraz się obudzę i okaże się, że przysnęłam nad eklerkami u Starego Fakira. W ogóle zjadłabym eklerkę...”.

Stała przed kamienną płytą, starą jak sam czas. I według wcześniej otrzymanych instrukcji przelała w nią jednostkę mocy.

Płyta odskoczyła jak korek. Wirowała teraz nad ziemią, okrągła i płaska, ukazując kręte schody w głąb Czeluści. Kathryn nie traciła czasu. Z kieszeni poukrywanych w sukni wydobyla osiem srebrnych run, starannie przygotowanych w zaciszu pracowni hrabiego Trevancela. Chociaż nie interesowała się tworzeniem magicznych przedmiotów tak jak Belinde, przez lata współpracy nasiąknęła jej sztuką. Talent do magii Creo działał na jej korzyść.

Zanim płyta zaczęła się obniżać, Kat sprawnie obiegała wejście, rozkładając runy w równych odstępach. W każdą przelała dwie jednostki. Wreszcie, gdy wszystkie jasno zapłonęły, a kamień z wolna zaczął opadać, znów nasyciła go mocą. Odetchnęła głęboko.

Nikt rozsądny nie wchodzi do przepaści bez przywiązania się do liny i nie idzie się spotkać ze śmiertelnie groźnym Królewskim Smokiem bez zapewnienia sobie drogi odwrotu. Kathryn złapała brzegi sukni, bezgłośnie rzuciła Kulę Światła i z determinacją ruszyła w głąb Czeluści. Liczyła kroki, zaciskając w garści kolejną runę.

Było ich razem dwadzieścia jeden i łącznie ważyły dobre dwa kilo. Gdyby działa się coś złego, czarodziejka wygłosi krótką komendę i pierwszy znak przyciągnie ją bez konieczności rzucania Lotu. Później wystarczy skakać od znaku do znaku. Krąg umieszczony pod płytą uniemożliwi jej całkowite zamknięcie – tak na wypadek gdyby nie dało się otworzyć przejścia od środka bez pomocy smoka.

Maszerowała przez godzinę albo i dłużej. Ostatnią runę zostawiła na krętych schodach jakiś czas temu. Kula Światła rozjaśniała jej drogę tylko w niewielkim promieniu, jakby otoczenie pochłaniało magię. Podświadomie Kathryn cieszyła się ze słabej widoczności; nie chciała patrzeć w dół.

Gdy mrok zaczął się rozpraszać, czarodziejka domyśliła się, że dotarła do celu. Ostatni odcinek trasy pokonała za pomocą Lewitacji, odciążając trochę zmęczone

kolana. Wokół niej stopniowo odsłaniała się jaskinia Królewskiego Smoka.

Kathryn nie miała żadnych oczekiwań, więc nic jej nie zaskakiwało. Oglądała ogromne pomieszczenie o nieregularnych kształtach, uważnie przyglądała się rdzawym, metalicznie połyskującym ścianom. Nie знаła się na geologii dostatecznie dobrze, aby ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że powstały w sposób naturalny. Może je wydrążono, ale czym?

Dostrzegala także runy z miedzi i srebra, dziesiątki znaków oplatających w długich, lśniących sznurach ściany jaskini. Zmarszczyła brwi; część z nich wydawała jej się znajoma. Rozpoznała kilka elementów używanych w rytuałach. Musiałaby poświęcić więcej czasu na ich analizę, ale z całą pewnością nie były starożytne.

Czy to pozostałości poprzedniej koronacji?

Czy Philippe Verlain wpadł na podobny pomysł i postanowił zabezpieczyć się przed ewentualną agresją smoka? Kathryn z podziwem studiowała znaki, dumając nad kunsztem ich autora. „Na Pustkę, dziergałabym coś takiego miesiącami”.

Znalazła się już wystarczająco nisko, żeby widzieć całą jaskinię, a Kula Światła, podregulowana do maksimum, oświetlała pomieszczenie jak małe, zimne, niewydarzone słońce. Pod najdalszą ścianą, tam, gdzie ledwo docierał jej blask, rysował się olbrzymi ciemny kształt, który w pierwszej chwili czarodziejka wzięła za cień załomu skały, ale żadnego załomu skały tam nie było. Tylko bezmiar połyskującej w bladym świetle czerni.

Ogromny kształt poruszył się niespokojnie. Gdy pantofelki Kathryn dotknęły ziemi, otworzyło się jedno bursztynowożółte oko wielkości lustra w jej komnacie. Nie spiesząc się zbyt, Królewski Smok rozwijał sploty i przeciągał się jak gargantuiczny kocur, ukazując się w całej okazałości.

Jego ciało pokrywała lśniąca i czarna jak obsydian łuska, tak że gdy leżał zwinięty w kłębek, w półmroku z trudnością dostrzegało się zarys jego kształtów. Kiedy się wyprostował, okazało się, że nie był całkowicie czarny. Pazury miał złociste i złote linie biegingy także wzdłuż brzegów jego skrzydeł. Kathryn przypomniała sobie duszozmoka, istotę o wymiarach sporego domu; ten chyba



osiągnął jeszcze potężniejszy rozmiar, chociaż z perspektywy czasu nie potrafiła tego dokładnie określić. Może po prostu wywarł na niej większe wrażenie.

Smok.

Prawdziwy smok.

„Gdzie moja kryształowa kula, kiedy jej potrzebuję?”

– Dzień dobry – odezwała się niepewnie, a jej słowa rozeszły się echem po jaskini. – Składam ci wyrazy szacunku, o wielki Królewski Smoku...

Dopiero po chwili zorientowała się, że przemówiła w ojczystym języku. Nauczyła się całej przemowy – ceremonialnej, opracowanej na podstawie kronik przez hrabiego Renarda, z odpowiednimi formułami grzecznościowymi. W obliczu Królewskiego Smoka wszystkie przygotowania wzięły w łeb. Teraz była na sto procent przekonana, że zaraz zostanie pożarta. Długo spał, pewnie zgłodniał.

– Witaj, młoda damo – zagrmiał smok w najczystszy arboriański. – Na Pustkę! Po raz pierwszy od dziesięcioleci słyszę język z Drugiej Strony Świata.

– M... mówisz po naszymu...

– Naturalnie. – Smocze sploty przesuwają się wzdłuż ścian. – Przecież ostatni Wielki Mag Bretanii pochodził w istocie z Arborii. Czyżbym był świadkiem nowej inwazji? Nie jesteś Wielką Maginią? Ach, ależ oczywiście. Budowa d’Hiacynth, długie palce d’Obsydienne, oczy d’Hécatolite w kształcie migdałów. Same najszlachetniejsze rody; od lat nie widziałem przedstawicieli żadnego z nich. I oczywiście siwe włosy d’Argent. Czyli do kogoś wreszcie dotarło, że Philippe Verlain nie żyje.

– Właściwie... nie było konsensusu w tej sprawie...

– Bah! – Jaskinia zatrzęsała się od smoczego szyderczego śmiechu. – To, co obecnie zamieszkuje jego ciało, nieszczęśliwie nadaje się na króla czy choćby prawdziwego człowieka, ale Arcydiakon dobrze go pudruje. No, znakomicie, sądziłem, że będę spać w tej dziurze jeszcze kilkadziesiąt następnych lat.

– Jak to działa? – Kathryn nadal czuła lęk, ale rozluźniła się odrobinę; na razie wszystko szło jak po maśle. – To znaczy, dlaczego Królewski Smok musi przebywać w Czeluści, dopóki nie wybierze go przyszły król?

Z nozdrzy smoka uciekły smugi dymu. Westchnął.

– Dlaczego? Ot, takie pytania pozostaną bez odpowiedzi, skoro zabrakło starożytnych, którzy obmyślili reguły gry. Cały mój instynkt, całe moje jestestwo działa przeciwko mnie. Albo stoję u boku króla, albo muszę spać i czekać na lepsze czasy. Może ten, kto zapisał tę konieczność w mojej krwi, obawiał się smoków na wolności. Drzemię, ale mój umysł działa, chociaż na zwolnionych obrotach. Wyczuwam świat wokół mnie. Wiem, że coś dzieje się na powierzchni, coś istotnego, i bardzo chciałbym to sprawdzić. Utwórz ze mną magiczną więź, młoda królowo... Jak ci na imię?

– Kathryn. Kathryn Verd. – Kat przełknęła ślinę. Więź. Oczywiście. Tak to się zapewne odbywa.

„Pamiętaj, że smok od dawna nie jest człowiekiem...”.

Bardzo szybko odkryła, że nie może się zdobyć na ustabilizowanie połączenia. Nie знаła smoka. Jeszcze nie umiała mu zaufać. Mówił po arboriańsku, ale nie potrafiła zapomnieć, że ma do czynienia z kilkusettonowym gadem, który zabiłby ją bez mrugnięcia okiem, gdyby nie przypadła mu do gustu jako władca. Pulsowało jej w skroniach, policzki płonęły ze zdenerwowania. Czowała, jak jej suknia nieuchronnie nasiąka potem.

– Och, na Pustkę. – Smok fuknął, trzepnął ogonem, aż ziemia się zatrzęsała. – Dlaczego to tak długo trwa?

– Ja... przepraszam...

Nachylił się nad nią, wielki jak góra.

– Nie zawarłaś już kiedyś więzi z żadnym innym smokiem?

– Nie... O ile mi wiadomo, nie istnieją żadne inne smoki. – Bardzo przelotne, niemal podświadome skojarzenie przemknęło Kathryn przez myśl, ale czarodziejka je odrzuciła jako zbyt nieprawdopodobne. – My... to jest prawie jak ślub, a właściwie się nie znamy.

– Och. – Zamiast wpaść we wściekłość, smok wyraźnie się rozczulił. – Nic nie szkodzi, dziecko. Na zaufanie przyjdzie jeszcze czas. Gdybyś w takim razie splotła jeszcze jedną Kulę Światła... Jeżeli dostanę próbkę twojej mocy, być może wystarczy. Ach, zapomniałem, jak majestatyczną i groźną zdaje się śmiertelnikom moja postać. Proszę, tak będzie lepiej?

Kathryn wielokrotnie widziała, jak składane domy z powrotem przekształcają się w poręczną teczkę. Belinde Chamomille też kiedyś dysponowała własnym egzemplarzem, ale rozmontowała go na części, aby rozszyfrować mechanizm, w czym dzielnie sekundował jej Vince, który po prostu nie mógł przegapić takiej okazji. Nie kupowała kolejnych, w swojej mądrości wiedząc, że to się skończy dokładnie tak samo; nawet jej majątek przy odrobinie wysiłku dało się przecież roztrwonić.

Teraz Królewski Smok składał się jak dom. Łuski lśniły i traciły materialną substancję, kurczył się ogon i pysk, zmniejszały się łapy. Transformacja zachodziła stopniowo, elegancko i tak szybko, że oko ludzkie nie rozróżniłoby wszystkich faz przejściowych. Kalejdoskop pośrednich kształtów mignął Kathryn przed oczami i po niedługim czasie w miejscu, gdzie wcześniej zalegał Królewski Smok, stał człowiek.

„Jest ubrany – pomyślała Kathryn. – Skąd wytrzasnął ciuchy po transformacji, ukształtował je z magicznej energii czy co?”

Mężczyzna był szczupły i średniego wzrostu, przystrojony w ciemne szaty i długi czarny płaszcz o złotych brzegach. Kat odniosła niejasne wrażenie, że skądś go zna, ale nie potrafiła sprecyzować dlaczego. Może chodziło o jakąś na poły mistyczną, duchową więź między królem a smokiem... Szedł w jej stronę, uśmiechając się dobrotliwie. Słabo mu to wychodziło, w jego twarzy dostrzegało się skłonność do sarkazmu i złośliwości, a nawet okrucieństwa. Miał rzadko spotykany kolor włosów – ciemnobrązowy z rdzawym połyskiem. „Ciekawe, do jakiego stopnia decyduje o własnym wyglądzie – zastanowiła się Kathryn. – Stworzył sobie szaty, może wszystko inne też teraz wymyślił”.

Ponieważ w smoczej postaci zajmował czwartą część jaskini, dotarcie do Kat zajęło mu trochę czasu. Musiał omijać rozrzucone tu i ówdzie głązy i pokonać wgłębienie w ziemi, które stworzył nie tak dawno temu uderzeniem własnego ogona. Zdyszał się, zmęczył. Zanim dotarł do czarodziejki, po lękach Kathryn niewiele zostało. Zdawała sobie sprawę z tego, że właśnie w tym celu smok zmienił postać. Pamiętała ostrzeżenia kapitana, ale, tak czy owak, strach jej nie paraliżował, zachowywała już tylko zdrową ostrożność.

– Może pomóc? – spytała. – Nie potrafisz rzucać zaklęć – mam rację?

– Potrafiłem wiele lat temu, gdy moja ludzka część była silniejsza – sapnął. – Oczywiście tylko w tej postaci. Nadal je pamiętam, pomogę ci w przetwarzaniu, jeśli tylko utworzymy więź.

– Będzie i na to czas – powiedziała Kat. – Usiądź sobie na kamieniu obok. Ja postoję, chyba trudno oczyścić materiał z pyłu, który wszędzie tutaj osiada. – Otrzępała suknię. Królewski Smok rzucił jej zdumione spojrzenie, jakby nie wierząc, że dba o tak pozbawione znaczenia szczegóły.

– Łap. – Popchnęła w jego kierunku nową świetlistą bańkę. Złapał ją w garść jak piłkę do gry i chyba wchłonął przez skórę. Czarodziej nie potrafią przetwarzać mocy, którą już ukształtowano w zaklęcie, ale Vincent umiał; może smok również.

– Opowiadaj, co się tam dzieje na powierzchni.

– To długa historia. Przede wszystkim toczymy wojnę i jak zapewne rozumiesz, potrzebujemy twojej pomocy...

Królewski Smok splótł ramiona i zerknął na Kathryn z niesmakiem.

– Wojna. Oczywiście. Prości, tępi Bretańczycy. Jeśli dostaną do ręki pudełko szachów, też posłużą im jako broń, przecież jest ciężkie i twarde, więc można nim kogoś uderzyć w głowę. Na Pustkę! Jestem Smokiem. Twórcą królów! Najpotężniejszym konstruktem liczącym, jaki stapał kiedykolwiek po bretańskiej ziemi, pominąwszy może Trzecią Wyrocznię. Potrafię przekalkulować wzory, które zmieniałyby strukturę rzeczywistości, gdyby tylko współpracował ze mną odpowiedni czarodziej. Czy zdajesz sobie z tego sprawę, młoda królowo? Oczywiście, że nie. Mogę policzyć wszystko! Drobnie odkształcenia natury świata, które nazywacie zaklęciami, to nic w porównaniu z moimi możliwościami. Wasza armia jest zapewne bardziej zainteresowana moim smoczym ogniem, rozmiarami i siłą, które otrzymałem jedynie po to, aby się bronić przed niewłaściwym wykorzystaniem. Bah! Prostacy.

Kathryn wstrzymała oddech.

– Popraw mnie, jeśli się mylę – powiedziała z powagą. – I jeżeli tylko się przechwalasz, lepiej się do tego przyznaj, bo chodzi o coś niezwykle ważnego. Czy właśnie stwierdziłeś, że potrafiłbyś cofnąć Rozdarcie?

– Gdybym pracował z odpowiednim czarodziejem, który nawiąże ze mną więź – odparł Królewski Smok – i gdyby napisano dla mnie szczegółową procedurę, mógłbym to zrobić. Do tak trudnego zadania potrzebowaliby zapewne wsparcia Wyroczeni, ale tak, myślę, że cofnięcie Rozdarcia leży w zakresie moich możliwości. Co więcej, sądzę, że poprzedni Wielki Mag zostawił drobiazgowo opisany rytuał w Nouveaux Dijon. Niewiele brakowało mu do ukończenia dzieła.

– W takim razie, drogi smoku – oznajmiła Kathryn – te pomniejsze zdolności, które otrzymałeś, aby obronić się przed niewłaściwym wykorzystaniem, bardzo się przydadzą. Jak się wkrótce przekonasz, aby dostać się do stolicy, musimy najpierw wygrać pewną wojnę...

Kilka tygodni później

Vincent Thorpe

Utracona Bretania, 30 Juin 753 AG

**K**iedy na horyzoncie niebo zaczęło różowieć przed świtem, doszedłem do wniosku, że dalej naprawdę już nie dam rady.

Łódka kołysała się spokojnie na leniwej, szerokiej rzece. W sitowiu odezwały się bekasy. Trzymałem się blisko przybrzeżnych płycizn, z dala od nurtu; ręce miałem zbyt słabe, żeby w razie czego dać sobie radę z niespodziewanym wirem lub prądem bocznym. Nad dziobem łodzi, zamontowana na wierzbowym kijku, dyndała dogasająca olejowa latarnia.

Zamiana koni na łódź była jednym z lepszych pomysłów Bernarda tej nocy. Wyjaśnił mi, że za młodu często uciekał z zamku w ten sposób, oczywiście w bardziej rozrywkowych celach. Wiedział, gdzie niespostrzeżenie dokonać wymiany. Jeśli mieliśmy szczęście, pogoń do tej pory podążała śladem dwóch szczerze opłaconych rybaków. I bardzo dobrze, bo sądzę, że nie przetrwałbym jeszcze ucieczki przed konnym pościgiem.

Książę leżał sobie w tej chwili skulony na ławie w poprzek łódki i pochrapywał. Zapewne nie było mu szczególnie wygodnie, ale dno nasiąkło wilgocią, więc nie nadawało się do odpoczynku. Ja oczywiście przez cały czas wiosłowałem. Nie wypadalo, żebym wymieniał się ze stuletnim staruszkiem. Nawet jeśli mocno podejrzewałem, że jest w lepszej formie fizycznej niż ja.

Otworzyłem usta, żeby go obudzić, i wydobył się z nich niezrozumiały bełkot. Westchnąłem. Prawie zapomniałem o mojej ułomności. Złożyłem wiosła, pochyliłem się i potrząsnąłem za ramię księcia.

– Na Pustkę! – Bernard wzdrygnął się i wzniosł dłonie do prostego zakłącia bojowego. Przejornie się pochyliłem. Nad moją głową przefrunęła różowa kulka magicznego pocisku i uderzyła w sitowie, wywołując nagłą panikę wśród stada kaczek.

Popatrzyłem na niego potępiająco.

– Nie, nie zamierzam znowu tworzyć więzi – fuknął książę. – Co za dużo, to niezdrowo. Czego chcesz?

Wskazałem brzeg.

– Nie wysiadam w tym bagnie – oburzył się Bernard. – Za godzinę czy dwie będzie solidny czysty brzeg, ładna wieś i bardzo przyjemna gospoda.

Wzruszyłem ramionami, chwyciłem wiosła i skierowałem się w stronę łądu, starając się znaleźć lukę w gęstym sitowiu. Na pewno miejscowi musieli chodzić na ryby.

– Mówiłem, nie wysiadam w tym bagnie! – zaprotestował, ale usiadł, kipiąc wściekłością. Ciekawa sprawa. W świetle dziennym wydawał mi się trochę... młodszy? Zdrowszy? Bardziej pełen energii? Nie dałbym mu już setki lat, może raczej osiemdziesiąt. Czyżby Źródło, które przez całą noc rozprawdzało magię po jego kanałach energetycznych, zaczęło odnawiać jego ciało? O ile było mi wiadomo, magowie starzeli się tak jak inni ludzie, tyle że pięciokrotnie wolniej. Nie zapadali jednak na żadne dolegliwości podeszłego wieku i długo zachowywali pełną sprawność fizyczną. Pomyślałem, że teraz będę miał do czynienia z Bernardem, który nie potrzebuje malinowej nalewki, żeby pod wpływem impulsu nadziewać ludzi na włócznie... albo zakłęcia bojowe... i trochę mnie zmroziło.

Znalazłem wreszcie błotniste miejsce, gdzie – sądząc po śladach – krowy schodziły do wodopoju. Przybiłem łodzią do brzegu tak blisko, jak się dało. Trudno, książę pan będzie musiał pobrudzić ametystowe szarawary. Dalej rosła kępa łożyny i rozpościerało się zaniedbane, podmokłe pastwisko. Wyszedłem z kołyszącej się łodzi na gliniasty brzeg; za mną, mamrocząc pod nosem niepochlebne uwagi, wygramolił się Bernard. Rozejrzałem się za najwyższym punktem pastwiska; zwykle rośnie tam samotna polna jabłoń lub grusza. Rzeczywiście, kiedy rozgarnąłem łoży, w porannej szarudze dostrzegłem ciągnący się w górę łąki szpaler starych drzew owocowych, przeplatany głógiem i leszczynami. „O ile ja się cokolwiek znam na wiejskim krajobrazie – pomyślałem – obok biegnie zarośnięty szlak”.

Skinąłem dłonią na księcia. Nachmurzył się.

– Iść – odezwałem się, starając się nadać wypowiedzi jak najuprzejmniejszy ton. Bolały mnie ręce i nogi, oczy mi się zamykały.

Bernie zajrzał moim śladem w gęstwinę i jakby się zadumał.

– Znam to miejsce – powiedział wreszcie. – Sprzed wielu laty, ale dużo się nie zmieniło. Za tamtą jabłonką było kiedyś miejsce na obozowisko dla rybaków. Urządzaliśmy sobie tam czasem rustykalne wieczerze. Powinno się znaleźć suche miejsce, zwłaszcza kiedy wstanie słońce.

Ludzkie przyzwyczajenia są silne, a w krajach takich jak Bretania niewiele się zmienia. Widocznie już któreś z kolei pokolenie rybaków używało miejsca wskazanego przez księcia, bo zastaliśmy wykarczowane krzaki, kamienny krąg z węgielkami, które płonęły ostatnio z tydzień temu, a nawet śliski, ociosany pień, najwidoczniej pełniący funkcję ławeczki. Ziemia była znośnie sucha. Przykucnąłem i zacząłem wypakowywać z plecaka koc, który służył mi za posłanie, wiedziony nieprzyjemnym przeczuciem, że Bernard zaraz go przywłaszczy.

– Właśnie – ucieszył się książę. – Wcale nie zapomniałem, co mówiłeś o magicznych dziełach w twoich bagażach. Pokaż, co takiego przemycasz. Chcę wiedzieć, co twoim zdaniem wystarczy, aby karczmarz narobił w gacie ze strachu.

„Właściwie co mi szkodzi – pomyślałem. – Przecież teraz Bernie i tak mnie nie okradnie. Zważywszy na lata doświadczenia, może powie mi coś ciekawego”.

Wyciągnąłem kolejno obydwie składane domy i Rydwan.

Bernard stęzał. Miałem chwilę satysfakcji, kiedy jego palce chciwie przebiegały po symbolach rodu d'Argent, a oczy płonęły jak świece.

„I jak – chciałem zapytać – czy to zrobiło na tobie wystarczająco silne wrażenie?”.

– Królewska magiczna księga – powiedział wreszcie. – Oddałbym kończynę, żeby się dowiedzieć, jakie tajemnice skrywa pod pieczęcią. A gdzie zgubiłeś króla?

Wskazałem na usta. Westchnął, pokręcił głową. Chwilę później odnowiliśmy więź.



„Królewna znajduje się dokładnie tam, gdzie moja narieczona – odparłem – a przynajmniej tak podejrzewam. Myślę, że właśnie zyskałeś dość dobry powód, aby zabrać się do ratowania obydwu. Ale to nie jest księga”.

– A co takiego?

– „Składany Rydwan. – I pokrótce omówiłem działanie wszystkich trzech przedmiotów, wyjaśniając równocześnie, że zepsuły się po przejściu na Drugą Stronę Świata. – Oprócz tego tutaj. To składany dom Lucjusza. Sądzę, że wszystko z nim w porządku, ale nie znam hasła”.

– Lucjusza? – zdumiał się Bernard. – Nadwornego Maga, Geniusza z Arborii? Tego Lucjusza? Czyli jednak jesteś z nim spokrewniony. De Branche d’Aure, jak mówiłem.

„Bardzo daleko. – Nie miałem ochoty znowu wyklócać się z księciem o moje szlachectwo, a raczej jego brak. – Mielibyśmy całkiem wygodny nocleg, gdyby udało się uruchomić dom. Ale nie potrafię wpaść na żaden dobry pomysł. Użyliśmy hasel fabrycznych, wzywałem Pustkę, kazałem po prostu, żeby się otworzył, niestety, wszystko na nic”.

– Czy próbowałaś melodii?

„Melodii? Dlaczego? Nie”.

– Znałem Lucjusza d’Aure – oświadczył Bernard. – Pogłoski o jego geniuszu nie są przesadzone. Był człowiekiem wielkiego formatu, w pełni świadomym swojej wielkości. Targały nim również wielkie pasje, więc w trudnych chwilach koił nerwy muzyką. Utrzymywał orkiestrę trubadurów wyłącznie na swój użytek. Wprowadził nawet hymn narodowy. Królestwo Bretanii nie miało wcześniej czegoś takiego jak hymn.

„Nie wpadłbym na to. Znakomity pomysł, Bernie. Spróbuj z hymnem”.

Idąc za moimi wskazówkami, książę Bernard położył mahoniowy kuferek na trawie, zainwestował kilka kwantów mocy (albo i całą jednostkę – nie byłem pewien, ile pochłaniają starsze modele) i zaczął nucić dziwnie znajomą melodię. Narodowy hymn Królestwa Bretanii okazał się najbardziej chwytliwym motywem z *Tragicznej historii Mordreda*, nieco zapomnianej i wyjątkowo kiczowatej opery z czasów wczesnego postneogotyku. Sztuka przedstawiała biografię księcia w wersji bardziej zbliżonej do prawdy historycznej niż *Saga*

o *Glorionie*. Starożytnego Maga Pustki (libretto opery starannie unikało określenia, jakim rodzajem maga był Mordred) osadzono nie w roli łotra, a niezrozumianego przez świat bohatera. Pokręciłem głową, rozbawiony megalomanią mojego sławnego kuzyna.

I rzeczywiście, skrzynka po chwili zaczęła lśnić, pęcznieć i rozwijać się na wilgotnej trawie. Bernard przezornie odskoczył na bezpieczną odległość. Z zachwytem obserwował, jak materializują się malowane na czarno ściany, rzeźbione gzymsy, okienka wyposażone w spiczaste frontony, a na domiar wszystkiego – kamienne gargulce nad wejściową arkadą. Wkrótce przed nami stał nieduży postneogotycki domek, który pod względem stylu i przeciążenia ozdobami bardzo przypominał fryzurę mojej szefowej.

– Przepiękny! – Bernard zaczął bić brawo. – Ale, ale, młody człowieku. Czy on nie będzie pachniał dwustuletnią warstwą kurzu?

„Spokojnie. – Roześmiałem się. – Składane domy hibernują. W środku nie upłynęła nawet sekunda. Zastaniemy go dokładnie w takim stanie, w jakim Lucjusz go spakował. Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że lubił porządek, bo naprawdę nie chcę teraz sprzątać”.

\* \* \*

Niestety, okazało się, że była to pierwsza rzecz, którą należało zrobić. Po przekroczeniu progu zobaczyliśmy pośrodku salonu zwiniętą w kłębek ludzką sylwetkę.

Należy wam się odrobina wyjaśnienia. Składane domy Arte Benare nie mogą się zamknąć z żywym człowiekiem lub zwierzęciem w środku, a przynajmniej z takim wyposażonym w mózg bardziej skomplikowany niż u owadów. Stąd we wszystkich modelach wprowadzono runy przeciwko myszom i kretom. Jeżeli dom zużyje kwanty, a nie będzie w stanie złożyć się zupełnie, zacznie zwijać się tylko częściowo. Znikną niektóre ściany, zminiaturyzują się schody, niektóre meble staną się płaskie – uwierzcie, wygląda to jak jedna wielka katastrofa. Później trzeba dom kilkukrotnie składać i rozkładać, żeby wreszcie przyjął prawidłową konfigurację. Opierając się na własnych domysłach, uważałem, że produkty Arte Benare mają wbudowane zabezpieczenia, ponieważ opierają się na

tej samej zasadzie co sztuka teleportacji (rzeczywistego mechanizmu nie znałem – tajemnica firmy).

Jak wiecie, nie da się teleportować ludzi ani żywych zwierząt, ponieważ teleportowany przedmiot zostaje w rzeczywistości rozłożony magią Entropii na cząsteczki, zapisany w kryształowej matrycy magią Przywołań i wreszcie odtworzony w pierwotnej postaci magią Creo. Nie można zatrzymać w ten sposób w czasie ludzkiego ani zwierzęcego mózgu, który musi bez przerwy pracować i się zmieniać. Przynajmniej jeśli chodzi o kręgowce, bo owady, jak się okazuje, nieźle znoszą chwilowe odmóżdzenie.

Wiedziałem zatem, że widzę przed sobą trupa. Albo zginął, bo pierwszym wersjom domów brakowało zabezpieczeń (oby nie), albo był martwy już wcześniej.

„Bernard – jęknąłem. – Nie mam siły. Kimkolwiek on był, cokolwiek mu się stało, nie obchodzi mnie to. Wyrzucić go za drzwi”.

– Mnie każesz wyrzucać? Przecież ten człowiek jest cały zakrwawiony. – Książę obrócił zwłoki butem. – Swoją drogą, młody chłopak...

„Podobno Lucjusz zniknął z Arborii wraz z uczniem – odparłem. – Dobrze już. Wynieśmy go razem”.

Chłopak zginął od wielokrotnie zadanych ran kłutych. Odkrycie wydawało się tym bardziej makabryczne, że ciało jeszcze nie zdołało zeszytnieć i nadal sączyła się z niego krew. Zgon musiał nastąpić w minutach poprzedzających zamknięcie domu. Może i dobrze, że byłem zmęczony, zubożniały i ledwo rejestrowałem grozę tego, co zdarzyło się w domku. Bo raczej nie miałem wątpliwości, że nie doszło do żadnego wypadku, żadnego nieostrożnego użycia magii albo automagicznego narzędzia. Uczeń Lucjusza (o ile to był on) został brutalnie zamordowany. A następnie jego mistrz ukrył ciało i bez dalszych ceregieli wyruszył w podróż do Bretanii.

„Właśnie straciłem szacunek dla mojego kuzyna” – zakomunikowałem Bernardowi.

– Dlaczego? – Wzruszył ramionami. – Z powodu jednego trupa? Jestem przekonany, że kto jak kto, ale Lucjusz Wielki miał swoje powody.

„Może tego nie rozumiesz, ale zapewniam cię, że morderstwo to coś bardzo niearboriańskiego. Nawet w afekcie, a to na takie wygląda. Biedny chłopak”.

– Pasja potrafi doprowadzić mężczyznę do gwałtownych czynów – zachnął się Bernard. – Jesteś miękki jak kacuszka. Poza tym ten człowiek zginął ponad dwieście lat temu, na pewno już nikt go nie oplakuje.

Czekał nas jeszcze przykry obowiązek pochowania nieboszczyka, ale postanowiłem zająć się nim później. Jedyne, na co jeszcze miałem siłę, to przykrycie krwawych plam obrusem naprędce ściągniętym ze stołu w salonie. Później, ślaniając się na nogach, znalazłem pierwszą lepszą sypialnię, gdzie zastałem szerokie łóżko zaścielone satynowymi prześcieradłami i prawdziwy materac na sprężynach zamiast siennika. Pościel była używana, ale nieszczęśliwie się tym przejąłem. Z wielkim trudem, bo oczy same mi się zamykały, rozebrałem się i wgramoliłem pod rozkosznie miękką puchową kołdrę. Moja głowa zapadła się w poduszce.

I już.

\* \* \*

Coś miarowo uderzało mnie w czoło. Lekko, acz zdecydowanie. Obróciłem się na drugi bok i zakryłem głowę kołdrą.

– Spadaj, kocie. – A przynajmniej to chciałem powiedzieć, ale z moich ust wydobyło się kilka nieskoordynowanych sylab. Po chwili poczułem, że ktoś potrząsa mnie za ramię, i resztki snu rozwiały się jak mgła. Westchnąłem głęboko, gdy wróciły mi świadomość i pamięć. Witajmy w Utraconej Bretanii.

– Vincencie!

– Tak? – Wynurzyłem twarz spod kołdry.

Księżę Bernard spoglądał na mnie z pogardą.

– Ileż będziesz spać, na litość Wędrowca! Jeśli znajdzie nas pogoń, pośpisz sobie w Zaświatach.

Z przyzwyczajenia nawiązałem kontakt mentalny.

„Która godzina?”.

– Skąd mam wiedzieć? Słońce już zaszło. Plama krwi na podłodze zdążyła zaschnąć i, na Pustkę, umieram z głodu!

„Nie odkryłeś żadnych zapasów w kuchni?”.

– Czy ja wyglądam na kucharkę? Wstałem niedawno i znalazłem wspinałkę księgi, więc zabijałem czas studiowaniem, czekając, aż się obudzisz.

„Ustalmy coś, mości książę. – Powoli zwlekałem się z łóżka. – Masz ręczki i nóżki, umiesz sobie poradzić, gdy nie znajdziesz mnie w pobliżu. Potrafisz gotować, ale bez uprzejmego traktowania będę robić to tylko dla siebie. Nie jesteś moją szefową”.

– Potrafisz gotować? – W głosie księcia pobrzmiwała kpina. – Takie zajęcie...

„Nie przystoi prawdziwym mężczyznom ani szlachcicom, więc w okolicznościach, które tego wymagają, powinni się położyć i zagłodzić na śmierć. Założmy, że jako Mag Pustki jestem człowiekiem o przynajmniej równie wysokim statusie jak ty. Z szacunku dla twojego wieku mogę wykonywać trudniejsze prace, ale spróbuj włożyć chociaż odrobinę własnego wysiłku”.

– Trudniejsze prace? – prychnął Bernard. – Spójrz na siebie, skóra i kości. Gdyby nie Źródło, byłbyś obłożnie chory.

„Sam więc przyznajesz, że powinniśmy po równo rozkładać obowiązki”.

Uważałem, że jakoś się nam ułoży. Odkąd skończyłem szesnaście lat, wynajmowałem pokój w Avalonie i zanim zamieszkałem z Amandine, miewałem rozmaitych współlokatorów. Żaden z nich nie był sędziwym feudalnym księciem – czarodziejem uznającym ścinanie krewnych oraz morderstwa w afekcie za coś zupełnie naturalnego, ale zdarzały się trudne okazy i z każdym jakoś w końcu dochodziłem do porozumienia.

Bernard okazał się do tego stopnia beużyteczny, że nawet nie sprawdził, gdzie jest łazienka. Poniekąd dlatego, że nie przyszło mu do głowy szukać jej w takiej małej chatce, wyszedł więc na zewnątrz i uznał sprawę za załatwioną. Postanowiłem spokojnie, we własnym tempie skatalogować stan inwentarza.

Pokój, który wybrałem, okazał się bez wątpienia sypialnią mistrza, czyli Lucjusza. Trochę mną wstrząsnęło, że przez kilkanaście godzin spałem słodko jak niemowlę w łożu mordercy, ale w gruncie rzeczy było to bardzo wygodne łóżko. Znalazłem też w jego szafie ręczniki, zapasową pościel oraz całkiem sporo odzieży w moim rozmiarze. Po namyśle zdecydowałem się jednak włożyć czystą

Inianą koszulę od wdowy Solange i wczorajsze zabłocone spodnie. Wcale nie uśmiechało mi się noszenie ubrań po Wielkim Magu, a poza tym pamiętałem, że musimy jeszcze pochować nieboszczyka.

Rozejrzałem się po domu.

Wczesny model Arte Benare nie miał licznych funkcji, którymi dysponowała willa Margueritte. Szybko znalazłem łazienkę z ciepłą wodą, klozetem i metalową wanną na staroświeckich lwich nóżkach, lecz na próżno szukałem run sprzątających. Kuchnię wyposażono w piec opalany węglem i chłodną szafkę, ale poza tym żadnej automagii. Podobnie z pralnią – dysponowałem bieżącą wodą... oraz balią z odpływem, tarką i ręczną pralką z drewnianym bębnem. Odkryłem też, uwaga, automagiczne szkandele zamiast centralnego ogrzewania. Nie zainstalowano go chyba tylko z braku inwencji twórczej, bo przecież sama technologia run grzewczych jest niezwykle prosta w zastosowaniu. W domku natomiast znajdował się trzyosobowy pokój dla służby. Pominąwszy, rzecz jasna, sypialnię mistrza, ucznia i gościnną. Tę ostatnią – niemal równie luksusową jak pokój Lucjusza – zajął Bernie.

Ogarnąłem dom i siebie. Wydobyłem ze spiżarki świeży dwustuletni chleb, masło, nieco równie przedwiecznych jajek i pomidorów; ciekawe, czy właśnie pożerałem wymarłą odmianę, za którą nasi ogrodnicy zapłaciliby grube pieniądze. Bernard jeszcze nie przyszedł na śniadanie, chociaż wcześniej narzekał na głód. Utknął w łazience, którą mu pokazałem, przezornie najpierw z niej skorzystawszy. Zdążyłem zjeść, posprzątać i rzucić urok czyszczący na płamę krwi w salonie, żeby się trochę zmacerowała przed myciem, kiedy moim oczom objawił się szanowny pan książę.

Bernie w pełni skorzystał z arboriańskich wygód. Znalazł najwymyślniejszą koszulę z żabotem i chyba przefarbował ją na lawendowo jakimś zaklęciem, bo nie pamiętałem odzieży w tej barwie z szafy Lucjusza. Zamiast ciasnych spodni, które były w modzie w Arborii dwieście lat temu, włożył dół od piżamy w kolorze zmienionym na ciemny fiolet. Naoliwił włosy i brodę, skropił się chyba wszystkimi pachnidłami, jakie znalazł na półkach, i nie zapomniał o kilogramie złotej biżuterii, którą zabrał z Montreuil.

– Nie śmieję się, chłopcze – obruszył się książę – tylko się ucz. Czarodziej o twojej pozycji winien całemu światu ogłaszać status i potęgę, jaką reprezentuje.

Nie pozwolę, abyś ubierał się jak wieśniak. Łap.

W moich rękach wylądował solidny pakunek.

– Królewscy magowie chodzą w czerni i złocie – pouczył mnie Bernard. – Niestety, nie wiem, gdzie Lucjusz Wielki trzymał swoje złote pierścienie i łańcuchy; zapewne wszystkie kosztowności zabrał ze sobą na zamek.

„Nie włożę tego teraz – zaprotestowałem. Czarny przyodziewek wyglądał nieco żałobnie, ale do zaakceptowania. – Mamy trupa do pogrzebienia, pamiętasz?”.

Zaczynałem podejrzewać, kto w rzeczywistości będzie grzebał tego trupa.

– Przymierz chociaż płaszcz – nagabywał Bernard. – Przejdźmy do ubieralni. Koniecznie musisz coś zobaczyć.

Chwilę później stałem w garderobie, gdzie przysły Nadworny Mag gromadził odzież wyjściową: kurtki, obuwie i takie tam. I po raz pierwszy w życiu miałem okazję zobaczyć twarz Lucjusza Szalonego.

Portret wisiał nad lustrem. Przedstawiał szczupłego mężczyznę w średnim wieku, ciemnowłosego, o drapieżnych rysach twarzy. Obraz, rzecz jasna, namalowano ponad dwieście lat wcześniej, więc musiałem założyć, że trochę go zniekształca; oczy były za duże, zmarszczki wyprasowane na gładko. Malarz bardzo się starał, żeby oddać charakter modela, i nawet mu się udało – nieco wyniosłości i cynizmu, świdrujące, bystre spojrzenie. Popatrzyłem w lustro. Niepodobny. Może ledwo, ledwo. Pewnie dlatego, że mocno schudłem i wyraźnie było widać moje kości policzkowe. „Już wiem – pomyślałem – trochę przypomina wujka Gregory’ego”.

Zerknąłem na płaszcz. Czarny, obwiedziony złotą nicią, sto procent mrocznego postneogotyckiego poematu w kawałku garderoby. Ale zauważyłem coś jeszcze.

„Automagiczny – gwizdnąłem. – Ten płaszcz to osobisty akumulator”.

– Jak to? – Bernard najwyraźniej nie przyjrzał się podarunkowi. – Co to znaczy?

„Można w nim zgromadzić własne jednostki – wyjaśniłem. – Do późniejszego użytku. Tego się normalnie nie robi, bo magia wytworzona przez ludzi nie nadaje się do przechowywania, bardzo szybko wypacza się w skażenie. Oczywiście jeśli

ktos jest Magiem Pustki, nie ma z tym najmniejszego problemu. Wystarczy przetworzyć”.

Zarzućem płaszcz na ramiona, badając funkcje. W pełni sprawny, w dodatku całkowicie pusty. Może zapasowy. Na miejscu Lucjusza nie rozstawałbym się z takim cudeńkiem. Od razu zainwestowałem kilka jednostek. Żadnego hasła, żadnych zabezpieczeń, nic. W dodatku, sądząc po złotym wzorze na mankietach, nasycono go runami zbrojeniowymi i utrwalono, żeby chronić przed zniszczeniem.

„Zmieniłem zdanie. Zachowuję go”.

– Tak sobie myślałem, że Wielki Mag nie chadza w ostatniej odzieży. – Bernard pokiwał głową. – Szkoda, że nie przyjrzałem mu się uważniej. Hmm... nawet przypominasz Lucjusza, chłopcze. Macie podobną sylwetkę i gestykulację. Inny kolor włosów oczywiście, a jeśli chodzi o rysy... Cóż, tam gdzie u Lucjusza widać twardość, u ciebie znać miękkość, gdzie on był ostry, ty jesteś...

„Daruj sobie”.

Zaniepokoiły mnie jego porównania – bardziej niż przypuszczałem. Nie chciałem się uważać za podobnego do mojego dalekiego kuzyna, megalomana i mordercy. Nagle odczułem ciężar płaszcza na ramionach. Liczył się każdy przedmiot magiczny, który zbliżył mnie do ocalenia Amandine, każdy sojusznik, którego mogłem zdobyć. Pytanie, kogo trzeba odgrywać, kim się stać, aby zrobić wrażenie na Bretańczykach. Wydawali się mieć bardzo sprecyzowane poglądy na to, jak powinien się zachowywać Wielki Mag. A może to tylko opinie Berniego? Ma już swoje lata. Może coś się w tym czasie w Bretanii zmieniło.

Poszedłem wreszcie zakopać tego trupa.

\* \* \*

Dalsza podróż upłynęła spokojnie. Okazało się, że podjąłem dobrą decyzję, ignorując Bernarda i cumując w sitowiu przed wsią. Niedługo po tym, jak ruszyliśmy w drogę, zauważyliśmy smugi gęstego dymu wzbijające się ku niebu. Widocznie ludziom, którzy znali księcia, wcale nie tak trudno było przejrzeć jego zamiary.



Płynęliśmy tak długo, jak tylko daliśmy radę, posilając się zapasami zabranymi z domu. Poruszaliśmy się nocą, a dom rozkładaliśmy na polach, więc zastanawiałem się nad szczęściem, które sprawiło, że nie przepędził nas żaden gospodarz. Dopiero po jakimś czasie mnie uderzyło, że zaznajomiony ze składanymi domami straciłem perspektywę i zapomniałem, że w gruncie rzeczy turystyczna willa Lucjusza wygląda dość upiornie, zwłaszcza że pojawia się nagle i jakby znikąd.

Jak się później okazało, nasza podróż dała początek nowej bretańskiej legendzie o chacie wiedźmy, przemieszczającej się nocą wzdłuż brzegu wielkimi skokami na kurzej łapce.

Tymczasem zaznajomiłem się z pracownią Lucjusza i dokonałem kilku ważnych odkryć.

Otóż Nadworny Mag interesował się Utraconą Bretanią znacznie wcześniej, zanim otrzymał ofertę pracy od Trzeciej Wyroczni. Jego półki ugięły się od literatury; niektóre unikatowe tomy wypożyczono z biblioteki na wieczne nieoddanie. Tej obsesji dorównywały studia nad Cesarstwem – jego ustrojem politycznym i wszelkich zaginionych cudach, włącznie ze starożytną magią. Część badań musiała mu zlecić Gildia, ale na pewno drążył temat z własnej inicjatywy. Zwłaszcza że niewiele tej wiedzy trafiło w końcu do Arcymaga.

Notatek Lucjusza nie dało się odcyfrować. Do osobistych zapisków używał czcionki teutońskiej – niewątpliwie właśnie w tym celu – a niestaranny charakter pisma tylko pogarszał sprawę. Zachowały się jednak źródła oraz dokumenty i z nich uzyskałem pewną szokującą informację.

Lucjusz Thorpe miał udziały w Arte Benare.

Co więcej, wszystko wskazywało na to, że przez pewien czas pracował u nich jako specjalista. Potajemnie, inaczej zapewne firma by zbankrutowała. Magowie Pustki wciąż nie cieszą się dobrą opinią w Arborii, a co dopiero dwieście lat temu.

Czy to znaczy, że produkty firmy w całości oparto na runach Pustki? Niemożliwe – nowe przedmioty wciąż powstawały, poprawiano technologię, a następcą Lucjusza nie pojawił się przez ostatnie dwieście lat. Czy jeszcze gdzieś

w Bretanii znajdują się późniejsze zapiski Wielkiego Maga? Na pewno. Czy gdybym znalazł odpowiedni algorytm, mógłbym naprawić składany dom Meg?

Wiosłując energicznie, zastanawiałem się, jak zdobyć tę wiedzę, kiedy w oddali nad rzeką ukazał się zamek Blanche Neige, siedziba pani de Spinel.

\* \* \*

– Bądź uprzejmy – poinstruował mnie książę Bernard. – Musisz się przygotować na widok, jaki zastaniesz w środku. Nie jest przyjemny.

Dwóch parobków, nie wpytując nas o tożsamość ani cel podróży, przyprowadziło dla nas konie z portowej gospody. Zarówno wierzchowce, jak i dyskrecję, ma się rozumieć, Bernie kupił. Nasz posłaniec popędził, ile sił w kopytach, do Blanche Neige, my wlekliśmy się noga za nogą. Jak rozumiałem, znowu chodziło o zademonstrowanie szlacheckiej godności osobistej.

Popatrzyłem na księcia pytająco.

– Księżna Blanche de Spinel była kiedyś najpiękniejszą damą tych ziem – westchnął Bernie. – Niejeden smalił do niej cholewki. Również jej mądrość sławiono w całym kraju. Nawet jej potomkowie szanowali ją i miłowali, dlatego gdy ją obalono, zamiast do lochu zesłano ją tutaj, do Blanche Neige. Wspominałem już, że mądrość Blanche de Spinel nie ma sobie równych?

„Tak, ale co to...”.

– Założyła pewną enklawę. – Oczy Bernarda zabłyśły. – Dla czarodziejów, o czym wszyscy wiedzą, oraz dla magicznych dzieł, o czym już nikt nie wie, inaczej dawno miałyby na karku plagę spadkobierców, kapłanów, poborców podatków i innych pasożytów. Planowałem przenieść się tutaj, gdy już stracę siły do władania księstwem.

Przez chwilę rozważałem jego słowa.

„Dom spokojnej starości dla niesamodzielných magów?”.

– Mówiłem, że widok może tobą wstrząsnąć – odparł Bernard i pogonił wierzchowca.

Otwarto przed nami zwodzony most i niedługo potem stanęliśmy przed wrotami.

W przeciwieństwie do Montreuil Blanche Neige był niewielkim, przyjemnym zameczkiem, w całości białym, przysadzystym i skromnym. Zbudowano go już po Rozdarciu i upadku bretańskiej cywilizacji; nie zauważyłem żadnej architektury wspomaganej magią, żadnego szarego kamienia ani nawet resztki cesarskiej drogi. Nie przewyższał rozmiarami dworku Margueritte de Breville, miał za to solidne mury i fosę i podejrzewałem, że mimo delikatnego wyglądu wytrzymałby niejedno oblężenie, ale pierwotnie musiano go zbudować w celach wypoczynkowych.

Bernard oddał konia stajennym i tak przyspieszył, że z trudem za nim nadązałem. Po chwili staliśmy już w westybulu, a wokół nas kręcili się wyjątkowo powolni służący, z których najmłodszy liczył sobie chyba z sześćdziesiąt lat. Dlaczego nie zatrudniono innych? Chciałem zadać to pytanie księciu, ale zrezygnowałem; traktował służbę jak meble i nie byłem pewien, czy w ogóle zarejestrował ich obecność. Zamiast tego oglądałem stiuki i płaskorzeźby w stylu cesarskim – realistyczne, chłodne, wyrzeźbione z jasnego marmuru. Wszystkie zakurzone do granic możliwości, podobnie jak cały przedsiónek. Najwidoczniej sprzątaczkę też nie dawały sobie rady ze starości. Albo, co bardziej prawdopodobne, pani domu nie miała u nich żadnego autorytetu i nie potrafiła wymóc starannej – czy też jakiegokolwiek – pracy.

Gdzieś w oddali rozległ się przenikliwy, upiorny chichot.

– Jeden z nich. Są na kolacji – mruknął Bernard. – Ale nie myśl, że unikniesz spotkania. Proszę, proszę, oto i nasza gospodyni.

W naszą stronę powoli i dostojnie sunęła kobieta na wózku popychanym przez chudą, mniej więcej osiemdziesięcioletnią pokojówkę. Suknię księżnej, w barwach błękitu i ciemnego różu, uszyto chyba specjalnie po to, aby dobrze prezentowała się na siedząco, wdzięcznie okalała wózek i nie wkręcała w kółka. Przez kilkanaście lat używania straciła już jednak splendor; poznikała większość zdobiących ją kamieni szlachetnych (zapewne przy czynnym współudziale służby), a barwy zblakły. Jej właścicielka, lady de Spinel, przypominała mi Bernarda sprzed reaktywacji Źródła. Jeśli to w ogóle możliwe, robiła wrażenie jeszcze starszej. Całym ciałem opierała się o wózek i z początku wydawało mi się, że śpi i nie zdaje sobie sprawy z naszej obecności. Ale kiedy znalazła się już

bardzo blisko, uniosła głowę. Pokojówka usłużnie podała jej okulary o zielono zabarwionych szklach.

– Drogi Bernard – powiedziała wreszcie po chwili milczenia, która wydawała się wiecznością. – Ostatni z nas. W złej chwili przybywasz do Blanche Neige.

– Kochana Blanche. – Księżę uklonił się szarmancko i ucałował ją w dłoń.  
– Przeciwnie, czasy nie mogłyby być lepsze.

– Cieszę się, że dopisuje ci zdrowie. – Pani de Spinel zakasłała i znów zamilkła, zbierając słowa. – Możesz zginąć, broniąc zamku, gdy zaczniesz go oblegać hrabia Trevancel. Miejmy nadzieję, że nie zbroczy w stronę mojej enklawy i da nam zgasnąć w spokoju. Nic tu po nim. Wystarczy, że księstwo płonie.

– Ten chytry lis Renard! – wykrzyknął z oburzeniem Bernie.

– Ten sam. Kim jest twój chudy towarzysz? Wzrok mam już słaby. Chodzi w czerni jak żałobnik albo sama śmierć. Widzisz go? Może przyszedł po mnie.

– Moja droga – roześmiał się Bernard – młodzian, który przed tobą stoi, jest równie pełen życia jak ja. Pozwolisz, że przedstawię pana Vincenta. Pochodzi z rodu, który pragnę na razie utrzymać w tajemnicy ze względu na twoje słabe serce. Każ pokojowej przygotować sole trzeźwiące.

– Ze wszystkich rzeczy – westchnęła Blanche. – moje serce zawsze było najsilniejsze.

Podawała mi do ucałowania upierścienioną dłoń w siatkowej rękawiczce. Ukloniłem się i ująłem ją posłusznie. Czułem, że otwarte demonstrowanie magii może wyprowadzić z równowagi nie tylko panią de Spinel. Może miała mocne serce, ale co z jej pokojówką? Bardzo ostrożnie podjąłem próbę kontaktu poprzez kanały energetyczne.

Jej oczy napotkały moje.

Przez bardzo krótką, ulotną chwilę zobaczyłem, jak wyglądała i kim była kilkadziesiąt lat temu. Belinde miałyby godną rywalkę na salonach.

„Milady...”

– Czyli jednak śnię – szepnęła de Spinel. – A ty chyba naprawdę przybyłeś, aby mnie stąd zabrać. Przekonajmy się. Przekaż mi moc.

Zawahałem się przez moment – niepewny, jakiego demona tym razem wypuszczam z pudełka – ale przelałem kilka jednostek i uprzejmie zerwałem kontakt. Wpatrywała się we mnie zza zielonych okularów, jakby nagle zobaczyła mnie wyraźniej.

– Późno, bardzo późno – wymruczała. – Ale kto wie, może wystarczy?

\* \* \*

Mieszkało ich tutaj kilkunastu, cała gerontokracja Utraconej Bretanii. Zasiedli właśnie do stołu i spożywali wieczerzę; jedni samodzielnie, innym pomagała służba. Chodziłem od krzesła do krzesła i każdemu przekazywałem energię, każdego karmiłem odrobiną własnego, buzującego jasnym ogniem Źródła. Wszystkich po kolei przedstawiała mi księżna Blancheflor, czasem korzystając z pomocy pokojówki, gdy w rozpoznaniu domownika przeszkadzał jej słaby wzrok. Dość oględnie informowała mnie też o ich kondycji – nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że robi to ze złośliwości wobec Bernarda, który przypatrywał się swoim rówieśnikom z wyraźną grozą. Poznałem zatem barona de Lazurite z demencją starczą i księżną d’Opal po dwóch zawałach, diuka de Rubis ze złamanym biodrem i pozostałych zdetrонizowanych władców, mniej lub bardziej dotkniętych rozmaitymi dolegliwościami, bezzębnymi, cierpiącymi na artretyzm i puchlinę wodną. Kilkoro było młodszych – biologicznie około siedemdziesiątki – i pod względem fizycznym w dobrym zdrowiu. Tych znowu, jak wyjaśniła de Spinel, dręczyła wieloletnia melancholia wywołana zgaśnięciem Źródła. Przypadłość, która dotykała niemal każdego czarodzieja po utracie mocy, u nich ujawniała się z największą siłą. Jak się okazało, Bernard rzeczywiście był szczęściarzem, który skorzystał z wrodzonej długowieczności.

Przygnębiło mnie to wszystko. Początkowo odnosiłem wrażenie, że powinienem chodzić na palcach, starając się nawet nie oddychać zbyt głośno z obawy, że coś im się stanie. Jakiś czas później, gdy przyzwyczailem się już nieco do towarzystwa starszusków, zorientowałem się, że atmosfera przy stole wcale nie jest grobowa. Bynajmniej.

Wino lało się wartkim strumieniem, podczas gdy wokół krążyły zaniepokojone pokojówki, bezskutecznie usiłując kontrolować jego spożycie. Melancholicy rzeczywiście zapijali smutek, ale reszta biesiadników piła z ukontentowaniem,

choć zamiast o pogodzie częściej rozmawiano o chorobach. Komu zdrowie lub sumienie pozwalało, raczył się serwowanymi przez kuchnię pieczeniami, ciastami i słodkimi leguminami. Wszystko było bardzo miękkie, kruche i w najlepszym gatunku; nie przejmowano się kolejnością podawania potraw.

Poszły także w zapomnienie dworskie maniery i jakiegokolwiek pozory ogłady. Na końcu stołu czwórka biesiadników płci mieszanej bezwstydnie rznąła w karty. Schorowana księżna d'Opal, ubrana w suknię z głębokim dekoltem, otwarcie przytulała się do hrabiego d'Emeraude. Baron de Lazurite niewiele kontaktował, ale rozumiał, że trwa uczta, więc przez cały czas usiłował zainicjować nowy toast, który natychmiast sam spełniał. Staruszek, którego nie zapamiętałem, poszedł wysiusiać się za kotarą i wrócił pić dalej. Choć nie dopisywało im zdrowie, w Blanche Neige czuli się u siebie i robili to, na co mieli ochotę.

Trochę zrewidowałem swoją opinię o służących. W rzeczywistości całkiem nieźle dawali sobie radę, ale cała ich energia koncentrowała się na obsłudze arystokratów. Dla utrzymania idealnego porządku księżna de Spinel musiałyby ich zatrudnić dwukrotnie więcej; właściwie zwykle zajmował się tym majordomus. Wszystko wskazywało na to, że Blancheflor z rozmysłem zabroniła brać nowych ludzi do pracy. Nie rozumiałem tego, dopóki Bernard wreszcie jej o to nie zapytał.

– Ci, których zawodzi pamięć, bardzo się denerwują przy jakichkolwiek zmianach – odparła. – Lepiej zbyt często nie sprzątać ani nie zmieniać posługaczy. Zabrałam swoją służbę z Chaumont, kilkoro najęto w pobliżu; nic nie stoi na przeszkodzie, aby starzeli się razem z nami i pracowali, dopóki starczy im sił. Czasami Marchand dobiera kogoś nowego, ale zdarzyło się już kilka ucieczek. Trudno im się dostosować. A ja wolę, aby zbyt wielu ludzi nie miało okazji zapoznać się z sekretami zamku.

– Jak uważasz, moja droga – powiedział Bernard. – Czuję się lepiej, wiedząc, że owe sekrety są tutaj bezpieczne, chociaż przykryte kurzem.

– A co ty, Wielki Magu, sądzisz o mojej cichej przystani? Nic nie mówisz. Czyżby uraził cię widok tego, co kiedyś czeka wszystkich śmiertelnych?

– Nie – powiedziałem cicho i wskazałem na usta.

– Możesz z nim porozmawiać tylko przez więź. – Bernard wzruszył ramionami. – O ile cię ta praktyka nie razi. Chorował na krwawicę. Nie roznosi zarazy, ale jest niemy, chromy, miękkiego serca i potrafi spać przez cały dzień. Doskonale tutaj pasuje.

– Cieszę się w takim razie, że go znalazłeś, Bernardzie. – Blancheflor zerknęła na księcia znad okularów. – Bez ciebie niewątpliwie by zginął.

Nie zdążyłem się oburzyć, ponieważ księżna d’Opal gromkim głosem wzniosła toast:

– Za Wielkiego Maga! Za nasze Źródła!

– Za Źródła! Jutro odbijemy Bretanię! – zawtórował jej diuk de Rubis.

– Nikczemnicy będą płonąć, płonąć, płonąć – wymamrotał mściwie baron de Lazurite. Nawet jemu udało się wchłonąć nieco energii i odnowić przygasłą moc. Na Pustkę, co ja takiego zrobiłem? Do jakiego stopnia Źródła ożywią ich ciała? Założmy, że nie będą mieli dość sił, żeby się ruszyć z zamku...

– Eloise! – Blancheflor klasnęła lekko. – Przynieś wina z Roku Smoka. Dziś wieczorem świętujemy powrót magii! Wiwat Bernard de Branche d’Amethyste! Wiwat jego Wielki Mag!

Kładłem się spać, zastanawiając się, czy aby na pewno postąpiłem właściwie.

\* \* \*

W środku nocy obudził mnie senny koszmar. Nie potrafiłem sobie dokładnie przypomnieć jego treści, ale majaczyły mi dwa walczące smoki splecione w śmiertelnym kłinczu, jeden czarno-złoty, drugi białobłękitny. Poprzez zgiełk bitwy dobiegał do mnie cichy szept Trzeciej Wyroczni. Nie rozpoznawałem słów.

Bez tchu usiadłem na łóżku. Nie umiałem stwierdzić, czy sen rzeczywiście pochodził od Skuld, czy wyklął się w głębinach mojej własnej podświadomości. Rozgarnąłem zakurzone kotary ze złotogłowa. Gdzieś pod łóżkiem schowano nocnik.

Położyłem się z powrotem i chyba kwadrans bezskutecznie przewracałem się na łożu, zanim stwierdziłem, że nic z tego. Przez dobry tydzień spałem za dnia i podróżowałem przy świetle gwiazd, więc całkowicie się przestawiłem na nocny tryb życia. Pomyślałem nad tym przez chwilę i doszedłem do wniosku, że

powiniennem wykorzystać okazję do samodzielnego zwiedzenia zamku. W perspektywie nadawał się do obrabowania znacznie lepiej niż Montreuil. Przestałem wierzyć, że znajduję tutaj potężnych sojuszników, ale magiczne dzieła gdzieś tam jeszcze tkwiły.

Właśnie z myślą o Montreuil postanowiłem dokładnie przyjrzeć się ścianom. Zgodnie z zamkowymi standardami ocieplały je gęste, kunsztownie utkane arrasy. Zajrzałem pod każdy z nich – nic, tylko goły kamień. Wreszcie wcisnąłem się za łóżko.

I tutaj dokonałem odkrycia, którego się spodziewałem: moje palce trafiły na wyraźną szparę w kamieniu. Pomęczyłem się chwilę, aż wreszcie dałem radę przesunąć łożo o kilkanaście centymetrów. Jeszcze dyskretna lampka olejowa (Kuli Światła wolałem nie ryzykować, wśród tylu magów ktoś mógłby wyczuć moc) i wsunąłem się za fałszywą ścianę. Do dzieła. Zwiedzę przynajmniej jedno piętro tajemnych przejść Blanche Neige, a jeśli wystarczy mi siła, przejdę się po schodach.

Znajdowałem się na wysokości komnaty Bernarda, kiedy moją uwagę zwróciło światło sączące się z otworu w ukrytych drzwiach. I coś mnie podkuśiło, żeby przyjrzeć się im uważnie, otwierając się na obecność magii. Z trudem powstrzymałem się od gwizdnięcia.

Zaklęcie przeciwpodśluchowe.

Najpierw pomyślałem, że jeszcze nie upadłem na głowę, aby szpiegować dwoje starszków, którzy postanowili spędzić ze sobą nieco czasu. Później przypomniałem sobie, że nieszkodliwy, sędziwy Bernard aż się palił do odbicia własnego księstwa, a według miejskich plotek prowadził zaciąg do wojska w jemu tylko znanym celu, zanim jeszcze wrzucono go do lochu. Blancheflor nie wydawała się żywić równie morderczych zamiarów wobec całego świata, ale kto ją tam wie, może jeszcze nie odzyskała dość energii.

Ułożyłem dłonie w znak. Pracowałem u czarodziejki, która od lat wykonywała dyskretne misje dla Gildii, i jak się okazało – szpiegowała dla jej wewnętrznej organizacji. Na zaklęcia przeciwpodśluchowe istniały antyzaklęcia, zwłaszcza że rozpoznawałem wzór – banalnie prosty i w Arborii używany jedynie do ćwiczeń.



– ...trudno – rozpoznałem od razu głos Bernarda. – Nie możemy brać się za bary z księciem Trevancelem i jego Królewskim Smokiem, nawet jeśli wszyscy nasi czarodzieje będą gotowi za kilka dni, jak twierdzisz.

– Pamiętam, kiedy po raz pierwszy zgasły Źródła, Bernie – mówiła Blancheflor. – Jedyne dwadzieścia lat, a kraj pogrążył się w zupełnym chaosie. A teraz? Jak długo nam zajmie przywrócenie starego porządku? Jak najprędzej powinniśmy z powrotem skupić władzę w naszych rękach i zapewniam cię, że moi podopieczni wkrótce zaczną znacznie lepiej sobie radzić.

– Gdyby chodziło o samą królową, bo Magini to w oczywisty sposób fałszywka – mruknął Bernard – ale wiesz, jest jeszcze smok. Naprawdę wolałbym najpierw odzyskać Montreuil i odnowić listy zaciężne. Von Feuerstein nie mogła wykupić mi wszystkich kompanii. Nadal mamy chłopaka, a bez niego de Trevancel nie trzyma w rękę wszystkich kart przetargowych. Można poczekać, aż zderzy się z armią Płomienia i nieco wykrwawi oddziały. Trzeba tylko umiejętnie sterować Vincentem, aby przedwcześnie się nie dowiedział. Będzie chciał tam biec w podskokach.

– Sam i tak nic nie zdołała – odparła twardo księżna de Spinel. – Nawiasem mówiąc, dlaczego jest taki słaby? Czy gorączka wpłynęła też na jego zdolności magiczne?

– O ile mi wiadomo, naprawdę brak mu doświadczenia – wyjaśnił książę. – Rzeczywiście liczy sobie mniej więcej trzy dekady i dopiero niedawno doznał Przebudzenia. Wedle mojego osądu rzuca zaklęcia najdalej od trzech, czterech lat. Swoją drogą ma chłopak talent, całkiem niezłe mu idzie bez mowy i gestów. Poza tym charakter łagodny z natury, ima się niewieścich zajęć, ciągnie go do magii uzdrowicielskiej. Zdaje się, że bez protestów terminował u kobiety. Zrobi, co mu powiemy.

– Jaka miła odmiana po Lucjuszu – westchnęła Blancheflor.

Tymczasem ja w zaciszu tajemnego przejścia właśnie rewidowałem swoje pacyfistyczne nastawienie do życia. Nie jestem pewien, jak wysoko na skali zła sytuuje się chęć zamordowania dwójki starszków, ale podejrzewam, że całkiem, całkiem. Wziąłem głęboki oddech i ostrożnie wypuściłem powietrze z płuc.

Żadnego nadziewania ludzi na włócznie ani zakłęcia bojowe. Jak mówi Droga Czapli, kto pierwszy ucieka się do przemocy, już przegrał walkę.

Uprzejmie zapukałem do drzwi i jak gdyby nigdy nic wmaszerowałem do komnaty.

Siedzieli na łożu, obydwójce w koszulach nocnych i szlafrokach. Księżna zostawiła na nocnym stoliku zielone okulary; już wyglądała na odrobinę silniejszą. Niezłą satysfakcję sprawił mi widok zaskoczenia na twarzach obydwójga. Splotłem ręce. Słaby? Łagodny? Do dwóch nie umie zliczyć? Zapanowała pełna zakłopotania cisza.

– Ahem... – kaszlnęła księżna. – Młody człowieku... czy nie powinieneś pilnować manier?

Spiorunowałem ją wzrokiem.

– Wspaniale – ucieszył się Bernie. – Proszę, Blancheflor, widzisz, jaki bystry chłopak? Wiesz, może i jesteś łagodny, ale sprytu ci nie brakuje. Doskonale, rozszyfrowałeś nas. Naświetlę ci sytuację przy śniadaniu, wtedy zrozumiesz, że ta twoja księżniczka i kogo tam jeszcze szukasz znajdują się w bezpiecznym miejscu. Załatwimy sprawę na drodze dyplomatycznej. Teraz najważniejsze, aby odzyskać Montreuil.

Otworzyłem usta. Zamknąłem je. Policzki mi płonęły. Jak mu przekazać, że jestem wściekły, czuję się obrażony jego protekcyjnym traktowaniem? A przede wszystkim: skoro już mam być tym Wielkim Magiem, który próbuje wszystkiego, do cholery, aby ocalić własną narzeczoną i świat na dokładkę, to ja tutaj powinienem dowodzić?!

W Arborii panował pewien zwyczaj, nieco już zapomniany i zabroniony prawem, i zastanawiałem się, czy ten sam gest zostanie zrozumiany także w Bretanii.

Na nocnej szafce oprócz zielonych okularów księżnej leżały jej rękawiczki. Wziąłem jedną z nich, zwinąłem w kulkę i cisnąłem Bernardowi pod nogi.

Z namaszczeniem podniósł rękawiczkę. Oczy mu błyszczały.

– Na stare lata przyszło mi zapomnieć o nudzie – rzekł i uśmiechnął się z zachwytem. – Przyjmuję i wybieram rodzaj broni: magia. Do wyczerpania Źródła. Jak każe prastary zwyczaj, stawię się w samo południe.

Z powagą skinąłem głową.

\* \* \*

Wstał ranek. Słońce świeciło, ptaszki ćwierkały, a ja miałem poważny problem.

Wyobraźcie sobie wszystkich mistrzów Gildii zgromadzonych w jednym miejscu. No dobrze, niech będzie – wszystkich emerytowanych mistrzów Gildii, dotkniętych dolegliwościami podeszłego wieku, dwa razy bardziej zgryźliwych i przekonanych o własnej nieomyślności.

A teraz wyobraźcie sobie, że właśnie oficjalnie podważyliście władzę Arcymaga i wyzwaliście go na pojedynek.

Mniej więcej tak się czułem, kiedy zszedłem na śniadanie. Oczywiście Bernie to nie Weyland, pewnie po tak długim czasie nieużywania zaklęć części z nich zapomniał. Z drugiej strony jeśli pamiętał zasady, mógł uzupełnić wzory własnymi obliczeniami... Nie wiedziałem, do jakiego stopnia odzyskał władzę nad magią, ale pamiętałem, że moje Źródło rozwinęło się mniej więcej w ciągu tygodnia, i to od nowości. Wygaszone Źródła nie uległy całkowitej deaktywacji, inaczej moja moc nie wystarczyłaby do ich ponownego obudzenia. Założyłem więc, że zasób jednostek Bernarda znów odpowiada możliwościom każdego czarodzieja w jego wieku i z jego doświadczeniem. Jeżeli odejmiemy pięćdziesiąt pięć lat, aby uzyskać biologiczny wiek Berniego w chwili utraty mocy... i będziemy pamiętać, że proces starzenia się maga przebiega około pięciu razy wolniej...

Mógł mieć trzysta, a nawet czterysta jednostek. Mniej więcej tyle co Weyland.

Wystarczy, że pamięta repertuar pięciu, sześciu zaklęć, i jest w stanie rozerwać mnie na strzępy zwykłą przewagą siły.

Potrzebuje mnie. Poza tym bijemy się do wyczerpania Źródła, a nie na śmierć i życie. Ale książkę Bernard de Branche d'Amethyste to morderczy furiat. Kto wie, czy w ogniu walki się nie zapomni?

Starsi państwo przywitali mnie owacją na stojąco – przynajmniej ci, którzy mogli wstać. Już z daleka dostrzegłem, że chociaż w najbardziej chorych nie dokonała się gwałtowna transformacja, wszyscy wyglądali na silniejszych. Dało

się to poznać choćby po szybkości, z jaką jedli, i energii w gestach. Ci, którzy jeszcze wczoraj zamieszkiwali swój własny świat, mieli bardziej skupione spojrzenia. Nikt nie potrzebował karmienia łyżeczką. Służące, nieco przerażone zmianą, krążyły wokół nich na palcach.

Zapewne tylko czekali, żeby zacząć mną manipulować w celu odzyskania władzy nad swoimi księstwami, hrabstwami i baroniami, ale też docenili moją rolę w wielkiej zmianie, jakiej ulegli poprzedniego wieczoru. Nieco spięty maszerowałem wzdłuż stołu, na żadnym z biesiadników nie zatrzymując dłużej spojrzenia. Czarno-złoty płaszcz Lucjusza, który włożyłem dla zrobienia na nich większego wrażenia, lekko furkotał.

Musiałem wygrać ten pojedynek.

Jeśli tego nie zrobię, nigdy nie złączą traktować mnie poważnie. Każdy z nich miał więcej doświadczenia, a także arogancji i buty niż pięciu takich jak ja. Wystarczyło posłuchać Berniego. Zbliżyłem się do czterdziestki, więc nazywał mnie zdolnym chłopakiem. Jeśli nie zwyciężę w tej próbie sił, dowiem się o losie Amandine i pozostałych dziewczyn tylko tyle, ile księżę zechce mi powiedzieć. Pozostanę pionkiem i marionetką. „Kto podaruje ci armię? – pytała Solange. – Właśnie, ciekawe, kto?”.

Jaką przewagę miałem nad Bernardem?

Pomyślmy.

Bretańczycy nie stworzyli żadnego scentralizowanego systemu nauki magii. Żadnej akademickiej społeczności, która wymieniała między sobą wyniki i zaklęcia – mogłem się założyć, że zamek Blanche Neige był dla wielu czarodziejów pierwszym miejscem, gdzie mieszkali z sobie podobnymi – żadnych badań naukowych. Niczego nie rozwijali, tylko powielali sztukę swoich mistrzów, zazdrośnie strzegąc każdego szczegółu. Bernie wydawał się zaskoczony wszystkimi magicznymi przedmiotami, które miałem przy sobie, nawet płaszczem Lucjusza. Jego zaklęcie przeciwpodśluchowe opierało się na przestarzałych wzorach.

Bretańska magia była mniej zaawansowana.

Jeśli zaś chodzi o możliwości bojowe, nie wątpiłem, że może się okazać znacznie silniejsza. Nasi wojskowi magowie szlifowali tylko kilka zaklęć, za to

każde doprowadzali do perfekcji. Potrafiliby zawstydzić każdego czarodzieja akademickiego wykorzystaniem jednostek w przełożeniu na surową siłę. A ja doskonale sobie wyobrażałem relacje między szlachetnie urodzonymi sąsiadami w Bretanii. Podczas rządów czarodziejów królestwo nie spłonęło do szczętu tylko dlatego, że każdy trzymał w szachu drugiego, a największy terror stosował Triumwirat. Ale od czasu do czasu z pewnością szły w ruch kule ogniste. Musieli się też często pojedynkować, o czym świadczył błysk w oku Bernarda, gdy rzuciłem rękawiczkę.

Dobrze wiecie, jak u mnie było z zaklęciami bojowymi. Miałem trudności z ich używaniem, które nie wiązały się z brakiem wrodzonych zdolności, a raczej z problemem natury psychologicznej. Nie potrafiłem się na nie zdecydować, bo brakowało mi należytej kontroli. Nie kontrolowałem ich, ponieważ nie umiałem się na nie zdecydować. Ale gdybym tak przyjął na klatę – to znaczy na tarczę – pierwsze zaklęcie Bernarda, oceniłbym, ile siły mogę użyć, żeby zmęczyć przeciwnika, ale go nie zabić.

No i jeszcze jeden szczegół.

Doskonale pamiętałem, jak wchłonąłem zionięcie Liliany.

Nigdy tego nie powtórzyłem – na sali ćwiczeń brakowało mi odwagi, żeby dać w siebie cisnąć kulą ognistą Kat. Ale wiedziałem, że umiem przechwytywać, rozplatać i przetwarzać gotowe zaklęcia. Nie chciałem opierać strategii pojedynku na nieprzetestowanej zdolności, ale – kto wie? Może się uda.

Z roztargnieniem pochłonałem owsiankę i zabrałem się do przygotowań. W gruncie rzeczy ten problem nie różnił się od wielu innych, które rozwiązywaliśmy razem z Margueritte, tyle że tym razem szefowej nie było w pobliżu i to ja musiałem grać pierwsze skrzypce. A stawka, jak dla mnie, wydawała się dużo wyższa niż ryzyko zatonięcia w Pustce małego przygranicznego miasteczka.

\* \* \*

Trudno zrobić coś porządnie, kiedy ktoś cały czas patrzy ci przez ramię. Szkicowałem schematy zaklęć, więc co rusz do mojego pokoju wpadał jeden z domowników. W sumie odwiedziło mnie pięciu różnych czarodziejów, z czego

dwóch udawało, że szuka swojej komnaty, dwoje usiłowało mi opowiedzieć o własnych pojedynkach (równocześnie cały czas zerkając na moje wzory), a jeden krzepki staruszek, w którym rozpoznałem dotkniętego wcześniej melancholią barona de Tourquis, wszedł, wskazał palcem schemat tarczy ochronnej i skrytykował go od góry do dołu, nie pozostawiając na żadnym elemencie suchej nitki. Może i bym się przejął, ale i tak przecież nie używałem autorskiego zaklęcia, kopiowałem tylko z pamięci powszechnie używany wzór, żeby go przećwiczyć na sucho. Poza tym krytyka Margueritte bolała mocniej, ponieważ była trafniejsza.

Na miejsce pojedynku wybrano dziedziniec zamkowy. Ryzykowna decyzja, zważywszy na to, że nigdzie nie zauważyłem ekranów pochłaniających ani dodatkowych osłon, a Blanche Neige nie zbudowano z szarego kamienia. Ale może Blancheflor uważała ryzyko zniszczeń za dodatkową atrakcję. Z Bretańczykami nigdy nic nie wiadomo.

Dokładnie obejrzałem plac, oceniłem odległości, a na koniec – chociaż doskonale wiedziałem, jaki efekt wywołam – wykonałem kilka układów Drogi Czapli. Musiałem się nieco wyciszyć, oswoić moc ze Źródła, przeliczyć w głowie wszystkie najważniejsze zaklęcia. Zanim skończyłem, gapiła się na mnie chyba cała ludność zamku, włącznie ze służącymi. Obserwowano mnie z okien i ozdobnych balkonów oraz spod arkad na obrzeżach dziedzińca. Zastanawiałem się, czy magowie przyniosą na miejsce pojedynku kiełbaski i piwo.

Nie jestem pewien, co przez ten cały czas robił Bernard, ale parę razy widziałem go z kielichem pełnym wina, w otoczeniu dziewcząt. To znaczy, takich mocno po sześćdziesiątce.

Wreszcie zaczęło dobiegać południe, co poznałem po tym, że pod arkadami zgromadził się tłumek. Kilkunastu siwych magów, jako żywo budzących skojarzenia z Radą Gildii, z ciekawością oczekiwało na przybycie mojego przeciwnika. Służący krążyli między nimi z napojami.

Wreszcie zjawił się książę d'Amethyste. Wystrojony, rozluźniony, pewny siebie. Nonszalancko pstryknął palcami, wzniciając niewielki płomień, i zapalił fajeczkę, którą skądś wytrzasnął.

– Żadnych zaklęć przed rozpoczęciem pojedynku, Bernardzie – upomniała go spokojnie Blancheflor. Dzisiaj nie nosiła już zielonych okularów i przynajmniej raz podczas moich przygotowań zauważyłem, że podniosła się z fotela na kółkach. – Przygotujcie się. Na Wędrowca i wszystkich świętych, ogłaszam zgromadzonemu, że walkę do wyczerpania mocy stoczą ze sobą książę Bernard de Montreuil de Branche d’Amethyste oraz Wielki Mag, kawaler Vincent Thorpe de Branche d’Aure...

– Nie – odezwałem się stanowczo.

– Nie? – Księżna de Spinel spojrzała na mnie podejrzliwie. Bernie się zachnął. Pokazałem na swoje usta, a następnie czoło i spróbowałem z daleka nawiązać kontakt z Blancheflor.

„Oczywiście, masz prawo ogłosić, co ci się żywnie podoba – westchnęła de Spinel. – Mów”.

„Chciałbym podkreślić, że nie należę do rodu Branche d’Aure”.

„Ach. Czyli jesteś ostatnim z d’Obsidienne?”.

„Posłuchaj – brnąłem. Czułem się jak idiota, ale to było ważne. Jeśli rzeczywiście miałem od początku do końca sprawować kontrolę nad sytuacją, nie mogłem sobie pozwolić, aby wmawiano mi cokolwiek bez mojej zgody. Nie chciałem wchodzić w buty Lucjusza, wystarczył mi jego płaszcz. – Nie jestem szlachcicem. Mam mieszczańskie pochodzenie”.

„Jak to?!”.

„A tak, że ród de Branche d’Aure także wyginął, i to wiele lat temu. Lucjusz was oszukał. Był spokrewniony z d’Aure tylko po linii z nieprawego łoża, i to dopiero w trzecim pokoleniu wstecz. Mniej więcej połowa wszystkich magów w Avalonie nie pochodzi ze szlacheckich rodów. Po rewolucji zaczęto rekrutację ze wszystkich warstw społecznych”.

„W Królestwie Bretanii – odparła Blancheflor z gniewnym błyskiem w oku – przedstawiciele plebsu parających się magią skracamy o głowę”.

Wziąłem głęboki oddech. Czas na ciężki argument.

„Tak? Czy znałaś kiedyś młodą damę o imieniu Solange, która zbierała dla ciebie zioła?”.

Po twarzy Blancheflor przemknęła mieszanina trudnych do określenia uczuć. Na pewno były wśród nich zaskoczenie, ból i tęsknota. Zamknęła oczy.

„Dziwne macie zwyczaje w tej waszej Arborii. – Gdyby mówiła na głos, miałaby ściśnięte gardło. – Kiedyś usłyszycie o nich więcej, ale dziś na to za wcześnie. Bernard twierdzi, że arboriańskie wychowanie uczyniło cię słabym. Cóż, chętnie się o tym przekonam na własne oczy”.

Na głos zaś powiedziała:

– Wielki Mag, Vincent Thorpe, nie życzy sobie ujawniać prawdziwego rodzowego nazwiska. Chce, aby jego moc przemówiła za niego. Zdecydujmy i osądźmy, czy zasłużył, aby złożyć mu wasalną przysięgę. – Spojrzała na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

Cholera. Nie zwróciłem uwagi na wszystkie konsekwencje pojedynku. Oczywiście, Triumwirat. Niechcący podniosłem stawkę. Właśnie postawiłem świat na głowie; kazałem księżnej w razie mojej wygranej uznać zwierzchność mieszczanina, człowieka z gminu. A mimo to jedyne Wielkiego Maga pod ręką, człowieka, który przywrócił jej Źródło. Paradoks nie do pogodzenia. Nie przebaczy mi tego, jeśli wygram, i będę miał przegwizdane, jeśli przegram.

Blancheflor demonstracyjnie rzuciła chusteczkę.

Ledwo zdążyłem osłonić się tarczą. Bernard wypalił do mnie pociskiem, który do złudzenia przypominał lancę stworzoną z elektryczności i płynnego metalu. Nacisk na moją osłonę skupił się w jednym punkcie i prawie ją roztrzaskał. Upadłem i pofrunąłem kilka metrów do tyłu, pamiętając tylko o tym, aby wzmocnić tarczę. Wszystkie plany, schematy i wzory wyparowały mi z głowy. Bernie walił w osłony raz za razem, jakby strzelał z kartaczownicy. W panice odpychałem się nogami od bruku, szurając tyłkiem po kamieniach, i gorączkowo zastanawiałem się, jak przeżyć.

„Uspokój się, Vince – niemal usłyszałem głos Meg. – Króliczki kicają, ptaszki śpiewają, smoki zioną. A Bernie naparza zaklęciami jak młockarnia. Mam jeszcze sporo jednostek, tarcza się trzyma. Pod żadnym pozorem nie wolno mi przegrać”.

Powoli wstałem. Trzęsły mi się kolana. Wzmocniłem tarczę. A niech się wyprztyka. Uniosłem rękę. Zamknąłem oczy. Szóstym zmysłem prawie



widziałem wzór jego zaklęcia opartego na Creo i Przywołaniach, bardzo silnego, bardzo precyzyjnego.

Rozproszyłem osłony, skupiając się tylko na ukształtowanej mocy, która leciała w moją stronę. Jakbym podłączył się do prądu. Rozplatałem, przetwarzałem, rozplatałem, włosy stawały mi dęba na karku, ciarki przechodziły po grzbiecie. Drugą dłoń skierowałem w dół i zakreślając nią szeroki łuk, rąbnąłem o ziemię kilkoma porcjami czystej, żywej mocy. Wyparowała w powietrzu.

„Zmarnowałem dobre jednostki – przeszło mi przez myśl. – Następnym razem trzeba się skoncentrować i je przejąć”.

Bernard zaczął się tubalnie śmiać, zachwycony moją odpowiedzią.

– Aha! – zawołał. – Znasz tę sztuczkę! Obroń się przed tym!

Błyskawiczny gest, kilka wyszeptanych słów wystarczyły, by kamienie brukowe poderwały się przede mną w powietrze. Bombardowanie rozpoczęło się od nowa.

Wcale nie musiał mi zaszkodzić. Wystarczyło, że metodycznie skrwawiał mnie z jednostek; dysponował sporą przewagą, większą, niż wynikało z jego Źródła, bo miałem poważniejsze straty. Zaciśnąłem zęby. Nie wolno mi przegrać.

Książę nadal się bawił. Dobrze wykształcony czarodziej potrafi rzucić więcej niż jedno zaklęcie naraz, a im większy potencjał, im szersze kanały energetyczne, tym silniejsze wzory da się ukształtować. Byłem Magiem Pustki i pod tym względem na pewno go przewyższałem. Mogłem zmusić Bernarda do wysiłku. Mogłem go przytłoczyć. Musiałem tylko, bagatela, zacząć liczyć szybciej i sprawniej niż kiedykolwiek w życiu.

Mimowolnie wszedłem w postawę Drogi Czapli. Z niezwykłą jasnością objawiały się przede mną godziny porannych przygotowań – a także wzory dziesiątki razy przeliczane z Margueritte, wielostronicowe protokoły rytuałów pisane na ostatni gwizdek po zarwanej nocy, przekształcenia wzorów tłuczone maszynowo i niemal bez udziału świadomości. Nie byłem już zły, przerażony ani nawet skupiony na zwycięstwie. Układałem w głowie gigantyczne puzzle. Rachowałem jednostki. Pociągałem za sznurki praw fizyki.

Właściwie nawet nie pamiętam, czego wtedy użyłem. Na pewno poszły ze dwie ogniste kule pod osłoną tarczy, błyskawiczne pociski, przekształcenia grawitacji, zakłęcia dodające prędkości i tym podobne. Niektóre po kolei, inne równocześnie. Książę wspiął się na wyżyny swojej sztuki i odpowiadał podobną kanonadą. Przeoraliśmy cały bruk na dziedzińcu Blanche Neige, a wokół nas utworzyła się wirująca chmura pyłu, ognia i światła. W pewnym momencie udało mi się dobiec do Bernarda na zasięg wyciągniętej ręki, a wtedy rozplotłem mu osłony i zacząłem ścinać jego własne zakłęcia u Źródła. Wyłuskałem je wszystkie, jedno po drugim, jak paczkę orzechów.

Stanąłem nad nim wreszcie, zdyszany, z pustym akumulatorem płaszcza i ledwo tłączyłem się własnym Źródłem. Moja skóra wydzielala mglistą poświatę – znak, że przekroczyłem wszelkie dopuszczalne granice strat mocy. Bernard leżał plackiem na bruku. Ubranie miał w strzępach, włosy w nieładzie, nieco zagubionej złotej biżuterii błyszczało między kamieniami. Uniosłem rękę do ostatniego magicznego pocisku, chcąc się upewnić, że książę wypłukał się z jednostek na obronę.

A potem wróciły mi emocje i zorientowałem się, że w gruncie rzeczy chcę pobić staruszka. Omal nie zapadłem się pod ziemię ze wstydu. Opuściłem dłoń i zacząłem się zastanawiać, czy jeśli zacznę go przeproszać, uzna to za ujmę dla honoru.

Bernard stęknął i bardzo powoli podniósł się do pozycji siedzącej. Przez chwilę uspokajał oddech i odkasływał kurz. Wreszcie popatrzył mi prosto w oczy.

– Człowiek zawsze może się nauczyć czegoś nowego, nawet na stare lata – powiedział. – Wziąłem twoją uprzejmość za objaw miękkiego serca, a twoje zasady za słabość charakteru. Teraz wiem, że się pomyliłem. I mam już lepsze wyobrażenie o twojej ojczyźnie, Arborii.

Rozejrzał się wkoło, sprawdzając, czy wszyscy słuchają. Nikt nie śmiał pisać ani słowa.

– Legendarna Arboria. Kraj po Drugiej Stronie Świata, gdzie rezerwa jest cnotą, prawdziwy mężczyzna musi umieć zadbać o siebie sam, a gwałtowne pasje nie usprawiedliwiają czynów – cedził powoli słowa. – Kraj, gdzie pracę przedkłada się nad przyjemność, Wielcy zaś nie noszą złota, jedynie odzież

równie skromną jak użyteczną. Arboria. Zimna, nudna i zabójcza jak stal. Żelazna pięść w rękawicze z gronostajowej skórki.

Westchnął.

– Chyba nie mam wyboru, prawda? Muszę zostać twoim doradcą.

Ukląkł na jedno kolano, a potem z całkowitą powagą i, zdaje się, nieudawanym szacunkiem złożył mi przysięgę wasalną. Jego śladem poszli wszyscy obserwujący nas czarodzieje – ci, którzy nie mogli przyklęknąć, położyli tylko dłoń w okolicy serca. Wreszcie nawet Blancheflor, chociaż z chłodem i niechęcią, podniosła się z fotela i uhonorowała mnie tym samym gestem.

Chyba nie udawali. Nie grali. Traktowali mnie serio. Trudno mi było w to uwierzyć. Jak to, pokonałem ich przywódcę i już? Przecież chyba zdawali sobie sprawę z tego, że w gruncie rzeczy jestem żółtodziobem, widzieli, ile energii poszło w straty. Czyżby zwyciężyło bretańskie umiłowanie hierarchii, a może jednak tęsknili za Wielkim Magiem, nawet mniej kompetentnym niż poprzedni?

A skoro już o tym mowa, jak właściwie wyglądał ten pojedynek z zewnątrz?

\* \* \*

Kiedy na stole w sali jadalnej rozwinęto mapę, znów sobie przypomniałem, że Bretania, odkąd ją utraciliśmy, podążała własną ścieżką rozwoju. Takiego wynalazku nie powstydziliby się żaden arboriański generał.

Namalowana ze wszystkimi detalami na impregnowanym i magicznie utrwalonym płótnie mapa pokazywała w realistycznej skali ukształtowanie terenu oraz najważniejsze drogi. Od razu się zorientowałem, że o jej wartości stanowi nie tylko szczegółowość. I zrozumiałem, dlaczego Bernard ukrył ją przed kuzynami w Blanche Neige.

„Te strzałki odzwierciedlają ruchy wojsk w czasie rzeczywistym? – zwróciłem się do księcia. – Dywinacja na taką skalę wymagałaby współpracy wielu ludzi, to się musi opierać na połączeniach sympatycznych. Jak je uzyskałeś?”.

„Fanty – odparł Bernard w myślach. – Wiele lat zabrało mi zgromadzenie osobistych przedmiotów należących do każdego z moich rywali i umieszczenie zapisu na mapie. Tylko nie mów o tym Blancheflor. Ucieszył mnie sojusz

Pochodni Wyzwolenia z hrabią de Torquis, dzięki temu możemy śledzić armię Płomienia”.

„Ta cała Theresa von Feuerstein nie jest szlachcianką?”.

„Nie i to utrudnia sprawy. Wypłynęła jako prorokini po tym, jak odkryła, że Zakon Cierpliwego Wędrowca używa nieprzetworzonej Pustki w samym środku pałacu królewskiego, za wiedzą i zgodą Philippe’a”.

„I nikt się nie sprzeciwił?”.

„Nikt w pojedynkę nie przeciwstawi się królewskiemu wojskom i Zakonowi, a Philippe bardzo się starał, żeby powyrywać prowincjom zęby. Po latach płacenia daniny trudno znaleźć w moim księstwie konia, który nie miałby łęgowatego grzbietu. Von Feuerstein postarała się o własną armię na południu. Planowałem najęcie kompanii i ugadanie się z nią. Rebelianci świetnie się nadają do obalania królów, ale ktoś musi potem rządzić. A nie puściłbym na tron żadnego z tych malowanych książątek spod granicy”.

„Bez urazy, Bernie... ale czy przypadkiem nie byłeś na to za stary?”.

„Nieźle się trzymam. Poza tym spłodziłem wystarczająco wielu spadkobierców, żeby zapewnić ciągłość linii”. – Księżę dumnie błysnął zębami.

– Ahem – odchrząknęła chłodno Blanche-flor. – Wielki Magu, uprzejmie proszę o rozszerzenie więzi.

– Mówiłem, że tylko w ten sposób sobie z nim porozmawiasz. – Bernard wzruszył ramionami. – Trochę to nienaturalne, a nawet powiedziałbym, że plugawe, ale szybko się o tym zapomina.

– Wielki Magu – włączył się diuk de Rubis, popierając swoje słowa ukłonem – sugeruję utworzenie Kręgu.

Kilku pozostałych arystokratów wzdrygnęło się lekko.

– Wiem, że tej starożytnej praktyki zaniechano już za czasów Lucjusza – ciągnął de Rubis. – Każdy z was obawia się, że rywal przypuści atak na jego najskrytsze tajemnice, a i podtrzymanie więzi w tak szerokim gronie wymaga wydatkowania mocy. Lecz pierwsze Rady Królewskie prowadzono w Kręgu. Tak najłatwiej o porozumienie; będziemy się strzec nawzajem.

Nawet mną wstrząsnął ten pomysł. Kiedy przetwarzałem razem z Margueritte, często zdarzało nam się nawiązać połączenie przez kanały energetyczne także

z Belinde i Kathryn. Ale taka więź rzeczywiście wymagała zaufania. Gdyby jedna osoba dysponowała znaczącą przewagą siły woli i możliwości magicznych, mogłaby zdominować grupę. I odwrotnie, gdyby grupa zmówiła się przeciwko jednemu uczestnikowi więzi, łatwo zmiażdżyłaby go mentalnie. W Radzie Gildii praktyka rozszerzonej więzi została zabroniona, żeby unikać takich sytuacji. A to ja byłem w Bretanii obcy i mogłem stać się celem zмовy.

Z drugiej strony nie da się prowadzić narad wojennych przez „podaj dalej”. Nie chciałem też komunikować się wyłącznie przez Bernarda i Blancheflor. Nie po to przejmowałem kontrolę, żeby teraz im ją oddać.

„Bernie, każ ludziom ustawić się grzecznie w kółeczku i wziąć za ręce. Niech każdy nawiąże kontakt z sąsiadem po prawej”.

„Chyba nie mówisz poważnie. Nawet Lucjusz...”.

„Nie jestem Lucjuszem. Nie wiem, czy rozgrywał was przeciwko sobie, ale ja nie zamierzam tracić na to czasu. Potrzebujemy współpracy. Widzisz tutaj jakąś inną armię?”.

Poczułem, jak stopniowo, jeden po drugim, zapalają się wokół mnie kolejne umysły. Nawet ci, którzy dopiero wychodzili z demencji, włączyli się do chóru. Każdy uczestnik kręgu miał odrębny, wyraźny charakter, chociaż nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że całość pachnie starym kurzem i kulkami na mole. Wzmocniłem bariery mentalne, na wypadek gdyby ktoś jednak przypuścił atak, ale wszyscy zachowywali się równie ostrożnie.

Bezwzględnie przeszedłem do konkretów.

„Bernard wyjaśniał mi właśnie rozmieszczenie armii na mapie. W polu pod Nouveaux Dijon stacjonują główne siły królewskie. Fioletowa linia to trasa przemarszu hrabiego Trevancela, a czerwona – Pochodni Wyzwolenia. W pierwszej armii są moje towarzyski, w tym królowa d’Argent, oraz Królewski Smok. Obydwie armie idą na stolicę, zbierając po drodze sojuszników jak kula śniegowa. Zgadza się?”.

„Tak, takie dostałam informacje – potwierdziła Blancheflor. Dumnie wyprostowana, podparta jedynie łaską, wodziła palcem nad mapą. – Wiem też, że von Feuerstein wcale nie zamierza połączyć sił z królową. Sama planuje uderzyć na Nouveaux Dijon. Jeżeli można, wyprzedzić wojsko hrabiego, jeżeli nie,

spotkać się w polu. Jej propaganda ostrzega przed Królewskim Smokiem jako istotą Zaświatów”.

Wśród arystokratów przebiegł szmer oburzenia. Wyczuwałem nastroje. Królewski Smok stanowił nieodłączną część stroju Bretanii, co wyjaśniono mi już wcześniej. Mnie również dręczył niepokój, ale z zupełnie innych przyczyn. Kiedy rzuciłem zakłęcie lokalizacyjne, udowodniłem ponad wszelką wątpliwość, że Amandine znajduje się dokładnie w tym samym miejscu, co armia hrabiego Trevancela.

„A uważa się za prorokinię Wędrowca! – wybuchła lady d’Opal. – Czy istnieją jakiegokolwiek przesłanki, czy też opiera się na swoich rzekomych wizjach?”

„Nie widzę rozsądku w takim postępowaniu – dodał diuk de Rubis. – Czyż armia Płomienia po walce z hrabią nie okaże się zbyt słaba, aby przypuścić atak na Nouveaux Dijon?”

„Mają Królewskiego Smoka – przypomniał Bernard. – Nie okaże się zbyt słaba. Po prostu smok ją zmiecie”.

„Armia Pochodni Wyzwolenia próbuje bez względu na własne koszty powstrzymać Królewskiego Smoka, który usiłuje podbić Nouveaux Dijon. – Przeczucie, którego nie potrafiłem skonkretyzować, sprawiło, że ogarnął mnie chłód. – Naprawdę wierzą w tę propagandę. Czy mają jakikolwiek powód?”

Blancheflor ściągnęła usta.

„Nie jestem pewna. Królewski Smok nie powinien z taką chęcią niszczyć własnego kraju, jak to właśnie robi, ale armia jest armią, niezależnie od wszystkiego innego. Palenia i grabienia nie da się uniknąć. Słyszałam jednak dziwne pogłoski o tym, jakoby smok zmienił umaszczenie. A to się nie powinno zdarzać”.

Gdzieś na dnie świadomości zamigotało we mnie wspomnienie snu sprzed dwóch dni.

„W Montreuil widziałem jego portret. Był czerwony. Jakie umaszczenie ma teraz?”

Księżna de Spinel spojrzała mi prosto w oczy.

„Czarne. Ze złotymi akcentami”.

Przez Krąg znów przebiegł szmer zaniepokojenia. Niektórzy zaczęli wizualizować; przed naszymi oczami pojawiały się i znikwały półprzezrzyste wyobrażenia czarno-złotego smoka. W dwóch czy trzech przypadkach ornamenty na skórze smoka do złudzenia przypominały te na moim płaszczu. Najwidoczniej skojarzenia nie dało się uniknąć.

„Chciałbym wiedzieć, co takiego wykombinował Lucjusz, zanim odszedł – mruknąłem. – Tacy jak on knują do samego końca. Zaczynam mieć podejrzenia, że cały ten bajzel z Zakonem też jest pokłosiem jednego z jego niezrealizowanych planów. Ciekawe, co naprawdę o tym sądzi Theresa von Feuerstein i skąd czerpie informacje. Wspominałeś, Bernardzie, że taka armia nie ma szans z Królewskim Smokiem?”

„Nie ma – potwierdził książe, w zamyśleniu skręcając w palcach kosmyk brody. – Ale może uważać inaczej. Płomień pokonała przygraniczne wojska, a chodziły słuchy, że Philippe oddelegował tam nieumarłą armię, czyli nową broń obmyśloną przez kapłanów. Podobno sama użyła morderczych ognistych machin bojowych, a teraz wyposaża kompanie w ręczne armaty. To dla mnie nie do pojęcia, skąd ona bierze takie pomysły”.

Znów mnie zmroziło.

„Zaczekajcie chwilę. Powiadasz, że Płomień przybyła z południa?”

Dawno, dawno temu, zanim kompletnie zapomniałem o pierwotnym celu naszej podróży, rzucałem pewne zaklęcie lokalizacyjne...

„Chwileczkę”.

Ponownie rzuciłem zaklęcie. Złota nić rozwinęła się z moich dłoni, przeniknęła ścianę i pomknęła w dal, obdarzając mnie wiedzą o dystansie od celu zaklęcia i kierunku, w jakim się znajduje. Ponownie przyjrzałem się mapie. Trochę drżały mi dłonie.

„Chyba wiem, kto doradza Theresie von Feuerstein – zakomunikowałem. – Właściwie jestem o tym stuprocentowo przekonany”.

\* \* \*

Promienie zachodzącego słońca wpadały przez wysokie okna zamku, zabarwiając mapę na pomarańczowozłoto. Kilkunastu sędziwych bretańskich

arystokratów przypatrywało mi się sceptycznie, podczas gdy próbowałem wyjaśnić, jakim duetem są Margueritte de Breville i Belinde Chamomille.

„Sądzę, Wielki Magu – wtrącił Bernard – że wyciągasz zbyt daleko idące wnioski. Twoja mistrzyni ma wygaszone Źródło, znajduje się z dala od sojuszników. Trudno przypuszczać, że pełni w obozie inną funkcję niż branka”.

„Bernie, nie znasz Meg. Nie wiem, kim jest ta Feuerstein, ale mogę się założyć, że idzie za jej radą. I jeżeli z pełną desperacją szarżuje na wojska o takiej przewadze militarnej, jak twierdzicie, to znaczy, że istnieje ku temu dobry powód. Margueritte nie interesuje się walką o władzę i nie podejmuje decyzji pod wpływem impulsu. Powinno jej być wszystko jedno, kto podbije Nouveaux Dijon. Coś tu śmierdzi, i to potężnie”.

Bernard splótł ręce.

„Zatem twierdzisz, że lady de Breville to dość bystra osoba”.

„Tak. Mniej więcej tak, jak woda królewska jest dość żrącą cieczą”.

„Pojmuję.”

„Ale ja nie pojmuje. Czy chociaż jedna z nich wie, że pozostałe znajdują się w armii przeciwnika? Dlaczego Amandine razem z Kathryn zdecydowały się zaszarżować na stolicę? O co chodzi z tym Królewskim Smokiem?”.

Baron de Lazurite uniósł wzrok i spojrzał na mnie, podejmując bohaterski wysiłek skupienia uwagi. Wyczułem, jak kilka zmaconych iskierek jego umysłu zbiera się opornie w jeden kołyszający się płomień.

„Machinacje Lucjusza – przemówił. – Tak, kombinował, knuł do samego końca. Pokazywał mi swoje machinacje i maszyny, swoją wieżę. L'Échelle de Soleil nadal stoi na ziemiach de Branche d'Aure. Nikt jej nie zdobył”.

Poszukałem na mapie ziem de Branche d'Aure. Wcale mnie nie zaskoczyło, że przylegają do prowincji Nouveaux Dijon. Używając magii, szybko tam dotrzemy. Byłoby po drodze...

„Hm. Wygląda jak miejsce, które można odwiedzić, zanim porozmawiam z Meg”.

„Vincencie. – Bernard popatrzył na mnie podejrzliwie. – Niepokoisz mnie. Chyba nie zamierzasz w takiej poważnej sprawie kierować się majaczeniami



zdziecinniałego starca? Vince? – Naburmuszył się. – Zupełnie nie rozumiem, co w tym takiego zabawnego”.

\* \* \*

Zanim zdecydowaliśmy się na wyprawę, zapoznałem się z pozostałymi magicznymi dziełami zgromadzonymi w Blanche Neige. Większość z nich miała zastosowanie militarne. Były tam zakłęte broje i broń, końskie uprząże i siodła – wszystko, czego trzeba feudalnemu panu czarodziejowi, który rusza do boju w otoczeniu orszaku – oprócz tego amulety ochronne (podobne w zastosowaniu do arboriańskich bransolet), wykrywacz skażenia w postaci ciężkiej metalowej skrzynki i bardzo nieporęczne laski magiczne zaprojektowane na jedno zaklęcie (pod względem funkcji odpowiednik naszych różdżek), czapka niewidka, spiczaste kapelusze, których przeznaczenia nawet nie miałem ochoty sprawdzać – niech Bretańczycy się stroją, ja tego nosić nie będę.

Znalazła się także, ku mojej radości, jedna magiczna kula. Czarna i ciężka, wielkości piłki do gry. Solidne pięć i pół jednostki mocy na samo uruchomienie, jednostka na doładowanie co pięć minut rozmowy, nie dla kogoś, komu brak aktywnego Źródła. Trzeba było wysiłku woli na samo opanowanie posługiwania się taką kulą. „Ciekawe, czy jest chociaż w minimalnym stopniu kompatybilna z naszymi” – pomyślałem i od razu do niej zasiadłem, razem z kartką papieru i ołówkiem pod ręką, na wypadek gdyby udało się porozumieć.

Wydałem pięć jednostek i skupiłem się na dokładnym rozproszaniu mocy w kryształ. Kula pokazała tylko obraz jarzącego się oka z czerwoną tęczówką. Nie znałem żadnych komend głosowych, a gdybym nawet znał, nie mogłem się wysłowić. Poskrobałem się w głowę.

– Moja kula – ucieszył się Bernard i zaraz się przysiadł.

„Poznaję. Powinieneś zmienić obraz tła, bo strasznie bije po oczach. Jak się w tym wywołuje inne kule? Próbuję skontaktować się z Meg”.

– Czarny kryształ! – huknął Bernie. – Z rozkazu księcia de Montreuil de Branche d’Amethyste, odnajdź swych braci i siostry.

Obraz się zmienił. Przed naszymi oczami przedefilował szereg symboli. Bretański zapis zaklęć, którego nawet nie podejmowałem się rozszyfrować.

– Opisz mi obszar, w którym znajduje się twoja mistrzyni. Użyj danych z mapy.

Opisałem. Bernard wydał odpowiednią komendę. Obraz ponownie się zmienił, symbole zmalowały i ułożyły się w rząderek zajmujący jedynie część wnętrza kuli. Przez dłuższą chwilę pulsowało w niej czerwone światło. Później barwa zmieniła się na ciemnofioletową, matową, pod względem faktury przywodzącą na myśl farbę olejną.

– Coś mamy. – Księżę przyjrzał się obrazowi. – Ja jej tego nie powierzałem.

„Margueritte umieściła w swojej głównej kuli taki landszafcik z wrzosowiskiem – wyjaśniłem. – Na przenośnej pewnie zapisała to samo. Słabo widać, ciekawe, jaki będzie przekaz”.

Czekaliśmy dłuższą chwilę. Już chciałem wyłączyć kulę, kiedy na fioletowym tle przesunął się jakiś cień, z grubsza przypominający zarys głowy. Usłyszeliśmy niewyraźne pytanie. Mogłem jedynie zgadywać słowa.

– ...kto? ...powiedz.

– Lady de Breville, Wielki Mag pragnie z panią porozmawiać – oznajmił głośno Bernard. – Służę mu głosem. Lady de Breville, czy słyszy mnie pani?

– ...?

„Powiedz, że to ja, Vincent”.

– Lady de Breville! Vincent, Wielki Mag, mówi do pani przeze mnie, jego doradcę! – krzyczał Bernie.

– ...!!! – Nie rozróżniałem słów, ale cokolwiek postać mówiła, nie było to pochlebne. – ...!

Ciemnofioletowa farba olejna znikła. Przed nami znów pojawił się obraz rozjarzonego czerwonego oka. Mrugnęło.

– Cóż... – Bernard poklepał mnie po plecach. – Przynajmniej spróbowałeś.

\* \* \*

Na łagodnie wznoszącym się wzgórzu nad rzeką stała wysoka wieża obronna z szarego kamienia, z ostrą szpicą dachu i wysmukłymi oknami, zbudowana

w tym samym stylu i w tej samej epoce co zamek w Montreuil – a to oznaczało, że żadna kula ognista nie miała się jej murów.

Wyłądownaliśmy na brzegu rzeki. Po jej drugiej stronie znajdowała się ubogo wyglądająca wieś, której mieszkańcy na nasz widok schowali się do swoich chat. Zabraliśmy się grupą dziewięciu osób – wszystkich magów z Blanche Neige, którzy już odzyskali pełną sprawność fizyczną. Reszta pozostała na miejscu. Pod przywództwem Blancheflor obsługiwali dla nas mapę. Znaleźliśmy drugą magiczną kulę, która współpracowała z tą należącą do księcia Bernarda, dało się więc śledzić ruchy wojsk.

W tak niewielkiej grupie można było sobie pozwolić na podróż za pomocą magii. Dwóch czarodziejów na przemian rzucało Lot Drużynowy, dzięki czemu pokonaliśmy całą trasę, z przystankami na posiłek, w ciągu niecałych trzech dni. Odpoczęliśmy porządnie przed dotarciem do celu, niedaleko stąd. Zaklęcie miało tę wadę, że bardzo skutecznie pożerało zawartość naszych Źródeł, których zdecydowanie potrzebowaliśmy na miejscu.

Nalegałem także na Drużynową Niewidzialność, ale bretańska wersja w ogóle nie nadawała się do użytku przy liczbie osób większej niż dwie. Jak wiadomo, prawdziwy szlachcic nie musi się skradać.

Objawiliśmy się zatem w pełnej chwale i pstrokaciźnie strojów moich towarzyszy, którzy podobnie jak Bernie uważali, że bez barw rodowych, złota i klejnotów nie należy pokazywać się publicznie. Ośmioro czarodziejów płci obojga, odpicowanych jak na święto lasu, niektórzy wyposażeni w spiczaste kapelusze i magiczne broje, wszyscy oprócz mnie w wieku mocno emerytalnym. Bardzo narzekali, że nie mogą zabrać ze sobą służby, ale i tak obsługa Blanche Neige nie nadawała się zbytnio do podbijania świata.

Baron de Lazurite twierdził, że wieży zwanej l'Échelle de Soleil nikt nigdy nie zdobył. Była zabezpieczona magicznie i od czasu śmierci Lucjusza nikomu nie udało się dostać do środka. Ale to nie znaczy, że nikt jej nie bronił. Philippe Verlain d'Argent musiał sobie zdawać sprawę z tego, że dawna samotnia Wielkiego Maga, w której z dala od większych siedzib ludzkich prowadził najbardziej niebezpieczne eksperymenty, zawiera bezcenne skarby. I że kiedyś być może jego kapłani się do nich dobiorą.

Dookoła wyrosła więc solidna drewniana warownia, obsadzona regimentem wojska. Ponieważ w okolicy zrobiło się niespokojnie, bardzo niedawno przysłano drugi regiment, który rozłożył się pod warownią w namiotach i rozbudowywał fortyfikacje. Wartownicy przechadzali się znudzeni wokół obozu, w niebo wznosił się dym z rozpalonego na wieczór ogniska. Morale w warowni musiało oscylować wokół zera, bo nie zauważyli, jak lądujemy. Wyobrażałem sobie, że w takie miejsce, gdzie jedyna robota polega na siedzeniu, czekaniu oraz spontanicznych bandyckich wypadach do sąsiednich wsi, zsyła się ludzi, którzy komuś zależli za skórę.

– Spójrz, Wielki Magu – de Torquis podkreślił węża – mają konie. I dam głowę, że część z nich należy do kompanii najemnych. Kiedy już solidnie złoimy im skórę, można by je odkupić. Podróżowanie Lotem na dłuższą metę bardzo męczy.

– Byłby z nich przyzwoity orszak – zgodziła się księżna d’Opal. – Spróbowałabym odkupić bez walki. Szkoda marnować zakłęcia uzdrawiające na zwykłych żołdaków. Zapewne sprowadzili sobie także posługaczy i kucharzy, od biedy mogą się nadać. Zastanawiam się zresztą, który z wysoko urodzonych kawalerów dowodzi tą hałastrą i komu składał przysięgi wasalne.

„Dobry pomysł – przekazałem. – Bernardzie, jak stoimy z pieniędzmi?”

„Bagatela. Nieznacznym uszczerbek dla mojej kieszeni. Ale pamiętaj, że po zdobyciu wieży spodziewam się ich zwrotu”.

„Podzielcie między siebie kosztowności. Zastrzegam sobie prawo pierwszeństwa wyboru magicznych przedmiotów i ksiąg”.

Właśnie dostrzegli nas wartownicy. Na razie nie ruszyli się z posterunku, przypatrywali się tylko ze zdumieniem. Czego może od nich chcieć ośmioro barwnie odzianych starców i jeden wychudzony facet w czarnym płaszczu?

– Stać! Kto idzie?

– Człowiek, przed którym powinieneś się ukorzyć, pachołku. – Bernard niby od niechcenia zaprezentował pierścień. – Milczący Czarodziej – wskazał na mnie – i jego wierna świta. Nie zdradzę naszych rodów takiemu podłemu psu jak ty. Sam musisz je rozpoznać. Biegnij po swego pana, a chyżo! Macie chyba w tej

waszej kurnej chacie chociaż jednego szlachetnie urodzonego, z którym moglibyśmy się rozmówić.

Wartownik poczerwieniał, odruchowo położył dłoń na rękojeści miecza.

– O czym ty do mnie rozmawiasz, przebierańcu? Co wyście za jedni? Kuglarzy tutaj nie przyjmujemy, nie prowadzimy skupu psiego smalcu ani kaczych jajek, a wasze błyskotki, pieśni i fałszywe mikstury możecie sobie wsadzić. Precz!

„Nie, nie, nie – wtrąciłem, obserwując twarze moich towarzyszy. – Nie zabijajcie go! Nie tak od razu”.

Bernard skinął głową, ale zinterpretował komendę po swojemu i zamiast w wartownika włożył ognistą kulę w drewnianą wieżyczkę warowni. Gwizd i huk eksplozji dało się słyszeć w całej okolicy. Żołnierze, którzy strzegli palisady, rozpierzchli się i nerwowo złapali za broń. Szkolono ich do konwencjonalnej walki, ale w najgorszych koszmarach nie przyszło im do głowy, że będą stawiać czoła magii. Kilku wartowników, którzy poprzednio zbliżali się do nas, padło na ziemię, osłaniając głowy.

– Ha! Robaki! Drzyjcie przed naszą potęgą! – zawołał tubalnie Bernard i poprawił drugą kulę w pobliski namiot. – Nadeszła wasza najczarniejsza godzina!

Czarodzieje zaczęli gestykulować. Na czubkach ich palców zakwitły ukształtowane wzory, gotowe do uwolnienia lada moment.

No to dyplomację szlag trafił.

„Postawić tarcze” – zakomenderowałem, czujnie obserwując otoczenie. Wokół moich towarzyszy pojawiły się lekko opalizujące, metalicznie lśniące osłony. W samą porę. Niektórzy żołnierze sięgali już po łuki, zaczęto dąć w rogi. Wśród namiotów pospiesznie zbierała się kupa zbrojnych; część schowała się za beczkami, przygotowując broń, pozostali zmykali za palisadę. Z fortyfikacji obronnych w naszą stronę posypał się deszcz strzał. Te, które trafiły, krzesząc iskry, ześlizgnęły się po tarczach kinetycznych.

Zauważyłem, że magowie zaczynają się rozpraszać. Księżna d’Opal wzbija się do lotu i cisnęła różową kulę energii w jednego ze strzelców. Bernard dalej stał w namioty ogniste kule, ciesząc się z rozszerzającego się chaosu i pożaru. De

Torquis wyjął miecz i z głośnym rykiem pobiegł pod osłoną tarczy w stronę grupy żołnierzy. A ja, głupi, spodziewałem się jakiejś współpracy.

„Do mnie! – huknąłem. – D’Emeraude, Lot Drużynowy. Skracamy dystans, bombardujemy fortyfikacje i strażnicę, nie przedłużamy niepotrzebnie walki!”.

„Psujesz zabawę, Vince” – przekazał Bernard.

„Bez dyskusji! Na Wędrowca, oszczędzajcie jednostki!”.

Frunęliśmy zwartą grupą nad palisadę, przypuszczając zmasowany atak w drewnianą basztę za pomocą zakłęb bojowych. Strzelano do nas z łuków, kusz oraz dwóch niewielkich armat. Sam niczego nie rzucałem, musiałem koordynować moją grupę, co okazało się trudniejsze niż tresura kotów. Narzucałem wybór zakłęb i cele, żeby zamiast niepotrzebnie masakrować żołnierzy kulami ognistymi, burzyli zabudowania obronne, a przeciwko łucznikom wybierali coś, co skutecznie wyeliminuje ich z walki, nie powodując oparzeń trzeciego stopnia. Pilnowałem synchronizacji czarów ochronnych, bo w ogniu walki niektórzy zapominali o osłonach, zaprzątnięci ofensywą. I przede wszystkim cały czas miałem oczy dookoła głowy, bo przecucie mówiło mi, że jeśli ktoś dysponuje kapłanami posługującymi się mocą Pustki, nie pozostawia obrony dawnej wieży Wielkiego Maga wyłącznie zwykłym śmiertelnikom. Zwłaszcza że na pewno już niejedną próbę się dostać do środka.

I rzeczywiście. Najpierw dotarł do mnie ten charakterystyczny zapach czy też wrażenie, które nauczyłem się już kojarzyć z obecnością skażonej energii. Po chwili dostrzegłem, że od strony wieży błyskawicznie zbliża się ku nam postać w brunatnych szatach, z twarzą i dłońmi owiniętymi bandażem, unoszona przez zabarwione na zgniózielono prądy powietrza.

„Zacieśnijcie szyk!” – Bardzo się starałem nie wpaść w panikę. Świetnie pamiętałem, jak spotkanie z takim czarownikiem renegatem skończyło się dla nas ostatnim razem. Przynajmniej nigdzie w okolicy nie widziałem ksenowurma.

Podniosłem osłony przeciw Pustce. Dołożyłem dodatkowo warstwę, tak na wszelki wypadek. Wszyscy czarodzieje zmieścili się w środku, chociaż było dosyć ciasno; tłoczyliśmy się jak w awalońskim tramwaju w godzinach szczytu. W samą porę.

Czarownik bluznął w naszą stronę szeroką, smolistą rzeką skażonej mocy, wypełnionej na wpół materialnymi kośćmi, oczami i paszczami, fragmentami czaszek i szkieletowych dłoni. Już wcześniej widziałem to zakłęcie i pamiętałem grozę zbliżającej się ku nam zagłady; omal nas wtedy nie zabiło. Tym razem jednak bariery ochronne były gotowe, zanim do nas dotarło. Przechwyciłem strumień mocy – nie wzór, bo jak się okazało, nie stworzono go na żadnym wzorze – i zacząłem przetwarzać. Poszło nawet łatwiej niż poprzednio. Dziwne. Byłem przekonany, że nigdy nie rozplatałem uformowanej skażonej magii na taką skalę, ale majaczyło mi gdzieś z tyłu głowy niewyraźne *dejà vu*. Czy właśnie z tym się mierzyłem, gdy chorowałem?

Wokół mnie jakby ucichło i zorientowałem się, że moi towarzysze wystraszyli się nagłym zwrotem akcji. Nigdy w życiu nie widzieli jeszcze takiej abominacji, nie mieli pojęcia, jak się przed nią bronić, a pamiętałem, jakie miazdzące wrażenie wywiera widok Pustki ześlizgującej się po barierze. Może i trochę mojego własnego strachu przeniknęło do więzi.

„Skupić się – przekazałem. – Trzymam go i przetwarzam, jesteście bezpieczni. Ale nie mogę zrobić wiele więcej. Nie bać się, strzelać. Dajcie wszystko, co macie, w tego skurczybyka. Bez hamulców”.

„Bać się? – fuknął Bernie. – O co ty mnie oskarżasz? Próbowałem dostrzec jego słaby punkt”.

Pozostali wyrwali się z osłupienia i unikając trącania się łokciami, wypalili do renegata z całego dostępnego arsenału. Nie próbowałem nawet rozróżniać, co weszło w skład tej zabójczej mikstury zakłęcia. Lokalne stężenie mocy wzrosło tak bardzo, że samo w sobie wytworzyło energię Pustki. Przetworzyłem i to. Bardzo się starałem nie patrzeć w tamto miejsce, ale żeby pilnować celu, nie miałem wyboru. Chwilę później krwawe, podsmażone ogniem ochłapy mięsa, które jeszcze niedawno były myślącym i czującym człowiekiem, opadły na ziemię jak makabryczny deszcz. Wokół mnie rozległy się okrzyki dzikiego tryumfu.

Zrobiło mi się niedobrze. „Tylko nie rzygaj – pomyślałem. – Nie wolno ci rzygnąć w obecności tych wszystkich ludzi”. Półświadomie zakonotowałem sobie, żeby nigdy nie dawać swoim czarodziejom rozkazu zawierającego słowa „bez hamulców”.

„Niech się poddadzą” – napomknąłem słabo. Bernard mnie nie posłuchał.

„Ha! A to ci gratka. Spójrz, czy ty też widzisz pod wieżą trolle?”

„D’Opal, de Torquis, de Rubis, lećcie załatwić trolle. Tamte czerwonobrazowe są wrażliwe na ogień, a te z prążkowanym torsem na Entropię. D’Emeraude, obniż nas trochę. Bernardzie, negocjuj rozejm”.

Bernie zmarszczył brwi.

„Vince, czy ktoś ci kiedyś mówił, że jesteś nudziarzem?”

Westchnąłem.

„Dobrze. Wszyscy lećcie załatwić trolle. Nie atakujcie ludzi, jeśli się poddają, potem będziecie narzekać, że nie ma orszaku. Bawcie się dobrze. Zostawcie mnie w strażnicy i szybko wracajcie”.

Z wolna opadłem na drewnianą podłogę drugiego piętra budowli, odsłoniętego, odkąd moja grupa zburzyła cały jej szczyt wraz z dachem, ścinając ją niemal do połowy. Wokół dogasał pożar. Pod jedną z belek kulił się żołnierz; na mój widok wrzasnął i zaczął uciekać, na wpół zbiegając, na wpół spadając z półpiętra. Oparłem dłonie na kolanach, uspokajając żołądek. Później stanąłem ze splecionymi ramionami i wpatrywałem się w śmigające ogniste kule, pociski Entropii i elektryczne lance. Podejrzywałem, że widać je z daleka. Westchnąłem. Zachowywali się jak dzieci rozgniatające mrówki dla zabawy – a przecież miałem do czynienia z możnowładcami, którzy kiedyś decydowali o kształcie i polityce tego kraju. Chcieli o nich decydować ponownie i trudno było sobie wyobrazić, że ktoś mógłby im się przeciwstawić. Kiedy tylko zniknę z horyzontu, a oni nasycą się testowaniem na nowo obudzonych Źródeł i odzyskają choćby ułamek wpływów, w pełni pokażą, na co ich stać, i niech Wędrowiec ma wtedy w opiece Bretanię.

Usłyszałem kroki.

Po schodach wchodził mężczyzna. Wysoki, postawny i nieco zażywny, trzymał się prosto, jak przystało na dowódcę, chociaż z jego twarzy odpłynęła chyba cała krew. Tunika zarzucona na kolczugę miała kolor zielony, herb przedstawiał stojące słupka zwierzę, którego ze względu na schematyczność rysunku nie rozpoznawałem. Barwy rodowe moich towarzyszy były dość



intuicyjne, więc to mógł być ród de Malachite albo d’Emeraude. Zastanawiałem się nad tym chwilę, odruchowo skrobiąc brodę.

Nie wiem, jak dowódca warowni zinterpretował moje zachowanie, ale wyraźnie zadygotał. Padł na kolana.

– Panie – szepnął. – Nazywam się Pierre Marmotte, jestem kawalerem de Branche de Malachite. Z uniżeniem składał swoje życie w rękach najszlachetniejszego pana czarodzieja. Błagam, oszczędź nas, odwołaj swoich ludzi. Przysięgam wierność waszemu rodowi aż do śmierci.

– Tak – odparłem uprzejmie, a potem, upewniwszy się, że trolle zostały już przykładnie rozniesione na strzepy, przywołałem do siebie resztę magów.

\* \* \*

– Zapewniam, że diakon Concombre nie otworzył tych drzwi mimo wielokrotnych prób – powiedział kapitan Pierre Marmotte. – Wcześniej pod wieżę podkładano ładunki prochu, usiłowano też dostać się przez okna. Nie poddała się narzędziom ni czarom.

Staliśmy u podnóża l’Échelle de Soleil. Wysokie, podwójne wrota obudowano stalowym rusztowaniem, które dawało dostęp do wszystkich złocistych run wygrawerowanych na czarnej stalowej powierzchni. Wykonał je Lucjusz, który, jak się zdawało, włożył ogromną pracę w odrestaurowanie starej wieży obronnej i przystosowanie jej do własnych potrzeb.

Wokół wrót leżały jeszcze porzucane narzędzia. Niektóre z nich wykonano z *trivium* albo ze specjalnie spreparowanego stopu ołowiu i cyny. Mniej więcej co trzecia runa pociemniała w wyniku manipulacji, jakie na nich przeprowadzano, nabierając zielonkawego, opalizującego poblasku.

Zacząłem wdrapywać się na rusztowanie.

– Szlachetny książę – zwrócił się kapitan do Bernarda. – Proszę mi powiedzieć, co robi Milczący Czarodziej?

– Też mi pytanie. Otwiera drzwi – prychnął Bernie. – Ale jeśli tęsknisz za eksplozjami...

Wlazłem gdzieś do połowy stalowej konstrukcji i zmachałem się tak, że przed oczyma miałem mroczki. Nie przewidziałem, że nadal jestem tak słaby. Na

szcześnie nie musiałem dotykać każdej runy z osobna, mogłem wyciągnąć z nich skażenie i z tej odległości. Zacząłem przetwarzać. Zielonkawa warstwa spaczoney mocy osypywała się z symboli jak stara farba, a później znikąła. Czulem, że wreszcie robię to, co do mnie należy. Mniej więcej połowa misji z Margueritte polegała na eksploracji starożytnych ruin. Skażenie skażeniem, ale rozpracowywanie przejść pozamykanych na rozmaite zamki szyfrowe było moją specjalnością.

„Jest dość prosty – zakomunikowałem. – Kiedy go oczyszczę, zacznie działać. Ale tylko pod warunkiem że otwierający dysponuje mocą o rezonansie Maga Pustki. Lucjusz skonstruował go pod siebie. Wymaga jeszcze komendy głosowej, podobnie jak składany dom”.

– Mam śpiewać hymn narodowy? – spytał Bernard.

„Nie sądzę. Hasło do domu pochodzi sprzed czasu, kiedy Lucjusz został Nadwornym Magiem i jego ulubiony motyw muzyczny stał się hymnem. Drzwi skonstruowano znacznie później. Uznałby taki szyfr za banalny”.

– Przecież mówisz, że wrota i tak da się otworzyć tylko mocą Wielkiego Maga. Po co komu bardziej skomplikowane hasło?

„Racja. Kiedy dam znak, po prostu im rozkaż, aby się otworzyły. W stylu Lucjusza”.

Skończyłem wreszcie i bardzo ostrożnie, krok po kroku, zsunąłem się z rusztowania. Później, pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń czarodziejów, kapitana oraz kilku nieco zastraszonych żołnierzy, położyłem dłoń na kołatce. Pierre się wzdrygnął. Spojrzałem na niego, unosząc brwi.

– Widziałem, jak kapłan i inni, którzy próbowali wejść, padli jak rażeni piorunem – wyjaśnił. – Nie zginęli, ale długo dochodzili do siebie.

– Tak – powiedziałem spokojnie. Zatem zabezpieczenia działały tak, jak to sobie wyobrażałem. Jeśli próbowali nasycać oryginalne symbole spaczoną mocą, nic dziwnego, że prąd ich kopnął.

Przelełem jednostkę mocy. Nic.

Przelełem drugą. Jeden z symboli delikatnie zamigotał. Westchnąłem.

„Lucjuszu, ty megalomanie, po co komu zabezpieczenia o sile setek kwantów? I tak oprócz Maga Pustki nikt się tutaj nie wedrze, a tak wielką ilość mocy

zawsze można wydać na coś innego. Szczęście, że prawie niczego nie rzucałem podczas walki”.

Równo trzydzieści jednostek poszło w drzwi, aż wszystkie znaki załśniły złoto na tle czarnej stali. Wokół rozległo się zbiorowe westchnienie.

– Otwórzcie się, wrota! – zawołał Bernard.

Podwoje zaczęły się uchylać. Kto by pomyślał. Zadziałało.

\* \* \*

Wszyscy jak zahipnotyzowani wpatrywali się w lśniące runy, z niecierpliwością oczekując skarbów, jakie zastaną w środku. Wyczuwałem, jak poprzez więź przepływają fale nieumiarkowanej chciwości. Ale sam zachowałem czujność. W takich okolicznościach zawsze oczekiwałem niespodzianek. Może niekoniecznie toczącej się kuli albo kłębowiska węży, ale zabezpieczeń natury magicznej i ulepszeń, które wskutek awarii przeistoczyły się w pułapki. Obawiałem się także skażenia, które często wykwitało w zaniedbanych miejscach mocy. W starożytnych ruinach zawsze poświęcaliśmy sporo uwagi unikaniu skażonych obszarów, a teraz dysponowałem tylko detektorem we własnej głowie.

Przesłałem więc sygnał, żeby się chwilę wstrzymali i poczekali na mnie. Niemal fizycznie odczułem zniecierpliwienie i zawód. Księżna d’Opal wyduła usta, de Torquis wydawał się obrażony; chyba tylko Bernard, który lepiej mnie znał i ufał mojemu osądowi, zachowywał się spokojnie. Moja władza była chwiejna; słuchali mnie tylko wtedy, kiedy im się to podobało. Jeśli szybko jej nie wzmocnię, wszystko rozlezie się w szwach, a w pierwszej kolejności starsi państwo przystąpią do ustalania hierarchii między sobą.

Drzwi zatrzymały się w stanie półotwarcia, wewnątrz panowała ciemność. Ze środka uciekło stęchłe powietrze, niosąc ze sobą ślad ostrego zapachu, który trochę mnie zaniepokoił. Wciąż stojąc w progu, rzuciłem Kulę Światła i pchnąłem ją wzdłuż korytarza.

Coś poruszyło się na skraju pola widzenia. Zapach stał się silniejszy. Grube, łuskowate sploty przesunęły się wzdłuż ściany i w pewnym momencie zobaczyłem utkwione we mnie spojrzenie wielkich złotych oczu. Znieruchomiałem.

„Spokojnie... – przekazałem. – Mam wrażenie, że natknęliśmy się na wiwernę. Musiała długo hibernować, ale jak się rozbudzi, będzie głodna i zła”.

„Wiwerna. – Torquis się skrzywił. – Miałem kiedyś jedną. Nędzna namiastka smoka, w dodatku śmierdząca. I są odporne na magię”.

„Wszyscy pamiętają twoją wiwernę, de Torquis – prychnął Bernard. – Jeśli zaczniesz o niej zbyt nachalnie przypominać, nagle wyjdzie na jaw, ilu z nas jesteś winien pożartego wierzchowca”.

„Cisza – syknąłem w myślach. – Ona może wyczuwać, że rozmawiamy przez więź. Nie ruszajcie się i przygotujcie zaklęcia bojowe o pośrednim działaniu. Jakbyście walczyli ze mną”.

Niepotrzebnie to powiedziałem, lepiej nie podrzucać im pomysłów.

Złote oczy wpatrywały się we mnie z uwagą. Źrenice zwęziły się lekko, gdy do pokrytej łuską paszczy, bardziej jaszczurzej niż węzowej, dotarła kula światła. Wiwerna kłapnęła pyskiem i złapała kulę, jakby połykała owada. Po chwili światło zgasło.

Prawie smok, rzeczywiście. Nie widziałem w Arborii ani jednej o takich możliwościach, a spotkaliśmy ich z Margueritte całkiem sporo, nawet jeśli pominiemy oswojone miniatutki, które trzyma się w charakterze chowańców. Odporna na magię. Pożera zaklęcia zupełnie jak ja. Weyland wspominał, że istnieją podobieństwa między zdolnościami smoków i Magów Pustki.

„Potrzebuję ochotnika – powiedziałem spokojnie. – Kto chce wymknąć się dyskretnie i przynieść tutaj trochę mięsa? Powinno leżeć w kuchni”.

– Kapitanie Marmotte – szepnął Bernard. – Milczący Czarodziej prosi o przyniesienie pod drzwi świeżego ciała. Może być troll, jeśli wzdraga się pan przed bezczeszczeniem zwłok towarzyszy. O skażenie proszę się nie obawiać. Od tego jesteśmy my.

„Bernardzie...”.

„Tak będzie prościej i szybciej”.

Wcale nie zakładałem, że obłąkawię wiwernę Lucjusza – ta sztuczka nie zawsze udaje się z dzikimi zwierzętami, takimi jak wilki albo książę Bernard. Ale należało spróbować. Nawet jeśli się nie da, po nakarmieniu powinna być mniej skłonna do agresji.

Przez kilka długich, pełnych napięcia minut coś przesuwano się i szurało wewnątrz wieży, a czarodzieje obok mnie stali z kształtami zaklęć bojowych zawieszonymi na palcach, w każdej chwili gotowi rozpętać piekło. Usłyszałem wreszcie, że żołnierze wracają z ciężkim ładunkiem; cuchnęło gorzej niż wybebeszony prosiak, a odór Pustki tylko wzmacniał ten zapach. Sięgnąłem po czarne nitki skażonej mocy, zacząłem przetwarzać...

Zakotłowało się. Zatrzęsła się ziemia. Wiwerna wyrwała do przodu, roztrzając półotwarte podwoja i w całej okazałości rozwijając rubinowe sploty, lśniące w dziennym świetle, ze skrzydłami złożonymi na płask wzdłuż tułowia. Jeszcze osypywały się z niej wysychające kawałki kokonu, w którym hibernowała, przyklejone tu i ówdzie do skóry. Uskoczyłem w samą porę; niektórzy czarodzieje poderwali się do lotu. Całkowicie zignorowała trolla, żołnierzy i zapach krwi. Obróciła łeb w moją stronę i znów ruszyła jak taran, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do swoich intencji.

Wciąż miałem w pamięci pojedynek z Bernardem. Najszybciej, jak mogłem, ukształtowałem zaklęcie antygravitacyjne i odbiłem się od trawy, frunąc do tyłu w niezgrabnym saltie. Już podczas lądowania wzniosłem tarczę i opadłem na jedno kolano za metalicznie lśniącą osłoną. Oczekiwałem kolejnego uderzenia.

Tymczasem wiwerna zgubiła wątek – jak kot, któremu nie powiódł się atak na ofiarę. W próbie przekonania samej siebie, że zamierzała zrobić coś zupełnie innego, rzuciła się na rusztowanie wzniesione wokół drzwi i bardzo skrupulatnie zaczęła rozszarpywać je na kawałki. Kiedy skończyła, zwróciła się w stronę trolla. Obwąchała go skrupulatnie i całym jej węzowym ciałem wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. Wzniosła się pionowo na splotach, rozpostarła skrzydła, a następnie wydała jasny, ostry krzyk, jak zgrzyt po szkle.

Dopiero teraz dostrzegłem, że skrywa pod skrzydłami szczątkowe kończyny – podkurczone, wyposażone w szpony przednie łapy.

Zastanawiałem się, na co moi towarzysze czekają. Jedni stali w pewnej odległości od miejsca zdarzenia, inni unosili się nad ziemią. Rzadkie włosy de Torquisa falowały na wietrze, gdy spoglądał na mnie oskarżycielskim wzrokiem. Dlaczego jeszcze nie rzucają zaklęć bojowych? Co się dzieje? Czyżby znowu mnie testowali?

„No dobrze, o co tym razem chodzi? – zapytałem nerwowo, bo wiwerna straciła zainteresowanie trollem i znów wpatrywała się we mnie z bliżej nieznanym zamiarem. – Można przywołać jednego konia, żeby się najadła. Czy to macie na myśli?”.

„Vince, to nie jest zwyczajna wiwerna – odpowiedział Bernie. – Nie widzisz?”.

Zmarszczyłem brwi. Wiwerna, nie spuszczając ze mnie wzroku, zaczęła się czyścić z resztek kokonu. W miarę jak pozbywała się kleistej skorupy, odsłaniała coraz więcej blizn; zamiast rubinowych łusek w wielu miejscach dało się dostrzec czerwonawą nagą skórę. Ślady miały jednakowy okrągły kształt.

„Widzę szczątkowe kończyny. Fakt, to się zwykle nie zdarza, powinna wyglądać jak wąż ze skrzydłami. Ale można chyba dopuścić istnienie dodatkowego gatunku albo odmiany...”.

„Ma także umaszczenie Królewskiego Smoka – napomknął ponuro de Torquis. – Wyczuwa skażenie, to jasne. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego”.

A więc o to chodziło. Rzucają zakłęciami na prawo i lewo, roznoszą na strzępy ludzi i trolle, ale na widok stworzenia bardzo słabo kojarzącego się ze smokiem od razu podkulają ogony. Omal nie zwyzywałem ich od zabobonnych Bretańczyków, ale po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że ostrożność czarodziejów jest uzasadniona. To nie była normalna wiwerna, blizny pod kokonem wyraźnie sugerowały, że pracował przy niej Lucjusz. Kto wie, co z nią zrobił.

Czarodzieje stali więc lub wisieli w powietrzu jak te kołki, a ja angażowałem się w swoisty pojedynek woli z wiwerną, która wpatrywała się we mnie jak sroka w gnat. Błoniasta kryza, która do tej pory płasko przylegała do jej ciała w okolicach szyi, podniosła się lekko. Zwierzę wydało z siebie przeciągły syk. Przygotowywała się do ataku, ale jako porządny drapieżnik najpierw mnie ostrzegęła. Wzmocniłem tarczę. Za moimi plecami rozległy się jakieś odgłosy – stąpanie ciężkich butów, końskie prychnięcie. Wiwerna rozpostarła kryzę na całą szerokość i otworzyła paszczę, jeszcze głośniejszy sycząc. Wolałem się nie odwracać – drapieżnik weźmie to za objaw tchórzostwa i ruszy do boju.

– Panie – usłyszałem szept. – Przyprowadziłem luzaka. Zarznąć go trza, aby prędko, zanim się bestia rozjątrzy. Ledwo go trzymam.

Na Pustkę, dzięki wszelkim mocom, kapitan Marmotte jest kompetentny.

– Tak – syknąłem.

Powietrze rozdarł śmiertelny koński kwik. Poczulem zapach krwi i uprzedzając ruch wiwerny, uskoczyłem w bok. Uderzyła od razu niczym atakująca kobra. Z odległości kilku metrów obserwowałem, jak zatapia kły w szamoczącym się jeszcze zwierzęciu. Poszukałem wzrokiem kapitana Marmotte’a; żywy i cały odskoczył w drugą stronę i teraz, poblady jak papier, nie spuszczał wzroku z tego, co się działo. Przez ułamek sekundy wymieniliśmy spojrzenia. Jakby uszła z niego część napięcia, kiedy tylko się upewnił, że postąpił właściwie.

Moi towarzysze z powrotem się zbliżyli; ci, którzy lewitowali, z wolna opadli na ziemię.

„Co teraz?” – spytał Bernard.

Przez chwilę byłem tak zdumiony, że spytał o radę, że nie potrafiłem wykrztusić ani słowa – także w myślach.

„Po pierwsze, pochwal kapitana. Ciekawe, kogo wyprowadził z równowagi, że go tutaj zesłali, bo wygląda na niezłego fachowca. Po drugie, czekamy i obserwujemy. Zdaje mi się, że w ogóle jest oswojona. Nie atakuje mnie konsekwentnie, raczej odstrasza. Poza tym jeszcze stąd nie uciekła”.

„Będzie z niej wierzchowiec? – zainteresował się de Torquis. – Albo magiczny towarzysz?”.

Przyjrzałem się bestii. Rozszarpywała konia ze sporym zapalem, ale coś mi nie pasowało w jej zachowaniu, a już wcześniej zwróciłem uwagę na okrągłe ślady na skórze. Naoglądałem się u rodziców zwierząt w różnym stanie, głównie koni, psów i kotów. Ale jak ocenić, czy wiwerna, jak mi się wydawało, rzeczywiście jest osowiała i nerwowa? Nie chciała odlecieć – a może brakowało jej sił? Była niebezpiecznie wychudzona czy taka już jej uroda? Czy jeszcze nie do końca doszła do siebie po pół wieku hibernacji, a może nastąpiły trwałe zmiany?

„Czy ktoś z was zna zaklęcia medyczne? Przyda się coś z zakresu diagnostyki”.

„Swego czasu w całym królestwie sławiono mnie jako uzdrowicielkę – odparła księżna d’Opal. – Ale, proszę, przetłumacz swoje zamiary na bretański”.

„Coś jej dolega – sprecyzowałem. – Nie jest skażona, wyczułbym. Czy możesz sprawdzić co?”.

Dziesięć minut później już wiedzieliśmy.

– Na Wędrowca – de Torquis ze wzburzenia odezwał się na głos – taka wspaniała bestia i tak ją potraktować. Kiedy pomyślę o mojej Błyskotce...

– Trzeba czasem poświęceń, aby przeprowadzić należyte eksperymenty – zauważył Bernard, chociaż drgała mu powieka.

„Daj spokój – przekazałem wzburzony. – Zwierzętom doświadczalnym należą się pewne względy, choćby znieczulenie. A takich rzeczy nie powinno się w ogóle robić. Istnieją, do licha, jakieś standardy”.

Księżna, która rzuciła zaklęcie i osobiście przekonała się, co się dzieje z wiwerną, milczała, splatając ręce. Poinformowała nas wcześniej, że właściwie żaden narząd wewnętrzny bestii nie funkcjonuje prawidłowo, i to tylko kwestia czasu, zanim zaczną się poddawać; wiwerna żyła tylko dlatego, że przehibernowała w zaciszu wieży. Płuca ledwo działały z powodu narośli. Serce z trudem pompowało krew – ścianki były pokryte guzkami. Jelita nie miały ujścia, toteż nasycenie głodu po kilku godzinach skończyłoby się śmiercią w męczarniach. Wszystko wskazywało na to, że Lucjusz wielokrotnie poddawał ją działaniu Pustki, a później oczyszczał ze skażenia, może nawet leczył. Pewnie zależało mu na konkretnych zmianach. Wreszcie przesadził – nie umiał ich cofnąć – albo po prostu nie zdążył, zanim umarł.

– Panie...? – wtrącił kapitan Pierre Marmotte, który od dłuższego czasu przyglądał się rozmawiającemu w myślach konsylium czarodziejów. – Czy ja i moi ludzie będziemy tu jeszcze potrzebni?

„Odpraw go uprzejmie, Bernardzie”.

– Możesz już iść, kawalerze Marmotte. – Bernie machnął ręką. – Jakoś sobie poradzimy.

Ponieważ wiwerna była odporna na bezpośrednie działanie magii, zakończyliśmy jej życie, pożyczając do tego celu włócznie żołnierzy i wspólnie naprowadzając je telekinezą na te piękne złote oczy; najpierw jednak



poczekaliśmy, aż po napełnieniu żołądka robi się trochę ospała. Ci sami czarodzieje, którzy niespełna godzinę wcześniej bez żadnych wyrzutów sumienia masakrowali ludzi, wyglądali na wstrząśniętych i pogrążonych w żalobie, zwłaszcza de Torquis. Pomyślałem sobie, że musiałbym żyć jeszcze z dwieście lat, żeby zrozumieć Bretańczyków, a przynajmniej ich elitę. Teraz czekało mnie inne, równie trudne zadanie – splądrowanie wieży Lucjusza w tak umiejętny sposób, aby moi towarzysze, którzy większość życia spędzili na konkurowaniu z sobie podobnymi za pomocą wszelkich dostępnych środków, nie przywłaszczyli sobie ukradkiem najcenniejszych skarbów.

\* \* \*

Po tym wszystkim, co wiedziałem już o Lucjuszu, sądziłem, że urządził swoją samotnię z przepychem. Pomyliłem się. Wieża miała co prawda wszystkie udogodnienia, jakich spodziewałbym się po arboriańskim szlacheckim domu sprzed dwustu lat, ale brakowało w niej złota, klejnotów czy dzieł sztuki. Dolne piętro, zdewastowane przez bestię, mieściło garderobę i sprytnie skonstruowaną łazienkę z bieżącą wodą, klozetem i półautomatyczną pralką, taką samą jak w składanym domu.

Kule światła unosiły się w powietrzu, kiedy rozglądałem się za włącznikiem automagicznych lamp. Gdy wreszcie go znalazłem, okazało się, że są uszkodzone. Nie miałem czasu, żeby sprawdzać, co poszło nie tak. Rozejrzałem się. Ośmioro ludzi tłoczyło się w małym pomieszczeniu; oczekiwali na moją inicjatywę, ale wyczuwałem w nich niecierpliwość. Odrobina niezdecydowania i każdy pójdzie we własną stronę.

„Dobra. Skoro już tutaj wszyscy stoimy, czas na kilka wskazówek. Mam sporo doświadczenia w przeszukiwaniu podobnych miejsc”.

„Proszę, a sądziłem, że parasz się zielarstwem”. – Bernard uniósł brwi.

„Głównie amatorsko. Najlepiej znam się na laboratoryjnych zastosowaniach ziół. W Arborii nie uchodziłbym za medyka”.

„Włamywacz to też dobry zawód – rzekł Bernie pojednawczo. – Powiedz nam zatem, jak postępować w magicznej wieży, w której nikt nas nie wita z otwartymi ramionami”.

„Najpierw pomyślcie, jak zabezpieczaliście własne domostwa – powiedziałem, dzielnie ignorując uwagę o włamywaczu. – Najwięcej run zwykle znajduje się w progu i na framugach. Kto nieproszony wchodzi przez drzwi, ryzykuje kłopoty. Poza tym okna, szafki z kosztownościami, dłuższe korytarze. Ale to wszystko wiecie”.

Wpatrywali się we mnie, kiwając głowami.

„Trzeba pamiętać, co najszybciej degeneruje się w dawnych miejscach magii. W skrócie – im więcej zasilania na początku, tym więcej skażenia później. Runy są bezpieczne. Najprędzej, bo po mniej więcej pięćdziesięciu latach bez konserwacji, psują się teleporty – żywnościowe i toaletowe. Chyba że skonstruowano je z użyciem prawdziwych run Pustki. Za mną. Nie rzucajcie zaklęć, dopóki nie powiem, że można. Chodźmy na górę”.

– A co z pomieszczeniami kuchennymi za tamtymi rozbitymi drzwiami? – zapytała na głos księżna d’Opal. – Stamtąd przyszła wiwerna.

Wszyscy zaczęli ją uciszać.

„Zabezpieczenia uruchamiane głosem też wchodzi w rachubę – odparłem, skinąwszy głową. – Dół wieży zostawmy sobie na koniec; z tym będzie najwięcej roboty. Mam wrażenie, że pracownia znajduje się w piwnicach. Ciekawi mnie tylko, skąd takie bogate podpiwniczenie w zwykłej wieży obronnej”.

Szedłem przodem, używając starych, dobrze znanych uroków do odsłaniania ukrytych run. Większość zabezpieczeń przeciwko wrogim zaklęciom nie uruchamiała się pod wpływem zwykłej magii prostej. W Arborii istniały bardziej wyrafinowane systemy alarmowe przeciwko złodziejom, ale nie sądziłem, żeby Lucjuszowi chciało się je opracowywać, nie po tym, co umieścił w drzwiach wejściowych. Poza tym wbrew temu, co mówił Bernard, nie byłem przecież włamywaczem, tylko kimś w rodzaju archeologa.

Jak przypuszczałem, znalazłem niewiele zabezpieczeń, nie wykryłem też ani jednej plamy skażenia. Odegrałem jednak małą komedię na pozostałych czterech piętrach (gdyby ktoś był ciekaw – tak, Lucjusz wybudował więcej niż jedną automatyczną łazienkę, żeby nie musieć za każdym razem biegać na parter), wszystko z myślą, aby nie dopuścić do przedwczesnego szabru. Moi towarzysze byli ode mnie znacznie starsi, bardziej doświadczeni i wprawieni w intrygowaniu

przeciwko sobie, toteż przeczuwałem, że pod koniec wycieczki już prawie wszyscy mnie przejrzeni. Nikt jednak nie kwestionował moich metod. Każdy patrzył na ręce pozostałym. Może na tym właśnie polegał sekret stabilności ustroju Bretanii.

Z kwater Lucjusza wynieśliśmy niecałą skrzynkę magicznego drobiazgu, jedną sakiewkę pełną dukatów i niewiele kosztowności, głównie biżuterię. Nadworny Mag zdołał przejść nieco bretańskich obyczajów; preferował szerokie filigranowe kolie i ornamentowane białym złotem bransolety kute z czystego kruszcu. Łupy, wedle umowy, podzielili między siebie starzy czarodzieje. Wyczuwałem spory zawód, dlatego zanotowałem w myślach, że trzeba teraz zachować podwójną czujność w pracowni. Niektórzy będą chcieli sobie zrekompensować niewielki, ich zdaniem, zarobek.

Wkrótce stąpaliśmy po klejących się do butów resztkach kokonu wiwerny w zdewastowanym pomieszczeniu kuchennym. Zejście do piwnic znajdowało się tuż obok i oczywiście Lucjusz nie byłby sobą, gdyby poprzestał na niewygodnej klapie w podłodze. Szeroko otwarte drzwiczki zapraszały do środka. Wewnątrz klatki schodowej migotały jeszcze stare automagiczne światła; mleczne, kwadratowe szkiełka wmurowane w ściany. Odruchowo sprawdziłem je na obecność skażenia. Nic. Działały nieprzerwanie od pięćdziesięciu pięciu lat.

„Za mną – powtórzyłem. – Utrzymujcie odstęp między sobą. Tutaj nie ma żartów”.

„Zdajemy sobie z tego sprawę, chłopcze – mruknął Bernard. – Piwnice. Najgorsze możliwe miejsce na pracownię, nieprawdaż?”.

Miał rację. Brakowało okien, w razie gdyby trzeba się było ewakuować albo wywietrzyć pomieszczenie. Zbudowanie wyciągu albo paleniska z dobrym ciągiem wymagałoby dwa razy więcej roboty. Oparłem dłoń na biało-błękitnej mozaice (gdzieś już chyba widziałem ten wzór) i ostrożnie podążyłem murywanymi szerokimi schodami. Doznawałem trudnego do wytłumaczenia, surrealistycznego wrażenia zagłębiania się w same trzewia czasu.

„Na czym zbudowano tę wieżę?”.

„Nie mam pojęcia. Może de Lazurite będzie wiedział, jeśli do reszty odzyska pamięć”.

„Lucjusz podróżował po królestwie, znajdował zabytki, niektóre odnawiał dla własnych potrzeb – wtrącił de Rubis. – Nic nadzwyczajnego, że wieżę z księżycowego kamienia zbudowano na jeszcze starszych fundamentach”.

„Stójcie”.

Uniosłem dłoń, zatrzymałem się. W poprzek schodów ciągnęło się kilka rzędów run strażniczych odlanych w srebrze i miedzi. Wysokomagiczne zabezpieczenia, aż trzeszczało w powietrzu. Kilka było pękniętych – wiwerna mogła się przedostać, co innego miękkie ludzkie ciało.

„Wyczuwam drgnienie mocy” – przekazała księżna d’Opal.

„Wszyscy wyczuwamy drgnienie mocy – zachnął się Bernie. – Vincent zapewne będzie potrzebował tych z nas, których Wędrowiec obdarzył subtelnością w rozplątywaniu cudzych run bez doprowadzenia ich do eksplozji. Żadne z nas nie pragnie spędzić na schodach nocy. Ja się wypisuję, rękę mam jak młot”.

Zgłosiły się cztery osoby. Wzięli na siebie większość roboty, bo sam jeszcze nigdy nie rozpracowywałem czegoś równie potężnego; ciężkim kalibrem zajmowała się Meg. W czasie gdy w pocie czoła rozdłubałem dwie sztuki, pozostali poradzili sobie z resztą. Po dwóch godzinach zostawiliśmy za sobą kupkę srebrno-miedzianego złomu i zebraliśmy resztę ekipy, która już zdążyła rozpełznąć się po wieży. Mieli mokre włosy; widocznie Bernard demonstrował działanie łaźienki.

Schody okazały się dłuższe, niż podejrzewałem, ale bez dalszych przeszkód zeszliśmy na sam dół. I tutaj wszyscy wstrzymali oddech.

Spodziewałem się długich lochów lub katakumb, po brzegi wypełnionych książkami i sprzętem laboratoryjnym.

Znalazłem halę fabryczną.

Staliśmy nad wąską kładką z nieznanego stopu, obserwując wysokie, płasko wysklepione pomieszczenie, w całości wykonane z księżycowego kamienia. Zdawał mi się inny, gładszy, bardziej jednolity w zabarwieniu niż materiał, z którego zbudowano zamek w Montreuil. Gdzie okiem sięgnąć, dostrzegało się rusztowania i maszynię, która przetrwała próbę czasu. Lśniące dźwigi z tworzywa, które tylko na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie metalu,

skomplikowane, ciężkie konstrukcje pełne wentyli, przekładni i kół zębatych. Wszystko to stało w ciszy i spokoju przez tysiąc i więcej lat, nietknięte rozkładem.

Lucjusz wykroił sobie na pracownię stosunkowo niewielki kawałek w kącie hali, sownicie zaopatrzonej w pradawne wyciągi i blaty. Półotwarta blaszana szafka zdradzała, gdzie trzymał księgi. Widziałem jeszcze rozbitą szklaną kadź, z której z dużym prawdopodobieństwem wydostała się wiewerna.

Bernard zagwizdał. Dźwięk rozległ się echem w przestrzeni.

– Jak on to odkrył? L'Échelle de Soleil stała sobie wcześniej w polu, nikt nie zwracał na nią uwagi, ot, nieużywana wieża obronna.

„Wczesny Triumwirat – zawtórowałem. – Jeszcze nie ma płaskorzeźb, nic z klasycznego stylu Cesarstwa. Czysty industrializm. Widziałem coś takiego może dwa razy w życiu, nigdy tak dobrze zachowane”.

Zeszliśmy po brzęczących blaszanych schodach.

„Zaczekajcie, aż usunę skażenie – przekazałem. – Kadź strzela potężnie i wyczuwam nieudane eksperymenty na co drugim stanowisku. Aha, czy chociaż jedno z was potrafi czytać teutonicę?”

Znowu się okazało, jak słabo znałem mentalność Bretańczyków. Zamiast niczym niezakłóconego szabru pełna współpraca. Rywalizacja błyskawicznie ustała w obliczu spraw, które wymagały większej uwagi niż rzucenie kilku zaklęć bojowych. Kiedy oczyściłem okolicę z mocy Pustki, czarodzieje bez żadnego skrępowania zaczęli brodzić w gęstej, kleistej mazi, która pokrywała kamienną posadzkę, i przeglądać zbiory Lucjusza – mniejsze kadzie, puszki i butle wypełnione składnikami oraz księgi – cały czas informując mnie i siebie nawzajem o znaleziskach. Tomy i notatki zapisane w różnych językach trafiły do osób, które umiały je odcyfrować. Zaprowadzono mnie do nieznanym Bretańczykom elementów aparatury, przekazano nazwy istot zakonserwowanych w wielkich słojach lub uspionych w akwariach podobnych do kadzi, w której przebywała wiewerna. Niektóre były oplątane rurkami z *trivium*, doprowadzającymi substancje pobierane z różnej wielkości ołowianych pojemników.

„Ostatni tom notatek” – poinformowała mnie wreszcie księżna d'Opal.

Pochyliłem się nad grubą księgą. Podobnie jak pozostałych najnowszych tomów, Lucjusz nie zapisał jej teutonicą. Od pewnego czasu używał jako szyfru współczesnego języka arboriańskiego, co bardzo ułatwiało mi pracę. Czułem już suchość w gardle i słabość w mięśniach. Niejasno zdawałem sobie sprawę z tego, że siedzimy w pracowni już od wielu godzin.

Nadworny Mag pracował nad dwoma przeplatającymi się w notatkach tematami. Pierwszy to zjawisko Rozdarcia. Oglądałem schematy i czytałem wybrane akapity – potrzebowałbym wielu dni, aby to wszystko szczegółowo przeanalizować, ale na pewno Margueritte zrobiłaby ze znalezionych informacji dobry użytek. Wyglądało na to, że Lucjuszowi zupełnie serio zależało na tym, aby odwrócić proces rozpadu świata, a jego badania były już dość zaawansowane. Na pewno znakomicie uzupełniały plik monografii, który pożyczyłem od Weylanda. Niestety, tylko do pewnego stopnia...

„Powtarza ten sam błąd w podstawowym wzorze – szepnąłem. Ciarki przechodziły mi po grzbiecie. – Pracował sam. Nikt go nie mógł poprawić, brakowało mu danych uzyskanych później, w Arborii. Dwieście lat badań. Poszedł ścieżką, którą Cień Gildii odrzucił jako fałszywą. Nawet ja to potrafię dostrzec, i to na pierwszy rzut oka. – Wskazałem na schemat. – Oparł się na błędnych podstawach teoretycznych. Gdyby skończył ten... wehikuł... wołę nawet nie myśleć o konsekwencjach dla Bretanii, dla całego świata”.

„Chciałbym usłyszeć, jak ktoś mówi mu to prosto w oczy – prychnął Bernie. – Lucjusz nie znosił krytyki. A przecież nawet geniusze nie są nieomylni”.

„Jest gorzej, Bernardzie. Znacznie gorzej. – Pokręciłem głową. – Zaledwie przejrzałem jego książki, ale wiem, co jeszcze próbował uzyskać”.

– Badał naturę smoków – szepnął de Torquis, ze smutkiem wpatrując się w kadź.

„Tak. Ale wiwerny użył jako wczesnego modelu. Wtedy jeszcze nie wiedział, czym są smoki. Z czym ma do czynienia. Jak je tworzone za czasów Triumwiratu i jakiego materiału do tego używano. Podpowiem, że wcale nie chodzi o gady”. –

Położyłem dłoń na stosiku cesarskich zwojów. Każdy z nich zawierał kartę z tłumaczeniem. Pierwszą z nich miałem przed oczami.

Nosiła tytuł *Smoczy ogień*. Po teutońsku *Drachenfeuer*. Tak jak magiczny profil Lily.

„W końcu mu się udało. – Chyba rzeczywiście dostawałem dreszczy. – Wiem, dlaczego umaszczenie obecnego Królewskiego Smoka jest zgodne z barwami domu Wielkiego Maga. Lucjusz utrzymywał pozory młodego wyglądu, ale był stary, nawet jak na czarodzieja. Nie zamierzał jednak umierać. Chciał dokończyć badania, skonstruować maszynę, odwrócić proces Rozdarcia – ale nie zostawił następcy. Nie wtajemniczył współpracowników. Nikomu nie ufał, nawet własnemu uczniowi. Wszystkim musiał zajmować się sam. I znał tylko jeden sposób na osiągnięcie jeszcze większej długowieczności”.

Bretańczycy zaczęli rozumieć, o czym mówię. Popatrywali na siebie nawzajem – jedni z niedowierzaniem, inni z przerażeniem.

– Vince – odezwał się Bernard na głos. – Jeśli sugerujesz to, co myślę, że sugerujesz... Nie potrafię... wzdramam się przed wyobrażeniem sobie podobnego świętokradztwa... Nawet Lucjusz nie byłby zdolny do... – Zatkano go.

– Zabicia Królewskiego Smoka. – Głos księżnej d’Opal zabrzmiał w pomieszczeniu jak zgrzyt na szkle. – I zajęcia jego miejsca.

Nie tak dokładnie wyglądała procedura, którą opisał mój pomyłony kuzyn, ale w ogólnym sensie księżna miała rację. Jeszcze raz przyjrzałem się schematom rozrysowanym na ostatnich stronach notatek Lucjusza. Z niezwykłą jasnością dostrzegałem, czego potrzebował, żeby zbudować swoją maszynę. Domyślałem się, gdzie i w jaki sposób się do tego zabrał. Nie miałem pojęcia, jak utrzymywał kontakt ze swoimi ludźmi i dlaczego do tej pory nie mógł się ruszyć ze swojego gniazda w górach, ale na pewno ktoś mi to potrafił wyjaśnić. I całkiem dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, że pod żadnym pozorem nie wolno dopuścić, żeby dotarł do stolicy i zrealizował swój plan.

Musieliśmy więc go powstrzymać. Teraz, natychmiast, w dziewięcioro, być może z Kathryn do pomocy.

Bo po tym, co jeszcze zrozumiałem z wywodów Wielkiego Maga, powziąłem mocne postanowienie, aby nie wtajemniczać Liliany de Diego Otero de Branche d’Opal. Istnieją granice tego, co może znieść jedenastolatka. Nawet jeśli jest bardzo bystra. I nawet jeżeli odziedziczyła najrzadszy talent pod słońcem, efekt

cesarskich magicznych eksperymentów: *Drachenfeuer*. Czyli, mówiąc krótko, była smokiem.



Dwa tygodnie wcześniej

Margueritte i Belinde

16 Juin 753 AG

Z wieży Carline, obronnej fortecy w hrabstwie de Tourquis, rozciągał się widok na starożytny cesarski gościniec, fosę okalającą zamek i całą szeroką, zieleniącą się dolinę. Margueritte codziennie od świtu przesiadywała przy oknie, obserwując oddziały i wozy taboru krążące między obozem a zamkowymi kuźniami. Kiedy ją to znużyło, a ból za bardzo dawał się we znaki, próbowała go rozchodzić, wędrując po wschodnim skrzydle, gdzie zezwolono jej przebywać.

Już od bardzo dawna nie spisywała raportów. Straciła wiarę w ich sens, zresztą żadna nowina nie wydawała się warta utrwalenia na papierze. Nie widywała się nawet codziennie z Belinde. Podobno przyjaciółkę absorbowała produkcja rusznic, zlecona przez von Feuerstein. Po bitwie na Przełęczu Gwiazdzystych Szafirów należało opracować nowe strategie walki przeciwko królewskim wojskom, zaciągnąć więcej oddziałów. Zawiązano sojusz z hrabią de Tourquis, przekonując go do wypowiedzenia posłuszeństwa monarsze i przyłączenia się do walki z uzurpatorami w brunatnych płaszczach. Kraj spoczywał na beczce prochu; wielu arystokratów potrzebowało tylko pretekstu, żeby zacząć się burzyć, a nowoczesna armia dowodzona przez generała ze świętą misją – była kapitan gwardii królewskiej, osobę, której nie postrzegali jako obcą – to całkiem niezły pretekst.

Margueritte dochodziła do przekonania, że tak czy owak, Płomień tańczy na zgliszczach. Nie wystarczyło odbić Nouveaux Dijon, żeby odwrócić proces rozpadu świata. Gdyby w tej chwili wyciąć w pień wszystkie pustkostwory i kapłanów wykorzystujących skażoną magię, i tak by nie pomogło. Przecież nawet rozpadliny nie zrastały się same.

Krążyła zatem po komnatach jak ranny drapieznik, snując niemożliwe do zrealizowania plany. Ból stopniowo pożerał ją od środka. Resztki włosów owinęła chustą, na jątrzący się wrzód w kąciку ust, który z wolna rozszerzał się

na policzek, nakładała maść. Wołała nie myśleć, co dzieje się z kikutem prawej ręki. Szepty z tyłu głowy przycichły po amputacji, ale wciąż czaiły się gdzieś pod czaszką. Najsilniejszy z nich często włączał się w jej tok myślenia, chociaż stracił zdolność wpływania bezpośrednio na jej wolę. „Tymczasowo” – myślała ponuro Margueritte. Piętno zakorzeniło się w niej na dobre i krok po kroku zdobywało władzę nad jej ciałem.

Odsunęła się od parapetu. Obok, na daszku osłaniającym okno, dwie kawki wydłubywały owady z mchu. Gościńcem pogalopował jeździec w spódnicy, z bujną czupryną jasnych włosów związaną w gruby kucyk.

„Unika cię – zagadnął ją głos, który teraz często towarzyszył czarodziejce. – Traktuje jak trędowatą, nie zaprzeczaj. Liczyłaś na jej przyjaźń? Przyjaźń magów? Chodź ze mną, mam coś lepszego. Będiesz szczęśliwsza”.

– Wymyśl inne argumenty – mruknęła Margueritte. – Nie mam piętnastu lat. Sama poprosiłam, żeby nie przebywała za długo w moim towarzystwie.

„W takim razie czy chciałabyś z powrotem prawą rękę? – spytał głos. – Silniejszą, odporną na ból”.

Meg zerknęła mimochodem na kikut i się wzdrygnęła. Zamiast przedramienia w powietrzu wiły się czarne elastyczne wstęgi, jakby zrobione z kauczuku. Zamknęła oczy, poprawiając mentalną barierę ochronną. Kiedy je otworzyła, ułuda zniknęła.

– Jeśli nie dostaniesz mnie po dobroci, zamieszasz mi w mózgownicy, co? Wolę odebrać sobie życie.

„Jakoś dotąd tego nie zrobiłaś. Wierzysz w powodzenie spraw beznadziejnych. Szalona Meg”.

Margueritte westchnęła. Zawsze była tą, która nie dostrzega albo odmawia przyjęcia do wiadomości, że coś jest niemożliwe, więc podejmuje się zadania i odnosi sukces. Jak ma wybrnąć z tarapatów, w które wpadła tym razem – pozbawiona mocy, z dnia na dzień tracąca władzę nad własnym ciałem i umysłem? Może wreszcie trzeba przyznać, że jej czas się skończył.

„Muszę wyjść – postanowiła – znaleźć lepszych rozmówców niż natrętne głosy w głowie”. Podniosła się z krzesła. Chociaż wymoszczono je aksamitną poduszką, zbyt długie siedzenie sprawiało jej ból. Chodzenie bolało. Leżenie

bolało. Dłuższe pozostawanie w każdej pozycji wywoływało ból przenikający aż do kości, jakby ktoś w nich wiercił.

W tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Z powrotem opadła na poduszkę.

– Proszę wejść. Otwarte.

Do komnaty weszła generał Theresa von Feuerstein.

Jakby jeszcze urosła w ostatnich dniach, a może to Margueritte zmaląła. Płomień górowała nad nią niczym heros z pradawnej epoki – dumna, szlachetna, poznaczona honorowo zdobytymi bliznami. Budowała legendę między innymi dzięki wynalazkom Belinde i Meg oraz informacjom, których nigdy nie zdobyłaby wyłącznie z pomocą Blancheta. Mistrz szpiegów był fachowcem, ale nie znał się przecież na magii. Ani Pustce, jeśli o to chodzi.

– Chyba słyszałam rozmowę – zagaiła von Feuerstein.

– Czasami mówię sama do siebie. – Margueritte wzruszyła ramionami. – Proszę się nie przejmować. Objawem szaleństwa byłaby rozmowa z kimś, kogo nie ma.

Theresa otworzyła dłoń. Trzymała w niej niewielki flakonik z zielonego szkła.

– Belinde poprosiła, aby pani przekazać – wyjaśniła. – Mówi, że wreszcie udało jej się zdobyć zioła, których brakowało w poprzedniej miksturze. Powinna skuteczniej zwalczać ból.

– Serdecznie dziękuję – powiedziała Meg. – Proszę przekazać, że bardzo się przyda.

Rozejrzała się po komnacie i chwyciła gruby brulion, który leżał na stoliku nieruszany od kilku dni.

– Dalej, niech pani mówi.

Generał uniosła brwi.

– Proszę nie udawać, że przyszła pani tutaj z dobrego serca albo tylko po to, żeby przekazać mi lekarstwo – uściśliła Meg. – Od tego są posłańcy. Nie wątpię w pani współczucie, ale coś mi mówi, że głównodowodzący armii ma niewiele wolnego czasu. Zatem jeśli trzeba coś wyjaśnić, opowiedzieć o pustkostworach, podać rozwiązanie techniczne – chętnie pomogę.

Von Feuerstein skinęła głową z powagą.

– Rzeczywiście, mam do pani prośbę, lady de Breville.

Margueritte obróciła ołówek w palcach.

– Chciałabym prosić, żeby przestała pani nagabywać służbę o pana Blancheta. Moja siatka wywiadowcza nie została stworzona do spełniania pani kapryśków. Pan Blanchet doskonale wie, że nie powinien z panią rozmawiać, i stawia pani w trudnym położeniu ludzi, którzy przywykli do posłuszeństwa arystokratom, a nie mogą zadośćuczynić pani żądaniom. Proszę też nie wypytywać lady Chamomille o szczegóły dotyczące mojej armii. Nie wolno jej udzielać pani informacji, co – zważywszy na waszą długoletnią znajomość – sprawia, że Belinde nie wywiązuje się należycie ze swoich obowiązków, czy to ze względu na stan wzburzenia, w jakim wychodzi z pani komnat, czy też dlatego, że mimo woli czegoś się pani od niej dowiaduje. Nie chciałabym was zupełnie odizolować.

– Pani generał... – zaczęła Meg z rosnącym oburzeniem.

– Lady de Breville – westchnęła von Feuerstein – Szary Wędrowiec świadkiem, że serce mi się kraje, gdy panią widzę w coraz gorszym stanie. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, ile pani zawdzięczam. I wierzę, że była pani zaprzysięgłym wrogiem mocy Zaświatów. Ale wiem też, że nie powinno się dowierzać nikomu skażonemu Piętnem. Sama Wyrócznia mówiła mi o tym. Nawet wbrew sobie podświadomie może pani sabotować własne wcześniejsze wysiłki. Nie zdaje sobie pani z tego sprawy, ale nalegano, abym cichcem pozbyła się kłopotu. – Uśmiechnęła się krzywo. – Już chcieli stawiać pomniki, ale żywy i napiętnowany bohater źle się prezentuje w annałach historii.

– Dobrze – powiedziała Margueritte, chociaż coś ścisnęło ją w gardle. – Straciłam pani zaufanie, to nieuniknione. Sama postąpiłabym podobnie. Skoro już jesteśmy wobec siebie takie szczerze, dlaczego za pierwszym razem tak prędko doszła pani do wniosku, że nie przysłano nas z Nouveaux Dijon? Skąd pani wie, jak wyglądają arboriańskie przedmioty codziennego użytku?

– Tę informację mogę pani zdradzić. – Von Feuerstein wzruszyła ramionami. –

To bardzo proste. Moja rodzina od lat zajmowała się na zamku krawiectwem. Szyliśmy i poprawialiśmy szaty wszystkich dostojników, z Nadwornym Magiem włącznie. Niewielka część jego garderoby pochodziła z Arborii. Utrwalona

magią, jak suknie lady Chamomille. Może trudno pani uwierzyć, że ktoś chce nosić te same szaty przez kilkadziesiąt albo i kilkaset lat...

– O, wręcz przeciwnie – wtrąciła Meg. – Skoro je lubił...

– W każdym razie moja babka zachowała po jego śmierci kilka sztuk. Chciała podrobić technikę. Nigdy jej się to nie udało. A później, zamiast przejąć rodzinne rzemiosło, zostałam mianowana przez króla kapitanem gwardii. Philippe Verlain już wtedy miał nierówno pod sufitem. Wymyślił sobie nową kpinę z arystokratów, kolejny element politycznej gry. Stanowisko, które należało się najlepszym szlacheckim synom, zajmowane przez młodą dziewczynę z ludu. Trudno o gorszą obelgę, prawda?

– I okazała się pani dobra.

– To... bardzo długa historia. Było tam kilku zupełnie wyjątkowych ludzi. Poza tym doszli do wniosku, że przyda im się dowódca niewiukłany w szlacheckie koterie i zależności.

– Tak. – Margueritte zastanawiała się przez chwilę. Niewiukłana. Bez magii we krwi. Czy to miało znaczenie? – Co pani właściwie pokazała Wyrocznia? Co się wydarzyło tam, w pałacu, że musiała pani odejść?

– Aha... – Theresa uśmiechnęła się smutno. – Zatem w tę stronę zmierza nasza rozmowa. Pani niewinne pytania znów wkraczają na niebezpieczny obszar. Kto wie, może naprawdę jest pani zbyt bystra, aby w tym stanie żyć?

Wyszła.

Margueritte dłuższy czas siedziała bez ruchu na krześle, wpatrując się w fiolkę.

„Myślisz nad ostatecznym rozwiązaniem?”.

– Nie chcę dać ci satysfakcji. – Przełknęła napływające do oczu łzy. – Myślę, żeby cię na jakiś czas uciszyć. Zobaczmy, co tu mamy. Chyba nikt życzliwy nie podał mi trucizny... – Otworzyła flakonik i obejrzała miksturę pod światło. – No bardzo ładnie, pani Chamomille, szczyt osiągnięć farmaceutycznych. W dodatku przypięłaś do butelki karteczkę z dawkowaniem. Chyba nawet w nią wierzę. Przecież to mój przepis. – Pociągnęła nosem. – Specjalnie go użyłaś, żebyś wiedziała, że nic mi nie grozi.

„Usypia twoją czujność, chce cię zabić”.

– Spadaj. Słyszysz, zamknij jadaczkę! – Meg złapała miskę po śniadaniu i rzuciła nią o ścianę. Ceramika roztrzaskała się na kawałki. – Zmiataj z mojej głowy! Albo wiesz co? Zostań sobie, a ja cię dopadnę po drugiej stronie. Tak! Więż musi być obustronna! Ha! Zobaczysz, to ja zacznę cię nawiedzać!

Sapnęła ciężko. Zamknęła oczy. Oparła rękę na kolanie i pochyłona uspokajała serce, łapała oddech. Ból świdrował w kościach, u nasady nosa narastało ciśnienie. Miała wrażenie, że jej umysł pracuje w niesynchronizowanych fragmentach, jakby istniało kilka różnych, niewspółpracujących ze sobą Meg. Musiała skupiać się dłuższą chwilę, zanim do niej dotarło to, co właśnie powiedziała. Nie była zupełnie bezbronna. Jeśli głos potrafił ją infiltrować, zadawać pytania, wyjmować obrazy z jej głowy, to ona mogła zrobić to samo. Rzeczywiście, pomysł godny szalonej Meg. Ale co innego jej pozostało?

Miksturę Belinde oparto na wywarze z maku. Jeśli instrukcja była zgodna z prawdą i jeśli Theresa pod wpływem doradców nie zaprawiła jej niczym dodatkowym, dwie zwykłe dawki powinny wystarczyć, żeby usnąć i wprowadzić w trans. Chyba że eliksir okaże się silniejszy niż zwykle. „Trudno się mówi – zdecydowała Margueritte. – Nie pierwszy raz ryzykuję życie”.

Najpierw postanowiła zadbać, żeby służba nie przeszkadzała. Chwyciła ciężkie krzesło, przesunęła tak, aby oprzeć je na stopie, i wreszcie jedną ręką i nogą dosunęła je do drzwi. Zadyszała się, ale postanowiła tym razem zignorować prośby własnego ciała o chwilę odpoczynku. „Spokojnie, zaraz się położę”.

Podeszła do okrągłego stolika, przy którym zwykle jadła posiłki, i zrobiła to samo. Następnie, sapiąc, szurając i klnąc pod nosem, przesunęła pod drzwi nocną szafkę. Krytycznym wzrokiem oceniła barykadę. Beznadziejna. Każdy, kto będzie chciał się dostać na siłę do środka, da radę to zrobić. Ale służba nie zabierze się od razu do wyważania drzwi. Uczono ich bezwzględного posłuszeństwa i czołobitnego szacunku, co budziło w Meg złość – bardzo sobie ceniła możliwość dyskusowania z personelem własnego dworku. Więc jeśli zastaną zabarykadowaną komnatę, stwierdzą, że widocznie ma tak być. Przecież mieszka tutaj szpetna, skażona wiedźma, której brak piątej klepki.

Wzięła lekarstwo. Położyła się na łóżku, czekając na efekt.

„Idę po ciebie, pasożycie”.

\* \* \*

– Margueritte? – Ktoś dotknął jej ramienia. – Hej, Margueritte!

Podniosła głowę. Przed sobą widziała kolekcję brudnych szklanych kolb, statyw z probówkami i butelkę olejku z siemienia lnianego – czystość techniczna. Pod łokciem piętrzyły się pokryte notatkami kartki.

Usiadła. Spojrzała na własne ręce. Nie wiadomo dlaczego odczuła ulgę, że widzi obydwie. Prawa dłoń ścierpła, nic dziwnego, przecież na niej spała. Rozmasowała ją starannie.

– Ucięłaś sobie drzemkę na stole alchemicznym – powiedział Vincent z przekąsem. Był ubrany w poplamiony strój roboczy. – A mówiłem: idź spać, dokończymy później.

– Według wskazań lekarzy piętnaście minut drzemki w pracy odświeża i przygotowuje do dalszych zadań – odparła Meg. – Przypomnij, co takiego robiliśmy?

– Soczewki pierścieniowe. – Vince wskazał kawałek nieoszlifowanego szkła, który leżał w zamkniętym przezroczystym pojemniku, zanurzony w jakimś płynie. – Czekamy, aż kwas wytrawi zanieczyszczenia. Tylko na siebie nie wylej, bo skończysz jak Arthur.

– Aha. – Meg z roztargnieniem skinęła głową. Nie wiedziała, że Vincent zna Arthura. Cóż, człowiek się zawsze dowiaduje czegoś nowego.

Rozejrzała się po pracowni. „Jakoś tutaj ciemno – pomyślała. – Nie zainstalowałam ostatnio automagicznego oświetlenia? I chyba nie trzymałam w szafce nad blatem cyrkli i suwmiarek? Ach, już wiem, to rzeczy Belinde, trzeba jej będzie oddać. Obraziła się na mnie, ale kompletnie nie pamiętam dlaczego. Zapewne nic poważnego, usiądziemy przy herbacie i ciastkach, nigdy długo się na mnie nie gniewa. A ten zielony flakonik, który leży na stole...”.

Jej asystent właśnie sięgnął po buteleczkę, oglądał ją pod światło i wahał podejrzliwie.

– Opium? – spytał. – Meg, nie mówiłaś, że jesteś aż tak chora.

– Przecież zapadłam na podostre Piętno – zachnęła się Margueritte i na dowód złapała się za włosy. Wychodziły garściami. – Oczywiście, że jestem ciężko chora. Daj mi tę fiołkę. Potrzebuję jej. Coś miałam z nią zrobić...

– Miałaś – odezwała się surowo Belinde, która nagle pojawiła się zamiast Vincenta. Z oskarżycielską miną zaciskała dłoń na buteleczce, jej złote loki unosiły się nad ramionami jak rozwiane wiatrem. – Obmyślić plan ocalenia świata. Ale zgubiłaś drogę i zaplątałaś się w dygresjach. Czy twoim właściwym celem był podbój Nouveaux Dijon? Na szczęście od tego są przyjaciele, żeby cię naprowadzali na właściwy trop.

Pracownia roztapiała się we mgle. Po zanikających ścianach spływały gęste, pochłaniające światło strugi mocy Pustki. Posadzka się zmieniała, przeistaczając się w drogę z nieoszlifowanego szkła, prowadzącą daleko poza zasięg wzroku.

– Przystań już gubić się we śnie – powiedziała Belle. – Masz robotę do wykonania.

Margueritte zaczęła iść, krok za krokiem, po szklanej drodze. Wokół kłębiły się kształty nienazwanych istot, wielorękich i wielookich, płynnych w formie i substancji, ani martwych, ani żywych. W oddali widniała wieża z kości słoniowej, niebotyczna, ale cienka jak patyk. Meg szła do przodu godzinę, dwie, trzy – jej nowe sznurowane trzewiki rozmiękły i rozpadły się na strzępy – ale nie zbliżała się do wieży ani o metr. Czarodziejka usiadła na szklanej tafli.

– Wiem, dokąd zdążam – powiedziała – ale wciąż nie mam pojęcia jak. Belinde? Belle? Czy jesteś w pobliżu? Możesz mi pomóc? Przepraszam, że chciałam cię zostawić i zająć się wszystkim sama. Miałaś rację! Przepraszam, że na ciebie krzyczałam!

– Czarodzieje – fuknął ktoś za jej plecami. Margueritte obróciła się i zobaczyła Amandine z rękami buńczucznie opartymi na biodrach. – Mogliby czasem zwracać uwagę nie tylko na głosy we własnej głowie. Samotny geniusz, akurat. Czy zdajesz sobie sprawę, ilu ludzi na ciebie pracuje? Czy jedzenie robi się samo, a wszystkie monografie, z których korzystasz, napisałaś osobiście? Jak często przetwarzasz wspólnie z Vincentem? Traktujesz go jak zwierzątko, jak zwykłego chowańca. Kiedyś jeszcze zlecisz mu zadanie, które go zabije.



– Przepraszam! – zawołała Meg. – Przecież nie mogę pracować bez asystenta! Masz rację! Ratowanie świata przed Rozdarcie to nie jest robota na jedną osobę! Bariery, która oddziela Arborię od Pustki, też nie zbudowano w pojedynkę!

– Bardzo ciekawe – zauważyła Kathryn, która unosiła się nad ścieżką, zaglądając w magiczną kulę. – Interesujące rozwiązanie architektoniczne. Czy pamiętasz, jak przybyłyście do Utraconej Bretanii i okazało się, że nie utonąła w Pustce, chociaż nie została okolona Barierą? Otóż nie musi. Przed Pustką chroni ją Trzecia Wyrocznia, która znajduje się w Nouveaux Dijon. Ciekawe, co kapłani z nią robią. Co się stanie, jeśli jej zabraknie?

„Szlag, to właśnie to – pomyślała Meg. – Cały czas miałam to przed oczyma. Bretania jest zagrożona, ponieważ kapłani, eksperymentując z Pustką, naruszyli stabilność Trzeciej Wyroczni. Dysponowałam wszystkimi danymi, żeby wpaść na rozwiązanie tej zagadki”.

Otóż Wyrocznia zawiaduje transportem przez Pustkę. Służy do tego portal w Avalonie, ale Skuld nie zawaha się przed wykorzystaniem zwykłej rozpadliny, jeśli uzyska podpis energetyczny celu. Skoro dysponuje takimi możliwościami regulowania magii przestrzeni, po Rozdarcu mogła utworzyć kieszeń, w której znajduje się cała Bretania. Nic dziwnego, że nie istnieje żadna Bariera – znajdujemy się w olbrzymiej sakwie podprzestrzennej, takiej jak torebka Belinde albo składane domy produkcji Arte Benare.

Oczywiście gdyby cokolwiek przeciekało albo się popsuło, Wyrocznia będzie potrzebować Maga Pustki, dlatego zawsze pilnowała, żeby ktoś taki znajdował się w pobliżu. Cały ustrój Bretanii służył utrzymaniu jej kruchego bezpieczeństwa w otchłani. Po pierwsze, król z rodu d'Argent, w którym często rodzili się czarodzieje uzdolnieni w zakresie magii Creo, po drugie, Nadworny Mag z de Branche d'Aure, bo przecież musi znaleźć się ktoś do okazjonalnego łatania dziur, a po trzecie, Królewski Smok zamiast maga z de Branche d'Obsidienne, czyli drugiego, nieistniejącego już rodu Magów Pustki. Smoki mają tę zaletę, że bardzo długo żyją. Poza tym dysponują pewnymi podstawowymi możliwościami oczyszczania skażonej energii. Gdyby coś się stało jednemu albo drugiemu czarodziejowi, stabilność świata podczas bezkrólewia zostałaby zachowana.

Tymczasem Theresa von Feuerstein wielokrotnie powtarzała, że Skuld uwięziono. Zakonnicy na pewno potrzebowali ogromnej ilości mocy Pustki, większej, niż mogły im zapewnić skażone wsie i ruiny. Rozpadliny trudno się kontrolowało, więc coś zrobili Trzeciej Wyroczeni – coś, co dawało im potęgę, ale zakłócało jej działanie.

Ta myśl ją otrzeźwiła. Wróciły wspomnienia i poczucie celu. Skupiła wzrok na wieży. Jeśli ma rację, tam właśnie powinna spotkać właściciela głosu, który przemawia w jej głowie. Skoncentrowała się i już w następnej sekundzie znalazła się pod wysokimi śnieżnobiałymi drzwiami. Tkwiła na nich złota kołatka w kształcie paszczy lwa.

– Otwórz – zastukała kołatką – albo użyję siły. Jestem w swojej własnej wyobraźni i potrafię rzucić każde zaklęcie, które kiedykolwiek zapamiętałam, a także takie, które wymyślę na bieżąco. Idę po ciebie i nie myśl, że się z tego wywiniesz.

Spodziewała się oporu, ale wrota otworzyły się z cichym skrzypieniem.

\* \* \*

Wnętrze wieży było puste, ściany i posadzka lśniły białą poświatą, jakby ktoś wypełnił światłem mleczne szkło. Pośrodku stała samotna postać, odziana w długi czarny płaszcz obrębiony złotą nicią. Był to szczupły mężczyzna w średnim wieku, gładko ogolony i ostrzyżony na półdługo, zgodnie z arboriańską modą sprzed dwustu lat. Miał ciemnobrązowe włosy z rudym połyskiem i wyraziste, nieco drapieżne rysy twarzy. Gdy popatrzyło się uważniej, uderzało podobieństwo do Vincenta. Nie bliźniacze, w żadnym wypadku. Gdyby ktoś znał go tylko powierzchownie, nie zauważyłby tego, dopóki nie stanęliby obok siebie.

– Wyobraziłam sobie ciebie czy spotykam cię naprawdę, Lucjuszu Thorpe, samozwańczy Geniuszu z Arborii? – spytała.

– Zależy, jak definiujesz „naprawdę” – odparł, a Margueritte rozpoznała głos, który prześladował ją od wielu dni. – Przyznam, że masz niezwykle silną wolę. Chociaż brakuje mi danych. Do tej pory nie miałem wielu okazji, aby

wypróbować włączenie do Roju na kimś, kto kiedyś dysponował aktywnym Źródłem. Włączyłem jedynie Philippe'a, ale on był miernym czarodziejem.

– Podobno nie żyjesz.

– Życie to względne pojęcie. – Lucjusz wzruszył ramionami. – Skoro rzeczywiście udało ci się do mnie dostać, co teraz zamierzasz zrobić? Wyzwać mnie na pojedynek? Walczyć ze „złem”? A może najpierw zechciałabyś zobaczyć, czego naprawdę usiłuję dokonać? Mogłoby się okazać, że masz o mnie całkowicie błędne zdanie.

– Dlaczego zależy ci na moim zdaniu? – fuknęła Meg. – Zdaje się, że nie przejmowałeś się zdaniem innych członków Cienia Gildii, kiedy dałeś dyla z Avalonu, żeby objąć ciepłą posadkę oferowaną przez Wyrocznię.

– Ach! Więc jesteś pieskiem Elysii Fairbanks, czy jak tam teraz się zwie wasz Arcymag! Miałem odrzucić taką ofertę pracy? – spytał Lucjusz drwiąco. – Z pariasa, wyśmiewanego w głupich sztukach teatralnych, nazywanego przez pismaków szaleńcem i potworem – mimo tego wszystkiego, co robiłem dla Gildii – stałem się powszechnie szanowanym Nadwornym Magiem. Nawet nie musiałem się starać, aby uznano moje szlachectwo. Bretański porządek jest taki prosty i piękny. Czarodzieje odbierają należny im szacunek, durny plebs nie podnosi głowy i nie ma prawa do ujadania. Żadnych gazet, żadnej „opinii publicznej”, żadnych pyskujących sprzątaczek, które myślą, że znają się na polityce lepiej niż adiunkt. A jaka czystość krwi! Nie trzeba szukać wśród gminu. Od razu wiadomo, kto odziedziczy talent. Wybiera się na spadkobiercę najrozsądniejszego z rodu i już, załatwione. Tylko ten zostaje magiem, komu się to należy.

– Czyli mimo całego twojego intelektu wszystko sprowadzało się do leczenia kompleksów – prychnęła Meg. – Pomyśleć, że kiedyś cię podziwiałam! Mógłobyś chociaż zapisać swoje zaklęcia tak, żeby ktoś jeszcze odczytał je poza tobą.

– Zawsze uważałem, że o zdobycie wiedzy trzeba się postarać – odpowiedział Lucjusz. – Nie szanujesz tego, co dostajesz na tacy. „Publikacje”, też mi coś. Ten partacz, który recenzował moją pracę, powtarzał cudze teorie jak papuga. Nie umiałby rozpoznać oryginalnej koncepcji, nawet gdyby kopnęła go w tyłek.

– Cóż, cokolwiek teraz robisz, niszczysz piękny porządek, który pochwalasz i w który tak ochoczo wrosłeś. Świat się rozpada, i to przez ciebie.

– Przejściowe problemy. – Skrzywił się. – Odrobina skażenia, Wyrocznia wpada w panikę i ludzie tracą zdrowy rozsądek. Ona tak już jest zaprojektowana, żeby dostawać małego rozumu za każdym razem, kiedy się dłużej przy procedurach. Ale oczywiście twój ostrożny, ograniczony kobiecy umysł może tego nie pojąć.

Margueritte pomyślała, że jeśli Lucjusz chciał ją skusić – nieważne, co zaplanował – właśnie pogrzebał wszystkie swoje szanse. Nic dziwnego, że z takim charakterem źle mu się żyło w Arborii.

– Zatem pokaz, co tam kombinujesz – westchnęła. – Opracowałam na nowo twoje niechlujne bazgroły, może i to pojmem.

Wieża zaczęła się zmieniać. Białe, przeświecające od wewnątrz ściany przeistoczyły się w gładki szary kamień. Ten znów stopniowo pokryła hipnotyzująca mozaika, jakiej Margueritte nigdy wcześniej nie widziała. Kamyki – chyba z barwionego szkła – wszystkie maszynowo jednakowej wielkości, prostokątne i wielobarwne, nie tworzyły żadnego rozpoznawalnego obrazu. Ale bez wątpliwości stanowiły wzór. Nie był regularny, należało się dłużej wpatrywać, żeby dostrzec prawidłowości i powtórzenia w układzie kilkunastu różnych kolorów. Od czasu do czasu niektóre grupy kamieni rozświeślały się i gasły. Jakby pulsowały.

Bardzo do tego obrazu nie pasowały kunsztownie wykute srebrne runy, które przytwierdzono na powierzchni prawie całej mozaiki. Same w sobie niewątpliwie stanowiły dzieła sztuki, ale gryzły się z nią jak nadmierna ilość ozdób na święto Jasnej Nocy. Dało się dostrzec, że nie powstały w tym samym czasie.

Na szarej posadzce umieszczono ich jeszcze więcej – wykonanych ze srebra, miedzi i chyba z łożowiu, wpisanych w niezwykle wyrafinowany, wzbogacony licznymi figurami magiczny krąg. Pośrodku niego widniał pochłaniający światło wir wielkości mniej więcej kawowego stolika.

– I jak? – spytał Lucjusz z lekką drwiną. – Czujesz się przytłoczona? Czy mogę wyjaśnić?

– Chwilę – mruknęła Margueritte. – Czytam. Oglądamy komnaty Wyroczni, prawda?

– Oglądamy Wyrocznię – podkreślił Lucjusz. – Ale nie sądzę, abyś to zrozumiała.

– Wiem, co robisz – zmarszczyła brwi – chociaż nie potrafię w to uwierzyć. Runy Pustki? Krąg Podrózny? Chcesz używać Wyroczni jako portalu w pierwotną Pustkę? Chwilę, nie. Zamierzasz posłać tam znacznie więcej, a to jest napęd. Po co?

– Widzisz jedynie mały fragment całej konstrukcji – Lucjusz promieniował dumą – która może ocalić od rozpadu nasz świat, a także odkryć dla nas inne. Zamierzałem w pierwszej kolejności odnaleźć zaginioną Alterrę, stolicę Cesarstwa Triumwiratu. Zebrałem wiele zwojów z tamtego okresu. Wiem, że w stolicy znalazłbym artefakty, które pomogą zjednoczyć rozdarte ziemie. Po co? Dobre pytanie. Przecież nie można dostąpić większych zaszczytów. W Arborii rozwiną przede mną czerwony dywan, stanowisko Arcymaga mam w kieszeni.

– Ja to sobie zapiszę. – Margueritte zmaterializowała gruby brulion, identyczny jak ten, który zostawiła w pokoju. – Pozwolisz?

– Zapisuj! Pytaj, o co chcesz.

– Dlaczego tak długo ci to zajęło i po co ten cały sztafaż z zakonnikami i wszystkim?

– Och, potrzebuję asystentów, aby dostarczali mi zasobów i pomagali w wykonaniu tak ogromnego magicznego dzieła. Niestety, wiele elementów konstrukcji wymaga nasycenia nieprzetworzoną mocą Pustki. Tak że widzisz: pieniądze, czas, przeszkoleni ludzie... – Pstryknął palcami. – Spójrz na to.

W powietrzu pojawiło się wielkie zwierciadło. W nim Margueritte dostrzegła starego, przygarbionego mężczyznę, który snuł się po kapiącej od złota, wyposażonej we wszelkie luksusy komnacie. Mężczyzna odwrócił się do lustra i Meg ujrzała jego oczy.

Pochłaniały światło.

Odwróciła się z obrzydzeniem.

– Philippe. Już zupełnie się nie nadaje – powiedział beztrąsko Lucjusz. – A bez niego w ogóle nie mogę się pojawić w Dijon. Moja obecna postać ma pewne

wady. – Westchnął. – Pewna... przyrodzona opieszałość w działaniu. Komunikacja z Rojem tylko w formie przesłań mentalnych, czyli proporcjonalnie skuteczna do intelektu odbiorcy. Skoro już o tym mowa, dam pewien przykład, żebyś wiedziała, z kim muszę pracować. Moi ludzie ostatnio mieli mi coś dostarczyć. Rzadki towar, o który tak trudno w Bretanii. Oczywiście stracili go na rzecz tubylców, więc wysłałem szpiegów w pościg. Towar odnaleziono i dowiedziano się, że tubylcy chcą go przetransportować w moje okolice, tak że prędzej czy później i tak trafi do mnie. A oni, wyobrażasz sobie, zamiast zostawić sprawę i cierpliwie poczekać, ujawnili swoją obecność i znów dali się pobić. Sama widzisz, że potrzebuję kompetentnych sojuszników.

– Oho, już nie jestem ograniczonym kobiecym umysłem? – mruknęła Meg, cały czas notując.

– Ach, przekonałem się, że rozumiesz podstawowe zagadnienia. Na pewno dysponujesz większą wiedzą niż którykolwiek z tych bretańskich durniów.

– Mhm. Chyba wiem już wszystko, co trzeba. – Margueritte zatrzasnęła brulion. – Skontaktuję się, kiedy podejmę decyzję.

– Jeżeli przyłączysz się do Roju, otrzymasz możliwość używania nieprzetworzonej Pustki, podobnie jak energii magicznej – dodał Lucjusz. – Spełniasz warunki brzegowe.

– Miło mi. Pamiętasz, jak powiedziałam, że znajdujemy się w mojej wyobraźni i mogę tutaj rzucić każde zaklęcie, jakie znam?

– Tak? – zdziwił się uprzejmie były Nadworny Mag.

– Nie lubię słyszeć głosów w głowie i o kontakcie zdecyduję sama. Czekaj cierpliwie – powiedziała twardo Meg. – Absolutna Blokada Mentalna.

\* \* \*

Opierała lewą dłoń na drewnianej podłodze. Palce miała poplamione świeżym atramentem, który nieuchronnie wsiąkał w deski – widocznie spadła z łóżka podczas transu i zahaczyła ręką o kałamarz. Stopniowo powracał ból, ale umysł był jasny i czysty. Udało się. Wciągnęła powietrze w płuca, rozkoszując się oddechem. Odzyskiwała świadomość własnego ciała i z wolna docierało do niej,

że potrzebuje odwiedzić toaletę. Postanowiła jeszcze chwilę odczekać, zebrać siły. Cała drżała.

„Odciełam go, sukinsyna. Odciełam Lucjusza Thorpe’a! Wygrałam pojedynek, i to w taki sposób, że to on jest przekonany o zwycięstwie. Zdobyłam informacje. Na jaja Wędrowca, informacje, które wstrząsną Bretanią. Stara szalona Meg ma jeszcze parę asów w rękawie”. Zachichotała cicho, kaszlnęła.

Nad nią przesunął się jakiś cień i dopiero wtedy Margueritte zorientowała się, że oprócz niej w pokoju przebywają inne osoby. Podpierając się dłonią, bardzo ostrożnie podniosła się do pozycji siedzącej.

– Uważaj – syknął jakiś mężczyzna. – Może czegoś próbować!

– Ona jest chora. – Meg rozpoznała głos Belinde. – Dajcie mi z nią porozmawiać.

– Nie strzelajcie, dopóki nie wydam rozkazu – odezwała się Theresa.

W zwykłych okolicznościach po takich słowach Margueritte postawiłaby już tarczę ochronną i zebrała się do ciskania zaklęć bojowych, ale na podobne luksusy od dawna już nie mogła liczyć w Bretanii, więc bardzo, bardzo powoli, jak kot, który nie chce spłoszyć swojej przyszłej ofiary, uniosła wzrok.

Stał nad nią cały krąg postaci: generał von Feuerstein, drugi intendent Blanchet, uzbrojony po zęby mistrz zakonu pod wezwaniem Widzącej Aimée, którego imienia Meg nie pamiętała, i kilka innych, mniej znaczących postaci. Niektórzy trzymali naciągnięte kusze. Zza pleców Blancheta, powstrzymywana mocno przez jakiegoś żołnierza, wychylała się śmiertelnie blada Belinde Chamomille.

Komnata wyglądała jak...

Jakby ktoś niezupełnie przytomny intensywnie w niej pracował.

Na podłodze leżały rozsypane karty, powydzierane z brulionu, niektóre zmięte, inne od góry do dołu zabazgrane wzorami i schematami. Margueritte rozpoznała je – zawierały szkice run, rysunki komnat Wyroczeni i notatki z rytuału Lucjusza. We śnie zdawało jej się, że zapisuje wszystkie szczegóły w ułamku sekundy, bo tak to zwykle bywa ze snami, w rzeczywistości musiała nad nimi spędzić całe godziny. Na pewno długo to trwało, skoro skończyło się już działanie opium.

Odczytanie tej twórczości zabierze drugie tyle, zwłaszcza że pisała przecież lewą ręką.

Ale na tym nie skończyła się jej gorączkowa praca w transie. Kiedy zabrakło papieru, zaczęła zapisywać na stole i pobielonych ścianach. Wreszcie gdy złamała stalówkę, wymalowała ostatnie runy palcami na parkiecie. Powoli docierało do niej, jak to wszystko może wyglądać dla postronnych. Na pewno nie jak wytwór zdrowego umysłu albo nieszkodliwe rysunki. „Myślę, że sama próbowałam odprawiać tutaj jakiś rytuał”.

– Ahem... – odchrząknęła.

– Chce coś powiedzieć! – warknął mistrz zakonu. – Z całym szacunkiem, pani generał! Zabijmy ją, zanim omota nas zaklęciami lub siecią gładkich słów. Jeśli posługuje się splamioną, przekłętą mocą Zaświatów...

– Zapewniam, że tego nie robi – oświadczyła Belinde. – Odczyt na moim wykrywaczu byłby znacznie silniejszy.

– Lady Chamomille. Jest pani jej towarzyszką, dlaczego niby mielibyśmy pani wierzyć?

– Właśnie, Belinde – von Feuerstein splotła ramiona i spoglądała na czarodziejkę spod oka – dlaczego?

Belinde wyglądała, jakby zaraz miała eksplodować.

– Bo nie da się rzucić zaklęć ani odprawiać rytuałów w stanie nietrzeźwości – wyszczała przez zęby. – A Margueritte naćpała się moim eliksirem przeciwbólowym, o czym już wam mówiłam. Czy żaden ze szlachejnych panów, którzy tutaj stoją, nigdy w życiu nie próbował walczyć po pijaku? Czy broń was wtedy słucha? Ale bierzecie ją do ręki, bo robiliście to przez całe życie...

– Czyli sugeruje pani, że lady de Breville z zaćmionym umysłem usiłowała rzucić zaklęcia, ponieważ posługiwanie się magią weszło jej w nawyk? – zapytała generał Theresa.

– Prowadzenie badań nad magią – poprawiła ją lady Chamomille. – To w ogóle nie są zaklęcia. Raczej analiza... próba analizy... nie wiem, czy można to tak nazwać. Zapewne śniło jej się, że wymyśla jakieś nowe dzieło. Widziała pani, jak pracujemy nad soczewkami...



– Może pani sobie mówić, co chce – przerwał jej mistrz zakonu. – Wszyscy wiemy, że jest napiętnowana. Mnie to bez wątpienia wygląda na jakies bluźnierstwo.

– A mnie na poczátki pospolitego szaleństwa – włączył się Blanchet spokojnym głosem. – Szaleństwa z bólu, chciałbym podkreślić. Niech pan sobie uświadomi, jaką miksturę przedawkowała lady de Breville. Powinniśmy jej współczuć, a nie celować do niej z kuszy. Kto wie, czy równie dzielnie jak ona znosilibyśmy Piętno.

Margueritte wyczuła, że atmosfera stała się trochę mniej napięta.

– Ja... – Wszyscy na nią spojrzeli, znów uniesiono kusze. – Och, na litość... zsiusiam się, jeśli będziecie do mnie dalej celować. Nie dodawajcie pracy tutejszym służącym. To miłe dziewczyny.

Nazywając po imieniu czynność fizjologiczną, wywołała powszechne zakłopotanie. Dama powinna udawać, że nie istnieje coś takiego jak pęcherz, a jelita opróżniają się automagicznie. Jednak napięcie zaczęło rozchodzić się po kościach; przemawiała wulgarnie, ale z sensem.

– Zaprowadźcie ją, żeby mogła załatwić swoje sprawy. – Generał odchrząknęła. – Pani Chamomille, proszę jej towarzyszyć. Chyba najwyższa pora przygotować pani de Breville inną komnatę. Bardziej bezpieczną i bez dostępu do atramentu.

– Proszę zachować jej notatki, oczywiście te papierowe. – Belinde wciąż przypatrywała się szkicom. – Margueritte wielokrotnie mi opowiadała, że czasem śnią jej się dobre pomysły, może i z tego coś się da uratować.

– Sprzeciwiam się – wtrącił mistrz zakonu. – Komnatę należy opieczętować, papiery zaś natychmiast spalić.

Theresa rzuciła im obydwójgu twarde spojrzenie.

– Sama zdecyduję, co zrobić z papierami. Ty zaprowadź de Breville do wychodka. Ty zażądaj nowego apartamentu. Nie kaźcie mi się powtarzać. Służba ma niczego nie dotykać. Nakazuję zamknąć drzwi na klucz do odwołania. Jeżeli zniknie stąd chociaż pyłek... – generał niby przypadkiem zatrzymała wzrok na mistrzu zakonu – będę wiedzieć, co obecni w komnacie sądzą o moich rozkazach, i odpowiednio zastosuję się do tej wiedzy.

Wyszły wreszcie z wieży toaletowej. Margueritte miała wrażenie, że zostawiła tam połowę wnętrzości; zimny pot perlił się na jej skórze. Belinde znalazła szezlong w sąsiadującej, przechodniej komnacie, zebrała poduszki z krzeseł dookoła, wreszcie otuliła Meg płaszczem. Przez cały ten czas dwóch żołnierzy przydzielonych do pilnowania lady de Breville nie spuszczało z nich oka.

– Woda. – Belinde wręczyła jej manierkę.

– Dz... dziękuję. Na razie nie skorzystam.

– Musisz coś wypić, jesteś odwodniona. Masz gorączkę. – Belinde sama nagle zadygotała jak w febrze. – Meg, przepraszam. Nie wyobrażałam sobie... nie zdawałam sobie sprawy... Powinłam sama do ciebie przyjść, odmierzyć dawkę. To było bezmyślne z mojej strony.

– Nie dotykaj mnie, narażasz się na skażenie. – Meg odsunęła jej dłoń z czoła.

– Gdzie tam skażenie – fuknęła Belinde. – Wydaliłaś wszystko, co się dało wydalić, reszta krąży we krwi. Masz emisję prawie na bezpiecznym poziomie...

– Prawie – mruknęła Meg sardonicznie. – Obniżyłaś standardy.

– Wiesz co, bo mnie gówno obchodzi, że odrobinę przekroczę normy! – wybuchła lady Chamomille. – Jakie to ma znaczenie? Nie jesteś pustkostworem, więcej nie wyemitujesz. Co ty sobie w ogóle wyobrażałaś?! Nie mogę uwierzyć, że chciałaś... – Głos jej się załamał.

– Gdybym naprawdę próbowała coś sobie zrobić – Meg poczuła, jak na policzkach wykwitają jej rumieńce – wzięłabym cały flakonik, a nie dwie dawki. Na Pustkę, nie rób takiej miny. Dobrze postąpiłaś. Nie było żadnego niebezpieczeństwa. Niczego nie ryzykowałaś. Mam tobą potrząsnąć?

Belinde otarła łzy i dokładniej otuliła ją płaszczem.

– Czuję się już dostatecznie wstrząśnięta.

Jeden z żołnierzy odchrząknął.

– Szlachetna lady Chamomille, chciałbym zapytać, czy lady de Breville odpoczęła. Rozkazano nam jak najszybciej doprowadzić ją z powrotem do komnat.

Meg została jeszcze przez chwilę na szeszlengu, sącząc wodę z manierki. Czuła, jak ból przeżera jej kości, ale starała się zachować jasność myślenia. Musi się trzymać, bo dla Bretańczyków osoba cierpiąca na Piętno to tyle, co przeklęta (i nie bez powodu, zważywszy na jej niedawne odkrycie); jeśli mistrz zakonu przekona Theresę, nawet Belle jej nie pomoże. „Właściwie najbardziej przydałoby się wino – skonstatowała. – Niewielka dawka nie wpłynie na mój osąd, lecz na pewno przyniesie ulgę. Jeśli namówię Belinde, żeby zaprawiła je odpowiednią dawką makowej mikstury, powinno być nie najgorzej. Trzeba jakoś znaleźć złoty środek między rozumem zaćmionym z bólu a uspionym lekami. Bez głosu Lucjusza z tyłu głowy można by jakoś żyć. Muszę o tym wszystkim opowiedzieć Theresie. Ale jak? Same wieści są dość nieprawdopodobne, a jeśli wziąć pod uwagę sposób, w jaki je zdobyłam...”.

Słudzy wskazali nowy apartament, sąsiadujący z poprzednią komnatą. Margueritte zerknęła tęsknie w stronę drzwi, myśląc o zapiskach i bagażu. W nowej komnacie nie znalazła swojego plecaka – ani, co zrozumiałe, zapisanego podczas transu brulionu. Na łóżku złożono stos długich nocnych koszul, obok na nocnej szafce położono książkę o charakterze religijnym – jak zgadywała, modlitewnik albo *Legendę Szarego Wędrowca*. Na ścianie wisiała podobizna świętej Aimée uwiecznionej w geście błogosławieństwa.

W szerokim fotelu czekała na nie Theresa von Feuerstein we własnej osobie. Na widok czarodziejek podniosła się, wskazała Margueritte fotel, sama zaś zajęła krzesło.

– Proszę odpocząć. – Skinęła na sługi, aby zamknęto drzwi. – Wkrótce przyniosą leguminę, owsiankę i pasztet wieprzowy. Do posiłku podadzą wodę, piwo i wino. Nie wiem, co teraz pani może jeść i pić, więc proszę wybrać. Po tak długiej... nieobecności musi pani się pożywić.

Margueritte zrozumiała, że generał czuje się częściowo odpowiedzialna za to, co się wydarzyło, i na swój sposób próbuje ją przeprosić.

– Dziękuję, pani generał.

– Lady Chamomille, jutro wraca pani do rusznikarzy. Notatki zostaną pani dostarczone w odpowiedniej chwili. Armand, chociaż cenię sobie jego zdanie w sprawach wojskowości, nie umie wyzbyć się emocji w kwestiach religijnych.

Proszę go zrozumieć, walczymy z herezją Cierpliwego Wędrowca, nic dziwnego, że wszędzie widzi bluźniercze moce Zaświatów. Proszę podzielić miksturę przeciwbólową na porcje; zaufany sługa będzie wydzielał pani de Breville dawki. Przydzielię też pokojowe, które znajdują się na opiece nad chorymi. Potrzebuję pani w warsztatach, lady Chamomille.

Belinde z powagą skinęła głową.

– Pani de Breville – odezwała się von Feuerstein powoli, z namysłem – muszę spytać. Czy rzeczywiście próbowała pani obmyślić nową broń? Czy wzięła pani większą dawkę mikstury, aby zagłuszyć ból i pomóc sobie w pracy? I czy chociaż częściowo pamięta pani swój pierwotny zamiar?

„Teraz następuje chwila – pomyślała Margueritte – w której kompletnie podważam resztki zaufania generał”.

– To zabrzmiało jak szaleństwo – odchrząknęła – albo zdrada, ale proszę mnie wysłuchać do końca. Miała pani rację, napiętnowanym nie można ufać. Większość z nich – nie wszyscy, ale podejrzewam, że większa część zakonników – porozumiewa się między sobą na odległość. W myślach. Tworzą... coś w rodzaju wspólnego umysłu i do pewnego stopnia potrafią wzajemnie rozpoznawać swoje zamiary. Nazywają to Rojem.

Theresa von Feuerstein pobladła i ledwo zauważalnie zacisnęła dłonie na oparciu krzesła. Belinde wyglądała na wstrząśniętą.

– Teraz może mnie pani skrócić o głowę – ciągnęła Meg – ale proszę słuchać dalej, nieważne, czy mi pani wierzy, czy nie. Próbowano mnie do tego Roju wciągnąć. Kiedy dałam sobie amputować rękę, nie tylko pozbywałam się najgorszych objawów Piętna, chciałam również odciąć głosy.

– Głosy?

– Nie przeczę, walka stała się łatwiejsza, mogłam się opierać, ale ich wpływ stopniowo rósł. Więc kiedy dostarczyła mi pani eliksir, postanowiłam skorzystać ze starej techniki medytacyjnej... – trochę koloryzowała, ale co tam – i pokonać ich siłą woli.

– Proszę powtórzyć, bo nie wiem, czy dobrze pojęłam – rzekła Theresa bardzo, bardzo spokojnym tonem. – Za każdym razem, kiedy moi żołnierze

chorowali na Piętno, stawali się szpiegami wroga. Pani również. Ale nie poinformowała pani o tym mnie ani Belinde.

– Nie miałam czego szpiegować, na Pustkę. – Meg nieświadomie podniosła głos. – Nie sprawowali nade mną kontroli. I już im się wymknęłam. Zażyłam miksturę, poszłam po nitce do kłębka, spotkałam się z ich szefem. Wszystko, czego się dowiedziałam, powinno być na tych kartkach. Wystarczy sprawdzić, czy to ma sens. Może mnie pani zabić choćby jutro, wiele życia nie stracę, ale musi pani usłyszeć jeszcze jedno. Zakonem Cierpliwego Wędrowca dowodzi Lucjusz Thorpe, to znaczy Lucjusz Wielki. Przeniósł świadomość do innego ciała i nadal żyje.

Theresa von Feuerstein wstała.

– Lady Chamomille, wychodzimy.

– Pani generał... – zaczęła Meg.

– Nie jestem pewna, czy pani bełkot świadczy o zdradzie, czy o szaleństwie. I tylko dzięki temu ocalała pani głowę, bo nie mam serca oddać katu człowieka, który nie wie, co mówi.

– Margueritte – jęknęła Belle. – Dlaczego zataiłaś przede mną coś takiego? Meg! Przede mną?

– Lady Chamomille, musi pani przyjąć do wiadomości, że zmysły pani przyjaciółki są zmaczone. Rozumiem, że to bolesne. Rozkazuję pani iść za mną.

– Pani generał! Lucjusz użył Trzeciej Wyroczni do zbudowania maszyny podróźnej, ale popełnił błąd we wzorze... – Meg mówiła bardzo szybko, żeby zdążyć, zanim generał i Belle opuszczą komnatę. – Jak to wszystko odpali, nie będzie czego zbierać... Pod żadnym pozorem nie wolno podbijać Nouveaux Dijon!

Drzwi zatrasnęły się z hukiem.

\* \* \*

Za oknem wreszcie zapadł mrok i Margueritte przewróciła się na drugi bok z nadzieją, że ogarnie ją senność. Bezskutecznie szukała wygodnej pozycji, do reszty wygniatając puchową poduszkę. Gdzieś w komnacie brzęczała mucha; koszula nocna kleiła się do skóry. Drżały jej mięśnie, a serce biło zbyt szybko,

żeby dać jej zasnąć. Czekala cierpliwie, aż zmęczenie pokona ból. Poprzedniej nocy nie zwyciężyło, więc tej powinno wziąć górę.

Od czasu pamiętnej rozmowy minęło już wiele dni i chociaż regularnie dostawała dawki mikstury, jej ciało zaczynało się na nią uodparniać.

„Wstanę, przewietrzę się, poczytam książkę”.

Ale zostawili jej tylko *Legendę Szarego Wędrowca* i modlitewnik. Cóż za hojność, aż dwie książki religijne. Oczywiście je przeczytała; nic innego nie miała do roboty. Nawet nie pamiętała zbyt dobrze, czym się różni bretańska wersja od arboriańskiej, pomijawszy język. Pewnie sądzili, że będzie dla otuchy recytować psalmy, ale jej wyobraźnię całkowicie zdominowały pełne ekspresji wizje końca świata i kazania potępiające złoczyńców. Bezskutecznie próbowała znaleźć w sobie sześćioletnią Meg, która z wypiekami na twarzy czytała o przyjsciu pierwszych ludzi i zasiedleniu Ziemi Drzew pod przewodnictwem Wędrowca. Nie żeby jakoś tęskniła za religią, ale wołała nie myśleć o tym, że według wszelkiego prawdopodobieństwa niedługo skończy się świat.

Zamknęła oczy i zaczęła przeliczać Podstawowe Elementy. Wzory ją uspokajały – czyste i proste, pozbawione kontekstów, znaczeń, naleciałości kulturowych. Po raz trzeci wróciła do Creo, kiedy za oknem rozległo się szuranie. Jakiś ptak o tej porze skrobie w dach?

– Chyba śpi. Może jest w malignie – szepnął męski głos. Jakby znajomy.

Drugi głos, kobiecy, był ledwo słyszalny. Margueritte nadstawiła uszu. Czyżby...? Nie, to niemożliwe.

Okno zaczęło się otwierać. Meg wciąż udawała sen. Jeśli przyszli ją zabić, odskoczy w stronę szafy, ale najpierw z impetem dociśnie okiennice.

– Żle wygląda. – Mężczyzna, w którym już poznawała Blancheta, stał nad jej łóżkiem. – Nie wiem, czy wytrzyma podróż. Na policzku ma otwartą ranę.

Kobieta na dole znów coś odpowiedziała.

„Nie są skrytobójcami” – zrozumiała Margueritte.

– Jeśli macie książki, byle nie religijne – wyszeptala – zniosę każdą podróż.

– W takim razie proszę wstać i wziąć bagaże, winda czeka – powiedział Blanchet.

Ze stęknieniem usiadła na łóżku. Pierwszy raz widziała mistrza szpiegów ubranego w coś innego niż modny dworski przyodziewek. Jego ciemnoszary strój, zlewający się z otoczeniem, kojarzył się Meg z nocnym drapieźnikiem.

– Wszystko mi zabrali – mruknęła, zarzucając na siebie szlafrok. – Nie zostawili nawet butów, tylko jakieś miękkie papucie. A ze stopami, chwalić Pustkę, nic się akurat nie dzieje. W ogóle chwilowo weszłam w stabilną fazę Piętna. Prędzej oszaleję tutaj z nudy niż od skażenia.

– Tak, znamy pani skłonność do bagatelizowania własnego stanu. – Blanchet skinął głową. – Proszę wsiadać do kosza.

„Kosz” był lekką, ale wytrzymałą drewnianą konstrukcją zamocowaną na linie. Margueritte wsunęła się do środka z wydatną pomocą Blancheta. On sam stanął po zewnętrznej stronie, balansując tak, aby kosz zachował równowagę. Meg ciekawiło, jak tę konstrukcję zamontowano, ale z tej perspektywy widziała głównie intendenta i jego płaszcz.

Kosz ze skrzypieniem powędrował na dół. W połowie drogi dołączyła do nich jakaś postać, nieomal frunąc w powietrzu. Z wolna osiadali na chwiejącej się łodzi. Wokół wyczuwało się charakterystyczny zapach fosi, chociaż odświeżano ją dopływem bieżącej wody z rzeki.

– To idiotyczne. – Meg zmarszczyła nos. – Mogliście mnie wyprowadzić od wewnątrz.

– Proszę mnie nie uczyć mojego fachu – upomniał ją cicho Blanchet. – Proszę mi wierzyć, tak było łatwiej.

– Zależy dla kogo – usłyszała zdyszany głos Belinde. – Od stu lat się nie wspinałam. Weź swoje haki, Blanchet.

– Belle!

Mistrz szpiegów położył palec na ustach. Po kwadransie wiosłowania w niemal kompletnej ciszy przybili do brzegu, który w tym miejscu był dość niski. Belle i Blanchet we dwoje wynieśli czarodziejkę z łodzi pod osłoną gęstej kępy olszyn. Chwilę później Margueritte siedziała na wierzchołku, mocno przytrzymywana przez Blancheta w pasie. Obok na swojego konia wskoczyła Belinde, odziana w ciemnoszary męski strój. Pojechali stępem.

– Nie wierzę, że sprzeciwiłaś się Theresie.

– Nie sprzeciwiłam się. – Głos lady Chamomille brzmiał sztywno i sucho. – General wie o wszystkim.

– Dlaczego więc...?

– Nie będziemy teraz o tym rozmawiać, Meg.

– Przeczytałaś notatki. Zrozumiałaś je.

Przyjaciółka spojrzała na nią uważnie.

– Mniej więcej jedną czwartą – powiedziała. – Wliczając te miejsca, gdzie przez całą stronę powtarzałaś „co było do okazania” i spisywałaś szkolne wzory. Większość jest pozbawiona sensu.

– W takim razie dlaczego...?

Nie uzyskała odpowiedzi. Meg poczuła ukłucie w sercu, a może to był żołądek; zdarzało jej się mylić sygnały dawane przez ciało z emocjami i na odwrót.

– Belle... przepraszam za wszystko. Opiekowałam się mną już poprzednio, kiedy naraziłam się na Pustkę. I teraz znowu... i uwalniasz mnie, nieważne z jakiego powodu. Zachowywałam się okropnie. Przepraszam, że wszystkim chciałam się zająć sama.

Lady Chamomille pochyliła głowę i jechała dalej w milczeniu. Zdawało się, że ignoruje słowa Margueritte. „Ma pełne prawo” – pomyślała czarodziejka ze smutkiem.

– Zapisałaś to – wykrztusiła wreszcie Belle, odwracając w jej stronę zapłakaną twarz. – Zapisałaś, jak przepraszasz pół świata za to, że nie jesteś chodzącym ideałem. Codziennie muszę znosić brak Źródła i nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co się z tobą dzieje. Ale ty jeszcze wszystko utrudniasz. Ile lat się znamy? No więc czasem zachowujesz się jak dziecko. Zdarza się każdemu. I tyle. Nie mówmy o tym więcej.

– Drogie panie – mruknął Blanchet – właśnie omijamy obóz.

Resztę drogi przemierzeli w ciszy.

\* \* \*



Upłynęła godzina, może więcej – Meg nie rejestrowała czasu. Zatrzymali się w rzadkim świerkowym młodniku, pod jednym z gęsto porośniętych leszczyną pagórków, które ciągnęły się wzdłuż drogi. Zdjęto ją z wierchowca i posadzono na trawie. Blanchet rozgarnął krzaki i oczom Margueritte ukazały się drzwi do ziemianki, takiej, w jakich zwykle przechowuje się warzywa na zimę.

– Proszę się ubrać – nakazał, układając przy Meg niewielki stos prostej ciemnoszarej odzieży oraz płaszcz. I buty – jej własne wysłużone trzewiki jeszcze z Arborii, które wymagały pracy szewca, żeby w ogóle dać się nosić, ale za to na pewno nie uwierały.

Belinde grzebała w ziemiance, wyciągając z niej kolejne przedmioty; w tej chwili zarzuciła na ramię coś, co do złudzenia przypominało stary arboriański plecak.

– Jak forma? – zapytała cicho. – Będziemy jechać jeszcze ze dwie godziny, zanim złapiemy powóz. Nie dało się inaczej.

– Znakomicie, mogłabym skakać konno przez przeszkody – zaskrzeczała Meg i odkaslnęła. – Jestem chora, obolała i pod wpływem opium, nie spałam przez ostatnią dobę i brakuje mi prawej ręki, uprzedzam więc, że mogę spaść.

– Przynajmniej mówisz szczerze – westchnęła Belle. Wręczyła jej termos. Prawdziwy, zabrany jeszcze z domu. – Tutejszy odpowiednik kawy. Powinna cię utrzymać na nogach, ale nie przyspieszy pulsu. Twój policzek... – zawahała się – może piec. Wreszcie sporządziłam balsam, ale...

– Będę pić lewą stroną. Dokąd jedziemy?

– Nie wolno mi mówić.

Margueritte zaczęła saczyć ziołową herbatę. Znała podobną mieszankę z czasów współpracy z arboriańskim wojskiem, pamiętała zapach i to wystarczyło, żeby trochę ją otrzeźwić.

– Traktujecie mnie jak szpiega, który zgodził się zeznawać – zauważyła. – Nie dajecie mi żadnych informacji, ale chcecie uzyskać ode mnie te, których mogę udzielić.

Blanchet westchnął ze zniecierpliwieniem. Belinde uśmiechnęła się krzywo.

– Według wszelkiej logiki jesteś w tej chwili podwójnym szpiegiem – wyjaśniła. – Naszym i Lucjusza. Może go i odciął, ale nie wiemy na jak długo.

Piętno nadal cię drąży.

– Potrójnym – burknęła Margueritte i ugryzła się w język. Rzeczywiście, jej umysł nie działał tak sprawnie jak zawsze. Nie zamierzała opowiadać o Cieniu Gildii przy Blanchecie. – Zaraz. Wierzysz mi, Theresa też mi wierz.

– Widziała machinę, którą opisałaś, gdy znajdowała się w początkowej fazie budowy – odparła Belle. – Wydarzenia z dawnych dziejów poskładały jej się w całość. I ta informacja, którą Lucjusz z pewnością zna, powinna ci na razie wystarczyć.

\* \* \*

Dalszą podróż Margueritte pamiętała jak przez mgłę. Po kilkugodzinnej męczącej jeździe, podczas której starała się ze wszystkich sił nie spaść z konia, przeniesiono ją do powozu. Tam wreszcie, na przygotowanym dla chorej miękkim poślaniu, mimo wstrząsów prawie natychmiast zapadła w sen.

Kiedy obudziła się następnego ranka, odmówiła środka przeciwbólowego proponowanego przez Belinde. Według wszelkiego prawdopodobieństwa transportowano ją gdzieś, gdzie jej wiedza będzie użyteczna, a bystrość umysłu – niezbędna. Postanowiła więc odstawić miksturę z maku, z nadzieją że podczas krótkiego czasu, gdy go przyjmowała, jeszcze się od niej nie uzależniła. Nie wiedziała, co w większym stopniu przytłumia jej zmysły – opium czy ból, jednak ten drugi zmniejszał się do znośnych poziomów, gdy miała poczucie celu.

Podążali na południowy wschód i teren stopniowo stawał się górzysty. Przystanęli w dwóch gospodach, gdzie Belinde dołożyła wszelkich starań (i pieniędzy), aby się Meg zanadto nie przyglądano. Później zatrzymywali się w podobnych do siebie chatach, zdawałoby się opuszczonych, ale wyposażonych w podstawowe wygody i ukrytych w pobliżu szlaku. W czasach pokoju służyły posłańcom lub szpiegom – tego Margueritte nie wiedziała, domyślała się tylko, że obrano tę trasę i ustalono tempo podróży ze względu na jej stan.

Na tych postojach spała lepiej niż w wygodnej komnacie na zamku Carline, a gdy nie mogła zasnąć, czytała po raz drugi zmięty egzemplarz *Umarłego narzeczonego*, powieści postneogotyckiej, którą zabrała z Arborii i po wielu perypetiach ze zdziwieniem znalazła w zwróconym jej plecaku.

Czasami Blanchet znikał na większą część nocy, a po powrocie długo dyskutował z Belle. Na dachu powozu transportowano klatki z gołębiami i Meg mogłaby przysiąc, że ich liczba stopniowo się zmniejsza. Odnosiła też wrażenie, że kilka razy zmieniono pierwotny plan podróży; raz na pewno skręcili w leśną drogę po tym, jak w oddali dostrzeżono wyraźny słup dymu. Na pytania Meg odpowiadali, że przecież toczy się wojna. Czarodziejka była przekonana, że nie mówią jej wszystkiego. Belinde nie zdejmowała wykrywacza skażenia z nadgarstka.

Podróżowali dalej wzdłuż dróg opasujących wysokie górskie zbocza. Kiedy się tylko dało, Margueritte spoglądała w dół, próbując przypomnieć sobie mapy generała von Feuerstein, i zastanawiała się, w jakim księstwie teraz się znajdują. Raz dostrzegła szerczącą się w dolinie pożogę; siwy dym zasnuwał domy i rzekę jak włóczka.

Ostatniego dnia powóz zatrzymał się przed południem w pobliżu krawędzi omszałego górskiego zbocza. Nasłuchując uważnie, Meg zorientowała się, że Blanchet wyprzęga konie. Zaciekawiona wyjrzała na zewnątrz.

– Koniec drogi?

– Prawie. – Belinde zarzuciła na plecy bagaż przyjaciółki. Ze sobą zabrała tylko niewielką błękitną torebkę ze złoconymi okuciami i Margueritte zachciało się śmiać na ten znajomy widok – dopóki nie przypomniało jej się, że Arthur lubił nosić przy sobie automagiczną torebkę Belinde. – Teraz dopiero się zmęczymy. Spójrz.

Znajdowali się na brzegu krateru porośniętego kosodrzewiną i kępkami trawy wystającej spośród skał. Meg oceniła, że powstał tysiące lat temu, być może wskutek uderzenia pokaźnego meteorytu – chyba że starożytni używali broni wywołującej podobne efekty. Gdzieś w samym dole majaczyły kamienne obeliski. Na dno krateru prowadziła wykuta w skale ścieżka.

– Planujemy dzisiaj tam zejść – wyjaśniła Belle. – Zjemy, odpoczniemy i jeśli znajdziesz siłę, zbadamy docelową lokalizację. Tam podobno też znajdują się schody. Jeśli nie dasz rady, będziemy cię nieść. Prześpiemy się na dole i wrócimy następnego dnia.

– Co tam jest? – zainteresowała się Margueritte. – Możesz mi chyba powiedzieć, o co chodzi?

– Nie wolno mi wyjawić niczego, co mogłoby przedostać się do wiadomości wroga. – Belinde rozłożyła ręce. – Mam nadzieję, że mi to wybaczysz. Z twoich notatek wynika, że Lucjusz przybrał postać, która ma – między innymi – utrudnione możliwości powrotu do Nouveaux Dijon. Gdzie się zatem ukrywa? Kiedy próbowaliśmy rozwikłać tę zagadkę, dotarły do nas pewne niepokojące wieści z głębi kraju. Zdaje się, że znamy odpowiedź. Jeśli to prawda, jego ograniczenia niedawno przestały istnieć. Zamierzamy zweryfikować nasze podejrzenia.

– Nic nie zrozumiałam, ale nie szkodzi. – Margueritte ostrożnie zsunęła się z wozu. Czowała się zaskakująco wypoczęta, może dobrze wpływało na nią ostre górskie powietrze. Spojrzała uważnie na Belinde. Wyglądała na zatroskaną. „Zupełnie wsiąkła w bretańską ziemię” – pomyślała Meg. A potem coś innego przyszło jej do głowy.

– Masz w tym wszystkim osobisty interes – powiedziała. – Z jakiegoś powodu nie chcesz, żebym potwierdziła wasze podejrzenia.

Belinde skrzywiła się niewesoło.

– Zaklinam rzeczywistość. Wierzę, że dopóki nie nazwiemy problemu po imieniu, nie stanie się prawdziwy.

– I do tego celu musiałś mnie tutaj zawlec.

– Nie narzekaj, ruszyłaś się, przewietrzyłaś, sama widzę, że czujesz się lepiej. Blanchet zobaczy na własne oczy, w jakim bagnie siedzimy, i od razu przekaże wynik badań Theresie von Feuerstein.

– A później co? Z powrotem do pokoiku z modlitewnikiem? Ja tam przecież umrę z nudów. Ból staje się nieznośny, kiedy nie mam o czym myśleć.

– Theresa urabia wierchuszkę, żeby z powrotem przyjęto cię na łono armii. Oczywiście pod bronią i w ścisłej izolacji. Wszyscy już wiedzą, że porwano cię na rozkaz pani generał. – Belinde westchnęła ciężko. – Prawdę mówiąc, jeśli mam rację, w niczym nam nie pomożesz. Już prędzej przydadzą się rusznice w ilości przemysłowej. Ale von Feuerstein wierzy w twój geniusz.

„Co ja jej właściwie przekazałam? Jakich elementów układanki dostarczyłam?”. – Margueritte zerknęła na Blancheta. Mistrz szpiegów przypatrywał się jej nieodgadnionym spojrzeniem, pozbawionym zarówno szacunku, jak i współczucia. Dystansuje się ze względu na dobro sprawy? Czy teraz nią gardzi? Ukradkiem dotknęła posmarowanej kojącym balsamem rany na policzku. A jeśli – po raz pierwszy od dłuższego czasu drgnęła w niej nadzieja – odnalazł Vincenta i Kathryn, ale nie wolno mu o tym opowiadać?

Podeszła do brzegu krateru, spojrzała w dół. Gdzieś w oddali, między krzewami, mignął rudy lisi ogon i z krzywo rosnących sosen poderwało się stado sikorek.

– No, droga Meg – mruknęła – to się trochę przespacerujemy.

\* \* \*

Po zboczach krateru musiał ściekać jakiś strumyk, może niejeden, bo trawa na dole była gęsta i wybujała, poprzytykana kwitnącym przywrotnikiem i innymi ziołami, które rosną jedynie na wilgotnych łąkach. Na polnych roślinach siedły dziesiątki czerwcowych biedronek, świeżo wyklutych z poczwarek, o jasnopomarańczowych skrzydłach. Margueritte zaległa na chłodnym zielonym dywanie i zamknęła oczy.

– Meg, wstawaj.

– Idź sobie, Belle. Nigdzie się stąd nie ruszam. Możesz mi zrobić herbatę.

– Wstawaj, nieznośna babo. Plecy sobie przeziębisz.

– Co będzie znacznie gorsze niż Piętno.

– Tak, zaczniesz jeszcze bardziej narzekać. Wstawaj, nie pożałujesz.

Usiadła ze stęknieniem. Belinde wyjęła ze swojej torebki pasiasty ogrodowy leżak z magiczną funkcją masażu i z namaszczeniem rozłożyła go wśród chaszczy. Blanchet stłumił okrzyk zaskoczenia. Margueritte zaczęła się śmiać jednym ze swoich najbardziej odstrasających chichotów.

– Rżysz jak koń.

– Belinde, jesteś chodzącym cudem świata. Przyniosłaś może buteleczkę cydru?

– Mamy piwo – odparł Blanchet, wypakowując ze swojego plecaka rondelki. Klatka z gołębiami leżała obok na trawie. – To samo co wczoraj. I zaraz uwarzymy owsiankę, taką samą jak wczoraj.

– Delicje. Może by tak ugotować gołąbki?

– Nie są do jedzenia. Jeżeli szanowna pani zechce obrócić leżak, będzie mogła, posilając się, podziwiać cel naszej podróży.

Margueritte już wcześniej, schodząc po wykutych w skale schodach, przyjrzała się obeliskom z szarego kamienia i okrągłej płycie pośrodku. Nie spodziewała się znaleźć niczego nowego, ale okazało się, że przeoczyła pewien istotny, niewidoczny z góry szczegół.

Kamienna płyta lewitowała nad powierzchnią ziemi na wysokości kilku centymetrów. A potem Meg zobaczyła, jak Belinde wyjmuje coś ze szczeliny. Niewielki przedmiot, połyskujący srebrzyście jak mała rybka. Bez słowa wróciła do Margueritte i z poważną miną zaprezentowała go na otwartej dłoni.

– Runa kotwicząca. – Czarodziejka z wrażenia usiadła na leżaku. – Poznaję rękę Kathryn. Byli tutaj.

Belinde skinęła głową.

– I tak, i nie – odparła. – O ile mi wiadomo, tylko Kathryn miała prawo dotrzeć aż do tego miejsca. Ale i tak nie uzyskam ostatecznego potwierdzenia podejrzeń moich i Theresy, dopóki nie zejdziemy na sam dół.

– Co tam się znajduje? Dajcie spokój, będziecie musieli mi powiedzieć.

– Zadam ci zagadkę. – Belle uśmiechnęła się złośliwie. – Przecież lubisz zagadki. Rozejrzyj się wokół siebie i spróbuj zgadnąć, co się tutaj stało.

Już wcześniej Margueritte zauważyła ślady po lawinie, trzęsieniu ziemi albo innym kataklizmie – przewracane sosny, wyrwane krzewy, a tu i ówdzie odsłoniętą ziemię. Zastanowił ją dziwnie regularny kształt zniszczeń, jakby zaznaczono je cyrklem na dnie krateru. Teraz przyjrzała im się jeszcze raz. Potem zerknęła na unoszącą się nad ziemią płytę, która znajdowała się w samym centrum kręgu. Jedno z drugim na pewno miało coś wspólnego. Czy kamienna płyta siała destrukcję wokół siebie? Nie, to bez sensu. Margueritte zmarszczyła brwi, usiłując zrozumieć.

Nieopodal Blanchet rozstawił nad ogniem metalowy stojak, na nim zaś umieścił rondel z owsianką. Pokrywka zabrzączała o krawędź naczynia. Margueritte bezwiednie otworzyła usta.

– Pod płytą znajduje się zejście w dół – powiedziała. – Prawda?

– Prawda.

– Dno krateru musi stanowić drugą, większą płytę, która podniosła się razem z kręgiem i całą tą piękną łąką tydzień, może dwa tygodnie temu. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, bo wszystko zdążyło zarosnąć.

– I znów twoja intuicja wskazuje prawidłową odpowiedź.

– Czyli... znajdujemy się w siedlisku Królewskiego Smoka. – Podekscytowana uniosła dłoń do ust. – Uważacie, że Lucjusz przybrał jego formę.

Lady Chamomille nerwowo spłotła dłonie; Blanchet pobladł jak papier.

– W całej mojej karierze... – zająknął się. – Skąd pani wie? Jak pani doszła do tego wniosku?

– Po pierwsze – Meg odgięła palec – smocze siedliska budowano w dość charakterystyczny sposób. Dotarłam w Arborii do ruin dwóch takich gniazd i natknęłam się na kilka opisów w literaturze. Przeważnie miały podwójne wrota, jedno mniejsze dla człowieka i drugie znacznie większe dla smoka. Nigdy nie widziałam tak pomysłowego rozwiązania jak tutaj, ale spełnia te warunki. Żadnych otwartych jaskiń, dwa osobno zamykane wejścia. Po drugie, panie Blanchet, słyszałam tylko o jednym Królewskim Smoku w całej Bretanii, chyba że odkryliście nowego. A po trzecie, konstrukt, do którego można przenieść świadomość maga, powinien być niesłychanie potężny. Smok spełnia to kryterium. Przyznam, że blefowałam, ale wasza reakcja...

– Mówiłam ci – zwróciła się Belle do Blancheta. – Równie dobrze można powiedzieć jej o wszystkim. I tak się domyśli.

– Przeceniasz mnie. – Margueritte z powrotem opadła na leżak i zakryła oczy ręką. – Brakuje mi pełnych danych. Na przykład nikt mi jeszcze nie wyjaśnił, dlaczego Królewski Smok musiał przebywać pod ziemią i nie mógł udać się w podróż do Nouveaux Dijon. Chciałabym także wiedzieć, czy przypadkiem nie wróci, jeśli zostaniemy tutaj zbyt długo.

– Wytlumaczę ci wszystko po drodze. Na razie odpocznijmy i przygotujmy się do podróży. Będziemy musieli jeszcze dzisiaj stamtąd wyjść.

\* \* \*

Gdyby nie solidne kamienne stopnie i dotyk chłodnej, gładkiej poręczy, Margueritte wydawałoby się, że świat zupełnie rozmył się w mroku, przestał istnieć całe godziny temu. Kaganki rozjaśniały ciemności tylko kilka kroków za i przed nimi. „Każda ilość schodów jest do przejścia, jeśli idziemy we własnym tempie, opierając się o mocną poręcz – dumiała Meg. – Można by z tego ukuć jakieś przysłowie”.

Belinde, która szła przodem, znów dała znak, aby się zatrzymali, i schyliła się nad kamieniem. W jej dłoni mignął srebrny znak.

– Dwadzieścia jeden – powiedziała. – To będzie ostatni. Panie Blanchet, czy Kathryn wiedziała, jak głęboko prowadzi Czeluść? Ile jeszcze drogi przed nami?

– O ile obliczenia nie są mylne, mniej więcej drugie tyle. – Intendent wziął do ręki mieniącą się w świetle lampy runę i pokręcił głową. – Nie chce mi się wierzyć, że naprawdę przeprowadzono już ceremonię. Panie zapewne nie wyczuwają powagi sytuacji. Przecież jeżeli przepowiednia lady de Breville się sprawdzi, będziemy musieli wystąpić przeciwko namaszczonej przez Wędrowca koronowanej królowej. Jakkolwiek patrzeć, lady Verd jest autentyczna, a jej prawo do tronu niepodważalne – skoro już o nie wystąpiła. Wszystkich innych d’Argent zabito dawno temu.

– Jeżeli zawarła więź z Królewskim Smokiem – powiedziała cicho Belinde – a nasze przypuszczenia się potwierdzą, moja uczennica jest stracona. Znalazła się bowiem dokładnie w takiej sytuacji, jakiej starała się uniknąć lady de Breville, każąc amputować sobie rękę. Wtedy... – wciąż nie mogę przejść nad tym do porządku dziennego – aby powstrzymać Lucjusza, należy zmusić go do powrotu w góry. Trzeba zabić Kathryn.

– Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale opracowujecie drugie rozwiązanie. – Meg z trudem zaczerpnęła powietrza. – Chcecie zastrzelić smoka, używając skoordynowanej salwy z rusznic.



– Może nie zadziałać – rzuciła Belinde i znów ostrożnie ruszyła naprzód. – Prowadzimy próby z materiałami, które symulują smoczy pancerz, ale to oczywiście przybliżone szacunki. Im częściej będzie uczestniczył w bitwach, tym więcej się dowiemy.

Blanchet kręcił głową z niesmakiem. Jasna sprawa, żadne wyjście z sytuacji nie może się spodobać Bretańczykom. Kiedy Margueritte uzupełniła wiedzę o systemie rządów w Bretanii, zrozumiała, że w rzeczywistości król i Wielki Mag są drugorzędni wobec Królewskiego Smoka i Trzeciej Wyroczni. Skuld doglądała stabilności kontynentu, a Królewski Smok pomagał jej w tym, obierając właściwych potomków rodu d'Argent na królów. W normalnych okolicznościach miał w czym przebierać. I chociaż smok nie interesował się bieżącą polityką, to on doradzał królowi w podejmowaniu najważniejszych decyzji, obliczał i przewidywał ich skutki.

A to nie wszystko. O ile w Arborii aktywacji Źródeł dokonywano za pomocą magicznych maszyn sprzed epoki Rozdarcia, w Bretanii zajmował się tym Królewski Smok. Mógł odmówić, jeśli kandydat mu się nie podobał, i zasugerować, kto powinien zostać następną głową rodu. Bretania skamieniała w epoce Wieków Smutku, dlatego że smok i Wyrocznia pilnowali, aby nic się tutaj nie zmieniło.

Dlaczego utrzymywali chwiejny *status quo*, zamiast aktywnie przeciwdziałać Rozdarcu?

„Bo konstrukt jest konstruktem – odpowiedziała sobie Margueritte. – Działa według zadanych instrukcji, usiłując je wykonywać najlepiej, jak potrafi. Ale nie wymyśli niczego nowego. Nie podejmie ryzyka, choćby dlatego że zmiana niesie ze sobą prawdopodobieństwo katastrofy. Lucjusz zdawał sobie z tego sprawę. Zlekceważył, o ironio, całkiem uzasadnione protesty Wyroczni, biorąc je za zwykły opór przed złamaniem instrukcji.

Rzeczywiście z początku mógł mieć rację. Ale popełnił błąd, uznał siebie za nieomylnego. I nikt nie umiał go sprawdzić”.

– Panie Blanchet – powiedziała cicho. – Przyjmuje pan informacje ode mnie za dobrą monetę, a przecież sami twierdziliście, że nawet podświadomie mogę wprowadzać was w błąd.

– Lady de Breville – westchnął Blanchet – byłbym bardzo naiwnym człowiekiem i miernym przedstawicielem własnego zawodu, gdybym polegał tylko na jednym źródle. Informatorzy wyciągają błędne wnioski, koloryzują, czasem wprost kłamią. Znajdujemy się tutaj, ponieważ treść zapisanych przez panią wizji zgadzała się z wiedzą Theresy von Feuerstein oraz tym, co ustaliła służba wywiadowcza. Jest pani tylko na tyle niebezpieczna, na ile pani pozwolimy; zresztą to samo tyczy się pani Chamomille, z pani wybaczeniem.

– Cieszę się, że otaczają mnie profesjonaliści – odparła sucho Margureitte. – Czy dowiedzieliście się czegokolwiek o Wielkim Magu?

– Ja... – westchnęła Belinde. – Przykro mi. Nikt nigdzie nie słyszał o Vincencie. Funkcję Wielkiej Magini nadal pełni Amandine.

– Musi żyć – głos Meg zadrżał mimowolnie – inaczej Kathryn nie dysponowałaby magią.

– W tym sęk, nie da się potwierdzić, że Kat rzeczywiście używa magii. Współpracuje ze smokiem. Niewtajemniczoną łatwo pomylić zionięcie ogniem z ognistą kulą. Można przypisać Kat potęgę magiczną, jeśli w utrzymaniu iluzji pomaga Amandine ze swoją wojskową laską. Smok bez trudu im ją ładuje. Niby do uzyskania więzi z Królewskim Smokiem potrzeba aktywnego Źródła, ale przecież nasze też nie są w zupełności wygaszone, tylko jakby stłumione...

– Czyli z waszych słów wynika, że Kathryn ze smokiem do pomocy toczą już jakąś wojnę – rzekła Meg ostro. – Nie z nami, inaczej nie tracilibyśmy czasu tutaj. Zapewne z królewskimi wojskami Philippe’a Verlaina, chociaż trudno mi uwierzyć, że Lucjuszowi chce się grać taką kosztowną komedię, przecież to w gruncie rzeczy jego armia. Co z runami, które właśnie zebrałaś ze schodów? Gdyby Kat próbowała je zrobić bez Źródła, mózg by jej wyszedł uszami. Uważam, że Vincent żyje. Nie mamy pojęcia, gdzie się podział. Może siedzi gdzieś w lochu, może już znalazł się w Nouveaux Dijon, a może usiłuje do nas dotrzeć.

Blanchet westchnął ciężko.

– Lady de Breville, sprawdziliśmy wszystkie tropy. Na litość Wędrowca, prawdziwy Wielki Mag! Musieliśmy to zbadać. Ślad, którym poszliśmy od czasu naszej ostatniej rozmowy, urywa się w okolicy bagien w księstwie Montreuil.

W pewnym momencie pojawili się tam Jastrzębie – elitarny oddział inkwizytorski – i grupka znikła, a później wynurzyła się w Narbonne. Tyle że już bez czwartego uczestnika wyprawy. Z przeproszeniem pani, ale trudno chyba pomylić z kimś Wielkiego Maga.

– Vincent, jeżeli chce, potrafi łatwo wtopić się w tło – mruknęła Meg. – Nie wyróżnia się wyglądem. To cichy, spokojny chłopak.

– Nie wierzę w cichych i spokojnych Wielkich Magów – prychnął Blanchet. – Nawet jeśli był skromnym człowiekiem jako uczeń, nie poznałaby go pani po osiągnięciu samodzielności. Uczyłem się historii, pani de Breuille. Jeśli o nim nie słyhać, znaczy, że zapewne zginął. A z pewnością znalazł się w sytuacji, w której nie możemy liczyć na jego pomoc.

– Można także próbować go znaleźć, na wypadek gdyby to on potrzebował pomocy. – Margueritte spojrzała wrogo na mistrza szpiegów.

Belinde znów przystanąła.

– Echo! – zawołała śpiewnie. – Echo, echo!

Jej głos rozdzwonił się wśród ścian.

– Jaskinia się rozszerza. Zbliżamy się do celu – powiedziała. Czeluść nadal powtarzała jej wołanie. – Przydałoby się więcej niż jedna kula światła, ale trochę się boję ciebie prosić...

– Dam radę – mruknęła Meg. – Powiedz tylko kiedy. Rozumiem, że szukamy pozostałości rytuału... Ooo, na Pustkę.

Mrok zniknął nagle, jakby ucięty nożem. Margueritte nabrała pewności, że w kominie, którym schodzili, działały uruchomione na stałe zaklęcia, które tłumiły każde źródło światła, magiczne czy też nie. Pod nawisem rdzawej skały rozpościerała się jaskinia; jej kształt i charakterystycznie karbowane ściany przypominały starą kopalnię w Pępku Świata, górskim kompleksie ruin z czasów Triumwiratu. Kiedy Meg studiowała, znała ją każdy adept historii magii.

Na samym dole tkwiło niewysokie drzewko o rachitycznym pokroju, charakterystycznym dla rośliny nadmiernie pędzonej zaklęciem Creo. Prawdopodobnie czereśnia; można zakładać, że jeśli Kathryn miała przy sobie nasiona jakiegoś drzewa, o tej porze roku były to czereśnie. I tyle, jeśli chodzi o pytanie, czy Vincent żyje; Meg poczuła, jakby wielki ciężar spadł jej z serca.

Zamiast owoców na gałęziach czereśni wisiały utrwalone kule światła, pięć sztuk. Rozmieszczono je asymetrycznie, po jednej stronie drzewka, co znaczyło, że wcześniej było ich więcej, a teraz najnowsze sztuki z wolna dogasały. Wyglądały jak dekoracja na Święto Przesilenia, ustawiona tutaj wbrew porze roku i wszelkiemu prawdopodobieństwu. Jasne, chłodne światło rozjaśniało całą olbrzymią komnatę. Blanchet przypatrywał się zauroczony.

– Mam zdolną uczennicę – powiedziała gorzko Belle. – Bardzo pomysłową.

– Nie spisuj jej na straty. – Meg przysłoniła oczy dłonią. – Patrz. Spójrz na ściany.

W milczeniu przyglądały się wstęgom run w srebrze i miedzi, ciągnących się od dna do szczytu jaskini.

– A ja sądziłam, że poszukiwania pozostałości rytuału Lucjusza zajmą nam wiele godzin – powiedziała Belinde. – Potrafisz to przeczytać?

– Musiałabym posiedzieć nad nimi dłużej. – Meg wpatrywała się w znaki. – Widzę runy Pustki, Znaki Podróży i kilka innych, których możesz nie znać. Trochę przypominają to, co zobaczyłam we śnie. Nie rozszyfrowałam detali technicznych, nie mam pojęcia, jak dokładnie to zrobił, ale ogólna intencja jest jasna i twoje przypuszczenia się potwierdzają. Królewski Smok nosi w sobie świadomość Lucjusza. Jak w ogóle...

– Informatorzy donosili, że zmienił umaszczenie z rubinowego na czarno-żółte – wtrącił Blanchet. – Poza tym moich starszych korespondentów, którzy go znali osobiście, zaniepokoiło kilka innych szczegółów jego zachowania. Nic nam te wieści nie mówiły, dopóki lady Chamomille nie przeczytała twojego proroctwa.

– Nie potrafisz czytać run Pustki – wyjaśniła Belinde – ale w notatkach znajduje się dostatecznie dużo zwykłych, żeby rozszyfrować kontekst.

Wymieniły spojrzenia. Nagle Margueritte zrozumiała, że Belle wcale nie potrzebowała jej pomocy. Mogła sama udać się do Czeluści, spisać znaki i nawet bez jej współpracy przetłumaczyć je dostatecznie dobrze, aby pojąć sens rytuału Lucjusza – nie musiała go przecież powtarzać. Prowadziła niebezpieczną grę – zarówno ze względu na współpracę z wywiadem Theresy, jak i rzeczywiste ryzyko, że Lucjusz znów włamie się do głowy Meg.

– Jak sądzisz – przełknęła ślinę – czy Kathryn się zorientowała?

– Może. Na pewno je zapisała. My też powinniśmy. Weź swoją kulę, zrobimy nagranie.

\* \* \*

W drodze powrotnej podróżowali zupełnie inną trasą. Znów nic jej nie mówili, ale Margueritte przypuszczała, że próbują doścignąć armię Płomienia, która ruszyła już w stronę Nouveaux Dijon. Niespokojnie podpytywała Belinde, czy Theresa mimo ostrzeżeń postanowiła zaatakować miasto, ale nie dostała odpowiedzi.

Ich powóz nie budził zdziwienia. Drogami ciągnęły rzesze ludzi, całe tłumy wieśniaków i mieszczan obładowanych dobytkiem, uciekających byle dalej od wojny. Meg nieraz słyszała, jak Belle i Blanchet wypytywali wędrujących i wysłuchiwali opowieści o nieumarłych żołnierzach, przeklętych stworach Zaświatów i abominacjach, jakie wyroiły się wokół stolicy.

Część ludzi winiła, zgodnie z prawdą, kapłanów Wędrowca, inni twierdzili, że to Theresa sprowadziła do kraju istoty mroku – przecież wcześniej należały do rzadkości, a o chodzących trupach nikt nie słyszał. Wszystko wskazywało na to, że Zakon Cierpliwego Wędrowca przestał ukrywać swoje metody i rzucił do walki wszelkie siły, jakimi dysponował; może nawet zwiększył liczbę pustkostworów i skażonych magów w swoich szeregach.

Na którymś postoju Meg wreszcie spytała o to Belinde.

– Smok się obudził – wyjaśniła krótko czarodziejka.

– Kierował Zakonem cały czas, nieprawdaż?

– Tak, ale kiedy smok przebywa w Czeluści, znajduje się w stanie półsnu. Musiał mieć utrudniony kontakt z podkomendnymi, swoją drogą to też zapisałaś...

– Ja zapisałam?

– W armii wymyślili dla pani kilka przydomków, lady de Breville. – Blanchet, co weszło mu już w nawyk, podczas rozmowy nie przestawał obserwować otoczenia. – Z napiętnowanej zdrajczynie stała się pani szaloną prorokinią. Pani wizje zyskały status religijnych objawień.

– Rozumiem, że przy czynnym udziale waszej dwójki – wymruczała Margueritte. – Wciąż jednak nie rozumiem, po co miałyby mobilizować takie siły? Jeżeli chce ukryć swoje zamiary, wystarczy mu kilka markowanych bitew. Czy istoty Pustki są mu do czegoś potrzebne? A może zasila się przetwarzanym skażeniem? Ale przecież, o ile znam literaturę, smoki mają własne Źródło; chętnie przyjmują dodatkową energię, ale jej nie potrzebują.

W miarę jak podróżowali w głąb kraju, napotkani mieszkańcy opowiadali o gigantycznym czarnym smoku, który szerzył zniszczenie wśród królewskich armii. I znowu jedni pragnęli przyłączyć się do rebelii wszczętej przez młodą królową i mówili o nadziei, jaką niesie prawowita spadkobierczyni rodu d'Argent, inni zaś twierdzili, że Królewski Smok oszalał i świat się kończy.

Omijali dymiące miejsca potyczek i Belinde znów często udawała się na zwiad, badając okolicę na obecność skażenia. Skończyły się szpiegowskie kryjówki. Przeważnie nocowali pod gołym niebem; ze dwa razy znalazła się opuszczona przez mieszkańców chata. Blanchet wypuścił już wszystkie gołębie; odłączył się też parę razy, być może po to, aby znaleźć listy z odpowiedzią. Wracał z takich wypraw pochmurny i milczący. W kraju ogarniętym pożogą zawadzili posłańcy i informatorzy.

Im bardziej zbliżali się do armii Płomienia, tym więcej znajdowali opustoszałych wsi, stratowanych pól i spalonych sadów. Meg zrozumiała, że Theresa nie zmierza na podbój stolicy, lecz ściga armię Kathryn Verd, nowej królowej d'Argent, aby zgładzić ją lub Królewskiego Smoka.

Czarodziejka wiele dałaby za to, żeby zrozumieć, dlaczego Kat postanowiła sięgnąć po bretańską koronę, w jakim stopniu samodzielnie podjęła decyzję. Gdyby czuła się lepiej, włożyłaby wszystkie siły, aby doprowadzić do spotkania z Kathryn i Amandine, a przede wszystkim żeby odnaleźć swojego ucznia, który mógł powstrzymać postępujące Piętno.

Wszystko wskazywało na to, że ich drogi się nie zetkną, nim nie przesypie się piasek w klepsydrze życia Margueritte. Rana na policzku ledwo co zagoiła się dzięki balsamowi, a już z drugiej strony ust tworzyła się druga; na ciele przy byle dotknięciu wykwitwały sińce, pojawiały się czyraki. Ból towarzyszył jej teraz niezależnie od tego, czy miała czym zająć myśli. Choroba rozwijała się powoli, ale bez ustanku.

Doszło do tego, że zaczęła rozważać ofertę Lucjusza i zastanawiać się, czy jednak mogłaby go jakoś przechytryć, przyjmując dar skażonej mocy i dzięki nowym siłom odnaleźć Vincenta. Wiedziała, że się łudzi, ale przed zdradą powstrzymała ją tylko świadomość, że zawiedzie Belinde.

\* \* \*

Gwiazdy od dawna rozświetlały nocne niebo. Po raz ostatni przed spotkaniem z armią zatrzymali się na popas; od obozowiska Pochodni Wyzwolenia dzieliło ich zaledwie kilka godzin spokojnej podróży, ale ze względu na Meg nie przyspieszano tempa. Czarodziejka, ledwo przytomna z bólu i wyczerpania, kulila się na leżaku. Na wpół śpiąc, rejestrowała tylko, że Belle owija ją kocami i podaje miksturę.

Ze snu wyrwało ją światło dobywające się z jej plecaka oraz cichy głos Michela Rolanda de Musseta, wokalisty, u którego za czasów studenckich śpiewała w chórkach. Dawno temu, zanim popsuka jej się krtań.

Ktoś usiłował się skontaktować przez kulę.

Zrzuciła koce, przepocona i drżąca. Namacała w plecaku okrągłe, ciepłe szkło.

– Tęsknię do ciebie, ukochana – nucił de Musset.

– Śliwka. – Margueritte podała hasło i przelała kwant.

Kula zmieniła barwę na czerwoną.

W tle poruszała się niekształtny cień. Może ludzka sylwetka. Nie umiała tego stwierdzić. Obraz był niewyraźny, inaczej niż przy kontakcie z kulą Kathryn.

– Lady de Breville... – rozległ się zniekształcony, złowieszczy głos. Padło kilka niezrozumiałych słów.

– Kto...? – Brakowało jej tchu. – Kto mówi?

– Lady de Breville... Pani...

– Na Pustkę, proszę się zidentyfikować! – Czuła, jak po czole ściekają jej krople potu. Cienie poruszały się na tle barwy krwawej czerwieni.

– ...Wielki Mag... – Wyłuskała dwa zrozumiałe słowa. Serce załomotało jej w piersi, kikut prawej ręki zapulsował bólem. Wrzasnęła.

– Zmiataj stąd! – Cisnęła kulą w trawę. – Trzymaj się z dala! Mogę do ciebie wrócić i spuścić ci takie manto, żeby ci mózg eksplodował! Wracaj do Czeluści, z której wypęzłeś!

Poczuła chwytające ją mocno ramiona.

– Trzymam ją, lady Chamomille. Proszę podać lek.

– Porozmawiam z nią, Blanchet.

Margueritte trzęsa się gorączkowo, resztką świadomości zdając sobie sprawę z tego, że próbuje wyrwać się z uścisku mistrza szpiegów. Belle dotykała jej czoła.

– Co się stało?

– Kula... – jęknęła Meg. – Chyba nie... nie mam już zwidów na jawie... Jeśli Piętno trawi mózg, wtedy... chyba to Lucjusz...

Lady Chamomille spokojnie podniosła kulę z trawy.

– Śliwka. – W głębi kuli ukazał się ten sam co zwykle obraz, przedstawiający dworek lady de Breville na tle wrzosowiska. Meg zamknęła oczy.

– Mam halucynacje...

– Jesteś pod wpływem – mruknęła Belinde, zwróciła się do kuli i wydała jej szereg komend, wpatrując się wciąż w obraz. – Pokaż ostatnie rozmowy. Zidentyfikuj tożsamość rozmówcy. Zidentyfikuj współrzędne pobytu rozmówcy. Przelicz współrzędne na lokalizację mapy Królestwa Bretanii, zakładka Nowy Triumwirat. To nie halucynacje, Meg.

– Co... Jak to?

– Blanchet, co ważnego znajduje się na południu księstwa de Spinel? Czy mieszka tam ktoś, kto mógłby posługiwać się waszym odpowiednikiem kul magicznych?

– Nic tam nie ma... – Blanchet zmarszczył brwi. – Chyba że... Nie, to niemożliwe. Prawie wszystkie tak potężne dzieła magiczne zniknęły z obiegu wiele dziesięcioleci temu, skonfiskowane przez ludzi króla. Zresztą czy księżna potrafiłaby posługiwać się nimi bez dostępu do Źródła? Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje...



– Wielki Mag – szepnęła Margueritte i dostrzegła błysk w oczach Belinde. – Przeszukajcie te okolice. Błagam.

I chyba straciła przytomność, bo tylko tyle zapamiętała aż do przebudzenia następnego dnia w gorące, parne południe, złożona na świeżym posłaniu w przestronnym namiocie, w samym środku obozowiska Theresy von Feuerstein.

Wcześniej

Amandine, Kathryn i Lily

Utracona Bretania, 1 Juin 753 AG

Słońce zachodziło nad Czeluścią. Orszak hrabiego Trevancela rozłożył się obozem na noc; służba rozwinęła namioty, z których każdy przypominał miniaturową kolorową willę, był wyposażony w dywan, miękkie pościelenie i wszelkie inne wygody. „Brakuje tylko łazienek” – pomyślała Amandine. Dworzanie rozmawiali o urokach rustykalnej atmosfery, popijali wino, niektórzy po prostu spali. Wokół artystki zgromadziła się grupka pochlebców z hrabiną Trevancel na czele. Dopytywali o szczegóły życia w Arborii: co się tam jada, kiedy świętuje, jak wypoczywa – same błahostki. Szczególnie dużo pytań padło na temat obrzędów związanych z kultem Wędrowca.

Nikt nic nie mówił o Królewskim Smoku, o kilkugodzinnej nieobecności Kathryn i jej nagłym zniknięciu bez czekania na błogosławieństwo Wielkiej Magini. Amandine czuła gorycz w gardle, kiedy wspominała zachowanie Kat. Doskonale wiedziała, dlaczego czarodziejka tak postąpiła, i zamiast ją potępiać za zburzenie pieczołowicie przygotowanego scenariusza, martwiła się i jej współczuła.

Czas upływał i napięcie rosło. Liliana, jedyne dziecko, które zabrano na tę wyprawę (oprócz kilkorga nieletnich służących, ale oni się nie liczyli), siedziała na brzegu krateru i wpatrywała się w dół. Posługaczki przyniosły jej kubek cydru i kawałek ciasta. Pilnowała Czeluści z powagą, która niepokoiła Amandine.

– Potrzebuję chwili na osobności. – Zerwała się wreszcie na równe nogi, mocniej ścisnęła magiczną laskę. – Proszę mnie zostawić.

Pochlebcy zaczęli się kłaniać, niektórzy nawet podnieśli się z krzeseł wokół ogniska. Amandine podeszła do dziewczynki i położyła jej dłoń na ramieniu.

– Nie denerwuj się, Lily. Kathryn niedługo wróci.

– Jesteś tego pewna – spytała cicho dziewczynka – czy tylko mnie pocieszasz?

– Czy coś się dzieje? Wyczuwasz skażenie?

Pokręciła głową.

– Nie. Spadło poniżej tła. Myślę, że tak właśnie działają smoki. Ale...

– Tak?

– Nie wiem. – Zadygotała. – Boję się. Amandine, lepiej nie spieszymy się tak z podbijaniem Bretanii. Spróbujmy najpierw odnaleźć Vincenta i dotrzeć do Meg. Z tego, co o niej opowiadaliście, ona wszystko wie. Miała być moją mistrzynią. Może wiedziałyby, czy... – Dziewczynka urwała. – Ojej, spójrz na dół.

Setki ptaków równocześnie poderwały się z ogłuszającym hałasem do lotu. Dno krateru drżało. Zatrzęsa się ziemia. Amandine chwyciła Lilianę za rękę i obydwie wycofały się znad klifu w stronę namiotów. Prawie wpadły na hrabiego. Przywitał je z wypiekami na policzkach.

– Miałem rację – powiedział. – Ach, w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że będę świadkiem tego wiekopomnego wydarzenia! Patrzcie! Patrzcie!

Ziemia na dnie Czeluści podnosiła się z wolna jak pokrywa na rondlu. Z początku Amandine wydawało się, że jest odwrotnie, a mianowicie że zbocza krateru opadają. Złudzenie optyczne szybko jednak prysło. Czeluść silnie rozszerzała się ku górze, toteż lewitujące dno nie zasłaniało reszty krateru. Wznosiło się powoli, tworząc wyspę w kształcie odwróconego stożka. Z jej brzegów osypywała się ziemia i opadała roślinność.

Spod wyspy wyfrunął smok – czarny jak obsydian, majestatyczny, wielki. Jego łuski lśniły opromienione światłem zachodzącego słońca. Poszybował w niebo, wysoko, nad sam krater i wydał z trzewi ogłuszający ryk.

Zdawało się, że na szyi smoka tkwi niewielka, odziana w srebrzyste szaty sylwetka.

Amandine bezwiednie opadła na kolana, cały czas trzymając Lily za rękę. Kątem oka dostrzegła, że wszyscy pozostali spontanicznie lub za jej przykładem też klękają.

– Niech żyje królowa Kathryn Verd – powiedział drżącym głosem Renard Trevancel de Branche d’Amethyste i tym razem Amandine nie dostrzegła w nim ani śladu wyrachowania czy też cynizmu. – Niech żyje królowa!

Wiwatowali jeszcze, gdy Królewski Smok delikatnie osiadł nieopodal obozu, a Kathryn zsunęła się z jego szyi dzięki pomocy usłużnej smoczkiej łapy. Amandine zostawiła Lily i zerwała się do biegu, przekonana, że postępuje niegodnie z protokołem. Chrzanić protokół.

– Kathryn!

Padły sobie w ramiona.

– Patrz! Nie zeżarł mnie! – zawołała radośnie Kat.

– O, wypraszam sobie. – Basowy głos smoka wprawiał ziemię w drżenie. – Proszę nie mówić o mnie jak o prostym zwierzęciu.

– Przepraszam. – Kathryn machnęła ręką. – Jestem dość bezpośrednią osobą, będziesz się musiał przyzwyczaić. Królewski Smoku, to Amandine Cerise, nasza Wielka Magini. Amandine, oto Królewski Smok.

– To dla mnie zaszczyt. – Amandine dygnęła uprzejmie. – Czy ma pan jakieś imię, panie smoku?

– Rzadko używane – westchnął smok. Wpatrywał się w nią badawczo, co wywoływało w niej pewną nerwowość. „Przejrzał mnie? A jeśli tak, czy się do tego przyzna?”. – Lecz jeżeli sięgniemy do samych głębin czasu, gdy istniało więcej takich jak ja, nazywano mnie Nidhoggiem. To bardzo starożytne imię, pochodzi z legend, o których zapomniano już w czasach Cesarstwa.

– Nie przypuszczałam, że smoki są intelektualistami.

– Moja droga, intelekt stanowi naszą największą zaletę – rzekł Nidhogg. – W tym celu nas stworzono. Reszta to tylko... piękna dekoracja.

Rozpostarł skrzydła, aby w pełnej okazałości zaprezentować urodę owej dekoracji. Gdzieś z tyłu, za Amandine, dworzanie ponownie padali plackiem w ukłonach. Arborianka przyglądała się smokowi zafascynowana. Pomyślała sobie, że po raz pierwszy w życiu zazdrości Vincentowi jego niebezpiecznego zawodu. Czy duszospok był równie wspaniały? Szkoda, że musieli go zlikwidować.

– Doskonale. – Z trudem powstrzymywała się, żeby nie podskoczyć i nie klasnąć jak dziewczynka. – W takim razie możemy wracać do Montreuil po Vincenta. Nie ma na co czekać. To nie powinno zająć zbyt wiele czasu, zresztą ty jesteś królową i masz kluczowy argument.

Kathryn i smok wymienili spojrzenia.

– Hrabia Trevancel zaraz zechce tutaj podejść – Kat zniżyła głos – toteż będę mówić szybko. Podnieśliśmy już ten temat w jaskini. Pojawił się pewien problem z zasobem mocy.

– Co to znaczy?

– Królewski Smok jest stary – tłumaczyła Kat cichym, napiętym głosem. – Ten niewielki pokaz, którego byłaś świadkiem, pochłonął prawie wszystkie jednostki, jakie miał do dyspozycji. Zużywa ogromną ilość mocy, a jego własne Źródło nie działa już jak należy. Nie da rady przelecieć do Montreuil.

– Co?

– Smoki przetwarzają Pustkę – wyjaśniała dalej Kat. – Podobnie jak Magowie Pustki, z tym wyjątkiem, że nie potrafią kształtować tej energii, w całości jest wykorzystywana do zasilania smoczego kształtu. Mogą przybierać postać ludzką, aby zużywać mniej mocy, ale jako ludzie tracą większość smoczych zdolności. W dodatku sama transformacja jest energochłonna. Nidhogg na razie nie chce jej powtarzać.

– Więc właśnie to miała na myśli hrabina, mówiąc o portretach smoka – mruknęła Amandine. Ogarnęło ją rozdrażnienie, po pierwszym przyplądzie nadziei tęsknota wróciła z gwałtowną, bolesną intensywnością. Priorytetem Amandine było odnalezienie Vincenta, zgodziła się na tę całą królewską komedię tylko po to, aby zyskać dostatecznie dużo potęgi i wpływów, by wreszcie wyruszyć do Montreuil. W dodatku tłumaczenia Kathryn brzmiały jak wymówka. Próbowwała przekonać samą siebie, że to tylko skutek rozczarowania, ale nadal coś jej zgrzytało w tych wyjaśnieniach.

– Czyli rozumiem, że jedynym sposobem, aby go odkarmić, jest stoczenie bitwy z Zakonem Cierpliwego Wędrowca – im potężniejszy oddział, tym lepszy.

Królewski Smok z powagą skinął głową.

– Zastanowiłam się – mruknęła Amandine. – Wolę jednak, abyśmy jak najszybciej wrócili do Montreuil. Z braku jednostek magii potrzebnych do powietrznej podróży pójdiesz na piechotę. Mogę się założyć, że wtedy Zakon sam nas znajdzie.

– Wielka Magini... – Nidhogg zniżył głos do cichego pomruku. Nawet Kathryn podskoczyła zdumiona; nie miała pojęcia, że Królewski Smok w ogóle potrafi szeptać. – Kimże jest ten Vincent, na którym tak wam zależy? Czy to ktoś istotny dla sprawy? Czy nie szkoda tracić czasu na drobiazgi? Jest nas tu troje – Królewski Smok, królowa i Wielka Magini. Czy życie prywatne ma dla was większą wagę niż sprawy państwowe? Czy ten Vincent nie mógłby poczekać, aż bezdyskusyjnie zdobędziemy tron Bretanii?

– On potrzebuje opieki, był ciężko chory... – zaczęła Amandine i zamilkła. W stronę smoka i nowo obranej królowej zbliżał się orszak hrabiego Trevancela, z całą pompą i paradą, otoczony żołnierzami maszerującymi w szyku, przy akompaniamencie muzyki. Nadszedł czas na ceremoniał.

\* \* \*

Dwa tygodnie później Amandine siedziała na krześle w luksusowo wyposażonym namiocie i przykładała sobie do czoła szmatkę nasączoną zimną wodą. Laska magiczna, z którą się teraz nie rozstawała, leżała w zagłębieniu jej łokcia. Przez gęste płótno ledwo przenikało światło, zabarwiając wnętrze namiotu na czerwono; okna zostały skrzętnie zasłonięte, wewnątrz nie paliły się żadne świece ani kaganki. Dobiegało południe upalnego czerwcowego dnia.

– Powiedz kapitanowi Artois, żeby wszedł – odezwała się do pachółka, który klęczał przed nią w pozie pełnej unizienia, czekając na uwagę wielmożnej Magini. – I żeby się streszczał.

– Tak, pani. – Chłopak wyszedł, mimo woli uchylając płótno w drzwiach. Amandine zasłoniła oczy. Ciche kroki Artois rozbrzmiewały w jej głowie jak uderzenia młota w kowadło.

– Proszę o wybaczenie – odezwał się najemnik. – Nie mówiono mi, że czuje się pani niezdrawa.

– To dla mnie nie pierwszozna, a nie mogę wypaść z obiegu wiadomości – mruknęła Amandine. – Ja już z nimi nie wytrzymuję. Nie uczono mnie prowadzić wojen – na Pustkę, mam za sobą tylko rozszerzony kurs historii – a czuję się przy tych idiotach ekspertem od sztuki wojennej. Do cholery jasnej, nie uformowaliśmy tej armii po to, żeby splądrować księstwo d’Opal albo pokazać

baronowi de Rubis, gdzie raki zimują. To nie piknik ani kolejna waśń między jednym a drugim wielmożą. Ach! Przepraszam cię, Artois.

– Nie ma za co, lady Cerise – odparł Artois. – Przyszedłem poinformować, że wedle moich źródeł pani starania dały pierwsze efekty i hrabia skłonił wasali do sypnięcia groszem na wojska zaciężne. Wszystkich oprócz de Béryl, który uważa, że smok i lennicy w zupełności wystarczą, a pani miejsce jest w namiotach kobiet.

Amandine odwróciła szmatkę na drugą stronę. „Poczucie odpowiedzialności bywa czasem gorsze niż niewola – pomyślała. – Zamiast się tym zajmować, powinnam osobiście udać się do Montreuil, a nie wysyłać tam ludzi. Ale trudno wytłumaczyć ciągnącym zewsząd rebeliantom, że muszą chwilkę poczekać, aż królowa i Magini załatwią coś na boku”. Wędrowiec świadkiem, że już dawno wyruszyłyby w podróż, gdyby nie to, że bez niej zapewne cała rebelia skończyłaby się po pierwszej bitwie. Sojusznicy hrabiego Trevancela zdawali się nie rozumieć, że wojen nie wygrywa się słabo zorganizowaną zbieraniną pocztów feudalnych panów, którzy spędzili życie na żarciu, picciu i psuciu krwi sąsiadom. Zwłaszcza jeśli wróg dysponuje skażoną mocą i bliżej nieokreślonymi sposobami błyskawicznej komunikacji.

– Spróbuj uświadomić szanownemu de Béryl, że nie ma innego Wielkiego Maga i musi sobie jakoś poradzić z moją obecnością. Oraz że za chwilę znajdzie się w otoczeniu rywali, którzy dysponują dwukrotnie większymi wojskami niż on.

– Myślę, że ten argument nie pozostanie niezauważony, lady Cerise. Ale wie pani, możemy mieć kłopot z wynajęciem takiej ilości oddziałów, jaką pani sugeruje. Chłopaki zasięgnęli języka i, że tak powiem, jest ostatnio pewien popyt na najemników. Von Feuerstein zdążyła podnając ludzi, których książe Bernard ściągał do Montreuil...

– Znaczy, że będzie drogo. Ale popraw mnie, jeśli się mylę. Płomień prowadzi swoją kampanię od dłuższego czasu. Może mieć puste kufry. Raczej ją przelicytujemy.

– Wielmoże nie będą zadowoleni.

– Nigdy nie są zadowoleni – mruknęła Amandine. – Jak to jest, że hrabia, który znakomicie zna się na dworskich intrygach, szpiegostwie i magii, tak słabo daje sobie radę na wojnie?

– Cóż... – Artois rozłożył ręce. – Całe życie koncentrował się na czymś innym. Potrafi manipulować ludźmi zza kulisy, ale ma opinię dziwaka i to mu nie pomaga w naradach wojennych. Jak pani wie, lady Cerise, jego najwierniejsi lennicy są raczej dworakami niż żołnierzami. Myślę jednak, że pani krytyka jest zbyt surowa. Armie przeważnie tak wyglądają, wojska zaciężne wzrosły na znaczeniu dopiero w ostatnich dekadach, po wygaśnięciu magii. W królewskim wojsku ważną rolę gra Zakon, ale też spotkamy się w polu ze zbieraniną wasali Philippe’a.

– Pochodnia Wyzwolenia jest inna.

– To prawda.

– Sojusz byłby dobrym pomysłem.

– Zgadzam się. – Artois skinął głową. – A więc co najmniej dwie osoby tak uważają.

– Zastanawiam się, co myśli Płomień. Głosi, że chce wyzwolić Philippe’a spod kontroli Zakonu. Ciekawe, kto w to wierzy. Nie sądzę, żeby ktokolwiek przelknął jej kandydaturę na królową. Zastanawiam się, ilu książąt spod granicy w jej wojsku ostrzy sobie zęby na tron Bretanii.

Westchnęła. Bez zgody wszystkich zainteresowanych panów nie mogli wysłać poselstwa. Zatem obydwie armie rywalizowały ze sobą; istniało ryzyko, że prędzej czy później zetną się w polu. Amandine obawiała się, że Królewski Smok i magia Kathryn nie wystarczą przeciwko nowoczesnej i wprawionej w boju Pochodni Wyzwolenia. Chodziły słuchy, że von Feuerstein posiada broń palną.

– Trzeba czekać na następne gołębice. Trochę cierpliwości, lady Cerise. Płomień ma świetnych ludzi od pracy w cieniu, ale my jesteśmy stąd i to nam daje pewną przewagę. – Artois uśmiechnął się przebiegle. „Pół bandyta, pół chłopiec – pomyślała Amandine, przypominając sobie noc walki z Jastrzębiami. – Wobec mnie i Kathryn zachowuje się z niezwykłą ogładą, ale ciekawe, ile ma za uszami”.

– Jesteś zdumiewająco lojalny jak na najemnika...



– To było bardzo nieuprzejme, lady Cerise. – Kapitan pokiwał palcem. – Nie znajdzie pani nikogo bardziej lojalnego od należycie opłacanego najemnika. I nikogo bardziej zdradliwego od podlizującego się wasala. Warto o tym pamiętać. – Spochmurniał. – I proszę dobrze pilnować panny Verd, przepraszam, Jej Wysokości. Te gnidy, które się wokół niej kręcą... Nie wspominając o Królewskim Smoku, on tylko dobrze udaje człowieka...

„Chciałabym mieć dobry kontakt z panną Verd – westchnęła Amandine w myślach. – Coraz trudniej mi zgadnąć, o czym Kathryn myśli. Zwłaszcza po rozmowach ze smokiem”.

– Jak już wspomniałam – szepnęła – miej uszy i oczy dookoła głowy.

Znowu blask słońca, ostry jak nóż, przeszył nagle oczy Amandine. Ktoś uchylił zasłonę przy wejściu. Chyba wręczył jakiś przedmiot kapitanowi Artois i zniknął.

– Lady Cerise? Wszystko w porządku?

Uniosła twarz, którą przed chwilą odruchowo schowała w dłoniach.

– Tak, tak... powoli mija. Nowe wiadomości? Proszę mówić. Czy coś o Vincencie?

Kapitan rozwinął zrolowany papier i wczytywał się przez chwilę, poważniejąc. Serce Amandine zamarło. Tak, tym razem miała rację. Przyszły wieści o Vincencie.

– Nie znaleziono go – powiedział wreszcie. – Przykro mi. Wiem, jak pani czeka na wieści dotyczące pana Thorpe’a. Zielarka Solange – tak tu napisano – twierdzi, że nikt taki u niej nie mieszkał. Zgodnie z pani instrukcją nie stosowano wobec niej określonych metod wydobywania wiadomości... przykro mi to mówić, pan Thorpe jest mało charakterystyczny. W Bretanii żyje wielu mężczyzn pasujących do jego opisu. Mógł stracić na wadze po chorobie, ale trudno to uznać za cechę wyróżniającą. Natomiast wymowa... Wystarczy za dużo nie gadać. Jeśli się postara, nikt go nie znajdzie.

– Powinnam tam pojechać sama. Mnie by zaufała... Widzę, jak pan na mnie patrzy, panie Artois. Ja wiem, że on żyje. Może już tutaj jedzie. Może coś go zatrzymało...

– Wierzę – odparł cicho najemnik. – Obawiam się tylko, że pewnego dnia pozwoli pani światu płonąć tylko po to, żeby go znaleźć. Na razie wywołała pani wojnę i zrobiła wszystko, żeby pani przyjaciółka, która wcale tego nie pragnęła, zdobyła tron. Nie chcę, aby z tej samej przyczyny zostawiła ją pani samą wśród wilków.

Ogłuszona tym stwierdzeniem Amandine Cerise spojrzała kapitanowi prosto w oczy. Znalazła tam coś, czego się kompletnie nie spodziewała – chociaż zauważyłaby to już dawno temu, gdyby tylko zwracała na niego trochę więcej uwagi. Pewne zachowania i gesty usłużnego Żaby stały się nagle dużo bardziej zrozumiałe.

– Kapitanie Artois – odchrząknęła, starając się ukryć zmieszanie – mam dla pana nowe zadanie. Proszę wystawić list gończy za panem Vincentem Thorpe'em. Niech cała Bretania wie, że Wielka Magini poszukuje go żywego, zdrowego i dobrze traktowanego. – Odpięła naszyjnik, kolczyki, zdjęła idiotyczne ciężkie bransolety, którymi obdarował ją hrabia Trevancel. Darowane, nie kradzione. – Proszę, kapitanie. W razie potrzeby postaram się o więcej.

– My się znamy – odparł Artois, z ukłonem przyjmując precjoza – ale proszę takich rzeczy nie mówić żadnym innym najemnikom. Jesteśmy lojalni, lady Cerise, ale cholernie chciwi. Zawsze pragniemy zbyt wiele.

\* \* \*

Kathryn nie wiedziała, jak się nazywa górski szczyt, na którym wylądował Królewski Smok. Może nie nadano mu żadnej nazwy. Nikt nie mieszkał w pobliżu i nikt w Bretanii dla własnej satysfakcji nie wspinał się na skaliste ściany, więc prawdopodobnie była pierwszą istotą ludzką, jaka tutaj dotarła od wieluset lat, może nawet pierwszą w historii świata. Niestety, Nidhogg przepłoszył miejscową zwierzynę i dokonał spustoszeń w skąpej wysokogórskiej roślinności, czego Kat mocno żałowała. Wyobrażała sobie, że tutejsze zwierzęta nie bały się ludzi.

Obserwowała obozowisko przez lunetę. Chociaż słońce grzało w plecy, na tej wysokości panował przyjemny chłód. „Szkoda – myślała – że nie mam kuli magicznej, żeby zapisać rozpościerający się przed nami krajobraz”.

Nidhogg siedział obok, w ludzkiej postaci, z kolanami podciągniętymi pod brodę, bardzo skrupulatnie owinięty w czarny płaszcz. Ze ściągniętymi brwiami wpatrywał się w przestrzeń; Kathryn uważała, że z taką zafrasowaną miną wygląda bardzo smoczko. Wciąż wydawało jej się, że kogoś jej przypomina, czasem odnosiła wrażenie, jakby znali się od wielu lat. Nikomu innemu nie pokazywał się jako człowiek. Tłumaczył, że wstydzi się procesu transformacji, poza tym brakowało mu energii, aby utrzymywać tę formę przez dłuższy czas.

– Wygląda lepiej niż poprzednio – zagaiła, odkładając lunetę. – Mam wrażenie, że zaczynają się trochę organizować.

– Mhm.

– Nie wiem, jak sprawić, żeby mnie słuchali. Hrabia Trevancel cały czas przemawia w moim imieniu. Przecież mam całkiem dobre pomysły, przyzwoitą wyobraźnię przestrzenną. Wiem, co to jest dystans i skala. Zdaję sobie sprawę z tego, jaką przewagę daje obserwowanie pola bitwy z góry. Zwykle gdy stosuję rady Belinde, zdobywam kontrolę nad sytuacją, a tu nic. Jakby mnie nie widzieli. Za to nie mogę się opędzić od zalotników i trubadurów. Rozumiem zainteresowanie wolną królową, ale po cholere mi trubadurzy? Ryknąłbyś na nich czasem...

– Lady Verd – westchnął ciężko Nidhogg – nikt nie oczekuje od Waszej Wysokości dowodzenia wojskiem. Królowa pełni inną rolę niż król.

– Gdybym nie zużywała niemal całej zawartości Źródła na ciebie, chodziliby jak w zegarku – mruknięła Kat. – Może Lily ma rację i faktycznie muszę uważać na skłonności do tyranii, ale inne argumenty chyba nie przemawiają do Bretańczyków. Nie rozumiem, jak Amandine to robi. Zawsze była niezła w stawianiu ludzi do pionu.

– Jak już mówiłem Waszej Wysokości, to ma niewiele wspólnego z cechami osobistymi – powtórzył smok z pewną irytacją. – W Bretanii hierarchia jest bardzo sztywna. Już przy narodzinach o wszystkim decyduje pozycja w rodzie, płeć i prognozowany magiczny talent. Pewne sprawy wyjaśniają się na bieżąco dzięki eliminowaniu krewnych, i tyle. Wielki Mag cieszy się szczególnym statusem. Ma nieco więcej swobody, którą wypracował poprzedni właściciel tego tytułu.

– Ale wiesz, to nadal jest dosyć idiotyczne – mieć przeszkolonego czarodzieja Creo w armii i go nie używać. Czy zastanowiłeś się już nad tym, o co cię ostatnio pytałam?

– Wasza Wysokość, prosisz mnie o wysiłek porównywalny ze świadomą regulacją pulsu.

– No to się wysił. – Kathryn rozłożyła dłonie. – Muszę mieć choćby przybliżone dane, bez tego niewiele osiągniemy. Policzyłam już, ile jednostek wychodzi średnio na kilometr, chociaż oczywiście to się będzie różnić zależnie od prędkości i kierunku wiatru. Podejrzewam, że podświadomie regulujesz zużycie, żeby na przykład nie spaść w środku lotu... Nie patrz tak na mnie. Jestem pewna, że nigdy nie spadłeś w środku lotu. Transformacja i trwanie w ludzkiej postaci są łatwiejsze do policzenia, ale też energochłonne. Trzeba przetestować, po ile zioniesz i czy masz inne kosztowne funkcje. Tak czy owak wychodzi, że dla lepszej gospodarki energią powinniśmy wybrać na pierwszy cel czynną rozpadlinę albo inny mocno skażony ośrodek.

– Byłoby mniej strat, gdybym otrzymywał energię bezpośrednio – zauważył smok. – Nie poprzez zakłęcia, ale przez kanały energetyczne. Mogłabyś dłużej zasilać mój lot albo zachować więcej jednostek we własnym Źródle.

– Nidhoggu... – Kathryn westchnęła. – I co ja mam ci na to odpowiedzieć? Mówiłam już, że nie potrafię tak łatwo z każdym nawiązać połączenia. Może jestem nieufna z natury. Przepraszam.

– W takim razie rzucaj zakłęcia Entropii. Już raz prowadziliśmy tę rozmowę – przypomniał smok. – Entropia uwalnia energię nie tylko z twojego własnego Źródła, lecz także z otoczenia, które ulega rozpadowi. A ja to wszystko mogę wykorzystać.

– No nie wiem...

– Trenuj, niczym się nie martw. Nikt cię nie ocenia tutaj, w górze. Nie troszcz się o skażenie. Wszystko przetworzę. Po to jestem, Wasza Wysokość.

– Ech... dzięki. – Kathryn potarła oczy. – Chyba wiesz, że trenowałam osiem lat i niewiele z tego wyszło?

Nidhogg popatrzył na nią z niezadowoleniem. Próbował ją wspierać, ale szybko się irytował, widocznie w naturze Królewskiego Smoka nie leżało

rozwiązywanie problemów i wątpliwości dręczących urzędującego monarchę. Kathryn doceniała jego wysiłek.

– Moim zdaniem jesteś doskonała jako czarodziejka – odparł. – Wysoce uzdolniona magini Creo, mieszanka najszlachetniejszej starożytnej krwi. Zmuszanie cię do udowadniania swojej wartości przed komisją debili, którzy nie potrafią rozpoznać prawdziwego maga w tłumie śliniących się, skundlonych błaznów, zakrawa na tragikomedię i chętnie poparłbym swoją opinię, smażąc tych partaczy na bardzo chrupkie kawałki. Ale nie mam ich pod ręką, zatem powtórzę tylko: Entropia się przyda, więc jak dla mnie możesz ją rzucać niedbale. Dla siebie jej nie potrzebujesz – twoje mistrzostwo w magii Creo wystarczy z nawiązką, żeby podbić każde królestwo.

– Dz... dziękuję. Ja... mogę cię uściskać?

Królewski Smok nie zaprotestował, szeroko rozpostarł ramiona. Zrobiło się ciepło i trochę niezręcznie. „Nie jest prawdziwym człowiekiem – powtórzyła sobie Kathryn w myślach. – Pamiętaj, że jest człowiekiem”.

– Um... właściwie już dawno chciałam cię o to spytać. Jak generujesz ubranie? Płaszcz, koszulę i całą resztę. Czy to odpowiednik łusek, czy działa na zupełnie innej zasadzie?

Nidhogg odsunął ją delikatnie.

– Jak zapewne zauważyłaś, Wasza Wysokość – rzekł – nie dokonuję dosłownej, fizycznej transformacji. Ciało smoka nabudowuje się na określonym wzorcu, podobnie dzieje się z ludzkim ciałem. Gdzieś, w jakiejś matrycy, uznano za stosowne zapisać mi wzór przyodziewku.

Zsunął z ramion płaszcz.

– Nie jest do mnie przyrośnięty – wyjaśnił i wstał zwinnie jak kot, po czym kurtuazyjnie podał jej rękę. – Proszę wstać, Wasza Wysokość. Sprowadziłem cię na szczyt nietknięty ludzką stopą. Ledwo w kilka chwil pokonaliśmy dystans, który zabiłby najwytrwalszego ze wspinaczy. Proszę spojrzeć! Wszystko, co przed sobą widzisz – zakreślił ręką łuk – to kraina, która czeka jedynie na twoje przywództwo. Królowo Kathryn Verd, zostaw troski. Podziwiał widoki.

Kathryn podziwiała. Czarna jedwabna koszula pod wpływem wiatru opinała skórę smoka. „Uznano także za stosowne – pomyślała Kathryn – zapisać mu wzór

proporcjonalnego, wysportowanego ciała”. Był niższy od Vincenta, nieco drobniejszy i smuklejszy, ale wyglądał, jakby też regularnie trenował Drogę Czapli. Jako podłotek Kathryn podkochiwała się w asystencie Margueritte i przeżyła głębokie rozczarowanie, kiedy się zaręczył. Uczucie wyparowało już dawno temu, ale Kat nadal lubiła obserwować Vince’a podczas treningów.

– Zostaw wątpliwości słabym – kontynuował Nidhogg. – Nie musisz odstraszać trubadurów moją obecnością. Jedno skinienie i ci wszyscy podrzędni grajkowie znajdą się w rękach kata. Wiedzą, co ryzykują, układając pieśni dla monarchini! Masz przywileje. Korzystaj z nich. Wyróżnij dwóch zalotników, żadnemu nie dając ostatecznego słowa, a pozabijają się między sobą dla twojej uciechy. A gdy wreszcie zdecydujesz, jaki sojusz, czyje armie i czyje rodowe ziemie odpowiadają ci najbardziej, weź stosownego małżonka. Niech będzie stary – umówcie się między sobą, że będziesz brała do łóżka takich faworytów, jakich tylko zapragniesz. Jedyne, czego nie dozwala prawo, to związek małżeński w obrębie Triumwiratu, na przykład między nami dwojgiem. Poza tym możesz robić, co chcesz. Jako królowa znajdziesz się poza wszelką krytyką.

– Eee... to chyba dobrze? – Kathryn wyginała palce. Bretańska obyczajowość nieco ją przytłoczyła. Sama idea związania się z więcej niż jednym mężczyzną naraz była przerażająca. Relacje damsko-męskie są przecież nietrywialne już w układzie jeden na jeden, natomiast opisane przez smoka intrygi, w porównaniu z wyrafinowanymi grammi salonowymi, jakie prowadziła Belinde, przypominały siekanie ludzi toporem w kontraście do szermierki sportowej. Kathryn stwierdziła w myślach, że nie powinna czuć się zaskoczona. Wszystko, czego do tej pory doświadczyła, potwierdzało, że w Bretanii życie ludzkie jest krótkie, brutalne i wyjątkowo tanie.

„Niech Pustka weźmie oczekiwania społeczne – pomyślała – przecież nic nie muszę, nawet być królową. Wolę studiować budownictwo w Arborii. Spędzać dni na spokojnym szkicowaniu przy desce kreślarskiej lub opracowywaniu rytuałów w terenie. Brać udział w gigantycznych arboriańskich projektach inżynierskich. Mieć jednego ukochanego mężczyznę, który mnie rozumie, szanuje, ignoruje ułomności urody oraz charakteru.

Spokojnie, Kat – napomniwała samą siebie. – Wygramy tę wojnę, a potem abdykacja”. Trzeba zabrać się do roboty. Jeszcze nawet nie usiadła nad znakami,

które spisała ze ścian jaskini. Widziała wśród nich symbole, których nie rozpoznawała, natknęła się nawet na kilka elementów Sevri, używanych w magii Pustki. Może to wcale nie Philippe, jak pierwotnie zakładała, był autorem run?

– Wracajmy, smoku – odezwała się po namyśle. – Amandine ma dzisiaj migrenę, a wolę nie zostawiać Liliany zbyt długo z ochmistrzyniami. Chciałabym, żeby zostało ci w zapasie jeszcze kilka jednostek, mogą się przydać.

Nidhogg zarzucił płaszcz na ramiona i popatrzył na nią z urazą, a później oddalił się nieco, aby zyskać przestrzeń niezbędną do transformacji. Kathryn zastanawiała się, czy znów zrobiła coś niewłaściwego, coś przeoczyła, źle odczytała intencje Królewskiego Smoka. Doszła do wniosku, że przeanalizuje to zagadnienie później.

\* \* \*

Królewski Smok hamował skrzydłami, wzbijając w powietrze kłęby rdzawego kurzu. Kathryn trzymała się rogowych wyrostków u nasady jego szyi. Miała na sobie jeździecką suknię, ale nie potrafiła usiedzieć bez siodła w pozycji amazonki i po prostu rozrzuciła spódnicę na boki; teraz przez cienki materiał pantalonów czuła ciepłe, skórzaste smocze łuski. Utrzymanie się podczas lotu na grzbiecie Nidhogga wymagało pomocy zaklęcia grawitacyjnego, gdyż o żadnej uprząży nie było mowy.

Przylgnęła do grzbietu, oczekując znajomego wstrząsu przy lądowaniu. Mimo hamowania smok opadł na grunt ciężko jak kowadło. Gdy umilkło echo, a bestia podwinęła skrzydła, zgromadzeni heroldowie zatrąbili, muzycy zadęli w dudy i uderzyli w struny. Zabrzmiała pierwsza zwrotka hymnu narodowego Bretanii.

Na lądowisko natychmiast wbiegł młody, przerażony posługacz z drabinką. Oparł ją o bok nieco zirytowanego Nidhogga i zgodnie z ceremoniałem cierpliwie oczekiwał monarchini. Kathryn jak zwykle zignorowała ludzką pomoc, zsuwając się na ziemię po smoczej łapie.

Już zbierali się służący, już prowadzono ją do wierzchowca przystrojonego wyszywanym srebrną nicią czaprakiem. Posługacz zdjął z ramion futrzany płaszcz, który pomagał jej znieść chłód podczas lotu. Inny podał kubek grzanego wina. Za ogrodzeniem lądowiska, sporządzonym z palików i sznurka, gromadził

się pstrokaty orszak. Konie parskały niespokojnie. Nidhogg odwracał wzrok, chociaż, jak Kathryn się domyślała, miał wielką ochotę skłonić je do panicznego galopu.

Otoczona damami dworu, które nadal ze sobą myliła, oraz rycerzami, których odróżniała jedynie po herbach, królowa Kathryn Verd de Branche d'Argent jechała przez obóz. Muzycy grali hymn, pochlebcy przekrzykiwali muzyków, żołnierze wiwatowali, ciury obozowe rzucały kwiaty (skąd oni je brali?). Wreszcie dotarła do własnego namiotu, przestronnego jak dom i przystrojonego flagą Bretanii, która przedstawiała trzy pierścienie – złoty, srebrny i czarny – na śnieżnobiałym tle. Kiedy koniuszy odprowadził jej wierzchowca, niemal rzuciła się do wejścia.

Ledwo postawiła zakurzone pantofelki na dywanie, przybiegły do niej pokojówki. Przecież nie wypada, aby Jej Wysokość paradowała w tej samej sukni przez cały dzień, poza tym zbliżał się wieczór i należało przebrać ją w odpowiednią kreację. Zazwyczaj Kathryn z pokorą poddawała się tym zabiegom (starła się załatwić potrzeby fizjologiczne przed powrotem, bo nawet podczas toalety trudno było o prywatność), jednak dzisiaj zaskomlało w niej coś malutkiego, bardzo nieszczęśliwego i wrednego.

– Idźcie sobie – powiedziała i rozejrzała się wkoło; oczywiście udawały, że nie słyszą. – No, nie potrzebuję was. Idźcie stąd! Precz! Już!

Rozpierzchły się jak gołębie. Kathryn ciężko opadła na szezlong obity srebrzystą brokatową tkaniną. „Trzeba jeszcze iść po Lily – pomyślała – ale jeśli teraz spotkam się z tłumem, zacznę krzyczeć”.

Cholerny szezlong, jakby nie można było normalnej kanapy wstawić. Wszystkie bohaterki romansów leżały i cierpiały na szezlongach. „Pies je gryzł. Nie mam ochoty leżeć i cierpieć – postanowiła Kathryn. – Zjadłabym coś, i żeby to nie był przeterminowany bażant nadziewany słoniną czy też inny wynalazek”.

Od myśli do czynu niedaleko. Kathryn przezornie ogłosiła wszem wobec, że czuje się niezdrowa i nie przyjmuje nikogo, nawet służby. Omdlewającym głosem dała do zrozumienia, że zamierza iść śladem bohaterek romansów, malowniczo cierpiąc na szezlongu. A potem szybko i sprawnie rzuciła zakłęcie niewidzialności.



Kilka minut później maszerowała jedną z bocznych alejek w stronę namiotu, w którym przebywała Lily. Odgryzała duże kęsy zdobyczego bochenka ciemnego chleba i zakąsała serem. Smakowało lepiej niż lekko nadpsute, mocno przyprawione mięsiwa, którymi raczyli się arystokraci. Kat zanotowała w myślach, żeby przejąć kontrolę nad służbą i tym, co jej przynosi do jedzenia.

Miała wrażenie, jakby zdjęto jej kowadło z mózgu. Odzyskawszy przestrzeń osobistą, wreszcie mogła myśleć swobodnie i czuła się sobą w większym stopniu, niż w ciągu wielu ostatnich dni, gdy krążyła między dworem a smokiem, przerzucana z jednych rąk do drugich. Wolność oferowana przez Nidhogga była złudna, podczas wypraw na jego grzbiecie Kat zawsze znajdowała się pod presją. Smok oczekiwał od niej magicznej więzi i czegoś jeszcze, co już wcześniej przeczuwała, a teraz postanowiła starannie przemyśleć. Co usiłował jej przekazać? Nie był człowiekiem, ale ciało, które tworzyło się wedle zapisanego wzorca, okazało się stuprocentowo ludzkie. Ciepłe, przystojne, pachnące zdrowym mężczyzną. To ciało wymagało nie tylko pożywienia, jeśli w smoczej postaci Nidhogg się nie najadł. Miało też inne potrzeby.

Kathryn nie była z kamienia, ale coś jej podpowiadało, że romansowanie z konstruktem magicznym o przepastnym intelekcie i wspomnieniach obejmujących kilkadziesiąt lat to nie najlepszy pomysł. W grę wchodziły niewyrażone wprost konsekwencje dotyczące odpowiedzialności i władzy. Gdyby coś poszło nie tak, czy w ogóle mogłaby z nim zerwać?

Drugą pilną kwestią do rozstrzygnięcia – którą musiała koniecznie omówić z hrabią Trevancel – było jej uczestnictwo w naradach wojennych. Kathryn nie szkoliła się w taktyce i strategii, ale z łatwością dostrzegała, że armia dzieli się na niezorganizowane grupy lenników. Każdy wasal organizował własne wojsko, więc przy ataku wszyscy razem stanowili bezładną zbrojną kupę. Piechota rekrutowała się z poboru; powołano głównie miejską i wiejską milicję, tylko niektórzy arystokraci utrzymywali większe oddziały zawodowego wojska, doświadczonego w oczyszczaniu prowincji z bandytów oraz w rozstrzyganiu waśni między sąsiadami. Wedle napomknęć Amandine wielmoże mieli opory przed zaciągnięciem najemników, obawiali się utraty znaczenia. Zapewne z tego

samego powodu pakowano królową w obyczajowy gorset, zamiast jak najlepiej spożytkować jej magiczne zdolności. A może po prostu nikt o tym nie pomyślał. Kiedy człowiek trafia w sam środek dobrze skostniałego systemu, prędzej zostanie wchłonięty, niż cokolwiek zmieni.

Tak rozmyślając, Kathryn mijiała kolejne namioty i rozglądała się wkoło, aby się przypadkiem z kimś nie zderzyć. Znajdowała się w centrum obozowiska, gdzie skupiło się najwięcej arystokratów, głównie lenników hrabiego. Wokół krążyli posługacze, chłopcy na posyłki i liczni rzemieślnicy – najwidoczniej praca wrzała. Na tyłach namiotów trochę woniało, bo mimo starannie wykopanych latryn niektórzy załatwiali pierwszą potrzebę tuż za rogiem.

Kat właśnie się zastanawiała, czy nie powinna wrócić na główny trakt, żeby bez dodatkowych wrażeń dokończyć posiłek, gdy zobaczyła znikającego za zakrętem barona de Béryl. Najwyraźniej też szukał prywatności. Schadzka? Ale który z arystokratów przejmowałby się, że nakryją go podczas schadzki? Gdyby rzecz się działa w Arborii sto lat temu, wtedy rzeczywiście mógłby wywołać skandal obyczajowy, ale przecież nie tutaj, gdzie szlachcice płci męskiej utrzymywali oficjalnie metresy.

„Jeżeli nie schadzka, to spiszek” – zdecydowała Kathryn i nieco przyspieszyła. Baron de Béryl, chudy, łsawy i zniszczony używkami mężczyzna po siedemdziesiątce, kuśtykał powoli. Wkrótce znalazła się tuż za nim.

Po pewnym czasie baron zniknął w niedużym namiocie, dogodnie wyposażonym w dodatkowe wejście z tyłu. Kathryn zakłębieniem wyostrzyła sobie słuch. Nie spodziewała się niczego wstrząsającego, takie spotkania odbywały się tutaj zapewne cały czas.

Chwilę później tym samym wejściem, mijając Kat niemal o włos, wśliznął się nieznanym jej szlachcic w barwach de Tourmaline, wysoki, poblížniony i ciemnoskóry. Czarodziejka nasłuchiwała uważnie.

– I jak? – rozległ się starszy, władczy głos.

– Zdaje się, że na zlecenie Wielkiej Magini zajęli się wystawianiem listów gończych za jakimś Vincentem Thorpe'em. Zielonych, a nie czarnych. Sądzę, że to jej uczeń albo kochanek. Żaba nisko upadł, skoro służy teraz za jej chłopca na posyłki.

– Nigdy nic nie wiadomo, to może być ważne – mruknął de Béryl. – Na wszelki wypadek przechwyciłbym list i dał kopiście; niech rozprowdzi czarne. Wyobrażam sobie jej minę, kiedy dostarczą jej głowę poszukiwanego w worku.

– Ślą także listy do zaciężnych. W porozumieniu z Jego Dokuczliwością. Zapadło dłuższe milczenie.

– Trevancel sam siebie zrzuci z hrabiowskiego stołka przez tych najemników – powiedział wreszcie baron. – Kto wie, czy von Feuerstein nie podkupi ich tuż przed bitwą albo czy już nie przysięgli jej lojalności?

– Oni twierdzą, że kodeks im zabrania zmieniać strony przed końcem kontraktu.

– Kiedy przychodzi co do czego, tacy ludzie znają tylko jeden kodeks. Pomyśl tylko – najemny bękart, w bezpośredniej bliskości hrabiego, królowej i Magini.

– Zastanawiam się – głos tamtego ociekał sarkazmem – w jak wielką zażyłość Żaba wszedł już z Maginią. Odwiedza jej namiot czasem i dwa razy dziennie.

– Sam bym się dobrał do takiego krągłego tyłeczka – odparł baron. – Ale to wściekła lisica, Wędrowcze uchowaj. Lepsza już królowa; całkiem słodka, chociaż pryszczata i płaska, za parę lat jednak coś z niej jeszcze będzie. Dobrze obserwuj Żabę. Czuję, że trzeba ocalić tron przez unieszkodliwienie człowieka, który mu zagraża. I to jak najszybciej, zanim zaczną za nami ciągnąć głodne zgraje najmitów.

Rozległ się brzęk rzuconej sakiewki. Kathryn zrozumiała, że rozmowa dobiegła końca i powinna się stąd ulotnić. Nie zwlekając ani chwili, pospieszyła w stronę obozu Popielników.

\* \* \*

Kapitan Artois i jego ludzie rozłożyli się schludnym obozem nieopodal rycerzy hrabiego Trevancela. Siedem przestronnych szarych namiotów ustawionych w rzędzie sąsiadowało z ogrodzonym sznurkiem placem do ćwiczeń. Środkowy namiot miał całkowicie uniesioną przednią ścianę; w środku ustawiono stoły i ławy, przed nim zaś na zadaszonej połowej kuchni parowały kotły ze strawą. Godzina popołudniowego posiłku już minęła, więc siedziało tam zaledwie

kilku ludzi, którym zajęcia nie pozwoliły stawić się o wyznaczonej porze. Lekki zapach spalenizny świadczył o tym, że dojadali resztki.

Szczęście dopisywało Kathryn, ponieważ kapitan właśnie stał nad kotłem, wyskrobując chochlą do miski zawieszisty gulasz. Od razu rozpoznała jego krępą, niewysoką sylwetkę; zrobiło jej się jakby cieplej i mniej samotnie. Nie po raz pierwszy poczuła impuls, aby go przytulić, ale się powstrzymała. Żaba nie spieszył się szczególnie, sprawiał wrażenie zafrasowanego. Sięgnął do kosza z chlebem po ciemny, płaski bochenek i po zaopatrzeniu się w prowiant udał się w stronę namiotu, wybierając ławę w najdalszym, schowanym w cieniu kącie. Kat dostrzegła tam brodatego najemnika, którego zapamiętała z nocy walki z Jastrzębiami; nazywał się Eugène.

Czarodziejka bezzwłocznie udała się w ich stronę.

– ...ponieważ jestem durniem – Artois w zadumie zanurzył chlebek w gulaszu – albo tylko liściem unoszonym przez wiatr.

– Zrobiłeś się taki rozpoetyzowany, że aż się o ciebie martwię, kapitanie – odparł Eugène. – Może powinniśmy wieczorem wyprawić się do taboru. Znalazłoby się parę takich śmieszek, co nie mają nic przeciwko.

– Za późno. Jakoś straciłem ochotę na dalsze przekazywanie bękarciej klątwy.

– Oj, źle z tobą. Pocieszę cię, że gdybyś nawet nosił nazwisko ojca, niewiele by to pomogło. – Eugène wstał i przyjaźnie klepnął kapitana w plecy. – Staruszek, o ile wiem, przetracił cały majątek. Ja w każdym razie wybieram się do wesołych dam. Weź ze mnie przykład i poszukaj towarzystwa na poziomie.

– Przynies gorzałkę – odparł Artois, wyciągając nogi na ławie. – Najlepiej piółonówkę. Będę pił i smakował gorycz mojej sytuacji.

Eugène opuścił namiot. Kathryn, przycupnięta obok na ławie, poruszyła się niespokojnie. Jej suknia, nieprzystosowana do skradania się pod osłoną niewidzialności, zaszeleściła cicho. Artois zerwał się na równe nogi. Miska upadła na ziemię, w dłoni kapitana nie wiadomo kiedy pojawił się sztylet.

– Spokojnie – szepnęła Kathryn. – To tylko ja.

Bez słowa, ale dziwnie pobladły, kapitan odłożył nóż na stół. Rozejrzał się, czy nikt przypadkiem nie zauważył jego zachowania. Dwaj spóźnialscy, którzy siedzieli po przeciwnej stronie namiotu, byli zajęci rozmową.

– Kathryn... to znaczy Wasza Wysokość...

– Przecież wiesz, że tylko ja w tym obozie potrafię rzucać zaklęcia niewidzialności.

– Ale nie tylko Wasza Wysokość umie się skradać – odparł Artois. – A to nie pierwszy raz, odkąd wyruszyliśmy z Narbonne. Ile czasu...?

– Podeszłam, kiedy rozmawialiście o liściach na wietrze – szepnęła czarodziejka. – Nie poznałam żadnych waszych prywatnych sekretów i nie chcę się dopytywać. Przyszłam z ostrzeżeniem. Rzeczywiście pana śledzą, kapitanie. De Béryl regularnie wysyła za panem ludzi, a teraz planuje skrytobójstwo.

– Spodziewałem się, że to on – mruknął Artois pod nosem. – Nie podoba mi się wszystko, co ma związek z Wielką Maginią. Jak wygląda jego asasyn? To musi być jeden z przybocznych.

– Ciemny taki. Brązowa skóra, niby dżentelmen, ale źle mu z oczu patrzy.

– Etienne. – Kapitan cały czas udawał, że mamrocze do przewróconej miski. – Boczna gałąź de Tourmaline. Teraz wiem, czemu tak się interesuje alchemią. Serdecznie dziękuję.

– Pan go teraz zabije?

– Jasne. Przecież to zawodowy skrytobójca, zapewne bardzo wprawny. – Artois od niechcenia zgarnął z ziemi miskę i palcami wybrał kawałki mięsa. – Jeżeli nie zadam wyprzedzającego uderzenia, istnieje spora szansa, że chociaż zostałem ostrzeżony, i tak mnie wyeliminuje.

– Jak trzeba, to trzeba – powiedziała Kathryn lekko zniesmaczona. – Chciałabym, żeby w Bretanii obowiązywały inne sposoby rozwiązywania konfliktów niż zabijanie się nawzajem.

– Arboriańscy nie znają pojedynków ani skrytobójstw?

– Znąją. Ale można, że tak powiem, dostrzec różnicę skali. Poza tym rozumiem, że w Bretanii uchodzi płazem dowolna krwiożerczość, jeśli mordujący stoi na wyższym niż mordowany szczeblu drabiny społecznej. U nas sprawiedliwość jest jedna dla wszystkich. To znaczy, przynajmniej w teorii, bo praktyka bywa różna, ale pracujemy nad tym.

– Interesujące. Szlachta ma mniej przywilejów?

– Albo ludzie z gminu więcej, albo jedno i drugie. W Arborii jestem warta tylko tyle, ile nauki wyniosę z uniwersytetu. Nikt mnie nie nazywa żadną wysokością, d’Argent po rewolucji stracili na znaczeniu. Ale wiesz co, Artois, mnie się tam podobało. W Avalonie, jeśli masz fach w ręku, żyje ci się wygodniej niż tutaj królom.

– Wasza Wysokość, chciałbym... Nieważne. Na Wędrowca, dureń ze mnie. Proszę się nie zmieniać. Proszę uważać na smoka. On...

– Nie jest człowiekiem – dokończyła Kat. – Chyba już wiem, co masz na myśli.

Artois chciał odpowiedzieć, ale uniósł ostrzegawczo dłoń. Czarodziejka szybko się obróciła. W stronę kapitana biegł zdyszany posłaniec.

– Panie! – zawołał. – Wielka Magini bezzwłocznie wzywa pana kapitana! Królowa zniknęła, a ze smokiem dzieje się coś złego.

Żaba gwizdnął na dwóch palcach, aż chłopak na posyłki bezwiednie zatkał uszy. Na ten sygnał nieopodal rozległ się głos trąbki. Nim Kathryn zdążyła policzyć do trzech, obok pojawił się młody żołnierz.

– Zbiórka przy namiocie Magini – zarządził Artois. – Żywo!

I chłopaka już nie było. Kapitan dopiął pas, odłożył miskę i pospiesznie wepchnąwszy do ust ostatni kawałek chleba, ruszył szybkim krokiem. Znow zabrzmiała trąbka, pachołkowie rozbiegli się we wszystkie strony, z namiotów wychynęli przebywający w obozie najemnicy. Zanim dowódca znalazł się przy pierwszym skrzyżowaniu, już było z nim kilkunastu ludzi, mniej więcej trzecia część kompanii Popielników.

Kathryn ledwo dotrzymywała im kroku. Jakoś w połowie drogi zdecydowała, że skoro już im towarzyszy, równie dobrze może rozproszyć zakłęcie. Powietrze zafalowało, zadrgało i u boku maszerujących żołnierzy nagle objawiła się srebrzyście odziana wysoka postać królowej. Wokół zapanowała pewna nerwowość. Niektórzy odruchowo wyciągnęli broń; kilku najemników upadło na kolana.

– Spokój! – syknął Artois, po czym zwrócił się do Kat: – Na Wędrowca, Wasza Wysokość. Ktoś mógłby was niechcący skrzywdzić.

– Przewidziałam to i postawiłam Tarczę – poinformowała czarodziejka. – Ekhm... Wierni żołnierze! Oświadczam, że nigdzie nie zniknęłam. Przechadzałam się po obozie *incognito*, chcąc zobaczyć, jak żyją moi poddani, dopóki nie ogłoszono alarmu. W waszym towarzystwie czuję się bezpiecznie. Dziękuję.

Najemnicy popatrzyli po sobie niepewni, co robić. Paru kolejnych padło na kolana.

– Stawiam się na rozkazy, Wasza Wysokość. – Artois uklonił się z galanterią i tym samym uratował sytuację, gdy reszta kompanii poszła w jego ślady. – Gunther, poślij słowo, że królowa jest z nami, cała i zdrowa. Ruszajmy.

\* \* \*

Od pradawnych wieków smoczą wściekłość słusznie uznawano za klęskę żywiołową. Kiedy nagle w szal wpada bestia wielkości pagórka, która potrafi wywołać naraz ekwiwalent trzęsienia ziemi, wybuchu wulkanu, oraz – przy odrobinie starań – trąby powietrznej, każdy rozsądny obywatel bierze nogi za pas i zmyka, dopóki sytuacja nie wróci do normy. W dużym ludzkim zbiorowisku taki zdrowy odruch skutkuje rozpętaniami zbiorowej paniki. Nieważne, ilu uzbrojonych rycerzy znajduje się w tłumie.

Nidhogg całe dni przechadzał się po okolicy albo przysypiał na lądowisku, które znajdowało się w pewnej odległości od obozu armii. Zazwyczaj ucinął sobie długą popołudniową drzemkę, podczas której z wzajemnością ignorował hałaśliwe i śmierdzące namiotowe miasteczko. O ile Kathryn zrozumiała wyjaśnienia drugiego pachółka, przysłanego przez hrabiego Trevancela, smok zachowywał się niespokojnie we śnie i nie reagował na próby obudzenia podejmowane przez Wielką Maginię. Postanowiono wezwać królową, ale tej nigdzie nie było.

Zanim Popielnicy dotarli na wyznaczone miejsce, sytuacja zdążyła eskalować. Kathryn wyczuwała pod stopami wyraźne wstrząsy, z oddali niósł się ryk. Na horyzoncie majaczyła wielka chmura rdzawego kurzu i gęstego, siwego dymu, w której dało się dostrzec zarys smoczego cielska. Ludzie przypadali do ziemi, chowając się za ciężkimi skrzyniami, niektórzy biegli przed siebie na złamanie karku. Konie rżały, parskały i stawały dęba. Im bliżej głównych kwater, tym

bardziej zamieszanie przeradzało się w wojenną gorączkę. Tu i ówdzie zbierały się grupki rycerzy, wszyscy w skórzniach – na założenie zbroi nie było czasu. Wyglądali na zdezorientowanych. Mieli doświadczenie w starciach z istotami ludzkimi, ale nikt ich nie przygotował na gniew smoka.

Hrabia Trevancel, w skórzni i napierśniku, wyszedł na spotkanie najemników. Otaczało go kilku przybocznych. Kat trwożnie rozejrzała się wkoło – nie, żadnych dwórek ani służących, skutecznie ich wywiało.

– Wasza Wysokość, dzięki Wędrowcowi, że jesteś. Wszyscy się bardzo martwiliśmy. – I nieco ciszej dodał: – Co, na wszelkie moce, przyszło ci do głowy?

– Zapoznawałam się z obozem naszego wojska – odparła Kathryn z przyklejonym do twarzy niezwykle uprzejmym uśmiechem. – Z innej perspektywy niż z lotu smoka. Mimo mojego wzrostu zza dam dworu kiepsko widać.

Hrabia otworzył usta i zaraz je zamknął.

– Czego innego mogłem się spodziewać po arboriańskiej czarodziejce – mruknął. – Żabo, mam dwór w panice, potrzebuję twoich ludzi do opanowania sytuacji. Niech pilnują, żeby mi się tutaj nikt nie stratował ani nie zasłabł.

– Tak jest – odparł Artois. – Dostałem też wezwanie od Magini.

– Chciała odnaleźć Jej Wysokość, ale jak widzę, z tym już się uporałeś sam. – Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. Kathryn nie rozumiała, o co chodzi. Jeszcze mu nie wybaczył niesubordynacji nad Czeluścią? – Odeskortuj ją do lądowiska, o ile pamiętam, dobrze współpracujecie. Popielnicy dadzą sobie radę bez ciebie przez kwadrans.

Jego głos ociekał jadem.

– Hrabio – zwróciła się do niego Kat, nagle zaniepokojona – gdzie Lily?

– Bezpieczna u ochmistrzyni. – Trevancel skrzywił się nieznacznie. – Ukrywa się przed smokiem, ale to nic nowego. Doprawdy nie pojmuję, po co brać na ucznia tak tchórzliwe dziecko.

Kathryn mimowolnie zacisnęła pięści i już przygotowywała ripostę, ale dostrzegła, że Artois zrobił gest, jakby chciał położyć dłoń na jej ramieniu. Niemal od razu cofnął rękę jak oparzony, niespokojnie zerknął na Kathryn i jakby



odetchnął z ulgą; wreszcie rozejrzał się ukradkiem, czy ktoś dostrzegł tę próbę karygodnego złamania wszelkich zasad etykiety i protokołu. Kat bezskutecznie próbowała mu dać do zrozumienia wzrokiem, że nie miałyby nic przeciwko temu.

Kolejny raz ziemia zadrżała.

– Nie idziemy. Lecimy – zdecydowała Kathryn. – Panie kapitanie, musi mnie pan wziąć za rękę. Jednostki mi zeżre, ale trudno...

Urwała. Ktoś próbował nawiązać z nią kontakt przez kanały energetyczne; delikatnie, ale namolnie, jak kot skrobiący w drzwi. Kat niemal natychmiast rozpoznała energię Liliany i utworzyła połączenie. Przez otwarte kanały popłynęła moc.

„Lily? Gdzie jesteś i jakim cudem łączysz się na taką odległość?”

„Niedaleko. I nie mam pojęcia, ale z tobą bardzo łatwo nawiązać kontakt. Łap jednostki i leć”.

„Wiesz, co tam się w ogóle dzieje?”

„Zdaje się, że Królewski Smok lunatykuje. Amandine postawiła osłony, ale długo nie wytrzymają. Idź go uspokoić. Aha, Kathryn...”

„Tak?”

„Co to jest kokota?”

„Inaczej sprzedajna kobieta. Nie powtarzaj w towarzystwie. Gdzie to usłyszałaś?”

„Smok mówi przez sen. Po arboriańsku. Cytuję, uwaga: »Ta skrzekliwa, dwulicowa kokota! Niech gnije od skażenia, jeśli jej się tak podoba...«. Myślałam, że się domyślisz, o kogo chodzi”.

„Nieszczególnie. Kilkaset lat wspomnień, może śnić o kimkolwiek”.

– Wasza Wysokość?

– Nawiązałam kontakt z Lily. – Niespodziewanie dla samej siebie Kat postanowiła się wytłumaczyć kapitanowi z roztargnienia. – Oddała mi swój zapas magii. Weź mnie za rękę. Pozwalam. Nakazuję.

Artois posłusznie ujął dłoń królowej w swoją – spracowaną, poznaną drobnymi bliznami i odciskami. Jakby przeszył ją prąd elektryczny, Kathryn poczuła równocześnie zimno i gorąco, jej oddech zamarł na chwilę, a fale ciepła

rozpłynęły się po ciele. Nie mogła się powstrzymać i spojrzała kapitanowi w oczy. Uczucie, jakie w nich dostrzegła, nie miało nic wspólnego z nabożnym szacunkiem dla królowej Bretanii.

\* \* \*

Wystrzelili w niebo z ogromną prędkością. Wielobarwne namioty, wozy i kłębiąca się w dole ciżba ludzka oddalały się, powietrze zatrzymywało się w płucach, malały dystanse. Kathryn z zaciśniętymi zębami kontrolowała zakłęcie; używanie Lotu z pasażerem było niełatwą sztuką, a nie umiała jeszcze rzucać wieloosobowej wersji. Dłoń miała mokrą od potu. Artois z szeroko otwartymi oczami przypatrywał się obozowisku i całej Dolinie Dziewięciu Wiernych. Czarodziejce wydawało się, że ich serca biją w równym rytmie, jednak obydwójce skupiali się na zadaniu.

Suche trawy doliny trawił smoczy ogień. Przez warstwę gryzącego dymu Kathryn ujrzała Nidhogga, który siał zniszczenie w pewnej odległości od lądowiska. Wydawało się, że próbuje rozszarpać niewidocznego przeciwnika. Mimo swoich rozmiarów poruszał się zwinnie jak mangusta, atakując powietrze zębami i szponami. Właśnie zaakcentował kolejne uderzenie krótkim zionięciem, ukształtowanym w zgrabny stożek pobielalej, skwierczącej magmy.

Z namiotu dla strażników i służących, którzy asystowali królowej podczas lądowania, nic nie zostało. Kathryn dostrzegła dwa martwe konie i kilku rycerzy, chyba rannych; sądząc po barwach tunik, należeli do poczty Wielkiej Magini. Drobną figurkę Amandine dało się zauważyć wśród dymu dopiero po chwili obserwacji. Wznosiła magiczną laskę i rozpościerała przed sobą największą Bańkę Kinetyczną, na jaką było ją stać. Chroniona strefa wyraźnie odcinała się od połaci zwęglonej trawy. W środku znajdowali się ranni.

– Niedobrze. Zaraz skończą jej się jednostki – sapnęła Kat. – A wtedy Nidhogg może ruszyć w stronę obozowiska.

– Na Wędrowca. Mój stary chart czasem śnił, że ściga zwierzynę, ale nie sądziłem, że to dotyczy również smoków. Dlaczego Magini go nie obudzi? – Artois przypatrywał się scenerii ze ściągniętymi brwiami. Starał się sprawić wrażenie niewzruszonego, ale z jego twarzy odplynęła niemal cała krew.

– Pewnie próbowała. – Kathryn zagryzła usta. Przynajmniej w tym stanie Nidhogg nie będzie pożerał jej magii. Przejrzała w myślach listę wzorów i zaczynała do niej docierać, że w grę wchodzi tylko jedno zakłęcie: Uspokojenie Dużej Zwierzyny. Znała je na pamięć, uczyła się go do egzaminu. I to właśnie na nim poległa, bo jak większość reduktorów zawierało solidny komponent Entropii.

– Wasza Wysokość, jeżeli to możliwe, proszę mnie posadzić na ziemi – zaproponował Artois. – Ludzie to nie ptaki, nie stworzono nas do fruwania. Poza tym rannych trzeba stąd zabrać.

– Spróbuję uspokoić smoka zaklęciem – poinformowała go Kathryn – ale uwaga, może się nie udać. Rzucę na ciebie Szybkość Pумы, a na tych tam Nieznaczną Antygrawitację, żeby byli lżejsi. Masz dokładnie pięć minut... małą klepsydrę, żeby ich ewakuować. Gdyby mi się nie powiodło, wystrzelę czerwone światło. Widzisz, którą część obozu trzeba najpierw zwinąć?

– Bez trudu – mruknął Artois. – Żołnierze de Malachite powinni współpracować.

Kathryn zaczęła zniżać lot; w samą porę zresztą, bo już się obawiała, czy na wszystko wystarczy jej energii. Amandine dostrzegła nowo przybyłych, machnęła ręką. Krzyczała coś do Kat; po chwili nasłuchiwania czarodziejka zrozumiała, że artystka wpuszcza ich do środka bańki. Obudziło to w niej podziw; u zarania wyprawy Amandine musiała używać ściągawki, aby korzystać z symboli. Teraz kontrolowała wynalazek Weylanda jak wyszkolony żołnierz.

Wylądowali na pożółkłej od słońca trawie. Przed nimi płonęła łąka, a Nidhogg miotał się w bezrozumnej wściekłości.

– No, nareszcie! – wybuchła Amandine. – Gdzie cię nosiło?

– Nie sądziłam, że coś takiego w ogóle może się zdarzyć.

– Jasna cholera – warknęła artystka. – Pewnie, że nie! Uspokój go! Nawiaż z nim kontakt tą swoją telepatią!

– Nie mam z nim więzi.

– Co?!

– Nie potrafię jej nawiazać. Robi mi się niedobrze, kiedy próbuję. Nie wiem dlaczego. Przekazuję mu energię zaklęciami, z ręki do ręki, i dzięki temu za mną podąża.

– Może to dlatego zasnął i wariuje? Może brakuje mu tej całej więzi?

– Może. Spróbuję coś zrobić. Jest jeszcze zakłęcie uspokajające, ale ono ma komponent Entropii...

– I nie umiesz go rzucić?

– No, niezupełnie, parę razy mi wyszło. Ale pewnie schrzanię...

– Powiem ci coś, Kat – warknęła Amandine przez zęby. – Cackasz się ze sobą jak z jajkiem. Dlaczego ja tutaj stoję i odpalam cholerną laskę wojskową? Dlaczego to ja w ogóle trzymam w kupie tę wyciągniętą z dupy armię? Myślisz, że jesteś takim ósmym cudem świata? Nawiażesz z nim kontakt albo rzucisz to zakłęcie, gównu mnie obchodzi, ile razy je schrzanisz, ile z tego „pójdzie w straty” i jakie pustkostwory wezwiesz po drodze! Albo jesteś sakramencką królową, albo nie! Srał to pies! Spartol wszystko, ale spróbuj!

– A żebyś wiedziała, że spróbuję! – wrzasnęła Kathryn. Usiłowała wymyślić błyskotliwą ripostę, ale jej racjonalny umysł odmówił współpracy; oczy przesłoniła jej czerwona mgła. Odetchnęła głęboko. Zerknęła na kapitana Artois; w napięciu oczekiwał rozkazów, bardzo starannie udając, że nie widzi kłótni. Rozmawiały po arboriańsku, więc nie zrozumiał ani słowa, ale na pewno wychwycił kontekst.

Odetchnęła jeszcze raz. Smok wybrał tę chwilę, aby się odezwać. Po arboriańsku, prosto z przepony – a była to smocza przepona. Powiał wiatr, czarodziejka ugięła kolana i zatkała uszy. Amandine, która nadal dzierżyła laskę i ryk Nidhogga uderzył prosto w jej bębenki, omal się nie przewróciła – na szczęście Kathryn w porę ją złapała. Głos niósł się daleko i nic dziwnego, że Liliana mogła wychwycić słowa.

– Taki właśnie los czeka zdrajców, którzy odrzucają moje dary! – huknął Królewski Smok. – Śpiący bóg był dla was wygodny, gdy nie musieliście się ze wszystkiego spowiadać?! Robaki. Oczekujcie mojego gniewu!

Kathryn zaczęła błyskawicznie przekształcać macierze. Moc wypełniła jej kanały energetyczne, przelała się do rąk, wreszcie uwolniła w postaci obydwu zaklęć obiecanych kapitanowi. Ranni rycerze, którzy znajdowali się wewnątrz bańki, unieśli się mniej więcej metr nad ziemię, co w innych okolicznościach byłoby nawet zabawne. Artois zgarnął wszystkich czterech i powiązał linką, którą

nie wiadomo skąd wytrzasnął. Obydwoje zerknęli na smoka. Stał zwrócony do nich zadem i znów wymierzał uderzenia w powietrze.

Kat wymieniła spojrzenia z Amandine. Ta skinęła głową. Kapitan pomknął w stronę obozowiska, zabierając rannych; biegnąc, zostawiał za sobą chmurę pyłu.

No dobrze.

Zamknęła oczy. Pomagało, gdy mogła wyraźnie obejrzeć cudzy system energetyczny, a bez tego więź ze smokiem, jak czuła, raczej się nie powiedzie.

Otworzyła oczy.

Stała naprzeciwko dzieła sztuki. Kanały energetyczne spletały się jak rzeźba ze światła, dzieło życia genialnego mistrza rzemieślników. Jak symfonia zapisana za pomocą gwiazdnych konstelacji.

Konstrukt magiczny. Rzeczywiście.

Im dłużej się jednak przyglądała, tym bardziej rzucały jej się w oczy niedociągnięcia, luki w niesamowicie skomplikowanym wzorze energetycznych kanałów i słabsze świetliste nici, jakby blizny. Gdyby nie to, że system obfitował w dodatkowe połączenia i obejścia, które równoważyły braki, być może Nidhogg dawno dokonałby żywota. „Jest stary – pomyślała Kathryn – wiele w życiu przeszedł. Sam przyznał, że jego Źródło nie działa już zbyt dobrze. Jak na niego wpłynęła przedłużona hibernacja?”

Wydawało jej się, że czas stanął w miejscu. Wpatrywała się w Nidhoggę, usiłując zrozumieć, dlaczego wcale nie pragnie nawiązywać kontaktu. Przy pierwszym spotkaniu sądziła, że Królewski Smok ją onieśmiela. Jakkolwiek patrzeć, nie był zwykłym magicznym chowańcem. Później – że pewnie w ogóle ma problem z utworzeniem połączenia z kimś innym niż jej mistrzyni i najbliżsi przyjaciele, a do tej pory tego nie zauważyła, bo nie nadarzyła się okazja. Kto wie, może problemy z więzią szły w parze z dysentropią?

A teraz zaczynało do niej docierać, że najzwyczajniej w świecie odczuwa wstręt. Że perspektywa więzi ją brzydzi. Ale dlaczego?

Pomyślała, jak wobec smoka zachowywała się Liliana. Nie wybiegła na pierwsze spotkanie. Bardzo się starała, żeby nigdy się nie znaleźć w zasięgu jego wzroku. Twierdziła, że się boi. Ale przecież Lily nie była zwykłym dzieckiem.

Dostrzegając więcej niż przeciętny człowiek, miała nadnaturalnie wyczułone zmysły. Jej profil, *Drachenfeuer*, według Weylanda dotyczył kontroli nad smokami.

Przypomniała sobie, jak stary baron de Béryl z początku dopytywał się natrętnie o czarne umaszczenie Królewskiego Smoka – przecież wszyscy wiedzą, że powinno być szkarłatne jak świeża krew. Nidhogg go wyśmiał, przypominając, że wszystkie gady przechodzą czasem wylinkę i że barwa u smoków nie jest cechą trwałą, a ponieważ zmiana skóry zdarza się raz na dwieście, trzysta lat, nikt o tym nie pamięta.

No jasne. Co rzeczywiście wiedziano o Królewskich Smokach, skoro istniał tylko jeden żywy egzemplarz? Czy konstrukt magiczny na pewno musi przechodzić wylinkę? Czy rośnie? Czy normalnie wykluwa się z jajka? Skąd się bierze?

Nidhogg obrócił się wokół własnej osi i przed oczyma Kathryn przesunął się długi, lśniący ogon; pazury przednich łap wbiły się w ziemię zaledwie kilka merów od granicy strefy ochronnej.

Smok nachylił kostropatą głowę; oczy miał otwarte.

Płonęły szaleństwem.

Amandine wydała z siebie zduszony pisk, uniosła wyżej łaskę. Bańkę kinetyczną ściągnęła już do takich rozmiarów, aby obejmowała obydwie kobiety.

Czarodziejka cofnęła się, wstrzymując oddech.

Co by zrobiła Belinde? Mawiała zwykle: „Jeśli instynkt podpowiada ci, że to kiepski pomysł, to prawdopodobnie jest kiepski pomysł. Lepiej usiądź i przemyśl go na nowo”.

Odruchowo zaczerpnęła powietrza. Przekształciła wzór, który powtarzała już tyle razy, że potrafiła go dostosować do wszystkich parametrów i wszystkich sytuacji. Doskonale wiedziała, jak go przeliczyć. Problem w tym, że moc dobytą przez nią ze Źródła nie wypełniała prawidłowo kształtu zaklęcia. A najdrobniejsze odchylenie we wzorze dodatkowo go zaburzało.

Żeby wyszło jej zaklęcie oparte na Entropii, nie mogła sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Ta świadomość zazwyczaj sprawiała, że gdy przychodziło co

do czego, mięśnie w jej ramionach zaciskały się i myliły jej się najprostsze funkcje. Wstydziała się tego. Wstydziała się swojej ułomności.

Ale kiedy stoisz oko w oko z Królewskim Smokiem, nie ma czasu na kompleksy. Ani na szlifowanie techniki. Robisz najlepsze, co możesz, z tym, co masz.

Pierwsza próba spełzała na niczym. Świeżo naładowany mocą kształt rozpękał się na dwoje i uwolnił rozproszoną energię w powietrze. Dłonie Kathryn zaczęły świecić.

Smok puścił dym z nozdrzy i szeroko rozwarł pysk. Zęby miał jak drzewa, zbyt wielkie, żeby sprawiały wrażenie ostrych. Z paszczy cuchnęło spaloną padliną i prochem strzelniczym. Kathryn poczuła, jak temperatura otoczenia się podnosi, i odruchowo, jakby jej umysł zamienił się w niesłychanie sprawny kalkulator, przekształciła wzór Laboratoryjnego Ciekłego Azotu. Stożek stężonej plazmy, zdolnej stopić granitową skałę, zderzył się z kulą zmrożonego gazu. Zakłęcie, którego nie przeznaczono do celów bojowych, eksplodowało wskutek powstałej różnicy ciśnień. Krople magmy odbijały się od bańki kinetycznej; Kat złagodziła uderzenie, obniżając temperaturę zwykłym wodnym zakłębieniem. Świat wokół zrobił się mleczny od kłębiącej się pary. Amandine drżała i zaciskała obydwie dłonie na magicznej lasce.

Kathryn już nie myślała, tylko reagowała jak tancerz lub pianista, poddając się wyćwiczonym odruchom. Jej mózg zredukował się do maszyny liczącej. Straciła samoświadomość, zapomniała o własnej dysentropii, wykonywała tylko przetrenowane setki razy zakłębienie, dając się prowadzić słowom, gestom i wszystkim innym mnemotechnicznym sztuczkom.

W chwili gdy uwolniła kształt, zrozumiała, że jest prawidłowy. Wyczuwała, jak zakłębienie fraktalnie rozwija się wokół smoka, rozpraszając jego agresję i wyciszając emocje. Nidhogg stanął szeroko na czterech łapach i potrząsnął głową ogłupiały. Potem z hukiem opadł na brzuch.

Leżał spowity w mgłę i dym; wokół niego po trawie wciąż pełgały płomyki. Wpatrywał się w Kathryn szeroko otwartymi oczami. Nie miała pojęcia, czy zdaje sobie sprawę z jej obecności.

Amandine ciężko oparła się na magicznej lasce.

– W porządku? – Kathryn dotknęła jej ramienia.

– Nie, no niezupełnie. – Przyjaciółka kasznęła. – Paznokiec mi wrasta. – Zachichotała z nutką hysterii. – Ząb mnie boli. Chciało mi się siku, ale teraz już nie.

– Nidhogu! – krzyknęła czarodziejka. – Nidhogu! Obudź się! Królowa ci rozkazuje!

Smok dłuższą chwilę nie reagował. Potem zamknął oczy, powoli, jakby przypominał sobie o własnym istnieniu. Sapnął ciężko. Jego powieki znów się rozwarły, tworząc jedynie cienką szparę.

– Sam nie wiem, dziewczyno – zahuczał po arboriańsku. – Czy cię spalić tutaj na miejscu, czy podziękować. Nie masz pojęcia, co zrobiłaś – westchnął. – A zresztą trudno się mówi. Teraz musiałbym chyba nad nimi stać osobiście, żeby pracowali, jak należy.

– O czym ty gadasz?

– O głupich Arboriankach – prychnął. – Straciłem cierpliwość. Masz utworzyć ze mną więź. Teraz. Już.

– Lunatykowałeś z powodu jej braku? – wtrąciła Amandine.

– Lunatykował, bo coś z nim jest nie w porządku – odparła Kathryn przez zaciśnięte zęby. – Coś, o czym nikomu nie powiedział. Dlaczego tak mocno nalegasz na więź? Przekazywanie zaklęć do tej pory działało.

– Dlaczego nie potrafisz jej utworzyć? – zareplikował Nidhogg, a jego głos przetoczył się po równinie jak grom. – Przecież między czarodziejami to rzecz banalna. Żaden król nie uciekał się do półśrodków.

– Nie jesteś czarodziejem, tylko smokiem. – Kathryn przeciągnęła dłonią po twarzy i odkryła, że skórę ma równo pokrytą sadzą. – Powinieneś działać jak chowaniec i kontaktować się tylko z jednym magiem naraz. Ale tak nie robisz. Myślę, że z kimś jeszcze utrzymujesz kontakt. Sam się przed chwilą przyznałeś. Inaczej wcale byś nie „lunatykował”.

– Ile ty wiesz o smokach, dziewczynko? – wzburzył się Nidhogg. – Wykopaliście nowy szkielet w Arborii? Zresztą, moja miła, sama trzymasz coś w tajemnicy. Kim właściwie jest ta wasza mała podopieczna, której ani razu nie widziałem na oczy?



– Zwykłym dzieckiem. – Kathryn wzruszyła ramionami. – No dobrze, dzieckiem z aktywnym Źródłem. Tyle tylko, że ci nie ufa. A zwykle ma nosa, więc biorę jej opinie poważnie.

– Jasne – prychnął Królewski Smok. – Zawlokłyście z Arborii Zagładę Gwiazd, mogłyście przyprowadzić i konstrukt pod postacią dziecka. Pionkom Arcymagów nie mówi się, jakie funkcje mają pełnić. Pionkom Trzeciej Wyroczni też nie. Więż, moja droga. Zmusz się, bardzo cię proszę. Jestem pewien, że możesz zerwać inne zobowiązania, jeśli się postarasz. Inaczej przejmę inicjatywę i sam poprowadzę tę wojnę. Zasiliłaś mnie taką ilością mocy, że jeszcze przez długi czas obędę się bez maga d'Argent. Niech wszyscy się dowiedzą, że Wielka Magini nigdy w życiu nie rzuciła samodzielnie ani jednego zaklęcia.

Amandine aż się zatchnęła.

– Ty... szantażujesz nas?

– Szantażuję pannę Verd – odpowiedział smok. – Nie wiem, wedle jakich kryteriów wybrano cię na królika doświadczalnego dla Zagłady, ale żaden z ciebie mag i nie stanowisz strony w sprawie.

– Radzę sobie i bez magicznego talentu, bardzo dziękuję – odparła Amandine, biorąc magiczną laskę pod pachę i podpierając się pięściami pod boki. Suknię miała brudną i mokrą, rude loki sterczały na wszystkie strony, w pozlepianych kłakach, ale nadal prezentowała się dumnie. – A ty nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Mam zwyczaj słuchać starszych ludzi – podsłuchiwać, jeżeli nie da się inaczej – i są zaniepokojeni zmianami w twoim zachowaniu. Oczywiście, wszystko im wytłumaczyłeś, ale nie rozumiem, jak to się dzieje, że kiedy majaczysz, mówisz w języku, którego rzekomo nauczył cię Lucjusz. I te aluzje, jakie nam posyłasz, sprawdzając, które z nich rozpoznamy. Jeśli chcesz się przyznać, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi, zrób to wreszcie. Już się zorientowałeś, że uwodzenie Kathryn to bardzo kiepska taktyka? Najpierw nie odczyta twoich intencji, a kiedy już do tego dojdzie, staniesz się tak natrętny, że ją wystraszysz.

– Amandine!

– Przecież tylko przy tobie zamienia się w człowieka, prawda?

– Nawet nie wiesz, o czym rozmawialiśmy na osobności!

– Mmm – zawarczał smok. – Widzę. Starannie zbadano cię pod kątem charakteru. No dobrze, panno... Cerise? Przyznam, mam swoje słabości. Jestem stary, bardzo stary, a życie nauczyło mnie, że rozmaite stowarzyszenia, kooperatywy i spółki prowadzą donikąd. Jeżeli coś powinno być zrobione, lepiej to zrobić samemu, w najgorszym wypadku przekazać swoją wolę wprawnym sługom. Nie muszę was szantażować. Wystarczy, że wyjaśnię wam, jak się przedstawia sytuacja, abyście zrozumiały, że nie ma innego wyjścia, jak tylko realizować mój plan. Zresztą zależnie od decyzji i tak będziecie pionkami – moimi, Wyrocni lub Arcymaga. Za mojej młodości posługiwano się takim uroczym pojęciem: przeznaczenie. Z czasem zrozumiałem, że przeznaczenie to scenariusz, który ułożył dla ciebie ktoś inny.

– Idź napisać o tym książkę – odparła Amandine. – Albo przejdź do konkretów.

W kłębach mgły i dymu, który nie rozwiewał się jeszcze, karmiony dogasającą trawą, olbrzymia smocza sylwetka zaczęła się kurczyć i zmieniać. Nie było w tym nic organicznego, nic, co przywodziłoby na myśl tanie postneogotyckie romanse o wilkołakach. Jakby ktoś składał kartkę papieru albo zwijał fraktal, kształty stawały się abstrakcyjne i geometryczne, zmieniały się kąty i płaszczyzny. Kathryn odruchowo zamknęła oczy, od tego widoku mogło się zakręcić w głowie.

Gdy je otworzyła, Nidhogg znów stał przed nimi w ludzkiej postaci. Otworzył usta, ale Amandine go uprzedziła.

– Lucjusz Szalony! – zawołała ze zgrozą.

– Co?! – Kathryn zamrugła. – Ale jak to?

– Widziałam portrety. Ty też je widziałas, w awalońskim muzeum jest ich kilka. Poza tym wygląda jak... – urwała, zacukała się. – No tak, nie mogłaś go poznać z portretów, przecież masz problemy z rozróżnianiem twarzy. A one są stylizowane.

Czarodziejka obląła się zimnym potem. Oczywiście. Teraz, gdy Amandine zwróciła jej na to uwagę, wreszcie dostrzegła podobieństwo. Mężczyzna, który przed nimi stał, przypominał Vincenta, tylko jakby... wredniejszego. „Zły starszy brat – pomyślała – zupełnie jak w operetce. Nic dziwnego, że wydawało mi się,

że go znam. I ja na niego patrzyłam... i rozważałam... Jeśli tak samo patrzyłam na Vince'a, to Amandine mogła myśleć, że... Trzeba to będzie jakoś wyjaśnić. »Hej, Amandine, nie podrywałam twojego narzeczonego, gapiłam się tylko w dogodnych chwilach na jego fajną klatkę«. Nieee, najlepiej pominąć ten temat milczeniem”.

Zwłaszcza że miały dużo poważniejsze problemy do rozstrzygnięcia.

– Ale... – szepnęła Kathryn – jeśli naprawdę jesteś Lucjuszem... Nie, nie wierzę. Lucjusz podobno nie żyje. Nie chcę się dać omamić teatralną sztuczką. Jeśli udajesz smoka, równie dobrze możesz udawać Lucjusza. Nie wystarczy mi, że wyglądasz, jak wyglądasz. Poproszę o jakiś dowód.

Mężczyzna, który kazał się nazywać Nidhoggiem, zamrugał.

– Co? Pustka i Zaświaty, Arboriańczycy, niech ich szlag trafi! Mam okazać kartę biblioteczną? Dowód meldunkowy? Odpis dyplomu w trzech kopiach? Bo obawiam się, że nigdy nie zrobiłem licencji woźnicy dylizansów.

– Wystarczy – westchnęła Kat. – Bretański smok nie wymyśliłby takiej biurokracji. Jak to w ogóle zrobiłeś? I dlaczego?

– Rozpocząłem projekt – odparł Lucjusz z godnością. – Trwał długo. W pewnym momencie zrozumiałem, że umrę, zanim go skończę. Toteż poszedłem po rozum do głowy. Pewnie wam to nic nie mówi, ale tutejszy Królewski Smok zestarzał się już dostatecznie, aby jego ludzka część znacznie osłabła. To, co zostało, miało lukę do wypełnienia. Odkryłem, jak z niej skorzystać. Zatem jestem smokiem, ale również sobą. Niestety, ograniczają mnie właściwości tej formy; dopóki nie przybyłaś do Czeluści, znajdowałem się w półśnie, powolny i niemrawy. Liczę na to, że wreszcie nawiążesz ze mną połączenie i będzie można przystąpić do finalizacji projektu.

– ...czyli?

– Ocalenia Rozdartego Świata od zagłady – rzekł dumnie Lucjusz Thorpe. – Czyż nie po to tutaj was wysłano?

– Zaraz...

– Wiem, że wasza ekipa robocza została rozdzielona – kontynuował były Wielki Mag. – Moi ludzie, a przynajmniej ci wierni, poszukują waszego towarzysza. To partacze i pierwotnie wzięli go za zmarłego; inaczej prędko

dostarczyłbym go na miejsce. Oczywiście bardzo by mi pomogło, gdybym poznał jego nazwisko.

Amandine pobladła i rzuciła Kathryn błagalne spojrzenie.

– Mmm, o tym musimy jeszcze porozmawiać – odpowiedziała czarodziejka – bo nie budzisz zaufania. Ani troszeczkę. Nie mogę nawiązać połączenia, już ci to mówiłam dziesięć razy. Ty chyba... coś już masz dołączonego do siebie – zakończyła niezgrabnie, niepewna, czy dobrze interpretuje swoje domysły. – I to jest trochę obrzydliwe.

Lucjusz zmienił się na twarzy, podparł brodę dłonią.

– Ach. O tym nie pomyślałem. Tak, masz rację. Kontaktuję się z moimi podkomendnymi. Znalazłem sposób utrzymywania dalekosiężnych połączeń. Widzicie, mój projekt wymagał pewnych... niebezpiecznych metod pośrednich. W smoczej postaci nadal przetwarzam moc Pustki i wiem, że wszystko posprzątam po zakończeniu doświadczenia.

Kathryn i Amandine popatrzyły po sobie zszokowane.

– No tak, to ja stworzyłem Zakon. – Lucjusz się skrzywił. – Trzeba było ukryć moje uczestnictwo, a spory zespół wymaga pewnej hierarchii, ideologii, podtrzymywania posłuszeństwa. I tutaj, widzicie, docieramy do punktu, gdzie nie macie wyboru. Bo pierwotnie w ogóle nie potrzebowalem waszej małej armii. Krótki spacer, kilka bitew dla pozoru. Zgarnąłbym trochę energii, żeby wzmocnić smoczą formę i bez trudu kontynuować pracę w Nouveaux Dijon...

– Skoro już mówisz, wypowiadaj się jasno – upomniała go Amandine. – Jak to się stało, że Bretańczycy niczego nie zauważyli zaraz po twojej „śmierci”? Zmieniłeś barwę łusek. Jeszcze przez kilka lat Królewski Smok przebywał na zamku, to byłeś ty?

– Smocze łuski wymieniają się jak włosy. Wygląd z czasem dopasował się do mojego wyobrażenia o sobie. Ale to drobiazg. – Lucjusz machnął ręką. – Prawdziwym problemem jest to, że gdy się obudziłem, Zakon postanowił się zbuntować. Nagle wydawałem rozkazy częściej niż raz w tygodniu i to im przeszkadzało w wygodnym życiu. Teraz zostało mi jedynie kilkoro najwierniejszych, pozostali działają na własną rękę. Moje drogie, mamy przeciwko sobie całą armię Philippe’a, Zakon Cierpliwego Wędrowca oraz

wojska von Feuerstein, może i pozbawione magii, ale bardzo zacięte, i wszyscy oni chcą nam złoć skórę.

– Od tego zaczynaliśmy...

– Ach... – Lucjusz się uśmiechnął. – Ale dopiero teraz ma znaczenie, czy poinformuję was o liczebności i umiejscowieniu wojsk. Bo naprawdę będziemy się bić. A ta mała armia nie ma najbłedszego pojęcia, z czym jej się przyjdzie zmierzyć – teraz, gdy nie hamuję Zakonu. Bez smoka mogliby się od razu zwinąć i pójść do domu.

– Czyli – powiedziała Kathryn – potrzebujesz nas tak samo, jak my potrzebujemy ciebie.

Skrzywił się na te słowa.

– Ale na więź musisz poczekać – dodała z westchnieniem. – Nie dotknę twoich kanałów energetycznych, dopóki będzie na nich wisieć pół tuzina skażonych Inkwizytorów. Mowy nie ma. Albo oni, albo ja.

– Dziewczeta – sylwetka znów zamazywała się we mgle, przemieniała w abstrakcyjne kształty, rozwijała i rosła – wyglądnęła uroczo, gdy tak stawiacie warunki. Zależycie ode mnie, od mojej wiedzy, mocy... i mojego projektu, jak cała Arboria i Bretania razem wzięte. Ale proszę, panno Verd... potrafię czekać. Jestem bardzo cierpliwy.

\* \* \*

Wracały powoli, podpierając się nawzajem. W połowie drogi wyjechali im naprzeciw Popielnicy z dwoma dodatkowymi końmi; nikt inny nie kwapił się ruszyć im na pomoc. Kapitan pomógł obydwu damom dosiąść wierzchowców; Amandine nie mogła się pozbyć wrażenia, że Artois wysiłkiem woli powstrzymuje się przed utuleniem Kathryn w czułym uścisku. Westchnęła ciężko, przyglądając się obydwójgu. Dla każdego, kto uważnie patrzył, nie ulegało wątpliwości, że kapitan i królowa zadurzyli się w sobie po uszy, wbrew wszelkim regułom i na przekór bretańskiej hierarchii społecznej. Kroił się tutaj kolejny problem do rozwiązania.

Konie jechały stępa. Kathryn patrzyła przed siebie szklistym, śmiertelnie zmęczonym spojrzeniem; zaklęcia musiały ją wiele kosztować, nawet zważywszy

na legendarną wytrzymałość fizyczną czarodziejów. Amandine powoli uspokajała kołatanie serca i zastanawiała się, czy pokojówki w zaciszu swoich namiotów będą się naigrawać z jej niezbyt ładnie pachnącej sukni. Migrena wracała jak zły szeląg, niemal odbierając jej wzrok. Teraz artystka trochę żałowała słów skierowanych do Kat – rzeczywiście nikt nie przewidział rozwoju sytuacji, a królowa nie jest przecież przywiązana kajdankami do swojego namiotu – ale naprawdę myślała, że tam umrze, samotna, zdana tylko na niewielki repertuar zaklęć magicznej laski. Czy magowie są ulepieni z innej gliny? A może przeżywają to samo?

Dopiero przed pierwszą linią namiotów zebrał się tłum rycerzy, dworzan i służących. W milczeniu przyglądali się powracającej królowej i Wielkiej Magini – brudnym, mokrym, z twarzami pokrytymi sadzą.

Amandine wstrzymała wierzchowca i powiodła po nich spojrzeniem.

– Wszystko w porządku – powiedziała tylko. – Triumwirat się naradził.

Odpowiedział im ogłuszający wiwat. Kathryn wyprostowała się w siodle, przyjęła godną postawę. „Teraz Trevancel nie ma wyjścia, musi ją uwzględnić w radzie wojennej – pomyślała Amandine. – Bez względu na wiek, płeć i pozorną ofermowatość. I wszyscy na tym lepiej wyjdą. Głównym atutem militarnym tej zbieraniny pozostają smok i jego jeździec. Kto zdrowy na umyśle zachowuje dworski podział ról w czasach wojny? Kathryn jest jedyną wyszkoloną czarodziejką... No tak, ale oni o tym nie wiedzą” – przypomniała sobie ze smutkiem.

Odeskortowano ją do namiotu, gdzie pod troskliwą opieką służących została rozebrana i wsadzona do balii z gorącą wodą. Chyba na krótką chwilę straciła przytomność. Później rzygała chyba z godzinę, błagając o przegotowaną wodę i czerstwy chleb, podczas gdy pokojówki z uporem godnym lepszej sprawy podsuwały jej piwo z mlekiem, zalecane przez lokalnego uzdrowiciela.

Późnym wieczorem migrena odpuściła, jak zwykle z nagłą, jakby ktoś odkorkował jej mózg. Amandine leżała na sofie zawinięta w gruby szlafrok. Bolały ją mięśnie i lekko ćmiło za prawym okiem. Czuła się tak, jakby przebiegła maraton, a jej wspomnienia z ostatnich kilku godzin należały do zupełnie innej osoby, ale za to było jej ciepło i wygodnie.

Rozejrzała się wkoło.

– Masz. – Dostała do ręki płaski, ciemny chlebek. Uniosła wzrok i spojrzała na Kathryn. Nieopodal, zwinięta pod wyszywaną kołdrą na jej wielkim materacu, drzemała Liliana. Służące gdzieś znikły.

– Pusto jakoś... – napomknęła z aprobatą.

– Niestety, na pokojówki trzeba krzyczyć – powiedziała cicho Kat. – Są totalnie uwarunkowane, kiedy proszę o coś niebretańskiego, po prostu nie słyszą. Czasem się zastanawiam, kto tutaj kim rządzi. Chlebek dostałam od Żaby.

– Wpadł jak śliwka w kompot – mruknęła Amandine. – Zdajesz sobie sprawę, jak dla niego, Bretańczyka, wygląda sytuacja? Jest zbyt dumny, żeby zostać faworytem, zbyt rozsądny, żeby chcieć czegoś więcej, i zbyt zakochany, żeby mu szybko przeszło. Pójdzie zginąć dla ciebie w bitwie.

– O rety. – Kathryn pobladła. – Nie przyszło mi to do głowy. Amandine, jak się nadaje tytuły szlacheckie? Zmniejszyłaby się różnica statusu...

– Wtedy Trevancel wynajmie zabójcę. Lubi kapitana, ale z żalem poświęci go dla swojej ambicji. Swoją drogą dziwię się, że nikt jeszcze nie podjął takiej próby...

– Podjął, ale wszystko jest pod kontrolą.

– No pięknie. – Amandine ukryła twarz w dłoniach. – Jakbyśmy miały mało kłopotów.

– Zabawna sprawa. – Kat splotła ręce. – Artois ostrzegął, że smok to nie człowiek, a tymczasem problem z nim wynika z czegoś dokładnie odwrotnego. Kiedy Lucjusz na samym początku obiecywał pomoc w odwróceniu procesu Rozdarcia, wierzyłam mu. „Rytuał, którego nie dokończył poprzedni Wielki Mag...”. Czyli on. Cały czas utrzymuje, że chce dobrze... ale...

– Teraz nie wierzysz w ani jedno słowo, co? – mruknęła Amandine. „Gorzka ironia losu – pomyślała – ale coś mi to przypomina”.

– A kto by wierzył? Przede wszystkim nawet nam tego projektu nie pokazał, niczego nie wyjaśnił – westchnęła Kathryn. – Opowiada o nim, jakby to było oczywiste, że on, geniusz, ratuje maluczkich. Wystarczy chwilę nad tym pomyśleć – facet stworzył sektę, która werbuje ludzi poprzez wpędzanie ich w śmiertelną chorobę. A my to mamy przyjąć za dobrą monetę.

– No widzisz, a ja w towarzystwie Margueritte czuję się tak cały czas. – Amandine wbiła wzrok w ziemię. – Według mnie niewiele się od niego różni. Może tylko skalą.

– Porównujesz ją z tym psychopata?!

– Czasami mam wrażenie, że wszyscy jesteście tacy – odpowiedziała Amandine. Zabrzmiało ostro, ostrzej, niż chciała. Na chwilę zapadło milczenie.

– Pracujemy nad skomplikowanymi rzeczami, cały czas obracamy się w swoim towarzystwie – powiedziała wreszcie Kathryn. – Niektórzy nie potrafią się porozumieć z laikami, tak jak Margueritte. Inni, kiedy się w coś wkręca, to przepadają, tak jak ja. Trzeba nas tłumaczyć, nie wszyscy umieją, nie każdemu się chce. Fakt, istnieje wśród czarodziejów sporo żądnych władzy buców i palantów, napatrzyłam się na salonach, ale to jak wszędzie... Lucjusza nie lubiano nawet wśród mistrzów Gildii i chyba widać dlaczego. Tymczasem Meg zachowała w tajemnicy sprawy Cienia Gildii, ale każdą inną wiedzę dzieli się bardzo chętnie. Jest indywidualistką, brak jej cierpliwości do ludzi, jednak w gruncie rzeczy jej na nich zależy. Przyglądałam się, jak szkolila Vincenta...

– Omal go nie zabiła. I to nie raz.

– Wymagała tylko tyle, ile wymaga od siebie. – Kathryn podparła dłońmi brodę. – Uczyła przyszłego Maga Pustki. Myślę, że gdyby rzeczywiście nie dawał rady, rozwiązałyby kontrakt. Belinde musiała coś podejrzewać, bo nazywała Vince'a magiem teoretykiem. Na początku nawet nie rozumiałam, że to żart. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, skoro myślisz o nas to, co myślisz. Twój narzeczony był już czarodziejem, kiedy go poznałaś. Brakowało mu tylko mocy.

Amandine pomyślała, że to jednak nie to samo, a potem – że chciałaby, aby słowa Kathryn okazały się prawdą, bo to by oznaczało, że Vince już wiele się nie zmieni. Bała się, że go straci, ale obawiała się też, że po aktywacji Źródła stanie się innym człowiekiem. Potęga i władza deprawują, potrafiła prześledzić ten proces na sobie.

– Tęsknię za nim. – Objęła kolana ramionami. – Mogłam być silna i wrócić zaraz po tym, jak uciekłyśmy Jastrzębiom. Nie spotkalibyśmy Królewskiego Smoka. Nie wywołałabym wojny. Zniszczyłam Bretanię, naraziłam życie tysięcy



ludzi tylko dlatego, że się bałam. A będzie jeszcze gorzej. Nie da się wycofać. Wojna nie ma guzika „stop”.

– Mam podejrzenia, że do wojny doszłoby tak czy owak, i to von Feuerstein przyjąłaby wtedy na siebie całe uderzenie sekty Lucjusza – zauważyła Kathryn. – Zawsze możemy dać się pobić albo poddać. Pochodnia Wyzwolenia wygląda na taką armię, której można się poddać. Mówiłaś mi, że są nowocześni, dobrze zorganizowani, żadnych kapłanów Cierpliwego Wędrowca...

– A wiesz, to jest myśl – ożywiła się Amandine. – Zbieram o nich informacje. Przydałby się sojusz. Ale można też zaaranżować kapitulację. Chciałabym uniknąć chociaż jednej bitwy, a poza tym... Muszę się dokładnie zorientować w sytuacji taktycznej. Pamiętajmy, że Lucjusz nas tutaj nie słyszy. Nie poznał jeszcze nazwiska Vincenta...

Kathryn poruszyła się niespokojnie.

– Czy uważasz, że Liliana rzeczywiście jest konstruktem? – spytała cicho.

– Na pewno nie – usłyszały głos Lily spod kołdry. Pociągnęła nosem, otarła oczy. – Przepraszam. Kat, jeśli zostajesz tutaj na noc, to ja też. Nie odsyłaj mnie do ochmistryni.

– Nie odeślę.

– Nie wiem, czym jestem. – Usta Lily zadrżały. – Moi rodzice nie żyją, ale urodziłam się normalnie, jak człowiek. Wiesz, jak się czuję, kiedy Lucjusz znajduje się w okolicy? Czytałam kiedyś taką książkę przyrodniczą i tam napisali, że samiec lew zabija cudze potomstwo. Mam wrażenie, że spełniam definicję cudzego potomstwa, i jestem pewna, że kiedy tylko Lucjusz mnie zobaczy, jego smocza natura przeważy. Nie wiem, czy smoki mogą mieć dzieci z ludźmi, ale jeśli tak, na pewno coś odziedziczyłam po przodkach.

Kathryn wciągnęła powietrze.

– Jasna cholera. To ma sens.

Amandine spojrzała na nią uważnie.

– Wyjaśnij.

– Wielki Mag, księżniczka i Królewski Smok – powiedziała Kathryn. – Nowy Triumwirat...

– Tak, właśnie tak. – Artystka uniosła brwi. Podświadomie wiedziała już, o czym Kat myśli, ale nie chciała tego przyjąć do wiadomości.

– Jestem smokiem – głos Lily zadrżał – albo przynajmniej dostatecznie dobrym zastępstwem, prawda? Utworzyłam z tobą więź. Nawiązałyśmy kontakt jeszcze nad rzeką, pamiętasz?

– Chroniłaś mnie przed więzią z Lucjuszem. – Kathryn przełknęła. – Nawet o to spytał tam, w jaskini, wiesz? Czy spotkałam kiedyś innego smoka. Wyrocznia dobrze wiedziała, kto jej wpadł w ręce. Nie pomyśleliśmy o tym tylko dlatego, że uważaliśmy smoki za nieco bardziej skomplikowane gady...

– Jak niektóre znajome konstrukty – warknęła Amandine. Ciasno splotła ramiona. – Wyrocznia będzie chciała zatrzymać was i Vincenta w Bretanii do końca życia. Lucjusz w jednym ma rację – wszyscy traktują nas jak pionki. Wiem, co trzeba zrobić. O ile dobrze zrozumiałam, on teraz stracił kontrolę nad swoimi oczami i uszami, a przynajmniej większością z nich. Mogę zaryzykować powrót do Solange i osobiście wypytać ją o losy Vincenta. Ale jeszcze nie teraz. Po pierwsze, muszę poczekać, aż Nidhogg będzie odsypiał posiłek, a ponieważ dopiero co jadł, trochę to potrwa. Po drugie, powinnyśmy same postarać się o informacje na temat Zakonu... i to mogę zrobić nawet jawnie i z przytupem; nie ma w tym nic dziwnego, że wojsko posyła zwiady, a Trevancel sypnie na to pieniędzmi. Po trzecie, teraz nikt, włącznie ze smokiem, nie będzie się dziwił, że pochłaniają cię wojskowe narady ze mną. Koniec uciekania na pół dnia w góry. Zajmiesz się odcyfrowywaniem znaków ze ścian, o których mi mówiłaś z pięćdziesiąt razy.

– Czekaj, bo nie nadążam. – Kathryn zamachała dłońmi. – Masz się ze mną naradzać w sprawach magii? Pamiętasz, że nie jesteś prawdziwą czarodziejką?

– Królowo Kathryn – fuknęła Lily – chodzi o to, że Amandine zapewnia ci alibi, żebyś mogła to sobie w spokoju rozpracować. Chce znaleźć słaby punkt Lucjusza. Dlaczego właściwie go nie zabijemy? W ludzkiej postaci chyba nie potrafi nawet rzucać zaklęć...

– Bo nie jestem pewna, czy jeśli spróbujemy, nie zamieni się natychmiast w smoka. Mam nadzieję, że Kat się dowie. Poza tym naprawdę potrzebujemy go jako maszyny bojowej. Kathryn... ta twoja dysentropia...

– Nie zmyśliłam jej.

– Wiem, że nie, ale skoro udało ci się rzucić to zaklęcie, może spróbujesz zlokalizować Margueritte i Vincenta? Tym czarem, którego używał Vince...

– Tego na pewno nie dam rady zrobić. Amandine, to zaklęcie magii Pustki.

– A potrafiłabyś opracować coś podobnego, ale normalnego?

Czarodziejka zagryzła usta.

– Istnieje wersja oparta tylko na zwykłych elementach. Zawiera Entropię. Nie uczyłam się jej, bo z góry założyłam, że nie wyjdzie, ale mogę odtworzyć wzór i spróbować. Lucjusz zachęcał mnie do zaklęć entropicznych, pomyśli, że idę za jego radą. Postaram się namierzyć Belinde, tak będzie najłatwiej. Mamy ze sobą magiczny przedmiot, który zrobiła.

Liliana z namysłem dotknęła naszyjnika, który nosiła, aby lepiej kontrolować magiczną energię. Kiedyś należał do Kat. Amandine nie wiedziała, jakie wspomnienia przywołała dziewczynka, ale zadrżały jej usta.

– Pozostaje tylko zająć Lucjusza wojną, tak żeby zmęczył się, zgłodniał i oczyścił ze skażenia tyle ziemi, ile się da. Pierwszy przystanek to Chaux-Neuve, opactwo Zakonu Cierpliwego Wędrowca na ziemiach de Spinel. Spadnijcie na nich z nieba. Przynieście tym draniom krew i pożogę.

Zacisnęła pięści. To nawet nie był plan, tylko jego zarys, bardziej deklaracja działania niż cokolwiek innego. Ale na razie musiało wystarczyć.

\* \* \*

W opactwie Chaux-Neuve zamiast wina wytwarzano dawniej nalewkę z jagody o wdzięcznej nazwie orenda. Pozyskiwano ją z niewielkich czerwonolistnych krzewinek, zaliczanych do tak zwanych ostańców przedarboriańskich, czyli roślin, które porastały Ziemię Drzew jeszcze przed przybyciem ludzi. Prawie wszystkie takie ostańce były niejadalne, a nawet trujące, wyciągały jednak z ziemi energię magiczną. Można je było przerobić, uzdatnić do użytku, ekstrakt zagęścić – i podobnie jak w przypadku skrzeku zmodyfikowanego trytona uzyskać nowe źródło magii. Za dawnych lat opactwo zarabiało na tym interesie niewyobrażalne pieniądze, a księstwo de Spinel rosło

w siłę dzięki podatkom – liczonym w ilości butelek przekazywanych księżnej Blanchefflor.

Gdy zapanowały nowe porządki, Zakon Cierpliwego Wędrowca zmienił procedurę. Zagęszczano moc, aż przekraczała stężenie krytyczne i wypaczała się w energię Pustki. Poddawano tam procesowi napiętnowania nowych kandydatów na Jastrzębi i Inkwizytorów, a także wytwarzano ożywionych zmarłych. Opactwo, podobnie jak „kopalnia rzeczna”, służyło także jako punkt, gdzie kapłani mogli zasilić się skażoną mocą i zabrać zapasy nalewki na drogę. Miało więc poważne znaczenie strategiczne.

Lucjusz chciał całej tej mocy dla siebie. Pierwotnie naprawdę sądził, że mu ją oddadzą.

Do oblężenia stanęła czterotysięczna kompania piechoty, w tym czterystu kuszników i tyluż łuczników. Jako maszyny oblężnicze wykorzystano trebusze oraz Królewskiego Smoka. Mury opactwa wzniesiono z księżycowego kamienia, co uniemożliwiało uczynienie w nich wyłomu za pomocą magii, ale mimo to czary już od samego początku dały przewagę atakującym. Wielka Magini, otoczona przybocznymi, osłaniała szeroko rozpostartą Tarczą Kinetyczną piechurów, którzy wchodzili po drabinach na blanki. Powszechnie sławiono jej pomysłowość – wystarczyło jedno, za to konsekwentnie stosowane zaklęcie, aby zapewnić oblegającym bezpieczeństwo przed ostrzałem i przechylić szalę zwycięstwa na ich korzyść.

Tymczasem Lucjusz krążył nisko nad opactwem, smażąc obrońców na chrupko i przetwarzając skażoną moc, gdy tylko jakiś użytkownik Pustki znalazł się w jego zasięgu. Od czasu do czasu przypuszczał desant na mury, gdzie potężnymi łapami kruszył baszty, jakby wybudowano je z lukru. Kathryn poprawiała eksplodującymi kulami ognistymi, kurczowo trzymając się jego grzbietu, i ocierała osmolone brwi. Chciało jej się rzygać od smrodu palącego się ludzkiego ciała. Trochę ją raziło, że w przerwach między zionęciami Królewski Smok śpiewa bliżej nieokreślone operowe kawałki, ale przynajmniej był muzykalny.

Dzięki smokowi oblężenie trwało zaledwie jedno popołudnie. Żołnierze armii Nowego Triumwiratu wdarli się do opactwa, gdzie stoczyli krótką, brutalną bitwę z trzema setkami załogi złożonej z mnichów, Jastrzębi i garstki pustkostworów.

Nikt nie wątpił w to, że bez udziału Wielkiej Magini i młodej królowej d'Argent nie mieliby szans w bezpośrednim starciu.

Nocą aż po horyzont płonęły dotknięte smoczym ogniem pola czerwonej orendy.

W tym samym czasie, gdy wojska hrabiego Trevancela pustoszyły ziemie księstwa de Spinel i z dnia na dzień zbliżały się do prowincji de Branche d'Aure, wiele kilometrów dalej lady de Breville zmierzała do Czeluści pod opieką Belinde i Blancheta. Armia generała von Feuerstein, uzbrojona w broń palną, wkraczała na ziemie de Branche d'Aure. Generał Theresa zamierzała przeciąć drogę nowo utworzonemu Triumwiratowi i zatrzymać wojska samozwańczej królowej, zanim dotrą pod mury stolicy.

Właśnie na tę zabawę usiłował zdążyć prawdziwy Wielki Mag, czyli przeoczony przez wszystkie strony konfliktu Vincent Thorpe. Szpiedzy poszukujący po wsiach groźnego czarodzieja znaleźli u wdowy Solange jedynie snującego się po podwórzu wiejskiego głupka, a sama wdowa nie wyprowadzała ich z błędu.

Niedługo potem, tego samego dnia, w którym Kathryn zeszła do Czeluści, Vincent odzyskał przytomność. Wkrótce znalazł się w Montreuil i – tak, jak przewidywała Margueritte – ślad po nim zaginął. Nikt nie połączył faktów i nie rozpoznał w zmienionym nie do poznania, nieśmiałym zielarzu niemowle przybysza z Arborii, aż gruchnęła wieść, że w mieście pojawił się czarnoksiężnik, który wykradł z lochu obalonego księcia de Montreuil. Wtedy jednak Vince już się stamtąd ewakuował i trafił do Blanche Neige, ostatniego miejsca w Bretanii, gdzie można by kogokolwiek szukać.

Trochę racji miał jednak Blanchet, kiedy twierdził, że działalność Wielkiego Maga bywa trudna do ukrycia – choćby ze względu na ludzi, których przyciąga. Starszych magów zmęczyła podróż za pośrednictwem Lotu Drużynowego, toteż po opuszczeniu wieży Lucjusza mały oddział ruszył dalej konno. Wkrótce ich drogę zaczęły znaczyć niewyjaśnione eksplozje oraz rozmaite warownie stojące zniecka w płomieniach. Zamknięto jedną niedużą rozpadlinę, zabito kilkanaście walęsających się trolli, stadko erlingów i pewną liczbę bandytów, którzy wpadli na niefortunny pomysł obrabowania starszych, bogato odzianych podróżnych.

Trwało to zaledwie kilka dni, toteż wieści, jakie niosły się po okolicy, były jeszcze świeże i miały wszelkie znamiona niezbyt wiarygodnej pogłoski. Kto by na nią zwracał uwagę teraz, gdy Bretania niemal z dnia na dzień zmieniła się w Zaświaty na ziemi. Lucjusz słusznie ostrzegał, że działania Zakonu przybiorą na sile. Wydawało się, że ze wszystkich zakamarków Bretanii wyłaniają się pustkostwory. Mieszkańcy wioski, którzy od dziesięcioleci nie widzieli erlinga, a o Jastrzębiach słyszeli tylko okazjonalne plotki, zetknąwszy się z horrorem, zabierali cały swój dobytek – lub to, co z niego zostało – i ciągnęli w spokojniejsze rejony kraju.

Philippe II Verlain de Branche d'Argent zgromadził pięć tysięcy kopii oraz dwukrotnie więcej piechoty, ale przede wszystkim mnogie zastępy kołyszących się ruchomych zmarłych. Kompanie dowodzone przez Arcydiakona Zakonu, człowieka, którego imię dawno przepadło w Pustce, miały w swoich szeregach specjalne oddziały posługujące się gromadzoną przez lata magiczną bronią. Nad żołnierzami, których skłaniała do posłuszeństwa skażona moc lub starannie zaszczerpiony fanatyzm, górowały lśniące, czarne ksenowurmy, w Bretanii nazywane łuskogrzbietami.

Tymczasem generał von Feuerstein wzbogaciła swoje wojsko o dwa tysiące kopii i tyleż najemników, przede wszystkim dzięki hrabiemu de Torquis. Dwustu ludzi udało się wyposażyć w broń palną – oddział niewielki, ale obdarzony znaczną siłą ognia. Z powodów, których hrabia Trevancel i jego sojusznicy nie potrafili odgadnąć, generał głosiła, że najgorszym wrogiem ludzkości jest nie Arcydiakon, ale spaczony mocą Zaświatów Królewski Smok. Ten sam, który tak ofiarnie mierzył się z pustkostworami, rozgramiał wrogie oddziały Zakonu Cierpliwego Wędrowca i oczyszczał całe skażenie, na jakie trafił po drodze (przetwarzając je na zwykłą magię do własnego użytku).

Trzy wielkie armie z wolna gromadziły się na polach pod Nouveaux Dijon.

## Utracona Bretania, 12 Julliet 753 AG

**D**zień zapowiadał się upalnie. Poprawiłem chustkę, którą owinąłem głowę dla ochrony przed słońcem. Za to mój kasztanek nie miał kapelusza i chociaż jeszcze nie dobiegało południe, już zaczynał robić bokami. Podobnie było z wierzchowcami moich towarzyszy, toteż rozglądaliśmy się pilnie za wodopojem. Chociaż po obu stronach drogi kwitły łąny pachnącej odurzająco lawendy, okolica nie wyglądała jednak zachęcająco. W oddali majaczyły dymiące zgliszcza kolejnej wsi.

– I znowu nici z odpoczynku w gospodzie – mruknął niezadowolony Bernard.  
– Chyba na wieczór rozłożymy dom.

Staraliśmy się nie używać rezydencji Lucjusza, żeby niepotrzebnie nie przyciągać uwagi. Poza tym ośmioro czarodziejów śpiących w jednej składanej willi to jak plaga. Wyżarli wszystkie zapasy, nikt nie chciał sprzątać, a łazienka przypominała bagno. Nie mogłem robić za ich pachółka, żeby nie stracić resztek autorytetu; chętnie najęlibyśmy ludzi do pomocy, ale brakowało koni, żeby ich zabrać.

– Nie mam nic przeciwko temu – rzuciła księżna d’Opal. – To ciasna chatka, ale chociaż chłodna. Być może dotrzemy wreszcie na miejsce. Ciekawe, czy to bandyci, pustkostwory czy tabor Theresy von Feuerstein, bo już chyba jesteśmy dość blisko.

– Znudziła mi się już ta zabawa. – Księżę Bernard prychnął z pogardą i ściągnął lejce. – Ale lepszy bandyta w garści niż Królewski Smok na dachu. Bywajcie! Spotkamy się we wsi.

I pogalopował. Popatrzyłem po swoich towarzyszach, wzruszyłem ramionami i wskazałem na wieś.

– Iść? – zapytałem uprzejmie. Odczytali mnie doskonale.

– Rrrrrhaaaaa! – ryknął de Rubis i spiąwszy konia, chwacko wyrwał naprzód.

Kilku innych pognąło za nim. W niebo pofrunęło wyprzedzające uderzenie Kuli Ognistej. Westchnąłem. Tyle razy im mówiłem, żeby nie strzelać na oślep – chyba tylko cudem nie pozabijali do tej pory zwykłych wieśniaków. Pomyślałem, że trzeba będzie jednak zostawić konie i sprężyć się do lotu. Zdrowie moich towarzyszy poprawiło się już do tego stopnia, że nie mieli żadnej wymówki, a kończył się czas, jakim dysponowaliśmy.

Księżna została u mojego boku. Nie wiadomo kiedy wyciągnęła z sakwy lusterko i zaczęła się pudrować.

– Jeżeli to wojsko Theresy, musimy się godnie prezentować – zaznaczyła, dostrzegając moje pytające spojrzenie. – Nasze szaty i tak są w oplakanyam stanie. Nie można pozwolić, aby ta parwienuszką okazywała nam swoją wyższość.

Zrobiłem dłońmi kształt kuli, rozpostarłem je i zamachałem na podobieństwo skrzydeł.

– Przecież wczoraj mówiliśmy z BlancheFlor przez kulę – odparła. – Taka duża armia nigdzie nie zniknie z dnia na dzień. Znamy miejsce obozowania i kierunek ich marszu. Nie zetrą się prędzej niż za trzy, cztery dni, a jesteśmy niedaleko...

Popatrzyłem na nią sceptycznie i znów zrobiłem gest sugerujący latanie, a później gwałtowne pikowanie. Poparłem je groźnym sykiem.

– Atak za pomocą smoka?

Skinąłem głową. Nie miałem pojęcia, czy Margueritte wie, kto jest nową królową de Branche d'Argent. Mówiąc o szlachcie, ludzie z gminu przeważnie używali tytułów. Rzadko czuli się tak mocno związani z lokalnym władcą, aby nadać mu przydomek, tak jak mieszkańcy Montreuil używali zdrobnienia Bernie. Z drugiej strony Meg zapewne dysponowała lepszymi źródłami informacji niż lokalni wieśniacy; może dowiedziała się już, że zamierza stoczyć bitwę z Amandine i Kat. Uważałem, że będzie się starała doprowadzić do pokojowego spotkania; przecież nie chce ich zabić.

Ale czy Kathryn i Amandine wiedzą, kto znajduje się w armii Płomienia? Miały tylko świadomość, że ciągnie za nimi wroga armia. I pewnie doszły do wniosku, że najlepiej narobić im szkód, wysyłając smoka. Jeśli czegoś nie zrobię, i to szybko, to się może bardzo źle skończyć.



– Stać! – usłyszeliśmy ochrypli głos. – Nie ruszać się!

Rozejrzałem się. Otaczała nas grupka uzbrojonych w widły, pałki i pordzewiałe miecze obdartusów, którzy właśnie podnosili się spomiędzy krzaków lawendy. Wyglądali na dość zdesperowanych. Nie potrafiłem stwierdzić, czy to jacyś dezserterzy, czy tutejsi, którzy z głodu imali się rozboju. Zerknąłem w stronę księżnej i uniosłem dłoń. Skrzywiła się z niesmakiem.

– Jeżeli będziesz taki litościwy, ludzie stracą dla ciebie szacunek – pouczyła mnie oschle. – Ej! Wy tam! Nie wiecie, na kogo napadliście. Mój towarzysz nie chce was zabić, więc ocalicie skóry, jeśli szybko weźmiecie nogi za pas.

– Pani! – zawołał przywódca, łysy mężczyzna w haftowanej, ale niemożliwie brudnej koszuli przewiązanej sznurkiem. – Myśmy nie bandyci! Aleśmy już nie takich na widłach roznieśli i się kolorowych kubraków nie wystrachamy. Co wyście za jedni?

– Stoicie przed prawowitą księżną de Branche d’Opal, tłumoki – rzekła dumnie. – A to jest Wielki Mag, którego zważ też Milczącym Czarodziejem. Zaiste wiele macie odwagi, skoro poczekaliście, aż większość z nas oddali się w stronę wsi.

Skinąłem głową z namaszczeniem. Kazałem czarodziejom nie używać mojego imienia i nazwiska, na wypadek gdyby poszukiwali mnie ludzie króla. Lepiej uniknąć komplikacji.

Tamci popatrzyli po sobie.

– Słyszeliśmy o Milczącym Czarodzieju – powiedział znów ten pierwszy. – A co do Wielkich Magów, to wiemy o Wielkiej Magini, co z królową na stolicę idzie.

Pogrzebał za pazuchą, wyciągnął jakiś papier i rozwinął.

– Wielka Magini szuka czarodzieja, który zwie się Vincent Thorpe. – Zamrugąłem. Na papierze widniało moje nazwisko wypisane wielkimi literami i portret w czarnym obramowaniu. Ktoś bardzo starannie skopiował rysunek naszkicowany pierwotnie ręką Amandine. Portret, chociaż wykonany z pamięci, z wielką dbałością odzwierciedlał moje rysy. – Gdyby szlachetnemu panu brodę zgolić i trochę pana, proszę o wybaczenie, odżywić, byłoby jak znalazł.

Serce ze wzruszenia skoczyło mi do gardła. Amandine mnie poszukiwała. Tęskniła za mną. Zatem miała się dobrze, uzyskała dostatecznie dużą władzę

w wojsku, aby stać się kimś więcej niż marionetką – i ją wykorzystywała.

– Moc pieniądza za to idzie – kontynuował mężczyzna. – Odbudowalibyśmy wieś po wojnie, żywność nakupili. Wielka Magini chce was żywego lub martwego, i tak sobie myślimy, że chyba lepiej żywego. Niby prawdziwych czarodziejów dawno nie było, ale Wielka Magini się znalazła, i królowa też, i o was co nieco opowiadają. Nas tutaj siła, ale wolimy nie bić czarodzieja, jak nie trzeba, bo kto wie, co on może. Więc jeśli pójdziecie po dobroci, tym lepiej dla nas.

Jakby mnie ktoś uderzył obuchem między oczy. Co? Jak to – żywego albo martwego?

– Ja tam nie wiem, panie, coście przeskrobali. – Wieśniak cofnął się kilka kroków i nadstawił widły. – Nie moja wina, nie moja sprawa. Tak sobie myślę, że jak jesteście czarodzieje, to wy już wiecie, jak między sobą załatwiać sprawy. Dostaniemy pieniądze i nikomu nie stanie się krzywda.

– Hm – mruknęła d’Opal. – Zatem wyjaśnia się, dlaczego ostatnimi czasy mamy tyle rozrywki. Vince, mogę?

Znów uniosłem dłoń, powstrzymując czarodziejkę od działania. Poszukałem jej kanałów energetycznych.

„To musi być jakieś nieporozumienie – zakomunikowałem. – Na Pustkę, z jakiej przyczyny Amandine chce mojej głowy? Czy sądzisz, że Lucjusz kontroluje jej umysł?”

– Może – zastanowiła się księżna. – Ale czy przypadkiem nie mianowali jej Wielkim Magiem zamiast ciebie? Ja na jej miejscu pilnie strzegłabym władzy.

„Ale oni twierdzą, że Amandine chce mnie zabić!”

– Całkiem racjonalne zachowanie – odparła d’Opal. – W tym świecie kobieta musi być bezwzględna, jeżeli pragnie zachować potęgę i niezależność.

Potarłem czoło. W gardle jakby coś mi utkwiło i nie chciało puścić.

„Księżno, ale przecież jeśli zginę, magia ponownie zniknie”.

– Z tego, co nam mówiłeś, nie zniknie magiczna laska – przypomniała. – Ani Królewski Smok, jeżeli twoja ukochana zmusiła młodą królową do posłuszeństwa. To oznacza, że lady Amandine zostanie jedyną osobą w Bretanii

zdołną zgłaszać pretensje, choćby i naciągane, do tytułu czarodzieja. Mnie to wygląda całkiem prawdopodobnie.

„Niemożliwe. Amandine nie jest taka, jak twierdzisz”.

– A kiedy się rozstaliście? Ile to już miesięcy? Czy wcześniej podejmowała próby, aby cię odnaleźć? Może coś się zmieniło i tylko ty pozostajesz ostatnim naiwnym. – Księżna d’Opal wydeła usta. – Jak dobrze pomyślę, zaręczynny Wielkiego Maga z nieutalentowaną nie wydają mi się szczytem rozsądku. Zawsze miałyby wrażenie, że jest zabawką, którą z czasem wymieni się na młodszy model. Zastanawiam się, co musiała czuć, wiecznie otoczona czarodziejami. Pewnie ich nienawidzi.

Przełknąłem ślinę. Coś ścisnęło mnie za gardło. Przypominałem sobie wszystkie ostre słowa, jakie Amandine kierowała w stronę mojej mistrzyni i jej przyjaciół. Czy to możliwe? Czy uznała, że mnie też nie warto już ufać? Czy aktywując Źródło, straciłem ją bezpowrotnie?

Ale przecież rozmawialiśmy o tym przed podróżą; z własnej woli poszła za mną do Bretanii, opiekowała się mną, gdy zachorowałem. Niezbyt dobrze o mnie świadczyło, że wątpiłem w moją Amandine.

Z drugiej strony co musiała o mnie myśleć, kiedy trafiła do niewoli Jastrzębi? Jak długo w niej była? Czy bardzo cierpiała? Jak się wyrwała? A ja przez wiele tygodni nie przychodziłem jej na ratunek.

Cokolwiek jej się w tym czasie przytrafiło, stało się z mojej winy. I może powinienem za to słono zapłacić. Z przykrością uświadomiłem sobie, że Amandine zawsze miała porywczy charakter. Doprowadzona do ostateczności, rzeczywiście mogła zażądać mojej głowy.

Zamknąłem oczy i powoli odetchnąłem, starając się uspokoić. Potem spojrzałem na prowodyra bandy, wyciągając dłoń w jego stronę. Zawahał się, nie rozumiejąc, czego od niego chce.

– List gończy – rzuciła księżna w stronę mężczyzny. – No już, Milczący Czarodziej nie ma zbyt wiele cierpliwości.

„Chciałbym, żeby magowie Bretanii przestali wreszcie zrzucać na mnie wszystkie swoje wady charakteru” – pomyślałem. Wieśniak z lekkim wahaniem opuścił widły i podał mi rulon. Ręka mu drżała.

Ponownie obejrzałem obrazek, tym razem nieco uważniej. Wielokrotnie widziałem, jak Amandine pracuje. Żeby namalować portret z taką dbałością, trzeba dosłownie mieć twarz modela przed oczami. Tymczasem moja narzeczona zrobiła to z pamięci, a mimo to podobieństwo było uderzające; potrafiłem sobie wyobrazić, jak uważnie i z namaszczeniem stawia każdą kreskę, jak je poprawia, jak cyzeluje schemat grubszymi liniami, aby kopista mógł go z łatwością powielić. Jedyna niedokładność rysunku polegała na tym, że mocno mi pochlebiał.

Jak by się nie przyglądać, nic nie wskazywało na kipiącą w artystce nienawiść.

Rzuciłem naszym napastnikom kilka monet o wysokim nominale i na migi wskazałem, żeby zmykali. Pospiesznie zebrali pieniądze, a następnie uciekli, na wypadek gdybym zmienił zdanie.

„Jest w tym jakaś intryga, której nie rozumiem – przekazałem. – I rozsądnie będzie na razie omijać armię królowej, przynajmniej dopóki nie uzyskamy lepszych informacji”.

– Zapłaciłeś im – oburzyła się tymczasem księżna d’Opal.

„Za wiadomości. Wszyscy na tym skorzystali. Poza tym zaimponowała mi ich postawa”.

– Przecież to tchórzliwi chłopci.

„Tchórzliwi? Widzieli tamtą kulę ognistą. Postaw się przez chwilę na ich miejscu”.

– Ja? Na miejscu chłopów? – Księżna patrzyła na mnie, jakbym nagle zakwitł na niebiesko.

„Nieważne. Sądzę, że już dojrzeliście do ponownego Lotu Drużynowego. A jeśli de Torquis znowu zacznie narzekać, że go łamie w kościach, niech uważa, żeby coś innego go nie połamało”.

To było niskie jak jamnik, ale księżna uśmiechnęła się z aprobatą. Ścisnąłem końskie boki i ruszyliśmy w stronę wsi.

\* \* \*

Frunęliśmy wysoko nad obozem generał Theresy von Feuerstein, rozsianym na równinie nad rzeką. Z daleka dostrzegaliśmy kolorowe namioty, wozy

i unoszący się nad nimi dym z kuchni polowych. W zatłoczonych uliczkach kłębili się ludzie i konie, co najmniej kilka tysięcy samych żołnierzy, nie wspominając o kuchcikach, rzemieślnikach, służących i całej rzeszy przedstawicieli innych zawodów. Stłoczone i chaotyczne zabudowania taboru odróżniały się od regularnie ustawionych namiotów wojska; im bliżej centrum, tym większy ład. Można było na pierwszy rzut oka zgadnąć, gdzie ulokowało się dowództwo, gdyż największe namioty oznakowano flagami i ustawiono na planie kwadratu. Bernie wydawał się zadowolony, wymruczał coś z aprobatą pod nosem. Najwidoczniej Płomień rzeczywiście znała się na sztuce wojennej.

Wylądowaliśmy na łące za kępą wierzb i nieopodal drewnianego mostu. Za rzeką rozpościerały się już tereny zajęte przez wojsko, a nie chcieliśmy, żeby zaczęto do nas strzelać jako do intruzów. Staliśmy tam przez chwilę, podczas gdy moi towarzysze pudrowali nosy i czesali brody. Gdybym miał więcej czasu i zasobów, zmusiłbym ich do przebrania się w czyste szaty. Wydawali się sobie niezwykle godni, ale bardziej przypominali trupę cyrkową.

Obserwowano nas. Po krótkiej chwili od lądowania w zaroślach rozległ się przeciągły gwizd.

– Jeśli to był prawdziwy drozd, to ja jestem turkawka – mruknął książę Bernard. – Gdzie porzecz?

De Rubis wyciągnął flagę zmajstrowaną z obrusu znalezionej w jadalni Lucjusza.

– Proszę. – Wręczył mi drzewce, popatrując chmurnie. – Pieszko. Bez pocztu. Jak żebracy.

„Chciałbym mieć dodatkowy miesiąc, żeby podjechać tutaj z całą kompanią, ale niestety, brakuje nam czasu. Spróbujmy przynajmniej zrobić wrażenie, że tak zaplanowaliśmy. Zaręczam, że potraktują cię z odpowiednim szacunkiem. Jak ostatnim razem sprawdzałem, czarodzieje nie rośli w Bretanii na grządkach”.

– Vincencie, nie należy pouczać ludzi, którymi dowodzisz – zaznaczył Bernard – jeżeli możesz zastosować wobec nich siłę. Cisnąłbym w niego taką małą, nieszkodliwą błyskawicą.

– Ja chyba wolę pouczanie – powiedział de Rubis. – Podoba mi się arboriański sposób dowodzenia.

– Nikt cię nie pytał o zdanie, Jean.

„Panowie, bez krotochwil. Chyba ktoś do nas jedzie”.

Rzeczywiście, w stronę mostu zmierzał poczet żołnierzy – kilku jeźdźców i niewielki oddział piechoty. Dałem znak, żeby czarodzieje ustawili się w dwuszeregu, i uniosłem flagę. Zaczęliśmy zbliżać się powoli i z godnością.

Gdzieś tak w połowie drogi zorientowałem się, że piechurzy są wyposażeni w rusznice.

„Panie i panowie, te metalowe przyrządy to broń palna – przekazałem. – Miniaturowe ręczne armaty, o których już słyszeliście. Nie wiem, czy wasze tarcze to wytrzymają. Tak czy owak, jeśli zaczniecie walkę bez mojego wyraźnego rozkazu, nie zawaham się przed ciśnięciem błyskawicą, może małą i nieszkodliwą, ale potrafię ich rzucić wiele naraz”.

Uważnie mnie słuchali. Nie wiedziałem, czy muszę im grozić, ale byli nieprzewidywalni. Widok nowej broni mógłby ich skłonić do wypróbowania jej siły.

– Zmierzę się z tym cudem w wolnej chwili – zdecydował wreszcie de Rubis, wyrażając chyba powszechny pogląd na sprawę. – Generał na pewno pozwoli na małą demonstrację.

W duchu odetchnąłem z ulgą.

Rycerz, który dowodził poczem, zatrzymał się i spojrzał na nas z góry.

– Stać! – zawołał. – Kto idzie?

– Och. Ja cię chyba znam, chłopcze – odezwał się de Torquis z namysłem. – Pamiętam te gęste kędziorki. Młody Beeterave de Rubis, prawda? Michel czy Pierre? Bardzo urosłeś.

– Mój ojciec ma na imię Michel. – Jeździec zerknął na czarodzieja z mieszaniną zdumienia i niesmaku. – Kim wy jesteście?

„De Torquis... kędziorki? Poważnie? Bernie, przedstaw nas, ale porządnie. Zaczynaj ode mnie”.

– Panie. – Bernard nabrał powietrza w płuca. – Stoisz przed Wielkim Magiem z Arborii, Milczącym Czarodziejem, Vincentem Thorpe’em z rodu *incognito*. Ze względu na przyrodzoną skromność i naturę ascety młody Geniusz podróżuje

w przebraniu, skrywa swoje prawdziwe pochodzenie i odrzuca przepych, a my wraz z nim jako wierni towarzysze, czarodzieje i władcy Starej Bretanii.

Przedstawiał wszystkich po kolei, wymieniając ich imiona, nazwiska, przydomki, ziemie, którymi powinni władać, i liczne zasługi sprzed lat. Nie potrafię powtórzyć z pamięci tej przemowy, grunt, że była kwiecista i przychodziła Bernardowi łatwo. Mógł tak mówić jeszcze następną godzinę. W miarę upływu czasu rycerz sprawiał wrażenie coraz bardziej niepewnego. Wreszcie odesłał posłańca do obozu.

– Szlachetne panie i szlachetni panowie, zaczekajcie chwilę – poprosił. – Słyszeliśmy o Milczącym Czarodzieju i o Wielkim Magu z Arborii, ale nie spodziewałem się, że to ta sama osoba. Panie... Incognito – zerknął na mnie nerwowo – czy szlachetny pan ma coś wspólnego z Lucjuszem Wielkim?

– Nie na darmo zwą go Milczącym Czarodziejem – wtrącił Bernard z oburzeniem. – Złożył przysięgę na Szarego Wędrowca, że będzie milczał i żył w ascezie. Słuchaj, co się do ciebie mówi.

„Bernie, zastanów się, czy aby na pewno chcę, żeby traktowano mnie jak ascetę?”.

„Zważywszy na to, jak się zachowujesz na co dzień, nawet nie zauważysz różnicy. Poza tym to ładnie tłumaczy twój wygląd. Jeżeli zachce ci się dziewczki, sprowadzimy ją potajemnie”.

„Nie, dziękuję, chociaż nie obrażę się za potajemne sprowadzenie placka z mięsem”.

„Placka z mięsem – westchnął książę Bernard. – Jeżeli przeżyjemy tę wojnę, nieszczęsny arboriański asceto, wyprawię porządną ucztę”.

Minął kwadrans, aż wreszcie dostrzeżliśmy, że w naszą stronę galopują jeźdźcy, co najmniej pięćdziesięciu zbrojnych. Połowę z nich wyposażono w łuki, pozostałych w rusznice. Broń mieli schowaną, więc na razie nie szykowali się do ataku, ale najwidoczniej brali walkę pod uwagę. Na ich czele jechał mężczyzna we frymuśnym zielonym kaftanie z bufiastymi rękawami i... czyżby to była peruka? Nie wyglądał na uzbrojonego, dzierżył tylko porporzec. Zerknąłem na Bernarda.

„A to coś nowego – zakomunikował. – Nie ma na sobie żadnych herbów ani złota. Ale chętnie poproszę o adres jego krawca”.

Jeźdźcy zatrzymali się przed mostem i zamienili z pocztem młodego de Rubis, po czym dowódca wysforował się lekko w naszą stronę, składając głęboki ukłon.

– Szlachetne panie i szlachetni panowie – odezwał się. – Nazywam się Pierre Blanchet i pełnię funkcję drugiego intendenta u generała Theresy von Feuerstein. Żywię nadzieję, że wybaczycie moją niegodną proveniencję, albowiem to mnie przeznaczono skatalogować ślady pańskiej bytności w Bretanii, Milczący Czarodzieju, Wielki Magu z Arborii.

Wyciągnął zza pazuchy rulon i rozwinął go; w środku znajdowały się dwie karty. Znów listy gończe?

– Miejscowi opowiadali o waszych heroicznym czynach. Podobieństwo istotnie jest uderzające, ale... – Przyglądał mi się uważnie. Wzdrygnąłem się, chociaż nie wiedziałem dlaczego. Coś takiego było w tym facecie... jakby stanąć oko w oko z kobrą. – Proszę o wybaczenie, ale muszę panu zadać kilka pytań. Po pierwsze, gdzie pan znalazł ten płaszcz?

Nagle porzucił formalny ton. Wpatrywałem się w niego przez chwilę zszokowany. Skąd wiedział?

„Powiedz mu”.

– Pan Vincent Thorpe Incognito wszedł w posiadanie zaklętego domu, który należał ongiś do jego kuzyna, szlachetnego Lucjusza de Branche d’Aure.

„Nie takiego szlachetnego”.

– Wszetecznego Lucjusza de Branche d’Aure.

„Zapytaj go, czy mogę się spotkać z panią de Breville albo Chamomille”.

– Mój pan żąda spotkania z lady Margueritte de Breville de Branche d’Ambre, jego mistrzynią.

– Rozmawiacie między sobą. Jak to robicie? – Blanchet lekko ściągnął usta.

– Magiczna więź – wyjaśnił książę. – Dawniej czarodzieje mogli się kontaktować ze sobą bez słów, jeśli znajdowali się dość blisko siebie. To sprawy magów.



– Sprawy magów. – W głosie Blancheta pobrzmiwała nuta, która mi się nie spodobała. – Zaklęty dom Lucjusza. Cóż, panie Thorpe, jeżeli rzeczywiście jest pan tym, za kogo się pan podaje, proszę powiedzieć, w jakiej miejscowości po raz pierwszy spotkał pan Duszę Smoka.

Tak mi przynajmniej w pierwszej chwili zabrzmiały jego słowa po bretańsku.

„Duszosmoka? W Ombre”.

Bernard powtórzył.

– Drugie pytanie brzmi – świdrował mnie wzrokiem – gdzie zostawiłeś mojego kota? Podobno powinien pan zrozumieć.

„Powiedz mu, że Śliwka jest u Weylanda, bezpieczna i zapewne nieco przekarmiona”.

Książę wykonał i to polecenie. Teraz Pierre Blanchet promieniał jak człowiek, który po latach bezowocnych poszukiwań trafił w strumieniu na złoty samorodek.

– Dlaczego on nie mówi?

– Milczący Czarodziej – podkreślił książę Bernard. – Szlachetny Wielki Mag z Arborii.

– Dlaczego pan nie mówi? Czy może pan rzucać zaklęcia?

– Może, całkiem nieźle sobie radzi bez słów.

– Siadaj pan za mną. – Blanchet całkiem przeszedł na miejską gwarę. – Na Pustkę! Już, nie ma czasu do stracenia!

Pomógł mi wsiąść na konia i pogналиśmy jak wariaci, zostawiając w tyle całą grupę.

\* \* \*

Po chwili się zorientowałem, że nie kierujemy się wcale w stronę centrum obozu, ale gdzieś na peryferie. W oddali widziałem pojedynczy namiot, okopany rowami i otoczony uzbrojonymi strażnikami – w większości również byli to strzelcy. Czy łucznicy i muszkietery – nie wiedziałem, jak właściwie nazywać użytkowników tych prostych rusznic – stanowią przeważającą część armii Płomienia? Nie, działa się tutaj coś innego. Ktokolwiek mieszkał w tym

namiocie, traktowano go jak niebezpiecznego więźnia, a takiego w razie ucieczki zawsze najszybciej można zastrzelić.

I czy to tylko moja wyobraźnia, czy strażnicy wydawali się zdenerwowani?

Zatrzymaliśmy się za drugim rzędkiem okopów. Blanchet zeskoczył z konia i znów pomógł mi zejść. Czuję się już lepiej niż parę tygodni temu i sądziłem, że poprawa zaczyna być widoczna, więc nieco mnie to zawstydziło. Zbrojni, którzy strzegli namiotu – w tej chwili widziałem czterech – trzymali dłonie na łukach i rusznicach, w każdej chwili gotowi dobyć broń.

Nawiązując kontakt wzrokowy, Blanchet odsłonił rękaw i niemal podetknął mi coś pod nos. Ze zdumieniem rozpoznałem jeden z naszych detektorów skażenia, ustawiony w tryb bezdźwiękowy; wskazówka na ekranie wychyliła się powyżej wartości ostrzegawczych. Rzeczywiście, wokół lekko pachniało mocą Pustki. Poczułem niepokój. Ktokolwiek znajdował się w namiocie, otrzymał sporą dawkę skażenia.

– Kapujesz? – zapytał głośno Blanchet. – Słyszysz mnie?!

Spojrzałem mu prosto w oczy i gestami dałem znak, że słyszę znakomicie.

– Chwilę. – Intendent złapał mnie za dłoń i szybko obejrzał paznokcie. Przerażenie na jego twarzy niemal natychmiast zastąpiło uczucie ulgi. – Pustka taka mać... Nie, ślady są stare. Tylko mowa? Nie straciłeś swoich umiejętności? Czy naprawdę jesteś Wielkim Magiem? Możesz pomóc?

W miarę jak się uspokajał, zmieniał mu się akcent z mieszczańskiego na szlachecki. Za każdym razem potwierdzałem skinieniem głowy. Wreszcie pytając wskazałem namiot.

– Dobrze. Teraz słuchaj. Jakiś czas temu złapaliśmy twój trop. Niestety, moi ludzie, w przeciwieństwie do twoich, nie potrafią latać. – Blanchet zniżył głos: – Mam na twój temat nieliczne i niespójne informacje. Nie wiem, jakim jesteś człowiekiem i czy wpuszczając cię do obozu, nie popełniam najgorszego błędu życia. Bądź zatem świadom, że potrafimy sobie radzić z magami. Nie bez strat, ale zastrzeliliśmy już jednego Inkwizytora; przy odpowiednio gęstej salwie któraś kula trafi. Poza tym zanim wejdziesz, chciałbym, żebyś oddał płaszcz.

Uniosłem brwi, wskazałem materiał. Zapewne kilka miesięcy temu bezrefleksyjnie wykonałbym tę komendę, ale zbyt wiele trudu kosztowało mnie

przeżycie w obcym świecie, a później – okiełznanie leciwych czarodziejów, którzy niby uznali mnie za przywódcę, ale na każdym kroku usiłovali pouczyć, poprawiać lub kwestionować rozkazy. Podejrzliwość Blancheta z całą pewnością brała się stąd, że znał pochodzenie płaszczu lub się go domyślał; kłopot w tym, że to okrycie służyło mi również za pancerz. Należało mi się przynajmniej krótkie wyjaśnienie. Zwłaszcza po tym, jak intendent zagroził mi bronią palną.

– Panie Thorpe, nie wpuszczę pana w tym do namiotu! – syknął. Był śmiertelnie poważny. – Nie chcemy wiedzieć, co się stanie, jeśli lady de Breville tak pana zobaczy. Nie jestem pewien, czy pana rozpozna, a taki płaszcz skojarzy jej się bardzo źle.

Meg?

Na Pustkę!

Człowieku, jak ja bym chciał ci zadać parę pytań. I odpowiedzieć na kilka twoich. Ale to będzie musiało poczekać. Zwinąłem płaszcz w kostkę i wręczyłem mu z namaszczeniem. „Tylko go nie zgub” – próbowałem przekazać.

Słońce ogrzało mi plecy. Płaszcz, chociaż czarny, dzięki wbudowanej magii trochę jednak chronił przed upałem. Ostrożnie odchyliłem płachtę materiału, która zasłaniała wejście do namiotu, i wśliznąłem się do środka.

Zakręciło mi się w głowie od mieszanki różnych woni – lekarstw i ziół, odoru amoniaku i gnijącej tkanki. Powietrze nagrzało się od słońca, zatykało dech. „Zdrowy człowiek może się zadusić” – stwierdziłem i niewiele myśląc, chwyciłem za materiał u wejścia, dobyłem noża i zdecydowanym gestem go odciąłem. A później naszkicowałem w piasku u progu jeden z silniejszych uroków klimatyzacyjnych, żeby trochę ochłodzić wnętrze namiotu. Słyszałem jakieś krzyki na zewnątrz namiotu – strażnicy zapewne sądzili, że skażenie może się rozprzestrzeniać drogą powietrzną – ale je zignorowałem.

– Belle? – odezwał się słaby głos.

Margueritte leżała na szerokim posłaniu przykryta lnianym płótnem. Nie poznałbym jej, gdyby Blanchet mi nie powiedział, że to ona. Skórę miała bladą jak ciasto; opuchlizna zniekształciła jej rysy. Po charakterystycznej fryzurze nie został nawet ślad, na głowie tkwiło tylko kilka zlepionych czarnych kosmyków. Tu i ówdzie na skórze widniały owrzodzenia pokryte żółtą, silnie pachnącą

maścią; jedno z nich, ciągnące się od kącika ust aż do policzka, musiało boleć za każdym razem, gdy próbowała mówić albo jadła. Prawą rękę amputowano powyżej łokcia, lewą dłoń obandażowano; przez jasne płótno przesączała się żółta maść.

Serce tłukło mi się ciężko w klatce piersiowej.

Mogłem zjawić się wcześniej.

Nie miałem pojęcia.

Odruchowo już rozplatałem i filtrowałem skażoną moc, którą chora emanowała. Nie uczono mnie porównywania tego, co odczuwałem, ze wskazaniami wykrywaczy, ale podejrzewałem, że Meg wchłonęła śmiertelną dawkę. Czy jeśli ją teraz oczyszczę, przeżyje? Jak silne są uszkodzenia? Szpik kostny został zapewne niemal całkowicie zniszczony, krążyła w niej zatruta krew. Co z wątrową? Co z nerkami? W Bretanii nie mieli żadnych maszyn medycznych, które mogły pomóc w regeneracji.

Nigdy wcześniej nie usuwałem tak silnego Piętna. Czarne, wyraźne żyłki energii Pustki rozsiały się po wszystkich tkankach. Dostrzegałem, jak oplatają kanały energetyczne – chociaż, co ciekawe, nie wnikały do ich wnętrza. Kilka z nich prowadziło daleko poza ciało – nie miałem pojęcia dlaczego, ale po lekturze notatek Lucjusza nie przychodziło mi do głowy nic dobrego, więc od razu je odciąłem. Żeby nie narobić jeszcze większych szkód, musiałem oddzielać spaczoną moc powoli, jakbym nawijał nić na kłębek, ekstrahować i przetwarzać. W sumie w jednostkach wcale nie było tego dużo, może połowa zawartości mojego Źródła. Ludzkie ciało ma niewielką wytrzymałość na skażenie.

Ale nie chciałem zachowywać tej mocy nawet po przetworzeniu, więc sukcesywnie zmieniałem ją w światło i wypuszczałem na zewnątrz.

Mniej więcej w połowie całego procesu poczułem, że za moimi plecami przesuwa się jakaś postać. Nie musiałem się oglądać za siebie, wiedziałem, że to Belinde.

– Wyjdzie z tego?

– Ćśśś... – Położyłem palec na ustach.

– Kontynuuj. – Meg ledwo poruszyła ustami. Uśmiechała się.

Sam tymczasem poczułem, że mam ochotę się rozpłakać, ale powstrzymałem łzy.

Kiedy wreszcie skończyłem pracę, słońce przygrzewało już jakby mniej. Musiały minąć co najmniej dwie, może trzy godziny. Margueritte zamknęła oczy. Oddychała pełną piersią, spokojnie.

Zza mnie wyłoniła się Belinde Chamomille i z pewną ostrożnością zbliżyła się do chorej. Zobaczyłem, że też ma na nadgarstku detektor skażenia; pokazywał wartość nieco powyżej tła. Przez chwilę się zastanawiałem dlaczego – przecież już wszystko przetworzyłem – a później poszedłem po rozum do głowy i wyciągnąłem tę odrobinę mocy Pustki, jaką wykrywałem w Belle.

Nawet tego nie zauważyła. Nie wyglądała, jakby też dotknęło ją Piętno. Zmieniła się trochę przez te kilka miesięcy. Schudła, opaliła się, na jej twarzy pojawiło się kilka zmarszczek. Włosy jej zmatowiały. Nadal była piękną Belle, ale bardziej przypominała wojowniczkę niż bywalczynię salonów, zwłaszcza że miała na sobie skórnię, męską tunikę i przypasany krótki miecz. Jakoś to do niej w dziwny sposób pasowało. Przyszło mi do głowy, że nic nie wiedziałem o przeszłości Belinde, a przecież tak jak moja mistrzyni liczyła sobie ponad dwieście lat.

– Meg? – szepnęła rozpaczliwie. – Słyszysz mnie?

– Słyszę, słyszę. – Głos mojej mistrzyni był niewiele głośniejszy niż oddech. – Chyba umieram, bo przestało mnie boleć. Czy widziałam Vincenta? Chyba mi się zdawało.

„Nie umieraj” – chciałem jej powiedzieć, ale z moich ust nie wydobyło się żadne sensowne słowo. Belinde spojrzała na mnie, jakby dopiero teraz mnie zauważyła. Do licha, przecież nie będę polegał w takiej sytuacji na Bernardzie, łączyliśmy się kanałami energetycznymi miliony razy.

Ostrożnie ich poszukałem. Margueritte w pierwszej chwili mnie odcięła, z taką siłą, że głowa odskoczyła mi do tyłu jak po uderzeniu. Uniosłem palec do nosa – była tam plama krwi.

Zwróciłem się więc do Belle.

„Halo! Cześć! Jesteś tam?”.

Poczułem, jak otwiera połączenie.

„Blanchet powiedział mi, że nie możesz mówić. Och, ty masz...”.

„Źródło. Wiem. Całkiem nieźle rozwinięte, to podobno zasługa efektu Herzog-Molnar, jeśli kiedykolwiek słyszałaś o czymś takim. Meg nie do końca rozumie, że siedzę obok niej, odcięła mnie jak potencjalnego włamywacza”.

– Wiem dlaczego – odparła Belinde na głos. – I może faktycznie nie powinieneś się do niej podłączać. Ma bezpośredni kontakt z Lucjuszem. Nie jestem pewna, na ile to zależało od skażenia, ale...

„Zniszczyłem nitki mocy Pustki, które wyglądały na połączenia, o jakich mówisz. Spróbuj jej przemówić do rozsądku, muszę reaktywować Źródło, inaczej proces zdrowienia będzie bardzo utrudniony... Co?”.

– Nic, nic – Belinde pociągnęła nosem – tylko nie bardzo mogę uwierzyć w to, co się dzieje. – Jakiś ty chudy...

„Hej, tylko mi się tutaj nie rozklejaj. – Uśmiechnąłem się. – Będę potrzebował twojej pomocy. Przywiozłem ośmioro magów, w tym przynajmniej jedną uzdrowicielkę, ale w Bretanii nie mają specjalistów twojej klasy. Ani takich jak Meg. Łap”.

Ze zdumieniem przyjęła jednostki. W pierwszej chwili nie domyśliła się, dlaczego je przekazuję. Bretańczycy wiedzieli, jak reaktywować Źródło, już raz w historii zmierzili się z wygaśnięciem magii. U nas w Arborii istniało co najmniej kilka Źródeł geograficznych, które kierowały przepływem mocy w świecie. Energii nigdy nam nie brakowało.

Zanim zdążyłem ją poinstruować, zrozumiała, o co chodzi. Wessała moc do Źródła i westchnęła.

– No, wreszcie czuję się sobą. – Jej oczy zaślniły. – Meg. Hej, Meg. Nic ci się nie wydaje. Vince naprawdę wreszcie do nas trafił. Nie myliłaś się. Rzeczywiście jest Magiem Pustki. Odciął cię od Lucjusza. Nie odbijaj go, będzie się próbował podłączyć.

Czarodziejka poruszyła się niespokojnie.

– Oczywiście... – sapnęła – że się nie myliłam. Co? Kto? Nie wierzę. Przed chwilą poczułam moc, na pewno znów próbował mnie znaleźć ten cholernik, skurczybyk, zadufany w sobie tchórz. Mam nadzieję, że wszystkie jego

przydupasy usłyszały, kiedy go odsyłałam. Skoro Vince naprawdę jest tutaj, dlaczego się nie odezwie?

– Meg – Belinde przyklękła obok mnie – zaufaj mi.

– Chciałabym. Kręci mi się w głowie. No dobrze. – Margueritte wciągnęła powietrze w płuca. – Vince, powiedz coś. Zrób coś takiego, żebym wiedziała, że to ty.

„Belinde. Podaj mi detektor”.

Wzięłam urządzenie do ręki i włączyłem dźwięk. Zaczęło cykać ze zwykłą niską częstotliwością. Włożyłem je do ręki Margueritte.

Przez chwilę nie reagowała. Wsłuchiwała się w równomierny dźwięk z zamkniętymi oczami. Potem uniosła powieki i z dużym trudem skupiła na mnie wzrok.

Uśmiechnęła się słabo.

– No. Ale mógłbyś się ogolić.

Przyjęła swoją porcję mocy jak śmiertelnie spragniony wodę. Zaciśnęła dłoń na mojej ręce, aż poczułem na skórze wilgoć balsamu, który przesączał się przez opatrunek. Zorientowałem się, że Meg patrzy na mnie już całkiem przytomnie.

– Posłuchaj mnie uważnie, Vince – powiedziała cicho. – Mam dla ciebie ostatnie polecenie. Pamiętaj. Będziesz pamiętać, dobrze?

Skinąłem głową.

– Nie pracuj ponad siły. I nigdy sam. – Przez chwilę łąpała powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. – Nie bierz wszystkiego na siebie. Bo za to się płaci. Jedno i drugie może zniszczyć i ciebie, i tych, na których ci zależy.

„Dobrze, Meg – przekazałem łagodnym tonem. – Obiecuję, że kiedy skończymy pracę i ocalimy świat, a to powoli zaczyna wchodzić nam w nawyk, wezmę cały zaległy urlop”.

– Czyli rok i dwa tygodnie – westchnęła moja długoletnia szefowa. – Kontrakt nam się skończy. I jeszcze zapłacę ci ekwiwalent. Jedźcie na porządne wakacje. Weź dobrą posadę, byle nie adiunkta na uczelni, bo pierwsze roczniki to zaraza. W ogrodzie botanicznym potrzebowali kogoś, ale szybko się znudzisz. Nadałbyś się na medyka.

„Pomyślę nad tym”.

– Cieszę się. – Meg ziewnęła. – Mają tutaj takie coś... kawa z cykorii. Ohyda. Przynieś mi może tego paskudztwa, jak się obudzę, z podwójnym mlekiem. Zanim pójdziesz na urlop.

\* \* \*

Słońce przesunęło się nieco na zachód. Jego blask złagodniał, teraz przywodził na myśl gęsty złoty miód. Wyschnięta ziemia, tu i ówdzie jeszcze pokryta kępkami niewydeptanego owsa, oddawała ciepło, które przenikało przez podeszwy butów. Trwało jedno z tych lipcowych popołudni, które wydają się ciągnąć bez końca i za którymi tęsknimy jesiennymi wieczorami, kiedy już dawno zapomnieliśmy o nieruchomym, dusznym powietrzu i skórze łaknącej cienia.

Wokół namiotu Margueritte zebrał się tłum gęstszy niż na rynku w Montreuil. W przeważającej części zbrojni, w różnobarwnych strojach, prezentujący pełne spektrum bretańskiej wojennej mody. Najwidoczniej nikt jeszcze nie wprowadził w Bretanii munduru, każdy nosił, co mu odpowiadało i na co go było stać – tunikę na skórzni, tak jak Belinde, ale i ozdobny pikowany kaftan pod zbroją jak Blanchet.

Dostrzegalem też ludzi, którzy musieli być rzemieślnikami, posługaczami, koniuszymi – całą obsługą armii Theresy von Feuerstein. Zaskoczyła mnie ogromna liczba kobiet w różnym wieku; część z nich na pewno parała się najstarszym zawodem świata, ale przeważnie wyglądały dość szacownie, przystrojone w czepki i fartuchy, z rękami czerwonymi po łokcie od pracy. Gdyby wszyscy ci ludzie osiedli w jednym miejscu i zaczęli wznosić domy, powstałoby spore miasto, i to oferujące wszystkie niezbędne usługi.

Nagle zaczęło do mnie docierać, jaką hekatombą skończyłyby się atak smoka.

Kiedy opuszczaliśmy namiot, nigdzie w okolicy nie dostrzegłem Blancheta, ale teraz nagle pojawił się obok nas jakby znikąd i wręczył mi płaszcz Lucjusza, który szybko zarzuciłem na ramiona. Wymienili z Belle parę słów przyciszonym głosem.



„Twoi ludzie są bezpieczni, pod strażą – przekazała lady Chamomille. – Trochę się burzyli pod twoją nieobecność, ale dostali obiad i to załatwiło sprawę”.

„Bardzo mądrze. Są w porządku, tyle że dość dziecinni”.

„Jak większość lokalnych arystokratów”.

Poczet szlachetnie urodzonych rycerzy spóźnił się chyba z rozmysłem. Dowodziła nimi wysoka kobieta z widocznymi bliznami od poparzeń na twarzy, silna i poważna. Gdy nadjeżdżała, słońce załśniło w jej przerzedzonych włosach barwy rudoblond i przez ułamek chwili wydawało się, że jej skronie zdobi królewska korona.

Chciałem przyklęknąć, ale w tej właśnie chwili poczułem, że moja prawa stopa trochę niedomaga, co się czasem zdarzało ze zmęczenia lub z nerwów. Stałem więc wyprostowany jak struna, w obawie, że wyrwę się przed skupioną na nas publicznością. Przez moment uważnie mierzyliśmy się wzrokiem. Powiedziano mi później, że zrobiłem wrażenie. Po tym, jak bez wahania wszedłem do namiotu Napiętnowanej i oczyściłem ją ze skażenia, a później nie ukorzyłem się przed generał, zgromadzeni uznali, że nie znam strachu. Zapewne dlatego, że wróciłem z Zaświatów. Przecież było widać.

– Słyszałam o tobie, Vincencie Thorpe. – Płomień uśmiechnęła się kącikiem ust. – Z rodu Incognito. Twój doradca, książę de Montreuil de Branche d’Amethyste, twierdzi, że ślubowałaś milczenie, dopóki nie rozprawisz się z rakiem Zaświatów, który toczy Bretanię. Czy to prawda, że uwolniłeś lady de Breville od Piętna? Jak to uczyniłeś?

Przekazałem odpowiedź Belle. Powtórzyła słowo w słowo, nie interpretując mojej wypowiedzi tak dowolnie, jak robił to Bernard.

– Lord Incognito mówi, że oczyścił ze skażenia panią de Breville i wszystkie przedmioty, z którymi się stykała, co można łatwo sprawdzić za pomocą magicznego wykrywacza. Na tym polega moc Wielkiego Maga i jego obowiązek wobec ludu Bretanii.

Wśród rycerzy nastąpiło zauważalne rozluźnienie. Zaczęło do mnie docierać, że Blanchet, który zawłókł mnie w sam środek obszaru poddanego kwarantannie, z nikim nie skonsultował swojego postępk.

– Co masz wspólnego z Lucjuszem Wielkim? – Theresa nachyliła się lekko. – Jeżeli opisy lady de Breville były trafne, nosisz jego płaszcz.

– Lord Incognito twierdzi, że to prawda. Mówi, że odnalazł i starannie przeszukał jego tajną pracownię. Z całym szacunkiem, może chciałaby pani zapoznać się ze znaleziskami?

– Rzuć zaklęcie – zakomenderowała generał von Feuerstein. – Chcę mieć pewność, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Wiem, jak przejawia się skażona moc. I nie ufam ludziom, którzy nie przemawiają własnym głosem.

„Vince, dasz radę? Myślę, że wystarczy Kula Światła...”.

„Nie martw się o mnie. Zdałem egzamin i do części zaklęć nie potrzebuję słów, więc...”.

„Egzamin? Poważnie? Wodny Pryzmat będzie dobry. Prosty, miły, strzelisz w powietrze, ludzie się ochłodzą”.

„Mam znacznie lepszy pomysł”.

Zachowałem przy sobie sakwę zielarską; dobrze się sprawdzała jako chlebak. Wydłubałem stamtąd kilka suszonych wiśni. Były wydrylowane, ale zawsze trafi się egzemplarz z pestką, i takie właśnie oddzieliłem od zwartej masy. Postanowiłem rzucić jedno z zaklęć Creo, które znajdowało się w programie i które Kathryn lubiła do tego stopnia, że powtarzaliśmy je częściej niż wszystkie inne, może poza Kulą Ognia.

Rzuciłem wiśnie na ziemię i pokropiłem wodą z manierki, a później ostrożnie uformowałem wzór i włoczyłem moc. Wszyscy w skupieniu wpatrywali się w ziemię przed moimi stopami. Już myślałem, że powinienem wybrać coś bardziej widowiskowego, ale po minucie pestki spęczniały i wypuściły liścienie. Nie upłynęło wiele czasu, a z czubkami moich butów sąsiadowały trzy wesołe sadzonki o wysokości mniej więcej dziesięciu centymetrów.

Wokół było tak cicho, że słyszałem gorączkowe skrobanie gęsiego pióra docierające z orszaku generał von Feuerstein. Skryba dokumentował wydarzenie. Zgromadzeni wyciągali szyje, usiłując się zorientować, co się dzieje.

– Lord Incognito mówi, że żaden skażony mag nie dałby rady stworzyć życia – powiedziała Belinde. – Mógłby je tylko imitować.

– Blanchet – generał zwróciła się do intendenta podniesionym głosem, prosto z przepony. – Ogrodź te młode drzewa wiśni, oznacz flagą i szczerze je podlej. Niech nikt się nie waży zniszczyć symbolu nadziei, która dziś powróciła do Bretanii!

Wysoko uniosła prawą rękę i jak na komendę wokół wybuchły ogłuszające wiwaty na naszą cześć. Podejrzywałem – nie, byłem całkiem pewien – że w zapisywanej właśnie kronice trzy rachityczne sadzonki osiągnęły co najmniej mój wzrost i niewątpliwie już kwitły. Zapewne skryba zastanawiał się nad odpowiednio pompacyjnym imieniem dla nich. Jeśli zwiędną w tym upale, ktoś cichaczem posadzi nowe i będzie udawał, że nic się nie stało.

„Masz zmysł dyplomatyczny” – pochwaliła mnie Belinde.

„Uczę się od najlepszych”.

Po wielu godzinach spędzonych na pomaganiu Margueritte zrobiło mi się słabo z głodu, więc gdy ruszyliśmy w stronę namiotów dowództwa, wyciągnąłem z sakwy pajdę chleba. Dopóki szliśmy za jadącą stępą generał von Feuerstein, nie była to znowu taka gafa.

Nie wiedziałem oczywiście, że prowadzenie nas pieszo za rycerskim pocztem miało w sobie pewną symbolikę. Płomień chciała wyraźnie pokazać, że Wielki Mag i jego przybocznicy książęta i hrabiowie, którzy dali już do zrozumienia, jak bardzo górują statusem nad wszystkimi wokół, nie powinni nawet śnić o przejęciu dowództwa nad armią. Ale ja się niczym nie przejmowałem, tylko wtrząchałem chleb z serem i dalej kładłem podwaliny pod plotki o mojej rzekomej nieustraszonosci.

– Powiedz mi, Vince – zagadnęła mnie tymczasem Belinde – czy ona to przeżyje?

Mówiliśmy, a przynajmniej Belle mówiła po arboriańsku.

„Mam nadzieję. Odnowiłem jej Źródło, zatrzymałem postępowanie Piętna, więc powinna zacząć odzyskiwać siły. Byłem w gorszym stanie po gorączce i przetrwałem, a Meg jest twarda. Przy najbliższej okazji pošlę do niej lady d’Opal. Chciałbym ją odesłać do Arborii...”.

Zacisnąłem szczęki. Moja mistrzyni, zawsze niezwyciężona, z gotowym planem na każdą okazję, taka krucha i bezbronna w obliczu choroby. Znowu zachciało mi

się płakać.

Belinde zamruwała i ukradkiem otarła oko.

– Jesz i mówisz do mnie w myślach, przestań. – Jej głos lekko zdrzął. – Rozpraszasz mnie.

„Muszę jeść. Nie mam żadnych zapasów, mięśnie szybko się męczą. Jem co dwie godziny, jak dziecko”.

– Pokaż mi rękę. Tak, prawą.

Belinde ze zmarszczonymi brwiami oglądała moją dłoń, tę z niedowładem. Prawie zdołałem o nim zapomnieć, radziłem sobie na nowo wypracowanymi gestami. Uważałem, że problem jest już prawie niezauważalny. Ale Belle wychwyciła go od razu. Przygięła mi palce do środka dłoni, rozprostowała.

– Możesz poruszać osobno palcem serdecznym i środkowym?

„Nie bardzo”.

– Jak z prawą stopą? Trochę nią szurasz.

„Hm. Myślałem, że nie widać”.

– Ja widzę. Napatrzyłam się na konsekwencje urazów głowy i kręgosłupa. Jeżeli mięśnie, zwłaszcza w nodze, pozostaną przykurczone, z czasem nabawisz się problemów ze ścięgnami i stawami. Znam lekarkę, która potrafiłaby się tym zająć. Znam też zakłęcie, którego używaliśmy świeżo po wypadkach, zmniejsza stany zapalne w mózgu. Nie jestem pewna, czy pomoże po tak długim czasie, ale warto spróbować. Niecałe osiem jednostek, mogłabym je rzucić choćby za chwilę.

„Gdzie właściwie miałaś okazję się tego nauczyć? Byłaś w wojsku?”.

– W doloriańskiej kawalerii książęcej. Kiedy przenieśli mnie do cywila, zająłem się tworzeniem automagicznej broni, a potem już jakoś poszło.

Zatkało mnie.

„Nigdy o tym nie mówiłaś”.

– Bo się tym nie chwale. To krótki epizod z mojej młodości i nie stawia mnie w dobrym świetle – mruknęła Belle. – Kiedyś opowiem ci ze szczegółami. Ale jeszcze nie teraz.

Generał Theresa chciała jak najszybciej się dowiedzieć, jakie przynieśliśmy jej informacje, co potrafimy i jak to można wykorzystać w walce z Królewskim Smokiem. Z jej zachowania wyczytałem, że lada dzień spodziewają się tutaj bitwy. Wojska Pochodni Wyzwolenia wysforowały się naprzód, zajęły najdogodniejszą drogę przemarszu do Nouveaux Dijon i oczekiwały na nieuchronne starcie. Spieszyło mi się, aby usłyszeć więcej wyjaśnień, więc szybko zorganizowaliśmy połowę pracownię.

Zanim to jednak nastąpiło, znów musieliśmy zaszokować Bretańczyków. Otóż większość fantów zabranych z wieży Lucjusza, włącznie z ciężkimi tomiszczami notatek, przewoziliśmy spakowaną w składanym domu. Trzeba było poprosić generała o kawałek terenu, aby go rozłożyć, a następnie długo objaśniać wielmożom i samej Theresie, że to tylko taki magiczny namiot. Tłumaczeniem zajęła się Belinde; o ile umiałem to ocenić, złagodziła wstrząs związany z nagłym pojawieniem się niedużej, ponurej willi w samym środku sektora rzemieślniczego.

Oczywiście Theresa od razu postanowiła ją zwiedzić, a w jej ślady poszli co odważniejsi sojusznicy, oglądając bałagan, jaki zostawili moi towarzysze. Poprosiliśmy o służbę i Blanchet posłał kilkoro odważniejszych i bardziej inteligentnych podwładnych, aby nieco posprząтали, bo zwykli służący pręcej uciekliby z obozu, niż weszli do środka. Bernard objaśnił działanie łazienki oraz pralni i daliśmy im pracować w spokoju. Sami w tym czasie wynieśliśmy do spółki dzienniki Lucjusza i część materiałów, z których korzystał.

Nie minęło wiele czasu, a obszerny zielony namiot, służący zwykle do narad wojennych dowództwa, przeistoczył się w miejsce pracy czarodziejów. Wszędzie wokół leżały książki, mapy i papiery; między nimi poniewierały się miski po owsiance i gulaszu, rozerwane chlebki oraz niedojedzony ser. Porządkowaliśmy i wzajemnie referowaliśmy sobie zdobyte wieści. Poczujęm się swojsko w takim otoczeniu; mimo znużonych mięśni mój umysł działał bardzo sprawnie i robota szła szybciej, niż się spodziewałem.

Wiedzieli o naszym przeciwniku zaskakująco dużo.

Belinde pokazała mi wielką księgę zatytułowaną *Proroctwa Czarnej Meg*, sporządzoną przez obydwie czarodziejki, kiedy jeszcze Margueritte była w jako takiej formie. Kopiści przygotowali kilka egzemplarzy, a jeden z nich generał von

Feuerstein kazała oprawić w skórzaną nieprzemakalną okładkę zapinaną na zatrzaski i trzymała u siebie w kufrze. Ze zdumieniem wysłuchałem opowieści, jak moja mistrzyni włamała się do umysłu Lucjusza i wyciągnęła stamtąd wszystko, co chciała. Jak najszybciej chcieliśmy uzupełnić luki i ułożyć wszystkie informacje w spójny obraz, więc pograżyliśmy się w gorączkowej pracy; Belle streszczała księgę i przygotowywała na kartach pergaminu listę najważniejszych faktów, a my to samo robiliśmy z notatkami byłego Wielkiego Maga. Mnie w udziale przypadły najnowsze tomy, te po arboriańsku.

Theresa von Feuerstein wracała do naszego stołu co pewien czas i kazała sobie opowiadać, nad czym pracujemy. Słuchała, przytakując z powagą. Na pewno nie znała się na matematyce i koncepcjach związanych z magią, ale szybko chwyciła ogólne zasady i podobnie jak Amandine zadawała trafne pytania. Pod opieką, jaką zapewniali nam jej ludzie, zapominaliśmy, że stale otacza nas spory, milczący oddział strażników uzbrojonych w rusznice. Nie miałem jej tego za złe. Zналиśmy się zaledwie od kilku godzin.

W pewnej chwili, gdy właśnie zabierałem się do wertowania Proroctw, poczułem nade mną jej przytłaczającą, milczącą obecność.

– I jak tam? – zapytała lekkim tonem.

Na kilka sekund nabrałem przekonania, że generał von Feuerstein pobierała lekcje dowodzenia na Uniwersytecie Avalońskim. Otóż nie ma pytania bardziej zbijającego z tropu początkującego asystenta lub studenta magii. „Jak tam?” można zinterpretować jako wszystko. Na przykład: „Jeśli się nie pospieszysz, poniesiesz poważne konsekwencje” albo „Udowodnij mi, że rozumiesz, co robisz, i potrafisz mi o tym opowiedzieć bez zająknięcia”, albo „Czegoś nie dopilnowałeś, masz minutę, żeby sobie o tym przypomnieć”. W miarę nabierania doświadczenia nauczyłem się, że „I jak tam?” zazwyczaj oznacza po prostu niezobowiązującą chęć nawiązania kontaktu lub zaznaczenia swojej obecności. Ale pierwsza reakcja pozostała.

„Dopiero zacząłem czytać. Ciekawe” – naskrobałem ołówkiem na podręcznej kartce.

Generał skrzyżowała ramiona.

– Przeszkadza mi, że nie da się z tobą porozmawiać. Wiele można się dowiedzieć o ludziach po ich głosie i sposobie, w jaki mówią.

Poczekala cierpliwie, aż naszkicowałem odpowiedź.

„Można rozmawiać w myślach także z osobą nieutalentowaną magicznie. Zanim zostałem czarodziejem, Meg używała tej formy kontaktu. Wymaga tylko zaufania z obu stron, zwłaszcza przy braku przeszkolenia”.

– Myślę, że poczekam – odparła generał. – Ale zaczynam wyrabiać sobie zdanie na twój temat. Twój ludzie przekonują, że jesteś surowym, bezwzględny asceją. Sądzę, że to bzdura.

Uniosłem pytająco brwi.

– Lady Chamomille tłumaczy cię bardziej dosłownie niż księżę Bernard. Używasz takich pojęć jak „obowiązek maga” i „zaufanie”. Zależy ci na porozumieniu, a nie na przejęciu władzy. Nawet ci nie przyszło do głowy, żeby odmówić swojej mistrzyni pomocy. Pozostawialiście zatem w serdecznych relacjach, co nie zawsze się zdarza w przypadku czarodziejów. Wcale nie ślubowałaś milczenia. Blanchet wyjaśnił mi, co znaczą ślady na twoich palcach. Umknęłaś kosztusze najdalej dwa miesiące temu i dopiero odzyskujesz siły; to dlatego nie mogliśmy cię znaleźć. A teraz rzuciłaś się w wir pracy, a przecież mogłaś najpierw zażądać wygód, przywilejów i zapłaty.

Nachyliła się nade mną.

– Nie jesteś szlachcicem, prawda? – spytała zniżonym głosem.

Obróciłem ołówek w palcach.

„Nie. I nie zamierzałem tego ukrywać. Bretania znalazła się w kłopotach właśnie dlatego, że szlachta zazdrośnie strzegła magicznej wiedzy. Nikt nie kwestionował decyzji Lucjusza. Straciliście Magów Pustki na całym kontynencie, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby przetestować bękartów. Generale, pani też nie wywodzi się ze szlachty”.

– Słuszna uwaga... – Von Feuerstein zacisnęła usta. – Ale mnie wybrała Wyrocznia i przekazała wolę Wędrowca. Wiem... jak wygląda kontynent. Że jest umieszczony w Zaświatach. Że tylko ona chroni nas przed śmiertoczną mocą, bo tak podróżował Wędrowiec i tak nasi przodkowie przybyli do Altery. A kapłani chcą ją wypaczyć, zniszczyć. Widziałam to wszystko.

Mówiła bardzo cicho.

Niesamowite.

„Belinde wie?” – napisałem na kartce.

– Mniej więcej. Wizje Margueritte mówiły niemal o tym samym. Wyrocznia obawiała się, że jeśli wybierze szlachcica – człowieka żadnego władzy i z magią w żyłach, ten człowiek podda się woli kapłanów, uwierzy w słuszność ich zamiarów. Ale wezwała też ciebie jako swojego czempiona. Nowego Wielkiego Maga. Zatem musiała wejrzeć w twoje serce.

Nie próbowałem jej wytłumaczyć, że przypisywanie starożytnemu konstruktowi z zarania dziejów ludzkich motywacji mija się z celem. Jak tłumaczył Weyland, Skuld usiłowała tylko wykonywać wpojone jej dawno temu rozkazy i znajdowała do tego najbardziej odpowiednie jednostki – takie, które dysponowały mocą albo – jak w przypadku Theresy – wolą walki. Przede mną wybrała przecież Lucjusza, co okazało się ostatecznie złą decyzją. Wizje, jakie przekazała, musiały silnie pobudzić wyobraźnię von Feuerstein. To, że generał postrzegala decyzje Wyroczni poprzez jej rzekome szlachetne intencje, najwięcej mówiło o niej samej.

Zapewne nie była jedyną wybraną, tylko jako jedyna wróciła tutaj z armią.

\* \* \*

Namiot, w którym spała Margueritte, oświetlały trzy kaganki. Od czasu, kiedy ostatnio ją widziałem, nie obudziła się ani razu, chociaż zmieniono jej pościel. Księżna d’Opal skończyła rzucanie zaklęć diagnostycznych i odeszła od łóżka chorej.

– Ma wiele szczęścia i bardzo mocne zdrowie – powiedziała. – Teraz, gdy choroba już nie postępuje, odzyskane Źródło zacznie ją stopniowo wzmacniać. Mogę dodać jej sił, poprawić działanie żywotnych organów. Ale uzdrowiciele będą musieli zajmować się nią jeszcze przez wiele miesięcy. Odnawiać krew i usuwać złośliwe wyrośla, gdy się pojawią. Później... sądzę, że przy ostrożnym trybie życia zostaną jej dwie, może trzy dekady.

– Arboriańska medycyna potrafi działać więcej – odezwała się Belinde z nadzieją.



– Może tak... – Księżna skinęła głową. – A może nie. Nie wiem, ile macie doświadczenia z leczeniem skutków Piętna. Zalecałabym życie w ciepłe i spokoju.

– Jestem za młoda na emeryturę – dobiegł cichy głos od strony posłania. – Ale urlop się przyda. Och, tylko mnie nie zaduście, muszę najpierw go dożyć.

Popatrywała na nas uważnym spojrzeniem szarych, przenikliwych oczu. Jej skóra wciąż była napuchnięta, usta jakby odbarwione. Nie wiedziałem, jak długo da radę się koncentrować.

– I gdzie ty się podziewałeś? Dostałeś zakłęcia lecznicze czy wszystko poszło na mnie?

– Zaraz będę rzucać – odparła lady Chamomille. – Czekał tyle czasu, mógł zaczekać parę godzin.

– No. – Meg odetchnęła głęboko. – Mówiłam najpierw Elysi, później Weylandowi. Sprawdźcie wszystkich, którzy przekroczyli potencjał ustalony przez maszynę. Symbioza Magów Pustki z ziemią jest silniejsza od przeciętnej. Wszystko policzyłam – sapnęła. – Jakby Weyland posłuchał wcześniej... ale to nie byłbyś ty. Opowiedzcie mi wszystko. Nie zasnę. Od razu.

Wymienialiśmy opowieści przez następną godzinę albo i dłużej. Margueritte słuchała, czasem tylko wtrącała uwagi. Chwilami wydawała się przysypiać.

„No i tak to wygląda. Nie wiem, co z Amandine – skończyłem. – Do tej pory sądziłem, że znalazła bezpieczne schronienie w armii Kathryn, o ile w armii w ogóle można być bezpiecznym, ale niepokoją mnie wysłane za mną listy gończe. Portret na pewno został narysowany przez nią – chyba użyto go bez jej wiedzy. Belinde twierdzi, że Królewski Smok ją kontroluje, tak samo jak Kathryn. I tak jak próbował kontrolować ciebie”.

„Wiecie, co Lucjusz usiłuje zbudować?”. – Meg też łatwiej przychodziło mówienie przez kanały energetyczne.

„Ze wspólnych notatek wynika, że chciał obstalować maszynę do podróży przez Pustkę. A jako silnika użyć Wyroczni związanej rytuałem oraz mieszaniną energii, skażonej i normalnej. Nie rozumiem, jakim sposobem to by miało zjednoczyć świat, ale taki miał zamysł”.

– Twierdził, że chce się dostać do zaginionej Altery i skorzystać z automagii z czasów Wędrowca – wyjaśniła Belinde. – Sama o tym napisałaś. Kiedy ludzie słyszą, że kontynenty oddaliły się od siebie, myślą o odległości. Ale to oczywiście nieprawda. Słuszniej powiedzieć, że przestrzeń została zakrzywiona tak, że światy nie znajdują się w tym samym miejscu.

„Podróżowaliśmy przez zakrzywioną przestrzeń dzięki Wyroczni. Wszystko widziałem. Pustka jest bardzo pełna, mogę was o tym zapewnić”.

– Wyrocznia utrzymuje kontakt między Arborią i Bretanią – dodała Belinde. – Tworzy coś w rodzaju tunelu. Dzięki temu kontynenty pozostają stabilne. Ale prace Lucjusza subtelnie zmieniały położenie światów względem siebie. On był przekonany, że ma nad wszystkim kontrolę, ale do obliczenia stabilności siatki geomagicznej użył starego wzoru Reynauda, w dodatku pozamieniał znaki.

„Tak, to szkolny błąd. – Margueritte westchnęła. – Zresztą nie ma prawidłowego sposobu. Lucjusz wpadł na dobry pomysł, ale zabrał się do roboty od złej strony; tego się nie da zrobić, podobnie jak *perpetuum mobile*. Gdyby się przyznał do jednego błędu we wzorze, musiałby wszystko sprawdzić od nowa i przerwać projekt, więc to wyparł. Dowiedzieliście się, czego potrzebuje, żeby go skończyć? Mam pewne podejrzenia, ale...”.

– Po pierwsze, ogromnego ładunku energii, którą właśnie akumuluje po drodze. Po drugie, potrzebuje Kathryn – odparła Belinde. – Źródło maga Creo zostało wpisane w równanie. Coś złego stało się z królem na samym początku projektu. Coś zajęło jego miejsce.

„Dlaczego tam jeszcze nie poleciał?”.

– Pamiętasz runy, które skopiowaliśmy ze ścian jaskini? Razem z notatkami Vincenta opisują, jak Lucjusz dokonał zjednoczenia ze smokiem. Otóż to mu też nie wyszło do końca. Popsuł Źródło Królewskiemu Smokowi. Umarł w trakcie procesu przenoszenia świadomości, więc ze smokiem stało się to samo, co z czarodziejami. Nie ma własnej mocy, musi ją czerpać.

„W takim razie siedzi na krótkiej smyczy – ucieszyła się Meg. – Wiesz, ile to żre? Na pewno więcej niż kuchenka. Jest za ciężki, żeby latać bez pomocy magii”.

– Domyśliliśmy się – westchnęła Belinde. – Ale to znaczy, że Lucjusz walczy z konieczności, a nie z chęci podtrzymania pozorów i ustanowienia własnych rządów, jak sądziliśmy. Nie wiem, jak postąpi, kiedy do nas dotrze. Najbardziej mu zależy na wyssaniu skażonej mocy z królewskiej armii. Nie będzie chciał jej marnować na nas.

„Hm. Theresa na pewno zajmie się strategią, zatrzymamy jego armię w drodze do stolicy. Bez smoka nie dadzą rady. Jesteśmy lepsi. Jeśli Lucjusz chce dotrzeć z nimi do królewskich wojsk, będzie musiał uczestniczyć w bitwie. A co wy zamierzacie z tym fantem zrobić?”

Belinde Chamomille posłała mi zmęczony uśmiech. Ona już powiedziała, że jeśli zarówno Meg, jak i Kathryn przeżyją tę wyprawę, wystawi mi pomnik, a najpewniej obdaruje najlepszym dziełem magicznym, jakie uda jej się wymyślić.

Inna sprawa, że nie potrzebowałem zachęty.

„Znajdę Kathryn i przetnę jej połączenie ze smokiem. Zmuszę go do powrotu w góry”.

Meg uniosła brwi, a raczej ten kawałek skóry, gdzie powinny się znajdować.

– Vincencie... czy jesteś pewien...

„Posłuchaj. Nie mają w wojsku nikogo, poza Lucjuszem, kto się zna na magii. Królewski Smok podtrzymuje pozory, więc nie sprowadził żadnego renegata, Jastrzębia ani Inkwizytora. Czuję się nieźle. Mogę się tam podkraść – w gorszej formie rzucam zaklęcia kamuflujące. I czym to się różni od misji wywiadowczych i archeologicznych, którymi zajmowałem się przez dwie trzecie życia?”

– Mnie tam nie będzie – burknęła cicho Meg.

– Co fakt, to fakt. Zabierz swoich ludzi – zasugerowała Belle.

„Szlachta się nie skrada – westchnąłem z lekką rozpaczą. – Będę ich trzymał w odwodzie, na wypadek gdyby coś poszło bardzo źle”.

Belinde Chamomille spoważniała.

– Gdyby ci się nie powiodło, stracę moją uczennicę. I być może wszyscy zaczniemy liczyć dni do końca świata.

\* \* \*

Z pospiesznych rachunków wynikało, że jeśli wyruszę następnego popołudnia, dotrę do armii królowej Kathryn pod wieczór, gdy wojsko rozłoży się już obozem. Musiałem się wyspać, ale napięcie sprawiło, że do późnej nocy nie mogłem zmrużyć oka. Gdybym zawiódł, moja Amandine, Kathryn i zapewne mała Lily pozostaną we władzy Lucjusza. I wtedy rzeczywiście, aby nie dopuścić do ukończenia projektu byłego Wielkiego Maga, trzeba będzie zastrzelić Królewskiego Smoka albo Kat.

Belinde rzuciła na mnie zaklęcie stosowane przy urazach głowy. Nie poczułem żadnego efektu, może poza tym, że jeszcze mniej chciało mi się spać. Aby się zmęczyć, jeszcze raz przestudiowałem rytuały, których Lucjusz użył do zjednoczenia się ze smokiem, włącznie z runami znalezionymi przez czarodziejki na ścianach Czeluści. Starannie podzielono je na osobne ciągi znaków i opatrzone komentarzami, toteż nie musiałem wkładać wysiłku w ich rozszyfrowanie. Po tym, jak zapoznałem się z objaśnieniami, zrozumiałem funkcje użytych w rytuale run Pustki. Magia, której używał Lucjusz, działała trochę inaczej niż ta, którą poznawało się z podręczników. Przede wszystkim manipulowała przestrzenią, wprowadzała dodatkowe wymiary.

Poniewczasie doszedłem do wniosku, że zaklęcie Belinde jednak wywołało pewien skutek, bo bezwiednie wszedłem w tryb pracy umysłowej, w jaki zwykle się wpada podczas nauki do egzaminów, i zacząłem cały ten materiał wkuwać na pamięć. Zasympiając, widziałem przesuujące się przed oczami runy Pustki.

\* \* \*

Opowiadano mi, że prowincja Nouveaux Dijon była kiedyś żyzną, bogatą krainą, gdzie ziemia rodziła pszenicę i warzywa wszelkiego rodzaju, stada łaciatego nizinnego bydła pasły się na soczystych łąkach, a w gęstych lasach bukowych moźni polowali na auroksy, dziki i jelenie. Okoliczne wsie i miasteczka handlowały, czym się dało, ze stolicą, a po brukowanych traktach wciąż przetaczały się karawany z odległych prowincji, dostarczając kamień, surowce i wyroby ze szkła. Bernard długo i z wyraźną zazdrością rozwodził się nad tym bogactwem; jego własne księstwo składało się głównie z mokradeł

i piaszczystych pagórków, i tylko rozwój rzemiosła i handlu chronił jego poddanych przed skutkami częstych nieurodzajów – więc stołeczna prowincja wydawała mu się rogiem obfitości.

Jakkolwiek było, najlepsze czasy miała już za sobą. Zakon przez dziesięciolecia prowadził gospodarkę rabunkową. Klasztory Szarego Wędrowca przejęto, zakonników nawrócono lub pozabijano, a nowi rezydenci zajmowali się wyciskaniem z ludności ostatnich denarów. Mnisi zatrudniali oddziały przybocznych, w pierwszym okresie zwykłych najemników, którzy za ich cichym przyzwoleniem zachowywali się jak rycerze rozbójnicy. Później te oddziały oficjalnie zmieniono w rycerzy zakonnych, których należało odpowiednio opłacać. Handel w stolicy nie od razu zamarł, przez pewien czas pałac kupował ogromne ilości cennych metali dla nowej świątyni Cierpliwego Wędrowca, począwszy od miedzi i cyny, skończywszy na złocie – teraz wiedzieliśmy, że Arcydiakon gromadził surowce do budowy magicznego dzieła Lucjusza. Kiedy tylko nieco się rozlułał, zaczął je konfiskować pod pretekstem oskarżania o herezję każdego, kto się prędko nie nawrócił i sam nie wyskoczył z rodowych bogactw na użytek Zakonu.

Bardzo długo nie wiedziano, że Zakon Cierpliwego Wędrowca korzysta z mocy Pustki. Oskarżenia Theresy von Feuerstein brzmiały jak oszczerca plotka, chociaż im dalej w las, tym częściej szeptano, że kapłani w nowej pałacowej świątyni nieco zbyt intensywnie zgłębiają tajemnice Zaświatów, usiłując odkryć na nowo starą magię. Na pewno konfiskowano automagiczną broń, dzieła i automaty. Wiedziałem, że królewska armia dysponuje trebuszami ogniowymi w pokażnej ilości i więcej niż jedną automagiczną armatą.

Mimo że działalność Zakonu utrzymywano w tajemnicy, taka ilość skażonej magii skoncentrowana w jednym miejscu zaczęła rozpełzać się na okolicę. Tło w prowincji było stale podwyższone, do tego stopnia, że potrafiłem to wykryć nosem. Na skutki nie czekano długo. Lata nieurodzaju, kiedyś rzadkie, teraz trafiały się co drugi rok. Bydło chowało się źle, a wśród ludzi co rusz wybuchały epidemie. Handel zamierał i stopniowo stolica podupadła, jakby całe miasto nabawiło się tej samej choroby brudu, głodu i beznadziei, na którą zwykle cierpią dzielnice biedoty. Rzemieślnicy bankrutowali, karczmy świeciły pustkami. Na dobitkę kapłani pod byle pretekstem zamykali drukarnie i apteki, i tylko ci

dostojnicy, którzy byli z Zakonem za pan brat, żyli dobrze. Nie obnosili się z majątkiem, bo nikt nie wiedział, kto następny popadnie w niełaszkę. Coraz częściej szeptano, że Wędrowiec chyba nie lubi kapłanów. Zakon chętnie wyłapywał szepczących i wieszał ich ku przestrodze na wysokich smołowanych szubienicach, gdzie gnili przez wiele tygodni, zatruwając powietrze trupa wonią.

Wojna nie pomogła. Najpierw Philippe Verlain do spółki z Arcydiakonem i wiernymi wasalami ściągnął swoje wojska na Chabrowe Pola. Jak wiadomo, armia musiała jeść i pić, a jeszcze tyle pól stratowała tuż przed zbiorami. Wreszcie Zakon przestał utrzymywać pozory i sprowadził w szeregi armii abominacje, o których kiedyś jedynie plotkowano. Prowincja Nouveaux Dijon zmieniła się w ruinę, zanim przybyła tam Theresa von Feuerstein, a nie trzeba wam chyba mówić, że pojawienie się jeszcze większej ilości żołnierzy nie poprawiło sytuacji.

Teraz w tę samą stronę maszerowało wojsko Nowego Triumwiratu, z królową Kathryn Verd de Branche d'Argent, Królewskim Smokiem i Wielką Maginią Amandine de Branche d'Aure na czele. Żeby dotrzeć do stolicy, musieli przekroczyć graniczną rzekę Srebrną, tę samą, nad której dopływem wylądowaliśmy razem z Bernardem i pozostałymi. Istniało tylko jedno miejsce, gdzie kilkudziesięcna armia mogła tego dokonać, i właśnie tam rozłożyła się Pochodnia Wyzwolenia.

Wkrótce jej namioty znów zamieniły się dla mnie w oddalone kolorowe punkty. Przebrnęliśmy we czwórkę nad szerokim, rozlanym na piaszczystych łąkach nurtem Srebrnej – ja, Bernard, hrabia d'Emeraude i diuk de Rubis. Pozostałych zostawiłem w obozie ze względu na Margueritte, ale nie tylko.

Zastanawiałem się, jak to się stało, że kiedy wreszcie dostałem armię, wcale nie chciałem jej przeciwko nikomu wysłać. Przeciwnie, miałem nadzieję, że obędzie się bez rozlewu krwi. I zdawałem sobie sprawę z tego, że mój punkt widzenia jest dość odosobniony. Zwykli Bretańczycy bili się w dużej mierze dla łupów, a zagrożenie atakiem Królewskiego Smoka przedstawiało im się nader mgliście. Nigdy nie mieli z czymś takim do czynienia, ale uważali, że wiedźmy pani generał sobie z nim poradzą. A teraz już tym bardziej – dzięki magom w szeregach armii mogli przestać o nim myśleć.

Pamiętałem notatki Lucjusza oraz moje zmagania z duszospokiem i wcale nie nastrojało mnie to optymistycznie.

\* \* \*

Wylądowaliśmy za opuszczoną, omszałą stodołą, w bezpiecznej odległości od obozu królowej. Poczerniały ze starości budynek porzucono już wiele lat temu, a powyginane deski i zacieki sięgające pasa nasuwały przypuszczenie, że winowajcą była powódź. Uchyliłem podwoje i zajrzałem do środka – na ubitym klepisku wyrosło parę kępek trawy, w kącie wybujało kilka sporych pokrzyw i jeden krzak malin. Deski rozeszły się od wilgoci, więc słońce przeświecało do wnętrza. Z kolei żaden obserwator z zewnątrz nie dostrzegłby, że ktoś tam przebywa.

Gestem dałem znak, że jest bezpiecznie.

– Przydałaby się sakwa z zapasami – zamruczał książę Bernard. – Większa w środku niż na zewnątrz, tak jak twój składany dom.

„Miałem taką sakwę, tyle że się zepsuła. Zostawiłem ją Belinde. Może coś poradzi”.

– I ten drugi składany dom? I srebrną... książeczkę? – Bernard zniżył głos, strzelając oczami w stronę pozostałych magów. – Nie jesteś czasem zbyt ufny? A jeśli lady Chamomille zachowa je dla siebie albo odda generał von Feuerstein?

„Drugi dom należy do Margueritte, a Rydwan trzeba kiedyś zwrócić Arcymagowi. Na dobrą sprawę to eksponat muzealny, tyle że potencjalnie zdatny do użytku. Trochę jak ty”.

– Masz tupet, młokosie.

„Cała przyjemność po mojej stronie. D'Emeraude, leć na zwiad”.

– Jesteś dzisiaj wyjątkowo kąśliwy, Wielki Magu – zauważył książę Bernard. – Może wybrać się z tobą?

Zamknąłem oczy.

„Niestety, chyba muszę sam załatwić tę sprawę. To zabawne. Tyle przeszedłem, tylu ludzi chce mi teraz pomóc, wejść w sojusz, walczyć w moim imieniu, ale w tę podróż powinienem udać się samotnie. Zapewniam, że nie

znalazłbyś wielu okazji do nadziewania ludzi na włócznie albo wysadzania ich kulami ognia”.

Bernard westchnął ciężko.

– Potrafię zachowywać się dyskretnie, jeśli okoliczności są ku temu odpowiednie. Twoje zakłęcie maskujące można rozciągnąć na dwie osoby. Poza tym lady Chamomille przekazała mi słowa twojej nauczycielki. Nie powinieneś pracować sam. Nabyłeś złych wzorców i tylko patrzeć, jak wpadniesz w tarapaty, z których będzie trzeba cię wyciągać.

„Belle?”. – Zerknąłem na niego krzywo.

– Istotnie, z przyjemnością zaliczam lady Chamomille w poczet najcudowniejszych dam, jakie miałem okazję spotkać w życiu. – Księżę Bernard odchrząknął. – Z całym szacunkiem dla kochanej Blancheflor, której najlepszy czas dawno już przeminął, piękna Belle wydaje się godną następczynią. Chętnie zasile wianuszek jej adoratorów.

Zakrztusiłbym się, gdybym miał czym.

– Ma się rozumieć, jestem mężczyzną w poważnym wieku – dodał książę – ale z tego, co zdołałem się dowiedzieć, lady Chamomille również nie należy do młódek.

„Uważaj, Bernie, zanim złapiesz się na haczyk. Mówię poważnie. Belinde, kiedy chce, bywa perfidną intrygantką”.

– Ach, ale jaką wspaniałą intrygantką. – Rozmarzył się. – Chłopcze, w pewne pułapki warto czasem wpaść. Pomnij moje słowa.

Rozlokowaliśmy się w stodole. Nie rozpalaliśmy ognia, wystarczył nam suchy prowiant. Nieprzypadkowo zabrałem się z tymi czarodziejami, którzy byli w najlepszej formie. Chociaż Bernard zaliczał się do najstarszych, nie zapadł na żadne choroby podeszłego wieku. Pozostali dopiero po reaktywacji Źródła dochodzili do siebie i nie osiągnęli w krótkim czasie takiej siły jak on.

Ja też czułem się nieźle. Może odświeżyło mnie zakłęcie Belinde, a może zadziałała adrenalina. Ruszałem się raźniej i reagowałem szybciej, i to nie było tylko moje wrażenie, bo w pewnym momencie Bernard z aprobatą stwierdził, że wreszcie zaczyna sobie uświadamiać mój rzeczywisty wiek.

Wreszcie wrócił d’Emeraude. Opisał drogę, dał wskazówki.



– Godzinę drogi stąd już zaczniecie spotykać bandy – powiedział. – Zwykle ciury, krążą wokół i szabrują, co im w ręce wpadnie. Wielki Magu, jeżeli schowasz płaszcz do sakwy i będziecie dzierżyć kije, przy odrobinie szczęścia wezmą was za swoich.

„Albo zechcą pobić i obrabować” – odparłem.

– Niewykluczone. Nie potrafię stwierdzić, którzy są bardziej życzliwi.

– Czyli przez godzinę droga czysta – wtrącił Bernie.

– Niezupełnie. Widziałem jedną babuszkę. Z koszem na plecach, kijem w rękę, w pelerynie... Idzie w tę stronę. Nie powinna sprawiać problemów. Chyba zbiera chrust albo zioła w zaroślach.

– Peleryna? – Bernard zmarszczył brwi. – W taką spiekotę?

– No, pewnie właśnie dlatego... – D’Emeraude wzruszył ramionami. – Ja się też trochę spaliłem na twarzy. Powiem wam, babuszka może się przydać. Ona zapewne wie, kogo powinniście unikać i jak wprowadzić was do obozu. Przekupić babcię też łatwiej niż bandę, która postanowi dogłębniej przejrzeć wasze sakiewki.

„Racja. Poćwicz dworną mowę i oczaruj ją, Bernardzie”.

– Bardzo śmieszne – fuknął książe.

Zarzuciłem na ramiona płaszcz Lucjusza. Jak już wspominałem, miał właściwości klimatyzacyjne; do kompletu musiałem dla ochrony przed słońcem zawiązać chustkę na głowie. Mój niesławny kuzyn był brunetem i słońce zapewne mniej mu przeszkadzało. Rzuciłem zakłęcie maskujące – mimo sprawozdania d’Emeraude’a wolałem zachować daleko posuniętą ostrożność. Widzicie, nie umknęło mojej uwadze, że znajdowaliśmy się dostatecznie blisko Królewskiego Smoka i zarazem dostatecznie od niego daleko, aby spotkać skażonych Pustką agentów. Lucjusz nie trzymał ich przy sobie, ale podejrzewałem, że krążą wokół obozowiska jak dokuczliwe muchy. I rzeczywiście, mieliśmy prawo posądzać o najgorsze każdą staruszkę zbierającą chrust.

\* \* \*

– Tam jest – szepnął Bernard.

Na razie ukrywaliśmy się w wierzbowych zaroślach, oddaleni od niej o kilkadziesiąt metrów. Chroniło nas zakłęcie maskujące, a gdybym zechciał je rozproszyć, staliśmy pod światło. Niewysoka postać w płóciennej pelerynie konsekwentnie podążała wzdłuż głównej drogi, ani razu nie wychodząc na gościniec. Z pozoru babcia z kosturkiem, która niesie w koszu wiązkę drewna na opał, ale po dłuższej obserwacji coś tu przestawało się zgadzać. Przede wszystkim maszerowała zbyt żwawo. Dołożyła też wszelkich starań, aby spod kaptura nie było widać twarzy.

„Buty” – zasygnalizował Bernard.

„Co z butami?”.

„Nosi buty, i to jakie. Umyślnie zabłocone, ale nowe i robione na miarę. A spójrz na długość tych kijków. Drewno na opał? Uważaj, bo uwierzę. Jestem pewien, że szmugluje między nimi broń. O, patrz, mignęło coś czarnego”.

„Opłacało się przyjrzeć. Jak sądzisz? Czyj to szpieg? Nasz czy Lucjusza?” – Cały czas miałem wrażenie, że coś przeoczyłem. Sposób, w jaki babcia się poruszała, wydawał mi się znajomy, aż ciarki chodziły po grzbiecie. Gdyby tylko przestała odgrywać ciężki chód opierającej się na kosturku staruszki...

„Jak na naszego chyba zbyt słaby. Ale warto zapytać”.

Zdjąłem zakłęcie maskujące i cicho gwizdnąłem. Nieznajoma gwałtownie obróciła się w naszą stronę i sięgnęła za siebie.

W następnej sekundzie szeroko otwartymi oczami wpatrywałem się w lecący w moją stronę śmiertciony sopel lodu. Nie zdążyłem się skoncentrować na przechwyceniu zakłęcia, instynkt obudzony podczas treningów Drogi Czapli zareagował szybciej niż umysł. Odskokczyłem. Łód rąbnął w ziemię, ale już widziałem przed sobą rozpostartą przez Bernarda półprzezroczystą tarczę ochronną. Potem posypały się różowe kule magicznych pocisków.

A mnie znowu zamurowało, tym razem z innego powodu.

Rzekoma babcia stała wyprostowana, w lekkim rozkroku, w prawej dłoni dzierżąc dobytą z koszyka czarną, połyskliwą laskę, na której lśniły złote runy. Wokół niej uformowała się bańka kinetyczna; pociski Bernarda ześlizgnęły się po niej jak deszcz po szkle. Kaptur naszej przeciwniczki opadł na plecy, spod chusty wyzierały rude loki. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Mrużyła oczy,

najwidoczniej nie widząc pod słońce, do kogo właściwie strzela – a przynajmniej taką miałem nadzieję.

Rozpoznałem ją natychmiast i nagle ziemia zaczęła uciekać mi spod nóg. Coś dziwnego stało się z moimi kolanami; poczułem, jakbym spadał kilkaset metrów w dół. Zrobiło mi się ciemno przed oczyma.

Kiedy je otworzyłem, leżałem na trawie. Trochę pobolewało mnie ramię, które przygniotłem podczas upadku. Nachylali się nade mną obydwoje: Bernard i moja narzeczona.

– Amandine... – powiedziałem. Książkę uniósł ze zdumieniem brwi. W pierwszej chwili nie zrozumiałem dlaczego.

– Nie chciałam... – Łzy płynęły jej ciurkiem po policzkach. – Widziałam wyraźnie tylko ten cholerny płaszcz. Myślałam, że to Lucjusz za mną idzie... Nic ci nie jest?

– Chodź tutaj. – Usiadłem ostrożnie. – Chodź, przy...tul się.

Język odmówił mi posłuszeństwa przy ostatnim słowie i dopiero wtedy się zorientowałem, że mówię na głos. Właściwie nieszczęśliwie mnie to obeszło. Trzymałem w objęciach moją narzeczoną, a ona trzymała mnie. Kosmyk jej rudych włosów zawieruszył się między naszymi ustami. Świat mógł przez parę minut spokojnie obyc się bez nas.

– Vince, kochanie, jak ty zmizerniałeś. – Amandine siąknęła nosem. – Potrzebujesz odpoczynku, potrzebujesz opieki, dlaczego w ogóle puścili cię samego? Serce się kraje...

– Mnie tu nie ma – zaznaczył książkę Bernard. – W ogóle się nie pojawiłem. Tak sobie tylko stoję jako dekoracja i słucham młodych ludzi mówiących po arboriańsku.

– Cicho, Bernie – zachnąłem się. – Daj nam cho...ciaż... – Znów się zatkałem. – Ech.

Amandine popatrzyła na mnie uważnie.

– Co się dzieje?

– Młoda damo, nasz Wielki Mag ma kłopoty z mową – wyjaśnił Bernard. – Po raz pierwszy, odkąd go znam, wypowiedział coś więcej niż jedno z czterech krótkich słów. Twój widok musiał wyrzucić na nim ogromne wrażenie. Na mnie

też zrobił, bo to niezwykle interesujące, że w szczerym polu znajdujemy Wielką Maginię hrabiego Trevancela uciekającą w przebraniu. Zwłaszcza fascynuje mnie, że wiedziałś o obecności Vincenta wśród nas.

– To tylko znaczy, że nasz wywiad na razie zwycięża wasz wywiad – odparła rezolutnie Amandine i zacisnęła dłoń na mojej dłoni. – Spotkaliście mnie tutaj między innymi dlatego, że wiedziałam o przybyciu Vincenta. Czy zechciałby się pan przedstawić? Skoro oficjalnie jestem Wielką Maginią królowej, chyba wymaga tego etykieta?

– No, no, no. – Książę Bernard poskrobał się w brodę. – Coś takiego.

\* \* \*

Trochę czasu nam zajęło ustabilizowanie połączenia. Nigdy wcześniej w ten sposób nie porozumiewałem się z Amandine; przynajmniej jedna osoba musi do tego mieć aktywne Źródło. W przypadku drugiej osoby, jeśli nie przechodziła żadnego szkolenia, sytuację poprawia długotrwała, dobra znajomość. Inaczej bardzo trudno wejść na jedną falę i podtrzymać kontakt.

Rozsiedliśmy się więc wygodnie na powalonym pniu starej gruszy, wziąłem moją narzeczoną na kolana i rozmawialiśmy. Dopóki nie udało nam się dotrzeć do siebie myślami, przemawiała głównie Amandine. Z początku jeszcze pamiętała o Bernardzie i starała się mówić po bretańsku, ale bardzo szybko przełączyła się na nasz ojczysty język. Książę przestał nadążać, ale nie przejął się tym szczególnie; schował się w cieniu pod krzakiem i zasnął.

Stopniowo dowiedziałem się o wszystkim, co przeżyła Amandine od czasu, kiedy rozdzieliliśmy się w gospodarstwie Solange. Porwanie przez Jastrzębi, pomoc, chociaż w żadnym stopniu nie bezinteresowna, hrabiego Trevancela. Zejście Kathryn do Czeluści. I ostatnie wydarzenia, które odsłoniły prawdziwą naturę Królewskiego Smoka.

– Nie wiemy, czy Lucjusz mówi prawdę i rzeczywiście pracuje nad cofnięciem Rozdarcia – zakończyła Amandine z westchnieniem. – Na zdrowy rozum sprawił tylko, że kapłani skazili Bretanię mocą Pustki. Na razie współpracujemy. On oczyszcza ziemię ze skażenia, a my tymczasem staramy się znaleźć na niego sposób. Kathryn spisała ze ścian Czeluści rytuał użyty przez Lucjusza do

przeistoczenia się w smoka i przedwczoraj skończyła opatrywać go komentarzami. Wiem, ile ryzykuję, ale chciałam go pokazać Margueritte. A kiedy dano mi znać, że Pochodnia świętuje przybycie nowego Wielkiego Maga... Na oficjalne rozmowy pokojowe na razie nie ma szans.

„Wiedziałaś, że Meg doradza von Feuerstein?”.

– Wszystko na to wskazywało. Najpierw zaczęły do nas docierać pisma propagandowe, które opisywały smoka jako pomiot Zaświatów. To było coś więcej niż tylko paszkwile. Ktoś je dostarczył Nidhoggowi. Chciałabym wiedzieć kto, bo strasznie się wściekł. Znowu zrobił rzeź na lądowisku, teraz te stanowiska trzeba karnie obsadzać. Od tamtej pory nie spuszcza Kathryn z oka i domaga się przekazywania mu większości magicznej energii, żeby nie miała pola manewru. Ale zostało jej tyle jednostek, żeby wreszcie rzucić zaklęcie lokalizacyjne. I od tej pory wiemy, że przynajmniej Belinde została zwerbowana przez generała.

Gwizdnąłem.

„To zaklęcie zawiera element Entropii”.

– Tak, i Kathryn próbowała codziennie po kilka razy, zanim wyszło. Co nie znaczy, że teraz może rzucić je od ręki. – Amandine westchnęła. – Ona rzeczywiście ma problem, prawda?

„Bo ja wiem? Czarodzieje się specjalizują, nic w tym złego. A przez egzamin można ją przepchnąć, wystarczy zaliczyć cztery zaklęcia z sześciu. Wyniki nie mają żadnego wpływu na karierę. Byle nie spowodowała znowu jakiegoś wypadku”.

– Musimy to przetrwać. – Amandine powiodła palcami po mojej twarzy; ja gładziłem jej rozwichrzone włosy. – Wrócić do Avalonu, pokonać Zakon, znaleźć ci lekarza. My to wszystko policzyliśmy. Vince, jeśli wojsko hrabiego zetrze się z Pochodnią, to wygrany będzie musiał bić się z królem. Nawet przy udziale Lucjusza zmiotą nas z powierzchni ziemi. I on sobie z tego zdaje sprawę.

„I tak bardzo długo udawało mu się utrzymywać przewagę i dominować swoją wolą nad Rojem... czy jak on to nazywa. Ciekawe, kto zbuntował się pierwszy... – Miałem pewne podejrzenia, ale na razie brakowało mi dowodów. – Tak właśnie ryzykują czarodzieje, gdy wchodzi w wieloosobową więź – jeśli wszyscy naraz zmówią się przeciwko jednemu, ma przegwizdane. Z tego, co wiem, gdyby został

wtedy w transie chociaż odrobinę dłużej, skażeni kapłani zaczęliby mu rozkazywać. Kathryn go uratowała”.

– Dobrze wiedzieć. – Amandine splotła ramiona. – Chociaż wątpię, żeby okazał wdzięczność. Powiedz mi, czy Lucjusz rzeczywiście jest naszą jedyną nadzieją w walce z Pustką?

„Prawdę mówiąc – odparłem – wszystko zależy od tego, czy da sobie wyperswadować pomysł dokończenia rytuału w Nouveaux Dijon. Bo jako odkurzacz skażonej mocy przydałby się znakomicie. Ja nie mam takiej przepustowości jak Królewski Smok. Ale mówimy o facecie, który w ataku szału zamordował własnego ucznia i bez wahania zrujnował kraj, którym skutecznie rządził przez dwieście lat, gdy tak mu podpowiedział kaprys. Pozwól, że ci wyjaśnię...”.

Postarałem się przełożyć to, co już wiedziałem o rytuale Lucjusza, na język popularnomagiczny.

„Jemu się wydaje, że utworzy bezpieczny tunel do Altery i wyśle tamtędy wehikuł zasilany Wyrocznią. Ale prawda jest taka, że kiedy to odpali, zdestabilizuje Wyrocznię i wywoła efekt... Czy widziałas kiedyś źle złożony składany dom?”.

– Hm, nie.

„A pamiętasz, co się stało z twoją sakwą po przejściu na drugą stronę świata?”.

– Wywinęła się na zewnątrz. Mówisz, że znajdujemy się w gigantycznej sakwie podprzestrzennej? I że nas wybebeszy prosto w Pustkę?

– Mniej więcej – powiedziałem powoli. – I to... na pewno... rozerwie Barię... w Arborii.

Amandine ponuro wpatrywała się w ziemię. Uspokajającym gestem otoczyłem jej ramiona.

– Zamieszaliśmy. Gdyby Kathryn nie zeszła do Czułości... gdyby hrabia nie uformował armii... i gdybyśmy prędko odnaleźli Meg i rozwiązali problem, podczas gdy smok tkwił spokojnie pod ziemią...

„Nawet nie próbuj tego rozpatrywać – przekazałem. – Meg i Belinde zostały porwane przez Wyrocznię dlatego, że ja ją zmyliłem. Lucjusz był pierwotnie

wysłannikiem Gildii. Mam wrażenie, że wszystko, co złe w Utraconej Bretanii, wywołali Arboriańczycy”.

– No, niezupełnie. Egzekucje, epidemie, powszechny analfabetyzm, śmiertelność niemowląt, pańszczyzna... – Amandine westchnęła ciężko. – No dobrze, wiem. W swoim czasie jakoś by się z tym uporali. Albo i nie. Ale na pewno świat by się nie rozpadł...

„Rozpadłby się, przeanalizowałem wzory. Tylko nie tak szybko. Poza tym wymarli im Magowie Pustki i Źródła zgasły, co znaczy, że wszystko, co magiczne, prędzej czy później zgniłoby z zaniedbania. Możliwe, że z Wyrocznią włącznie. Nie wiem, czy to brzmi jak pocieszenie, ale jedynie przyspieszyliśmy apokalipsę...”.

– Wszystko mi jedno. – Znowu mnie objęła, przycisnęła nos do mojego policzka. – Cieszę się, że jesteś. I lubię, jak do mnie mówisz w myślach.

Dłuższą chwilę przytulaliśmy się do siebie, a nasze usta szukały się wzajemnie. Moja dłoń błędziła pod suknią Amandine i może nawet pozwolilibyśmy sobie na coś więcej, ale Bernard się obudził i gromko zażądał wyjaśnień. Nasz pierwotny plan wziął w łeb. Cieszyłem się, że Kathryn nie została wcielona do Roju, ale teraz wiedzieliśmy, że nie istnieje żaden szybki sposób na wysłanie Lucjusza z powrotem pod ziemię; królewska energia najwidoczniej wystarczyła mu na pewien czas.

Jedyną szansą dla Utraconej Bretanii wydawało się przekonanie Lucjusza Thorpe’a zwanego Wielkim, współtwórcy firmy Arte Benare, samozwańczego arystokraty, Geniusza z Arborii, człowieka, który przedłużył sobie życie, przenosząc świadomość do starożytnego smoka, że tym razem popełnił dramatyczny w skutkach błąd.

\* \* \*

Słońce stało nisko nad horyzontem, kiedy dotarliśmy do obozowiska. Strażnicy przepuścili nas bez szemrania. Dopóki podróżowaliśmy z Wielką Maginią, byliśmy poza podejrzeniami. Nikt nas tutaj nie znał, a na okoliczność misji obydwaj ubraliśmy się skromnie; płaszcz Lucjusza schowałem do zielarskiej sakwy. Trzymany w dłoniach wydawał się niezwykle solidny, ale dało

się go zwinąć w cienki rulon, zupełnie jakby też wykonano go z użyciem technik podprzestrzennych. Ciekawiło mnie, z jakiej tkaniny został uszyty, ale na luksus takich pytań mogłem sobie pozwolić dopiero, gdy zapobiegniemy końcowi świata.

Nadeszła pora wieczornego posiłku i w niebo wzbijały się kłęby dymu z pobliskich kuchni polowych. Prowadzeni opłotkami zamiast głównym traktem wpadliśmy w sam środek życia obozowego. Zapach świeżego chleba i grochówki mieszał się z wonią odpadków, pomyj i gotowanego prania. Rycerskie galoty i koszule wisały na sznurze, susząc się w lipcowym słońcu, obok zażywna kobieta w prawą naszywała łąkę na pikowany kubrak. Gdzie indziej do wielkiego kotła ze strawą ustawiła się kolejka żołnierzy z drewnianymi miskami. Posługaczki nosiły wypełnione jedzeniem kosze, odszpuntowywano beczki. Zanim się obejrzałem, Bernard w jednej ręce trzymał pęto suchej kiełbasy i płaski chlebek, a w drugiej dzierżył kufel piwa. Napotkawszy moje spojrzenie, odłamał mi hojny kawałek pętka.

– Jedz i nie zastanawiaj się z czego to – przykazał.

– Dobrze ich dzisiaj karmią – mruknęła Amandine. – Chyba dlatego, że wszyscy oczekują bitwy. Naprawdę jestem ciekawa, czy cokolwiek zostanie tutejszym do jedzenia. Trzeba będzie importować żywność z zagranicy...

– Nie za bardzo się... żyłaś... z nimi? – zapytałem cicho.

– Wychowano mnie na grzeczną dziewczynkę. – Moja narzeczona się skrzywiła. – I teraz ponoszę konsekwencje. Przyszłam do kogoś w gości, obżarłam go, zniszczyłam mieszkanie, dlatego czuję się w obowiązku posprzątać.

– A Lucjusz... nie mógł powiedzieć – wziąłem oddech – jak się sprawy mają? Nie... musiał prowadzić... wojny.

– Mhm. Ja bym go jednak spróbowała zastrzelić, zamiast przekonywać. Założmy, że się przyzna do błędu i zgodzi współpracować. To nam wcale nie rozwiąże problemu, którym jest sam smok i jego charakter.

– Madame, my w Bretanii żyliśmy pod władzą Lucjusza Wielkiego wiele lat – napomknął Bernard. – Swego czasu powszechnie go chwalono. Podniósł kraj z ruiny, rozwijał sztukę, alchemię i magię. Robił to, co powinien w Triumwiracie robić Wielki Mag. Pogrywał z nami, ale umieliśmy z nim pracować. Bylibyśmy



szczęśliwi, gdyby się zadowolił pozycją Królewskiego Smoka i porzucił swoje oryginalniejsze pomysły. Gdzie indziej tkwi problem. Nie wierzę, że przyjmie krytykę.

– Dlatego... ty... będziesz mówił – odparłem – a ja... podrzucał pomysły. A gdyby... nie... to puszczasz flarę i uciekamy. Wszyscy. Theresa... musi zastrzelić.

Zauważyłem, że zbliżamy się wreszcie w stronę kwatery dowództwa, bo namioty zaczęły się robić większe, bardziej kolorowe i ozdobione herbami. Uderzyło mnie, jaki, w porównaniu z obozem Theresy, panował tutaj rozgardiasz. Nie wytyczono miejsc na warsztaty rzemieślnicze, nigdzie też nie widziałem głównego magazynu zaopatrzenia. Namioty arystokracji stały blisko siebie w osobnych grupkach. Chyba każdy sojusznik hrabiego wystawił sobie własny substytut dworu. Margueritte miała rację. Chociaż obydwie armie dorównywały sobie liczebnością, Pochodnia była lepsza.

Tyczasem dostrzeżono przybycie Wielkiej Magini. Musiała mieć dobre alibi, bo nikt się nie zdziwił jej kilkugodzinną nieobecnością, za to wokół zaroilo się od sług i posłańców. Wręczono Amandine trzy różne notatki, które przejrzała i schowała za pasek. Skłoniło się przed nią kilku różnych herbowych. W pewnym momencie zobaczyłem, że w naszą stronę zmierza postawny mężczyzna – powiedziałbym, że starszy, ale nie mogłem się zdobyć na takie określenie wobec człowieka, który mógłby być wnukiem Bernarda – w barwach d'Amethyste, z poczem swoich przybocznych.

Nie wiedziałem, co o nim sądzić. Nosił złotą mitrę wysadzaną ametystami – hrabiowską albo książęcą, nie znałem się na szczegółach – ale szaty miał niemiłosiernie wytarte, jakby kupił je na targu używanej odzieży. Zwłaszcza na ramionach kubraka dostrzegałem odbarwienia, sprane plamy po bliżej nieokreślonej żrącej substancji. Poza koroną w ogóle się nie obnosił z łańcuchami ani pierścieniami. Miał przypasany miecz, ale chyba czuł się z nim niezręcznie.

– Lady Cerise – ucałował jej dłoń na przywitanie – cieszę się, że zakończyła już pani dywinacje. Czy przyniosły dobre rezultaty?

– Porozmawiamy o tym później. – Amandine mimowolnie odgarnęła lok z czoła. – Gdzie Żaba?

– Rozmawiałem z nim niedawno – odparł tamten. – Zdaje się ostatnio podejrzanie roztargniony, nieprawdaż? Zupełnie jakby potrzebował ciężkiej pracy z dala od głównych kwater.

– Nie mam pojęcia, co sugerujesz. – Zwróciła się ku mnie. – Chciałabym ci kogoś przedstawić, hrabio. Zapewne rozpoznasz tę twarz z listów gończych. Oto Vincent, mój narzeczony. Vincencie, przedstawiam ci hrabiego Renarda Trevancel de Branche d’Amethyste z Narbonne.

– A więc to jest pan Vincent. Cały i zdrowy. – Hrabia całkiem szczerze się ucieszył. – Intryga de Béryl nie odniosła zatem skutku. Poszukiwaliśmy pana od dłuższego czasu. Serdecznie przepraszam za czarne listy, oryginalny projekt Wielkiej Magini powielano w zielonym kolorze. Trzeba przyznać, że pańska nieobecność bardzo rozpraszała dwie trzecie Triumwiratu. Niepokoiłem się, że jeszcze zdezerterują i pójdą poszukiwać pana w Montreuil.

Powiedział to lekko, niby żartem, ale dostrzegłem wymianę spojrzeń między nim a Amandine.

– Zalecam jednak, aby się pan zbytnio nie afiszował ze swoją obecnością – dodał hrabia Trevancel. – Z powodów, których do końca nie jestem pewien, Wielka Magini wołała zachować poszukiwania we względnej tajemnicy. Początkowo sądziłem, że nie chce ściągać uwagi Jastrzębi, ale nie wydaje się chętna opowiadać o trzecim magu również wśród naszych sojuszników. Proszę powiedzieć, czy natknął się pan po drodze na Milczącego Czarodzieja? Jedni mówią, że to bandyta, inni – że bohater. Ciekawe, czy to kolejna sztuczka Philippe’a.

– Na szczęście go mineliśmy – wychrypiałem, udając, że moje kłopoty wynikają ze zwykłego przeziębienia. Wołałem nie podsuwać mu skojarzeń. – Kto wie, czy to nie zbun... towany kap... łan. – Zakasiałem.

– Miód? – zaproponował Trevancel.

Przekazał polecenie swoim przybocznym, tamci wezwali pachołka.

– Powinienem jeszcze mieć. Nadal wygląda pan niezdrowo.

– O, tak – wtrącił Bernie. – Moim zdaniem jest kompletnie niedożywiony. Potrzebuje solidnego posiłku, najlepiej bogatej leguminy i pieczonego mięsa. Prosię z różna, a jeżeli nie ma, zadowolimy się tłustym drobiem.

Po raz pierwszy hrabia Trevancel skupił wzrok na Bernardzie. Na jego twarzy odmalowało się wzburzenie.

– Bernard de Montreuil! – zawołał.

– We własnej osobie, drogi kuzynie. Ukradłeś mi wojska.

– Odnająłem, bo właściciel się nie zgłaszał.

– Jak zwał, tak zwał. Ostrzysz sobie zęby na koronę, prawda? Nie bój się, konkurencji z mojej strony nie będzie. Mam tyle przyzwoitości, żeby nie zalecać się do młódek. Chociaż jeśli dobrze pomyślimy, to ja jestem stanu wolnego. Załatwianie rozwodu trochę potrwa, zwłaszcza że od Arcydiakona chyba go nie uzyskasz... No tak, zapomniałem, w jakich metodach ty się specjalizujesz. Gdy Źródła brak, grunt to znajomość sztuki destylacji...

– Szlachetny książę... – zaczął hrabia przez zęby.

– Teraz zaprowadzę swoich gości do siebie – Amandine podniosła głos – a wy, drodzy chłopcy, jeśli macie jakieś niezłatwione sprawy, rozstrzygnijcie je między sobą wtedy, kiedy nie będę musiała na to patrzeć! Mogę wam wytyczyć miejsce na pojedynek.

– Bardzo chętnie – ucieszył się Bernard.

– Chodź. – Amandine złapała go za rękę. – Ani słowa więcej!

Ruszyliśmy szybkim krokiem w stronę największych i najbardziej kolorowych namiotów.

– Widziałeś, jak pokraśniał?

„Chyba ci skleroza na mózg padła! Po co zwracałeś na siebie uwagę? Ten skurczybyk jest sprytny. Widziałeś, sprawdzał, czy mówię. Kto wie, jakimi wiadomościami dysponuje. Może do niego dotarło, że Milczący Czarodziej uwolnił cię z lochu. Jeszcze tego brakowało, żeby odkrył w nas szpiegów generał von Feuerstein! Na razie chroni mnie tylko reputacja, jaką mi wyhodowaliście, bo każdy szuka ponurego, bezwzględного czarodzieja w czarnym płaszczu. Amandine, musiałaś mnie przedstawiać?”

– Czy musiałam?! – wybuchła Amandine. – Vince, od pewnego czasu na każdego mojego szpiega ten przemiły starszy pan nasyła skrytobójcę. Wyczuł, że coś ukrywam, i ubzdurał sobie, że jesteś związany nie ze mną, a z Kathryn, i stanowisz przeszkodę w jego dalekosiężnych planach. Teraz skupi się na

obserwowaniu twojego zachowania, więc problem z głowy. Na wszelkie moce, cały czas się boimy, że wreszcie pośle Żabę na śmierć.

– Kim jest Żaba?

Zatrzymaliśmy się przed białym namiotem wyhaftowanym w srebrne wzory i opatrzonym proporcem. Zasalutowali nam gwardziści.

– Wielka Magini prosi o audiencję u królowej – odezwała się Amandine.

– Miłościwie nam panująca Kathryn de Branche d’Argent zarządziła, aby nikt nie miał wstępu do jej namiotu, dopóki nie skończy rozmowy – odezwał się strażnik z głębokim ukłonem. – Nawet Wielka Magini. Proszę o wybaczenie.

– Na Pustkę! – Amandine splotła ramiona. – Jeśli to jest to, co myślę...

„Rzucę zaklęcie podsłuchowe” – zaproponowałem.

– Dzięki, Vince.

Nachyliliśmy się we trójkę nad płótnem namiotu. Strażnicy starannie udawali, że nic nie widzą. Skorzystałem z okazji i objąłem Amandine w talii. Odruchowo przesunęła dłoń wzdłuż mojej ręki.

– ...rozumiemy się, że zaręcza pan własnym honorem za dotrzymanie naszej umowy – usłyszałem wysoki, lekko drżący głos Kathryn. – Spiszemy ją w odpowiednim czasie. Zastrzegam sobie prawo do wyboru mężczyzn, z którymi będę się spotykać, i chciałabym, aby nawet włos nie spadł im z głowy. Rezerwuję sobie wyłączność na rozmowy ze smokiem. Żadnego podrzucania mi broszur, które wyprowadzą go z równowagi.

– Pani, pragnąłem jedynie waszego bezpieczeństwa. Zastanawiały mnie pewne zmiany w zachowaniu Nidhogga.

– Zachował się pan z delikatnością auroksa w składzie porcelany. Proszę się do tego nie mieszać. Myślę, że to niska cena za pański przysły status i usynowienie pańskiego bratanka. – Głos Kat brzmiał teraz lodowato. – Proszę pamiętać, że to ja rozdaję karty, a nie hrabia Trevancel.

– Cieszę się z tego, miłościwa pani. Hrabia byłby słabym władcą. Dołożę starań, aby do końca wojny zachować nasze zaręczyny w tajemnicy.

Uważnie spoglądałem na Amandine. Na przemian bladła i czerwieniała; przez chwilę obawiałem się, że zemdleje. Rozległy się kroki – ktoś opuszczał namiot.

Cofnęliśmy się prędko, w samą porę, aby zaobserwować wychodzącego stamtąd łysejającego starszego pana w żółtozielonych barwach rodu, którego nie rozpoznawałem. Towarzyszył mu ciemnoskóry, pobliźniony przyboczny, sądząc po herbie, pomniejsza gałąź de Tourmaline. Staruszek odkuśtykał dumnie, ledwo zaszczycając Amandine spojrzeniem.

Wielka Magini wpadła do namiotu jak burza, a ja za nią.

Po raz pierwszy zobaczyłem Kathryn w roli królowej.

Siedziała na szezlongu obitym srebrzystą tkaniną. Miała na sobie suknię w srebrze, bieli i błękicie. Zawsze wyglądała w takich wynalazkach jak kijek ubrany w bezę, ale tym razem do pracy musiał się przyłożyć prawdziwy mistrz krawiecki, bo rzeczywiście prezentowała się godnie. Wytapetowano ją jak lalkę; prawdę mówiąc, lepiej było jej bez pudru, z kilkoma krostkami na twarzy. Odniosłem wrażenie, że królowanie jej nie służy. Mimo makijażu dało się zauważyć, że ma podkrążone oczy, jest niewyspana i znużona do granic ludzkich możliwości. Zsuła pantofelki natychmiast po opuszczeniu namiotu przez swojego rozmówcę i porzuciła je pośrodku gęsto tkanego kobierca. Schowała dłonie między kolanami, ciężko opuściła głowę. Srebrna, wysadzana brylantami korona osunęła jej się na prawe ucho.

Obok przycupnęła Liliana. Ustrojono ją w biel i błękit, w sukienkę bardzo podobną do tej, w której zobaczyliśmy ją po raz pierwszy. Z tym wyjątkiem, że ktokolwiek ją szył, wziął pod uwagę, że ma do czynienia z dzieckiem, więc mogła się w niej poruszać całkiem swobodnie.

Z tyłu, za szezlongiem, stał przyboczny Kathryn, a przynajmniej tak mi się zdawało – dwudziestoparoletni niski mężczyzna, czarnowłosy i ogorzały. Nie nosił żadnych herbów i od razu skojarzył mi się z bardzo szemranymi zaułkami Avalonu. W tej chwili wbiął wzrok w ziemię; krew odpłynęła mu z twarzy. Wyglądał jak człowiek, któremu ktoś właśnie umarł.

– Proszę cię, Artois – powiedziała cicho Kat, nie podnosząc nawet wzroku. – To jedyny sposób, żeby zapewnić sobie z jego strony spokój do końca wojny. A potem coś się wymyśli. Cześć, Amandine. Właśnie załatwiłam nasz problem z dysydem w obozie; ma teraz za dużo do ugrania, żeby skłócać możnych, drażnić smoka i nasyłać skrytobójców na Żabę.

– Zaręczyłaś się z de Bérylem – sapnęła Amandine. – Zgłupiałaś?

– To było jedyne racjonalne rozwiązanie – odparła Kathryn.

– Ale w jego obecności?! – Amandine wskazała przybocznego. Zaczynałem już coś pojmować.

– Chciałam, żeby de Béryl i jego rzeźnik uświadomili sobie, kogo chcę zachować żywego, żeby nasza umowa doszła do skutku. – Kathryn trzymała się za głowę. – Żeby niczego nie powiedzieć wprost, tylko dać się domyślić. Wiem, źle zrobiłam, ale nie umiałam wykombinować nic lepszego...

– Wasza Miłość postąpiła tak, jak uznała za słuszne – odezwał się Artois. Nadal był blady, ale widziałem, że stopniowo odzyskuje zimną krew. Podziwiałem faceta. Na jego miejscu położyłbym trupem tego de Béryla, nie dbając o konsekwencje. – Proszę wybaczyć, lady Cerise, ale czy mam do czynienia z panem Vincentem Thorpe'em?

Kathryn i Liliana spojrzały na mnie. Dziewczynka z wrażenia straciła równowagę i zsunęła się z szeslonga. Kathryn zerwała się na równe nogi, a potem uściskała mnie tak mocno, że obawiałem się o moje żebra.

– Vince! – zawołała przez łyzy. – Na Pustkę, pierwsza dobra wiadomość od... od zeszłego Święta Przesilenia... Czy spotkałeś już Belinde? I Meg?

– Czy ten pan może słuchać? – spytałem i wskazałem Artois.

– Panie Thorpe, zabrnąłem już tak daleko, łamiąc zasadę posłuszeństwa wobec hrabiego Trevancela, że równie dobrze mogę kontynuować – odezwał się żołnierz zmęczonym głosem. – Rozumiem, że jest pan ważniejszy, niż się zdaje. Prawie na pewno ma pan kontakt z Wielkim Magiem, który przybył do generał Theresy, pewnie nawet to pan we własnej osobie. Nie pomyślę się chyba, jeśli powiem, że chce pan doprowadzić do połączenia obydwu armii, zamiast toczyć wojnę z Jej Wysokością i lady Cerise.

Powoli skinąłem głową.

– Skoro tak – dokończył Artois – mamy wspólne cele. Nie ufam Królewskiemu Smokowi i chcę służyć Jej Wysokości, dopóki wystarczy mi sił. Do walki z Philippem potrzebujemy każdego miecza i każdej armaty. Nie będę wam zatem przeszkadzał, ale chcę też zachować resztki honoru i nie kłamać zbyt wiele staremu Renardowi.

Uklonił się głęboko.

– W razie potrzeby czuwam w pobliżu.

– Co to za rycerz? Jaki ród? Nie poznaję barw – zapytał Bernard, gdy żołnierz opuścił namiot. – Daję słowo, bardziej honorowego nie miałem na zamku.

– Artois nie należy do szlacheckiego rodu. – Amandine z westchnieniem usadowiła się na fotelu obitym aksamitem. – Jest kapitanem najemników. Czas ucieka. Ustalmy, co już mamy.

\* \* \*

W atmosferze już znacznie mniej oficjalnej opowiedzieliśmy sobie na nowo o wszystkich perypetiach. Na mój użytek trzeba było znowu ustabilizować połączenie telepatyczne, bo po dwóch czy trzech z trudem wyduszonych z siebie zdaniach z powrotem zaczynałem bełkotać. Mimo wszystko w mojej rehabilitacji zaszedł niewątpliwy postęp; miałem nadzieję, że kiedyś zacznę się porozumiewać z resztą świata inaczej niż tylko półsłówkami.

Do naszej grupki dołączyła nawet Liliana, chociaż utworzone przez nią połączenie okazało się dość słabe, jak to się zwykle zdarza u młodych magów; zupełnie jakby rozmawiała z nami przez magiczną kulę. Amandine wiedziała, że wyniosłem notatki z l'Échelle de Soleil i od razu spytała, co wiem o więzi między smokiem i czarodziejem i czy ona przypomina zażyłość z chowańcami.

„Niezupełnie – odparłem. – To nie jest relacja podległa, tylko równorzędna. Jak w przypadku dwóch osób, które często wspólnie przetwarzają. Smok poza tą najważniejszą, pierwotną więzią jak najbardziej może rozmawiać telepatycznie z innymi ludźmi, ze »swoim« ma po prostu szczególnie ułatwiony kontakt. Konflikt nastąpiłby tylko w przypadku dwóch smoków. Ktokolwiek to wymyślił, nie chciał, żeby mag tworzył więzi z więcej niż jednym naraz”.

– No dobrze – zapytała Amandine – ale skąd się biorą smoki? Bo już odrzuciłyśmy wersję, że się wykluwają z jajka.

– Drogie panie – wtrącił Bernard – czy ten problem ma znaczenie w negocjacjach lub ewentualnym starciu z naszym przeciwnikiem? Ustaliliśmy już, że Królewski Smok nie utworzył więzi z królową. Po co nam informacja, skąd go na świat przyniosło?

Popatrzyliśmy po sobie. Wiedziałem od Amandine, jak przedstawia się sytuacja; Lily bez szczególnej pomocy domyśliła się swojej smoczkiej natury, ale Bernard spał, gdy przekazano mi tę informację.

– No bo ja też jestem smokiem. – Lily wzruszyła ramionami. – Chyba. Prawie na pewno. Nie mam bladego pojęcia.

Książkę Bernard zaniemówił z wrażenia. Jak podejrzewałem, po raz pierwszy w życiu. Rozejrzał się dookoła; w naszych twarzach znalazł potwierdzenie słów dziewczynki.

– Ależ... to zupełnie zmienia postać rzeczy. – Spowaźniał. – My się tutaj zastanawiamy, jakim sposobem przekonać Lucjusza do współpracy, a przecież może wcale nie trzeba. Wystarczy, że się przeistoczysz. Nawet przy braku doświadczenia z naszym wsparciem uzyskasz przewagę bojową...

– Nie – oświadczyłem twardo. – Nie wiesz, o czym mówisz.

Przeszedłem na telepatię.

„Zbyt dużo niewiadomych. Po pierwsze, nie posyła się do walki jedenastolatek. To bardzo kiepski pomysł. Po drugie, przemiana prawdopodobnie odmienia świadomość; smoki mają inną psychikę i możliwości umysłowe niż ludzie. Lucjusz przeniósł swój umysł w całości i twierdzi, że pozostał sobą, ale przecież i na niego smocza natura wywiera pewien wpływ. A po trzecie, Lily pewnie i tak jeszcze nie może przyjąć postaci smoka. Jest za młoda, ma niewiele mocy...”.

– Aha... – szepnęła słabo Lily. – Panie Thorpe... Nie podoba mi się, że w myślach nie można kłamać.

– Przepraszam. – Zmieszałem się. Planowałem, że wyjaśnię wszystko w możliwie delikatny sposób, tymczasem Bernard wyprowadził mnie z równowagi. – Powinienem jakoś... złagodzić przekaz...

– Prędzej czy później i tak bym się dowiedziała – odparła dziewczynka. – Lepsza wiedza o tym, co mnie czeka. Proszę mówić dalej. Skąd się wzięły smoki?

Musiałem się koncentrować przez dłuższą chwilę, żeby wrócić do telepatii.

„Smoki były ludźmi zmodyfikowanymi magicznie – zacząłem. – Stworzono je z czarodziejów w czasach pierwszego Złotego Wieku Cesarstwa. Zyskali między



innymi zdolność przemiany i przetwarzania Pustki; ta druga uaktywnia się dopiero w smoczej postaci. Przemieniony smok nie potrafi sam rzucić zaklęć, za to może przetworzyć ogromną ilość mocy dla czarodzieja, z którym jest związany, i przeprowadzić dla niego skomplikowane kalkulacje. Jego rozmiary i umiejętność zionięcia ogniem są tylko...”.

– Dodatkową premią – dokończyła Kathryn. – Nidhogg... Lucjusz... opowiadał mi o tym.

– Ale Lucjusz musi wydawać jednostki magii, żeby w ogóle utrzymać ludzką postać. – Amandine zmarszczyła brwi. – A zaklęć wcale nie używa. Sądziłam, że przede wszystkim jest smokiem, a człowieka tylko udaje.

„Tak, tak to wygląda w przypadku bardzo starych smoków. Na początku jest dokładnie odwrotnie. Z biegiem lat smocza postać się wzmacnia, a ludzka część słabnie. – Dostrzegłem, że Liliana się krzywi. – Ale to trwa całe stulecia, nawet dłużej niż życie czarodzieja”.

Dziewczynka wyraźnie się wzdrygnęła.

– Nie podoba mi się to – powiedziała poważnie. – Że się człowiek zamienia w smoka, to rozumiem, ale ten kawałek o słabnięciu bardzo mi się nie podoba. Panie Thorpe, proszę mi szczerze powiedzieć, do jakiego stopnia jestem smokiem. Czy tylko istotą smokopodobną? Zastanawia mnie, ile odziedzyczyłam po przodkach.

„Nie wiem nic o twoich przodkach... – zacząłem niezręcznie. – Nie robiłem im dywinacji pod kątem rodowodu...”.

– Wiem, dlaczego pan kluczy opłótkami – powiedziała dziewczynka. – Żeby mnie chronić. Ale sam pan powiedział, że i tak się nie zamienię w smoka ze względu na zbyt małe Źródło.

„Dobrze. – Westchnąłem ciężko. – Ten talent ujawnia się w całości. Albo go masz, albo nie. Występuje niezwykle rzadko, bo smoków też pierwotnie nie było za dużo. Pewnie musi się zejść kilka linii albo coś w tym stylu. Oliwia d’Opal, twoja niebabcia, chyba coś podejrzewała”.

– Moje dzieci też będą smokami?

„Raczej nie. Musiałyby dostać smoczy talent po obydwójgu rodzicach”. – Podrapałem się niepewnie po uchu. Nauka o dziedziczeniu talentów to

skomplikowana dziedzina wiedzy, a i tak nie przewidywała wszystkiego. Na przykład Weyland twierdził, że mój talent Maga Pustki wcale nie pochodzi z linii Lucjusza. Byłem Avalończykiem, więc kto wie, co jeszcze się znalazło w moim rodowodzie.

Tymczasem Bernard zwrócił się do Amandine:

– Czy ja coś pomyliłem, czy rzeczywiście powiedziała pani przed chwilą, że Lucjusz nie potrafi rzucać zaklęć?

– Wiem, co panu chodzi po głowie – odparła moja narzeczona. – Też się nad tym zastanawiałyśmy. Początkowo się obawiałam, że zaatakowany, zmieni się odruchowo. Ale Kathryn twierdzi, że musi się skupić. Nie jest jednak całkiem bezbronny; podobnie jak Lily wyczuwa niebezpieczeństwo, może też zionąć ogniem. Zapewne spróbowałyby tym sposobem zyskać trochę czasu na przemianę.

– Nic, z czym sobie nie poradzi trójka magów...

Amandine łypnęła na niego złowrogo. Bernard pokręcił głową.

– Młoda damo, nie jestem naiwnym durniem jak większość ludzi, z którymi masz do czynienia. Każdy, kto kiedyś praktykował magię, domyśli się, że zawdzięczasz moc temu oto artefaktowi... Skoro chcesz, trzech i pół maga.

Lily ściągnęła usta.

– Trzech i pół maga oraz jedno niedawno wyklute smoczątko – poprawił się stary książę. – W każdym razie lepiej rozmawiać z Lucjuszem człowiekiem niż Nidhoggiem smokiem. Mam rację?

– Niech pan go tylko teraz namówi do zmiany postaci – rzuciła ponuro Kathryn. – Życzę powodzenia. Jest bardzo ostrożny, odkąd zobaczył broszury.

„Właściwie... – odezwałem się powoli – potrafię sobie wyobrazić, jak to zrobić. Naczytałem się jego notatek do tego stopnia, że mam wrażenie, jakbym znał go osobiście”.

Odchyliłem klapę chlebaka i wydobyłem zwój papieru.

„Zaraz wam wyjaśnię. Spróbujmy opracować strategię”.

\* \* \*

Armia królowej rozstawiła namioty na ugorach i pastwiskach, ale smok uwalił się na polu dojrzewającego owsa. Miejsce na lądowisko wybrał sam, nie zważając na to, że rujnuje zbiory. Po prostu na równym, pozbawionym kamieni owsianym polu było mu wygodnie, a źdźbła przyjemnie drapały w skórę.

Kiedy po raz pierwszy go zobaczyłem, aż żołądek mi podskoczył do gardła. Amandine pewnie już się przyzwyczaiła do monumentalnej istoty o łusce barwy obsydianu, z daleka widocznej na szerokich równinach Chabrowych Pól, i nie ostrzegła mnie w porę. Leżał z ogonem zawiniętym wokół siebie jak gigantyczny kot i zapewne drzemał. Popołudniami spał, ale rankiem domagał się towarzystwa Kathryn, i lepiej było go słuchać, bo potrafił dla kaprysu pozabijać obsługę lądowiska. Co ciekawe, karmiono go tylko raz w miesiącu. Napychał się do granic możliwości i spał przez kilka dni. Gdy zaspokoił głód jako smok, nie potrzebował też jeść jako człowiek, ale czasem prosił o ludzkie pożywienie lub alkohol dla smaku. W drugą stronę to nie działało. Gdyby głodny smok nasycił się jako człowiek, po powrocie do smoczej postaci nadal potrzebowałby jedzenia.

Słońce już zaszło, ale niebo ciemniało powoli, a z ziemi parował żar. Na rozległych polach pod Nouveaux Dijon linia horyzontu rysowała się gdzieś w oddali. Co pewien czas smoka przesłaniała kępa drzew, raz minęliśmy wysoki wiatrak. Można było ulec złudzeniu wiejskiej sielanki, jeśli ktoś nie wiedział, że większość gospodarstw opustoszała, a dym unoszący się nad chatami najczęściej oznaczał pożar.

Jechaliśmy stępą wiejską drogą i wierzchowce, które podobno nie płoszyły się w ogniu walki, już zachowywały się niespokojnie. Cały się spiąłem, bo mimo codziennego powtarzania układów Drogi Czaplki nadal nie wiedziałem, czy utrzymam się na koniu, gdyby poniósł. Coś jeszcze mi nie pasowało...

– Wyczuwam Pustkę – zwróciłem się cicho do Amandine.

– Gdzie? Podwyższone tło?

– Też. – Uniosłem głowę i wciągnąłem w nozdrza powietrze, chociaż w rzeczywistości wykrywałem skażenie osobnym zmysłem. – Ale poczułem... jakby smu... gę. Coś prze... biegło. Znikło. Już nie ma.

– Nie podoba mi się to – mruknęła. – Nidhogg instynktownie oczyszcza teren wokół siebie, nie potrzebuje do tego zachęty. To znaczy, że mamy do czynienia

z czymś nowym. W którą stronę poszło? Kathryn, utrzymujesz połączenie z Lily?

Zostawiliśmy Lilianę w obozie, pod pieczęcią kapitana Artois. Istniało ryzyko, że Nidhogg potraktuje młodego smoka jak konkurencję i od razu wpadnie w furję. Kat twierdziła, że potrafią zachować więź nawet na sporą odległość, więc w razie kłopotów mogliśmy przesłać wiadomość. Byłoby to ważne zwłaszcza wtedy, gdyby kłopoty zbliżały się na smoczych skrzydłach w stronę obozu.

– Utrzymuję – potwierdziła Kat.

– Nie wiem – niemal równocześnie odpowiedziałem na pytanie Amandine. – Tylko... wrażenie.

Teraz się zastanawiałem, czy tego odczucia nie podyktował mi lęk.

Zbliżyliśmy się do obszaru otoczonego sznurkiem przytwierdzonym do palików. Górował nad nim Królewski Smok, rzucając długi cień na owsiane pole. Przed nami stał nieduży okrągły namiot w biało-fioletowe pasy. Wąsaty strażnik, wyprężony jak struna, zasalutował nam energicznie. Wydawało się, że zaraz eksploduje z napięcia.

Nie wspominałem wcześniej, że ze względu na rozmowę Kathryn się przebrała; miała teraz na sobie szarą prostą suknię, która nieco kojarzyła się z arboriańską szatą maga, oraz zwykle skórzane trzewiki. Biżuterię i koronę schowała do kufra.

– Trzeba było widzieć minę garderobianej, kiedy zamawiałam obstalunek – stwierdziła. – Ale zniszczyłam już tyle sukni, że zrozumieli potrzebę noszenia stroju roboczego.

Chyba zrozumiała to nie tylko garderobiana, bo kiedy opuszczaliśmy obóz, ludzie odsuwali się w przestrachu, żadne damy dworu ani służące nie podchodziły bliżej niż na odległość kilku metrów i tylko Popielnicy eskortowali nas aż do ostatnich namiotów, gdzie Kathryn ich odprawiła. Widocznie przesłanie brzmiało jasno: jeśli królowa tak się ubrała, to kto wie, co i gdzie wybuchnie w najbliższym czasie.

Nawet ten nieszczęsny strażnik, który nas przed chwilą pozdrowił, miał taką minę, jakby bardzo chciał zostać zwolniony z posterunku.

Amandine spełniła jego marzenie.

– Weź stąd ludzi – poleciała – i wracaj do obozu. Powiedz, że odprawiła was Wielka Magini. Triumwirat będzie się naradzał wspólnie z Królewskim Smokiem w sprawie zbliżającej się bitwy. Przekaż to hrabiemu Trevancelowi.

Wręczyła mu zwój z rozkazem, przypieczętowany królewskim pierścieniem. Jak wiadomo, dezercję z posterunku traktuje się bardzo poważnie, toteż nie zapomnieliśmy o solidnym dupochronie dla strażników ładowiska.

– Hrabia pewnie i tak już galopuje w naszą stronę – mruknęła Kathryn. – Myślę, że pół wieczoru kombinował, jakim cudem wyciągnąłeś księcia Bernarda z Montreuil. W pańskim wieku nie chodzi się na wojny. Bez urazy, bo w sumie podziwiam.

Bernard prychnął.

„Jakie pogłoski mógł usłyszeć na nasz temat? – spytałem telepatycznie. Nadal utrzymywaliśmy kontakt. – Ma szansę coś skojarzyć?”

– Same bzdury – poinformowała Kat. – W plotkach zgadza się tylko to, że po wsiach krąży potężny czarodziej i hojnie używa kul ognia. Niektórzy podają, że czarodziejów jest więcej, inni twierdzą, że to ludzie Philippe’a, którym przewodzi szalony Inkwizytor. Zastanawiam się, czy hrabia do tej pory został już poinformowany o negocjacjach nowego Wielkiego Maga z armią Płomienia.

Zostawiliśmy konie luzem, aby mogły – gdyby coś się działo – dotrzeć do obozu.

Smok, który do tej pory leżał odwrócony do nas zadem, poruszył się i niespiesznie zaczął obracać w naszą stronę. Było w tym ruchu coś niesłychanie obcego, trochę jakby kot, trochę wąż, i cała ta zwinność zapakowana w jakieś dwieście ton cielska. Nie wierzyłem, że jada tylko raz w miesiącu, pewnie częściowo zasilą się magią. Czarne łuski połyskiwały, gdy padało na nie światło pochodni, ale z bliska wcale nie przypominały szkła ani kamienia; miały chropowatą, skórzastą fakturę i założyłbym się, że były ciepłe w dotyku. Bliżej głowy część z nich przechodziła w zrogowacenia, wyrostki i kolce, ułożone harmonijnie i symetrycznie wobec siebie. Niektóre wydawały się pokryte warstwą starego, zmatowiałego złota.

Jego ciało emitowało wyraźne ciepło; docierał do mnie lekki zapach dymu z siarką, podobny do woni płonącej zapałki. Niezbyt silny; gdyby zrobić takie

kadzidła, znalazłyby amatorów.

Przyjrzał się nam wielkimi bursztynowymi ślepiami. Bardziej przypominały kocie oczy niż paciorkowate ślepia jaszczurki, ale osłaniała je półprzejrzysta trzecia powieka, która uwidaczniała się, gdy Nidhogg mrugał.

Strażnicy, rycerze i pachołkowie, którzy rezydowali w namiotach wokół lądowiska, ulatniali się czym prędzej, nie oglądając się za siebie. Smok wodził za nimi wzrokiem i lekko unosił kąciaki pyska. W przeciwieństwie do zwykłych gadów miał żywą mimikę; mógłbym przysiąc, że dobrze się bawi.

– Coś takiego – zamruczał basowo, aż zadrżała ziemia. – Jak widzę, chcecie rozmawiać na osobności. – Mrugnął powoli, mierząc mnie spojrzeniem. – Ach, ale jego twarz wydaje mi się znajoma. Teraz mnie zaintrygowałyście, drogie panie.

– Nazywam się Vincent Thorpe – powiedziałem tak wyraźnie, jak tylko umiałem. – Jestem czwartym uczestnikiem wyprawy. Próbowałem cię odnaleźć, kuzynie.

Nidhogg uniósł się na łapach i szeroko rozpostarł skrzydła. Podmuchi ciepłego powietrza rozwiął moje włosy. Strażnicy lądowiska, którzy do tej pory oddalali się godnie z miejsca posterunku, zaczęli bezwstydnie uciekać. Przez jedną przerażającą sekundę sądziłem, że popełniłem tragiczny w skutkach błąd, ale smok opadł z hukiem na ziemię i pochylił głowę tak, że jego oko znalazło się na wyciągnięcie mojej ręki. Trzecia powieka przesunęła się błyskawicznie. Przyglądał się mi.

– To ty jesteś Magiem Pustki – szepnął. – Wiedziałem. Po kim?

– Po bracie twojego ojca.

– Niemożliwe. – Z jego nozdrzy uciekła smuga dymu. – Zrobiono wszystko, aby talent nie poszedł tą stroną rodziny. Ale może, może... nie wszystko wiedzieli. Mnie nie przewidzieli na pewno. Jesteś do niego podobny, bez dwóch zdań. Krew nie woda. Partacze, gdyby ściągnęli cię wcześniej... Ale, ale, nie trzymasz czasem z tą suką Arcymaga? Kruczowłosa, przemądrzała, fałszywą...

Kłapnął paszczą.

– Wykorzystywała mój talent – warknąłem, wkładając w te słowa całą frustrację i wściekłość, jaka nagromadziła się przez długą podróż u boku

bretańskich magów, z dala od Amandine. – Trzymała... w nie...świadomości. Traktowała jak... sługę. Szedłem... twoim... śladem.

Odwinałem klapę chlebaka i ostrożnie, z namaszczeniem rozwinąłem czarno-żłoty płaszcz. Zarzuciłem go na ramiona.

– Coś takiego. Otworzyłeś moją przenośną samotnię. – Nidhogg zazdrośnie zmrużył oczy. – Prawie o niej zapomniałem. Lubiłem ten płaszcz. A co się stało z twoim głosem, kuzynie?

– To jej wina! – Zaciśnąłem pięści i wysyczałem w stronę Bernarda: – Wiesz, jak... traktują nas... w Arborii. Tłumacz mnie, książę.

Bernie cofnął się o krok. Patrzył, jakby mnie widział po raz pierwszy w życiu.

– Jak rozkażesz, Wielki Magu. Szacowny smoku, będę przekazywał słowa szlachetnego Vincenta, młodego Geniusza z Arborii, poprzez więź. Z powodu choroby, z której niedawno się wykaraskał, ma trudności z mową.

Smok przypatrywał się Bernardowi, a jego źrenice zwężyły się lekko.

– Książę de Montreuil. Stary lisie, ledwo cię poznałem. Czego chcesz? Nie uwierzę, że pomagasz bezinteresownie.

– Czy to nie oczywiste, Wasza Eminencjo? – Bernard mrugnął do Kathryn. – Korony. Jestem pewien, że jakoś się dogadamy. Poślubianie majątnych mężczyzn w poważnym wieku ma długą tradycję w narodzie, a królowa po wojnie będzie potrzebować pełnych kufrów na odbudowę kraju.

– Tak, cieszę się ogromnym powodzeniem wśród starszaków. – Kathryn splótła ręce i spojrzała na niego z ukosa.

– W przeciwieństwie do drogiego Renarda nie wydałem żadnych pieniędzy na wojnę – zaznaczył Bernie. – I nie muszę truć żony. Podkreślę, że wszystkie moje ślubne zmarły ze starości. No, krótko mówiąc, Lucjusz Wielki, interesuje mnie odtworzenie *status quo* z obecnym tutaj Triumwiratem. Lady Cerise nie zamierza czynić mi wstrętów, wyprawimy dwa wesela, dla Wielkiego Maga i dla mnie. A tobie przygadamy jakieś ładne dziewczki. O ile pamiętam, stary smok był niezmiernie chutliwy.

Kathryn ukryła twarz w dłoniach i jęknęła cicho.

– Czyli to miał na myśli Artois...

– Do rzeczy! – uciałem. – Bernardzie.

– Tak jest, Wielki Magu.

„Spróbuj mu przekazać, że odnalazłem l'Échelle de Soleil, ale tak, żeby się nie wściekł. Opowiedz, jaki zachwyty nas ogarnął na widok jego pracowni. Praw mu dużo komplementów i nie zapomnij zmieszać z błotem tępych obywateli jednego albo drugiego kraju”.

„Na Wędrowca, chłopcze, przez chwilę sądziłem, że nie grasz”.

„Mówiłem, że poznałem jego sposób myślenia. Ma, podobnie jak wielu czarodziejów, lęki i ambicje, ale u niego osiągają skrajny poziom. Każda ludzka pomyłka lub niedbałość to złośliwość wymierzona w jego stronę, Arberiańczycy go prześladują, a Bretańczycy nie rozumieją. Przy odpowiedniej dozie megalomanii wszystko można tak zinterpretować”.

„Rzeczywiście, masz dar, ale nie przesadzmy. Jak wielokrotnie wspominałem, Lucjusz Wielki nie otrzymał swojego przydomku tylko z racji manii wielkości”.

Smok obserwował nas uważnie. Chciałbym móc wyczytać z niego więcej. Wiedział, że się ze sobą porozumiewamy. Wolałem tego nie przeciągać. Niewiele brakowało, aby Lucjusz poczuł przypływ nieufności również wobec nas.

– Wielki Mag pragnie opowiedzieć ci o swoich znaleziskach, Wasza Eminencjo – odezwał się tymczasem książę Bernard – lecz obawiamy się, czy nasza opowieść zanadto cię nie wzburzy. Nikt nie chce się narażać na gniew Królewskiego Smoka. Z drugiej strony przypuszczamy, że bardzo chętnie zapoznasz się z tym odkryciem.

– Czy uważasz mnie za szaleńca niezdolnego do opanowania impulsów? – spytał ostro smok. – Zatem jesteś takim samym głupcem jak pozostali. Wstrzymam się z osądem, jeżeli zechcę. Mów.

– Odnależliśmy tajną pracownię Waszej Eminencji. Kapłani Zakonu bezskutecznie usiłowali się tam dostać od wielu lat, ale dopiero nam się powiodło dzięki mocy młodego Vincenta.

Źrenice Smoka zwężyły się w pionowe kreski.

– To genialne dzieło – wtrąciłem i przekazałem Bernardowi dalszy ciąg wypowiedzi.



– Vincent mówi, że pański pomysł jest genialny. Połowy nie rozumie, jedynie zarys koncepcji, a ten zupełnie go przytłoczył. Nigdy nie widział czegoś podobnie odważnego. Najtęższe umysły Gildii głowią się, jak rozwikłać problem Rozdarcia, ale nikt nie przypuszczał, że istnieje trzeci fragment układanki: starożytna Alterra.

Smok cały się spiął.

– Zamilknij! – syknął. – Co wiesz, młody?

– Mam notatki – powiedziałem. – Szukałeś ich. Potrafię pomóc. Możesz wytłumaczyć?

– Pokaż!

Wyciągnąłem plik kartek z chlebaka, z kieszeni wygarnąłem ołówek.

– Czy coś widzisz?

– Na Pustkę! – Ziemia zadrżała. – Jasne, że nie. Dlaczego to jest zapisane takim maczkiem?

– Przybierz ludzką postać – zaproponowałem. – Obejrzymy... razem. Znam zaklęcia... maskujące. Nikt cię... nie... zobaczy.

Z nozdrzy Nidhogga znów uciekły smużki dymu.

– Jak chcesz, to... wytłumacz... dlaczego prze...kszał...cienie Adler-Sarno...

Smok jakby się odprężył, źrenice mu się rozszerzyły, uniósł kącik pyska.

– Ach. Skoro nie wiesz, co tam robi wzór Adler-Sarnovsky, to w gruncie rzeczy niczego nie rozumiesz. Nie szkodzi. Wyjaśnię ci tyle, ile trzeba, abyś pojął doniosłość mojego odkrycia i być może asystował przy finalizacji konstrukcji. Masz, bądź co bądź, wykształcenie zdobyte w Arborii, pewnie względnie solidne. Rzuć zaklęcie maskujące. Ten żalosny amator Trevancel obserwuje nas przez lunetę. Stójcie tak, aby nie mógł czytać z ust.

Patrzyłem, jak się dematerializuje i zmienia, jak jego gargantuiczna sylwetka przekształca się w symboliczne kształty, a później przyjmuje dużo mniejszą formę człowieka. Bernard rzucił Ścianę Cienia, zaklęcie, które czasowo osłaniało nas przed obserwatorami. Po chwili pojawił się Lucjusz Wielki. Człowiek, o którym – jak mi się wydawało – wiedziałem już prawie wszystko.

Nadal nie uważałem, żebyśmy byli do siebie tacy podobni.

Lucjusz maszerował polem wygniecionego owsa. Po transformacji zmaterializował się tam, gdzie poprzednio znajdował się środek ciężkości smoka, musiał więc do nas dojść. Kurtuazyjnie skłonił się królowej, zignorował Amandine. Do mnie wyciągnął dłoń. Przywitaliśmy się nieufnie.

– Zakłęcie – powiedział.

Chciałbym teraz powiedzieć coś mądrego o tym, że tak naprawdę wcale nie przypominałem Lucjusza i że chociaż rozszyfrowałem jego notatki, nigdy nie przejrzałem go do końca. Nie doceniłem rozmiarów jego szaleństwa. Może dlatego, że za długo przebywałem w towarzystwie Meg, która – mimo że nosiła identyczny przydomek i gdy się postarała, potrafiła zaleźć za skórę – posługiwała się logiką i była uczciwa aż do bólu zębów.

Chciałbym w kilku zgrabnych słowach wyrazić, że najciemniej bywa pod latarnią i gdy przygotowujemy skomplikowany plan, czasem umykają nam rzeczy oczywiste.

Ale trudno mi wymyślić dobry aforyzm, bo się wstydzę własnej naiwności.

Nie wiem, dlaczego w ogóle uznałem, że Lucjusz zechce z kimkolwiek omawiać swoje notatki. Może dlatego, że wszystkim czarodziejom, których do tej pory spotkałem, takie postępowanie wydawało się całkiem naturalne, co najwyżej chronili kluczowe wyniki badań przed publikacją. Tak jak założyłem, zaciekałem go i zaimponował mu mój bałwochwalczy podziw, ale jego paranoja okazała się silniejsza niż ciekawość.

Kiedy zatem rzuciłem na Lucjusza zakłęcie maskujące, wchłonął je tak, jak wchłaniał zakłęcia Kathryn. A ponieważ tym razem otrzymał moją moc, zdolną rozniecać na nowo Źródła, właśnie do tego jej użył. Nie byliśmy połączeni przez kanały energetyczne, ale nawet bez więzi poczułem gwałtowny rozbłysk energii. Źródła magów po ponownym przebudzeniu są niewielkie, sięgają dziesięciu jednostek. Ale jak wygląda odnowione Źródło smoka, który urodził się jeszcze w epoce Cesarstwa i liczył sobie ponad tysiąc lat?

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Zanim zrozumiałem, co Lucjusz chce zrobić, błyskawicznie wyrwał mi chlebak i zaczął z nim uciekać. Bernard i Kathryn ułożyli dłonie w zawyłych gestach, Amandine przesunęła palcami po złotych runach. Nim ktokolwiek zdołał rzucić zakłęcie, między nami

a Lucjuszem, pośrodku owsianego pola, wykwitła lśniąca kałuża tęczowo połyskującego płynu, przypominającego nieco naftę. Mój zmysł Maga Pustki zawył ostrzegawczo.

Z kałuży wyłoniły się dwie zakapturzone sylwetki.

Czarodzieje nie mogą się teleportować. To wbrew prawom magii.

Prawom, które nie biorą pod uwagę teleportacji jako podróży na skróty przez Pustkę. Zapomnianej sztuki, którą praktykowali kiedyś magowie tacy jak ja. Do pewnego stopnia znała ją również Trzecia Wyrocznia.

Tak się składa, że Zakon od pewnego czasu lepiej lub gorzej kontrolował Skuld. Lucjuszowi zostało jedynie kilku najwierniejszych ludzi, ale umieścił ich na kluczowych stanowiskach.

Wokół mnie zawirowały osłony przeciwko skażonej energii. Niemal równocześnie Amandine odpaliła bańkę ochronną. Bernard nie zdążył się przestawić i dokończył gest; na jego paznokciach zatańczyły iskry. Później kulisty piorun poszybował w miejsce, gdzie wcześniej stał Lucjusz, uziemiając się z trzaskiem. Kathryn uformowała różowe kulki magicznych pocisków. „Dlaczego tak skromnie?” – pomyślałem, ale później przypomniałem sobie, że Kat została prawie całkiem wydrenowana z jednostek przez smoka. Uwzględniliśmy to nawet w naszej strategii, ale nikomu nie przyszło do głowy, że będziemy jeszcze walczyć z dwoma Inkwizytorami.

Powietrze zgęstniało i zmaterializowały się w nim tysiące opalizujących, szmaragdowo-czarnych ważek. Emitowały nieznośny, przeciągły wizg na granicy słyszalności. Ich półprzejryste skrzydełka rozbłysły, zwielokrotniając resztki gasnącego dziennego światła i rażąc nasze oczy. Przyzwyczajony do rzucania zaklęć w nieoptymalnych warunkach jako pierwszy machnąłem Nieznaczną Antygravitację i wybiłem się ponad chmurę, równocześnie rozciągając osłony przeciwskażeniowe tak daleko, jak się dało, i tym samym odpychając chmurę ważek.

W samą porę, żeby zobaczyć, jak jeden z Inkwizytorów łapie Kathryn wpół, po czym wielkim susem odskakuje w stronę Lucjusza. Ten zaś znów przekształcał się, ogromniał, potworniał.

Instynktownie przeliczyłem zakłęcie grawitacyjne wymierzone w Inkwizytora. Skontrował, stawiając przed sobą ścianę czarnej mazi. W tym samym czasie Bernard zaintonował zaśpiew w dialekcie Cesarstwa – nieznanie mi bliżej zakłęcie przeciwmagiczne. Uwolniła się energia i buchnął błękitny dym; ważki zaczęły ginąć jedna po drugiej. Amandine lekko nachyliła łaskę, prując serią lodowych igieł. Z obydwu stron wybuchła kanonada zakłęd.

Szybko przestałem w niej uczestniczyć. Skupiłem się na wchłanianiu magii Pustki, starając się przechwycić zakłęcia ofensywne, zanim osiągną celu. Nawet odprysk dowolnego z nich mógł narazić moich towarzyszy na wysoką dawkę skażenia. Obawiałem się też o Kathryn, którą Inkwizytor, obdarzony nadnaturalną siłą, przerzucił sobie przez plecy.

Przez chwilę wydawało się, że straciła przytomność, ale zaraz poczułem drgnienie połączenia. Nadal utrzymywała je z nami wszystkimi. Starannie oddzielałem świeżo pobraną moc od już przetworzonej, aby skażenie nie przedostało się przez więź. Tym razem nie uwalniałem jej w postaci światła, tylko gromadziłem jednostki, coraz więcej i więcej. Czułem, jak Kat próbuje przełamać wstręt, żeby z nich skorzystać.

A później Królewski Smok pojawił się przed nami w pełnej krasie i zacisnął łapę na Kathryn.

I wtedy ponownie zdarzyło się coś, czego nie przewidziałem.

Nagle obciążenie więzią ze strony Kat zwiększyło się do granic wytrzymałości. Poczułem, jakby ktoś mnie pociągnął za gałki oczne od środka; zemdlilo mnie, na ułamek sekundy straciłem wzrok i chyba cudem zachowałem przytomność. Szybko wróciłem do równowagi, ale teraz bardzo wyraźnie odczuwałem, jak wartkie strugi przetworzonej przeze mnie mocy płyną kanałami energetycznymi poprzez więź. Ktoś za pośrednictwem Kat łączywie korzystał z zapasu, który tak ochoczo podałem na tacy.

Liliana.

Wszystko wydarzyło się w czasie krótszym niż dwa uderzenia serca. Nie przestawałem przetwarzać, zwłaszcza że Bernard i Amandine wciąż zajmowali się drugim Inkwizytorem. Nidhogg poderwał się do lotu z Kathryn w szponach.

Więź się rozciągała i nie wyglądało na to, aby miała się zerwać, chyba że zdecydowałoby o tym jedno z nas. Nie mogłem zostawić Kat samej sobie. Tymczasem Lily, korzystając z pozostawionej przeze mnie furtki, chłonęła moc jak gąbka. Syciła swoje potrzeby energetyczne, których nie zapewniało jej własne małe Źródło.

Królewski Smok odlatywał w ciemność z królową. Staliśmy naprzeciwko dwóch zakapturzonych i obandażowanych magów renegatów; wokół nas unosiła się świetlista mgła strat energii, złote runy na lasce Amandine płonęły i skrzyła się elektryczność na siwych włosach Bernarda. Przechwyciłem ostatnie wrogie osłony; ściana ciemnozielonej magmy postrzępiła się i zanikła. Inkwizytorzy popatrzyli po sobie i pod ich stopami znów pojawiła się kałuża nafty. Zapadli się jak pod ziemię; jeszcze przefrunęły nad nimi dwie kule ogniste.

Bernard oparł dłonie o kolana. Oddychał ciężko, ale potrząsnął głową, gdy Amandine podsunęła mu laskę magiczną do podparcia. Rozplotłem resztkę skażenia. Słyszeliśmy nawzajem swoje umysły, więc obydwójce doskonale wiedzieliśmy, co zrobiła Lily.

Mimo tego nie mogliśmy powstrzymać zaskoczenia – a nawet lęku – gdy na styku więzi zaczęła rozkwitać nieznana, przepastna świadomość.

Czy zanurzyliście się kiedyś w oceanie? Daleko od brzegu – tak daleko, że musieliście dotrzeć tam na łódce? Czy chociaż przelotnie ogarnęła was świadomość, że dno znajduje się kilkaset metrów niżej, a wszędzie dookoła też jest woda? Jasna, przejrzysta, podobna do nieba... i żyją w niej miliony stworzeń, których nawet nie podejrzewacie o istnienie? I niektóre z nich mogłyby was zabić, ale nie zrobią tego, bo stanowicie dla nich jedynie nic nieznaczący okruch świata?

Tak wygląda umysł smoka. W porównaniu z nim ludzki to zwykły wiejski staw.

Czy właśnie z tak obcą istotą rozmawialiśmy przed chwilą? Nie miałem pojęcia, czy Lucjusz stał się prawdziwym smokiem i używał jedynie małego fragmentu własnego jestestwa, aby odgrywać przed nami człowieka, czy tylko zamieszkiwał Nidhogga, a jego świadomość dryfowała na powierzchni oceanu. Pewnie bym się zorientował, gdybym jeszcze raz przypomniał sobie runy, ale

brakowało mi sił. Wiedziałem, że dla zachowania zdrowych zmysłów musimy częściowo zablokować kontakt z Lilianą, nałożyć na niego filtry umożliwiające porozumienie. Gdzieś w oddali poczułem, jak Kathryn się tym zajmuje; przychodziło jej to tak naturalnie.

– Co się stało? – zapytała Amandine, spazmatycznie łapiąc oddech. – Co się stało?!

Przycisnęła pięści do policzków, upuszczając magiczną laskę. Drżała na całym ciele. Przerażony objąłem ją ramionami; zaczęła się wyrwać, omal mnie nie pobiła. Odciałem ją od więzi. Nagle do mnie dotarło, że wszystko, z czym się zetknęła poprzez kanały energetyczne w ciągu ostatnich kilku minut – świadomość, jak inni rzucają zaklęcia, transfer energii, wreszcie przemiana Liliany – było dla niej czymś nieznanym i z gruntu obcym. Mimo to trzymała się twardo, dopóki nie zetknęła się z jaźnią smoka.

– Amandine!

– Spokojnie – powiedziała. – Spokojnie, jestem bardzo spokojna. Wszystko w porządku. Lily stała się potworem, smok porwał Kathryn. Dlaczego porwał Kathryn? Co ty mu zrobiłeś? Kim ty jesteś?!

– Amandine, Amandine... – straciłem głos.

– Idź sobie ode mnie!

Poczułem się jak lustro rozbite na tysiąc kawałków. Chciałem upaść na kolana i płakać. Chciałem przynieść jej księżyc, żeby tylko spojrzała na mnie jak zawsze. Chciałem wykroić sobie serce i ukryć je w skrzyni na dnie morza. Słabe echo gdzieś w podświadomości podpowiadało, żeby się opanować i poczekać, aż Amandine się uspokoi.

Nic nie mówiłem, tylko obserwowałem żdźbła owsa kołyszące się na wietrze, który powoli wzmagał się od zapadnięcia zmroku.

Bernard szarpnął mnie za płaszcz.

– Nie chciałbym przeszkadzać – stęknął – ale chyba mam atak serca.

Zamknąłem oczy. „Przepraszam, Lily”.

Zerwałem połączenie.

Spojrzałem na księcia. Leżał skulony na polu owsa, oddychając ciężko. Postąpiłem tak, jak mnie uczono – obróciłem go na plecy, ułożyłem jego głowę i klatkę piersiową na własnych kolanach, rozluźniłem koszulę pod szyją. Położyłem trzy palce na tętnicy skroniowej. Puls był słaby i szybki, ale regularny.

– Możesz mówić? Gdzie cię boli?

– Serce – powiedział Bernard, przyciskając dłoń poniżej mostka. – I jakoś mi słabo.

– Lewa ręka? Bark?

– Nie. Ale będę rzygać – ostrzegł księżę, odwrócił się na bok i spełnił groźbę.

– Pić mi się chce – powiedział bełkotliwie, gdy skończył wymiotować. Dotknąłem czoła, żeby zbadać temperaturę. Nachyliłem się i mimo obrzydzenia pociągnąłem mocny niuch. Silny kwaskowaty zapach. Jabłka.

– Bernardzie, słyszysz mnie? Nie zasypiaj. To nie jest zawał. Nie śpij! Amandine, masz coś słodkiego do picia? Do jedzenia?

Nie odpowiedziała.

– Amandine! – wrzasnąłem. Trząsałem się cały w środku.

Uklękła obok, przytknęła Bernardowi manierkę do ust.

– Napar ziołowy – wyszeptła. – Słodzony.

Odetchnąłem. Wiedziałem. Zawsze coś miała ze względu na swoje bóle głowy.

– Wyczerpałeś się – powiedziałem uspokajająco. – Zdenerwowałeś. Cukier ci spadł. Łatwo zapomnieć, że liczysz sobie ponad sto lat.

– No, tak ze czterysta. Jaki cukier? Daj trochę.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale znów straciłem zdolność mówienia. „Nie ma co – pomyślałem ponuro. – Niezła z nas kompania inwalidów”.

I wtedy usłyszałem tętent kopyt. To hrabia Trevancel kłusował w naszą stronę razem z całym orszakiem.

\* \* \*

Zrywał się wiatr. Ciężkie, rozgrzane powietrze przesuwano się po równinie, odbierało oddech. Gwiazdy, do tej pory widoczne na ciemniejszym nieboskłonie, znikły za płynącymi chmurami i znowu się pojawiały. W oddali widziałem

światła obozu, ale prócz tego wokół nas panował mrok. Na jego tle wyróżniała się drużyna hrabiego z oliwnymi lampami i żagwiami.

– Żądam wyjaśnień – odezwał się twardo Renard Trevancel.

Rzuciłem mu złe spojrzenie. Odsunął się w siodle. Widziałem, jak chęć aresztowania naszej trójki walczy w nim z pierwotnym lękiem. Podjechał w chwili naszej słabości, ale kto wie, co jeszcze mogliśmy zrobić?

– Księżę de Montreuil zasłabł – powiedziała cicho Amandine, zaciskając dłonie na magicznej lasce. – Potrzebuje pomocy. Trzeba mu dać coś słodkiego, a później lekki, pożywny posiłek. Ciemny chleb albo kasza.

– Wielka Magini – syknął hrabia. – Doskonale pani wie, że nie o to mi chodzi.

– Królewski Smok jest zdrajcą. Trzymał z Zakonem Cierpliwego Wędrowca. Ma czarno-złote umaszczenie, bo jego świadomość zajmuje teraz Lucjusz de Branche d’Aure, były Wielki Mag, który umarł i oszalał, chociaż niekoniecznie w tej kolejności. Szantażował Kathryn, a teraz ją porwał.

– Lady Cerise... Co, na Zaświaty i Pustkę, pani wygaduje?

– Chcieliśmy to rozwiązać pokojowo, ale nie wyszło. – Amandine potrząsnęła głową, rozrzucając rude loki na ramiona. – Vincent przekazał mu... Nie przewidzieliśmy. Zaraz zobaczy pan drugiego smoka. Tym razem prawdziwego.

– Co?!

– Trzy...maj...cie się – wychrypiałem, z trudem formując słowa. – Leci.

Białobłękita, szerokoskrzydła sylwetka wyraźnie odcinała się od wieczornego nieba. Smoczyca krążyła nad nami jak drapieżny ptak, nim z gracją usiadła na zniszczonym już do reszty polu owsa.

Hrabia Trevancel wpatrywał się w nią jak w objawienie. Jej łuski połyskiwały perłowo, delikatne i równe jak u polnego węża, z tym że proporcjonalnie większe. Miała długie kończyny i smukłą szyję, która płynnie przechodziła w łagodnie zarysowany grzbiet. Brzuch nie ciążył jej tak jak Nidhoggowi. Mierzyła mniej więcej czwartą część długości Królewskiego Smoka i na pewno była znacznie lżejsza. Jej łapy wydawały się trochę za duże w porównaniu z resztą, co sprawiało wrażenie szczenięcej niezdarności.

Z grzbietu smoczy cy ostrożnie zsunął się błady i jakby odrętwiały kapitan Artois.



– Szlachetny hrabio Trevancel – odezwała się smoczyca. Jej głos brzmiał jak srebrne dzwonki. – Obawiam się, że przeraziłam twoich poddanych. Wracaj i pomóż. Zabierz księcia Bernarda, niech odpoczywa. Popielnicy pracują na miejscu, ale tego sobie wypożyczę. Postaram się oddać go przed kolacją.

– Lily! – krzyknęła Amandine, załamując ręce. – Liliana!

– Tak. Tak mnie nazywano – potwierdziła smoczyca. Miała oczy barwy bezchmurnego nieba. – Nie bój się. Jestem tutaj.

Spojrzała w górę.

– Kathryn zabrano do Nouveaux Dijon – powiedziała. – Nidhogg znów ma Źródło. Mniej mocy, niż gdyby zabrał ją armii Philippe’a, ale teraz łatwiej ją kształtuje.

Oczywiście. Ukryłem twarz w dłoniach. Kolejna rzecz, której nie przewidziałem. Abecadło magicznej sztuki. Przebudzone Źródło nie tylko dawało czarodziejowi własną moc, lecz także ułatwiało manipulowanie nią w bardziej zawiły sposób, niż wymagały tego uroki magii prostej. Bardzo możliwe, że Lucjusz nie potrzebował już nikogo poza Kat do zrealizowania swojego projektu.

– Jak... – zacząłem, powoli wyduszając sylaby. – Jak go powstrzymać?

Już kiedy wypowiadałem te słowa, widziałem drogę wyjścia. Runy z Czeluści, poprzedniego dnia wykute na pamięć pod wpływem zaklęcia Belinde, przesuwały się przed moimi oczami. Ale czy mamy dość mocy obliczeniowej? Nawet dzięki Lilianie? Będzie na styk, jeśli chcemy to zrobić bardzo szybko. A jeśli spotkamy po drodze popleczników Lucjusza? Zużyjemy cenne jednostki. Tyle nieznanych szczegółów. I czy ufam jeszcze własnym pomysłom?

– Wiem – odezwałem się z rozpaczą. – Wiem, jak postąpić. Ale znów... mogę się mylić...

– Lepiej spróbuj, kolego – odezwał się kapitan Popielników, a w jego głosie zamiast poprzedniej kurtuazji dał się słyszeć cichy warkot. – Bo ja tam lecę. Dopilnuję, żebyś zrobił swoje, jak na czarodzieja przystało.

Spojrzałem na Amandine. Wypatrywała się w magiczną laskę, zaciskając usta. Pojąłem nagle coś ważnego. Wyobrażałem sobie, że czuje się zdruzgotana tym, że się okazałem... zadufanym w sobie narcyzem, podobnym do Lucjusza. A tymczasem...

– Amandine – powiedziałem. – To nie twoja wina.

Spojrzała mi prosto w oczy. Pociągnęła nosem.

– Jesteś odważna. A ja jestem idiotą – szepnąłem. – Nie zas...ługuję na ciebie.  
Kocham cię.

– Ty głupku. – Rozpłakała się i wtuliła twarz w moją koszulę. – Nie wiem, jak znoszę to wszystko, ale też ciebie kocham.

Liliana opuściła głowę i położyła ją na łapach.

– Panie Vincencie Thorpe, przydałoby się znów ustabilizować więź – przypomniała. – Rozumiem, że czujecie się zdezorientowani, dlatego nie namawiam Amandine. Będziemy razem obliczać. Bardzo, bardzo dużo matematyki.

– Zaryzykuję – mruknęła moja narzeczona. – Czy masz kontakt z Kathryn?

– Słyszę ją w oddali – odparła smoczyca. – Nie zerwał się, lecz jest słaby. Nie chciała przyjąć mocy od pana Thorpe’a i nie zdążyłam przekazać jej żadnych jednostek. Gdy znajduję się bliżej, spróbuję dokonać transferu.

– W jakim stop...niu pozostałaś... małą... Lily? – spytałem.

– Lily śni we mnie. Mówi do mnie – odpowiedziała. – Być może zaniknie i się roztopi. Może nie. Nie wiem.

– Zaczekaj chwilę – poprosiłem.

Kiedy wyruszyliśmy z Bernardem i pozostałymi do obozu królowej Kathryn, umówiliśmy się, że w razie kłopotów puszcze flarę alarmową. Czerwoną, gdyby kłopoty zbliżały się do namiotów Pochodni. Żółtą, gdybyśmy to my potrzebowali pomocy.

Odpaliłem w powietrze zakłęcie – bardzo jasną, żółto zabarwioną Kulę Światła – i posłałem ją wysoko w górę. Raczej nie zdążą nas dogonić, nawet gdyby wszyscy czarodzieje z mojej ekipy rzucili zakłęcie Lotu. Ale i tak przekazałem wiadomość.

\* \* \*

Musiałem nakreślić uroki grawitacyjne, abyśmy we troje utrzymali się na grzbiecie Liliany smoczycy. Pierwszy pasażer mógł jeszcze objąć szyję,

smuklejszą i mniej kostropatą niż Nidhogga. Nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić magii zdolnej przywołać znikąd kilkadziesiąt ton oddychającej, ciepłej, prawdziwej bestii. Ogarniałem jeszcze umysłem duszozmoka, stworzonego wyłącznie z energii, ale to było kompletnie poza moim pojmowaniem.

Liliana poderwała się do lotu. Zanotowałem, że prawie nie potrzebuje rozbiegu, co przy jej wadze oznaczało, że manipuluje grawitacją. Ciekawe. Nie pomyślałem o tym wcześniej.

A potem spojrzałem w dół, na uciekające pod nami pole i namioty jak kolorowe kropki, i kompletnie przestałem myśleć.

Frunąłem na smoku. Prawdziwym.

Na Pustkę.

Żadne zakłęcie się do tego nie umywało. W ciągu ostatnich kilku dni często przenoszono mnie Lotem, ale nie mogliśmy się wzbić powyżej kilkuset metrów. Trzeba by rzucić specjalistyczne zakłęcia, żeby zniwelować wpływ prądów powietrznych lub opanować sztukę ślizgania się na nich. Nawet ci, którzy umieli sprawnie latać, wznosili się zaledwie trzy, cztery razy wyżej, chociaż wiedziałem, że Belinde pracuje nad zakłęciami Creo poprawiającymi ten pułap. Wysoko w górze nie dawało się oddychać. Tymczasem wokół Lily – o ile się nie myliłem – tworzył się bąbel powietrza o stałej temperaturze i ciśnieniu. Lecieliśmy otoczeni własną atmosferą.

Żałowałem, że jest ciemno. Miałem świadomość, że musieliśmy minąć armię generał Theresy, a później wojska Philippe’a stacjonujące na Chabrowych Polach, ale trudno było je dostrzec pod chmurami i odróżnić od siebie. Daleko w dole ćmiły się ogniska, ledwo widoczne punkty w mroku. Jak wstęga aksamitu połyskiwały wody Srebrnej.

Liliana bez trudu nawigowała w ciemnościach. Nie minęło kilka minut, a światła zaczęło przybywać i w pewnym momencie zorientowałem się, że smoczyca powoli obniża wysokość.

Stolica jawiła się nam tylko w ogólnym zarysie. Nouveaux Dijon nie miało gazowych latarni ani rozświetlonych sklepowych witryn. Życie nocne w takim rozumieniu jak w Avalonie jeszcze się nie rozwinęło. Ale, podobnie jak

w Montreuil, na pewno działały piwiarnie, gospody oraz domy uciech i zapewne część z nich widzieliśmy z lotu smoka. Nie wspominałem o tym wcześniej, ale Bretańczycy dzielili nocny wypoczynek na dwie części – kładli się spać o zmroku, wstawali o północy i spędzali jeszcze godzinę, dwie na relaksie, pogawędkach i uprawianiu miłości, dopóki znów nie zasnęli. Teraz większość mieszkańców pograżyła się w pierwszym śnie.

Zgodnie ze swoją nazwą Nouveaux Dijon było nowym miastem. Nie powstało, tak jak Narbonne lub Montreuil, na kościach cesarskich fortec lub osiedli, nie ograniczała go starożytna architektura ani wyzwania związane z lokalizacją w górach. Rozlewało się szeroko z obydwu stron rzeki Srebrnej, otoczone solidnymi podwójnymi murami, ukończonymi lub ulepszonymi – jak mi powiedziano – za rządów Lucjusza. Poza murami życie toczyło się równie warto, jak wszędzie indziej. Dowiedziałem się później, że zamieszkiwała tam biedniejsza ludność, nowi osadnicy ze wsi i rzemieślnicy partacze, których nie było stać na opłacanie gildii. Podobno ta część Nouveaux Dijon skurczyła się znacząco podczas wojny. Nikt nie chciał się znaleźć po niewłaściwej stronie muru.

Pośrodku szerokiego nurtu Srebrnej rozciągała się okazała, długa wyspa i tam właśnie stał królewski zamek, miejskie pałace szlachty oraz kompleksy świątynne. Część z nich w ostatnich latach wyburzono, aby zrobić miejsce Bazylice Cierpliwego Wędrowca, największej świątyni, jaką w życiu widziałem.

Już w pierwszej chwili domyśliłem się, że zbudowano ją tak, aby pomieścić Królewskiego Smoka. Gdyby odrzec ją ze wszystkich wież, wieżyczek, kolumn i kopulek, zostałyby w gruncie rzeczy gigantyczna stodoła. Jak każde smocze leże wyposażono ją w monumentalne wrota, przez które Nidhogg mógł bez problemu przejść.

Przez wiele lat dokładano starań, aby zmienić ją w najważniejszy budynek miasta. Już z daleka jaśniała światłem. Białe automagiczne lampy rozmieszczono zarówno wokół samej bazyliki, jak i wewnątrz – dostrzegaliśmy bajecznie kolorowe, podświetlone od środka witraże, a na ścianach płaskorzeźby, które zapewne przedstawiały sceny z *Legendy Cierpliwego Wędrowca*. Kopuły okuto złotą blachą, a na dziedzińcu prezentowały się w żywych barwach posągi świętych.

Ale mimo tych wszystkich ozdób, mimo oszałamiającego przepychu, nie było to miejsce przyjazne. Zabudowania świątynne otaczały strzeżone mury; Artois wyjaśnił, że zwykli mieszkańcy nie mieli wstępu na dziedziniec. Budowniczy mieszkali tutaj na stałe, w długich drewnianych barakach, i tylko w drodze wyjątku dostawali przepustki na miasto.

Z daleka wyczuwałem oleistą, brudną obecność mocy Pustki. Przeczynałem, że większość skażonej magii znajduje się wewnątrz, wbudowana w struktury świątyni. Ale już przed wejściem postanowiłem otoczyć nas pierwszą warstwą osłon. W pobliżu wrót niedawno stoczono walkę – leżał tam wielki trup ksenowurma, bardzo podobnego do tego, który zaatakował nas na samym początku naszej wyprawy. Dostrzegliśmy też kilka ludzkich ciał w brunatnych habitach lub w pełnym uzbrojeniu – pancerze, włócznie i długie peleryny w barwie burgunda.

– Jastrzębie. – Amandine zadygotała.

– Już nam nie zaszkodzi – zauważył cicho Artois. – I nie jesteśmy bezbronni. Przy okazji, czy możecie rzucić na mnie zaklęcia zwiększające zdolności bojowe? Przede wszystkim to, które przyspiesza, ale za inne się nie obrażę. Lady Cerise, panie Thorpe?

– Przywołania i Creo – mruknąłem. – Szybkość Pumy. Spróbuję.

Liliana wylądowała w pewnej odległości od wysokich mosiężnych wrót, z obrzydzeniem omijając pobojuwisko. Nadstawiła łapę, pomagając nam zejść z grzbietu na bruk. Byłem jej za to wdzięczny – po całym dniu wysiłku ledwo trzymałem się na nogach. Kosztowało mnie dwie nieudane próby, zanim rzuciłem zaklęcie, o które prosił Artois. Staliśmy we czwórkę przed bazyliką – młodociany smok, fałszywa czarodziejka, mag inwalida i kapitan najemników – i zastanawiałem się, czy mamy najmniejsze szanse w spotkaniu z wiekowym, paranoicznym Magiem Pustki w ciele tysiącletniego smoka po odnowie Źródła.

„Liliano, czy on się zorientował, że przylecieliśmy?”

– Jeszcze nie – odparła smoczyca. – Jest zaabsorbowany sobą i Trzecią Wyrocznią.

„Wiesz to od Kathryn?”

– Mam z nią kontakt. Niemal się zerwał, ale z powrotem go wzmacniam. Ostrożnie, inaczej Lucjusz wyczuje przepływ mocy.

– Mówisz o Kathryn? – zapytał kapitan. Nie włączyliśmy go w więź, to było ponad nasze umiejętności. – Przekazujcie mi wszystko na głos. Co z nią? Jest cała? Zdrowa?

– Twierdzi, że w porządku. – Liliana zamknęła oczy. – Mówi, że Nidhogg tłumaczy jej zasady działania wehikułu. Prawi komplementy. Chce ją namówić, aby utworzyła z nim więź. W środku występuje spore skażenie, aż przekreślił jej się licznik na bransoletce. Smok na razie ją osłania.

Skupiłem się na jej słowach. Więź rzeczywiście osłabła, ale prawie słyszałem Kathryn.

– Dobrze, panie magu – odezwał się Artois. – Podobno zna pan sposób na smoka. Proszę powiedzieć, jaki mamy plan.

„Amandine, możesz przekazywać?”.

„Jasne”.

„Otóż – zacząłem – wiemy prawie wszystko o tym, jak Lucjusz przeniósł świadomość do ciała Królewskiego Smoka. Mam kompletne notatki wyniesione z l'Échelle de Soleil oraz runy, które wpisano w ściany Czeluści. Nie tylko Kathryn je skopiowała, zrobiły to Margueritte i Belinde, opatrzyły komentarzami. A moja szefowa jest jedynym pozostałym przy życiu ekspertem od run Pustki. O ile Lucjusza uznamy za martwego, ma się rozumieć”.

– Tego musi być bardzo dużo. – Amandine zmarszczyła brwi. – Wiem, jak wyglądają twoje wzory zaklęć.

„To prawda. I większość tych notatek zabrał Lucjusz. Ale pracowaliśmy nad nimi, zanim opuściłem armię von Feuerstein, i uczyłem się ich pod wpływem zaklęcia przeznaczonego do leczenia urazów głowy. Mogę odwzorować je z dużą dokładnością. Mam nadzieję, że to wystarczy, abyśmy przy pomocy Liliany odwrócili proces zjednoczenia Nidhogga z Wielkim Magiem. Sam nie dałbym rady, ale Lily dysponuje większą mocą obliczeniową niż dziesięciu magów. Liczę na to, że Kathryn się przyłączy i poprawi ewentualne błędy. Tam jest bardzo dużo elementów Entropii”.

– Przecież Kathryn nie potrafi...

„Nie potrafi rzucać zaklęć opartych na Entropii, dopóki ich nie pozna perfekcyjnie, więc przez osiem lat dokładała wysiłków, żeby mieć w małym palcu teorię. Nie znam nikogo lepszego. Nie może w pełni uczestniczyć w odtwarzaniu rytuału, ale będzie mnie poprawiać. Mam brzydkiego nawyk czynienia magii tak, żeby się trzymała na taśmie klejącej. Potrzebujemy kogoś, kto przestrzega prawideł sztuki”.

Amandine powtórzyła wszystko na głos.

– Ile to zajmie czasu? – spytał Artois. – Smok zorientuje się w przepływie mocy, jak mówi panienska Liliana. Jeszcze nie szantażuje Kathryn skażeniem, ale wkrótce straci cierpliwość.

„I tutaj widzę rolę dla pana, kapitanie. Umożliwi pan Kathryn ucieczkę albo wykradnie ją Nidhoggowi. Później... trzeba będzie wytrzymać jego wściekłość przez kilka minut. To ta trudna część, bo równocześnie musimy się bronić i obliczać rytuał, co zmniejsza nam moce przerobowe”.

– Zaraz policzę, ile to potrwa – zaproponowała Liliana. – Panie Thorpe, proszę przekazać mi wszystkie dane.

– Czy Królewskiego Smoka można zranić zwykłą bronią? – zastanowił się Artois. – Jego pancerz zatrzyma uderzenie miecza, ale widziałem łączenia między łuskami...

„Oczywiście, kłucie żelastwem też wchodzi w grę, o ile pan da radę do niego podejść – powodzenia”.

Uśmiechnął się krzywo, kiedy Amandine przekazała mu moje słowa.

– Pan niech się skupi na swojej magii.

– Ja też spróbuję go zatrzymać – dodała smoczyca. – Ale... on jest naprawdę duży.

Poznałem, że przemawia przez nią dawna Lily, i prawie pękło mi serce.

– Możesz liczyć na moje wsparcie – powiedziała Amandine. – Tylko przydałoby się podładować łaskę.

Artois zmarszczył brwi; coś mu się nie zgadzało.

– Niewykluczone, że rozmawiamy po raz ostatni – kontynuowała moja narzeczona – więc nie chcę zginąć w kłamstwie. Zwłaszcza że w obliczu walki

nie powinniśmy żywić błędnych domysłów o sobie nawzajem. Panie kapitanie, ja wcale nie jestem Wielką Maginią. W ogóle nie mam własnej mocy magicznej.

– Ale...?

– Chciałam chronić Vince’a, Kathryn i Lily – westchnęła. – A potem jakoś... samo wyszło.

– Na własne oczy widziałem, jak obroniła pani obóz przed smoczym gniewem – wzburzył się kapitan. – Uczestniczyła pani w bitwach i, na Wędrowca, dobrze pani szło!

– Bo to bardzo dobra laska automagiczna, a ja potrafię się nią posługiwać. Tyle że ma ograniczony repertuar. Kilka zaklęć ochronnych, kilka ofensywnych. Niewiele ponad to, co pan już widział.

Kapitan skinął głową.

– Z tym mogę żyć – powiedział. – Znam pani możliwości, więc dla mnie, szczerze mówiąc, żadna różnica.

– O jedno tylko pana w takim razie proszę – dodała Amandine surowym tonem. – Niech pan się postara nie zginąć dla Kathryn. Ona by tego panu nie przebaczyła.

Spojrzał na nią ponuro.

– Kontrakt zobowiązuje mnie do obrony mocodawców. Zrobię, co trzeba, żeby królowa Kathryn Verd de Branche d’Argent przeżyła.

Mosiężne podwoje górowały nad nami jak słoń nad mrówką, nawet Liliana wydawała się przy nich nieduża. Przypuszczałem, że na tle miedzianozłotych wrót, łagodnie oświetlonych blaskiem magicznych lamp, z daleka było widać smukłą, białą jak duch smoczyce.

Nie umiałem rzucić na nią zaklęcia maskującego. Aby zadziałać z zaskoczenia, musiała poczekać na zewnątrz. Niepokoilem się, że jej widok prędzej czy później zwabi zakonników, ich żołnierzy i potwory z innych rejonów miasta.

Z pewnym wysiłkiem rozciągnąłem kamuflaż na naszą trójkę. W olbrzymich świątynnych wrotach, zbudowanych tak, aby pomieścić Nidhogga, znajdowało się skromniejsze wejście dla ludzi. Kathryn prawdopodobnie miałyby na tę okazję pięć różnych zaklęć iluzyjnych, ale mnie musiała wystarczyć nadzieja, że



Królewski Smok nie zwróci uwagi na małe, umieszczone tuż przy ścianie drzwi. Na wszelki wypadek pierwszy nacisnąłem klamkę i wślizgnąłem się do środka.

Już od progu wyczułem, jak podnosi się poziom skażenia. Dłuższa chwila ekspozycji na takie stężenie oznaczałaby przyjęcie dawki gwarantującej śmierć w ciągu kilku dni. Kamuflaż na szczęście obejmował osłony; postawiłem kilka dodatkowych warstw. Podobnie jak podczas podróży przez Pustkę do Bretanii zaczęły się wokół siebie łagodnie obracać, zgarniając energię z otoczenia. Zastanawiałem się, kiedy smok wyczuje ubytek. Trzymaliśmy się blisko siebie, Artois był świadom niebezpieczeństwa. Żałowałem, że nie mam detektora; mój zmysł nie potrafił pokazać odczytu pozostałym.

Rozglądałem się uważnie. Znajdowaliśmy się wewnątrz bogato zdobionej świątyni; główna sala była tak ogromna, że smok mógł się tutaj swobodnie poruszać. Potężny Nidhogg przysiadł zresztą w pobliżu ołtarza w pozycji czujnego kota i nie zajmował nawet połowy pomieszczenia. Nie widziałem Kathryn, ale mówił do niej przyciszonym, nieco zirytowanym głosem. Jak się okazało, Królewski Smok umiał szeptać.

We mnie natomiast rosło uczucie *déjà vu*, bo miejsce, w którym się znaleźliśmy, do złudzenia przypominało gmach uczelni, a nie obiekt sakralny. Oczywiście żeby dojść do tego wniosku, należało w myślach obedrzeć ściany ze wszystkich run i płaskorzeźb, pozbawić balustrady złociń, zabrać większość kolumniek – tych, które nie pełniły funkcji nośnej. Poza główną salą świątynia miała trzy piętra z zewnętrznymi korytarzami, które zaczynały się nad bocznymi nawami. Gdy mrużyłem oczy, widziałem drzwi prowadzące do mniejszych pokojów – modlitewnych lub mieszkalnych. Powinny tutaj krążyć tłumy zakonników. Nie wiedziałem, co zrobił Nidhogg, aby się ich stąd pozbyć – trupów na dziedzińcu było niewiele. A może jednak nie bywali w świątyni tak często, gdyż na dłuższą metę też przeszkadzało im skażenie. Nie mieli pełnej odporności jak on.

Wystarczyło mi jedno spojrzenie na wykute w metalu ornamenty, biegnące wzdłuż ściany po mojej prawej ręce, aby zrozumieć, że każda ozdóbka miała sens. Czarne nici mocy Pustki, doskonale dla mnie widoczne, płynęły harmonijnie wzdłuż ustalonych linii i krzywizn. Wpisano je w konstrukcję budowli tak starannie, że nie potrafiłbym po prostu sięgnąć do nich i ich

przetworzyć, podobnie jak nie da się zaczerpnąć mocy z gotowego magicznego dzieła. Poza wysokim tłem, które najwidoczniej było niepożądanym skutkiem ubocznym, nie mogłem zatem liczyć na darmowe jednostki.

Wszystko zbiegało się w jednym miejscu – w okolicach ołtarza. I kiedy wreszcie smok się lekko przesunął i odsłonił widok, zobaczyłem, że stoi tam kapliczka, mała jak altanka i wyraźnie starsza niż reszta budowli, zbudowana z szarego kamienia, który tak dobrze znałem. Nie potrafiłem wyczuć, co znajduje się w środku, kamień był całkowicie nieprzejrzysty dla zmysłów maga. Ale to tam skupiało się najwyższe stężenie wolnej energii Pustki.

Przed kapliczką stała królowa. Wyprostowana, ze splecionymi ramionami, patrzyła na smoka z jednym z tych swoich dumnych, upartych wyrazów twarzy. Zwykle robiła takie miny, kiedy próbowała się przeciwstawić swojej mistrzyni. Doprowadzały Belinde do szału, ale nie wiedziałem, czy Kathryn miała tego świadomość.

Wokół niej połyskiwały osłony stworzone przez Nidhogga, bardzo podobne do tych, które sam potrafiłem zrobić. Jeśli naraziła się na skażenie, wchodząc do świątyni, smok już zdołał je przetworzyć. Szantażował ją – więź albo śmierć? Czy rzeczywiście nie chciał jej skrzywdzić?

Zadałem to pytanie Amandine.

„Lucjusz ma słabość do Kathryn – odparła. – Przy wielu okazjach podkreślał, że królowa ma w żyłach krew najszlachetniejszych rodów i nie musi zadawać się z głupcami. Zjadał jej zaklęcia i nakłaniał ją do posługiwania się Entropią, więc widzi siebie w roli jej nauczyciela”.

„Dobrze, że Artois nie ma z nami połączenia. Mógłby zrobić coś nierozsądnego”.

„Wątpię. Opanowania mu nie brakuje. Widziałeś, jak na siebie patrzą? Do tej pory nie zrobił najmniejszego gestu w jej stronę. Dla niego przepaść między królową a kapitanem najemników jest nie do przeskoczenia”.

Zmrużyła oczy, wpatrując się w kapliczkę.

„Liliana mówiła o wehikule do podróżowania przez Pustkę. Czy tam się właśnie znajduje?”.

„Jesteśmy w nim. – Nagle usłyszałem żywy umysł Kathryn, jakby stała tuż obok nas. – Cała świątynia to wehikuł do podróży przez Pustkę. W tej kapliczce mieści się Wyrocznia i portal, taki sam jak w Avalonie. Gdyby działał jak należy, pojawilibyśmy się w tym miejscu po przybyciu do Bretanii. Projekt jest gotowy. Wystarczy, że zerwę więź z Lily, a ustabilizuję ją z Lucjuszem; uruchomi wtedy łańcuchy run, którymi obudował Wyrocznię, i oderwie całą świątynię od naszego wymiaru. Potrzebował dwóch Źródeł, żeby tego dokonać – królewskiego i swojego. Ale brak własnego mógl ominąć dużą dodatkową dawką przetworzonej mocy”.

Nidhogg poruszył się gwałtownie. Zmrużył ślepią, podniósł się lekko na łapach i powoli obrócił głowę w naszą stronę. Zupełnie jakby nas widział.

– Kamuflaż – mruknął z rozczarowaniem. – Doprawdy, bierzecie mnie za głupca? Twoja moc świeci jak latarnia w mroku, młody kuzynie. Skoro chciałeś, mogłeś po prostu wejść i się przywitać. Widzę też twoich towarzyszy – zaklęcie staje się nieskuteczne, gdy ktoś zwróci na nie uwagę. Teraz ja rozdaję karty. –

Uniósł mój chlebak zaczepiony na pazurze. – Nie zamierzam pozwolić, żeby nieopierzony mag pozbawił mnie należnej chwały. Ale jeśli będziesz grzeczny, zabiorę was ze sobą do Altery.

Rozproszyłem bezużyteczne zaklęcie maskujące.

– Co? Myślałeś, że zamierzam ci ukraść projekt?

– A czego innego mógłbyś chcieć? Przywłaszczyłeś sobie moją samotnię i splądrowałeś pracownię. To naturalne, że pragniesz iść w moje ślady. Nosić mój płaszcz. – Lucjusz westchnął. – Młody Mag Pustki w Arborii nie może liczyć na inne wzorce. Zwłaszcza mój kuzyn. Smutne, chociaż do przewidzenia.

– Posłuchaj... – zacząłem. – Jak ci... to powiedzieć? Żałuję, że nie nawet... zaliśmy relacji rodzinnych. Ale nie to... mnie tutaj sprowadza. Przeanalizowałem... Mogę... ołówkę?

– Nie mam czasu. – Nidhogg się skrzywił. – Podaj mi jeden dobry powód, dla którego miałbym cię teraz wysłuchać.

– A co ci szkodzi? – zapytała Kathryn. – No, powiedz. Próbowaliśmy dojść z tobą do porozumienia przez ostatnie kilka miesięcy! Gdybyś raz porządnie wytłumaczył zasady działania twojej maszyny podróży, może zgodziłabym się

na współpracę. Jak mam ci ufać, wiedząc, ile szalonych rzeczy zrobiłeś już w życiu? Z przenoszeniem się do smoczego ciała włącznie?

– Zawsze to samo – warknął Lucjusz. – Małe, ograniczone umysły na drodze geniuszu. Rzuć mu coś do pisania, byle żadnych kartek. Niech szkicuje na posadzce, jeśli chce. Na białym marmurze wszystko widać.

W moją stronę pofrunął ogryzek ołówka. Kathryn nakierowała go telekinezą tak sprawnie, że wylądował prosto w mojej dłoni. Nie tracąc czasu, nachyliłem się i zacząłem gorączkowo szkicować. Najpierw wzór Reynauda, za pomocą którego Lucjusz obliczał granice stabilności siatki geomagicznej. Później wersję poprawioną, taką, jaka powinna wyjść, gdyby Nadworny Mag nie pomylił znaków.

A na koniec nowe wzory zaczerpnięte ze zbioru monografii, który czytałem dawno temu, jeszcze w Avalonie. Nie pamiętałem wszystkich symboli, więc musiałem dobrze się zastanowić, żeby prawidłowo wywieść dowód. Lucjusz nie miał prawa znać tych teorii; od czasu, gdy przeniósł się do Bretanii, magia w Arborii mocno poszła do przodu. A przeczyły wszystkiemu, co skonstruował. Tak jak powiedziała Margueritte – w ich świetle jego projekt stawał się równie nieprawdopodobny i niezgodny z regułami magii jak *perpetuum mobile*.

Naskrobałem wreszcie znak podkreślający koniec dowodu i podniosłem się znad posadzki. Zapadła grobowa cisza.

Nidhogg wpatrywał się w znaki. Jego źrenice zwężyły się podejrzliwie. Kathryn, której przekazywałem obliczenia przez więź, znieruchomiała jak posąg. W kilku rzędach wzorów pokazałem Lucjuszowi, że nie tylko zrozumiałem jego wywody, lecz także znalazłem w nich nienaprawialny błąd.

I przez parę minut, pełnych napięcia i nadziei, łudziłem się, że Królewski Smok przyjął do wiadomości, że jego wehikuł nie może ruszyć w podróż bez zapoczątkowania reakcji łańcuchowej kolejnego Rozdarcia. Przecież wszystko tam było, czarno na białym. Nawet mimo zbrodni, które popełnił, miałem nadzieję, że zacznie z nami współpracować, oczyszczać Bretanię z kłopotów, w które ją wpędził. Bądź co bądź, czuł sentyment do Kathryn i uważał mnie za młodszą i głupszą kopię siebie samego.

Amandine odczytała jego zamiary wcześniej niż ja, bo nagle uniosła łaskę magiczną i rozpostarła przed nami ochronną tarczę. W naszą stronę buchnęło pełne uderzenie smoczego ognia. Częściowo zatrzymało się na osłonie. Przechwyciłem to, co zostało, i przetworzyłem, chociaż byłem przekonany, że żar wytopi mnie aż do kości. Nabierało się z tego trochę nadmiarowej energii, więc przerzuciłem ją do Kat.

Królewski Smok przestał zwracać uwagę na Kathryn i czarodziejka wykorzystała okazję, aby rzucić zaklęcie Lotu, wystrzelić znad kapliczki i zgrabnym łukiem przeskoczyć cielsko Nidhogg. Kiedy lądowała za naszymi plecami, jeszcze słyszałem alarmujące cykanie jej aparatu. Przez kilka sekund znajdowała się poza osłonami.

„Będę musiał ją oczyścić – pomyślałem – ale skażenie to teraz nasz najmniejszy problem”. Staliśmy oko w oko z dwustutonowym, rozwścieczonym smokiem i nie dzieliło go od nas nic poza tarczą kinetyczną Amandine. Nie byłem pewien, czy wytrzyma chociaż jedno uderzenie. Kathryn już unosiła ręce, już otaczała nas zaklęciami ochronnymi. Poczułem lekką zmianę grawitacji.

– Małpi Skok – wysapała Kat. – Jak zaczniesz atakować, rozbiegniemy się na wszystkie strony. Nie wychodźcie poza osłonę Vince’a na dłużej niż jeden oddech.

„Przygotujcie się do rytuału” – usłyszeliśmy.

Wysokie mosiężne wrota się uchyliły. Poczułem, jak pomieszczenie wypełnia łagodny wiatr. Potargał nasze włosy, wprawił w ruch mój płaszcz i spódnicę Amandine, wyrwał kartki z półotwartego chlebaka, porzuconego przez smoka u stóp kapliczki. Nie wiem, czy to sprawka mojej wyobraźni, ale pachniał miętą.

Liliana wleciała do świątyni, zagarniając do siebie skażoną moc. Ledwo mieściła się w drzwiach z rozpostartymi skrzydłami, więc je stuliła. Przypadliśmy do ziemi, podczas gdy smoczyca wylądowała między nami a Lucjuszem i uderzyła błyskawicznie jak wąż, zatapiając kły w jego szyi i natychmiast się wycofując.

– Zdradliwe robaki – sapnęła Nidhogg, potrząsając głową. Krople smoczjej krwi spadły na posadzkę. – Od początku to knuliście. Od początku chcieliście zabrać mi Wyrocznień, zrobić ze mnie idiotę, zastąpić posłusznymi młodzikami!

W przeblýsku ujrzałem jakby cień snu wyśnionego dawno temu: dwa smoki, błękitnobiały i czarno-złoty, splecione w śmiertelnym klinzczu. Przeczucie? Podpowiedź dana mi przez Wyrocznię? Wiedziałem, że to starcie źle się skończy dla młodszego smoka.

„Amandine, Kathryn, osłaniajcie ją. Bez zakłóć nie da rady. Liliano, czy mnie słyszysz? Możesz mówić?”.

„Walka nie przeszkadza mi w myśleniu, panie Thorpe. Jestem wielozadaniowa. Mamy pełną więź. Proszę zacząć koordynować rytuał”.

„Jak wygląda tło? Ile strzela?”.

„Osiemdziesiąt mikromerlinów. Szkodliwe tylko na dłuższą metę”.

„Kapitanie Artois, jeśli pan znajdzie okazję, można wychodzić poza osłony. Smoczyca wessała większość szkodliwej mocy”.

Amandine przekazała moje słowa.

– Dobrze wiedzieć – mruknął kapitan, przycupnięty w pozie, która nasuwała mi skojarzenia z niektórymi postawami Drogi Czapli. Spodziewałem się, że dobędzie miecza, ale on dzierżył dwa sztylety, z gatunku tych długich i piekielnie ostrych, używanych w ciemnych zaułkach.

„Zaczynamy. Amandine, odcinam cię od połączenia. Przepraszam”.

Skinęła głową.

Liliana otworzyła do rytuału swój przepastny umysł.

Zacząłem przekazywać wzory. Fragment po fragmencie odwracałem proces, którym Lucjusz związał swoją świadomość z Nidhoggiem. Zadanie było o tyle trudne, że nie mogłem po prostu odtworzyć go od końca, między innymi dlatego, że wtedy wycelowałbym go w siebie. Musiałem improwizować. Iść na skróty. Obmyślać algorytmy paskudne jak erling, które w zwykłym trybie pracy usunięto by bardzo prędko, udając, że nigdy nie istniały. Pomagałem sobie, szkicując na posadzce; mimo początkowego optymizmu okazało się, że nie potrafię przemyśleć wszystkiego w pamięci.

Kathryn nanosiła poprawki. Niemal słyszałem, jak zgrzyta zębami, ale powstrzymywała się od komentarzy. Działaliśmy ramię w ramię.

Opracowana przez nas teoria trafiała do Liliany, która podstawiła do wzoru zmienne środowiskowe i przeprowadzała obliczenia. W przypadku zaklęcia czarodziej zajmuje się tym sam, ale tym razem potrzebowaliśmy przekalkulować rytuał kilkadziesiąt razy dłuższy i bardziej złożony niż zwykłe zaklęcie. Lucjusz zapewne rzucał go etapami, przez całą dobę, jeśli nie dłużej. My mieliśmy zaledwie kilka minut, dopóki jednostki zużywane na tarcze ochronne nie zaczną pożerać zapasu, którego potrzebowaliśmy, aby go dokończyć.

Każdy gotowy fragment, po opracowaniu i przeliczeniu przez Lily, nasyciałem mocą i uwalniałem, posyłając w stronę Nidhogga.

Nie od razu się zorientowałem, co robimy. Byłem zajęty opędzaniem się od ataków smoczycy. Lily unikała wejścia w zwanie, doskonale wiedząc, że to by się skończyło dla niej bardzo źle. Wykorzystywała swoją zwinność, aby zadawać Nidhoggowi uderzenia z doskoku, raz po raz. Królewski Smok bronił się tylko i ze zmrużonymi oczami wypatrywał dobrej okazji do rewanżu. Bałem się tego śmiertelnie. Wiedziałem, że jedno zaciśnięcie szczęk lub uderzenie z pełną siłą wystarczy, aby zgruchotać Lily kości. Wokół niej migotały wielowarstwowe osłony kinetyczne postawione przez Amandine, ale czy to wystarczy?

Zrozumiał, co się dzieje, dopiero kiedy magia zaczęła już ingerować w jego umysł i powoli rozplatać więzy, które łączyły Lucjusza z Nidhoggiem. Gdyby to było zwykłe zaklęcie, po prostu by je wchłonął, ale rytuał został stworzony tak, aby wykorzystywać luki w obronie Królewskiego Smoka. Dzięki runom Pustki – a jak mówił Weyland, magia Pustki jest w gruncie rzeczy magią Przestrzeni – kwanty mocy znajdowały się w kilku miejscach równocześnie i Nidhogg po prostu nie mógł ich namacać.

Teraz wiedział, że walczy o życie.

Sprężył się całym w sobie i zrobił dokładnie to, czego się obawiałem – całym ciężarem skoczył na Lilianę, przygważdżając ją łapami do posadzki i zaciskając potężne szczęki na jej karku.

Niekompletne obliczenia zawisły między nami w bezładzie. Myśli ledwo przytomnej smoczycy nadal kontaktowały się z naszymi. Gdzieś daleko wyczuliśmy, jak bezgłośnie odzywa się echo świadomości małej Lily, zatopionej gdzieś w oceanie smoczego umysłu.

Posypały się zaklęcia: mój pocisk entropiczny wymierzony prosto między oczy Nidhogga, lodowe strzały z laski Amandine. Smok wchłonął jedno i drugie. Kathryn zaś stawiała warstwy tarcz kinetycznych wokół Lily i chyba jej taktyka sprawdziła się najlepiej, bo smok lekko rozluźnił szczęki.

I w tym momencie zobaczyłem małą, ciemno odzianą sylwetkę, szybującą tuż przed pyskiem bestii jak wściekły owad. Antygravitacyjne zaklęcie Kathryn wciąż działało i Artois z niego skorzystał, odbijając się kolejno od posadzki, filarów i zwojów smoczego cielska. Błysnęły ostrza sztyletów. W następnej chwili kapitan zwisał jak wspinacz ze skały z nożami wbitymi po rękonoścu w bursztynowe oko Nidhogga.

Królewski Smok zawył i się poderwał. Roztrzaskiwał ogonem filary świątyni, kruszył głową balustrady. Kapitan frunął szerokim łukiem przez świątynię i padł nieruchomy, zsuwając się ze ściany. W ostatniej chwili wydawało mi się, że widzę miedziany blask w miejscu, gdzie upadał.

Kathryn krzyczała, a łzy ciekły jej po policzkach.

Umysł Liliany znów błysnął obok naszych.

„Jestem tutaj. Kathryn, nie płacz. Jestem tutaj”.

„Artois nie żyje!”.

„Nie wiadomo. Proszę, dokończmy rytuał. Uratuj nas, Kathryn”.

„Ale czy ty niczego nie rozumiesz? Brakuje nam jednostek! Zużyłam wszystko na tarcze dla ciebie i dla niego!”.

Nie jestem pewien, ale chyba wtedy coś mi się przestawiło w mózgowicy.

Ruszyłem biegiem w stronę walczących smoków, odbijając się od posadzki jak piłka. Potykając się, mijałem plamy smoczego posoki i skakałem po ukruszonych świątynnych filarach. Stopa znowu przestała mnie słuchać, ale jakoś mi to nie przeszkadzało. Moje matematyczne wykształcenie zespoliło się z Drogą Czapli i widziałem, pod jakim kątem i w jakiej odległości muszę opaść na kamienie, aby się odbić – dłonią lub zdrową stopą – i biec dalej. Przeliczyłem wszystko na bieżąco. W pewnym momencie odkryłem, że otacza mnie półprzezroczysta zbroja ochronna. Nie czułem, żeby Kat zaczęła rzucać jakieś zaklęcie, więc to Amandine musiała się włączyć do działania.



Nidhogg obracał się wkoło zdezorientowany, usiłując skupić na mnie spojrzenie jedyne go oka i upolować mnie jak myszokoczek. Najpierw jego opancerzona łapa huknęła obok mnie, chwilę później nad uchem poczułem gorący, cuchnący oddech smoka. Mógłby we mnie zionąć, to by wszystko ułatwiło. Chętnie bym mu zabrał tę energię.

Dotarłem wreszcie tam, gdzie chciałem. Stałem przed wejściem do szarej kapliczki, skąd skażona moc buchała z wielkim natężeniem. Zdjąłem osłony, żeby skuteczniej przetwarzać.

Wiedziałem, że nie wszystko zdązę obrobić i zanim moc dotrze do Źródła, będzie niszczyć moje tkanki. Właśnie po to stawiałem osłony, aby tego uniknąć i wchłaniać magię Pustki w sposób kontrolowany. Ale nie potrzebowałem wiele czasu. Minutę, może dwie. Moc wpłynęła do moich kanałów energetycznych, a ja zacząłem układać ją w regularny, uporządkowany strumień czystej energii magicznej.

„Kathryn, podaję oryginalne wzory z Czeluści. Musisz je sama podwracać. Dasz radę?”

„Już wiem, jak to idzie – przekazano mi niepewnym tonem. – Zrobiliśmy ponad połowę, dam sobie radę. Będziemy ci z Lilianą przekazywać gotowe wzory, ty tylko nasycaj je energią”.

Oczywiście wszystko byłoby pięknie, gdyby Nidhogg dał nam spokojnie obliczać.

Teraz miotał się jeszcze ze sztyletami w zakrwawionym oku, podczas gdy moja narzeczona z zaciśniętymi zębami nawarstwiała zaklęcia ochronne na Lilianę. Smoczyca podniosła się z ziemi, ale jedna z jej łap zwisła bezwładnie, kark miała zakrwawiony, i co najgorsze – ciągnęła za sobą skrzydło. Rzuciłem kolejne elementy rytuału. Palce mi cierpły, wzory jak płatki śniegu lśniły i rozplýwały się w powietrzu. Wolałem nie myśleć, ile energii poszło na straty i czy dalibyśmy radę, gdybym jako czarodziej miał większą wprawę.

Zostało jeszcze trzynaście ogniw łańcucha rytuału.

Nidhogg opadł na cztery łapy i potrząsnął głową.

Dziesięć.

Obrócił się w moją stronę, mierząc we mnie zamiast w Lilianę.

Osiem.

Podniósł się na tylne łapy, a przednimi szarpnął za kolumny, które podtrzymywały sklepienie ołtarza osłaniającego kapliczkę – posągi, płaskorzeźby, witraż... Serce podeszło mi do gardła. Doszedł do wniosku, że mnie nie trafi, więc postanowił rzucić na mnie sufit. Szarpnąłem za klamkę drzwi do kapliczki Wyroczeni – lepsze skażenie niż spadające głązy.

„Koniec – pomyślałem z przerażeniem – nie dam rady tego dokończyć”.

I wtedy od strony świątynnych wrót rozległ się huk. Jeden, potem drugi. Nidhogg wzdygnął się i odruchowo odwrócił. Na jego brzuchu wykwitwały dwie czerwone plamy.

Spojrzałem w stronę wrót, półświadomie zastanawiając się, co to za zakłęcie, którego Królewski Smok nie umiał pochłonąć.

Do końca życia nie zapomnę tego, co zobaczyłem.

W progu świątyni stał srebrny Rydwan. Ozdobiono go chyba tysiącem różnych listków, zwierzątek, fal i spiralek, a wszystko to wysadzone było brylantami i skrzyło się w świetle automagicznych lamp. Po bokach miał srebrne skrzydełka. Ciągnął go niematerialny, śnieżnobiały skrzydlaty jednorozec.

Rydwany są zazwyczaj przeznaczone dla jednego pasażera, ale ten zaprojektowano co najmniej dla czterech, a zmieściło się ich tam znacznie więcej. Lejce jednorozca trzymała dumnie wyprostowana Theresa von Feuerstein, obok stała Belinde Chamomille z rozwianym włosom i marsową miną. W rękach trzymała dymiącą dwururkę. Druga postać, osłonięta czarną peleryną z kapturem, też mierzyła do smoka z broni palnej, pochylona i wsparta asekuracyjnie o rydwan. Rusznicę opierała na prawej, amputowanej za łokciem ręce, podtrzymywała ją lewą. Pomagał jej Blanchet. Za nimi tłoczyli się moi czarodzieje.

– Mówiłam, że się sama zgłoszę! – zawołała chrapliwie Margueritte. – Żryj ołów!

Chciało mi się śmiać i płakać jednocześnie, ale nie dałem się wyprowadzić z równowagi.

„Obliczajcie dalej!”.

Królewski Smok ruszył w stronę Rydwanu. Amandine i Kathryn odskoczyły w boczną nawę, Liliana odsunęła się pod ścianę. Nad pojazdem zawirowała kakofonia zaklęć defensywnych.

Pięć. Trzy.

Meg wypaliła z rusznicy w Nidhogga.

Dwa. Jeden.

Wypuściłem z palców ostatni wzór i upadłem na kolana.

Przed nami w powietrzu formowały się runy połyskujące srebrem i miedzią. Do złudzenia przypominały symbole wpojone w ściany Czeluści. Oczywiście kto się znał, widział, że pojawiały się w odwrotnej kolejności, i gdyby chwilę się zastanowić, można by dostrzec nasze autorskie modyfikacje.

Łańcuch run owijał się wokół Królewskiego Smoka i świadomość Lucjusza kruszyła się jak farba na starym obrazie, a przynajmniej tak mi się wydawało. Nidhogg opadł ciężko na posadzkę i zaczął szybko, rozpaczliwie oddychać. Kiedy rozpoczynaliśmy rytuał, miałem nadzieję, że po odwróceniu procesu odzyskamy dla świata dawnego smoka, ale w trakcie przekształcania wzorów zrozumieliśmy, że ingerencje Lucjusza zaszyły zbyt głęboko. Odseparowanie obydwu świadomości oznaczało, że obaj umrą – zarówno Nadworny Mag, jak i Królewski Smok. I mimo wszystko żałowałem, że musiało do tego dojść.

Wreszcie Nidhogg, były Królewski Smok, a zarazem poprzedni Wielki Mag i mój kuzyn, wypuścił powietrze z płuc i zamarł pośrodku wehikułu, który budował przez ostatnie kilkadziesiąt lat.

Cisza aż dzwoniła w uszach.

Usiadłem na kamieniach przed kapliczką. Odruchowo rozpostarłem wokół siebie osłony. Oczyszczałem skażenie, zanim narobiło szkód w moim ciele. Samozachowawczy instynkt Maga Pustki działał usłużnie, jak zawsze.

Nie musiałem już gromadzić jednostek. Niczego nie musiałem. Nie mogłem uwierzyć, że to już koniec.

Nie. Podniosłem się, opierając dłonie o kolana. Nie koniec. Mamy rannych.

Trzeba pomóc Lilianie. Trzeba uratować kapitana Artois. Może jeszcze żyje? Leżał pod filarem; obok niego dostrzegłem Kathryn. Właśnie dobiegała do nich

księżna d'Opal. Odetchnąłem. Wiedziałem, że zna dużo lepsze zaklęcia uzdrawiające niż ja, i skoro zabrała się do pracy, to znaczy, że jeszcze ma szansę.

Powłócząc nogą, skierowałem się w stronę rannej smoczy. Mała Lily. Niosła uczennica Margueritte. Nasza schrzaniła odpowiedzialność.

I mniej więcej w połowie drogi poczułem na karku obce spojrzenie. Prawie namacalne, jakby się we mnie wwiercało. Rozejrzałem się wkoło. Czas zwolnił. Ktokolwiek na mnie patrzył, znajdował się tutaj, w tym pomieszczeniu, ale nie należał do naszej grupy.

Widziałem go w oddali. Małą postać opartą o balustradę. Nasze spojrzenia się spotkały i nagle uległem złudzeniu, że znajdujemy się od siebie na wyciągnięcie ręki. Miał królewską koronę na głowie, pomarszczoną, wiekową twarz i puste, pochłaniające światło oczy, w których drzemała cała przerażająca nieskończoność Pustki.

Wcześniej uważałem, że Philippe przebywa w towarzystwie Arcydiakona, razem z królewską armią. Najwidoczniej się myliłem. Ale to, co na mnie patrzyło, nie było Philippe'em. Ani człowiekiem czy też czymś humanoidalnym.

Odniosłem wrażenie, że mnie studiuje. Zapamiętuje. Nie mogłem oderwać od niego wzroku.

W moim umyśle rozległ się głos, przenikający obcością do samego szpiku kości. Jakby ktoś tłumaczył swoje myśli nie tylko z innego języka, lecz także z odmiennego zestawu pojęć.

„Wróć, gdy będziesz bardziej doświadczony”.

Uniósł wzrok ku górze. Otoczyło go światło. Teraz pozostali także go dostrzegli; Bernard wskazywał palcem i coś mówił, Margueritte potrząsała gniewnie głową, Belinde biegła w moją stronę. Philippe roztopił się w filarze blasku, który wystrzelił w przestrzeń, przebił sklepienie na zewnątrz i zniknął.

– Vince! – Amandine stała obok i mnie podpierała. – Obudź się, Vince!

– Tak – bąknąłem niewyraźnie. – Mamy jeszcze bardzo dużo pracy.

\* \* \*

W niedługim czasie dowiedziałem się, dlaczego tak trudno archeologom znaleźć szczątki smoków i że prawdopodobnie wszystkie szkielety, które

odzyskano w Arborii, zostały celowo spreparowane przez starożytnych. Nidhogg leżał bez ruchu już kilka dobrych minut, zanim jego kontury rozmyły się i zaszła transformacja, jakiej już raz byłem świadkiem. Spodziewałem się, że na posadzce zmaterializuje się postać Lucjusza, ale okazało się, że po Królewskim Smoku nie zostało nic poza kupką popiołu. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, gdzie się podziała cała ta masa. Skażenie w pomieszczeniu nie wzrosło, a zatem nie uwolniono gwałtownie żadnej energii. Najwidoczniej niewiele jeszcze wiedziliśmy o smokach.

Przez ten czas doglądaliśmy Liliany. Kiedy walka dobiegła końca, smoczyca skuliła się pod filarami, rozpościerając złamane skrzydło, i popiskiwała jak mały psiak. Rzuciłem zaklęcia powstrzymujące krwawienie, omywałem jej bark i szyję ziołowymi roztworami (jak się okazało, zawartość skradzionej przez Lucjusza zielarskiej sakwy ocalała), sprawdzałem, jak głębokie są rany. Wreszcie smoczyca zamknęła oczy, a jej oddech się wyrównał. Zasnęła.

I w tym momencie jej kształty zaczęły się dematerializować, przybierać nakładające się na siebie geometryczne formy, zmieniać. Po chwili leżała przed nami śpiąca Lily, cała i zdrowa, jakby jej alter ego nigdy nie brało udziału w walce. Nawet fryzurę miała nienaganną. Amandine delikatnie wzięła dziewczynkę na ręce, pociągnęła nosem.

– Dzięki Wędrowcowi.

– Nie wiem – szepnąłem – jak to zniosła. Czy pozostanie sobą.

Powieki Lily drgnęły. Otworzyła oczy, popatrzyła po nas zdezorientowana.

– No i co? – spytała cicho. – Pokonaliśmy go?

– Nic nie pamiętasz? – Spojrzałem na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Fragmenty – przyznała. – Ukradłam moc panu Thorpe’owi. Pamiętam miasto z góry. Potem coś mnie ugryzło. I czułam się tak, jakbym pływała na wielorybie.

Moja narzeczona uśmiechnęła się lekko.

– Rozważaliśmy bardzo poważnie umieszczenie cię w wiejskim gospodarstwie na jakieś pięć, może dziesięć lat – powiedziała. – W miejscu tak nudnym, żeby jedyną rozrywką było łowienie ryb, palenie ogniska nad rzeką i pożeranie ciasta drożdżowego.

– Rozważaliśmy? – Popatrzyłem na Amandine.

– Porozmawiasz z rodzicami?

– A co z moją karierą czarodziejki? – Lily ziewnęła. – I Królewskiego Smoka? Muszę uczyć się magii, i to na pewno nie od pana Thorpe’a. Co z Meg?

– Meg idzie na urlop zdro...wotny – przypomniałem. – Nie wiem, czy da radę cię uczyć, przynajmniej przez... pewien... czas.

– Mogłaby rozłożyć domek obok was – zauważyła Amandine. – Chyba że zabierze Lilianę do własnego dworku.

– W tym stanie sama będzie wymagać pomocy... – Pokręciłem głową. Dziewczyny jej nie widziały, nie zdawały sobie sprawy z tego, jak niewiele jej brakowało. Powinna mieć towarzystwo Belinde albo mojej mamy.

– Żadnych dworków – nastroszyła się Liliana. – Wolę ryby, ognisko i ciasto drożdżowe. Przypomina... przypomina mi dom...

Ostatnie słowa wymamrotała prawie przez sen.

A mnie pozostała jeszcze do odfajkowania Trzecia Wyrocznia. Skażenie w świątyni znów zaczynało z wolna rosnąć. Wiedziałem, że będę musiał pouświadczyć ślady mocy Pustki z ciał wszystkich, którzy znajdowali się w środku; ktoś – Kathryn, a może Belinde – ostrzegł, aby nie zbliżać się do kapliczki. Ale najpierw trzeba było rozwiązać przyczynę tego problemu i odmotać to, co Nadworny Mag zrobił z Wyrocznią. Tylko dzięki niej mogliśmy przecież wrócić do domu.

Wszedłem i szybko zamknąłem za sobą drzwi. Wirowało wokół mnie aż siedem osłon i wołałem, żeby energia znajdująca się wewnątrz nie skaziła świątyni. Spodziewałem się, że zastanę Skuld w środku, na dziedzińcu z fontanną. Znalazłem puste pomieszczenie ze ścianami wyłożonymi mozaiką drobnych wielobarwnych kamieni, półprzezroczystych jak glicerynowe mydełko. Zarówno mozaikę, jak i posadzkę z szarego kamienia obudowano łańcuchami srebrnych run. Pośrodku zobaczyłem czarny wir, w który nie sposób było dłużej się wpatrywać – otwarty portal w Pustkę. Przypomniałem sobie, że opis tego zjawiska znalazł się już w księdze prorocत्व Czarnej Meg. W przeciwieństwie do portalu w Avalonie to przejście samo z siebie powinno pozostawać zamknięte. Symbole rozmieszczone na ścianach sprawiały, że Skuld nie potrafiła przywrócić

go do zwykłego, stabilnego stanu. Trochę mi się zrobiło słabo, kiedy pomyślałem, że czerpałem bezpośrednio z żywej Pustki.

Starając się nie myśleć o tym, że każdy oprócz mnie zginąłby w tym miejscu w ciągu kilku minut, odnalazłem symbole, od których należało zacząć rozbijać całą konstrukcję Lucjusza. Starannie rozplatałem ich magię, pamiętając, jak razem z Bernardem zajmowaliśmy się zabezpieczeniami w l'Échelle de Soleil. Już po trzecim symbolu portal zamknął się z cichym sykiem. Tyle skażenia, ile zostało wewnątrz, mogłem już swobodnie przetworzyć, a nadmiar mocy zmagazynować w magicznym płaszczu.

Po tym jak rozprawiliśmy się z Lucjuszem, miałem ochotę wyrzucić jego używaną odzież do kosza.

Zdjąłem już kilkanaście run i usiadłem na posadzce, żeby trochę odpocząć, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Żyję – powiedziałem.

– Czy można już wejść, panie Thorpe? – rozległ się stłumiony głos generała von Feuerstein. – Belinde powiedziała mi, że „nie strzela”, cokolwiek to znaczy.

Otworzyłem drzwi.

– Panna Verd nadal zajmuje się swoim kapitanem, toteż postanowiłam, że sprawdzę, jak się ma Skuld – odezwała się Theresa. Zanotowałem, że nie nazwała Kathryn „królową”. – Rzeczywiście pan znów mówi?

– Krótkimi zdaniem – przyznałem. – I czasem trzeba... czekać.

– Magowie szybko odzyskują werwę. – Generał rozejrzała się wkoło. – Szanowna Wyrocznio, czy nas słyszysz? Czy nadal czujesz się zakuta w łańcuchy?

Krajobraz wokół nas zaczął się rozmywać, niknąć, zmieniać.

Staliśmy we dwoje na dobrze mi znanym dziedzińcu z białymi marmurowymi ławeczkami i fontanną z rzeźbą w kształcie egzotycznej, esowatej ryby. Skuld siedziała na cembrowinie. Kołysała stopami.

– Panno Thereso – skinęła głową w moją stronę – i Wielki Magu. Niemal mnie oślepieno, ale czasem obserwowałam świat za pośrednictwem twoich snów.

Zakrztusiłem się.

– Wcale o to nie prosiłem.

– Zwykle pytam o zgodę. – Wyrocznia schowała dłonie między kolanami. Jej zielone włosy spływały wzdłuż ramion; wyglądała równocześnie obco i dziewczęco. – Ale nie wtedy, kiedy ginie świat. Jeszcze go nie ocaliłeś, Wielki Magu. Nie zatrzymałeś Rozdarcia. Nie mogę was odesłać. Twoje miejsce jest tutaj, w Bretanii.

– Czy ktoś ci kiedyś mówił, że jesteś prawdziwą tyranką? – Zorientowałem się, że w komnacie Skuld wolno mi mówić swobodnie, więc zachęcony kontynuowałem: – Jak to sobie wyobrazasz, że odbudujesz bretański Triumwirat z Kathryn jako królową i jedenastoletnią dziewczynką w roli Królewskiego Smoka? Mała potrzebuje psychoanalityka, a nie kolejnych wyzwań. A może z czasem też pomiesza nam się w mózgownicach i spróbujemy eksperymentów. Wszechświat to poważna sprawa, jego losy nie powinny zależeć od ambicji jednego Nadwornego Maga, a nawet trójki rozumnych istot. Kim w ogóle był ten obcy w skórze Philippe’a? Czy Lucjusz ściągnął go tutaj przypadkowo?

– Nie wiem – odparła – i to mnie drażni, gdyż zazwyczaj wiem wszystko. Zdestabilizował moje osłony. Nie widzę innego sposobu utrzymania bezpieczeństwa Bretanii, jak odbudować Triumwirat. Chyba że obmyślicie coś lepszego. Wtedy jednak najpierw chciałabym zobaczyć i ocenić wasze rozwiązanie.

Theresa von Feuerstein odchrząknęła.

– Trzecia Wyrocznio, z całym szacunkiem, ale przeoczyłaś pewien istotny drobiazg. Nie mogę pozwolić, aby moim krajem władało aż troje Arboriańczyków. Nie po to uwalniałam kraj od Zakonu, żeby się znalazł pod okupacją. Czy tego pragnie Wędrowiec?

– To ludzkie sprawy, Thereso. – Skuld uśmiechnęła się do niej ciepło. – Rozwiąż je po ludzku, ale pozostaw ich żywych, zdrowych i zdolnych do czynienia magii. Liczę na ciebie, prorokini.

I znów staliśmy na szarej posadzce, w otoczeniu mozaiki.

– Ludzkie sprawy – rozzłościła się Theresa. – Bogowie są trudni we współpracy! Na Pustkę! Pan wybaczy, panie Thorpe.



– Nie szkodzi. – Popatrzyłem na runy. – Zajmę się tym... później. Wyglądają w miarę... stabilnie. Czy nikt... nie bronił... świątyni?

– Proszę zamilknąć, nie mogę słuchać pańskiego jąkania. – Von Feuerstein machnęła ręką. – Rozgromiliśmy chyba z pięć ksenowurmów. Pańscy ludzie są niezwykle lojalni. Myślałby kto, że im też pan uratował życie.

Zeszliśmy po schodkach. W naszą stronę zmierzała Kathryn, błada i z podkrążonymi oczami, ale przytomna. To zapewne oznaczało, że Artois przeżył – a przynajmniej taką miałem nadzieję. Prawdopodobnie zajmowała się nim przez cały czas, gdy rozbrajałem runy, i teraz byłem świadkiem pierwszego spotkania królowej i prorokini.

Wiedziałem już dość o bretańskich zwyczajach, żeby odczytać niuanse zachowania generał von Feuerstein. Podejrzywałem, że Kathryn też. Chociaż słabo się znała na ludziach, potrafiła uczyć się reguł; zawdzięczała to szkole dla młodych panien, do której kiedyś uczęszczała przez cały rok.

Theresa podeszła do królowej, ale nie uklękła. Nie złożyła jej hołdu. Wpatrywała się w Kathryn, czekając, aż ta zareaguje. Tknięty przecuciem, rozejrzałem się wkoło. Wszyscy na nie patrzyli.

Kathryn Verd wyciągnęła do Theresy dłoń.

– Arboriańska etykieta – powiedziała cicho generał. – Czy tak? Co to oznacza?

– Zgodę – odparła Kat. – I coś więcej. Kto zajmuje znaczniejsze stanowisko, podaje rękę pierwszy. Z drugiej strony pierwszy podaje też dłoń gospodarz, którym nie jestem. Powinnyśmy się nad tym zastanowić.

Theresa von Feuerstein roześmiała się gromko i uścisnęła jej dłoń.

– Powinnyśmy. Milady de Branche d'Argent, nie dam swoich wojsk w komendę temu partaczowi Trevancelowi. Niech wraca do swoich destylatów, może któryś z czarodziejów weźmie go na ucznia.

– Pani najechała Bretanię, ja najechałam Bretanię, trzeba jakoś podzielić łupy – powiedziała twardo Kathryn. – Ale najpierw musimy rozgonić wojska Arcydiakona. Kiedy ruszy w waszą stronę, może pani liczyć na odsiecz. Mam tylko jedną prośbę.

Brwi Theresy powędrowały w górę.

– Tak?

– Gdy wróci pani do swoich, odbiorę mój Rydwan. Nidhogga już nie ma, a Lily nie powinna się ponownie przemieniać. No, muszę zrobić odpowiednio przytłaczające wrażenie.

– Przepraszam uprzejmie.

W stronę obydwu pań kuśtykała Margueritte. Okryta od stóp do głów peleryną, opierała się na Blanchecie.

– Jeśli chodzi o Królewski Rydwan, to chcę przypomnieć, że nie należy ani do pani von Feuerstein, ani do ciebie, Kat. Ma numer ewidencyjny avalońskiego magazynu muzealnego i powinien tam jak najprędzej wrócić. Jeśli go uszkodzisz, potrączę karę z twojego stypendium. Mówię poważnie, drogie panie. Weyland mógł wam dać coś, co nie jest zabytkiem!

\* \* \*

Piętnastego lipca 753 roku po Wojnie Rozdarcia na Chabrowych Polach starły się wojska Arcydiakona i generał Theresy von Feuerstein, znanej także pod przydomkiem Płomień. Dołączyła do niej armia młodej królowej Kathryn Verd de Branche d'Argent, która osobiście uczestniczyła w walce, unosząc się nad polem bitwy na srebrnym Królewskim Rydwanie i częstując pustkostwory zakłęciami.

Kroniki wspominały tę bitwę jako najkrwawszą i najstraszniejszą w spisanych dziejach Bretanii. Po stronie bezimiennego Arcydiakona stanęły istoty rodem z Zaświatów, jakich nigdy wcześniej ani później (biorąc pod uwagę czas mojego życia) nie widziano na kontynencie: wielorękie trolle, które zaganiały niespokojnych zmarłych do szyku tak, jak owczarki zaganiają owce do zagród; pięć łuskogrzbietów ocalałych po pamiętnej nocy, gdy dwa smoki wdarły się do Bazyliki Cierpliwego Wędrowca, wywołując szkody nie do naprawienia. No, ogólnie, wszystko, co skażone i plugawe.

Tymczasem wśród wasali Philippe'a II Verlaina de Branche d'Argent rozeszły się wieści, że król nie żyje i prawdopodobnie zmarł już jakiś czas temu, a człowiek, którego Arcydiakon wystawił na czele wojsk, to zwykły oszust i marionetka. Jeden z książąt, mający posłuch wśród pozostałych, sprawdził plotki i je potwierdził. Świetnie się składało, że po przeciwnej stronie prawo do tronu rościła sobie młoda królowa, której pochodzenia nie dało się podważyć,

obdarzona prawdziwą czarodziejską mocą, przemierzająca świat na skrzącym się Królewskim Rydwanie. Opowiadano, że przybyła wraz ze swoim smokiem, chociaż plotkarze nie mogli się zdecydować – białym czy czarnym. Co więcej, wydawało się, że weszła w sojusz z najeźdźcą, generał Theresą von Feuerstein. Istniała całkiem spora szansa, że dzięki nowemu rozwojowi wydarzeń można by uniknąć osadzenia na tronie jednego z przygranicznych książątek. I wszystkim już zbrzydło uczestniczenie w festiwalu plugastwa, jaki Zakon Cierpliwego Wędrowca roztoczył przed nimi w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Jeśli ktoś miał chęć i możliwości, aby walczyć z abominacjami, należało mu pomóc, a nie przeszkadzać.

Krótko mówiąc, w samym środku bitwy część wasali Philippe'a zamiast z nami walczyć, zwróciła się przeciwko własnej armii. Nasz wywiad, czyli Blanchet i Popielnicy, tymczasowo pod wodzą Eugène'a, gratulowali sobie dobrze wykonanej roboty.

Amandine brała udział w walce. Stała na Rydwanie obok Kathryn i raziła laską magiczną we wszystko, co zasługiwało na usmażenie. To dzięki jej nieugiętej postawie udało się podporządkować hrabiego Trevancela oraz jego wasali po powrocie do obozu. Kathryn miała twarde argumenty, czyli Rydwan i Lily – której przemianę obserwowała okazała grupa osób – ale to moja narieczona potrafiła negocjować z ludźmi. Kathryn mogła należycie się prezentować i podrzucać strategiczne pomysły, lecz to lady Cerise w gruncie rzeczy dowodziła armią. Wzięły do spółki Belinde Chamomille i przemierzały pole bitwy jak trzy boginie wojny.

Nie obyło się, rzecz jasna, beze mnie. Ktoś musiał dać sobie radę ze stworami Pustki i skażonymi kapłanami. Zabrałem ośmioro czarodziejów z Bernardem na czele (który szybko doszedł do siebie, gdy tylko się najadł i wyspał) i wspólnie szerzyliśmy destrukcję. To znaczy oni szerzyli, ja zajmowałem się podtrzymywaniem osłon, szczęśliwy, że niczego nie muszę przeliczać.

Wspólnie zrównoważyliśmy siły magów renegatów Zakonu Cierpliwego Wędrowca. Nie pamiętam nawet, kto w końcu zabił Arcydiakona. Dużo później dowiedzieliśmy się, że to stanowisko zajmował zawsze najstarszy żywy kapłan; wymieniali się mniej więcej co pięć lat i dlatego właśnie przestali używać imion. Arcydiakon, z którym walczyliśmy, nie był tym samym człowiekiem, któremu

Theresa poprzysięgła zemstę. Wbrew temu, co myśleliśmy, zakonnicy nie znaleźli sposobu na przedłużanie życia Napiętnowanych w nieskończoność.

Mimo dezercji niektórych wasali Philippe'a walka między naszymi wojskami i armią zakonników trwała długo i przyniosła wiele ofiar. Nie dałem rady odessać skażonej mocy ze wszystkich oddziałów chodzących trupów, a i zwykłych żołnierzy – konnych i piechoty – wystawiono w polu kilka tysięcy. Ostatecznie, chociaż straciliśmy wielu ludzi, klęska Zakonu okazała się całkowita.

Pobojowisko sprzątno jeszcze przez wiele dni. Ale Nouveaux Dijon otworzyło przed nami podwoje i przyjęło królową Kathryn kwiatami, chlebem i winem. Na razie udawaliśmy, że szeregowi kapłani Zakonu, którzy nie mieli nic wspólnego z szerzeniem skażenia, nie istnieją. Theresa von Feurestein najchętniej rozwiązałaby problem, wieszając ich wszystkich na solidnie zbudowanych szubienicach, ale rozumiała, że to się nie godzi. Zwłaszcza w przededniu koronacji.

\* \* \*

Wiele dni później spotkaliśmy się wszyscy w sali Rady Królestwa Bretanii, nieużywanej odkąd Philippe II Verlain przegonił pół dworu i zaczął sprawować rządy absolutne. Przy stole zasiadło razem kilkudziesięciu możnych. W tym, rzecz jasna, Theresa oraz my – Arboriańczycy, pominąwszy Lily, która jako niepełnoletnia nie uczestniczyła w naradach, niezależnie od tego, czy była Królewskim Smokiem, czy też nie.

Rozejrzałem się wkoło. Dostrzegłem Bernarda i Blancheflor, którzy reprezentowali czarodziejów z Blanche Neige, hrabiego Trevancela (duże odszkodowanie sprawiło, że zrezygnował z królewskich ambicji, i to z ulgą – widok dwóch smoków podobno mocno się odbił na jego psychice), oraz wielu innych arystokratów, których w tym czasie poznałem. Gdzieś w kącie zauważyłem Blancheta. Przy stole siedział blady, ale dumnie wyprostowany Artois, teraz Artois Narbonne de Branche d'Ambre, dowódca królewskiej gwardii. Wszyscy się zgadzali, że jeśli za coś można przyznać szlachectwo, to ratowanie królowej przed śmiercią i świata przed Rozdarcem wlicza się do słusznych okazji.

Margueritte doszła do wniosku, że chętnie zaadoptuje takiego fajnego chłopaka. Jako ostatnia przedstawicielka de Branche d'Ambre na obydwu kontynentach miała do tego pełne prawo.

Zastanawiałem się, co jeszcze kryło się za tą decyzją. Meg nikogo pochopnie nie przyjmowała do swojego najbliższego kręgu, a na pewno nie chciała grać roli swatki.

Kathryn Verd de Branche d'Argent stała wyprostowana, ze srebrną koroną na skroniach, czytając na głos z długiego zwoju:

– Ustanawia się prorokinię Theresę von Feuerstein, głównodowodzącą wojsk królewskich oraz poprzednią dowódczynię gwardii Philippe'a II Verlaina, regentką do czasu osiągnięcia przez Królewską Smoczycę Lilianę Henriette Araucarię de Diego Otero de Branche d'Opal dojrzałości czarnoksięskiej.

Patrzyłem dookoła, oczekując sprzeciwu. Podczas naszej ewentualnej nieobecności ten edykt czynił Theresę monarchinią Bretanii. Zapowiedziała już, że ustąpi, dopiero gdy nie będzie w stanie pełnić służby, a liczyła sobie zaledwie czterdzieści dziewięć lat i miała nadzieję na zachowanie sił jeszcze przez długi czas. Prawdopodobnie zamierzała zmienić ustrój królestwa, tak aby osłabić wpływy Triumwiratu.

Wyglądało to tak, jakbyśmy oddawali za darmo większość władzy, ale prawda była taka, że nie wszyscy Bretańczycy akceptowali trójkę cudzoziemców na najważniejszych stanowiskach. Tylko Kathryn przyjęto bez żadnego wahania – jej bezpośredni sposób bycia przemawiał do tutejszej arystokracji. Kiedy po zwycięstwie nad wojskami Philippe'a niechcący obraziła co najmniej pięciu różnych wielmożów, wzięto jej zachowanie za przejaw silnego charakteru. Zalotnicy ustawiali się w kolejce, ale Kat już zapowiedziała, że nikogo nie zamierza faworyzować i zostanie panną. De Béryl, któremu przyrzekła rękę, na szczęście zginął w bitwie.

Wszyscy mieli też chrapkę na regencję w imieniu smoczycy, ale wybór jednego arystokraty oznaczałby wojnę z pozostałymi. Prorokini Theresa, namaszczona przez samego Wędrowca, okazała się wystarczająco dobrym kompromisem. Pewne moje wątpliwości budziła sprawa rządów wojskowych, bo historia mówi, że to się różnie kończy, ale w tej chwili Bretania popadła w ruinę,

gościńce roily się od bandytów, a dzikie pustkostwory nadal pustoszyły kraj. Płomień mogła się rozprawić z tymi problemami.

– Ustanawia się lady Amandine Cerise de Branche d’Aure Nadworną Maginią Królestwa Bretanii oraz pana Vincenta Thorpe’a w obowiązkach Wielkiego Maga.

Długo ustalaliśmy szczegóły, spierając się z arystokratami. Jak wspomniałem, powszechnie się zgadzano, że za ocalenie świata od Rozdarcia można otrzymać tytuł szlachecki, a gałąź d’Aure była wymarła i do wzięcia. Ja odmówiłem; może to trochę głupie, ale na razie miałem alergię na wszystko, co budziło skojarzenia z Lucjuszem. Czarny płaszcz zapakowałem z powrotem do składanego domu i starałem się o nim zapomnieć.

– Przecież lady Cerise nie jest nawet magiem! – sprzeciwił się Bernard, na co moja narzeczona odparła, że dokładnie sprawdziła prerogatywy przyznawane Nadwornemu Magowi i przekładając na arboriański, jego stanowisko odpowiada ministerstwu magii, nauki i sztuki. I właśnie taką organizację zamierzaliśmy powołać do życia.

Doznawałem ulgi na myśl, że Amandine zajmie się biurokracją – moje trudności z mową nie ustępowały, a sprawność fizyczna wracała bardzo powoli. Chciałem się skupić wyłącznie na pracy z magią. Zapowiadało się kilka trudnych miesięcy.

– Ustanawia się Gildię Magów Bretanii na terenie Bazyliki Cierpliwego Wędrowca po przystosowaniu budynku do zamieszkania i nauki.

Okazało się, że Lucjusz, planując długą podróż przez Pustkę, wybudował pałac ze wszelkimi wygodami. Po oczyszczeniu go ze skażonej energii wbudowanej w obiekt dostaliśmy miejsce, gdzie można było zgromadzić wszystkich emerytowanych arystokratów czarodziejów, aby knuli przeciwko sobie, obmyślali eksperymenty i służyli krajowi lepiej niż prowadzeniem kolejnej wojny domowej. Większość z nich przyjęła naszą propozycję – przyzwyczaili się do swobody i braku obowiązków, jakimi cieszyli się w Blanche Neige. Niewielka część mimo wszystko wróciła na dawne włości, aby odzyskiwać władzę – życzyłem im powodzenia. Co zabawne, nie było wśród nich Bernarda. Wywęszył

okazję dokonania nowych, interesujących i chwalebnych czynów. Stary książe i Blanchefflor spierali się o stanowisko Arcymistrza Gildii.

– Przeznacza się daninę dotychczas składaną Zakonowi Cierpliwego Wędrowca, pomniejszoną stosownie do liczby mieszkańców prowincji oraz ich zamożności, na budowę Mostu przez Zaświaty.

Cofnijmy się o kilka dni, gdy siedzieliśmy w składanym domu Margueritte nad notatkami, które tak ofiarnie niosłem ze sobą przez całą Bretanię. Łączyliśmy awalońskie teorie z tym, co wynikało z badań Lucjusza. Meg do spółki z Belinde naprawiły nie tylko Rydwan, lecz także dom Margueritte i sakwę Kathryn (od tej pory Kat nosiła wyłącznie arboriańskie bawełniane skarpetki, przy każdej okazji informując, jakie są wygodne). Dzięki notatkom Lucjusza wreszcie dowiedziałem się, jak działają słynne dzieła Arte Benare i dlaczego podróż między wymiarami popsuła niektóre przedmioty podprzestrzenne, a inne nie.

Ale tego wam akurat nie wyjaśnię, bo chcę dochować tajemnicy handlowej. Tak na przyszłość.

– Potrzebujemy stabilnego połączenia między obydwoma światami – mruknęła Meg, siedząc zakutana w kocyk na swojej żółtej kanapie. Włosy odrosły jej już na trzy centymetry i uparcie sterczały na wszystkie strony jak kolce czarnego jeża. – Ponad wszelką wątpliwość przemieszczają się względem siebie na zasadzie dryfu. Portal Trzeciej Wyroczni zapewnia kontakt między Arborią a Bretanią, ale nie ma wspólnej siatki geomagicznej. Stąd na przykład wszystkie Źródła w Bretanii gasną podczas nieobecności Maga Pustki.

Skinąłem głową.

„Takie połączenie umożliwi Bretanii korzystanie z dobrodziejstwa arboriańskich Źródeł geograficznych. Innymi słowy, będę mógł przemieszczać się między światami bez odbierania mocy wszystkim bretańskim czarodziejom. I przede wszystkim zatrzymamy dryf”.

– Czyli co? – spytała Amandine. – Zaczepicie dwa światy taką jakby cumą? A potem zaczniecie ją skracać, aby wróciły na poprzednie pozycje?

– Mniej więcej – rzuciła Meg. – Ten proces potrwa całe dziesięciolecie, jeśli nie stulecie. Ale trzeba go zacząć, budując... taką cumę... Widzę w głowie teorię, ale jeszcze nie wiem, w jaki sposób się za to zabrać.

– Most – odezwała się Kathryn. Wszyscy na nią spojrzeli. Naszkicowała na kartce konstrukcję i kilka wzorów. – Taki mam pomysł. Co wy na to? Zbudujemy gigantyczny most – rozpostarła ręce – pomiędzy wymiarami! Najwspanialszy most świata.

Belinde zaczęła się śmiać tak głośno, że do domku weszli służący, pytając, czy przypadkiem szlachetna Margueritte nie potrzebuje czegoś na kaszel.

\* \* \*

Na Krawędzi Bretanii, tam gdzie w Arborii odgradza nas od Pustki zbudowana całe wieki temu kunsztowna Bariera, niebo ma kolor wędnącej pomarańczy. Trzecia Wyrocznia litościwie osłania Bretańczyków przed widokiem Zaświatów. Ciepła barwa zalewa najbliższe otoczenie – suchą, trawiastą równinę, na której tkwi obalony przed wiekami mur z białego granitu. Nikt tam nie przychodzi. Najbliższa wieś znajduje się wiele kilometrów stąd. Tutejsi nie mieli najmniejszego powodu, aby przypominać sobie o istnieniu Krańca Świata.

Aż do tej pory.

Teraz zaczynał się tam most z białego kamienia, gęsto inkrustowany runami. Prowadził prosto do Zaświatów i znikał za pomarańczową ścianą. Na bretańskim brzegu w budowie pomagali nam tutejsi, toteż w niedługim czasie wyrosło tutaj coś w rodzaju miasteczka, a może miejsca kultu. Wystawili sobie niewielką świątynię i co najmniej dwa razy dziennie modlili się do Wędrowca.

Konstrukcja, którą nazywaliśmy Mostem, w rzeczywistości była czymś w rodzaju podprzestrzennego tunelu, usianego gęsto runami Pustki, których zdążyłem się nauczyć przez te kilka miesięcy. W przeciwieństwie do wehikułu Lucjusza wszyscy po kolei sprawdzaliśmy kalkulacje, a na koniec przekazaliśmy projekt Trzeciej Wyroczni. Przeszedł weryfikację przedwiecznej magicznej istoty, stworzonej wyłącznie w celu ochrony... Właściwie nie wiedzieliśmy, co chronić Skuld, zanim Arboria i Bretania oderwały się od siebie. Tak czy owak, było dobrze.

W ciągu ostatnich miesięcy wielokrotnie wchodziłem na Most, zawsze dokładając opalizującemu, obłemu tunelowi jednostek magii i budulca, przede wszystkim tworzonych z żywej Pustki za pośrednictwem magii Creo.



Współpracowaliśmy ze sobą – ja, Kathryn i Belinde. Przywykłem do pracy pod osłonami przeciwko skażeniu.

Puściłem w powietrze chmurkę pary. Otuliłem się dziś kilkoma warstwami wełny i futer. Mieliśmy pierwszy stycznia 754 AG i bretańska zima była równie mroźna jak w Arborii.

– Martwię się o ciebie – powiedziała Amandine. – Kiedy rozdzielono nas ostatnim razem, świat wyrzucił się do góry nogami.

– Spokojnie. – Uśmiechnąłem się. – Jeśli... skończymy... dziś Most, wrócę po ciebie... natychmiast. Zajmij czymś Meg. Strasznie... się... denerwuje.

Za nami czekała w napięciu Margueritte, oparta ciężko o laskę i zakutana w grube, ufarbowane na ciemnozielono futro. Obok stała Liliana w baraniej szubie. Nikt by nie pomyślał, że to szlacheckie dziecko, a co dopiero Królewski Smok. Księżę Bernard udawał, że wynik eksperymentu wcale go nie obchodzi, chociaż obok niego leżał starannie spakowany plecak. Czarodziej siedział w pewnym oddaleniu na ławie pod gospodą Krańca Świata i ogrywał miejscowych w karty.

Kapitan gwardii Artois trzymał dłoń Kathryn w swoich rękach i wpatrywał się w królową jak w obraz. Rzeczywiście wyglądała imponująco w srebrzystobiałej sukni ogrzewanej magią. Belinde Chamomille zrobiła ją dla niej na święto Przesilenia.

Omijali się przez ostatnie miesiące. Cierpieli z miłości tak romantycznie, że miałem ochotę złapać obydwójce za fraki, kazać im puknąć się w czoło i powiedzieć, żeby przestali się wreszcie wygłupiać i poszli do łóżka. Kathryn może i nie traktowała konwenansów szczególnie poważnie, ale co innego Artois. Był przekonany, że może zacząć otwarcie się do niej zalecać dopiero po zdobyciu co najmniej księstwa na własność. Zresztą pewnie miał rację, pozostali zalotnicy wysłaliby zabójców, gdyby spróbował. Mimo szlacheckiego tytułu uważano go za nuworysza.

Coś jednak uzgodnili między sobą, bo Artois, podobnie jak Bernard, spakował plecak i czekał, aż próba przeprawy się powiedzie.

– Chrzańię – zdecydowałem wreszcie. – Chcesz iść teraz, Amandine? Osłonię dodat...kową osobę.

– No, już myślałam, że nigdy mnie nie poprosisz. – Ścisnęła moją rękę. – Jakoś bym się zemściła. Nie wiem jak, ale skutecznie.

Razem z Kathryn i Belinde wstąpiliśmy na Most. Wyprzedzając wejście w Pustkę, już postawiłem osłony. Gotowa konstrukcja nie będzie ich wymagać. Bretania i Arboria uzyskają prawdziwe połączenie dla każdego, kto spełni wymagania administracyjne. Bo te na pewno się pojawią.

Kat uniosła swoją kulę magiczną i z dumą rodzica, którego dziecko po raz pierwszy idzie do szkoły, zaczęła nagrywać obraz.

Nie chcę zagłębiać się w szczegóły techniczne, ale rozpoczęliśmy pracę na ostatnim odcinku, stopniowo rozwijając tunel za pomocą kolejnych zakłęb, run i warstw specjalnie spreparowanego metalu, dobywanego przez Belinde z jej błękitnej torebeczki. Za nami widniały tęczowo opalizujące ściany, przed nami rozpościerały się krajobrazy Pustki, pełne dalekich obcych łądów i stworzeń, z którymi nie miałem ochoty się zapoznawać. Dziś zbliżaliśmy się stopniowo do czarnej filigranowej ściany, zbudowanej jakby z gigantycznych bazaltowych płatków śniegu. Zabrało nam to wiele dni, zanim się zorientowaliśmy, jak przenieść Most przez Bariere, nie naruszając jej i nie narażając Arborii. Teraz jednak wiedzieliśmy bardzo dokładnie, jakie runy Pustki są nam potrzebne i ile kilogramów *trivium* oraz magicznie impregnowanego złota powinniśmy wbudować w konstrukcję.

Most rozwinął się jak zrolowana kładka nad niebem Arborii, przeskakując Bariere o kilka dobrych kilometrów. Balustrady spłynęły w dół, filary się zakotwiczyły. Wreszcie brzeg Mostu zrosł się z innym mostem, dobrze nam znaną olbrzymią konstrukcją z czarnej stali. Łód skuł brzegi kanionu Cabochon i warstwy zmrożonego śniegu pokrywały roślinność, ale rozpoznaliśmy bez trudu miejsce, gdzie biały kamień zetknął się z płatami czarnego granitu.

Tym razem otoczenie wyglądało na dość ożywione.

Nie wyczuwałem niebezpiecznego poziomu skażenia. Wielomiesięczne deszcze musiały zmyć pył do kanionu, służby sprzątające też pewnie zrobiły swoje, zamykając w bezpiecznych pojemnikach wszystkie przedmioty, które budziły reakcję wykrywaczy.

I pewnie dlatego podczas naszej nieobecności nad rzekę Morion powróciła turystyka. Przed karczmą Utracona Bretania stały dyliżanse oraz – jakże by inaczej – obwieszane dzwoneczkami sanie, wszędzie było pełno zażywnych i mocno skacowanych przybyszów z Avalonu. W kolorowych jarmarcznych budach sprzedawano watę cukrową i smażone pierożki. Mimo zmrożonego powietrza wyraźnie czułem zapach placków po chłopsku. Czarny granit mostu upstrzyło konfetti, tu i ówdzie widziałem pozostałości po fajerwerkach.

Nasz widok trochę zaskoczył miejscowych. Stajenni pobiegli, aby wstrzymać spłoszone konie. W powietrze wzbijała się kakofonia przerażonych okrzyków. Balony jednego ze sprzedawców uciekły jak spłoszone ptaki. Trudno się dziwić – rzadko się zdarza, żeby w miejscu, gdzie spędzasz Nowy Rok, nagle znikąd pojawił się wielki most prowadzący prosto do nieba.

Schodziliśmy, trzymając się barierki. Panika stopniowo ustępowała miejsca ostrożnemu zainteresowaniu. Ja zaś przypominałem sobie mentalność mieszkańców Arborii, żyjących w ciepłej, bezpieczności i względnie dobrobycie (przynajmniej w porównaniu do Bretańczyków). Owszem, nikt się nie spodziewał mostu, ale nie takie iluzje czarodzieje potrafili stworzyć. W końcu mieliśmy Nowy Rok i przynajmniej jedno z nas ubrało się odpowiednio do okazji. Kathryn maszerowała przodem, zamiatając granit trenem srebrzystobiałej sukni, a my obok niej jak, nie przymierzając, orszak królowej.

Zeszliśmy na czarny stary most. Gdzieś wystrzelono fajerwerki. Dwóch facetów w brązowych cylindrach, którzy na pewno jeszcze nie skończyli świętować, wzniosło chwiejny toast dzbankiem piwa.

– Haroldzie – usłyszałem pełen pretensji głos. – Spójrz. To się nazywa kreacja noworoczna.

– Bużko moja, masz pojęcie, ile coś takiego kosztuje? Zresztą jestem pewien, że to sztuczne szkiełka. Kicz i tandeta. Nie pokazałabyś się tak na ulicy.

– Przepraszam! Przepraszam państwa! – Ktoś przeciskał się przez tłum. – Proszę przepuścić burmistrza! O, tak lepiej. Dziękuję. Lady Chamomille! Pani Cerise! Panie Thorpe!

Randall Hardy nie zmienił się, odkąd widzieliśmy go ostatnio. Nadal dźwigał przed sobą okazały brzuch, może nawet trochę większy. Gdy się uśmiechał,

głębokie zmarszczki promieniowały od kącików jego oczu, co nadawało mu dobrotliwy wygląd.

– Na Pustkę! – zawołał radośnie, a ja mimo woli skrzywiłem się na ten okrzyk, który nadal brzmiał w moich uszach wulgarnie. – Co za niespodzianka! Trzeba było pojawić się wczoraj, mieliśmy prosiaka z różną i grzane awalońskie. Gdzie podzialiście Margueritte? To ona stoi za tą iluzją? Mało nie dostałem zawalu. Ostrzegam, że zaraz będą pisać na was pozwy.

– Most nie jest iluzją – wyjaśniła Kathryn cicho. – Proszę tego nikomu na razie nie mówić. On tutaj zostaje. I obawiam się, że ten teren wkrótce obejmie tymczasowa anatema Gildii. Kiedy skończy się święto, trzeba zamknąć sklepy i gospodę.

Randall zmarszczył brwi.

– Szanowna pani zdaje sobie sprawę z tego, co to dla mnie znaczy? – zawahał się. – Młoda Kathryn? Mówią, że szata nie zdoła człowieka, ale...

– Ze swojej strony gwarantuję wysokie odszkodowanie – wtrąciła Belinde Chamomille. – I gdy tylko uzgodnimy szczegóły, panie Hardy, dostanie pan okazję, jakiej przed panem nie miał nikt. Zbuduje pan tutaj więcej niż jedną karczmę.

– Ale... – Burmistrz rozejrzał się zdezorientowany. – Nie rozumiem.

– Wszystko wyjaśni się w swoim czasie.

Randall spojrział mi w oczy, jakby szukając we mnie oparcia.

– Na Pustkę, czy to kolejne dzieło Szalonej Meg? Jeżeli to nie iluzja, dokąd prowadzi ten most? Proszę coś powiedzieć, panie Thorpe. Co ja mam z tym fantem zrobić?

Uśmiechnąłem się.

– Wejdźmy. – Wskazałem karczmę. – Funduję panu placek po bretańsku.

## ASYSTENT CZARODZIEJKI

I tom cyklu Kroniki Rozdartego Świata

Przez ostatnie ćwierć wieku Vincent Thorpe służył jako pomocnik magiczny czarodziejce Margueritte de Breville, znanej w Arborii jako Szalona Meg. Razem zgłębiali tajemnice Wojny Rozdarcia – konfliktu, który siedemset lat wcześniej niemal zniszczył świat. Po latach niebezpiecznej pracy Vincent wyczekuje zakończenia kontraktu i marzy o spokojnym życiu w domku na przedmieściach u boku ukochanej Amandine.

Gdy kolejna, pozornie zwykła misja dla Gildii Magów przybiera nieoczekiwany obrót, Vincent przekonuje się, że musi zrewidować plany na przyszłość, a jego los jest nieodłącznie spleciony z historią Arborii.

ALEKSANDRA JANUSZ



KRONIKI  
ROZDARTEGO ŚWIATA

ASYSTENT CZARODZIEJKI

NASZA KSIĘGARNIA



fot. Magdalena Gajda

## ALEKSANDRA JANUSZ

Doktor neurobiologii, obecnie pracuje w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. Debiutowała w „Science Fiction” 4/2001 opowiadaniem „Z akt miasta Farewell”, jest autorką powieści „Dom wschodzącego słońca” wydanej nakładem wydawnictwa Runa. Publikowała opowiadania i artykuły publicystyczne w internetowym magazynie „Fahrenheit”, w magazynie mangi i anime „Kawaii” i w innych czasopismach. Uzależniona od książek, czyta wszystko; nie jest gatunkistką. Zawodowo zajmuje się molekularnymi mechanizmami rozwoju neuronów, pamięci i uczenia się.

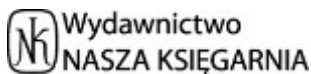
© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, 2016  
Text © copyright by Aleksandra Janusz, 2016

Ilustracja na okładce *Milena Młynarska*  
Typografia *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Redaktor prowadzący *Katarzyna Lajborek*  
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*  
Redaktor *Sylwia Sandowska-Dobija*  
Korekta *Ewa Mościcka, Katarzyna Sobiepanek-Szczęsna*  
Korekta pliku po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-13105-8

Plik wyprodukowany na podstawie *Kroniki Rozdartego Świata. Utracona Bretania*, Warszawa  
2016



[www.naszaksięgarnia.pl](http://www.naszaksięgarnia.pl)

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [naszaksięgarnia@nk.com.pl](mailto:naszaksięgarnia@nk.com.pl)

Konwersję wersji elektronicznej wykonano w systemie *Zecer*.